



CAMILLA
LÄCKBERG
HENRIK FEXEUS

MENTALISTA

ABY POWSTRZYMAĆ SZALEŃSTWO,
MUSI JE ZROZUMIEĆ...

CZARNA OWCA

CAMILLA
LÄCKBERG
HENRIK FEXEUS

MENTALISTA

Przełożyła
Inga Sawicka

WYDAWNICTWO
CZARNA OWCA

Spis treści

Strona tytułowa

Spis treści

Strona redakcyjna

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24
25
26
27
28
29
30
31
32
33
34
35
36
37
38
39
40
41
42
43
44
45
46
47
48
49
50
51
52
53

54
55
56
57
58
59
60
61
62
63
64
65
66
67
68
69
70
71
72
73
74
75
76
77
78
79
80
81
82
83

84
85
86
87
88
89
90
91
92
93
94
95
96
97
98
99
100
101
102
103
104
105
106
107
108
109
110
111
112
113

114
115
116
117
118
119
120
121
122
123
124
125
126
127
128
129
130
131
132
133
134
135
136
137
138
139
140
141
142
143

144

145

146

147

148

149

150

151

152

153

154

155

156

157

Podziękowania

Przypisy końcowe

Tytuł oryginału: *BOX*

Redakcja: Anna Brzezińska

Korekta: Maciej Korbasiński, Marta Stochmiałek

Projekt okładki: KAV STUDIO Pola Rusiłowicz

Zdjęcie na okładce: Isaac Quesada © Unsplash

Zdjęcie autorów: Elisabeth Toll

Redaktor prowadzący: Katarzyna Monika Słupska

Copyright © 2022 Camilla Läckberg and Henrik Fexeus

Published by arrangement with Nordin Agency AB, Sweden

Copyright © for the Polish translation by Inga Sawicka, 2022

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarna Owca, Warszawa 2022

Wydanie I

ISBN: 978-83-8143-869-8

LUTY

TUVA, W STRESIE, bębni palcami o ladę. Jest wciąż w pracy w kawiarni przy Hornstull, chociaż już nie powinna tutaj być. Klient, który właśnie usiadł w rogu lokalu, spogląda na nią z irytacją, a Tuva odpowiada morderczym spojrzeniem. Zapisuje w pamięci jego twarz i obiecuje sobie, że następnym razem gość nie dostanie serduszka na swoim cappuccino. Prędej środkowy palec.

Tuva nie cierpi się spóźniać, a dzisiejsza obsuwa robi się naprawdę poważna. Bezwiednie zakłada za ucho kosmyk jasnych włosów. Już pół godziny temu powinna była odebrać Linusa ze żłobka. Uodporniła się na złe spojrzenia personelu, bo tyle razy je widziała, że już na nią nie działają. Gorzej, że będzie przykro jej dwuletniemu synkowi. A Tuva nie jest osobą, która by sprawiała przykrość dziecku. Zwłaszcza Linusowi. Ile to razy mówiła, że byłaby gotowa oddać za niego życie. W rzeczywistości nie jest tak prosto, chociaż Bóg jeden wie, że Tuva się stara. Bardzo. Ściąga teraz fartuch i otworzywszy drzwi szafki, rzuca go na stertę brudów. Nie może wyjść, dopóki nie przyjdzie jej zmiennik. Gdzie on jest, do cholery?

Martina, taty Linusa, nie było w dniu, gdy rodził się jego syn. Tuva nie miała o to pretensji, pojechała karetką na porodówkę, gdzie urodziła dwa tygodnie przed terminem. Zdziwiła się dopiero, kiedy Martin nie odwiedził jej w szpitalu, gdzie spędziła kilka dni. Poród odbył się nie bez komplikacji. Tuva była w takiej mgłę, że wszystkiego nie pamiętała, tyle tylko że lekarze ciągle robili badania jej i dziecku, zapewniając, że wszystko będzie dobrze. Podobnie jak Martin w lakonicznych esemesach, które jej przysyłał, kiedy jeszcze była w szpitalu. Pisał, że przyjedzie, tylko musi najpierw załatwić kilka spraw. I o ile wspomnienia z porodówki były dość mgliste, to obraz powrotu z dzieckiem do pustego mieszkania był ostry jak brzytwa. Podczas gdy ona rodziła i walczyła o życie ich synka, Martin zabrał swoje rzeczy i zwiął. Widocznie to były te „sprawy do załatwienia”. Od tamtej pory słuch o nim zaginął. Może i dobrze, bo chybaby go zamordowała, gdyby się zjawił.

A tak Tuva i Linus stanowili jedno naprzeciw świata. Choć coraz częściej okazywało się, że świat wdziera się między nich. Jak teraz. Daniel, jej zmiennik

na popołudnie, powinien tu być już godzinę temu. A wciąż go nie ma. Musiała zadzwonić, żeby go obudzić. Wpół do drugiej po południu. Czy kiedy miała dwadzieścia jeden lat, była równie nieodpowiedzialna? Pewnie tak. Nic dziwnego, że nie układa się między nimi najlepiej. Zerknęła na zegarek na nadgarstku.

Cho. Le. Ra.

Tuva domyśla się, że opiekunem, który po raz kolejny będzie czekał na nią w żłobku, będzie Matti. Ten, na którego jej synek zaczął mówić tata. Matti za każdym razem patrzy na nią znacząco. Jego spojrzenie mówi, że powinna spędzać więcej czasu z dzieckiem, zamiast pracować. Wielkie dzięki. Jakby jej było mało, że musi patrzeć na łzy Linusa, który nie rozumie, dlaczego mamy znów nie ma.

Espresso jest gotowe akurat w momencie, kiedy w drzwiach niespiesznie staje Daniel z włosami sterczącymi na wszystkie strony. Wraz z nim wpada do środka zimny lutowy powiew, kilku gości wzdryga się ostentacyjnie, ale Daniel tego nie zauważa. Albo się tym nie przejmuje. Że też mogła kiedyś uważać go za dość przystojnego.

– Masz – mówi na tyle zimno, na ile można wyrazić to w trzech głoskach, i podsuwa mu porcelanową filiżaneczkę. – Chyba ci się przyda. Uciekam.

Nie czekając na odpowiedź, Tuva łapie papierowy kubek i wypada na dwór, gdzie śnieg nawet nie zaczął się topić. Nie uważa i wpada na parę kruchych staruszków.

– Przepraszam, pędzę do żłobka i już jestem spóźniona – rzuca, nie patrząc na nich.

– No tak, dzieci potrafią człowieka zadziwić. Bywają bardzo przedsiębiorcze i samodzielne.

Głos jest miły, nie słyhać w nim wyrzutów.

Tuva nie odpowiada, ale czuje ulgę, że swoją niezręcznością nie spowodowała awantury. Ludzie są tacy drażliwi. Ileż to razy żądano od niej pokrycia kosztów pralni chemicznej, a nawet sporej rekompensaty, kiedy zdarzyło jej się chlapnąć lekko kawą na klienta. Uśmiecha się przepaszając do staruszków. Kawa w kubku chlupie, przypominając jej, że naprawdę nie ma czasu. Jeszcze raz mówi „przepraszam” i truchta do metra, jednocześnie popijając kawę. Gorący napój parzy najpierw w język, potem w żołądku. Ma chemiczny smak. Prawie jak lekarstwo. Trzeba będzie umyć maszynę do espresso. W zderzeniu z mrozem na dworze kawa wydaje się jeszcze gorętsza.

Odbierze Linusa i wróci z nim do kawiarni. Niech mu Daniel da tyle drożdżówek i ciastek, ile synek tylko zapragnie. Należy mu się. Do diabła

z makaronem i pulpetami. Jutro Tuva wyjeżdża, ale dzisiejszy wieczór będzie należał tylko do niej i Linusa.

Dobiega do schodów prowadzących do metra, gdy nogi się pod nią uginają. Tuva wydaje okrzyk i w ostatniej chwili łapie się poręcz, żeby nie upaść na ziemię. Musiała się potknąć. Nie spieszy jej się aż tak, żeby miała przyjść do żłobka cała posiniaczona.

Próbuje wstać, ale ma wrażenie, jakby w nogach nie miała kości, bo się uginają pod nią. Kręci jej się w głowie. Mdli ją. Jakby miała zemdleć. Tak samo się czuła po lekarstwie w szpitalu. Podczas porodu.

Linus.

Idę.

Chce chwycić poręcz, by wstać, ręce wydają jej się długie na kilometr. Poręcz unosi się wysoko nad jej głową, Tuva nawet nie wie, jak działa taka poręcz. Na samym obrzeżu jej pola widzenia tańczą jakieś ciemne plamy. Nagle świat kręci się w koło i jakiś głosik w środku mówi jej, że spada ze schodów. Zupełnie tego nie czuje.

Pierwsze, co czuje po przebudzeniu, to ból w stawach. Niewygodnie jej. Mlascze, chrząka. Ma w ustach suchość i jakby nieznaną mdłą posmak. Potrzebuje kilku sekund, żeby całkiem oprzytomnieć, i wtedy zdaje sobie sprawę, że nawet nie leży, tylko klęczy lekko pochylona. Ze wszystkich stron naciskają ściany. Również z góry na jej kark.

Jakby znajdowała się w ciasnej skrzyni.

Jak na zły sen ból jest za silny. Ale to przecież nie może być jawa. Nie może. A jednak. Zapach drewna jest aż nazbyt rzeczywisty. Przez wąskie, krótkie szpary wpada światło, tworząc prostokąty na jej nagich rękach i nogach. *Nagich...* Gdzie jest jej ubranie? Nie ma nie tylko kurtki, ale też bluzy. I dżinsów. Ktoś ją rozebrał. Jest teraz w samej koszulce i majtkach, to nie może być prawda.

Znów mlascze. Wciąż ten chemiczny smak. Coś musiało być w tej kawie. Nie zauważyła, kiedy ktoś to dodał, bo była w stresie i wszystko wypięła.

Od przypływu adrenaliny cierpnie jej skóra. Musi się wydostać. Tuva krzyczy i z całej siły napiera na ściany skrzyni. Drewno ugina się, ale nie na tyle, by pęknąć albo żeby skrzynia się otworzyła. Nie może kopać, skoro klęczy, pozostaje tylko walić dłonią w ściany skrzyni, ale są za blisko, żeby mogła się zamachnąć. Nagle po jednej stronie coś zasłania światło. Ktoś tam jest.

– Wypuść mnie! – krzyczy Tuva. – Co ty wyprawiasz?

Nikt jej nie odpowiada, ale Tuva czuje, że ktoś tam jest. Słyszy czyjś oddech. Znów krzyczy, ale cisza jest zwarta i groźna. Czuje teraz mrowienie w całym

ciele. Z nową siłą wali w ściany skrzyni, ale ciasnota uniemożliwia nadanie impetu jej ruchom.

– O co ci chodzi? – wykrzykuje przez łyzy pod powiekami. – Wypuść mnie, proszę, porozmawiajmy. Muszę odebrać Linusa ze żłobka!

Zerka na swoją rękę. Szkiełko na zegarku jest rozbite, wskazówki zatrzymały się na trzeciej. Matti na pewno już do niej wydzwania. Może się zastanawia, gdzie się podziała, może zaczął jej szukać i lada moment znajdzie ją w tej skrzyni, może... a może Tuva często spóźniała się jeszcze bardziej niż dziś.

I nikt jej nie szuka.

Nikt nie zauważył, że jej nie ma.

Że została porwana.

Porwana. Dociera do niej znaczenie tego słowa i wtedy robi jej się duszno. Wzdryga się na dźwięk jakiegoś metalicznego odgłosu.

– Halo! – woła.

Przez jedną z dolnych szpar po jej lewej stronie wbija się coś srebrzystego i ostrego. Przypomina czubek miecza. Stalowa głownia zagłębia się powoli i Tuva stara się odsunąć udo, ale nie ma jak, bo jest za ciasno. Czubek miecza dochodzi do uda i naciska na skórę. Wprawdzie nie jest tak ostry, na jaki wygląda, ale sprawia jej ból.

– Aua, co robisz! – krzyczy. – Przestań!

Głownia wciąż napiera, w końcu nacina skórę, na której pojawia się kropla krwi. Jej ruchy są badawcze, jakby osoba stojąca na zewnątrz coś testowała. Tuva znów krzyczy, ale prawie nie słyszy własnych słów. Raptem nacisk się zmniejsza, głownia cofa się o kilka centymetrów.

Odgłos uruchamiania silnika. Miecz zaczyna wibrować, potem znów sunie naprzód i tym razem nie zatrzymuje się po dojściu do jej nogi. Tuva wydaje krzyk, gdy ostrze wbija się w mięsień uda i wrzyna coraz głębiej w tkanekę. Jej krzyki zagłuszają odgłos silnika. Ból jest potworny. Pod powiekami eksplodują kolory, palą zakończenia nerwowe. Świat znika, zostaje sam ból. Miecz dociera do kości, jego wibracje rozchodzą się przez szkielet po całym ciele. Tuva wymiotuje na siebie i zakrwawiony miecz. Głownia przechodzi po kości i czubek miecza w sposób niemal obsceniczny wychodzi przez skórę. Z dziury leje się, pulsując, krew i spływa po nodze, co tworzy kałużę. A miecz się nie zatrzymuje, przebija się przez jedno udo do drugiego. Tuva nie może się poruszyć.

– Proszę, przestańcie, proszę – błaga, płacząc. – Muszę odebrać dziecko. Już jestem spóźniona. On ma tylko mnie.

Gdy miecz przebija jej drugą nogę, Tuva jest przygotowana na ból. Jednak na coś takiego nie da się przygotować. Tuva wydaje z siebie ryk, wolałaby stracić

przytomność, oszaleć, cokolwiek, byle już nie czuć nic więcej. Kilka sekund. Wieczność. Już nic nie widzi. Ostrze przebiło jej obie nogi i wychodzi przez szparę w przeciwnej ścianie skrzyni. Wreszcie przestaje wibrować.

Jednak silnik wciąż chodzi.

Coś kłuje ją od tyłu w bark i wtedy umiera ta część Tuwy, która jest jej rozumem. Wręcz fizycznie czuje załamanie fragmentu mózgu. Bo szpary są, rzecz jasna, również za jej plecami. Tuwa usiłuje się pochylić, by uniknąć miecza, ale ten ruch sprawia, że palący ból w udach staje się jeszcze mocniejszy. Już jej tutaj nie ma. Znajduje się na porodówce, walczy o życie synka, jest w kawiarni, gdzie jakimś cudem dostała pracę, obłapia się z Danielem, jest z Martinem, który mówi, że ją kocha. Słyszy odgłos miażdżonej chrząstki i tkanki grzbietu, a myśli o tym, że Linus mówi na Mattiego tata.

Spogląda niżej i widzi, jak skóra pod obojczykiem rozciąga się, potem pęka i miecz wychodzi z przodu. Niczym sztuczka magiczna. Tuwa jest asystentką sztukmistrza, zaraz dostanie brawa. Widziała w telewizji. Krew z jej piersi zabarwia koszulkę na czerwono, a miecz sunie do szpary w ścianie. Zapach żelaza jest obezwładniający.

Widzi przed sobą błękitne oczy Linusa.

Mamusiu, ty mnie też zostawisz?

Tuva chce coś powiedzieć piskliwym głosem wydobywającym się z jej krtani.

– Błagam. Bardzo się spieszę.

Na zewnątrz ktoś coś przesuwają. Jedna ze szpar na wysokości jej twarzy jest teraz zaciemniona. Trzeci miecz. Odległość od głowy Tuwy to kilkanaście centymetrów. Dwa miecze, które przebiły ją wcześniej, skutecznie ją unieruchomiły.

– Już nie – szepcze.

Miecz porusza się powoli, ale odległość jest zbyt mała. Tuwa widzi błysk czubka, który jest już za blisko, by mogła skupić wzrok.

Synku. Przepraszam. Mamusia cię kocha.

Wzdryga się, kiedy czubek miecza ociera się o kącik między prawym okiem a nasadą nosa, by wbić się dalej, przecinając oko. Jakaś wilgoć spływa po policzku, Tuwa jest ślepa na jedno oko. Ale to nie boli. Przynajmniej już nie boli.

Skąd ten zapach spalenizny? To jej ostatnia myśl.

A potem miecz wbija jej się w mózg.

MARZEC

VINCENT Z CAŁEJ SIŁY UDERZYŁ dłonią w stół. Widownia zareagowała głośnym westchnieniem. Vincent zmarszczył czoło, zrobił dramatyczną pauzę i patrząc na publiczność, podniósł rękę. Pod nią znajdowała się zgnieciona papierowa torebka. Rozległ się nerwowy śmiech, gdy jednym ruchem zmiótł papier na ziemię.

– Pod torebką numer pięć też nie – powiedział.

Zaciemnioną scenę rozświetlał tylko jeden reflektor. Światło padało na Vincenta, stół i stojącą obok kobietę, co podkreślało powagę finałowego numeru przedstawienia. Panowała absolutna cisza. Ostatni numer odbywał się nawet bez muzyki, żeby spotęgować napięcie. Na stole znajdowało się z początku pięć papierowych torebek, ponumerowanych i odwróconych do góry dnem. Dwie już rozgniół dłonią.

– Zostały trzy – powiedział, spoglądając na kobietę. – Magdaleno, nie patrz na trzy torebki, bo wtedy mogę śledzić ruch twoich gałek ocznych. Ale pomyśl o tej, pod którą znajduje się wielki gwóźdź. Tylko ty wiesz, która to. Publiczność nie widziała, gdzie ją schowałeś, ja też nie. Trzy. Przypomnij sobie, jaki był ostry. Pomyśl o tym.

Kobieta pociła się obficie. Od gorącego światła reflektora, ale również dlatego, że denerwowała się tak samo jak widownia. A może jeszcze bardziej.

Vincent przyglądał jej się uważnie.

– Nie zareagowałaś na „trzy”, chociaż wypowiedziałem to słowo trzy razy – powiedział. – A zatem chyba nie tam.

Mocno uderzył dłonią w torebkę numer trzy, zanim publiczność zdążyła zareagować. Ktoś krzyknął, kiedy torebka huknęła.

Zostały dwie. Vincent miał pięćdziesiąt procent szans na poważny uraz dłoni. Sam nie rozumiał, po co wykonuje ten numer. Każdy, kto go wykonywał, prędzej czy później musiał się zranić. Przy dużej częstotliwości było to wręcz nie do uniknięcia. Jednak publiczność nie powinna widzieć, że iluzjonista się denerwuje. Trik polegał w dużej części na udawaniu, że panuje się nad sytuacją w większym stopniu niż w rzeczywistości.

– Zostały numer dwa i cztery – powiedział do asystentki. – Wyobraź sobie, że widzisz ten gwóźdź w całej jego dwudziestocentymetrowej długości.

Kobieta zamknęła oczy, zrobiła nieszczęśliwą minę i skinęła głową.

– Pamiętasz, jak błysnął, kiedy go postawiłaś na sztorc. Pod jedną z tych dwóch torebek. Pomyśl o tej, w którą nie chcemy, żebyś uderzył.

– Ale ja już nie wiem, czy pamiętam, która to – jęknęła asystentka.

Vincent uniósł jedną brew. Atmosfera na widowni była tak gęsta, że można by ją kroić nożem. Dwie torebki. Vincent podniósł rękę, potrzymał ją nad jedną torebką. Przesunął nad drugą. Jedna oznaczała koniec przedstawienia przy owacji na stojąco. Druga – przebitą rękę i jazdę karetką do szpitala.

– Otwórz oczy – rozkazał.

Kobieta otworzyła je niechętnie i przez zmrużone powieki spojrzała na torebki. Vincent patrzył na nią. Podniósł rękę, żeby uderzyć w jedną z torebek, ale opuszczając ją, dostrzegł, jak asystentka w panice otworzyła szerzej oczy, i walnął w tę drugą. Kobieta krzyknęła głośno, gdy ręka uderzyła w stół. Vincent odczekał kilka sekund z pochyloną głową. Następnie triumfującym ruchem zmiotł na ziemię zgniecioną torebkę i podniósł wysoko tę, która została. Sterczący pod nią gwóźdź wyglądał jak oszczep i lśnił śmiertelnym blaskiem w świetle reflektora. Rozległ się ryk widowni, która zerwała się na nogi, w tym samym momencie zagrała muzyka. Vincent złożył na gwoździu podpis nieścieralnym flamastrem, włożył go do torebki i oddał asystentce, która z widocznym wyrazem ulgi na twarzy została sprowadzona ze sceny.

Vincent stanął na skraju i rozłożył ręce. Nie musiał udawać, że mu ulżyło.

Owacja była wręcz ogłuszająca. Przedstawienie w Gävle Teatern zakończyło się. Vincent złożył głęboki ukłon i utkwiał spojrzenie w widowni. Ruchome oświetlenie podczas owacji było oślepiające, ale zachowywał się tak, jakby widział swoją publiczność. Polegało to na tym, żeby patrzeć prosto przed siebie i udawać nawiązanie kontaktu wzrokowego z jakąś osobą. Zaśmiał się, wiedząc, że czterysta piętnaście osób stoi teraz, wiwatując na cześć Vincenta Waldera, Mistrza Mentalisty.

– Dziękuję państwu! – zawołał, przekrzykując burzę oklasków.

Owacja i gwizdy jeszcze się nasiliły. Teatr był wypełniony do ostatniego miejsca. Udał się ten wieczór. Nawet bardzo. Dziś się nie pojawiła. Kobieta, źródło jego niepokoju. Kiedy nie przychodziła, z serca spadał mu jeszcze większy kamień, niż był gotów sam przyznać przed sobą.

Oparł się pokusie osłonięcia oczu dłonią, żeby zobaczyć owację publiczności. Ciężko na nią zapracował, a to był moment jego satysfakcji. Tylko dzięki niej i adrenalinie trzymał się jeszcze na nogach. 415 miejsc w teatrze. 41 plus 5 to 46, tyle miał lat. W każdym razie jeszcze przez kilka następnych tygodni.

Przestań.

Niewiele brakowało dzisiaj z tym cholernym gwoździem. Był to ostatni numer w jego dwugodzinnym przedstawieniu. Pot spływał mu po plecach i Vincent miał wrażenie, jakby gotował mu się mózg.

Chodziło nie tyle o to, żeby przewidzieć zachowanie widzów albo udawać, że umie czytać w ich myślach. Iluzja polegała na tym, by wyglądało, że przychodzi mu to z łatwością, podczas gdy mózg pracuje na najwyższych obrotach. Afisz w teatralnym foyer nazwał go „Mistrzem Mentalistą”, a Vincent żałował, że zgodził się na to określenie. Było takie... niewyrafinowane. Pospolite. Pozwalało mu jednak się za nim ukryć. Dzięki niemu mógł się wydawać wymyśloną postacią. A nie kimś, kto marzy o tym, żeby w swojej garderobie położyć się na wznak i przez dziesięć minut tylko oddychać. Teraz zaś, już po przedstawieniu, powinien odzyskać kontrolę nad własnymi myślami, żeby nie pomknęły w jakimś niepożądanym kierunku. Dziś potrzebował na to więcej czasu niż zwykle.

Kontrola. Osiem liter. Tyle, ile rzędów na balkonie widowni.

Przestań.

Vincent podniósł wzrok na pierwszy balkon. Sprawił, że czworo siedzących tam widzów zapomniało, jak się nazywają. 23 miejsca w każdym rzędzie. Razem 184.

Ktoś na balkonie gwizdnął na palcach.

Nabierz powietrza w płuca, nie brnij w tę myśl.

184 miejsca. Osiemnasty czwarty to również ostatnia data tego tournée, a 23 miejsca w każdym rzędzie, 8 rzędów, 2 plus 3 plus 8 równa się 13, co odpowiadało liczbie przedstawień, jakie mu pozostały do tej daty.

Przestańprzestańprzestań.

Przygryzł mocno język.

Vincent uklonił się jeszcze raz. Zszedł ze sceny, ale zatrzymał się za aksamitną kotarą odgradzającą kulisy i policzył po cichu. Raz. Jeśli brawa potrwać do dziesięciu, wbiegnie na scenę po ostatnią porcję oklasków. Dwa. Z mroku wychynęła jakaś postać. Kobieta około trzydziestki. Trzy. Vincent poczuł, że robi mu się zimno. Czyli jednak przyszła. Cztery. Tym razem nie czekała z wejściem do końca przedstawienia. Pięć. Jak jej się udało dostać za scenę? Nikomu nie wolno było przebywać tam podczas występu. Już on pokaże temu, kto ją wpuścił. Prosił, żeby jej wypatrywali. Ale po to, by ją zatrzymać, a nie jej pomagać. Sześć. Teraz przynajmniej zobaczy, jak ta kobieta wygląda. Ciemne włosy związane w koński ogon. Ubrana w golf. Czarną kurtkę. Siedem. Oczy rozszerzyły się na ułamek milimetra, kiedy chciała coś powiedzieć. Vincent nie miał pojęcia, czy stanowi dla niego zagrożenie. Osiem. Dał jej znać,

żeby milczała, i kciukiem wskazał na scenę, dając jej do zrozumienia, że jeszcze nie skończył. Może po ostatnim ukłonie udałoby się znaleźć inne wyjście ze sceny. Dziewięć. Postaraj się nie myśleć o niej. Głęboki wdech i uśmiech. Dziesięć. Znow wbiegł na rozświetloną scenę.

– Dziękuję, dziękuję, bardzo są państwo mili! – zawołał. – Domyślam się, że wolelibyście zostać tu jeszcze trochę, ale obawiam się, że upomina się o was rzeczywistość i pora się z nią zmierzyć. A gdyby jakiś fragment dzisiejszego wieczoru nie dawał spać, to proszę pamiętać: to tylko zabawa. – Zrobił pauzę. – Chyba.

Publiczność zaśmiała się głośno. Trochę nerwowo. Vincent nie powstrzymał uśmiechu. To zawsze działało. I chociaż nie miał na to ochoty, pospieszył do wyjścia ze sceny, nim publiczność wstała z miejsc. Nie najlepiej to wygląda, kiedy artysta stoi na scenie, a ludzie zaczynają już wychodzić. Jeśli w dodatku, jak dziś, muszą jeszcze odebrać palta z szatni, zawsze chcą ruszyć trochę wcześniej, żeby potem nie czekać w kolejce. Kobieta stała w kulisie, kiedy tam doszedł.

– Ona tu jest – powiedział cicho do mikrofonu. – Zawołajcie ochronę, ale już.

Liczył, że w reżyserce mikserzy nadal go słuchają, choćby przy ściszonej mikrofonie. Fani przychodzący po przedstawieniu byli w większości sympatyczni, ale wolał uniknąć jakichkolwiek niespodzianek. Zwłaszcza ze strony kobiety znanej już z tego, że wbiega na scenę zaraz po zakończeniu przedstawienia. Nie było to całkiem normalne zachowanie. Do tej pory udawało mu się jej unikać. Aż do dziś.

Nie myślał zbyt jasno. Potrzebował czasu, żeby po przedstawieniu zejść z obrotów i odzyskać normalną temperaturę w mózgu. Nie potrafił zanalizować odpowiednio sytuacji, pozostało tylko być wobec niej uprzejmym, liczyć na pojawienie się ochrony i zachować dystans.

Chcąc zyskać na czasie, wskazał palcem schodki prowadzące do garderoby. Kobieta ruszyła przodem. Schodki miały siedem stopni. Ojej. Vincent powtórzył zejście z ostatniego stopnia, żeby wyszła liczba parzysta. Kobieta najwyraźniej nic nie zauważyła.

Weszli oboje do pomieszczenia umeblowanego jak salon. Co z tą ochroną? Na stoliku przed kanapą stały cztery nieotwarte butelki wody Loka. Vincent zdjął marynarkę i rzucił na kanapę. Obrócił jedną butelkę w taki sposób, żeby wszystkie były zwrócone etykietami w tę samą stronę. Kobieta została w kurtce. Vincent starł charakterystyczną nawilżaną chusteczką. Kobieta nieznacznie zmarszczyła nos. Dobrze. Wszystko, co jej obrzydza obecność tutaj, działa na jego korzyść. Miał nadzieję, że czuć od niego potem.

– Nie chciałbym być nieuprzejmy – odezwał się – ale w gruncie rzeczy nie wolno tutaj przebywać osobom postronnym.

Otworzył jedną butelkę i nalał wody do szklanki. Spojrzał podejrzliwie na bąbelki.

– Nie może pani zachowywać się w ten sposób – dodał. – W pomieszczeniach związanych ze sceną obowiązuje zakaz wstępu dla osób spoza produkcji i...

Przerwała mu, przedstawiając się.

– Mina. Mina Dabiri. Jestem z policji.

Następnie, zanim jeszcze podała mu rękę, szybko poprawiła jedną nieotwartą butelkę, która przekręciła się lekko, gdy Vincent brał swoją. Teraz wszystkie etykiety były znów zwrócone w jedną stronę. Vincent umilkł i uścisnął jej dłoń. Mistrz Mentalista nagle nie wiedział, co powiedzieć.

MINA PRZYGLĄDAŁA się mężczyźnie siedzącemu przy ciemnobrązowym stoliku naprzeciw niej. Vincent Walder. Musiała zaczekać, aż się przebierze ze scenicznego stroju, czyli eleganckiego dyskretnego ciemnoniebieskiego garnituru z czarną koszulą. Teraz był ubrany nieformalnie w biały T-shirt i czarne dżinsy. Nie włożył kurtki, chociaż był dopiero marzec, a Gävle wciąż tkwiło w kleszczach zimy.

Stwierdziła z pewnym zdziwieniem, że Vincent jej się podoba. Rzadko jej się to zdarzało. Złapała się na tym, że określiłaby go jako przystojnego. Cechowała go pewna surowość i nieco staroświecka elegancja, mimo tych dżinsów i trykotowej koszulki. Wcześniej, kiedy był w garniturze, widziała to jeszcze wyraźniej.

Mina wolałaby rozmawiać z nim w jakimś miejscu znajdującym się dalej od ludzi, nalegał jednak, że musi coś zjeść. Zmiana planu była nie po jej myśli, ale tym razem musiała pozwolić mu decydować. W końcu to ona przyjechała do niego. I dlatego musiała omówić delikatną sprawę służbową w Harrys krog, jednej z niewielu w Gävle knajp z kuchnią czynną po dwudziestą drugą.

Vincent wydał jej się bardziej zmęczony po przedstawieniu, niż się spodziewała. Oby posiłek mu pomógł, bo był jej potrzebny w wysokiej formie intelektualnej. Ją samą rozpraszały odgłosy pochodzące od gości stojących nieopodal przy barze. Rozmawiali w dialekcie skańskim i mieli identyfikatory zawieszane na tasiemkach. Pewnie uczestnicy jakiejś konferencji w którymś z pobliskich hoteli. Przypominali raczej przerośniętych uczniów z kluczem na szyi.

W powietrzu unosił się zapach piwa i feromonów. Mina najchętniej założyłaby maseczkę na twarz, ale odepchnęła od siebie tę myśl i skupiła się na Vincencie. W policyjnych rejestrach nie znalazła żadnych informacji na jego temat, więc musiała szukać gdzie indziej. Z Wikipedii i innych wygooglowanych źródeł dowiedziała się, że za miesiąc skończy czterdzieści siedem lat, że nazwisko Walder było przybrane, a wykonywany zawód to „mentalista”.

Wynikało z nich, że mentalista to ktoś, kto dzięki znajomości psychologii, sile sugestii i tajemniczym sztuczkom stwarza iluzję, że posiada zdolności właściwe dla medium albo że czyta w myślach. Z jego dawnych wywiadów wywnioskowała również, że jest dobrze obeznany ze zwykłymi sztuczkami. Wprawdzie przyjechała tu dla jego znajomości natury ludzkiej, jednak wiedza dotycząca sztuczek magicznych mogła się również przydać, zważywszy na zdjęcia, które miała w swoim skoroszycie. Nie znalazła żadnych informacji, co robił wcześniej ani gdzie się urodził. Według Wikipedii był czynny zawodowo od piętnastu lat, ale dopiero od niedawna stał się szeroko znany po serii programów w prywatnej stacji TV4.

W jednym z nich przeprowadził psychologiczny eksperyment nagrany ukrytą kamerą. Wybrał na chybił trafił mężczyznę, którego poddawał ledwo dostrzegalnym sugestiom i hipnotycznym poleceniom, co odbywało się poza świadomością tego biedaka. W rezultacie pewnej nocy człowiek ten wymalował sprejem napis VINCENT WALDER na murach w dzielnicy przemysłowej. Sto razy. Zabrało mu to kilka godzin.

Miejscowi ochroniarze nie zostali uprzedzeni. Po zatrzymaniu spytali go, co wyprawia, a on nie wiedział, o czym mówią. Nie miał pojęcia, co robił w ciągu kilku ostatnich godzin, i był szczerze zdumiony widokiem plam farby na rękach i na ubraniu.

Mina nie widziała tego programu, ale pamiętała, że wszyscy o nim rozmawiali. Wybuchła nawet awantura, bo wiele osób zgłosiło do programu zastrzeżenia natury etycznej. Natomiast Vincent wyjaśnił, że chodziło mu o zwrócenie uwagi na niebezpieczeństwa wynikające z fanatyzmu. Chciał pokazać, że nawet najbardziej absurdalne pomysły mogą się zakorzenić w naszej podświadomości i kierować naszym postępowaniem, choć tego nie rozumiemy. Napis na murze miał być wyrazem jego uznania dla któregoś z filmów grupy Monty Pythona, a kiedy go spytano o jego treść, odparł, że wydała mu się najmniej kontrowersyjna. Poza tym, dodał, artysta zawsze podpisuje się pod swoimi dziełami. Cytat stał się na kilka miesięcy memem na Instagramie, ale w końcu sprawa ucichła.

Zapach frytury i mięsa z grilla dotarł do nozdrzy Miny na moment przed tym, jak kelner postawił przed Vincentem hamburgera. I miseczki z majonezem i keczupem. Wzdrygnęła się. Każdy mógłby w drodze z kuchni zrobić coś z tymi miseczkami. Okropnie niehigieniczne. Odruchowo sięgnęła do kieszeni po nową butelkę alkożelu, wycisnęła trochę na rękę i wtarła w dłonie.

– Po przedstawieniu potrzebuję węglowodanów – powiedział przepraszająco mentalista. – Inaczej nie potrafię myśleć jasno.

Wziął z talerza frytkę, umoczył w majonezie i włożył do ust. Gdyby umoczył tę samą frytkę jeszcze raz, chyba musiałaby wykreślić go z tej części ludzkości, z którą byłaby gotowa się zadawać. Na szczęście tego nie zrobił. Czyli jest nadzieja.

– I bardzo przepraszam za moje poprzednie zachowanie – dodał. – Wziąłem panią za kogoś innego. Mieliśmy problemy z pewną... nazbyt entuzjastyczną... fanką. Myślałem, że to ona. Nie chciałem być nieuprzejmy.

Mina zbyła to machnięciem ręki. Kelner postawił piwo przed Vincentem, a przed nią colę zero. Wyjęła z kieszeni jednorazową słomkę, ściągnęła z niej papiera i włożyła ją do szklanki. Vincent uniósł jedną brew, ale się nie odezwał.

Mina odczekała, aż kelner odejdzie.

– Ktoś mi podpowiedział, żebym z panem porozmawiała – powiedziała ściszym głosem. – Domyślam się, że wie pan dużo na temat ludzkiej psychiki. I sporo o sztuczkach magicznych. A nam jest potrzebny ktoś znający się na jednym i drugim.

Vincent kiwnął głową i wypił łyk piwa.

– We wczesnej młodości zajmowałem się różnymi trikami – odparł. – Jednak w wieku dwudziestu lat zrozumiałem, że karciane sztuczki to może nie najlepszy sposób na podryw. Więc skończyłem z tym.

– I pomogło? – spytała.

– Niech pani sama oceni. Miesiąc później poznałem moją pierwszą żonę. Od tamtej pory interesuję się tym tylko hobbystycznie. Ale dlaczego interesuje to policję? – Zanim zdążyła odpowiedzieć, Vincent spojrzął na zegarek. – Ojej, bardzo przepraszam – powiedział – à propos żony. Zdaje się, że jest za piętnaście. Muszę zadzwonić do domu. Zawsze rozmawiamy ze sobą o tej porze. Zajmie to tylko minutkę.

Mina zaczęła się niecierpliwić, wolałaby przejść do rzeczy. I tak się na niego naczekała. Koledzy zwykle mówili jej, że jest zbyt natarczywa, a powinna być przyjemniejsza, jeśli chce, żeby ludzie byli do niej przychylnie nastawieni. Miała co do tego wątpliwości. Była policjantką od prawie dziesięciu lat i nie przypominała sobie, żeby pomyślnie zakończenie dochodzenia zależało od jej przyjaznego bądź nieprzyjaznego podejścia. Ale niech będzie.

– Nie ma problemu – odparła, poprawiając się dyskretnie na twardym krześle.

Wpatrzyła się w swoją colę i wyłączyła się, żeby nie słuchać rozmowy Vincenta z żoną. Zamiast tego przywołała w pamięci skrzynię znaną niespełna tydzień temu. Ozdobioną błyszczącymi znaczkami i wyglądającą, jakby miała być elementem iluzjonistycznego przedstawienia w Las Vegas. Wyobraziła sobie, jak asystentka cała w cekinach – bo w takich numerach poniżane są zawsze kobiety – wchodzi do skrzyni, a potem iluzjonista –

oczywiście mężczyzna – wtyka miecze do szpar w skrzyni, podczas gdy publiczność wydaje z siebie jęki przerażenia. Wygooglowała to. Złowrogi wobec kobiet numer iluzjonistyczny nosi nazwę *The sword box*, również *Sword cabinet*, *Sword casket* albo *Sword basket*. Zachwyt ma wiele imion. A pierwotnie to nie była nawet skrzynia, tylko kosz. Z dzieckiem w środku. Koszmar. Najwyraźniej jednak numer ten należał do klasyki. Dzieci i kobiety. Zawsze jako ofiary.

Jednak powodem, dla którego w ten mroźny wieczór tkwiła w knajpie w Gävle, czekając na Vincenta Waldera, nie było znalezienie przez policję amatorskiego rekwizytu do sztuczek scenicznych. Tym powodem było znajdujące się w środku ciało. Tożsamości denatki wciąż nie udało się ustalić. Mina przyjechała do Waldera, ponieważ dochodzenie utknęło. Nic im nie dało sprawdzanie wszelkich możliwych tropów zwyczajnymi metodami. W końcu wraz ze swoją szefową Julią doszła do wniosku, że jeśli mają rozwiązać tę sprawę, pozostają tylko metody niezwykłe.

Pociągnęła łyk przez słomkę i utkwiała spojrzenie w towarzystwie przy barze, bo wszystko było lepsze od obrazów cisnących się jej pod powieki. Wolała ich sobie nie przypominać. Jednak były równie wyraźne jak za pierwszym razem. Mina nieczęsto bywała aż tak nieprzyjemnie poruszona, ale ten przypadek był zupełnie wyjątkowy. Z dwóch ścian skrzyni wystawały rękojeści mieczy, a z przeciwległych czubki ostrzy. W środku na ostrzach zawisała młoda kobieta, wyglądała jak wynaturzona marionetka. Mina zacisnęła powieki. Za późno. Zawsze za późno.

Tożsamości kobiety nie zdołano ustalić i nie było żadnego podejrzanego. Skrzynia z ciałem została przesłana do Mildy Hjort w zakładzie medycyny sądowej, ale Mina nie przypuszczała, żeby udało się znaleźć tam coś istotnego. Klucz do tej zbrodni to sposób działania sprawcy, była o tym głęboko przekonana.

Zdała sobie sprawę, że Vincent jej się przygląda. Widocznie skończył rozmowę z żoną. Mina chrząknęła i odsunęła od siebie obraz pod powiekami.

– Przepraszam, musiałem porozmawiać – odezwał się. – Teraz jestem już do dyspozycji. Po tym, jak pani mówi, domyślam się, że nie jest pani stąd. Pracuje pani w Sztokholmie. A jednak znajduje się pani teraz w Gävle. W późny czwartkowy wieczór. Żeby rozmawiać z mentalistą o sztuczkach magicznych i ludzkiej psychice. Mówiła pani, że ktoś pani to podpowiedział? Bardzo jestem ciekaw, o co chodzi.

Wychylił się do niej, okazując zainteresowanie. Mina postanowiła zwlekać jeszcze przez moment, żeby wciągnąć go jeszcze mocniej.

– Widziałam, że kończąc przedstawienie, powtórzył pan historię z podpisem – powiedziała, starając się przywołać jak najsympatyczniejszy uśmiech. – Artysta

nadal podpisuje się zawsze pod swoim dziełem.

Przez moment wydawał się dezorientowany, ale potem się roześmiał.

– Chodzi pani o gwóźdź? Wiem, to już oklepane. Ale co tu mówić? Od czasu tamtego programu telewizyjnego ludzie oczekują, że będę składał podpis. Nie chcę sprawić im zawodu. W końcu zapłacili za bilet i poświęcili mi swój czas.

Rozluźnił się, co było widać po opuszczonych barkach. O ile przedtem trzymał gardę, teraz ją opuścił. Na jakiś czas.

– Ma pan rację, że nie byłoby mnie tutaj, gdyby nie chodziło o coś ważnego. Mamy do czynienia z przypadkiem, którego nie rozumiem. Do tej pory udało nam się utrzymać go w tajemnicy przed mediami, ale przypuszczalnie jest tylko kwestią czasu, zanim będzie pan o tym mógł przeczytać w gazetach.

Vincent odkroił kawałek hamburgera. Ucieszyło ją, że użył do jedzenia widelca i noża, bo gdyby wziął zatłuszczonego burgera do ręki, musiałyby wyjść.

– Przepraszam – odezwał się, machając widelcem z nabitym kawałkiem mięsa – ale co to ma ze mną wspólnego?

Zamiast odpowiedzieć, Mina wyciągnęła ze skoroszytu beżową kopertę i wyjęła zdjęcia. Poszukała takiego, które nie przedstawiało poszarpanego ciała, a tylko skrzynię, gdzie się znajdowało. Położyła je na wierzchu i spięła spinaczem z pozostałymi. Naprawdę nie musiał ich oglądać.

– Wie pan, co to jest? – spytała, pokazując na zdjęcie.

Jego ręka z widelcem zatrzymała się centymetr przed otwartymi ustami.

– *Sword casket* – odparł. – Zwany również *Sword box*. Ale co... jak... nie rozumiem.

Kawałek hamburgera trafił w końcu do ust.

– Ja też nie – przyznała. – A właściwie nie rozumiem sprawcy. I pomyślałam, że może pan zrozumie. Z uwagi... Właśnie, na swoje umiejętności. Więc chciałabym prosić o pomoc. Powiedzmy w ten sposób: skrzynia nie była pusta. I trzeba było sporo czasu, żeby ją zdjąć z tych mieczy.

Vincent przestał przeżuwać i wyraźnie zbladł.

– Nic nam nie wiadomo na temat ofiary – ciągnęła Mina. – Natomiast co do sprawcy, to wydaje mi się, że jedynym sposobem dotarcia do niego byłoby ustalenie, jak ta osoba: on bądź ona, funkcjonuje psychicznie. Chciałabym móc powiedzieć, że trupy bez kończyn należą do rzadkości, ale tak nie jest. Niestety. Ale w skrzyni z nożami? To coś nowego. Komu mogło przyjść do głowy coś takiego? I *dlaczego*? Tu dochodzimy do pana. Widziałam pana przedstawienie. Wie pan lepiej od kogokolwiek, jak ludzie myślą. A więc proszę mi pomóc zrozumieć, kim jest sprawca.

Vincent odchylił się na krześle i zmarszczył brwi.

– Chyba macie od tego własnych psychologów? – odparł. – Jak ja mógłbym dodać coś, czego oni nie wiedzą? Profilowanie kryminalne to nie jest dziedzina, którą bym się zajmował na co dzień.

Umoczył kilka frytek w majonezie i zjadł.

– Jak już mówiłam, zna się pan zarówno na ludzkiej psychice, jak i na sztuczkach magicznych. A nasz psycholog nie. Poza tym...

Rozejrzała się i ściszyła głos.

– Zresztą z ostatniego profilu, jaki sporządził, wynikało, że sprawca zbrodni jest „mężczyzną w średnim wieku, Grekiem, wywodzącym się z elity towarzyskiej”. W rzeczywistości była to młoda Szwedka, pracownica magazynu.

Vincent zdążył zakryć usta serwetką, żeby ze śmiechu nie wypluć frytek.

– A jednak wygląda to na dość nietypowe postępowanie – zauważył. – O ile wiem, policja nie patrzy łaskawym okiem na to, że do jej pracy wtrącają się cywile. A ja nie mam żadnego przygotowania do profilowania. Sporo się nauczyłem o funkcjonowaniu ludzkiego umysłu, ale moje wnioski opieram na zupełnie podstawowej wiedzy psychologicznej, własnych obserwacjach i statystycznym prawdopodobieństwie.

– A co według pana robi profiler?

– Ale ja się zajmuję rozrywką. Gdybym się pomylił podczas przedstawienia, to nikomu innemu nie stanie się krzywda.

– Poza panem – wtrąciła. – W swoje umiejętności czytania w cudzej głowie wierzy pan na tyle, by zaryzykować przebicie własnej ręki gwoździem.

Uśmiechnął się lekko.

– Czego właściwie nie powinienem robić – odparł. – A więc dobrze. Chociaż nie bardzo rozumiem, na czym miałyby polegać moja rola ani dlaczego przychodzicie z tym do mnie.

– My... – zawahała się. – Status naszego zespołu dochodzeniowego w policji jest dość specyficzny, a chodzi o to, że znajdujemy się poza zwyczajowym schematem organizacyjnym.

– Dlaczego?

– Cóż, nasza szefowa Julia jest córką komendanta głównego i...

– Nepotyzm? – Vincent z rozbawieniem uniósł brew.

Wściekła się i zauważyła, że to dostrzegł.

– A skąd! Julia jest nadzwyczaj kompetentna, ma naturalne zdolności przywódcze i nie zdziwię się, jeśli w przyszłości zostanie komendantem policji. Jednak podobnie jak my wszyscy jest sfrustrowana sztywną i niesprawną organizacją policji. Przekonała kierownictwo do tego, żeby powołać bardziej... niezależny zespół, którym kieruje i w którym działa, ale nastąpiło to raczej mimo tego, że jest córką komendanta głównego.

- Zespół złożony z najlepszych spośród najlepszych?
- Nie – odparła sucho. – To byłaby przesada. *Beggars can't be choosers*¹.
- Specjalny zespół bez specjalnych kompetencji? – stwierdził tonem zdziwienia.

Rozumiała go, chociaż nie bardzo wiedziała, jak to wyjaśnić. Jednak podjęła próbę.

– Każdy z nas posiada jakiś szczególny talent. Ale ludzie są ludźmi i mogą być tysiące powodów, że jednostka policji wypożycza kogoś spośród swoich pracowników.

– A panią dlaczego wypożyczyli? – spytał, uśmiechając się kącikiem ust.

– Naprawdę nie wiem. Znam swoje zalety jako policjantki. Jestem uparta, doświadczona i nie boję się wyjść poza schemat.

– Ale? – odezwał się, sięgając po następną frytkę.

– Ale kolegom w mojej dotychczasowej grupie chyba było trudno się ze mną dogadać. Nie wiem dlaczego. Ja nie miałam z nimi problemów. Nie mam problemów z innymi. To oni mają problem ze mną.

Odchrząknęła i ciągnęła dalej.

– Tak czy inaczej, moja szefowa zgodziła się, żebyśmy zatrudnili do tej sprawy konsultanta z zewnątrz. Zapłata jest skromna, ale wzięłby pan udział w czymś ważnym, co robi różnicę.

– W przeciwieństwie do występów na scenie, tak? – odparł, odsuwając w jej stronę plik zdjęć. – Chyba myli pani serial telewizyjny z rzeczywistością. Przykro mi, że niepotrzebnie pani przyjechała. Proszę zrozumieć: zajmuję się rozrywką. Zabawiam ludzi. „Mistrz Mentalista” to tylko rola, nic poza tym. To, co wykonuję na scenie, zostaje tam. Nie dzieje się naprawdę. Może się wydawać, że mam jakieś wyjątkowe czy specjalne zdolności, jednak prawda jest taka, że każdy może się tego nauczyć. Mówi pani o sporządzaniu profilu psychologicznego. W dodatku mordercy. Nie wiem nic na temat morderców. A są tacy, dla których ta wiedza jest zawodem. Osoby, które... jak pani to ujęła? Robią różnicę.

Nie patrzył jej w oczy. Nie tego się spodziewała. Przypuszczała, że wykręci się brakiem czasu albo ważniejszymi sprawami. Przygotowała się, że będzie musiała apelować do jego ego. Nie przypuszczała, że będzie kłamał.

– Rozumiem – powiedziała, podnosząc się.

Pora na nową strategię.

– W takim razie pomyliłam się. Na scenie wydaje się pan bardzo przekonujący. Przepraszam. To był strzał w ciemno. Tylko zapłacę rachunek i możemy zostawić ten temat. Chyba zostawiłam rachunek w barze koło tych ludzi ze Skanii.

– Z Helsingborga – odparł zmęczonym tonem i znów zaczął dłużyć w hamburgerze. – Są z Helsingborga. Przyjechali na konferencję na temat ochrony przeciwporażeniowej. Mają to napisane na swoich identyfikatorach. Na pani miejscu bym im nie przeszkadzał, ta wysoka kobieta odwrócona do nas tyłem zaczęła właśnie rozmawiać z facetem, to jej pierwsza rozmowa dzisiaj, kiedy nie musi się garbić i pomniejszać, żeby gość odważył się zostać. Tylko szkoda, że ten akurat jest żonaty. Nie rozumiem, dlaczego faceci myślą, że jak tylko zdejmą obręczkę, to mogą udawać singla. Przecież już z daleka widać, że są żonaci. Tamtych dwoje woli, żeby im nie przeszkadzać, a jej jest to wyraźnie potrzebne.

Mina postarała się ukryć uśmiech. Vincent wydawał się nieświadom tego, co powiedział.

– Nie musi pani płacić za rachunek – dodał. – Ja już zapłaciłem.

– Ile stopni prowadzi ze sceny do garderoby w Gävle Teater?

Vincent podniósł wzrok, był zaskoczony.

– Osiem – odparł. – A dlaczego pani pyta?

– Siedem. Chyba że zrobi się dodatkowy krok, żeby wypadła parzysta liczba.

Vincent otworzył usta. Udało jej się przykuć jego uwagę. Nie był przyzwyczajony do tego, że ktoś zauważa jego dziwactwa.

– A więc – powiedziała, podsuwając mu znów zdjęcia. – Ma pan jakiś pomysł?

– Niech będzie – odparł. – Wygrała pani. Na razie.

Górne zdjęcie nieco się obsunęło, odsłaniając to pod spodem. Nie zdążyła go powstrzymać, kiedy je wysunął.

– O cholera! – skrzywił się.

– Właśnie. Słuszna reakcja.

Zmrużył oczy, jakby się chciał stopniowo przyzwyczaić do patrzenia na ten koszmar.

– Co to jest? – spytał, wskazując na umieszczony obok ciała przedmiot w plastikowej torebce.

– Zegarek ofiary. Cyferblat został rozbity ze wskazówkami na trzeciej, wydaje się to zgadzać z chwilą zgonu. Trzecia po południu.

– Nie chodzi o zegarek. Chodzi o to.

Wskazał na kreski na udzie martwej kobiety, znajdowały się zaraz pod miejscem przebicia przez miecz. Dwie dłuższe połączone trzema krótszymi w równej odległości. Minie przypominały drabinkę.

– Nacięcia – wyjaśniła. – Dokonane nożem albo czymś podobnym. Zapewne po to, by sterroryzować ofiarę. Taki przedsmak tego, co nastąpi.

– Wykonano je bardzo starannie – zauważył – i całkiem inaczej niż brutalne przebicie ciała. Nie sędzę, żeby to była jakaś tortura. Myślę, że „drabinka” to symbol.

– Czego?

– Drabina występuje w wielu religiach, w Biblii jest Jakubowa drabina prowadząca do nieba. Freud twierdził, że drabina ma coś wspólnego z samym aktem seksualnym. Proszę nie pytać dlaczego. Jednak myślę, że to jest jeszcze prostsze.

Obrócił zdjęcie o dziewięćdziesiąt stopni i wskazał na rzekomą drabinę, teraz w pozycji leżącej.

Mina zdała sobie sprawę, że nie jest to już drabinka.

Tylko rzymska cyfra trzy.

Chwilę milczeli. Gwar z baru zagłuszył jej myśli.

– Właściwie to nie chciałbym pytać, ale... – odezwał się po chwili.

Skinęła głową.

– Wiem, o co panu chodzi. Jeśli to trójka, to gdzie w takim razie jest jedynka i dwójka?

RANKAMI VINCENT MIAŁ ZAWSZE kłopoty z orientacją. W ciągu tych kilku sekund pomiędzy snem a jawą, kiedy jedynym towarzyszącym mu odczuciem był dotyk prześcieradła, oślepiający promień słoneczny, mdły smak tabletki nasennej. W świecie, w którym się znajdował, nie istniały przestrzeń, miejsce ani poczucie czasu. Kilka sekund błogosławionej próżni, gdzie można tylko egzystować.

Potem z wolna zaczynała napierać rzeczywistość. Brzęk porcelany. Ptak, który stawiał czoła zimie i ćwierkał w karmniku zbudowanym przez Marię. Głos synka Astona, raz głośniejszy, raz cichszy, przechodzący w ciągu kilku sekund od radości do furii.

Vincent usiadł i odsunął kołdrę. Spuścił nogi na podłogę. Najpierw lewą. Włożył spodnie i wczorajszą koszulę, nosił ją tylko wieczorem, potem wrzucił ją do prania. Opuścił górny guzik, jakby go nie było, i zapiął sześć pozostałych. Tak jak trzeba. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego wszystkie koszule mają po siedem guzików. Musiały być projektowane przez psychopatów.

Kiedy wszedł do kuchni, wszyscy siedzieli już przy stole. Wszyscy oprócz Rebecki.

– Idź, powiedz swojej nastolatce, że jest śniadanie – odezwała się do niego Maria, nie patrząc.

Vincent próbował przypomnieć sobie czasy, gdy w słowach, które padały między nimi, nie było mnóstwa niewypowiedzianych opinii i znaczeń. Nie potrafił. To, co było między nimi kiedyś, zostało powoli i niepostrzeżenie podkopane przez życie, codzienność, kłótnie i brak zaufania. Nie sposób określić dokładnie, kiedy tak się stało.

Maria kroїła jabłko dla Astona, który mieszał energicznie swój jogurt. Zielona herbata w stojącym przed nią kubku przypuszczalnie dawno wystygła. Benjamin, z zaspną miną, powoli i starannie obierał ze skorupki dwa jajka. Jeden talerzyk na skorupki, drugi na jajka. Vincent poszedł zapukać do drzwi Rebecki.

– Rebecka? Chodź, zjedz coś! – zawołał.

Z góry znał odpowiedź.

- Nie jestem głodna! – Rozległ się jej głos zza drzwi.
- Musisz coś zjeść. Wychodź stamtąd.

Wrócił do stołu, nie czekając, co odpowie. Siadając, usłyszał, że drzwi się za nim otwierają. I z trzaśnięciem się zamykają. Benjamin spojrzał na Rebeckę ze złością, ale nic nie powiedział.

– Mamoooo! – zawołał nagle Aston. – Te kawałki są za duże! Pokroiłaś mi za duże!

Gwałtownie odsunął miseczkę w stronę Marii, trochę jogurtu rozlało się na stół.

- Wcale nie, kochanie, są takie jak zwykle. Sam zobacz.

Maria wzięła kawałek jabłka w palce upačkane jogurtem. Wyglądała na zirytowaną, ale Aston się roześmiał.

– Mamo, jogurtu nie je się palcami! – powiedział. – Potrzebowałabyś na to ze sto lat!

- Faktycznie, trochę duże – zauważył Vincent, sięgając do miseczki.

Chwycił nóż i zaczął kroić upačkane kawałki jabłek. Zerknął na żonę. Z gniewną miną oblizywała palce. Zastanawiał się, czy powiedzieć coś. Z Marią było tak, że wszystko zależało od odpowiedniego momentu. Czy jest nastawiona na nadawanie, czy na odbiór. Czasem udawało mu się zgadnąć. Czasem nie.

- Nie ma się o co spierać – powiedział cicho. – Herbata ci stygnie.

W odpowiedzi otrzymał mordercze spojrzenie. Najwyraźniej tym razem się nie udało.

– Ja chcę, żeby mi mama pokroiła – oznajmił Aston, uderzając dłonią w stół.
– Mama kroi drobniej.

– Jesteś już taki duży, że mógłbyś sobie sam pokroić to jabłko – powiedział Vincent. – Byłoby po twojemu. A tak jest po naszymu.

- Ale szykowanie śniadania to wasza sprawa – odpowiedział Aston.

- Ale dzieciuch z ciebie – parsknęła na braciszka Rebecka.

Usiadła przy stole, ostentacyjnie krzyżując ręce na piersi.

- Sama jesteś dzieciuch! – krzyknął Aston i aż poczerwieniał ze złości.

– Mam piętnaście lat, a ty osiem, czyli mam prawie dwa razy tyle lat co ty. Więc to ty jesteś dzieciuch.

- Właśnie że nieee!

Aston już się zrywał z krzesła, ale Maria położyła mu rękę na ramieniu.

– Rebecka faktycznie jest starsza od ciebie – powiedziała. – Co znaczy tylko, że musi sobie kroić jabłko sama. I wszystko inne też. A ty nie musisz.

Aston uśmiechnął się szeroko, kiedy Maria mrugnęła porozumiewawczo. Vincent wiedział, że syn uwielbia mamę i nic go tak nie cieszy jak sojusz z nią przeciwko starszemu rodzeństwu.

– A kto by chciał jeść jabłko na śniadanie? – odezwała się Rebecka. – Przecież to chore.

Vincent skupił się na jabłku. Dziewiętnaście kawałków, będzie trzydzieści osiem, jeśli podzieli każdy na pół. Nieparzyste stanie się parzyste. Poczł spokój. Podobała mu się ta symbolika. Nieparzyste przejdzie w parzyste, a nietypowe – w zwyczajne. Można przymknąć oczy. Jest nadzieja. Kochał swoją rodzinę, ale z trudem radził sobie z zamieszaniem, jakie robiła. Lubił porządek. Strukturę. Parzyste liczby.

– Masz, gagatku.

Vincent podsunął miseczkę Astonowi, który przez chwilę wyglądał, jakby się zastanawiał, czy jeszcze chce coś powiedzieć na temat kawałków jabłka. Chyba nie był pewien, co znaczy gagatek; rzucił ojcu harde spojrzenie i jednak zaczął jeść.

– Zjedz kanapkę – nalegała Maria, zwracając się do Rebecki. – Albo jogurt. Cokolwiek, ale zjedz coś.

– U mamy nie muszę jeść śniadania – odpowiedziała Rebecka, wciąż siedząca z rękami skrzyżowanymi na piersi. – Mama do południa nic nie je. Post naprzemienny. Metabolizm ma przerwę, co jest zdrowe, nasze organizmy nie są stworzone do tego, żeby ciągle jeść. Jemy za często. W epoce kamiennej jadło się tylko od czasu do czasu, nawet z kilkudniową przerwą.

– To są słowa twojej mamy, nie twoje. Nie żyjemy dziś w epoce kamiennej. Vincent, powiedz coś swojej córce.

– Kiedy ona ma rację – odparł Vincent, nalewając sobie kawę. – Nasz organizm nie jest dostosowany do współczesnego sposobu żywienia i z nowych badań wynika...

Maria wstała gwałtownie, zabierając swój talerzyk z kromką żytniego chleba z rozsmarowanym awokado. Jak zawsze z ekologiczną posypką z kokosa. W cenie złota, za to o właściwościach przeciwzapalnych, czyli według Marii gwarantującą życie wieczne.

– Boże, gdybyś ty zechciał mnie wesprzeć chociaż raz na jakiś czas – powiedziała. – Przecież Rebecka musi jeść! Jest nastolatką i rośnie, jej ciało musi się rozwijać, dziewczyny tracą miesiączkę, kiedy nie jedzą...

– Fuj – przerwał Benjamin. – Musicie gadać o miesiączce! Przecież ja jem.

– Benjaminie, masz dziewiętnaście lat – zauważył Vincent. – Już nie możesz być taki przeczulony na punkcie płynów ustrojowych.

Benjamin wbił wzrok w ojca. Potem wstał i z resztą jajka w ręku, kręcąc głową, poszedł do swego pokoju.

– Tato, aleś ty aspowaty – skomentowała sucho Rebecka.

– Tak się nie mówi – zwrócił jej uwagę Vincent. – Teraz to się nazywa ASD ².

Maria, ignorując ich, ciągnęła temat.

– I ciągle powołujesz się na to, co robi twoja mama. Rebecko, musisz zrozumieć, że to jest nasz dom i my mamy własne zasady. To, co robicie u Ulriki, nie ma przełożenia na naszą rodzinę.

– Oczywiście, ciociu Mario.

Rebecka również wstała, wzięła z koszyka kromkę chleba i ostentacyjnie pottrzymała w górze, a potem poszła do swojego pokoju. Zatrzasnęła za sobą drzwi.

– Zjadłem! Dzięki, mamó. Idę nakarmić pieski.

Aston szybko odsunął krzesło i pobiegł do akwarium w salonie.

– Muławki! ³ – zawołał za nim Vincent. – Zwane po szwedzku psimi rybkami.

– Przecież wiem – odparł Aston, sypiąc karmę na całą powierzchnię wody w akwarium. – Hau, hau!

Wrócił do kuchni, wziął z blatu iPada i pobiegł do swojego pokoju.

– Masz pięć minut, Aston! – zawołał Vincent. – Potem się ubieramy i jedziemy do szkoły. Pięć minut!

Maria oparła się o zlew i skrzyżowała ramiona na piersi, nieświadomie kopiując Rebeckę.

– „Ciociu Mario”, ona powiedziała to tylko po to, żeby się ze mną drażnić.

Vincent spojrzał na żonę nierozumiejącym wzrokiem.

– Przecież jesteś jej ciocią – odparł. – Skoro ty i jej matka jesteście siostrami. Dlaczego się złościś, że Rebecka to podkreśla? Przecież to się zgadza.

Nie rozumiał, dlaczego Maria wkłada tyle energii w kwestionowanie obiektywnych faktów. Sięgnął po kromkę żytniego chleba i zabrał się do starannego smarowania. Żadnych grudek, aż po brzegi.

– Ale nie o to chodzi – ciągnęła Maria. – Naprawdę nie rozumiesz? Boże, za jakiego ja robota wyszłam! Przecież ona mówi tak, żeby mnie podpuszczać.

Vincent zmarszczył czoło. Naprawdę chciał zrozumieć. Jednak dla niego jej logika była zupełnie niepojęta. Fakt to fakt. Trudno od niego abstrahować. Co innego nasz stosunek do niego.

– A tak właściwie to kogo przedwczoraj zaprosiłeś na kolację? – spytała innym tonem. – Czyżby Ulrikę?

Vincent spojrzał ze zdziwieniem. Właśnie odgryzł kęs kanapki i musiał przeżuć, żeby odpowiedzieć. Dziesięć razy. Prawie jedenaście, ale w ostatniej chwili się powstrzymał.

– Dlaczego miałbym być na kolacji z moją byłą żoną? – spytał.

– Zobaczyłam na koncie obciążenie za rachunek w restauracji. Porównałam z kwitkiem, który miałeś w portfelu. Zaprosiłeś kogoś na kolację w Gävle. Nocowała potem w hotelu? Pieprzyliście się?

Jej głos przeszedł w falset. Vincent zaklął w myślach. Powinien był wiedzieć, że tak będzie. Jak wiele razy przedtem. W każdym momencie mógł się spodziewać jej wybuchu bezpodstawnej zazdrości – ostatnio działo się to coraz częściej. Jedną z wielu rzeczy prowadzących do stopniowego rozpadu ich tak zwanego małżeństwa.

– Zgłosiła się do mnie pewna policjantka – odparł. – Chciała przedyskutować ze mną sprawę morderstwa, nad którą pracuje.

– Ha! – Maria zaśmiała się sztucznie. – Policjantka? Proszę, no to bardzo odpowiednio... Vincent, masz mnie za idiotkę? Nie potrafisz wymyślić nic lepszego? Że niby policjantka chciała z tobą rozmawiać o prowadzonej sprawie? Dlaczego policja miałaby się zgłosić do ciebie w sprawie morderstwa?

– Bo chodzi o...

Powstrzymała go ruchem ręki.

– Potem mi się przyznasz i powiesz, co było dalej, teraz masz odwieźć Astona do szkoły.

– Ale...

Urwał, widząc, że Maria już zmierza do pokoju Astona.

– Aston! – zawołała. – Późno już! Zostaw iPada! Za pięć sekund odjazd.

A potem poszła w głąb domu, w stronę sypialni.

Vincent spojrzał na swoją kanapkę. Policja. Mina. Od czasu ich spotkania ciągle wracał do niej w myślach. Trochę liczył na to, że jeszcze się do niego odezwie. Gryząc kanapkę, jego zęby utworzyły coś w rodzaju murku z masła. Vincent wziął nóż i rozsmarował je, potem odgryzł duży kęs wielkości jednej szóstej kanapki. Sześć części, dobrze. Chociaż teraz zostało pięć. Już nie tak dobrze.

Podczas kilku godzin, jakie ze sobą spędzili, Mina w sposób wręcz niesamowity potrafiła go przejrzeć. Próbował, jak zawsze, odgrywać artystę światowca. Rolę dobrze przećwiczoną, która zapewniała mu skuteczną osłonę podczas rozmów z dziennikarzami i innymi osobami. I zazwyczaj wszyscy ci ludzie byli zadowoleni, bo takiego Vincenta się spodziewali, a więc go nie kwestionowali. Jednak Mina zauważyła, że policzył stopnie na schodach, a potem odnotowała, że poprawił etykietki, przestawiając butelki w garderobie, i jeszcze sama poprawiła. A potem jeszcze podpuściła, żeby przeanalizował gości w barze.

To więcej, niż kiedykolwiek dostrzegły u niego Maria i Ulrika, a z każdą z nich przeżył kilka lat.

Dojadł resztę kanapki, odliczając kolejne części. Trzecią i pierwszą żuł bardzo szybko.

Mina jest na pewno bardzo dobrą policjantką. Jednak chodzi nie tylko o to, że jest uważna, chociaż pochlebiło mu i jednocześnie zaniepokoiło go, że tak łatwo zaobserwowała u niego zachowania, które – jak myślał – dobrze ukrył. Chodzi o to, że on też ją rozumiał. Co wcale nie było takie oczywiste, a Maria podpisałyby się pod tym obiema rękami. Stojąc na scenie, potrafił czytać z twarzy i sprawować kontrolę nad innymi. Znajdując się we własnym świecie, kontrolował wszystkie parametry. Jednak w prawdziwym życiu ludzie wciąż stanowili dla niego zagadkę. Czasem odbierał to w ten sposób, jakby z powodu choroby opuścił lekcje, kiedy akurat w szkole rozdawali narzędzia do gładkiego funkcjonowania społecznego. Dlatego tak często starał się odgrywać rolę artysty światowca. Artysta wie, jak funkcjonować wśród innych ludzi. Vincent często nie miał o tym pojęcia.

– Aston! – zawołał.

Chłopiec wyszedł ze swojego pokoju, wzrok miał lekko nieprzytomny, w jednej ręce trzymał iPada. Prawdopodobnie już zapomniał, że musi iść do szkoły.

– Jazda. Włóż kurtkę i buty.

Vincent wciągnął trykotową bluzę z kapturem, podczas gdy Aston uściskał mamę, która pospieszyła do przedpokoju z jego plecakiem, i dostał od niej całusa.

Jednak Mina nie stanowiła dla niego zagadki. W każdym razie nie takiej jak inni ludzie. Zaobserwował jej rytualne zachowania. Włosy odgarniała z twarzy zawsze prawą ręką. Unikała w możliwie największym stopniu dotykania jakichkolwiek powierzchni. Mignęła mu kostka Rubika znajdująca się w jej kieszeni kurtki. Nie była jaka, bo *speed cube*. Łatwa do kręcenia, którą można smarować.

Więc tak, ciekawie byłoby spotkać się z nią ponownie. Jednocześnie miał nadzieję, że Mina się do niego nie odezwie. Nie miał ochoty uczestniczyć w czymś, co ściągnie na niego koszmary senne. Jego świat i bez tego był kruchy. Nie musiały go zaludniać okaleczone trupy.

WODA W PRYSZNICU była jak zwykle tak gorąca, że prawie parzyła skórę. Jej ciało zaogniło się na czerwono, ale Mina poczuła się czysta i nieskalana, przekonana, że gorąca woda zniszczyła wszelkie znajdujące się na niej mikroorganizmy. Jej ciało było jak nieużywane, gładkie płótno, bez nieczystości, bez brudu. Coś cudownego.

Pod prysznicem czuła się silna. W dni wolne potrafiła stać tam całymi godzinami, jej skóra wyglądała wtedy jak wściekłe czerwony rodzynek. Jednak dziś nie mogła liczyć na więcej niż dziesięć minut. Nie mogła uspokoić myśli.

Vincent Walder. Wciąż nie była pewna, czy jest jej potrzebna jego wiedza, czy okaże się lepszy od policyjnego psychologa. Był to – jak na nią dość niezwykły – strzał w ciemno. Mina nie miała pewności, czy zatrudnienie go nie okaże się jedynie nadmiarowym kosztem finansowym dla policji. Plus uznaniem jej za idiotkę przez pozostałych członków zespołu. Tak czy inaczej, zrobiła to i czas pokaże, czy Vincent im się przyda w jakiś sposób. Inna rzecz, że sam w sobie stanowił niezły orzech do zgryzienia; domyślała się, że Vincent, którego poznała, to tylko część prawdy. Kryło się tam znacznie więcej. Natomiast pewna była jednego: nie życzyła sobie, żeby patrzył na nią z góry. Odnotował jej słomkę jednorazową. Pytanie, co jeszcze zauważył. Ale też nic nie powiedział, nie mogła zakładać, że wie, jak facet myśli. Jeśli jednak będzie mu jej żal albo, jak wszyscy, zacznie jej okazywać współczucie, nie będzie chciała jego pomocy. Niech sobie Julia szuka kogoś innego.

Zakręciła kran, ostrożnie wyszła z wanny i wytarła się starannie czystym ręcznikiem, upranym w dziewięćdziesięciu stopniach przy użyciu zarówno proszku do prania, jak i wybielacza, a pachnącego tą samą czystością jak jej skóra. Wiedziała, że to tylko chwilowe. Gdyby została w domu, wrażenie utrzymałoby się do dwudziestu czterech godzin, ale wystarczy wyjść, a rzeczywistość otuli ją brudnym kocem.

Włożyła ubranie, które przygotowała sobie przed wejściem pod prysznic. Majtki, biały sportowy biustonosz, biały T-shirt, dżinsy i czarne skarpety. Majtki były nowe, te z poprzedniego dnia wyrzuciła. Nie warto prać, żaden wybielacz

nie sprawiłby, żeby poczuła się świeżo w używanych. Znalazła miejsce, gdzie mogła kupować duże partie zwykłych bawełnianych majtek po dziesięć koron za sztukę, cenę przystępną jak na jej potrzeby.

Obudziła się wcześniej, do wyjścia do pracy została jej godzina. Zaburczało jej w brzuchu. Wysunęła szufladę kuchenną i spojrzała na pudełko cienkich jednorazowych rękawiczek. Wiedziała, że ich nie potrzebuje. Nikt nie zachorował śmiertelnie od tego, że wziął do ręki opakowanie jogurtu. Zdawała sobie z tego sprawę. Jednak ścisnęło ją w żołądku na samą myśl, że miałyby otworzyć lodówkę bez jakiegokolwiek osłony między sobą a znajdującym się w środku jedzeniem.

Z westchnieniem włożyła parę rękawiczek, uważając, żeby nie pękły. Koledzy w pracy śmiali się z jej dziwactw, które uznawali za paranoiczne. Jednak kiedy w ostatnie święta wszyscy chorowali na norowirusa, tylko ona była zdrowa. I wtedy jakoś nikt się nie śmiał.

Otworzyła lodówkę, szybko rozważyła wszystkie możliwości i zdecydowała się na twarożek waniliowy. Upewniła się, że opakowanie jest nienaruszone, i ostrożnie je otworzyła. Postawiła na stole, wyjęła czystą łyżeczkę, umyła ją, wzięła buteleczkę spirytusu dezynfekcyjnego, wycisnęła kroplę na łyżeczkę i wtarła starannie aż do ostatniego milimetra. Wyobraziła sobie, jak spirytus zabija wszystko: bakterie, wirusy i wszelkie obrzydliwe cząsteczki, które mogłyby wdrzeć się do jej ciała.

Nie musisz. Jest czysta. Przecież dopiero co ją umyłaś.

Prawdopodobnie tak. Ale skąd miałyby wiedzieć, że usunęła wszystkie bakterie, gdyby jej nie zdezynfekowała? Przecież miała ją włożyć do ust. Na tę myśl znów chwyciła buteleczkę ze spirytusem.

Odstaw ją. To już jest mania. Łyżeczka. Jest. Czysta. Zostaw to.

Jednak nie była w stanie. Poczowała napływające do oczu łzy, jednocześnie zdjęła plastikową zatyczkę i wycisnęła następną kropelkę. Nie chciała, ale musiała. Wcierała spirytus w łyżeczkę, mocno, jakby chciała zrobić w niej dziurę.

Siedząc potem przy stole, długo patrzyła na plastikowy pojemnik z twarożkiem. Starła się nie myśleć o tych wszystkich ludziach, którzy dotykali opakowania, jego zawartości, nie myśleć o miliardach zarazków na ich dłoniach, wmawiała sobie, że zakład produkcyjny na pewno dba o higienę równie skrupulatnie jak ona. Chociaż wątpiła w to. Jednak coś zjeść musi. Dość tego.

Skrzywiła się z obrzydzenia, kiedy podnosiła do ust łyżeczkę, którą wcześniej włożyła do twarożku. Po chwili smak alkożelu znikł, został tylko smak twarożku. Zjadła go i poczuła się dzielna. Każdy zjedzony posiłek odbierała jak zwycięstwo. Wyrzuciła puste opakowanie i rękawiczki, następnie zaparzyła

kawę. Lepiej jej to poszło, chociaż sama nie wiedziała dlaczego. Mimo to kubek zdezynfekowała przed użyciem.

Jeszcze pół godziny do wyjścia. Zdążyła trochę posprzątać. To nie mania, tylko zdrowy rozsądek. Przecież od wczoraj nie sprzątała. Z szafki pod zlewem wyjęła spory kubeł pełen różnych środków czystości i wszelkich akcesoriów. Wszystko tam było. Płyn do mycia okien, szare mydło, soda kaustyczna, płyny do ogólnego czyszczenia, do kuchni, do zmywania, znów alkożel, WC kaczka, druciaki, ścierki kuchenne, ściereczki z mikrofibry, szczotki, gąbki... Artykułów takich jak ścierki i szczotki do sprzątania używała tylko raz, potem je wyrzucała. Ale również w tym przypadku znalazła miejsce, gdzie mogła kupować większe partie po cenach hurtowych. Trzymała zapas kartonów z nowymi rzeczami w małym pokoju, który był jej gabinetem do pracy, ale funkcjonował jako magazynek.

Rozgrzała się i spociła po sprzątaniu. Powąchała się pod pachami i zaraz tego pożałowała. Dziesięć minut do wyjścia. Julia poprosiła ją, żeby jak najszybciej przedstawiła Vincenta pozostałym członkom grupy. Chciała mu dać jeszcze dzień czy dwa, ale powinien się szybko zdeklarować – współpracuje z nimi czy nie. Miała nadzieję, że zechce jej pomóc. Im. Mentalista obudził jej ciekawość, mimo pewnej nieporadności. Spojrzała na zegarek. Wystarczy jej czasu na jeszcze jeden szybki prysznic. I przebranie się w czyste ciuchy.

– MOGĘ WYBRAĆ, co zechcę? – spytał Steffo Törnqvist, wskazując na przedmioty leżące przed nim.

Vincent przytaknął. Zmrużył oczy przed światłem silnych reflektorów studia porannego programu TV4. Powinien się już przyzwycząić, nie był to bynajmniej jego pierwszy raz w tej telewizji. A jednak zawsze go oślepiały te światła.

Siedząc na kanapie, Vincent odchylił się do tyłu i udawał, że jest odprężony. Wciąż próbował nie pamiętać zdjęć pokazanych mu tydzień wcześniej przez policjantkę Minę. Nie kontaktowali się od tamtej pory. Może go skreśliła. W końcu przekonywał ją usilnie, że zupełnie się do tego nie nadaje. Za duża odpowiedzialność. Jednocześnie nie mógł przestać się zastanawiać, jaką Mina ma metodę na kostkę Rubika.

Skup się, Vincent.

Musi być teraz obecny. W końcu jest to transmisja na żywo.

– Co tylko chcesz – potwierdził – byle bez większego zastanowienia. Najważniejsze, żebyś się z tym dobrze czuł.

Steffo spojrział na przedmioty na stole. Kluczyk od samochodu Jenny Strömstedt, drożdżówka, którą Vincent zabrał ze stołu śniadaniowego dla gości, telefon komórkowy Steffa i podniszczony portfel ze zdjęciem Che Guevary. Położył go tam Vincent.

– Wezmę to – powiedział Steffo, biorąc portfel. – Wydaje się... Jakoś mnie cieszy.

– A więc portfel – odezwał się Vincent. – Powiedziałbyś, że wzięłeś go z własnej woli?

– Zdecydowanie – odparł Steffo i zaśmiał się. – Mogłem wziąć, co zechcę.

– Ale ta drożdżówka na przykład wygląda naprawdę przepysznie – wtrąciła Jenny, puszczając oko do widzów.

– Co tylko zechcesz, jasne – powiedział Vincent z lekkim uśmiechem i skinął głową w stronę karteczki leżącej na stole.

Dał ją Steffowi przed eksperymentem. Steffo rozwinął kartkę i spojrział. Zmarszczył się i chrząknął. Poruszył dłonią mikroport, przez co rozległ się

trzask.

– Przeczytaj na głos – powiedziała Jenny.

Steffo oddał jej kartkę. Jenny przeczytała ją głosem prezenterki.

– „Na moje postępowanie będą wpływać po pierwsze własne preferencje i oceny, po drugie oddziaływanie ze strony innych. Jedno w połączeniu z drugim sprawi, że z pewnością sięgającą dziewięćdziesięciu procent wybiorę portfel, chociaż sam nie wiem dlaczego”.

Jenny zerknęła na Steffa, który miał mocno zakłopotaną minę. Vincent wypił łyk wody. Jenny odwróciła się do kamery; stojący za nią kamerzysta kręcił głową ze zdumieniem.

– Dla państwa, którzy dopiero włączyli telewizory: gościem naszego poranka jest ponownie Vincent Walder, który opowie nam, jak działa nasz mózg. A może głównie namąci nam w głowach.

Vincent zobaczył siebie na monitorze obok kamery. Pod monitorem widać było czerwone cyfry, które odliczały czas. 04:14. Zostały mu niecałe cztery minuty, żeby wyjaśnić, jak się to właśnie odbyło. Czwarta, pierwsza i czwarta litera alfabetu to DAD. Tata. Jako tata być może nie powinien był zabierać Astona do programu, ale jego ośmiolatek czuł się chyba dobrze w telewizyjnej kafejce, gdzie były rogaliki i sok pomarańczowy. Może nie spóźnił się za bardzo do szkoły.

– Więc... mówisz, że naszym postępowaniem mogą kierować czynniki, o których nie wiemy? – spytał Steffo. – Jak mógłbym nie znać własnych preferencji i ocen?

Mówił to tonem na granicy wzburzenia. Vincent zmieszał się, by po chwili odzyskać poczucie rzeczywistości.

– Człowiek niekoniecznie jest świadom wszystkich swoich ocen – odparł. – Na przykład mógł mieć w dzieciństwie traumatyczne przeżycia, które sprawiają, że jako dorosły odruchowo reaguje w określony sposób. Nie wie, że postępuje zgodnie z pewnym wzorcem, całkowicie przewidywalnym, jeśli się zna te okoliczności.

– Czy to naprawdę aż takie proste? – wtrąciła Jenny. – Jeśli raz przewrócę się razem z rowerem, chyba nie znaczy to, że zawsze będę nienawidzić jazdy na rowerze?

– Miejmy nadzieję, że nie – zarechotał Steffo – zważywszy na to, jak często wpadasz na meble w studiu. A raz o mało go nie spaliłaś.

Jenny rzuciła mu lodowate spojrzenie. Słowa Steffa odnosiły się do sytuacji, kiedy w programie na żywo piekła ptysie serowe i je spaliła. Zrobił się z tego viral na cały świat.

– Ale jeśli cię potrąci niebieskie audi, to będziesz długo przeżywać stres na widok każdego niebieskiego samochodu – zauważył Vincent. – To nie musi być bardzo dramatyczne, ale wystarczy, że wzbudzi silne emocje.

Została minuta. Powinien się pośpieszyć.

Skupienie.

– Jak kiedy brałem udział w *Let's Dance* – odparł Steffo. – Kurde, ale była zabawa. I emocje. Zwłaszcza w finałowym tańcu. Tak go pamiętam, jakby to było wczoraj.

– Ojej, tylko nie znowu – odezwała się Jenny, przewracając oczami.

Vincent uzmysłowił sobie, że Steffo właśnie mu się podłożył.

– I tu dochodzimy do sedna – powiedział. – Silne pozytywne emocje w połączeniu ze szczegółami twojego wspomnienia. Szczegółami, które wciąż mogą budzić te radosne emocje i dlatego tak cię pociągają. Steffo, czy pamiętasz, w co byłeś ubrany podczas tego tańca?

– Jasne, biały T-shirt z...

Steffo urwał i wybałuszył oczy.

– Żartujesz.

– Co takiego? – spytała Jenny. – Co się dzieje?

Zegar pod monitorem wskazywał 00:10. Dziesięć sekund do reklam. Idealny timing.

– Biały T-shirt z Che Guevarą – powiedział Steffo, podnosząc do góry portfel, żeby kamera mogła zrobić zbliżenie na naklejkę z latynoamerykańskim rewolucjonistą.

– Czyżby to było aż takie proste? – zdumiała się Jenny.

Vincent uśmiechnął się.

– Czasami.

Przerwa reklamowa nastąpiła sekundę po tym, jak wbił wzrok w kamerę. Na telewizji się akurat znał.

– Dzięki za dziś – powiedział z uśmiechem, kładąc dłoń na rękę Steffa. – Portfel możesz zatrzymać.

Wyszedł, kiedy się zaśmiali. Oby Aston zostawił chociaż pół rogalika dla innych gości dzisiejszego programu. Idąc do telewizyjnej kafejki, Vincent włączył komórkę, ściszoną na czas programu. Na ekranie miał wiadomość. Trzy nieodebrane połączenia. Wszystkie od Miny.

ZESZŁA PO WĄSKICH schodach i dotarła do krótkiego korytarzyka. Na jednej ścianie znajdowały się lustra, pod nimi stoliki do charakteryzacji. Korytarzyk prowadził do większego pomieszczenia, gdzie dominowały dwie sofy ze stolikiem, na którym stały salaterki z owocami i słodyczami. Lodówka o przezroczystych drzwiach była zapełniona po brzegi butelkami z wodą gazowaną.

– Wydawało mi się, że mówiłeś o zakazie wstępu na zascenie.

– Dla ludzi, których nie znam, owszem – odparł Vincent. – Co innego dla organów porządkowych.

Mina rozejrzała się po pokoju.

– Przytulnie tutaj – powiedziała. – Myślałam, że garderoby są znacznie bardziej zniszczone, spodziewałam się graffiti na ścianach i zastałego zapachu piwa.

Prawda była taka, że kiedy Vincent zaproponował, by spotkali się w garderobie sali widowiskowej sztokholmskiego hotelu Rival, gdzie występował, w pierwszej chwili chciała odmówić. Wzięła ze sobą plastikowe rękawiczki i inne środki ochronne, w każdym momencie były gotowe do użycia.

– Takie garderoby też są – odparł. – Ale pomyślałem, że będziesz wołała tę. Garderoba w Rivalu należy do najlepszych w mieście. A ponieważ znajdujemy się właściwie *pod* sceną, nie ryzykujemy, że nas ktoś podsłucha.

Miał rację. Garderoba wyglądała zarówno na wysprzątaną, jak i wyremontowaną. Mina westchnęła lekko i usiadła na sofie. Sądząc po tym, jak sprężynowała, Mina należała chyba do pierwszych osób, które na niej siedziały. Nie było tu jeszcze fanek, które by się obściskowały na niej z perkusistą. Nie potrzebowała plastikowej ochrony.

– Fajnie, że się mogłeś spotkać – powiedziała. – Zdecydowałeś się i pomożesz nam? Chciałabym jak najszybciej przedstawić cię zespołowi, najlepiej już jutro. Opowiedziałbyś o nacięciach, które odczytałeś jako numer.

Vincent spojrział na nią ze zdziwieniem.

– Wyście chyba też odczytali je w ten sposób?

– Myśmy... szukali czegoś innego. Przede wszystkim próbowaliśmy zidentyfikować ofiarę, żeby tą drogą dotrzeć do sprawcy. Ale już w Gävle mówiłam ci, że nigdzie nas to nie zaprowadziło. To, że na ofierze miałyby znajdować się jakiś... symbol, według nas zakrawa trochę na science fiction.

Vincent westchnął. Po jego twarzy przeszedł cień, jakby się zamknął w sobie.

– Mówiłem przecież, że prawdopodobnie nie jestem kompetentny w tej sprawie – powiedział. – Science fiction. Hm. Na pewno masz rację. W takim razie nie jestem wam potrzebny. Może coś słodkiego?

Podsunał jej miseczkę ze słodyczami. Mina odnotowała, że wszystkie były w papierkach. Nawet gdyby jacyś ludzie grzebali w tej miseczce brudnymi rękami, słodycze były wciąż chronione przed nimi. Ciekawe, czy Vincent świadomie poprosił o takie słodycze. Czy zdążył ją aż tak zanalizować. Poznać jej fobie. Jeśli jest taki sam jak inni, Mina może w każdej chwili spodziewać się docinków. Ludzie jakby nie mogli się pohamować. Wciąż miała nadzieję, że Vincent nie jest do nich podobny. Mimo to robiło jej się nieprzyjemnie na myśl, że ktoś mógłby czytać w niej jak w otwartej książce.

Na spodzie miseczki leżała dumlekola, jej ulubione toffi w czekoladzie. Niestety za głęboko. Musiałaby dotknąć zbyt wielu cukierków, które przedtem mogły macać inne osoby. Dlatego tylko spojrzała tęsknie i pokręciła głową.

– Nie sądzę, żebyś się mylił co do tych nacięć – powiedziała. – I dlatego chcę, żebyś poznał resztę zespołu. Bo wydaje mi się, że masz rację. Pewnie powinniśmy byli sami zauważyć tę cyfrę. Ale nie zauważyliśmy. Potrzebujemy ciebie.

Vincent patrzył na nią w milczeniu. Mina słyszała gwar publiczności, która zaczęła zapełniać salę znajdującą się nad nimi. Za dwadzieścia minut kurtyna pójdzie w górę i Vincent jako Mistrz Mentalista będzie czarował i szokował ośmiusetosobową publiczność. Będzie delikatnie manipulować myślami ludzi i kierować ich zachowaniem, sprawiając wrażenie, że wszystko kontroluje. Aż trudno było uwierzyć, że siedzący naprzeciw niej mężczyzna to ta sama osoba. Na tej kanapie wydawał się niemal podenerwowany.

– Spróbuję ci pomóc na tyle, na ile umiem – odparł w końcu. – Jednak nie najlepiej mi się funkcjonuje w zespole. Mówię tylko, żebyś wiedziała.

No pewnie, a kto funkcjonuje dobrze? Zespół roboczy to pewna liczba obcych sobie osób, którym wydaje się, że cię znają, skoro pracują w tym samym miejscu. Mina nigdy nie mogła pojąć, dlaczego ludzie upierają się, żeby opowiadać, co robili w weekend albo ile nowych zębów urosło dzieciom. Jakby to mogło kogoś zainteresować.

– Zebranie zaczyna się jutro o dziewiątej w siedzibie policji – powiedziała, podnosząc się. – Będę na ciebie czekała przy głównym wejściu. A teraz zostawię

cię twojej publiczności. Chyba się niecierpliwi.

Vincent zerknął z rozbawieniem na sufit. Widać było, że wrócił Mistrz Mentalista.

– Już ja ich nauczę grzeczności – powiedział. – A właśnie. Proszę.

Sięgnął po coś, co leżało na lodówce, i podał jej. Torebka ulubionych dumlekola. Nieotwarta.

– Do zobaczenia jutro – dodał.

GMACH POLICJI na Polhemsgatan na wyspie Kungsholmen, przy wejściu wyraźnie oznakowany wielkimi tablicami informującymi o jego funkcji. Powietrze było zimne i wilgotne, a niebo szare, jakby miało padać. Śnieg, który zamieni się w deszcz, zanim jeszcze dotrze do ziemi. Marzec to nie był jego ulubiony miesiąc. Klepiąc się po ramionach, żeby nie marznąć, Vincent przyglądał się wchodzącym i wychodzącym z gmachu. Odczuwał zawód za każdym razem, gdy okazywało się, że to nie Mina. Motylki w brzuchu nie chciały się uspokoić. Nie był pewien, czy zostanie mile przyjęty przez policyjny zespół. Czy w ogóle zostanie przyjęty. Myśl, że mógłby zostać odrzucony jeszcze przed przyjęciem, sprawiała, że motylki odbywały coś na kształt tańca wojennego w dolnych partiach jego tułowia.

Wreszcie w szklanych drzwiach pojawiła się Mina i wyszła do niego. Tego dnia miała na sobie czerwony golf. Nie dało się nie zauważyć, że było jej do twarzy w tym zdecydowanym kolorze. Nadawał jakiś dramatyczny rys, mimo jej powściągliwości. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że jego reakcja wynika z przypływu adrenaliny wywołanego przez czerwony kolor, jak dzieje się u ludzi od tysięcy lat. Krew bowiem jest czerwona. Gniewne twarze są czerwone. Wyrzut adrenaliny w organizmie ułatwia ucieczkę.

– Właśnie się zastanawiałam, gdzie się podziewasz – odezwała się. – Dlaczego stoisz na dworze? Zastanawiasz się, czy uciekać?

– Między innymi.

Rzuciła mu rozbawione spojrzenie, co – jak odnotował – spowodowało w jego organizmie silny przypływ zarówno kortyzolu, czyli hormonu stresu, jak i dopaminy z układu nagrody; jednocześnie zwiększyło się wydzielanie serotoniny, dzięki czemu jego mózg pracował na najwyższych obrotach, a poziom testosteronu wzrósł o czterdzieści procent. Kiedy taki koktajl hormonalny dotyka dwóch osób, mówi się, że jest między nimi chemia. Gdyby ludzie wiedzieli, jakie to ściśle określenie. Naukowcy nie wiedzą, dlaczego tak się dzieje, ale zgadzają się co do jego istnienia. Ciekaw był, czy Mina czuje

podobnie. Bo prawda była taka, że wcale nie rozważał ucieczki. Mina była zbyt interesująca.

– Na pewno tysiące razy mówiłeś do nieznanym osobom – zauważyła. – To będzie dokładnie to samo. No, chodź.

Vincent rozglądał się ciekawie, gdy Mina prowadziła go korytarzami gmachu policji. Wyglądały mniej więcej tak, jak się spodziewał. Czyli oficjalnie. Małe pokoje biurowe ze stertami papierów i rzędami segregatorów, potem duża otwarta przestrzeń poprzedzielana przegrodami i kubkami z napisem „Policja” rozstawionymi tu i ówdzie na biurkach.

Doszli do dużych szklanych drzwi, za którymi znajdowała się kotara, i wtedy się zatrzymała. Chwila wahania.

– I co? Jesteś gotów wejść do jaskini lwa?

To będzie jak wykład. Nie ma się czego obawiać. A jeśli się denerwuje, jest to z pewnością tylko wina sweterka Miny. I zwiększonej produkcji kortyzolu.

Zorientował się, co było dla niego niespodzianką, że Mina również się denerwuje. Domyślał się, że dlatego, że nie była stuprocentowo pewna co do roli, jaką odegra Vincent, ani jak się przyczyni do sprawy, nie miała zatem pewności, jak to wyjaśnić swoim kolegom. Całkiem sensowny powód do niepokoju. Jednak nie ma powodu, żeby się oboje denerwowali. Poszukał jakichś uspokajających słów.

– Masz rację, że będzie tak, jakbym wystąpił przed jakąkolwiek grupą ludzi – powiedział. – Cała rzecz polega właściwie na dynamice grupowej. Zintegrowane zespoły zawsze reagują na wprowadzenie do nich nowego elementu. Jednym z tych, którzy poświęcili się studiowaniu pojęcia zespołu, był Freud. Wprowadził on koncept ducha zespołowego, czyli pewnej zbiorowej świadomości pojawiającej się w danej grupie. Teoria głosi, że grupa jest skłonna działać inaczej niż jej poszczególni członkowie.

– A dlaczego mi to mówisz? – spytała, wpatrując się w niego.

– No cóż, podczas przedstawień sam stosuję w dużej mierze psychologię grupową – odparł. – Duża publiczność reaguje inaczej niż pojedynczy widz, korzystam z tego, sterując publicznością w pożądanym kierunku. Przeważnie posiłkuję się teorią pola Kurta Bengtssona, która opiera się na trzech kluczowych zmiennych. Są to: energia, czyli to, co powoduje działanie i je motywuje; napięcie, czyli różnica między celem danej osoby i jej obecnym stanem; oraz fizyczna i psychiczna potrzeba, która wzbudza wewnętrzne napięcie.

Mina nie przestawała wpatrywać się w niego i kręcić głową. Zauważył jednak, że już nie wygląda na zdenerwowaną. Sięgnął po najprostsze ze swoich narzędzi, czyli odwrócenie uwagi. Najczęściej działało. I to w obu kierunkach,

z czego zdał sobie sprawę. Sam również się nieco uspokoił. Nie do końca, ale wystarczająco.

– Jakie są ich stanowiska w zespole?

– To bez znaczenia – odparła krótko. – Struktura organizacyjna policji jest tak zawiła, że musiałabym ci ją długo tłumaczyć, zresztą nasz zespół powstał właśnie po to, żeby zerwać z przyjętą hierarchią. Decyduje Julia, to wszystko, co powinieneś wiedzieć.

Otworzyła drzwi, po czym weszli do środka. Skierowały się na nich trzy pary oczu. Powinny być cztery, ale jedna z obecnych osób właśnie spała.

– Cześć wszystkim. To jest Vincent Walder. Wiem, że Julia was zawiadomiła, że Vincent będzie nam doradzał w niektórych częściach dochodzenia.

Zwarta cisza. Przerwało ją tylko chrapnięcie śpiącego mężczyzny. Vincent odnotował osobliwą sytuację, że ktoś śpi podczas zebrania, i rozważył w myślach możliwe wytłumaczenia. Albo człowiek cierpi na narkolepsję, albo został ojcem. To drugie było statystycznie bardziej prawdopodobne. Ten trop potwierdziła plama na ramieniu po ulaniu się pokarmu.

– Cześć – odezwał się ostrożnie Vincent.

Kątem oka zauważył, że Mina przestępuje nerwowo z nogi na nogę. On sam był już zupełnie spokojny. Poczul się jak w pracy, czyli na swoim terytorium. Powinien tylko znaleźć klucz do każdej z osób siedzących wokół stołu i własne miejsce w dynamice grupowej. A wtedy wszystko będzie dobrze.

– Mam na imię Vincent, jak powiedziała Mina, i jestem mentalistą. Znaczy to, że uczyniłem zawód z tego, by wiedzieć, jak manipulować ludzkim umysłem i zachowaniem. Z oczywistych względów jest to możliwe dopiero wtedy, gdy mniej więcej wiemy, jak funkcjonuje człowiek. Jednak nie jestem psychologiem ani terapeutą, tylko wykorzystuję moją wiedzę, by zapewnić ludziom rozrywkę.

Jeden z obecnych prychnął. Był trochę za bardzo opalony, we włosach miał dyskretne pasemka. Przystojny, ale w sposób zdradzający pewną desperację, że się starzeje. W połączeniu z nader wysokim mniemaniem o sobie. Zdradzała to choćby koszula rozpięta o jeden guzik za daleko, a na widocznej części torsu czerwona wysypka po niedawnej depilacji. Jednak Vincent domyślał się, że bez problemu mógł sprawić, by kobiety utwierdzały go w tym wygórowanym mniemaniu o sobie. Miał pewność siebie człowieka, który jeśli czegoś chce, to nie prosi o pozwolenie. W czym na pewno pomagał mu *pectoralis major*, mięsień piersiowy większy. To nawet zabawne, że w obu przypadkach pociąga nas u płci przeciwnej dobrze rozwinięta klatka piersiowa. Oczywiście z różnych powodów. U kobiet duży biust sygnalizuje zdolność do wykarmienia potomstwa. U mężczyzn zaś potężna pierś zwiastuje siłę i zdolność do obrony. Chyba że to cycki, przez niektórych zwane chipsami. Ale to zupełnie inna sprawa.

– Przepraszam. – Mina przerwała mu te myśli. – Nie przedstawiłam wszystkich.

Zaczęła od gościa z wysokim mniemaniem o sobie, którego wskazała ręką.

– To jest Ruben Höök. Dalej Christer Bengtsson, nasz nestor.

– Aż taki stary nie jestem – mruknął Christer.

Vincent ukrył uśmiech. Dla Christera szklanka była najwyraźniej do połowy pusta. Vincent nie wiedział, jakie rozczarowania wpłynęły na postawę życiową tego starszego policjanta, ale domyślał się, że chodziło o samospełniające się proroctwa. Nie miał obrączki. Czyli zapewne singiel. Pokażny obwód w talii i ciężki oddech pozwalały domyślać się śmieciowej diety i braku ruchu. Innymi słowy, w domu nie ma zwierzęcia, które potrzebuje się wybiegać. Na palcach ślady farby drukarskiej, a więc nadal czyta gazety papierowe zamiast w sieci. Vincent był gotów się założyć, że Christer ma wciąż w domu nieużywany bakelitowy telefon z tarczą.

– Mógłby ktoś obudzić Pedera?

Mina powiedziała to bez żadnej niechęci. Najwyraźniej Peder był lubianym kolegą, co prawdopodobnie oznaczało również, że jest sympatyczną osobą. W przeciwnym razie nie tolerowaliby, że śpi podczas zebrania, choćby miał nie wiadomo ile dzieci w domu.

– Peder! Obudź się!

Ruben trącił go szorstko, Peder, zaspany, wyprostował się na krześle.

– Co? Kto?

– Masz – powiedziała Mina, stawiając przed nim puszkę red bulla.

Podziękował jej spojrzeniem.

– A to jest Peder Jensen.

Wskazując go, Mina nie mogła ukryć uśmiechu.

– Wbrew pozorom nie jestem Duńczykiem – odezwał się Peder zaskakująco żywym tonem. – Mój tata, owszem, ale ja wychowałem się w Brommie ⁴.

Promieniował życzliwością i otwartością, co potwierdzało prawdziwość analizy Vincenta. Jednak przede wszystkim biło od niego zmęczenie.

– Pederowi i jego żonie trzy miesiące temu urodziły się trojaczki – wyjaśniła Mina.

Vincent gwizdnął. Trojaczki. Nie ma się co dziwić, że facet zasypia w pracy.

– No i ja – dodała kobieta siedząca u szczytu stołu. – Julia Hammarsten. Kieruję dochodzeniem i odpowiadam za ten nieduży i barwny zespół, ale działam też w terenie. Jak wszyscy. Nie zwracamy uwagi na stanowiska.

Julia gestykulowała w stronę kolegów.

– Jesteśmy z różnych jednostek w policji, nasz zespół jest swego rodzaju eksperymentem, nie będę udawać, że jest inaczej. Mój ojciec jest, jak ci może

mówiła Mina, komendantem sztokholmskiej policji; wyraził zgodę na utworzenie tego zespołu, wychodząc tym samym naprzeciw potrzebie większej elastyczności w relacjach między poszczególnymi jednostkami. Czyli wiele zależy od tego, czy się wykażemy. Możliwości, jakie stwarza zespół, mogą szybko zniknąć. Powiedziałabym nawet, że ten eksperyment zbliża się do końca, chyba że osiągniemy jakikolwiek postęp w tym dochodzeniu.

To ostatnie powiedziała tonem pełnym rezygnacji, patrząc w ziemię. Jej mowa ciała wskazywała na opanowanie i strzeżenie tego, co prywatne. Otaczała ją aura jakiegoś smutku. Coś jej wyraźnie ciążyło i to coś było przez większość czasu obecne w jej myślach. Vincent był prawie pewien, że chodzi o osobiste sprawy, niemające nic wspólnego z eksperymentem dotyczącym zespołu. Ludzie usiłujący zapanować nad swoim wyrazem twarzy raczej nie pamiętają o jej górnych partiach, dlatego prawdziwe emocje można znaleźć na czole, brwiach, nawet na powiekach. Julia miała pełną kontrolę nad całą twarzą, dlatego Vincent mógł jedynie się domyślać, że ta kobieta nie jest gotowa otworzyć się przed kimkolwiek.

Zdał sobie sprawę, że zapadło milczenie, czekają, żeby coś powiedział. Chrząknął.

– Domyślam się, że w tym miejscu zaczyna się moja rola – odezwał się. – Rozumiem, że moje szczególne umiejętności mogą być pomocne w tej sprawie. Z początku nie byłem tego pewien, ale faktem jest, że wraz z Miną dokonaliśmy pewnych... spostrzeżeń.

Spojrzał na Minę, która przytaknęła.

– Zanim do tego przejdziemy, proponuję krótką przerwę – powiedziała Julia. – Zależy mi na waszej pełnej uwadze. Peder, wypij jeszcze jednego red bulla.

Christerowi, kiedy wstał, strzeliło w kościach. Ruben wyszedł na korytarz, gdzie wykonywał ruchy, jakby boksował się z cieniem, co wyglądało dość komicznie, a Peder wziął nakazaną mu puszkę red bulla, która przy otwieraniu wydała charakterystyczny syk. Świetnie się to wszystko zgadzało z teorią pola Kurta Bengtssona. Pragnienie Vincenta, aby przyciągnąć uwagę Myny, przyczyniło się do powstania napięcia, które z kolei zmotywowało go do działania. Prawda była taka, że chciał, aby go polubiła.

PRZERWA SIĘ SKOŃCZYŁA, więc znów zajęli swoje miejsca. Ruben bębnił niecierpliwie palcami o stół. Nie zaimponował mu najnowszy koncept Julii. Konsultant zewnętrzny bez zawodowego tytułu, który byłby zrozumiały dla innych. Śmiechu warte. Teraz w dodatku ten cały mentalista ma referować sprawę wspólnie z Miną. Jakby był jednym z nich.

Kierownictwo ma rację. Może najlepiej będzie skończyć z tym eksperymentem organizacyjnym, zważywszy na to, że właśnie zeszli na poziom „hokus-pokus”. No cóż, tak to właśnie jest w pracy z kobietami. Co będzie dalej? Julia z Miną ściągną jakieś medium? Jakąś Saidę, która z tarota wywróży im, kto jest mordercą? Śmieszne.

– Widziałem cię w telewizji – powiedział Peder radośnie do Vincenta. – To, co robiłeś, było naprawdę imponujące.

– Ja cię też znam – odezwał się Christer, ale ponurym tonem. – Nie bierz mi tego za złe, ale jesteś chyba iluzjonistą? Czyżbyśmy nie mieli w policji własnego psychologa?

– Jestem mentalistą – poprawił go Vincent. – A co do psychologa, zdaje się, że była jakaś historia z Grekiem, tak?

Julia zakaszłała, a Peder zaczął się śmiać.

– O Boże, Jan wtedy nieźle odjechał... – powiedział, kręcąc głową.

– Chciałbym podkreślić, że nie jestem iluzjonistą – przerwał Vincent – chociaż korzystam z iluzji w mojej pracy. Pewne umiejętności w tej dziedzinie wciąż mam, bo w młodości zajmowałem się prestidigitatorstwem. Jednak dziś mógłbym w najlepszym razie pokazać jakieś sztuczki karciane. Znacznie bardziej interesuje mnie, co się dzieje w głowie człowieka.

– Vincent jest biegły nie tylko w dziedzinie behawiorystyki – odezwała się Mina, patrząc na kolegów. – Jest też dobry w wychwytywaniu pewnych wzorców zachowań.

Skrzyżowała ramiona na piersi, jakby była gotowa bić się w obronie tego całego Vincenta i jego talentów. Z jakiegoś powodu strasznie to rozdrażniło Rubena. Mina doprowadzała go niemal do ostateczności, i to z wielu powodów.

Choćby nonszalancji i obojętności na jego męski szarm, na który inne kobiety tak leciały. Nigdy się z czymś takim nie spotkał. Jego moc polegała na wabieniu kobiet. Wszystkie go kochały, niezależnie od wieku, wyglądu, pochodzenia, politycznych preferencji czy kultury. W życiu Rubena nie było kobiety, której nie udałoby mu się zauroczyć. Z wyjątkiem Miny. Nie polegało to na tym, żeby go nie lubiła. Po prostu była... obojętna. Co w jego świecie pojęć było właściwie jeszcze gorsze.

Z początku próbował ją uwodzić. Używał wszelkich znanych mu sposobów, żeby w końcu uległa. Nie dlatego, żeby go pociągała, bo zupełnie nie była w jego typie, ale żeby się przekonać, że może. To była jego główna siła napędowa. Polowanie. Połów. Seks najczęściej okazywał się nieciekawym, Ruben szybko się nudził i zaczynał szukać kolejnej zdobyczy. Jeśli mógł wybrać, najchętniej szedł do łóżka z bujnymi blondynkami. Ale z każdą zdobyczą doprowadzał rzecz do końca. Była to dla niego sprawa honoru. Nie rozumiał wędkarzy, którzy złowione ryby wrzucają z powrotem do morza. Nie po to natura wymyśliła polowanie.

Jednak Mina była dotąd całkowicie odporna na jego zabiegi.

Dziś złościła go jeszcze bardziej. W tym momencie stała przed białą tablicą, pisała na niej i przyczepiała magnesem zdjęcia. Miała na sobie granatowe dzinsy, czerwony golf, pod którym nie odznaczał się nigdzie biustonosz, włosy spięła w koński ogon, z którego nie wymknął się choćby jeden włos, a jej twarz była czysta bez śladu makijażu. Jej jedyną skazą były czerwone spierzchnięte dłonie, pewnie od ciągłego zmywania całymi litrami alkożelu, który trzymała zawsze na biurku. Ruben zastanawiał się, co jest pod tym schludnym pancerzem. Był mistrzem w odgadywaniu, jaką kobieta nosi bieliznę. Od pierwszego spojrzenia wiedział, jaki to typ. Drogi jedwabny komplet w kolorze macicy perłowej od La Perla? Tania seksowna w czerwieni i koronkach od Victoria's Secret, a może dziwkowata z czarnymi stringami albo figami z otworem w kroku, zamówionymi online na jakimś portalu pornograficznym?

Westchnął. Mina na pewno nosi praktyczne bawełniane majtki.

– Kiedy zaprezentowałam materiały Vincentowi, dokonał on pewnych spostrzeżeń – powiedziała. – Nam akurat te rzeczy umknęły.

Umilkła i zwróciła się do Vincenta, który postąpił krok do przodu.

– Sądząc po tych zdjęciach – odezwał się – powiedziałbym, że rany cięte na ofierze wcale nie były przypadkowe, jak sądzono. Według mnie jest to rzymska cyfra. A konkretnie cyfra trzy.

– Jakież cyfry? – zdziwił się Christer.

Ruben prychnął głośno. Mina zwróciła się do niego.

– Ruben, a co ty sądzisz?

Lodowaty ton, uniesione brwi. Co to za traktowanie z góry! Ruben udał, że nie rozumie.

– O czym?

Odpowiedział bardziej zaczepnie, niż zamierzał. Julia spojrzała na niego z wyrzutem. Peder zaciekawiony wychylił się do przodu, a Christer mruknął coś, czego nie usłyszeli, jednocześnie drapiąc się w siwą, rzadko owłosioną głowę.

– O tym, co powiedział właśnie Vincent, że te skaleczenia zostały zadane z premedytacją i być może są cyfrą. Jaki jest twój zawodowy pogląd na tę kwestię?

Ruben rozłożył ręce. Kompletny nonsens. Westchnął.

– Wydaje mi się naciągane – odparł. – Słyszac odgłos kopyt, domyślamy się, że to koń. Nie zebra. Mieliśmy już do czynienia ze sprawcami, których coś naszło i jeszcze sobie pocięli. To nic nowego.

Vincent wychylił się, stykając czubki palców. Ruben w tym momencie zastanawiał się, czy można być jeszcze bardziej zadufanym w sobie. Zaswędziało go z irytacji całe ciało. Mina naprawdę to kupuje? Kobiety. Nie potrafił ich zrozumieć.

– Właśnie o to chodzi – zauważyła Mina. – Cała reszta została wykonana z wielkim wyrefinowaniem. Ktoś zadał sobie trud zbudowania kopii czegoś, czego użyłby magik. I świadomie zainscenizował klasyczny numer magiczny. Tyle że bez szczęśliwego zakończenia. Potrzebował do tego czasu. Planu. Cierpliwości. Pasuje ci to do kogoś, kogo „naszło, żeby sobie jeszcze pociąć”?

Ruben wzruszył ramionami.

– Taa, no niee, może rzeczywiście...

– Według mnie nie wygląda to na partactwo – powiedziała Julia, po czym wstała i podeszła do tablicy.

Biała La Perla, pomyślał Ruben. W tym przypadku nie zgadywał. Wiedział, jak wygląda jej bielizna i ona sama, bo pięć lat temu wzięli udział w wigilijnym rejsie policji. Julia nawaliła się jak stodoła, a kiedy znaleźli się w jego kabinie, parzyła się z nim jak suka. To było, zanim poznała tego nudziarza Torkela. Ruben mógłby się założyć, że z Torkelem jest tylko pozycja misjonarska. Podczas tamtego rejsu miała okres i kabina wyglądała jak rzeźnia, kiedy rano obudził się już po jej wyjściu. Tak bywa na imprezach. Mógłby to być pewien kłopot, zważywszy na to, że Julia jest jego szefową, ale nigdy nie wrócili do tej historii. A Torkel na pewno nie byłby dla niego żadnym zagrożeniem. Nie żeby Ruben miał ochotę na Julię, ale jednak. Fajnie wiedzieć, że ją zaliczył.

Mina odsunęła się na bok, robiąc dla Julii miejsce przy tablicy. Julia otarła się lekko o jej łokieć i Ruben zauważył, że Mina drgnęła, jakby ją prąd kopnął.

– Te nacięcia są idealnie symetryczne – ciągnęła Julia. – I rzeczywiście wyglądają na zamierzone. Natomiast to nie musi być cyfra. Brakuje jakiegoś kontekstu.

Zwróciła się do Pедера i Christiana. Peder znów zaczął przysypiać.

– Co nam wiadomo na temat miejsca znalezienia zwłok? – spytała Julia.

Milczenie. Ruben rzucił długopisem, który spadł na stół przed Pederem.

– Co takiego? – Peder drgnął i rozejrzał się zaspany.

– Miejsce znalezienia zwłok – powiedziała Mina i powtórzyła pytanie Julii. – Co nam wiadomo na ten temat? Co mówią technicy?

Peder, chcąc dojsć do siebie, wstrząsnął się jak mokry pies i sięgnął po papiery leżące obok.

– Znaleźli ją przed głównym wejściem do Gröna Lund. Jednak najprawdopodobniej nie było to miejsce zbrodni. Za mało krwi, żeby mogła być zamordowana właśnie tam. Skrzynia została tam przywieziona.

– Jacyś świadkowie? – spytał Vincent.

– Akurat w tym miejscu nikt nie mieszka. Wypytaliśmy pracowników z pobliskiego muzeum zespołu Abba i przyległej restauracji. Nikt niczego nie widział.

– I nie wiecie, kim była ofiara?

Christer pokręcił ponuro głową. Co samo w sobie nie musiało nic znaczyć, bo do wszystkiego podchodził w ten sposób.

– Jeszcze nie – odparł. – Sprawdzamy zgłoszenia o zaginionych kobietach w podobnym wieku, ale do tej pory nie znaleźliśmy żadnej, która by pasowała do rysopisu. Istnieje też ryzyko, że nikt nie zgłosił jej zaginięcia. I tu mamy problem. Jeśli nie będzie zgłoszenia, postęp w dochodzeniu będzie praktycznie niemożliwy. Blondynka w wieku około trzydziestu lat. Cóż, znalazłoby się ich trochę.

– Jednak trzeba szukać dalej, przynajmniej ja tak uważam – powiedziała Julia, nie bez ironii. – Nie wolno tracić nadziei tylko dlatego, że kobieta nie miała na przykład charakterystycznego znamienia na podbródku.

Christer wzruszył ramionami z rezygnacją, ale przytaknął, a Julia zwróciła się do zespołu. Przesunęła się do Miny, która – co zauważył Ruben – odsunęła się, żeby Julia znów się o nią nie otarła. Ciekaw był, jak to właściwie wygląda, kiedy Mina się z kimś pieprzy. A może sama się zaspokajała, żeby nie mieć do czynienia z drugą osobą? Albo każe facetowi, żeby się przedtem umył sodą kaustyczną? Może jeszcze żeby włożył szeleszczący szpitalny kombinezon z klapką z przodu na fiuta... Ruben zachichotał głośno, a Julia spojrzała ostro. Szybko zapanował nad mimiką, ale ciągle miał przed oczami obraz Miny

z facetem w plastikowym kombinezonie. Z jakiegoś powodu gość miał twarz Vincenta.

– Christer, będziesz kontynuował starania o ustalenie tożsamości ofiary, Peder, sprawdzisz dokładnie dokumentację od techników, ważny może być każdy szczegół, zresztą sam wiesz. – Julia zwróciła się teraz z wyjaśnieniem do Vincenta. – Peder jest prawdziwym wirtuozem analizy. Listy, na których skontrolowanie my, pozostali śmiertelnicy, potrzebowalibyśmy wielu tygodni, on sprawdza w ułamku tego czasu, niczego nie przepuszczając.

Peder zarumienił się, wyglądał na ucieszonego tym komplementem. A Julia kontynuowała.

– Ruben...

Przerwał jej.

– Zajmę się skrzynią – powiedział.

– Właśnie. Spróbuj dowiedzieć się czegoś na temat producenta, materiału czy konstrukcji, czegokolwiek, co nas naprowadzi na trop tego, kto ją zbudował albo kupił. Sprawdź również pochodzenie mieczy. I przestań się gapić.

Ruben przesunął wzrokiem do góry i spojrzawszy jej w oczy, uśmiechnął się szelmowsko. La Perla.

– Mino, pogadaj z lekarzem sądowym i dowiedz się, ile się tylko da, na temat tych ran ciętych i innych odkryć. Rozmawiałam już z technikiem kryminalistyki na temat uszkodzeń na szkiełku zegarka. Vincent, spróbuj sporządzić profil sprawcy, byłaby to dla nas cenna pomoc.

– Spróbuję, to słowo klucz. Jak już mówiłem, nie jestem zawodowym profilerem, natomiast mam pewien szczególny rodzaj wiedzy, która pozwala mi dokonywać całkiem trafnych spostrzeżeń.

– Tak czy inaczej, będę wdzięczna, jeśli spróbujesz.

Ona naprawdę ma zamiar zlecić tę robotę mentaliście. Dopuścić go do jeszcze bardziej poufnych informacji policyjnych. Tego już za wiele. Ruben nie mógł się pohamować.

– Dość tego – powiedział. – Facet jest estradowcem. Showmanem. A my jesteśmy policjantami. Chyba nie zamierzacie go słuchać?

Tamci umilkli, patrząc na niego. Atmosfera zrobiła się tak gęsta, że można by kroić nożem.

– Dopóki sprawa nie trafi do mediów, mamy nad nimi pewną przewagę, którą musimy wykorzystać – stwierdziła Julia z zaciętym wyrazem twarzy. – Na wszelkie możliwe sposoby.

Ruben rozłożył ręce. Poddał się. Właśnie tak to wygląda, kiedy decydują kobiety.

– Idę do zakładu kryminalistyki – powiedział, wstając. – Tylko najpierw muszę posłać po kryształową kulę.

Peder, Christer i Ruben rozeszli się każdy w swoją stronę, Vincent też musiał iść. Julia została chwilę z Miną. Stały przed tablicą ze zdjęciami. Mina czuła się brudna od samego patrzenia na nie i żałowała, że zostawiła swój płyn dezynfekcyjny na biurku.

– Jak poszło twoim zdaniem? – spytała Julia.

– Nie wiem. – Mina spojrzała na zdjęcia. – Raczej nie było owacji na stojąco.

Potała przedramiona, żeby się pozbyć górnej warstwy martwego naskórka, jaki według jej wiedzy pojawiał o tej porze, czyli pod koniec dnia.

– Sądzisz, że będzie potrafił stworzyć profil? Chyba sam nie był o tym za bardzo przekonany.

Mina wzruszyła ramionami.

– Sądzę, że on ma takie umiejętności, których jeszcze nie dostrzeżliśmy. Zresztą nikogo innego nie mamy, chyba że chcemy ścigać kolejnych Greków. Chciałabym współpracować z Vincentem i dać mu szansę. Tonący brzytwy się chwyta. On jest tą brzytwą.

– Jeśli mamy to ciągnąć, musisz być tego całkowicie pewna. Chyba zauważyłaś, że musicie do tego przekonać kilku sceptyków. No, może z wyjątkiem Pедера. Ale Ruben i Christer nie są gotowi wsiąść do tego pociągu. Ruben nawet nie stoi na peronie.

Julia wyszła, zostawiając ją samą. Mina westchnęła. Zebranie okazało się katastrofą, nie da się tego określić inaczej. Wprawdzie Vincent miał za zadanie stworzyć profil sprawcy, ale Mina nie wierzyła, żeby koledzy byli gotowi przyjąć jego koncepcję. Mimo to nie zamierzała odpuścić tak łatwo. Nie mogła mieć do Vincenta pretensji, że był taki ustępliwy podczas zebrania, przecież sam mówił o dynamice grupowej. O dopasowywaniu się. Cholerny Ruben. Ten to ma uprzedzenia. Mina już po spotkaniu w Rivalu wiedziała, że chce współpracować z Vincentem. Najwyraźniej musi się to jednak odbywać poza zachowawczymi murami budynku policji.

Zatrzymała wzrok na zdjęciach przyczepionych do tablicy. Zakrwawione ciało ofiary wisiało na mieczach przecinających skrzynię. Białe majtki i koszulka. Wolałaby nie patrzeć. Ale musiała. Jeden z mieczy przebił oko ofiary i wyszedł przez potylicę. *Klasyczny numer iluzjonistyczny*. Trzeba być chorym, żeby fascynować się takimi sztuczkami magicznymi.

KVIBILLE 1982

JANE ZESKROBAŁA o kamień glinę z butów. Nie cierpiała tego. Nienawidziła. Wyprowadzka na wieś nie była jej pomysłem. Ale to ona musi się z tym męczyć.

– Jane, no chodź! – wołał z trawnika braciszek. – Bez ciebie nie możemy zacząć tortu!

Mama już przysłała, jak zwykle w jednej z tych swoich sukienek. Mogłaby choć raz kupić sobie jakąś, zamiast sama szyć. Dobrze, że przynajmniej włożyła najładniejszą, tę w lamparcie cętki. Prawdziwa zagadka, jak jej się udało zdobyć taki materiał, ale gdy chodzi o tkaniny, mama miała jakiś nadprzyrodzony zmysł. W tej sukience wyglądała prawie elegancko. Gdyby jeszcze nie była boso. I na dodatek z wiankiem na głowie. Jane westchnęła i udawała, że nie słyszy nawoływań brata.

Niedługo skończy szesnaście lat, z których połowę przeżyła w tym gospodarstwie. Przyjechały tu z mamą jako pierwsze. Latem tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego czwartego roku mama wymówiła pracę w Sztokholmie, gdzie zostały mieszkanie i wszystkie koleżanki Jane. Hipsterskiej mamuśce zachciało się stworzyć komunę przyjaciół w gospodarstwie pod Kvibille w Hallandzie⁵. Niewielkiej wsi, o której nikt by nie słyszał, gdyby nie duży zakład serowarski. A tak wiedza na temat miejscowości zaczynała się i kończyła na serach.

Nie mieszkały nawet w samej Kvibille, tylko poza wsią. Nigdy nie można było się ładnie ubrać, bo wszędzie było błoto.

Przyjrzała się butom. Nie uratuje już ich białych podeszew. Nienawidziła tego.

Jane poszła do domu, zdjęła buty i z westchnieniem wsunęła nogi w kalosze. To, że mama chce tu zostać, nie znaczy, że ona też musi. Zeszła przed dom, gdzie na trawniku czekała mama z braciszkiem.

– Mamo, kiedy się stąd wyprowadzimy? – spytała jak zawsze, siadając na kocu.

– No cześć – powiedziała mama.

– Skoro Erik mógł – mruknęła Jane – to dlaczego nie my?

Erik jako jedyny spośród znajomych mamy faktycznie przyjechał tutaj. Wytrzymał tylko pół roku. Kiedy mama zaszła w ciążę, życie w zgodzie z naturą nie okazało się już takie fajne. No i Erik prysnął. Potem okrężną drogą dotarło do nich, że pracował w banku i wziął tylko kilka miesięcy bezpłatnego urlopu. Innym razem zasłyszały, że był akwizytorem jakiegoś sklepu z artykułami sportowymi. Nie wiedziały, ile w tym prawdy, a mama nawet nie miała pojęcia, gdzie jest Erik.

– Przecież wiesz – odezwała się mama. – Tu na wsi jest trudno o pracę. Za to życie jest tanie. Córeczko, mieszkasz tu równie długo jak przedtem w Sztokholmie. Wcale nie było tam tak, jak zapamiętałaś, stworzyłaś sobie jakiś wymaginowany obraz tamtego życia. Aż tak dobrze nie było. Teraz jest nam lepiej, dużo lepiej. Słowo daję. Nie mówmy już na ten temat. Zjemy tort, ale najpierw braciszek pokaże nam jakieś czary.

Mama wyglądała na znużoną. Taki ma dzień i już. Nie ma co się kłócić. Niech się lepiej cieszy.

– To mój prezent dla mamy – wyjaśnił braciszek.

Miał na sobie płaszcz, który Jane uszyła mu na jego poprzednie urodziny. Już był na niego trochę za mały.

– Ja też mam dla ciebie prezent – powiedziała Jane, podając mamie paczuszkę. – Możesz to otworzyć pod warunkiem, że przeczytasz kartkę.

Pod paczuszką zwisała kartka z nakreślonymi liniami. Jedne były przerywane, inne ciągłe. Tu i ówdzie znajdowały się też fragmenty liter. Mama obróciła ją w rękach.

– Jak ja mam...? – mruknęła zdezorientowana.

Jane westchnęła. To bardzo denerwujące, kiedy komuś nie chce się nawet spróbować.

– Pomyśl o origami – podpowiedziała Jane.

Mama spojrzała na nią, nie rozumiejąc.

– O Boże. No to o papierowych samolocikach.

– Chodzi ci o to, że mam pozaginać? – zaśmiała się mama. – Fajnie!

Wysunąwszy czubek języka, zabrała się do zaginania papierka wzdłuż linii. Jakiś patyk pod kocem uwierał Jane w udo. Próbowwała znaleźć sobie wygodniejszą pozycję, ale bez skutku. Naprawdę nie potrafiła zaprzyjaźnić się z tym miejscem.

– Gotowe – stwierdziła mama i zmartwionym tonem dodała: – Chyba coś mi nie wyszło.

Trzymała przed sobą nieforemną kulkę papieru, na wierzchu widać było pół litery F. Wszyscy troje jednocześnie wybuchnęli śmiechem.

– Tak to by sobie kot poradził – powiedział braciszek, ciągnąc znacząco za maminią sukienkę w cętki.

Jane zaczęła się jeszcze bardziej śmiać.

– Mówiła ci przecież, żeby składać jak papierowy samolocik – dodał. – Na przerywanych liniach zaginasz do wewnątrz, a na ciągłych do zewnątrz.

Mama rozwinęła papier i złożyła go ponownie, zgodnie z tą instrukcją. Powstał idealny sześciokąt z wyraźnym komunikatem po wierzchniej stronie.

– *Serdeczne życzenia* – przeczytała mama. – *Na ostatnie urodziny w Kvibille.*

– Zawsze można mieć nadzieję – powiedziała Jane, kiedy mama spojrzała ze złością.

– Dobra, siostra – odezwał się młodszy brat. – Teraz moja kolej.

Wyciągnął talię kart i zaczął nią wymachiwać, jakby była żywym stworzeniem.

– Zapamiętajcie sobie ten dzień, ósmy lipca godzina trzecia po południu – oznajmił dramatycznym głosem – bo kiedyś będziecie o nim opowiadać wnukom.

– A ty w ogóle wiesz, skąd się biorą wnuki? – Jane przewróciła oczami, ale nie potrafiła powstrzymać uśmiechu.

– Weź tę talię kart – ciągnął, jakby jej w ogóle nie słyszał – potasuj je i wyciągnij jedną kartę. Popatrz na nią, ale nie mów głośno, co to za karta.

Jej młodszy brat miał irytującą cechę: był zawsze pogodny. Czasem zakrawało to o jakąś manię. No cóż, mieszkał tu przez całe swoje siedmioletnie życie i innego nie znał. Byle mógł budować coś z desek w oborze i ćwiczyć sztuczki magiczne, był zadowolony. W dodatku zaczęło mu to naprawdę nieźle wychodzić. Nie jego wina, że zawsze umiała wydedukować, jak to zrobił. Od dzieciństwa radziła sobie z logicznym wnioskowaniem. Po każdym triku potrafiła zrekonstruować go w myślach. Oczywiście zawsze udawała zaskoczenie.

Wzięła talię, potasowała karty, wyjęła jedną, spojrzała i włożyła ją z powrotem do talii. Ósemka trefl. Mimowolnie zauważyła, że karta znalazła się na jedenastym albo dwunastym miejscu w talii.

– Może mam ją jeszcze zapamiętać? – spytała złośliwie.

Brat spojrzał ze złością. Sztuczki magiczne były dla niego sprawą śmiertelnie poważną.

– Mamo, twoja kolej – powiedział, podając talię mamie. – Potasuj i weź kartę, którąkolwiek.

Mama ze skupioną miną potasowała i wyciągnęła kartę.

– Mogłaś wziąć jakąkolwiek, prawda? – spytał poważnie.

– Tak – odparła mama równie poważnie.

Unosząc jedną brew, zrobiła surową minę. Jane nie mogła powstrzymać śmiechu.

– A oto, po pierwsze – braciszek zwrócił się do niej – czy będzie panienka tak miła i powie mi, którą kartę ma na myśli?

– Ja ci dam panienkę – odpowiedziała Jane. – Ale dobrze, spojrzałam na ósemkę trefl. Na pewno tego nie wiesz.

– A co pani trzyma w ręku?

Zrobił gest w stronę mamy, aby pokazała kartę, którą wyciągnęła z talii. Była to ósemka trefl.

– O kurde! – krzyknęła Jane i roześmiała się.

– Jane! – napomniała ją mama.

Nabrał ją ten mały! Coś niesamowitego, ale i wspaniałego. Pewnie udałoby jej się wydedukować, jak to zrobił, ale nie chciało jej się. Nie dzisiaj. Braciszek uklonił się, a mama i siostra oklaskiwały go ochoczo. Jak zawsze.

Wszystko było jak trzeba.

Jednak Jane wiedziała, że dłużej się tak nie da. Tego lata wszystko się zmieni. Musi jeszcze powiedzieć mamie, że po wakacjach już jej tutaj nie będzie. Jej życie będzie wyglądało inaczej. Niedługo powie o tym mamie. Wkrótce.

VINCENT NACHYLIŁ SIĘ, by poprawić sznurowadło w prawym bucie, bo pętelki były większe niż na lewym. Zwykle nie bywał tak niestary, ale miał nieporządek w myślach. Wstał i zdjął kurtkę z wieszaka.

– Naprawdę mówisz, że mam iść tam sama? – spytała Maria z kuchni.

Leżał przed nią otwarty podręcznik z metodyki prowadzenia badań. Maria studiowała stosowane nauki społeczne, ale najwyraźniej nie do końca zdawała sobie sprawę z tego, na czym polega program studiów, i kiedy musiała zaliczać przedmioty teoretyczne, ciągle burczała „Boże, a ja myślałam, że to będzie o ludziach”. Tym razem jednak chodziło o coś innego. Vincent poczuł narastanie guli w żołądku.

– Od miesiący wiedziałeś o siedemdziesiątce taty. Jak na „Mistrza Mentalistę” coś ci kiepsko idzie planowanie. Będziesz musiał zadzwonić do agencji i powiedzieć Umbertowi, żeby ci zmienili datę występu. Został ponad miesiąc, więc raczej nie będzie problemu.

Vincent obejrzał się na żonę siedzącą przy stole kuchennym. Aż jej knykie zbieleły od zaciskania na kubku z herbatą. Tak mało zabrakło, a zdążyłyby wyjść z domu. Nie bardzo chciał zdejmować teraz buty, można wątpić, czy uda mu się jeszcze raz zawiązać je równie symetrycznie. Vincent zagapił się na napis na jej kubku. *Skrząca cipa*. W tym momencie Maria nie skrzyła się za bardzo. Otaczała ją raczej chmura burzowa, a za chwilę ta nawałnica miała ogarnąć jego.

– Przecież wiesz, że nie ja układam kalendarz występów – powiedział w nadziei, że dziś jest dzień, kiedy Maria potrafi zaakceptować najprostsze wyjaśnienie, czyli nawałnica przejdzie bokiem bez jednego uderzenia pioruna.

Palce na *Skrzącej cipie* zacisnęły się jeszcze mocniej, grzebiąc tę nadzieję.

– Masz na myśli... – Tu zrobiła lodowatą pauzę. – Masz na myśli, że gdybyś powiedział agentowi jesienią, kiedy przygotowywali twoją trasę objazdową, że mają nie planować żadnego występu w dniu imprezy u mojego taty, o której wiedziałeś od pół roku, to nie wzięliby tego pod uwagę?

Vincent zamyślił się, framuga drzwi uwierała go w ramię. Śmieszna rzecz. Za pomocą sprytnych uników retorycznych radził sobie z każdym adwersarzem.

Nawet nie traktował tego jak wyzwanie. Tymczasem Maria, mimo jej dość prymitywnych umiejętności analitycznych, zawsze umiała wprawić go w zakłopotanie. Nie działał na nią żaden z jego zwykłych sposobów. Zresztą na Ulrikę też nie działały. Może to u nich rodzinne. W dodatku miała rację. Wprawdzie teraz nie mógł nic poradzić, co nie znaczy, że nie mógł wcześniej.

– Nic mi na to nie powiesz?

W chmurze wokół Marii zaczęło błyskać. Vincent zdał sobie sprawę, że pozwolił sobie na zbyt długi namysł.

– Mogło mi to umknąć – odparł. – Ale cóż, jest jak jest.

Zdał sobie sprawę, że zabrzmiało to za bardzo bez troski. Popęłił wielką gafę. Westchnął, nachylił się, rozwiązał idealnie zawiązane sznurówki i zdjął buty.

– Jest jak jest? – wykrzyknęła jego żona. – Jest jak jest? Jak możesz być taki nieczuły!

Głos przeszedł w falset, wyraźnie zbierało jej się na płacz. To już wolałby uderzenie pioruna. Łzy sprawiały, że czuł się bezbronny. Wszedł do kuchni i usiadł naprzeciw niej. Słoje drewnianego stołu wiły się, przypominając odciski palców. Jego palec wskazujący podążał za łukami i zakrętami.

Zastanawiał się, czy chwycić jej leżącą na stole dłoń z połyskującą obrączką na palcu serdecznym. Już miał to zrobić, kiedy ją cofnęła i położyła na kolanie. Unikał spojrzenia jej w twarz, wiedział, że zobaczy załamane oczy i drżącą dolną wargę.

– Nie miałem zamiaru być nieczuły – powiedział ze wzrokiem wbitym w stół. – Przyznaję, głupio, że nic wtedy nie powiedziałem, ale teraz to niczego nie zmienia. Powinienem był jesienią zaznaczyć w kalendarzu tę siedemdziesiątkę Leifa, ale umknęło mi to. A teraz trzeba się dostosować do okoliczności, choćbyśmy przyznawali, że są nefajne.

Maria pociągnęła nosem. Wypiła duży łyk zielonej herbaty i skrzywiła się. Vincent nie potrafił zrozumieć, po co ją pije, i to litrami, skoro jej nawet nie lubi. Jednak zielona herbata i jej właściwości prozdrowotne były jedną z wielu obsesji Marii. Przez pewien czas próbowała przekonać do niej również jego i dzieci, ale zrobił się taki kocioł, że po kilku dniach dała za wygraną.

Vincent wstał, podszedł do szafki nad blatem i wziął sobie kubek. Stanowił parę do kubka Marii, ale na jego był napis *Fiut z konfetti*. Podobała mu się aliteracja, bawiło go, że spółgłoski jakby się odbijały od siebie, natomiast okropnie mu przeszkadzało, że napis był nierówny. Co za problem utrzymać litery w jednej linii?

Więcej wątpliwości budziła treść, do jego nastolatków jakoś nie trafiało poczucie humoru Marii, która na ich obiekcje odpowiadała długim wywodem, że

seks to nic brzydkiego i wszyscy powinni oswajać się z seksualnymi określeniami. Ironia losu polegała na tym, że jej samej było z tym mocno nieswojo. Teraz była w stanie uprawiać seks tylko przy zgaszonej lampie, zaciągniętych zasłonach i w milczeniu. Dawniej tak nie było. Jednak Vincent nie wierzył, aby mogła głośno wymówić słowo z napisu na jego kubku.

Zdawał sobie sprawę, że ambicja, by o seksie mówić w sposób otwarty, jest słuszna. I nie wymagał, by jego żona stosowała się do zasad, które sama głosi. Irytowało go jednak, że Maria sama wierzy, że tak jest. Stała mu przed oczami inna, tamta Maria, jak leży pod nim spocona i dzika na tym samym stole kuchennym, po którym teraz jego palec podąża za słojami.

Przyszła mu na myśl Mina. Ciekawe, czy policja znalazła jakieś odciski palców na tej skrzyni z mieczami. Pewnie nie. Trzeba będzie przy następnym spotkaniu spytać ją, jak to się odbywa.

– To co mamy zrobić? – spytała Maria. – Z tym przyjęciem.

Vincent wstał, nalał sobie kawy i znów usiadł. Spojrzał jej ostrożnie w twarz. Liczył, że poziom adrenaliny już opadł na tyle, żeby dało się kontynuować rozmowę, ale Maria była aż czerwona ze złości, a z jej rzęs zwisały łzy.

– Nie wiem, co mógłby zrobić Umberto. Siedemset osób kupiło bilety na to przedstawienie. Nie mogę go ani przesunąć, ani odwołać. Musisz sama zdecydować, co zrobisz, czy pójdziesz, czy nie.

Upił trochę kawy. Przypalona.

– Jak to, czy pójdę? – Maria wypiła duży łyk zielonej herbaty. – O co ci chodzi? Dlaczego miałabym nie iść na siedemdziesiątkę własnego ojca?

Głos jej się załamał. Vincent nie wiedział, co odpowiedzieć. Zawsze się kończyło w ten sposób. Wydawało mu się, że to logiczne. On nie może iść na tę imprezę. Maria będzie musiała iść sama z dziećmi. Może mogłaby potraktować to jako czas dla siebie? Zresztą Aston bardzo kocha dziadka. Chyba że Maria postanowi jednak zostać w domu. Ale już wiedział, że go przejrzała.

– Przecież wiesz, co się dzieje, kiedy tam idę – powiedział, chcąc ją uprzedzić.

Poruszył palcami u nóg. Przy tym temacie zawsze mu drętwiały. Zdążył zostawić tę historię za sobą, a to, że inni koniecznie muszą ją wałkować, to już nie jego problem. Rzucali mu ją w twarz na każdym obiedzie rodzinnym.

– Nie chcę, żeby myśleli, że mamy problemy – odparła.

O to chodzi. Oto jądro całej tej dyskusji. Chodziło o zachowanie pozorów. Zwłaszcza przed rodziną. Gdy Vincent zostawił swoją ówczesną żonę dla jej osiem lat młodszej siostry Marii, był to niebywały skandal. Rodzina przyjęła to źle, co zrozumiało, ale jak długo można? Przecież minęło prawie dziesięć lat, mieli sporo czasu, żeby się uspokoić. To nieracjonalne, że po upływie dekady

wciąż mają tyle do powiedzenia w tej sprawie. Nie swojej. Było to nielogiczne, nieuzasadnione i utrudniało im wzajemne stosunki. A więc nie poinformował swego agenta o dacie rodzinnej uroczystości. Czasem najlogiczniej jest po prostu unikać sytuacji, która jest skomplikowana i właśnie nielogiczna.

– Ulrika byłaby zachwycona, gdyby myślała, że mamy problemy – powiedziała Maria. – Od lat wiąże z tym nadzieje. Że się rozejdziemy, że mnie zostawisz, najlepiej dla jakiejś innej. Albo że wrócisz do niej. Powiedziała mi wręcz...

Słyszał to już wiele razy. Wałkowanie przeszłości.

– I co z tego? – przerwał jej. – Ona ma tylko tyle władzy nad tobą, ile jej sama dasz.

– A nad tobą nie ma? Przecież rozmawiacie ze sobą po kilka razy w miesiącu.

– Mario, mam dzieci z twoją siostrą. Ale żyję z tobą.

– Ze mną też masz dziecko – zauważyła.

– Tak, chociaż czasem się zastanawiam, czy Aston wie, że ma tatę. Coś mi się zdaje, że gdyby mógł, ożeniłby się z tobą.

Na twarzy pojawił się cień uśmiechu, ale zaraz zniknął i wróciła poprzednia ponura mina. Otworzyła usta, żeby powiedzieć jeszcze coś.

Vincent nie miał siły słuchać i zapatrzył się na stojący przed nim kubek. Fiut z konfetti składał się z trzynastu liter. Osiem spółgłosek i pięć samogłosek. Trzydzieści osiem pięć. Sięgnął pod stołem do swojej komórki i do Wikipedii wpisał: 1385. W tysiąc trzysta osiemdziesiątym piątym roku król Danii i Norwegii Olaf ogłosił się „dziedzicem” Szwecji. No popatrz. A syn Vincenta, Benjamin, ma na drugie imię Olof. Vincent – kubek – Fiut z konfetti – 1385 – Benjamin – Vincent. Koło się zamknęło. Trochę za późno zorientował się, że Maria właśnie powiedziała coś na temat Benjamin.

– I powiedz swoim nastolatkom, żeby podczas uroczystości nie nazywali mnie ciocią. Ulrika uwielbia, kiedy tak robią.

Łzy obeschły, była teraz raczej zła niż smutna. Z czym lepiej sobie radził.

– Obiecuję, że z nimi porozmawiam – zapewnił Vincent.

Schował telefon do kieszeni i wstał.

– Skoro mowa o opuszczeniu mnie, kiedy powiesz mi coś na temat tej policjantki? – spytała Maria.

Znów usiadł. Jej ton wskazywał, że świadomie poczekała z tym pytaniem do chwili, kiedy opuści gardę.

– Co masz na myśli?

– Wiem, że się spotkaliście w Rivalu – powiedziała.

– Tak, przecież mówiłem, że mam spotkanie – wtrącił.

– Nie przerywaj mi! – parsknęła.

Nowy temat złościł ją nie mniej niż poprzedni.

– Wydajesz się nieobecny, nawet kiedy tu jesteś. O czym tak rozmyślasz, Vincent? Gdzie będziecie się pieprzyć następnym razem? Jak fajnie było ostatnio? Czy może sofy w Rivalu miały nieodpowiednią wysokość do pieprzenia się od tyłu? Pewnie powinnam być wdzięczna, że jej nie przyprowadziłeś do nas do domu. Jeszcze nie.

Usiłując się uspokoić, oparł twarz na dłoniach. Pierwsze sceny zazdrości z jej strony wprawiały go we wściekłość. Ta zazdrość pojawiła się w miarę pogarszania się ich wzajemnych stosunków. Z czasem zapanował nad swoją reakcją, ale wciąż czuł złość. Nie mógł na to nic poradzić. Oskarżenie o zdradę dotyczyło w nim czegoś bardzo pierwotnego, sięgającego głębi jego jestestwa. Zdawał sobie sprawę, że powód zazdrości znajduje się nie w nim, tylko w niej. Jak ze wszystkim innym.

– Kochanie – odezwał się, starając się zapanować nad oddechem i powstrzymać wyrzut adrenaliny. – Jeśli naprawdę w to wierzysz, to masz szczęście, że studiujesz z dwudziestopięciolatkami. Możesz przebierać jak w ulęgałkach. Kiedy ostatnio widziałem się z Miną, odbyło się to w gmachu policji. Mam jej pomóc. Pomóc im. Temu zespołowi w policji. Okaze się to niemożliwe, jeśli za każdym razem będziesz się zachowywać w ten sposób. Jak uważasz, co mam im odpowiedzieć?

Spojrzała na niego i znów pociągnęła nosem.

– Chcę telefon do tego zespołu – powiedziała.

– O Boże... Absolutnie. Numer telefonu. Oczywiście. A teraz muszę iść. Przykro mi z powodu tej gafy z imprezą twojego taty. Jakoś ci to wynagrodzę.

Podniósł się i pogłaskał ją niezdarnie po policzku. Dała się pogłaskać. Vincent wyszedł do przedpokoju, włożył buty i nachylił się, żeby zawiązać sznurowadła. Miał rację. Nie wyszły tak idealnie jak poprzednio. Trudno. Przeszedł prawie cały odcinek przez zaśnieżony trawnik przed domem, a potem się zatrzymał i rozwiązał sznurowadła, żeby zawiązać je jeszcze raz. Jakiś porządek musi być.

MINA PRZESPACEROWAŁA SIĘ do zakładu medycyny sądowej, położonego przy wiadukcie Klaraberg. Nie szła jednak z gmachu policji, bo najpierw odbyła inne spotkanie, bardziej prywatne. Nikt z kolegów nie wiedział, że raz w tygodniu albo w razie pilnej potrzeby chodziła na spotkania AA. Anonimowych Alkoholików. Nie było powodu, żeby o tym wiedzieli, tym bardziej że Mina nie była alkoholiczką. Chodziło o inne uzależnienie. Trwające przez pewien czas. Czas nazbyt długi i kosztujący ją bardzo wiele. Nadal, codziennie płaciła za swój błąd. Jednak była to wyłącznie jej sprawa.

Lokal, w którym odbywały się spotkania, znajdował się na Kungsholmen, tylko pół kilometra od gmachu policji, i właśnie dlatego wolała chodzić do AA zamiast... w to drugie miejsce. Tamto leżało dalej, ale cel, jaki spełniały oba, był w jej przypadku ten sam. Podobnie jak ideologia, na której się opierały. Gdyby idąc tam, spotkała kogoś z pracy, mogłaby powiedzieć, że właśnie wraca do domu. Dziś jednak nie mogła iść prosto do gmachu policji, więc jej spacer musiał być dłuższy.

Chroniąc się przed zimnem, owinęła się mocniej paltem. Nie było powodu, żeby koledzy dowiadywali się czegoś o niej. Mina zupełnie nie rozumiała osób, które szczerze dzielą się w pracy fragmentami swojego prywatnego życia. A jej koledzy nauczyli się po kilku próbach, że nie ma sensu pytać jej o cokolwiek poza pracą.

Weszła po schodach do działu medycznego, zapukała lekko i usłyszała „proszę”. Milda Hjort nawet nie podniosła wzroku na nią, wiedziała, że Mina idzie do niej, a była skupiona na jakimś przedmiocie. Mina stanęła obok i patrzyła z fascynacją na skrzynię ustawioną na sterylnym lśniącem stole.

Sama skrzynia nie była już taka sterylna. Na jasnym drewnie tu i ówdzie widać było krew, włosy, tkankę mózgową i inne szczątki. Mężczyzna około pięćdziesiątki, technik kryminalistyczny, jak przypuszczała Mina, pracował w skupieniu. Badał i dokumentował skrzynię, podczas gdy Milda skoncentrowała się na zwłokach. Zakład medycyny sądowej stanowił jedynie pierwszy przystanek dla skrzyni, która trafiła tu ze względu na to, że wydobył

z niej zwłok bez zniszczenia śladów było trudne. Właściwie powinna od razu zostać przewieziona do Narodowego Centrum Kryminalistycznego w Linköpingu. Technik, jakby słyszał jej myśli, kiwnął głową i odszedł o krok od skrzyni.

– Skończyłem. Dopilnuję, żeby ją odebrali i posłali dalej do Linköpingu.

– Dziękuję – odezwała się Milda, nie odrywając oczu od zwłok.

Technik opuścił pomieszczenie, zostawiając obie kobiety w towarzystwie asystenta Mildy; miał na imię Loke i był niezwykle wycofanym młodym człowiekiem, z którym Mina, przychodząca tu od wielu lat, nigdy nie zamieniła ani jednego słowa.

– Ale masakra – powiedziała Milda. – Nie było łatwo wyjąć ją z tej skrzyni. Ciało stężało w pozycji siedzącej. Wiadomo już, kto to?

– Jeszcze nie. Pracujemy nad tym. W najgorszym razie trzeba będzie to upublicznić w mediach, ale wolałabym jak najdłużej odwlec ten cyrk.

– Rozumiem.

Milda spojrzała znów na skrzynię. Mina obesza ją dookoła, oglądając pod różnymi kątami.

– Widziałas już coś takiego? – spytała.

– Niejedno widziałam – odparła Milda – ale muszę przyznać, że to coś nowego. Twój kolega Ruben też tu był.

– A co technik powiedział o samej skrzyni?

– Niewiele. Sklejka. Zbita gwoździami i sklejona w sześcian. Jest w tej konstrukcji kilka dziwnych szczegółów, jakby od początku miała być zbudowana inaczej. Nic mi one nie mówią. Szpary po bokach dopasowane do szerokości i grubości mieczy. No i same narzędzia zbrodni.

Skinęła głową w stronę drugiego stołu, na którym leżało w szeregu kilka przezroczystych pojemników z plastiku, w każdym znajdował się miecz. Mina przyglądała im się z zaciekawieniem. Wszystkie były takie same. W całości ze stali, z długim ostrzem i rękojeścią zakończoną jelcem, chroniącym dłoń przed zsunięciem się na ostrze. Miecze były zakrwawione i lepiły się od różnych substancji z ciała ofiary. Mina sfotografowała je telefonem. Zarówno w całości, jak i ze szczegółami, na ile te ostatnie były widoczne przez plastik. Następnie wróciła do skrzyni i ją też sfotografowała pod każdym możliwym kątem.

– Czy do przebicia ciała mieczem trzeba dużo siły?

Milda kiwnęła głową.

– Te miecze są wprawdzie niezwykle ostre, jednak przebić ciało tak dokładnie, by trafić w otwór po przeciwnej stronie pudła... Tak, do tego trzeba zarówno siły, jak i precyzji.

– Nie dostrzegasz tu czegoś niezwykłego? Poza niezwykłą całością? Chodzi mi o jakiś szczegół na skrzyni albo na mieczach, który mógłby się przydać?

– Moja działka to zwłoki – odparła Milda. – Co do skrzyni, będziesz mogła zadać więcej pytań po jej zbadaniu w centrum w Linköpingu. A dopóki jej nie zabiorą, możesz ją sama obejrzeć, pod warunkiem że zachowasz ostrożność.

Mina skinęła głową i rozejrzała się po pomieszczeniu. Aż ją dreszcz przeszedł, że tak tu czysto i sterylne. Poza skrzynią nie było żadnych zbędnych przedmiotów, żadnego brudu i bakterii. Zapach środków dezynfekcyjnych drażnił jej nozdrza w sposób absolutnie cudowny. Mogłaby tu zamieszkać. Ściskający jej pierś, stale obecny lęk zelżał, poczuła ciepło rozchodzące się po ciele. Czy tak czują normalni ludzie, chodzący sobie beztrąsko po brudnym świecie za oknem?

Kliknęła na zdjęcia mieczy w telefonie i przyjrzała im się. To było łatwiejsze niż oglądanie w pojemnikach. Ujrawszy pewien szczegół, powiększyła zdjęcie.

– Skąd się wzięły te zadrapania? – spytała.

– Słucham?

– Zadrapania – powtórzyła Mina. – Na rękojeściach.

Milda podeszła do pojemników i nachyliła się, przyglądając się rękojeściom z bliska. Mina wolała nie patrzeć na zwłoki na stole sekcyjnym, ale kątem oka przez cały czas widziała, jak pracuje przy nich Loke.

– Masz rację – przyznała Milda. – Wygląda to tak, jakby przedtem były przymocowane do czegoś. Nie mam pojęcia, co by to mogło być.

– Nie masz żadnej teorii na ten temat?

– Nie. Jak już mówiłam, moja działka to martwe ciała, a nie martwe przedmioty. Będziesz musiała poczekać na raport z Linköpingu.

Mina zrobiła kilka dodatkowych zdjęć skrzyni.

– Zadzwoń, gdybyś znalazła coś, czym bym się mogła pożywić?

– Oczywiście.

– A jak długo zostanie jeszcze skrzynia?

– Do jutra. Co najmniej.

Mina skinęła głową. Milda jest w porządku. Mina przyznawała niechętnie przed sobą, że również Ruben, który miał za zadanie zebrać informacje na temat skrzyni, jest dobry w tym, co robi. W dodatku miał niemal fotograficzną pamięć, co wiele razy okazywało się bezcenną zaletą. Do zespołu trafił nie z powodu niekompetencji, tylko z powodu *Me too*. Jednak i jemu, i Mildzie brakowało istotnego punktu odniesienia. Dla nich ta skrzynia była jedynie narzędziem zbrodni. Vincent mógłby im powiedzieć coś istotnego o jej związku ze sztuczkami magicznymi. Był u nich na zebraniu, a jednak nie spytali go o to. Mimo to Mina polegała bardziej na jego opinii niż na jakichkolwiek

informacjach, które mógłby wydobyć Ruben. Ruben może sobie mówić, co chce, Mina musi sprowadzić Vincenta do pomieszczenia ze skrzynią, zanim ta odjedzie do centrum w Linköpingu.

Odetchnęła głęboko, nacisnęła klamkę i otworzyła powoli drzwi. Właściwie nie miała ochoty opuścić cudownie sterylnego środowiska, by wyjść w ten świat pełen brudu, jednak wiedziała, że nie ma wyboru. Nie da się uniknąć tego syfu.

TAKSOMETR ZATRZYMAŁ się na sumie 437 koron.

– Przepraszam – Vincent nachylił się w stronę kierowcy – mógłby pan podjechać jeszcze kilka metrów?

– Przecież stanąłem dokładnie przed wejściem – odezwał się lekko opryskliwie kierowca.

– Wiem, znakomicie. Dzięki. Chciałbym jednak, żeby pan przejechał jeszcze kilka metrów.

Kierowca, który według legitymacji przy przedniej szybie miał na imię Yusef, pokręcił głową, ale zrobił, o co go prosił Vincent. Podjechał kilka metrów. Kiedy taksometr wskazał 444 korony, Vincent kazał mu się zatrzymać. Yusef wzruszył ramionami i znów pokręcił głową, ale stanął.

– Pan jest klientem, a ja robię, co pan sobie życzy. Tak lepiej?

– Tak jest znakomicie – odparł Vincent i zapłacił.

Wysiadł i musiał zrobić spory krok, żeby nie wejść w kałużę z błota pośniegowego.

Za szklanymi drzwiami mignęła mu Mina. Przywitała go skinieniem. Bez podawania ręki. Pewnie nie wzięła ze sobą nawilżanych chusteczek.

– Dzięki, że tak szybko przyjechałeś.

– To oczywiste – odparł szczerze. – Gdzie ta skrzynia? – spytał, rozglądając się. – Czy to nie Ruben miał ją obejrzeć?

– Już to zrobił. Skrzynia stoi w tej chwili na piętrze u Mildy, to znaczy naszej lekarki sądowej, i została wstępnie zbadana przez technika kryminalistyki. Potem zostanie wysłana do Linköpingu, gdzie będzie poddana gruntownej analizie, ale zanim to nastąpi, mamy trochę czasu. Chciałam, żebyś ją zobaczył, bo pewnie mógłbyś ją ocenić z innej perspektywy. Może uzyskałbyś jakieś informacje do profilu, o który cię poprosiła Julia.

– Nie byłem pewien, czy mówiła poważnie.

Pokonali parę pięter schodami. Vincent zerkał na Minę, dawno nie poznał tak interesującej osoby, niezależnie od okoliczności, w tym przypadku okaleczonych zwłok.

– Tam – powiedziała.

Weszli do długiego korytarza. Mina szła pierwsza, Vincent za nią, wiodąc wzrokiem za jej czarnym końskim ogonem, który majtał się w prawo i w lewo, jakby chciał go zahipnotyzować. Otworzyła drzwi na końcu, po czym weszli do dużego sterylne go pomieszczenia. Było czyste, puste i wyglądało dokładnie tak jak w telewizji. W głębi stała skrzynia.

Vincent stanął jak wryty. Dawno nie widział takiej w realu. To zupełnie co innego, niż oglądać ją na zdjęciach Miny. Obudziła wspomnienia, choć myślał, że one zniknęły w jego niepamięci. Przecież powinien zdawać sobie sprawę, jak jest, bo jak mało kto wiedział wszystko o zdolnościach umysłu do przechowywania informacji. Nic nie znika. Tkwi ukryte w jakichś zakamarkach mózgu i tylko czeka na możliwość wychynięcia w najmniej oczekiwanym momencie. Jednak nie sądził, że akurat te wspomnienia będą musiały do niego wrócić.

– Na zdjęciach wyglądała na mniejszą – powiedział w zamyśleniu. – Choć to również jest częścią iluzji. Skrzynia powinna wyglądać na mniejszą niż w rzeczywistości, żeby wydawało się niemożliwe, by asystentka uniknęła mieczy. Chociaż w tym przypadku to nie miało znaczenia.

Skrzynia stała na dolnej półce, Vincent przykucnął przed nią.

– Mogę jej dotknąć? Czy zniszczę w ten sposób jakieś dowody?

– Zależy, czy chcesz, żeby podczas jej badania znaleźli twoje odciski palców.

– Punkt dla ciebie. – Cofnął się o krok. – W każdym razie ktoś dobrze to zdokumentował. Skrzynia z mieczami zalicza się do najdawniejszych numerów iluzjonistycznych. Pułkownik Stodare przedstawił go w londyńskiej Egyptian Hall w 1865 roku, a rok później opublikował opis sztuczki. Chociaż w jego wersji był to kosz, nie skrzynia, która pojawiła się później. Kurde, ależ to musi być paskudne uczucie, kiedy człowiek ma wejść do czegoś takiego.

– Nie lubisz ciasnych pomieszczeń?

– Można tak powiedzieć. Mam to po mamie. Sama myśl przyprawia mnie o dreszcze.

Włożył głowę do skrzyni, żeby przyjrzeć się otworom na miecze, rozmieszczonym w zupełnie złych miejscach. To znaczy przy założeniu, że asystentka ma wyjść z tego cało.

– Niektórzy kończą sztuczkę na pokazaniu pustej skrzyni – powiedział. – A asystentka pojawia się nagle wśród publiczności. Nigdy tego nie rozumiałem.

Vincent obawiał się, że w skrzyni będzie śmierdziało. Płynami ustrojowymi. Krwią, potem, może moczem. Jednak była zupełnie wolna od zapachów. Mimo dużych plam krwi, które trwale zabarwiły surowe drewno.

– Nie rozumiem, wydaje się to jeszcze lepszą sztuczką? – odezwała się Mina.

– Zastanów się. Iluzja polega na tym, że asystentka zostaje przebita mieczami, a jednak żyje. Ale jeśli pokazuje się pustą skrzynię, bo asystentka jest gdzie indziej, to pierwszy efekt zostaje zniweczony. Nigdy nie było jej w tej skrzyni. Czyli miecze były niepotrzebne. Z tą skrzynią, rzecz jasna, nie dałoby się tego zrobić – powiedział, wskazując na tylną ściankę, gdzie normalnie powinna się znajdować tajna kłapa. – Tu nie ma możliwości, żeby się wydostać.

Podniósł się i rozprostował nogi.

– Trzeba aż tak planować? – spytała Mina. – Przecież to tylko sztuczka magiczna.

– No właśnie. Kiedy się nie planuje, jest to „tylko” sztuczka magiczna. Fajnie się ją ogląda, ale człowiek nie jest pewien, czy zrozumiał, na czym polegała. Miecze?

– Tam są – odparła, wskazując kilka przezroczystych plastikowych cylindrów obok skrzyni. – Leżą w tych pojemnikach, żeby krew mogła zaschnąć. Zresztą głupio by było, gdyby się o nie ktoś skaleczył. Zostaną również wysłane do NCK w celu zabezpieczenia DNA i odcisków palców. Ale to może potrwać.

– NCK? spytał Vincent.

– Narodowe Centrum Kryminalistyczne. W Linköpingu – wyjaśniła Mina.

– Nie sądzę, żeby to wiele dało – stwierdził, biorąc do ręki jeden z cylindrów. – To Condor Grosse Messer. Z początku myślałem, że może być Falchion, ostrza są podobne, ale rękojeść Messera ma strukturę łuski. Spójrz.

Podsunał jej, żeby lepiej widziała. Mina pochyliła się, przyjrzała się uważnie i przytaknęła. A potem popatrzyła na Vincenta.

– A mogę spytać, skąd ty to wiesz? Iluzje to jedno, bo to twój świat, by tak rzec, ale to?

Roześmiał się.

– Miałem w młodości okres larpowania ⁶.

– Larpowania?

– Chodzi o RPG, czyli gry fabularne. Byłem w grupie, która się zbierała, żeby odgrywać sytuacje ze średniowiecza.

– Ojej, to raczej nie zaliczyłeś wtedy wielu panienek.

Vincent zaśmiał się na tę nieoczekiwaną uwagę. Śmiech odbił się nieprzyjemnym echem od ścian sterylnego pomieszczenia.

– I tak więcej od tych, którzy bawili się mieczami z gąbki. Zresztą jaka kobieta oprze się dzielnemu rycerzowi?

– Prawda, wyobrażam sobie, jaki byłeś dzielny – odpowiedziała, a Vincent poczuł, że się czerwieni. – No dobra, czyli to jest...?

– Condor Grosse Messer. Waży około dwóch kilogramów. Ostrze zrobione ze stali warstwowej, zwanej węglową 1075, wyprodukowane w Ekwadorze.

Rękojeść z orzesznika i orzecha włoskiego.

– Okej, to przeszedłeś od larpowania do żywej Wikipedii. Zostawmy to... a dlaczego powiedziałeś, że nie za wiele nam to da?

Victor zważył w dłoni cylinder. Poczuł ciężar miecza. Następnie odłożył go z powrotem na półkę obok pozostałych, takich samych mieczy w cylindrach.

– Ten miecz nie jest pod żadnym względem niezwykły. Na rynku jest ich mnóstwo. Oprócz tego jest rynek używanych, te mogły być właśnie używane, więc byłoby trudno dotrzeć do konkretnego kupującego albo sprzedającego. Człowiek, który zrobił coś tak wymyślnego, raczej nie potknie się na mieczu.

– Fajnie. Długo czekałeś, żeby móc to powiedzieć? – Mina uśmiechnęła się kącikiem ust.

– Najwyraźniej trochę za długo.

– A co do skrzyni? Co o niej sądzisz? Czy trzeba fachowej wiedzy, żeby zbudować taką?

Vincent znów ukucnął i zajrzał, wkładając głowę do środka.

– Powiedziałbym, że skrzynia jest lepszym tropem. Bo ile osób w ogóle wie, co to jest?

– Myślisz, że to własna konstrukcja? Albo czy można coś takiego zamówić?

Strześliło mu w kolanach, kiedy wstał.

– Możliwe jest jedno i drugie – odparł. – Jeśli się ją zamawia, to i tak trzeba dostosować wymiary do osoby, która ma do niej wejść. Można też kupić gotowy projekt, jeśli się chce zbudować ją samemu. Trzeba tylko wiedzieć, gdzie szukać.

– Ciekawe, jak taki projekt wygląda – zauważyła Mina.

– Jak powiedziałem, ten, kto zbudował tę skrzynię, musiał od czegoś zacząć, czyli skontaktować się z kimś z branży. Możliwe nawet, że została wykonana na zamówienie. Jeśli chcesz, zacznę od tego, że sprawdzę znanych mi producentów. Nie jest ich wielu. Stąd jadę na spotkanie z moim agentem, ale potem mogę się temu przyjrzeć.

– Świetnie. – Mina energicznie kiwnęła głową, mając końskim ogonem. – Przyda się każda pomoc.

Ruszyli do drzwi.

– Mam nadzieję, że słusznie pomyślałam, że to ci dostarczy trochę materiału do sporządzenia profilu sprawcy – powiedziała.

Vincent zatrzymał się i odwrócił do niej.

– Aby skonstruować taką skrzynię, potrzeba czasu – powiedział. – Czyli jest to człowiek, który zaplanował to całkiem na zimno. Ale jest w tym taka agresja, że musi to być czyn wynikający z wielkich emocji. Czyli jest tu konflikt postaw, który mnie dezorientuje. Boję się powiedzieć coś za wcześnie, żeby diagnoza sprawcy nie okazała się grubo ciosana, muszę to wszystko najpierw przetrawić.

A tak w ogóle, zrobiliście jakieś postępy, gdy chodzi o te kreski nacięte na ofierze? O tę cyfrę na jej ciele?

– Nie, jeszcze nie. Poprosiłam lekarzkę sądową, żeby w swoich zapiskach sprawdziła, czy było więcej takich przypadków. Choć nie wiadomo, czy to rzeczywiście cyfra. Na razie to tylko hipoteza. Twoja hipoteza.

– Chyba warto ją sprawdzić. Rozmyślałem o tym i nadal uważam, że cyfra to najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie. Choćby Julia się ze mną nie zgadzała. Może to wystarczy do znalezienia mordercy i nie musicie czekać na jego profil psychologiczny ode mnie.

Drzwi otworzyły się gwałtownie, zanim do nich doszli, musieli się cofnąć, żeby nie dostać nimi w twarz. Stał w nich Ruben, na widok Vincenta i Miny zachmurzył się.

– Skąd on się tu wziął? – spytał opryskliwie, patrząc ze złością na Vincenta.

– Polecenie Julii. Robię tylko, co mi kazała – odparła Mina, wzruszając ramionami z możliwie największą nonszalancją.

Po wyjściu na korytarz Vincent przyjrzał się Minie z boku.

– Skąd to napięcie, które wyczułem? – spytał.

– Pozwól, że powiem tak. Wprawdzie Julia poprosiła cię o przygotowanie profilu sprawcy, jednak odbędzie się to poza rutynowym dochodzeniem, żeby nie wywoływać niepokoju ani konfliktów w zespole. Prosiła mnie, żebym się tobą „zajęła”, tak, to cytat. Z czasem będziemy również musieli włączyć do sprawy Jana Bergsvika, policyjnego psychologa. – Skrzywiła się. – Julia zgodziła się, żebym cię zaangażowała, ale sama jest do tego tylko częściowo przekonana. Co do pozostałych... Dla nich nie jesteś częścią zespołu. Vincent, naprawdę zależy mi na twojej pomocy, ale obawiam się, że cię nie posłuchają. A już na pewno nie posłucha Ruben. Będziemy musieli załatwić to między sobą.

– Może spróbuję uwieść ich moją czarującą osobowością? – zasugerował.

– Jasne, poprzednim razem świetnie ci poszło – zauważyła sucho.

Vincent nie poczuł się dotknięty. Kontakty interpersonalne nie przychodziły mu tak łatwo jak innym. Musiał świadomie się ich uczyć i właśnie dlatego był taki dobry w sterowaniu ludźmi na scenie. Dowiedział się dokładnie, jak się to robi. Jednak działało to najczęściej tylko na scenie, na co najlepszym przykładem była jego krnąbrna rodzina.

W pewnym sensie ulżyło mu, że Mina to wie. Tak było łatwiej.

– A ten profil, jak ci z nim idzie?

– Nie skończyłem jeszcze analizy, wciąż jest za dużo zmiennych. Jak już mówiłem, dostrzegam elementy zarówno organizacji, jak i dezorganizacji. U jednej i tej samej osoby. To niezwykle. Nie niemożliwe, ale niezwykle.

Mina zmarszczyła brwi.

– Wybacz – powiedział. – Potem wytłumaczę ci to jaśniej. Tylko najpierw muszę pozbierać myśli. I dziękuję, że mogłem obejrzeć skrzynię. Sporo mi to dało. Ale à propos analizy, wiesz, że Ruben chciałby się z tobą przespać, co? Jego mowa ciała, kiedy się pochylał w twoją stronę, i rozszerzenie źrenic...

Mina mu przerwała.

– Boże, Vincent. Nie trzeba być mentalistą, żeby to zauważyć. Ruben chciałby się przespać z każdą kobietą.

– I mógłby, gdyby brał udział w średniowiecznym larpowaniu. Chyba że jest takim facetem, który bawi się mieczami z gąbki. Może jest?

Śmiech Miny odbił się echem w korytarzu. Fajny odgłos, taki odgłos, który sprawia radość. Vincent nawet nie liczył, ile razy się zaśmiała.

TO PRAWIE NIEMOŻLIWE. Wiedział o tym. Christer Bengtsson westchnął, patrząc na komputer. Sprawdzanie raportów o wszystkich osobach zaginionych to zadanie mozolne i nudne. Można by się zdziwić, ile osób ginie co roku w Szwecji. Większość z nich prawdopodobnie z własnej woli.

Wiek ofiary ocenili na między dwadzieścia a trzydzieści lat. Jeśli określenie wieku żywego człowieka bywa trudne, w przypadku zmarłego jest to jeszcze trudniejsze. Christer spojrział na zdjęcie, które dostał od lekarki sądowej, żeby móc je porównać ze zdjęciami zaginionych. Włosy blond do ramion, niebieskie oczy. Musiała być ładna, choć o dość pospolitym typie urody. Przeniósł wzrok z powrotem na ekran komputera i wrócił do przeglądania. Było sporo takich, które pasowały do ogólnego rysopisu, w Szwecji jest sporo niebieskookich blondynek. Jednak według niego żadna z nich nie przypominała osoby na zdjęciu, które miał na biurku.

On sam wchodził zawsze w związki z ciemnowłosymi kobietami. Nie były zbyt liczne. Zapewne chodziło tu o jakąś freudowską inklinację, bo świętej pamięci mama miała włosy czarne jak kruk. Jednak Christer wciąż był sam. Żadna z kobiet, z którymi próbował wspólnego życia, nie została przy nim. Nawet go to nie dziwiło. Od samego początku związku wiedział, że prędzej czy później się skończy. Nigdy nie poczuł, że to właśnie to. Miłość nie jest wieczna. Zresztą nic nie jest wieczne. Poza pogodą. Chociaż jeśli wierzyć tej przeklętej Grecie Thunberg, nawet pogoda nie trwa wiecznie.

Wrócił do wpatrywania się w monitor. Sięgnął do filiżanki i upił łyk kawy, by ją zaraz wypluć, krzywiąc się. Kurde, zimne paskudztwo. Patrzył na jedną twarz po drugiej. Wyglądały na młode i pełne nadziei. Życie wycisnie z nich tę nadzieję, jak zresztą ze wszystkich, to tylko kwestia czasu. Jak dobrze, że mama go od początku nauczyła, że życie to jedno pasmo rozczarowań i nieukojonego smutku. Gdyby ludzie wiedzieli o tym odpowiednio wcześniej, często byłoby im łatwiej. Tyle jest osób wypalonych albo z depresją. Christer był przekonany, że bierze się to z przesadnych oczekiwań, co prowadzi do nieuniknionych rozczarowań.

Twarze na monitorze przesuwały się. Wziął filiżankę, bezmyślnie upił łyk i zaklął, gdy znów poczuł, że jest zimna. Wypluł ją i spojrzał ponuro na filiżankę. Życie. Kurwa. Życie.

VINCENT POPRAWIŁ ciasteczka na talerzu, żeby powstały dwa rzędy po cztery w każdym. Siedział właśnie u swojego agenta Umberta, ShowLife Productions na Strandvägen, i usiłował odepchnąć od siebie obrazy skrzyni. Po wyjściu z zakładu medycyny sądowej miał ją wciąż pod powiekami. Skrzynia z koszmarnymi otworami. Obok Mina. Z tym końskim ogonem.

Skupienie.

Na początku współpracy z ShowLife na stoliku stały zawsze wykwintne ciasteczka, pistacjowe biscotti i kawałki ciemnej czekolady. Jednak w miarę upływu lat agent nie musiał mu już imponować, przynajmniej nie na tak powierzchownym poziomie. Fakt, że talerz znów zdobiły domowe ciasteczka z Tösse, nie zwiastował niczego dobrego. Nie dlatego, żeby ciasteczka z Tösse były złe, ale dlatego, że Umberto najwyraźniej miał do niego sprawę.

Umberto przyjechał do Szwecji piętnaście lat temu, ale nadal mówił z wyraźnym włoskim akcentem. Pewnie nie bez powodu sądził, że wydaje się przez to bardziej elegancki. Vincent wolałby jednak, żeby Umberto częstował markizami, skoro już musiały być kruche ciasteczka. Wprawdzie te domowe były lepsze w smaku, za to markizy były produkowane maszynowo i w związku z tym równej wielkości. Żadna się nie odróżniała, nie odstawała, wszystkie były takie same. I łatwiejsze do ułożenia w rzędkie.

– Znów się pojawiła?

Vincent pokręcił głową.

– Nie, na ostatnich dwóch przedstawieniach jej nie było. Ale to pewnie tylko kwestia czasu.

– Pamiętasz, co ci mówiłem, trzeba pomyśleć o ochroniarzach.

– Nie, nie, to zbędny koszt. Uważam, że teatry dadzą radę same. Będzie dobrze.

– Jak być może powiedział John Lennon po postrzeleniu przez Marka Chapmana – mruknął Umberto.

– Już nie rozmawiajmy o tym – odparł Vincent, zbywając tę uwagę. Wziął jedno ciasteczko. Biała czekolada i orzech włoski. Rzeczywiście smaczne,

choć asymetryczne.

– Vincent, przysły na ciebie skargi – powiedział Umberto z zakłopotaniem i pogładził przyszyżoną starannie brodę. – W zeszłym tygodniu miałeś występy w Konsert & Kongress w Linköpingu i w Slagthuset w Malmö.

– W jednej sali tysiąc sto dziewięćdziesiąt sześć miejsc, w drugiej dziewięćset. Wszystkie wyprzedane. Owacja na stojąco. Ktoś narzekał na przedstawienie?

Umberto westchnął.

– Nie, nie na przedstawienie. Ale Vincent, nie możesz po przedstawieniu leżeć na podłodze w garderobie. Sprzątacze o mało zawału nie dostali. I tu, i tu.

Vincent sięgnął po drugie ciasteczko. Żeby wyrównać rządki.

Umberto sięgnął do papierowej torebki, chcąc nałożyć więcej. Vincent powstrzymał go spojrzeniem. W rzędkach powstałby bałagan.

– Umberto, jak długo pracujemy ze sobą? Dziesięć lat? Płacę pewną cenę za te przedstawienia. Nie jest to aż takie proste, jak by się wydawało. Mój mózg musi się potem zregenerować. Najlepszy sposób to położyć się. Przecież wiesz.

– Ale godzinę? Z kolei pracownicy sceny w Karlstadzie zdenerwowali się, kiedy posortowałeś kable według kolorów.

– Okej – przyznał Vincent. – Przepróś ich w moim imieniu. Będę uważniejszy. Akurat w Karlstadzie zrobiło się trochę trudno przy numerze z gwoździem. O mało nie przebiłem sobie dłoni. Potem musiałem jakoś rozproszyć myśli.

Umberto mimowolnie zacisnął powieki i pokręcił głową. Potem otworzył oczy i spojrzał w okno. Vincent poszedł za jego wzrokiem. Choć do Wielkanocy został jeszcze tydzień, wody w Nybroviken lśniły w słońcu, jakby było lato.

– Wolałbym, żebyś nie wykonywał takich numerów – powiedział wreszcie Umberto, nie patrząc na Vincenta. – Bo co będzie z całą trasą, jeśli sobie coś uszkodzisz? Co by na to powiedziała Maria?

– Powiedziałyby, że to najlepsze, co się zdarzyło – odparł. – Bo wtedy poszedłbym z nią na imprezę.

– Na imprezę – powtórzył Umberto, chociaż nie bardzo słuchał.

Patrzył na stojące po drugiej stronie ulicy dwie młode kobiety w krótkich żółtych sukienkach, pokazywały sobie coś na zatoce. Przypuszczalnie turystki, które przesadziły w ocenie sztokholmskiej wiosennej pogody.

– Wiesz co, nie zgadzam się z tobą. I nie będzie tak, jak ty chcesz. Dopilnuję, żeby podczas następnego wyjazdu towarzyszył ci ochroniarz.

– Wydaje mi się to kiepskie – stwierdził Vincent. – Nie jestem jakimś Benjaminem Ingrosso⁷. Czy Johnem Lennonem, skoro o nim mowa. Ale wiem, kiedy nie warto się z tobą kłócić. A więc dziękuję.

Umberto odwrócił się do niego.

– Nadal podpisujesz ten gwóźdź? – spytał.

– Gwóźdź, zdjęcia, T-shirty – odparł Vincent, przesuając dłonią po twarzy. – Nie wyobrażasz sobie, gdzie ludzie chcą, żebym im składał podpis.

– Artysta zawsze podpisuje swoje dzieło – powiedział ze śmiechem Umberto. – Sam się tak urządziłeś.

– Okej, okej. Skoro już mówimy o moim show, możesz poprosić, żeby w teatrach nie wstawiali mi do garderoby gazowanej wody?

– Oni chcą tylko, żebyś się u nich dobrze czuł – odparł Umberto, znów patrząc w okno. – Zgodnie z twoją instrukcją nie przygotowaliśmy listy rzeczy, które powinny się znajdować w garderobie. Jeśli są tam owoce, słodczyce albo woda do picia, dzieje się to z inicjatywy administracji teatru. Rozmawialiśmy o tym.

– Owszem, ale powinni wiedzieć, że przed występem nie można pić nic gazowanego. Mówię głosem z przepony, żeby dalej niósł. Po gazowanym napoju człowiekowi się odbija. Lepsza jest kranówka.

Kobiety na ulicy poszły dalej, Umberto spojrział na Vincenta lekko zmęczonym wzrokiem.

– Vincent, to z ich strony uprzejmość. Pozwól im na to. Możesz się napić wody po występie.

– Ale ja nie mam siły...

Umberto przerwał mu, unosząc dłoń, której kciuk dotykał dwóch środkowych palców.

– Nie do wiary, że w ogóle rozmawiamy o czymś takim – powiedział, machnąwszy ręką. – *Adesso basta!* Jesteś czasem jak dziecko. Pij tę wodę albo nie pij. Kogo to obchodzi, okej?

Vincent wzruszył ramionami. Po prostu był zdania, że teatry niepotrzebnie wydają pieniądze. Nie mówiąc już, że więcej butelek oznaczało więcej etykietek i konieczność ustawienia ich w równym rzędku.

– Pamiętasz magika, z którym przedtem współpracowaliście? – spytał, zmieniając temat. – Tego ze skrzyniami. Z przeciętą na pół asystentką, *Zig-zag lady*, *Water torture cell*⁸, bardzo oldskulowe numery. Może wiesz, co zrobił ze swoimi rekwizytami?

Umberto wziął ciasteczko i zastanowił się.

– Masz na myśli Toma Presto? To były duże produkcje. Ośmioro tancerzy, trzy tiry, wielkie ego. Nie bardzo opłacalne. Dlaczego pytasz?

– Ciekaw jestem, czy można by się dostać do jego rzeczy, gdyby ktoś chciał kupić od niego skrzynię. Na przykład z mieczami.

Umberto wsunął do ust resztę ciasteczka i strzepnąwszy okruszki z brody, pokręcił głową.

– Kiedy zbankrutował, sprzedaliśmy cały ten kram. Jakiemuś francuskiemu kolekcjonerowi. Wydaje mi się, że wszystko to stoi w zamkniętym magazynie w Nicei. Z wyjątkiem tego water coś tam. Tego nie chciał za żadne skarby. Nie wiem, czy widziałeś show Toma Presto, ale on lubił ryzyko.

– Myślałem, że przede wszystkim miał wielką potrzebę kontroli.

– Też. Tłumaczył mi to ten kolekcjoner, bo ja nie wiem, na czym polegają te sztuczki. Ale to gigantyczne akwarium, do którego wkładali Toma i zamykali...

– Houdini mówił na to *Water torture cell* – podpowiedział mu Vincent, ale Umberto zbył to.

– ...podobno jednak było wyposażone w tajną dźwignię po zewnętrznej stronie. Dźwignię paniki. Gdyby trik się nie udał i magik nie dał rady sam się wydostać, asystentka może ją pociągnąć i w kilka sekund opróżnić akwarium. Żeby magik się nie utopił.

– Sprytne, dobrze mieć coś takiego.

– Tak, tyle że w numerze Toma Presto nie było dźwigni bezpieczeństwa. Pewnie uznał ją za przejaw tchórzostwa. W każdym razie Francuz nie chciał czegoś tak niebezpiecznego w swoich zbiorach. *C'est trop extrême*, to jego słowa. Nie wiem, gdzie stoi teraz i kurzy się to akwarium, powiedz tylko, jeśli chcesz, żebym sprawdził.

Umberto puknął się w czoło.

– À propos rzeczy, które leżą i się kurzą – powiedział. – Przecież dostałeś prezent pod choinkę! Czekał chwilę.

Wypadł z pokoju, zanim Vincent zdążył coś powiedzieć. Wrócił po chwili, trzymając w objęciach jakiś duży przedmiot.

– Boże Narodzenie było parę miesięcy temu. Jeśli nie zauważyłeś, to niedługo mamy Wielkanoc.

– Wiem. Ktoś przysłał to dla ciebie tydzień czy dwa przed Bożym Narodzeniem i od tamtej pory leży tutaj w biurze. Szczerze mówiąc, zupełnie o nim zapomniałem.

Umberto podał mu prezent. Była to gruba książka obwiązana artystycznie czerwoną tasiemką, z której zwisała kartka.

Dla Vincenta, głosił napis. To nie całkiem twoja działka, ale może się okazać ciekawsza, niż myślisz. Od wielbicielki. Pismo staroświeckie, ozdobne. Piękne. Na pewno kobiece. Wydawało mu się jakies znajome, ale nie potrafił go z nikim skojarzyć. Zresztą może to złudzenie.

Album zatytułowany *Mammals of Mexico* na okładce miał zdjęcie lamparta z odsłoniętymi kłami; liczył co najmniej tysiąc stron.

– Dzięki – powiedział Vincent. – To jest dokładnie taka rzecz, jaką chciałem dziś nosić przy sobie.

Umberto zaśmiał się.

– To od twoich szalonych wielbicieli, nie moich – zauważył. – A więc co robimy dalej z twoimi przedstawieniami? Nie możesz przyprawiać personelu o zawał serca.

– Nie martw się – odparł Vincent. – Podczas pozostałej części trasy wszystko będzie bez zastrzeżeń. Słowo. Tylko zadbaj, żeby sprzątacze nie przychodzili przez godzinę po występie.

Umberto zaśmiał się i wyciągnął do niego rękę.

– *Deal, amico mio.*

– *Deal.* – Vincent podał mu swoją.

Wstał, wsunął księgę pod ramię i wychodząc, porwał jeszcze torebkę z ciasteczkami.

MINA SIEDZIAŁA z dociśniętą do ucha słuchawką służbowego aparatu. Całe szczęście, że chwilę przed odebraniem telefonu wyczyściła go starannie alkożelem. Słuchała w milczeniu, gorączkowo robiąc notatki na odwrocie jakiejś faktury, pierwszego kawałka papieru, jaki znalazła na biurku. Szybko zadała kilka uzupełniających pytań. Pół minuty później, spojrzawszy na zegarek, ruszyła żwawym krokiem do stołówki.

Ruben siedział tyłem do niej, zajadając z apetytem klopsiki z sałatą. Odstawił węglowodany, kiedy zaczęła mu grozić oponka. Często dzielił się tą informacją podczas lunchu.

– Dwa i pół miesiąca temu miałeś sprawę pewnego samobójstwa – odezwała się Mina do jego pleców. – Trzynastego stycznia, Agnes Ceci. Miała dwadzieścia jeden lat.

Ruben zastygł z podniesioną do ust ręką trzymającą widelec.

– E, tak, coś mi się przypomina. Bo co?

Zmarszczył brwi, kiedy Mina odsunęła krzesło i usiadła naprzeciw niego. Odłożył widelec, przewróciwszy oczami. Mina starała się nie myśleć o tym, jak brudne musi być to krzesło, na którym siedzi. A teraz na pewno roi się od bakterii na jej spodniach. W pracy musiała panować nad sobą, żeby w ogóle móc funkcjonować, ale kosztowało ją to tyle wysiłku, że w domu prawie padała ze zmęczenia. Musiała dyskretnie obciągnąć rękawy koszulki, by nie dotknąć stołu, kiedy nachyliła się nad nim, patrząc Rubenowi w oczy.

– Opowiadaj.

– Taaa... Właściwie nie bardzo jest co. Przyjechałem na miejsce z Lindgrenem, jednym z tych młodszych chłopaków, i już na pierwszy rzut oka było dość oczywiste, że to samobójstwo.

– Dlaczego?

Ruben znów westchnął. Spojrzał tęsknie na stygnące klopsiki, na których zaczęła tężeć warstewka sosu. Mina nie zwracała uwagi na to, że kolega jest głodny. I tak nie powinien tego jeść, miała duże wątpliwości co do higieny posiłków w policyjnej stołówce. Powiedziałyby nawet, że robi mu przysługę.

– Strzał w usta. Broń leżała obok. Odciski palców należące do niej. Żadnego wierzchniego okrycia, choć była zima. Wszystko wskazywało, że nie była w pełni władz umysłowych.

– Był jakiś list?

– Nie, żadnego listu. Ale w historii chorobowej miała depresję i ileś zwolnień lekarskich. Kilka razy była hospitalizowana w S:t Göran i żaden z naszych rozmówców nie był zbyt zdziwiony jej śmiercią. Nawet osoba, z którą dzieliła mieszkanie.

– I tu nie było żadnych podejrzeń?

– Wobec tej osoby? Na początku może i tak, skoro nie było listu. Ludzie, którzy dokonują czynu tak dramatycznego, że strzelają do siebie, często zostawiają list. Zawiadomienie na policję złożyła w dodatku ta osoba, a wtedy człowiekowi się zawsze zapala lampka. Przesłuchaliśmy ją i trochę przycisnęliśmy, ale okoliczności w dość oczywisty sposób wskazywały na samobójstwo. Prawdopodobnie pod wpływem chwili. Zważywszy na to, że zrobiła to na parkowej ławce. Ale dlaczego pytasz?

– Masz jakieś zdjęcia? Z sekcji? Z miejsca przestępstwa?

– Przestępstwa? Przecież mówię, że to było samobójstwo.

Zignorowała te słowa. Wyjaśni mu, ale najpierw chce obejrzeć zdjęcia.

– No to chodź. – Ruben westchnął i wstał.

Odnotowała, że nie odstawił swojej tacy. Miała ochotę go spytać, czy może pracuje tu jego mama, ale w końcu zrezygnowała. Mężczyźni raczej nie doceniali tej uwagi, a Ruben był nawet bardziej obraźliwy niż przeciętnie. W dodatku potrzebowała jego pomocy. Skierował się do windy, Mina poszła za nim. To, czego się dowiedziała, samo w sobie wystarczyło, ale zdjęcia powinny dać jej jeszcze więcej. Jeśli okaże się, że ma rację, to wszystko zmieni.

– CO JEST takie pilne?

Do pokoju weszła Julia z płaszczem przewieszonym przez ramię.

– Właśnie wychodziłam, kiedy zadzwoniła Mina, ale nie powiedziała, o co chodzi.

– Mnie też nie – odezwał się kwaśno Christer. W jednej ręce trzymał filiżankę kawy, w drugiej dużą drożdżówkę.

– Nie masz więcej tych drożdżówek? – spytał tęsknie Ruben.

Mina, ignorując ich, skupiła się na mocowaniu magnesami do tablicy wszystkich materiałów z teczki obok tych, które już się tam znajdowały.

– Gdzie Peder? – spytała, odwróciwszy się. – Chcę, żeby wszyscy byli.

Ruben wzruszył ramionami. Wziął jabłko z talerza na stole i zaczął głośno jeść. Mina nie mogła na to patrzeć. Jabłko leżało na tym talerzu od wielu dni. Wyobrażała sobie pokrywające je mrowie bakterii, które teraz trafiały prosto do ust Rubena. Wolała również nie myśleć, gdzie były przedtem usta Rubena. Czy u kogo. W tym przypadku można by pewnie mówić o gigantycznej wręcz kolonii bakterii. Przełknęła ślinę, panując nad mdłościami. Powinna przynajmniej udawać normalność.

– Nie odebrał telefonu – powiedział Ruben, odgryzając kolejny kawałek jabłka.

– Sprawdziłeś, czy jest na miejscu? – spytała, nie ukrywając irytacji.

Ruben wzruszył ramionami.

Mina odłożyła teczkę, teraz już pustą. Wyszła z salki konferencyjnej i znalazła Pedera śpiącego głęboko przy biurku z głową opartą o zagłówek fotela; pochrapywał. Jakiś dowcipniś wśród kolegów domalował mu wąsy.

– Peder!

Potrząsnęła nim mocno. Drgnął i rozejrzał się, zaspany.

– Chodź, zebranie jest – powiedziała.

Wracając do salki konferencyjnej, nie obejrzała się za siebie, ale słyszała jego szurające kroki. Weszła do środka, gdzie zobaczyła, jak wszyscy wpatrują się w materiały na tablicy. Wiedziała, że bez jej pomocy tego nie dostrzegą. Sama

znalazła to tylko dzięki rozmowie z lekarką sądową Mildą. I tropowi podrzuconemu przez Vincenta. Zdawała sobie sprawę, że zespół nadal odnosi się do niego nieufnie. Oby już niedługo. Jego pomoc już okazała się bezcenna.

Peder wszedł do salki i opadł zmęczony na krzesło. Potarł powieki, co wyglądało raczej jak przesuwanie worków pod oczami. Koledzy zachichotali na widok domalowanych wąsów, ale nikt mu nic nie powiedział.

Mina zwróciła się do nich, patrząc po kolei na każdego z osobna. Musi ich przekonać, bo sama była już pewna. Odetchnęła głębiej i wskazała na tablicę.

– Myślę, że Vincent miał rację. Mamy do czynienia z seryjnym zabójcą.

Milczenie. Nieufność. Ale tego się spodziewała.

– Jak wiecie, byłam dość mocno przekonana o tym, że nasza ofiara ma na ciele wyciętą cyfrę trzy – ciągnęła. – Z oczywistych względów zaczęłam się więc zastanawiać, czy może przegapiliśmy takie cyfry na jakichś wcześniejszych zwłokach. Dziś spytałam o to Mildę z zakładu medycyny sądowej, kiedy i tak tam poszłam, żeby porozmawiać z nią o sekcji zwłok ze skrzyni. Wtedy nie przypominała sobie czegoś takiego, ale przed chwilą zadzwoniła, żeby mi powiedzieć o Agnes. Agnes Ceci.

Pokazała zdjęcia, które przed chwilą umieściła na tablicy. Jedno przedstawiało młodą rudowłosą kobietę, pólżącą na ławce w parku, a wokół jej stóp na śniegu krew jak czerwony cień. Choć był środek zimy, była bez jakiegokolwiek wierzchniego okrycia. Obok jej prawej ręki leżał pistolet, jakby wypadł jej z ręki.

– Zdjęcie wykonano w Berzelii Park, dokładnie przed Chinateatern⁹ – wyjaśniła.

– Nie wygląda to na musical – mruknął Christer.

Pozostali spojrzeli na niego ze zdziwieniem, ale wzruszył ramionami.

Mina zwróciła im teraz uwagę na kolejne zdjęcie, przedstawiające szary sterylny stół sekcyjny z leżącą na nim tą samą kobietą, teraz nagą. Na jej prawym udzie były wyraźnie widoczne trzy kreski. Jedna pionowa i dwie pochylone w kształcie V. Pod i nad nimi dwie poziome kreski.

Rzymska cyfra cztery.

– Rzymska cyfra. Dokładnie tak, jak mówił Vincent – wyjaśniła. – W co wtedy nie uwierzyliście. I o mało nam nie umknęło.

Koledzy stali wychyleni do przodu, z zainteresowaniem, ale wciąż nie do końca przekonani. Uniesione brwi Rubena wskazywały na powątpiewanie. Peder mrugał powiekami, próbując się skupić. Jeszcze raz wróciła do zdjęcia Agnes na stole sekcyjnym.

– Podczas autopsji zwrócono uwagę na te nacięcia i zostały wpisane do opinii, ale w związku z wcześniejszymi psychicznymi incydentami

chorobowymi Agnes zostały w dochodzeniu pominięte jako przypuszczalne samouszkodzenie. Czyli miałyby sama zrobić te nacięcia.

– Co wciąż jest dość prawdopodobne – odezwał się Ruben, rozsiadając się wygodnie.

Założył nogę na nogę i pokiwał się na krześle.

– Oczywiście. Mogłoby tak być. Bywały jeszcze dziwniejsze rzeczy – odparła Mina spokojnie. – Może jednak nie jest to seryjny morderca. Gdyby nie to.

Wskazała kolejne zdjęcie i następne na skraju tablicy, gdzie były przyłączone zdjęcia pierwszej ofiary. Nie dodała nic więcej, pozwalając, by mówiły za siebie. Julia podeszła do tablicy. Przyjrzała się obu ostatnim zdjęciom.

– Rozbite zegarki.

Mina przytaknęła.

– Właśnie. Obie ofiary miały zegarki, które zostały rozbite tak, żeby się zatrzymały na równej godzinie. Zegarek pierwszej ofiary zatrzymał się na trzeciej, czyli piętnastej. A zegarek Agnes zatrzymał się na czternastej. Jeden zbieg okoliczności da się wytłumaczyć. Ale nie dwa.

W salce zapadła cisza. Wydawali się trawić to, co im pokazała Mina.

– Sądysz, że to ten sam sprawca? – spytał Ruben.

Chyba otworzył się, choć niechętnie, na teorię Vincenta.

– A ty sądzisz, że nie? – skontrowała.

Ruben chciał coś powiedzieć, ale potem zamknął usta. Julia patrzyła z powagą na materiały umieszczone przez Minę na tablicy.

– Musimy jeszcze raz przyjrzeć się temu wszystkiemu od początku – powiedziała. – Każdemu najmniejszemu szczegółowi. Dzwońcie do domu, że dziś nie wrócicie wcześniej. Dobra robota, Mino.

Przytaknęli. Peder odchrząknął.

– Jest ofiara oznakowana cyfrą trzy – powiedział niewyraźnym ze zmęczenia głosem. – I ofiara z czwórką. Czyżby seryjny morderca działał od pewnego czasu, a myśmy tego nie zauważyli?

– Zastanawiam się nad tym samym – przyznała Mina.

Wodziła palcami po teczce. Coś ją tu uwierało. Powinna to uchwycić, ale ciągle jej umykało. Pokręciła głową. Prędzej czy później uświadomi sobie, co to takiego.

Sięgnęła do kieszeni po paczuszkę nawilżanych chusteczek. Wyjęła kilka i podała Pederowi.

– Masz. Wytrzymaj się. Masz coś wokół ust.

VINCENT Z TRUDEM OTWORZYŁ oczy. Większą część nocy spędził, usiłując dotrzeć do informacji o produkcji i sprzedaży zarówno skrzyni, jak i mieczy, które ją przebiły. Wydawało się to nie do ogarnięcia. Podaż okazała się znacznie większa, niż mógłby przypuszczać ktoś spoza świata nerdów. W zaśnięciu przeszkodziło mu również pragnienie, by spełnić oczekiwania Miny, że dostarczy jej coś nowego.

A teraz po zaledwie paru godzinach snu w łóżku obudził go jakiś odgłos. Niemożliwy do zidentyfikowania, bo z daleka. Jakiś dysonans. Śpiew. Ale w różnych tonacjach. Tak fałszywy, że Vincent wolałby nie mieć słuchu. Irytowało go, że to pojęcie traktuje się żartobliwie, tymczasem jest to rzeczywiście zjawisko opisujące osobę niezdolną do rozróżniania dźwięków. Przeciwnieństwem jest słuch absolutny, czyli zdolność do rozpoznawania dźwięków bez odwoływania się do dźwięku wzorcowego. Wariantem słuchu muzycznego jest też słuch relatywny, który różni się od absolutnego tym, że do rozpoznania dźwięku musi się mieć dźwięk wzorcowy. Akurat w tym momencie Vincent był niewypowiedzianie zadowolony, że cieszy się względnie niedoskonałym słuchem.

– ...żyje naaaam...

Śpiew się nareszcie skończył. Vincent usiadł i patrzył przez zmrużone oczy. W nogach jego łóżka stała cała rodzina. Maria i Aston z tym samym pełnym oczekiwania wyrazem twarzy, podczas gdy Benjamin i Rebecka wyglądali, jakby zostali przyprowadzeni na egzekucję. Vincent poczuł, że utożsamia się bardziej ze swoimi starszymi dziećmi. Nie znosił urodzin. To znaczy może nie wszystkich, bo urodziny dzieci są fajne. Nie znosił własnych urodzin.

– ...sto lat, sto lat, niechaj żyje... aua!

Aston wrzasnął i złapał się za nogę. Odwrócił się ze złością i spojrzał na Benjaminą, który wzruszył ramionami i wskazał na Rebeckę, a ona uniosła jedną brew. Aston pogapił się na nią, ale w końcu się poddał. Dla najmłodszego syna Vincenta hierarchia rodzinna była dość oczywista. Rebecka była wstrętniejsza od

Benamina, bo zarówno potrafiła, jak i preferowała zadawanie mu fizycznego bólu, jeśli jej się nie podporządkował.

– Najlepszego, kochanie!

Maria postawiła mu na łóżku srebrny półmisek z własnoręcznie upieczonym wielkim tortem śmietanowym. Zemdlilo go. Nie przepadał za śmietaną na śniadanie. Jednak w rodzinie Marii była to tradycja. Dlatego również w latach małżeństwa z Ulriką nie dało się uniknąć zapychającego tortu od samego rana. Domyślał się, że tort miał być rozumiany jako symbol serdecznych uczuć, a nie atak na jego przemianę materii, zmusił się więc do szerokiego uśmiechu.

– Aston! Prezenty!

Maria przysiadła ostrożnie na łóżku, oczy jej błyszczały. Uwielbiała urodziny. Najbardziej swoje, ale innych też. Aston skoczył ciężko na kołdrę, trzymając dwie paczki. O mało nie wywrócił przy tym tortu.

– Razem z mamą upiekliliśmy tort wczoraj wieczorem! – oznajmił, pękając z dumy. – Jesteśmy bardzo *pro*. Za tortem, w którym jest duuużo śmietany.

Aston wymówił *pro* po amerykańsku. Na pewno nauczył się tego z YouTube'a. Vincent spojrzał na tort. Przez chwilę zamarzył, że tort zsuwa się z talerza, dalej na podłogę i ginie przed-wczesną śmiercią. Wiedział jednak, że koszt tej katastrofy byłby większy od przyjemności. Maria odczytałaby to jako zły omen i uznała, że nad resztą dnia wisi klątwa, co by oznaczało, że jedna katastrofa, niczym samospełniająca się przepowiednia, pociągnęłyby za sobą następną.

– Masz, tata – powiedział Aston radośnie, podając mu paczki. Podskakiwał przy tym z zapałem i co pewien czas rzucał radosne spojrzenia mamie.

Pierwszy prezent został zapakowany niedbale, w pognieciony papier z nietrzymającymi kawałkami przylepca, wyglądał, jakby zawartość wpadła tam przypadkiem. Monster Trucks. Papier po prezentach na lutowe urodziny Astona. Vincent uśmiechnął się szeroko i uściskał syna. Kto by nie uwielbiał papieru z Monster Trucks?

– Ojej, dziękuję! – powiedział, wyciągając krawat.

Maria z dumą przeciągnęła dłonią przez włosy Astona. Vincent odnotował, że to trzeci krawat, jaki dostał w prezencie, identyczny jak poprzednie. Dzieci pewnie dostały pieniądze, żeby poszły kupić mu prezent, a dzieci często rozumują bardzo prosto. Skoro tata ucieszył się z prezentu rok temu, na pewno znów się ucieszy, kiedy w tym roku dostanie taki sam. Było w tym coś bardzo miłego i bardzo przekonującego. W dodatku idealny na zwrotkę. Każde z nich dostanie po krawacie na swoje dwudzieste urodziny.

– Następny, otwórz następny!

Od podskoków Astona śmietana zaczęła się zsuwać z ciasta.

– Kochanie, trochę spokojniej. – Maria przytrzymała synka ręką.

Wpatrzyła się w męża z nadzieją. Tym razem była to cienka, płaska paczuszka. Zapakowana porządnie, więc domyślił się, że zrobiła to Maria. Potwierdzeniem jego domysłu była błyszcząca naklejka w kształcie serca. Vincent rozwinął papier.

– Tato, popłyniemy statkiem! Wszyscy razem!

Vincent spojrział na trzymany obrazek. Przedstawiał jego największy koszmar. Prom do Finlandii. Pięćdziesiąt tysięcy ton strachu śmierdzącego piwem. Podniósł wzrok na Benjamina i Rebeckę. Ich twarze odzwierciedlały ten sam ból, który zapewne malował się na jego twarzy. Wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Wszyscy troje wiedzieli, że kiedy Maria wbije sobie do głowy, że „razem, całą rodziną zrobią coś fantastycznego”, to nie ma przebaczyć. W niedalekiej przyszłości spędzą zatem całą dobę w jednostce pływającej wyposażonej w niebudzącą zaufania furtę dziobową. Odwrócił folder. Karta prezentowa ważna na rok. Miał dwanaście miesięcy na ucieczkę z kraju.

– A teraz zjedz trochę tortu, kochanie – powiedziała Maria wesoło, podsuwając mu talerzyk z ukrojonym właśnie wielkim kawałkiem. – Aston ma rację, jesteśmy absolutnymi fanami tortu. Z całym mnóstwem bitej śmietany.

Vincent przełknął ślinę, uśmiechając się. Wiedział przecież, że to z czystej miłości i dobroci serca. Postanowił poudawać, że się cieszy.

– Dziękuję, kochanie. Może zjemy ten tort razem przy stole w kuchni?

Pozbierali prezenty, papier i tort, po czym przeszli do kuchni. Vincent zabrał po drodze prezent, który sam sobie kupił. Podwójny album *Xerrox 4 Alva Noto*. Rozwiązał czerwoną tasiemkę, paznokciem przeciął folię i z plastikowej koperty wysunął z lekkim trzaskiem pierwszą płytę winylową. Spojrzał uważnie na rowki, jakby chciał sobie zwizualizować, czego ma się spodziewać, a potem położył na odtwarzaczu w salonie. Fajnie.

Wyjął puszkę z karmą dla rybek, wysypał sobie trochę na dłoń i podszedł do akwarium. Potrzymał rękę tuż nad powierzchnią i poczekał. Wybrał te amerykańskie muławki, po szwedzku zwane psimi rybami, z jednego szczególnego powodu. Może nie były zbyt ładne, ale były to jedyne znane mu ryby, które naprawdę jadły z ręki. Nie musiał długo czekać, jak cztery rybki radośnie łapały płatki na jego dłoni.

– Dziś może być trochę głośno – odezwał się cicho do rybek. – Z góry was przepraszam, ale same wiecie.

Pogłośnił muzykę do odpowiedniego poziomu i poszedł do kuchni.

Słuchając jej, rozluźnił się nieco. Natomiast Maria zareagowała zupełnie odwrotnie. Widział, jak spięła ramiona. To nie jej muzyka. Zawsze wzdychała, kiedy upierał się nastawiać podejrzane płyty winylowe, chociaż można by

słuchać Eda Sheerana na Spotify. Co w dodatku zabiera mniej miejsca. Jednak odnotowała czerwoną tasiemkę; to jego chwila. Przynajmniej na ten moment.

Vincent usiadł i nałożył sobie tortu, jednocześnie zaczął szybkie obliczenia w głowie. Jest ósma zero zero. Szesnaście godzin. Dziewięćset sześćdziesiąt minut. Pięćdziesiąt siedem tysięcy sześćset sekund. I będzie po urodzinach.

– DZIELIŁAŚ SIĘ DZISIAJ?

Mina pokręciła głową.

– Dziś nie był na to odpowiedni dzień – odpowiedziała. – Ale posłuchałam. Zresztą nie mam zwyczaju się dzielić. Wiesz o tym. Od jak dawna się tutaj widzimy?

– Tak, no nie, prawda. Równie dobrze można dać sobie spokój, wiele razy tak jest. Dopiero co przyszedłem, ale pomyślałem, że dołączę po przerwie. Zobaczę, jak się z tym poczuje. Czy dla mnie to dobry dzień, żeby się podzielić. Kawy?

Mężczyzna z psem, jak go Mina dawno nazwała, podsunął jej papierowy kubek. Nawet знаła jego imię, ale utkwiło jej w pamięci pierwsze określenie. Wśród stałych bywalców byli również „Paniusia w szalu lila”, „Człowiek ze Skanii” i „Dziewczyna z delfinem”. Ich imiona również znała, ale wołała, żeby pozostali dla niej anonimowi, bezosobowi. Byłoby jej zbyt ciężko przychodzić tutaj, gdyby zyskali twarz, osobowość. Zresztą nazwa brzmiała Anonimowi Alkoholicy. Przy tym Mina nawet nie była alkoholiczką, co od lat było dla niej usprawiedliwieniem, żeby nie poczuwać się do jakiegokolwiek więzi grupowej.

Patrząc na podsunięty jej kubek, pokręciła przecząco głową. Mdlilo ją na samą myśl, co roi się zarówno na kubku, jak i na wystawionym termosie z pompką, którego wszyscy dotykali. Mężczyzna wzruszył ramionami i nalał sobie do kubka. Kawa wyglądała na oleistą i lurowatą. Mina nie piłaby jej, nawet gdyby była sterylna.

– Dlaczego się spóźniłeś? – spytała, zanim zdążyła się ugryźć w język.

Po pierwsze, jej to nie interesowało. Po drugie, pytanie mogło być uznane za nietaktowne. Nie zawsze potrafiła sama ocenić.

– Wozilem moją partnerkę do lekarza, na wizyty kontrolne po operacji. Ma silną skoliozę, a od kilku lat siedzi na wózku.

Mina skinęła głową, nic nie mówiąc. Żałowała, że spytała. Za dużo osobistych informacji. Mężczyzna z psem jakby się zlitował, bo nie powiedział nic więcej o swojej partnerce. Zamiast tego pochylił się i dał swemu golden retrieverowi miseczkę wody, czemu towarzyszyło szybkie podrapanie za uszami.

– Jak się wabi pies?

Znów. Przecież zupełnie jej to nie interesuje. Sama nie rozumiała, skąd się dziś wzięła u niej potrzeba wypełnienia ciszy. Mężczyzna rozpromienił się.

– Bosse – odparł z dumą. – Ma cztery lata.

Mina nie odpowiedziała. Zwierzęta to nie dla niej. Z oczywistych względów. Łapy Bossego były aż czarne od chodzenia po błocie pośniegowym.

– Cześć, miło cię widzieć!

Do stolika z kawą podeszła Dziewczyna z delfinem. Uśmiechnęła się szeroko do Miny. Zawsze była rozradowana, nawet za bardzo, a zważywszy na miejsce, w którym się znajdowali, wydawało się to niemal perwersyjne. O odczuciach Miny na spotkaniach AA można by wiele powiedzieć, ale raczej nie była to eksplozja radości. Dziewczyna z delfinem miała na imię Anna i tatuaż z delfinem na łydce, który pokazała Minie, kiedy się poznały. Mina nie spytała, czy delfin ma jakichś kolegów na ciele młodej kobiety, obawiała się, że Anna zaczęłaby się rozbierać. Faktem było, że mogłaby obejść się bez znajomości z delfinem. Jednak dziewczyna okazała się nieoczekiwanie pomocna. Dlatego Mina uśmiechnęła się do niej na przywitaniu.

– Dzięki za pomysł, żeby skontaktować się z Vincentem Walderem – powiedziała. – Moja szefowa od razu go podchwyciła.

Dziewczyna rozpromieniła się.

– Coś wam to dało?

– Wydaje mi się, że tak. Taką mam nadzieję.

Dziewczyna rozpromieniła się jeszcze bardziej, Mina aż się przestraszyła, żeby jej nie zaszkodziło.

– I skontaktowałaś się z nim? Z Walderem? Wow, ale fajnie! Tak mi nagle to przyszło do głowy, nie znam go, ale facet jest mega. I jeszcze raz przepraszam, że cię wtedy podsłuchałam.

W przerwie któregoś ze spotkań AA Mina dostała telefon od Julii; było to wkrótce po odkryciu skrzyni ze zwłokami. Po przerwie zaczęła ją Dziewczyna z delfinem. Z początku Mina miała wątpliwości, jednak pomysł, żeby skontaktować się z Vincentem, był niewątpliwie sprytny. I to nie tylko z uwagi na dochodzenie, bo przekorny mentalista sprawił, że jej życie stało się nagle znacznie ciekawsze. Bardziej zagmatwane, ale ciekawsze. Dotąd nie wpuszczała tam nikogo, nikomu nie pozwalała podejść za blisko. A jednak tym razem uchyliła drzwi do siebie, w dodatku obcemu człowiekowi. Dopóki działało się to tylko w myślach, była bezpieczna. Kontrolowała sytuację. Poza tym musi się jednak nauczyć mówić ciszej podczas rozmów przez telefon.

Pies Bosse przestał pić i podszedł do niej z wywalonym językiem. Mina zacisnęła pięści, żeby się opanować i nie cofnąć, ale tylko przez trzy, cztery

sekundy, bo poczuła na ręce mokry nos i już nie mogła powstrzymać odruchu, żeby zrobić kilka kroków w tył.

– Bosse jest bardzo przyjacielski – powiedział właściciel psa, drapiąc go za uszami.

Mina zobaczyła, jak psu kapie ślina z pyska, a Bosse wziął jej spojrzenie za dowód życzliwej uwagi, bo zamerdał radośnie ogonem.

– Mhm. – Mina wciąż patrzyła na czarne od brudu łapy Bossego.

Zapadło milczenie. Pies z nadzieją postąpił naprzód.

– Następnym razem chyba wytatuuję sobie wilka – odezwała się Dziewczyna z delfinem.

Mina zdążyła już zapomnieć o jej obecności.

– I jakiś fajny tekst, chociaż jeszcze go nie wybrałam. Może *Carpe diem*. Chociaż to chyba oklepane? Jednak wciąż fajne. Znaczący chwytaj dzień. I chyba o to chodzi, nie? Żeby chwytac dzień. Życ terazniejszością. Być obecną tu i teraz.

Mówiąc to, dziewczyna odwinęła rękaw bluzy i odsłoniła ramię.

– Znasz moje zdanie na temat tatuaży – powiedziała Mina, przyglądając się uprzejmie. – Nie ma pewności, że igła została porządnie wysterylizowana, tak samo jak nie wiadomo, czy tusz nie został zanieczyszczony...

– Wiem, ale właśnie to jest *cool*! – odparła Dziewczyna z delfinem. – Człowiek czuje, że żyje. Bo nigdy nie wiadomo, co się może zdarzyć. Gówniana igła mogła być zakażona. I człowiekowi przyplątuje się morderczy gronkowiec. Mięsożerny. Który powoli pożera ci całą rękę.

– *Living on the edge*¹⁰ – skomentowała sucho Mina.

– Tak! Świetny pomysł! Dzięki! Pewnie, wytatuuję sobie *Living on the edge*! Kurde, ty to jesteś mega!

Mina tylko patrzyła na dziewczynę, wyraźnie zachwyconą jej słowami, które przecież nie były żadną propozycją; naprawdę nie wiedziała, jak kontynuować tę rozmowę. Odniosła wrażenie, że cokolwiek powie, jej słowa zaraz zamienią się w paskudny, zapalny tatuaż na ramieniu dziewczyny.

– Zbieramy się! – zawołał od drzwi do sali męski głos.

Mina podziękowała mu w myślach za ratunek, uśmiechnęła się przelotnie i pospieszyła do środka.

KVIBILLE 1982

– JAK CI IDZIE? – zawołał ktoś zza jego pleców. – Co tam budujesz?

Drgnął, nie słyszał, że ktoś wszedł do obory; cały skupił się na piłowaniu deski, żeby nie powstały drzazgi. Jedna część się odłamała i spadła na ziemię, zanim zdążył ją złapać. W miejscu odłamania sterczała paskudna drzazga. Szybko podniósł deskę z ziemi i położył na stercie pozostałych, na które zaraz narzucił prześcieradło. Prześcieradło było wymalowane w gwiazdy i tajemnicze symbole, z których większość sam wymyślił. Teraz już mógł się odwrócić i spojrzeć na mamę.

Stała w otwartych odrzwiach obory, wieczorne słońce ozłociło jej sylwetkę. Musiał mrużyć oczy, żeby ją zobaczyć.

– Nie mogę ci zdradzić, co robię – powiedział. – Bo wtedy się domyślisz, na czym polega ta iluzja. Pokażę ci, kiedy już będzie gotowa.

Światło padło na jego warsztat stolarski, kiedy mama przesunęła się w głąb obory. W powietrzu unosiły się drobiny kurzu. Mieniły się jak cekiny, trafione przez promienie słoneczne. Magiczne cekiny. Mama wzięła z warsztatu jeden z pędzli i pomachała nim w powietrzu.

– Mogę ci chociaż pomóc przy pomalowaniu? – spytała, starając się zajrzeć mu za plecy. – To niesamowite, że potrafisz budować te rzeczy zupełnie sam. W końcu masz tylko siedem lat. Jaki inny siedmiolatek potrafi robić coś takiego?

– To wcale nie jest takie trudne – odparł. – Zaczynam od rysowania projektu. No i jestem dokładny. Zresztą nie mam nic innego do roboty. Teraz będzie lepiej niż na początku. Ale jeśli chcesz mi pomagać, to nie wolno ci mnie podglądać, dopóki nie skończę. I tym razem żadnych znaków zodiaku.

Wskazał znacząco na prześcieradło.

– To ma wyglądać jak...

– Wiem, jak Les Vargas – wtrąciła. – Ten hiszpański artysta.
Zrobiła niezrozumiały dla niego, wystudiowany taneczny ruch.

– Las Vegas, mamó – powiedział.

Urwał i spojrzał na mamę. Patrzyła pogodnie uśmiechnięta. Jego wcześniejsze napięcie zniknęło. Mama ma dobry dzień. W tym momencie zdał sobie również sprawę, że dał się złapać.

– Mamó, ty... żartowałaś, co? Nie ma żadnego Lesa Vargas, prawda?

Wolałby, żeby mama tak nie robiła. Nie umiał ocenić, kiedy ludzie z niego żartują. Zupełnie tak samo jak w szkole. Koszmar. Gdyby te wakacje mogły trwać w nieskończoność, żeby nie musiał nigdy stąd wychodzić. Mama i Jane mu wystarczą w zupełności.

Mama mrugnęła porozumiewawczo.

– Masz rację, żartowałam. Co innego Las Vegas.

A potem w geście ostrzeżenia uniosła wysoko rękę z pędzlem.

– Ale masz mnie nauczyć jakiejś sztuczki karcianej. Bo inaczej...

Roześmiał się. Nikt tak nie kochał sztuczek jak mama. Prawie tak samo jak on. Rozumiał ją, bo kiedy wykonuje się sztuczki, znikają problemy. Pieniądzy robi się dwa razy tyle. Świat staje się na chwilę całkiem inny.

Wszystko jest możliwe.

Odwrócił się i spojrzał na stertę drewnianych kawałków. Wyobraził sobie, jak je łączy w sobie tylko znany sposób. A kiedy skończy, powstanie skrzynia, z której będzie mógł wyczarować wszystko.

Cokolwiek, byleby mama zawsze była wesoła.

BŁOTO POŚNIEGOWE chlupało pod butami, gdy Vincent szedł przez park. Mina zadzwoniła, że muszą porozmawiać, więc zaproponował, żeby w porze lunchu przeszli się po parku Rålambshov. Do dużego parku można było dojść spacerem z gmachu policji, więc nie będzie musiała wychodzić na długo z pracy. I nie było specjalnego ryzyka, że ktoś ich zauważy.

Tak to sobie umyślił. Tymczasem w odległości kilkunastu metrów w alejce zatrzymała się i gapiła na niego młoda kobieta w błękitnej puchówce. Pewnie pamiętała go z telewizji i teraz nie wiedziała, czy powiedzieć mu dzień dobry. Postanowił jej pomóc i pomachał jej ręką. W odpowiedzi odwróciła się i odeszła. Nie zawsze można wygrywać.

Przynajmniej pogoda mu sprzyjała. Świeciło słońce, na wielkich trawnikach trwały zabawy psów z właścicielami. Na ulicach śnieg w większości stopniał, ale w parku utrzymywał się tu i ówdzie. Pięć psów, pięciu właścicieli. Pięć plus pięć to dziesięć. Dwa razy nieparzyste daje parzyste.

– Najlepszego z okazji urodzin – odezwał się ktoś zza jego pleców. – Sto lat.

Odwrócił się i zobaczył Minę. Urodziny. Cholerna Wikipedia. Oby na dodatek Mina nie przyniosła mu prezentu. Ani nie chciała go uściskać.

– Nie rozmawiajmy o urodzinach – powiedział z rezerwą.

Na jej ustach przez sekundę pojawił się przelotny uśmiezek, a potem Mina wróciła do zwykłego, powściągliwego sposobu bycia.

– Mamy nowy przypadek. A właściwie stary.

Podawała mu dwa zdjęcia. To z wierzchu było wydrukiem selfie z Instagrama. Przedstawiało młodą dziewczynę pełną radości życia, unoszącą kieliszek w stronę obiektywu. W tle widać było przyjaciół siedzących za stołem, na którym piętrzyły się prezenty. Cholera z tymi urodzinami.

– Nazywała się Agnes Ceci – powiedziała Mina. – Dwadzieścia kilka lat. Dzieliła mieszkanie w Sztokholmie z jakąś znajomą osobą, ojciec mieszka w Arvika, matka nie żyje.

Vincent spojrzał na następne zdjęcie i drgnął. Nagie zwłoki na stalowym stole sekcyjnym. Wykadrowane tak, że nie objęło głowy.

– To wciąż ona. Spójrz na udo.

Vincent bez problemu dostrzegł staranne nacięcia. Wolał nie patrzeć na zdjęcie dłużej, niż to konieczne.

– Jak widzisz, ona również została oznakowana cyfrą. W związku z tym, że na zwłokach ze skrzyni była cyfra trzy, przypuszczałam, że na wcześniejszej ofierze będzie cyfra dwa. Że morderca pilnuje porządku. Jednak Agnes, jak tu widzisz, została oznakowana rzymską czwórką. Jakby już zamordował cztery osoby.

Vincent zatrzymał się jak wryty.

– Powiedziałaś wcześniejsza ofiara? Masz na myśli, że ona zginęła przed kobietą w skrzyni?

Mina przytaknęła i również się zatrzymała. Objęła się ramionami. Czerwona kurtka najwyraźniej nie chroniła jej skutecznie przed zimnem, które mimo słońca nadal się utrzymywało. Vincent zastanawiał się. Czwórka i trójka. Cyfry w pewnym porządku. Odliczanie w dół. Statystycznie wyglądało to mizernie, im więcej cyfr, tym większy wybór i prawdopodobieństwo. Jednak przecucie mówiło mu, że ma rację.

– Zimno ci? – spytał uprzejmie.

– Nie. Lubię, kiedy tak jest – odparła krótko.

Widział, że rzeczywiście tak uważa.

– Mogę się mylić – powiedział. – Jednak nie wydaje mi się, żebyście znaleźli zwłoki z oznaczeniem jeden i dwa. Jeszcze nie.

Mina patrzyła na niego spod zmarszczonych brwi.

– Wydaje mi się, że to odliczanie wsteczne – wyjaśnił. – Morderstwa numer jeden i dwa jeszcze nie nastąpiły. Rozumiesz? Cztery, trzy, dwa, jeden, może nawet zero.

– Dlaczego tak uważasz? – Spojrzała na niego z przerażeniem. – Chcesz powiedzieć, że może dojść do jeszcze trzech morderstw?

– Jeśli nie powstrzymamy mordercy – powiedział, ruszając znów. – Nie znajduję innego powodu odwróconego porządku cyfrowego jak to, że chodzi o odliczanie w dół. Przypadków śmiertelnych. Nie dostrzegam żadnego wzorca czy kombinacji, do których by to lepiej pasowało. Jednak powstaje inne i równie ważne pytanie, które powinniście sobie zadać.

– Chcesz powiedzieć: powinniśmy. Co to za pytanie?

– Odliczanie do czego? Co się stanie po dojściu do zera?

Mina milczała przez chwilę.

– Przecież to chore.

Vincent przytaknął.

– Pewności nie mam, pamiętaj. Mogę tylko zgadywać na podstawie dotychczasowych dwóch ofiar.

– Chociaż ona też miała rozbity cyferblat zegarka, który zatrzymał się dokładnie na godzinie czternastej – dopowiedziała.

Mruknął tylko w odpowiedzi, potem szli dalej w milczeniu. Vincent chciał zaproponować, żeby weszli ogrzać się do którejś z kafejek wzdłuż Norr Mälarstrand, ale Mina wydawała się zadowolona ze spaceru po parku mimo zimna. Vincent potarł dłonie w rękawiczkach i próbował uporządkować myśli.

– Lubię, jak jest zimno – odezwała się. – Mam wrażenie takiej... czystości. Jakby nie mógł wtedy przetrwać żaden brud.

– Poza tym, że grasuje morderca – zauważył. – W tym też jest jakiś brud. W jaki sposób zginęła ta nowa ofiara? Chciałem powiedzieć ta poprzednia, na ławce?

– Strzał w twarz – odparła, a Vincent skrzywił się odruchowo. – Nie bój się, nie zabrałam ze sobą więcej zdjęć. Tylko nie rozumiem, po co sprawca komunikuje nam, o której godzinie dokonał morderstwa. Chodzi o te rozbite zegarki. Godzina nie jest dokładnie ta sama, ale prawie.

Vincent nie zdążył odpowiedzieć, gdy zaledwie metr od nich przeleciało frisbee, a za nim czarny doberman. Pies podskoczył, złapał frisbee zębami i wylądował im dokładnie pod nogami. Podniósł na nich wzrok pełen szczęścia, po czym odbiegł w kierunku, z którego przyleciał.

– Nie lubię psów – odezwała się Mina.

Vincent patrzył za dobermanem, jak znika ze zdobyczą w zębach.

– *Bullet catch* – powiedział.

– Co?

– Ta zastrzelona. To też jest klasyczna sztuczka iluzjonistyczna, tak jak *Sword box*, skrzynia z mieczami. Chociaż w tym przypadku chodzi bardziej o trik niż iluzję. Stosowany od bardzo dawna, prawdopodobnie od końca XVI wieku. Pierwszy szczegółowy opis znajduje się w książce z 1631 roku wilebnego Thomasa Bearda. Osoba spośród publiczności podpisuje kulę, która następnie zostaje umieszczona w pistolecie i wystrzelona w kuglarza albo jego pomocnika. Ten wzdryga się gwałtownie i pokazuje, że złapał kulę zębami. Albo, we wcześniejszych wersjach, ręką.

– Jaki trik? Przecież to potworne.

– Bo każdy wie, że nie da się złapać kuli zębami, w dodatku nikt o zdrowych zmysłach nie strzeliłby do artysty z naładowanego pistoletu. Dlatego pytanie brzmi, jak to zostało zrobione, skoro wiemy, że nie dzieje się to naprawdę? Odpowiedź brzmi, że to czary. Dziś taki trik byłby uznany za nie na miejscu, w dodatku śmiertelnie groźny. Istnieje dwanaście udokumentowanych

przypadków śmiertelnych. Najstarszym z nich był pierwszy kuglarz znany z wykonywania tego triku, Coullew of Lorraine. Zginął w 1613 roku. Widz, który dostał pistolet, żeby do niego strzelić, wściekł się i zabił go. Ironia losu polega na tym, że zrobił to, uderzając go pistoletem używanym do triku.

Mina kopnęła w stertę śniegu.

– Czy wszystkie sztuczki polegają na udawaniu, że się zadaje komuś śmierć? – spytała.

– Faktem jest, że wiele z nich tak. – Odchrząknął. – Tematem w zasadzie wszystkich klasycznych iluzji scenicznych jest zadawanie śmierci albo okaleczanie kobiety, na przykład przez przecięcie jej piłą, odcięcie jakichś części ciała czy przebicie mieczem, by na końcu pokazać, że jednak jest zdrowa i cała. Prawie zawsze jest to kobieta, i to nie przypadek. Wy tłumaczenie najczęściej brzmi tak, że są szczuplejsze i bardziej gibkie od mężczyzn, w związku z czym łatwiej się mieszczą w skrzyniach. Ale czy ja wiem.

– Kobiety często są ofiarami również w rzeczywistości.

Nachyliła się, rękami w rękawiczkach nabrała mokrego śniegu i zaczęła lepić kulę.

– Przypuszczam, że bierze to swój początek w mistycyzmie – powiedział Vincent, zatrzymując się. – Kobieta jest źródłem życia. Dlatego jest to tym tragiczniejsze, kiedy staje się ofiarą. Bo patrząc symbolicznie, ginie nie tylko ona, ale również uosobione przez nią przedłużenie ludzkości. Wydaje mi się, że nasza podświadomość jakoś tam to rozumie. Mężczyźni są bardziej... zastępowalni. A jeśli chodzi o rzeczywistość, to owszem. Jak ktoś sam nie potrafi czegoś osiągnąć, to często radzi sobie z tym w ten sposób, że to niszczy.

– Ale udawanie, że się kogoś zabija, nie wygląda na sztuczkę magiczną, którą ja mam na myśli – zauważyła Mina. – By darować sobie ten mocno szowinistyczny aspekt, to jeśli przebijam kogoś mieczem, a zaraz potem pokazuję, że ta osoba jest zdrowa i cała, znaczy to tylko, że miecz był na niby. Komu miałyby to zaimponować?

Stała przed nim, trzymając idealnie okrągłą śnieżkę. Mina nie pozwoliłaby sobie na bylejakość.

– Umyka ci symboliczny aspekt tej historii – odparł Vincent, cofając się ostrożnie ze wzrokiem utkwionym w śnieżkę. – Przecinając kogoś na pół, odbieram mu życie, prawda? Kiedy następnie pokazuję, że ten ktoś jest zdrowy i cały, oznacza to, że wskrzesiłem go z martwych. I o to chodzi w klasycznych sztuczках magicznych, choćby dziś wydawały się śmieszne i głupie. O władzę nad życiem i śmiercią. A z asystentką w postaci kobiety staje się to władzą nad boskością.

Zerknął dyskretnie na zegarek. Jej przerwa na lunch dawno minęła. Miał nadzieję, że tego nie zauważyła. Idąc dalej, doszli wkrótce do krzewów rosnących nad zatoką. Nie było jeszcze cumujących tam zwykle łodzi, nic nie zakłócało igrania promieni słonecznych na wodzie. Vincent przesunął dłonią po listkach krzewów. Na rękawiczkach zostały krople od stopionego śniegu.

– Czyli szukamy kogoś, kto cierpi na kompleks boskości? – odezwała się Mina. – Kogoś, kto zabrnął za daleko w swoich sztuczkach i przypadkiem zabił naprawdę. Czy to twoja profesjonalna ocena osoby, której poszukujemy? Osoby o władniętej żądzą władzy i bawiącej się w boga?

– Wcale nie. Dotychczasowe dwie ofiary nie zginęły wskutek błędu ze strony sztukmistrza, bo ostatniego kroku, czyli wskrzeszenia, celowo zabrakło. Sądzę, że szukamy absolutnego szaleńca. I nie szaleńca.

Mina zmarszczyła czoło, patrząc na niego.

– Już o tym wspominałem. To ktoś o osobowości na tyle racjonalnej, że potrafi zbudować skrzynię, zaplanować porwanie i zostawić zagadkową wiadomość. A z drugiej strony na tyle niezrównoważony, aby kierując się impulsem, stosować przemoc. Żadne z dotychczasowych morderstw nie wydaje się dokonane z chirurgiczną precyzją. Przygotowania – tak, ale nie same morderstwa.

– Chociaż morderstwo w skrzyni zostało przeprowadzone z pewną precyzją.

– Tak, oczywiście. Jednak mam wrażenie, że chodzi bardziej o to, że sprawca jest dokładny, a nie zręczny. I że brak tam jakiegoś chłodnego dystansu. W grę wchodzi silne emocje i, przepraszam, muszę spytać, do czego ci ta śnieżka?

– W razie gdyby wrócił pies – powiedziała, wążąc na dłoni dużą kulę.

Vincent udał obojętność, jednak słowa Miny obudziły niechciane myśli. O magii i śmierci. O spoconych dłoniach.

Musi się zebrać do kupy.

Przytknął rękawiczkę do policzka, wyciskając zimne krople pochodzące z krzewów. Miał nadzieję, że Mina tego nie zauważyła. Potrzebował myśleć jasno.

– Teraz możemy tylko jedno: próbować zapobiec kolejnym dwóm albo trzem morderstwom – powiedział. – Niezależnie od tego, co o mnie sądzą twoi koledzy. Nie podoba mi się, że morderca mówi nam, że chodzi o odliczanie w dół. Jeśli rzeczywiście jest tak, jak myślę. Ale innego tropu nie mamy. Przez ciebie zaangażowałem się w to emocjonalnie. Zważywszy na to, że między zabójstwem pierwszej a drugiej ofiary minął tylko miesiąc, chyba nie mamy dużo czasu. I... – Zawahał się. – Chciałbym zobaczyć miejsce, gdzie została znaleziona skrzynia – dodał.

– Zostało już zbadane przez techników kryminalistyki, a zabezpieczenie zdjęte. Wątpliwe, żeby zostało coś, czego by nie zdokumentowali.

– Jednak chciałbym je zobaczyć. Nigdy dotąd nie sporządzałem profilu, ale wierzę, że trzeba pójść śladami mordercy. Spróbować poczuć nie tylko, jak i dlaczego działał, ale również gdzie. Byłaś tam?

– Nie. Po odnalezieniu skrzyni był tam Peder. Ale... myślę, że mogę go poprosić, żeby poszedł z nami. Na pewno. Peder jest jak labrador, wszystkich kocha. Mentalistów też.

– Dzięki.

Znów pojawiła się młoda kobieta w puchówce. Stała w pewnej odległości za plecami Miny, wciąż za daleko, żeby Vincent zobaczył, kto to. Tym razem mu pomachała. Udał, że nie widzi. Nie było to może miłe, ale chciał skupić się na Minie.

– Więc mówisz, że przeze mnie zaangażowałeś się w to emocjonalnie? – Uśmiechnęła się i rzuciła w niego mokrą śnieżką. – Fajnie.

Śnieżka z mokrym plaśnięciem trafiła go w ramię, a potem spadła na ziemię.

– Też tak uważam – odparł. – To znaczy dochodzenie jest...

Urwał i spojrzał jej w oczy. Nie wiedział nic o jej życiu prywatnym. Spotkali się zaledwie kilka razy. Mimo to jej obecność wydawała mu się taka oczywista. Prosta. Nawet kiedy się nie widzieli, Mina była gdzieś w tle, i to w sposób równie niepodlegający wątpliwości jak krążąca w jego żyłach krew, chociaż o tym nie myślał. Zwykle nie reagował w ten sposób na nowe znajomości. Wręcz przeciwnie. Potrzebował lat, zanim dopuścił kogoś bliżej, wydawało się, że ona też. Jednak przy Minie czuł się inaczej. Było mu z nią dobrze.

Mina była...

Krew krążąca w jego żyłach.

Że też o tym nie pomyślał. To właśnie różnica między nim a prawdziwym policjantem.

– Słuchaj, ta kobieta, która została zakwalifikowana jako samobójczyni.

– Agnes? Agnes Ceci.

– Właśnie. Agnes. Czy w jej zwłokach stwierdzono obecność jakichś środków?

Mina zapatrzyła się na niego.

– Coś mi nie dawało spokoju w materiałach z dochodzenia. Już wiem co – powiedziała.

BYŁ ŁADNY DZIEŃ. Świeciło słońce, śnieg zaczął topnieć. Uwielbiał taką pogodę. Właściwie to uwielbiał również deszcz. I świat po deszczu. Pachniało czystością. Jak wtedy, gdy mama z tatą uprali pościel. Lubił świeżo upraną pościel. I mamę z tatą. I lubienie, bo kiedy się lubi, człowiek staje się taki na wskroś radosny, co lubił szczególnie.

Czasem bolał go brzuch i tego nie lubił. Nie zdarzało się to często, ale kiedy już bolało, to bardzo, bardzo. Mama z tatą mówili, że dlatego, że brał do buzi niewłaściwe rzeczy. Właściwie wiedział, że mają rację, ale lubił to. Nowy smak, nowe wrażenie, poczuć to językiem i zatoczyć nim w buzi. Nie potrafił się temu oprzeć. Kochał to prawie tak mocno jak strzelanie z procy. Ale tylko prawie.

– Cześć, Billy! – zawołał radośnie.

Nachylił się, żeby przywitać się z małym cockerspanielem, którego spotykał prawie codziennie. Pies podskoczył, żeby go pocałować w twarz. Niech tam. Taki jest śliczny. Podrapał Billy'ego za uszami, podziękował jego pani, jak zawsze, i pomknął na skraj lasu. Trzeba zawsze podziękować. Mama często mu to powtarzała, i dobrze, bo łatwo zapominał.

Dotarł do lasu i pomacał ręką za dużym pniakiem. Butelki PET leżały na swoim miejscu. Czasem ich nie było. Jeśli je ktoś zwędził. Bardzo mu się nie podobało, gdy ktoś wziął jego butelki, ale do pokoju nie pozwalali mu ich zabierać, więc nie miał innego wyjścia, jak chować je w tym miejscu.

Uważnie ustawił butelki na pieńku. Trzy w jednym rzędzie i w idealnie równych odstępach. Potem cofnął się aż do zaznaczonego miejsca. Pięćdziesiąt kroków. Zrobiło się tu błoto. Dobrze, że włożył kalosze. To ważne, żeby trenować zawsze w tym samym miejscu z dokładnie tej samej odległości, bo jak miałyby sprawdzić, czy zrobił postępy?

Bardzo starannie wybierał kamienie, których używał do strzelania. Szukając ich, potrafił całymi godzinami leżeć na zwirowej ścieżce przed domem. Niektóre wkładał też do buzi. Uwielbiał je ssać, chodziło o wrażenie szorstkości kamienia na języku. Sięgnął teraz po swoje najlepsze, ulubione kamyki. Zważył je w dłoni i wziął jeden, ten z czymś błyszczącym w słońcu.

Z tylnej kieszeni wyjął procę. Mocno wysłużoną i wytartą, ale chciał, żeby właśnie taka była. Ułożona do jego ręki. Kiedy dłoń się na niej zamykała, miał wrażenie, jakby on i proca stanowili jedno. Umieścił kamyk w miseczce na rzemieniu, zamknął jedno oko, wycelował... i wypuścił go. Trafił dokładnie w środek butelki, która elegancko spadła z pieńka.

– Brawo! Pięknie!

Podskoczył. Nie zauważył, że ktoś podszedł, ale ucieszył się, że ma publiczność. Fajniej się wtedy strzelało.

– Teraz to będzie dopiero! – powiedział, prostując się radośnie, kiedy zaczął następny kamyk w procy. – Wyceluję w zakrętkę!

Znów przymknął jedno oko, wycelował i strzelił. Kamyk trafił dokładnie w jasnozieloną zakrętkę.

– Wow! Dobry jesteś!

Dostał brawa. Kochał brawa. Aż go wtedy dreszcz przechodził. Wziął trzeci kamyk. Szybko wycelował i strzelił. Trzeba korzystać z okazji, że ktoś chce go oglądać, zaraz będzie znów ćwiczył sam, nigdy nie zostawali na dłużej. Trzecia butelka spadła tak samo pięknie jak pierwsze dwie.

– Słuchaj, należy ci się jakaś nagroda! Musisz być mistrzem świata! Chodź, niedaleko stoi mój samochód. Chyba mam w nim nagrodę dla ciebie!

Aż się zgrzał z radości. Uwielbiał nagrody, a nigdy żadnej nie zdobył. Chciałby, ale takim jak on nie dawali nagród.

Radośnie poszedł do samochodu. Dużego. Fajnie. Może nagroda też będzie duża. Taka jak te ogromne przytulanki w Gröna Lund, których nigdy nie wygrał. Może naprawdę będzie tak samo wielka.

– Wejdz na tył, to zobaczysz nagrodę. Spojrzysz tylko i od razu będziesz wiedział, która to.

Serce mu waliło, kiedy wchodził do samochodu. Nareszcie. Nagroda. Przepiękna i ogromna.

MILDA HJORT czuła szarpiący niepokój. Kilka razy podnosiła słuchawkę, żeby zadzwonić, a zamiast tego wciąż tylko tkwiła przy biurku z tą słuchawką w ręku. Przeszło dwadzieścia pięć lat w zawodzie. I naprawdę niewiele popełnionych błędów, akurat tu miała pewność, bo była dokładna, do swojej pracy podchodziła poważnie, czuła się odpowiedzialna zarówno za ofiary, jak i za ich najbliższych. Odpowiedzialna również przed policją i wymiarem sprawiedliwości, by dostarczyć im niezbędnych narzędzi do ukarania sprawców zbrodni.

Jednak od pewnego czasu w jej życiu, bo nie w pracy, zapanował chaos. W domu nastąpił rozstrój. Wydawało jej się, że nie dopuściła, by odbiło się to na pracy. A jednak miała teraz przed sobą czarno na białym, że zamęt w domu wpłynął na to, że popełniła błąd. I to poważny.

Milda sięgnęła po fotografię stojącą na biurku. Jedną z niewielu osobistych rzeczy, które trzymała w pracy. Wierzyła w ład i porządek. W domu zastosowała w pełni metodę KonMari i pozbyła się wszystkiego, co niepotrzebne, zostawiła tylko rzeczy dające jej radość. Po rozwodzie przez piętnaście lat w zasadzie sama wychowywała dzieci, więc były mąż nie mógł narzekać na ten ścisły porządek.

Zdjęcie dzieci zostało zrobione kilka lat wcześniej. Plaża w Falkenbergu podczas odwiedzin u jej siostry. Vera i Conrad tacy radośni, opaleni, z przydługimi włosami i piegami, które im zawsze wychodziły latem. Kiedy byli mali, wymyślała imiona dla tych piegów. Codziennie inne. Dzieci to uwielbiały. Co oczywiste, nie zawsze było jej łatwo pełnić funkcję ich głównego opiekuna, gdy jednocześnie wkładała tyle energii i emocji w swoją pracę.

Ich ojciec pewnie robił tyle, ile mógł. Albo ile uważał, że trzeba. Jednak wołałaby, żeby w ogóle tego nie robił. Widać było wyraźnie, skąd wzięły się problemy Conrada. Milda była zdecydowana zrobić wszystko, żeby nie stał się taki jak ojciec, który od czasów, kiedy był pieśniarzem w zaplutej szwedzkiej knajpie w Las Palmas na Gran Canarii, nigdy nie pracował.

Mimo wszystko udawało jej się to jakoś poskładać. W każdym razie tak jej się wydawało. Dobrze im było, jej i dzieciom. Dostały od niej to co trzeba.

Patrząc z perspektywy czasu, być może nie wystarczyła sama jedna. No, chyba że to zrzędzenie losu. Genetyczna loteria. Nie było łatwo. Zabrało jej dużo czasu. Odwróciło uwagę. Wiele nocy, kiedy zamiast spać, szukała Conrada. Kiedy potem szła do pracy, wyczerpana brakiem snu i nocnym niepokojem, zabrakło jej ostrości spojrzenia, z której zawsze była taka dumna.

Nie da się tego usprawiedliwić. To jej błąd.

I tylko jej.

Trzymając słuchawkę, miała znów wybrać numer, kiedy rozległo się pukanie. Chrząknęła.

– Proszę.

Drzwi otworzyły się, stała w nich Mina. Trzymała teczki z aktami obu ofiar. Milda widziała je tyle razy, że od razu je rozpoznała. Kiwnęła głową i odłożyła słuchawkę. Już nie musi dzwonić.

PEDER ROZMYŚLAŁ o telefonie, jaki otrzymał przed chwilą. Mina poprosiła go o „wielką przysługę”, miał pokazać Vincentowi Walderowi miejsce przestępstwa.

W innych okolicznościach miałyby wątpliwości. Nic nie wiedział o tym, że Vincent nadal jest doradcą zespołu. Ale Mina była okej. Lubił ją. Poza tym jej prośba oznaczała dla niego dodatkowe wyjście z domu. Sama myśl o tym była nielojalnością wobec żony, która znów miała sama zająć się trojaczkami. Jednak jego rozsądek, umęczony opieką nad niemowlętami, ze szczęścia aż zakręcił pirueta.

– Jadę znów do roboty – powiedział, całując żonę w policzek. – Jakby co, to dzwoń.

Wyglądała na tak samo umęczoną jak on. Odkąd dzieci urodziły się trzy miesiące temu, żadne z nich nie przespało jednym ciągiem więcej niż godzinę. Było to dzień przed Wigilią. Wolał nie myśleć o czekającym ich w przyszłości chaosie z prezentami. Molly zapiszczała w objęciach Anette, zobaczył, że smoczek od butelki wysunął się z buzi małej, czego Anette nie zauważyła. Ostrożnie wsunął go córeczce, która zaczęła łapczywie wciągać kaszkę.

– W każdym razie tamte śpią, mam nadzieję, że trochę to potrwa.

Spojrzał czule na Meję i Majken, które leżały w bujaczkach na podłodze.

– Nic dziwnego, że teraz śpią, skoro dały się przez całą noc – powiedziała Anette ze złością.

Peder pogłaskał ją po policzku.

– Słuchaj, damy radę. Przebrniemy przez to. Przeżyjemy. Trach i będziemy się śmiać na myśl o tym okresie.

– Trach. Nie, nie działa. Wcale mi nie jest do śmiechu.

– Zaciśnij zęby na parę godzin, wróć najprędzej jak się da, i zmienię cię. A w przyszłym tygodniu przyjedzie twoja mama, żeby pomóc. Zobaczysz, jeszcze jedna para rąk zdziała cuda.

– Nigdy nie myślałam, że będę wypatrywać przyjazdu mamy. Ale w życiu chyba na nic tak nie czekałam.

– Mamy szczęście, kochanie. Tylko jesteśmy za bardzo zmęczeni, żeby to docenić. Zmywam się. Dzwon jakby co.

– Dzwon.

– Ha, ha, ha. Nie wiedziałem, że się ożeniłem z komiczką...

Wsiadłszy do samochodu, Peder mrugał mocno powiekami. Przeraził go bał się zasnąć za kierownicą. Jednym kliknięciem otworzył puszkę nocco, którą zabrał ze sobą z lodówki. W tej chwili był prawdopodobnie ich największym klientem indywidualnym. Napój energetyczny jako jedyny pozwalał mu w miarę normalnie funkcjonować, choćby przez kilka chwil. Mogliby dodać dwa razy tyle kofeiny, bo dla ojca trojaczków sto osiemdziesiąt miligramów na puszkę to za mało.

W radiu mówili właśnie o poszukiwaniach zaginionego chłopca. Zajmowali się tym koledzy z miejscowego posterunku. Robert zwany Bobban. Niepełnosprawny intelektualnie. Zniknął z miejsca zamieszkania. Doświadczenie podpowiadało Pederowi, że raczej nie chodzi o zbrodnię. Przy odrobinie szczęścia wkrótce znajdą chłopaka błądzącego po lesie, a może i w mieście. Pewnego razu przez pięć dni szukali pięciolatka, który, jak się okazało, wsiadł do pociągu do Kopenhagi, żeby odwiedzić babcię. Nikt go nie zatrzymał. A duńska policja go nawet odwiozła do tejże babci, która z chwilą, gdy mały pojawił się przed jej drzwiami, zawiadomiła policję szwedzką.

Peder zmienił stację na Lugna Favoriter. Odkąd sam został ojcem, stał się bardziej wyczulony na informacje dotyczące dzieci i młodocianych. Wjeżdżając na parking naprzeciw Gröna Lund, zobaczył czekających na niego Minę z Vincentem. Wbrew własnym chęciom był dość ciekaw Vincenta Waldera. Trzy lata temu razem z Anette obejrżeli jego przedstawienie, które zrobiło na nich duże wrażenie i jednocześnie było frustrujące, bo wciąż nie rozumiał, w jaki sposób mentalista robił to, co robił.

Czarnym paltem Vincenta targał wiatr. Pederowi nasunęło się na myśl określenie „klasyczny”. Jak w czarnobiałym filmie. Już podczas pierwszego spotkania w gmachu policji pomyślał, że sam mógłby tak wyglądać. Ale Vincent na pewno nie miał w domu trójki drących się niemowląt.

PEDER ZAPARKOWAŁ samochód i pospieszył do nich. Drgnął gwałtownie, gdy silny powiew wiatru uderzył go prosto w twarz.

– Cześć, Vincent – przywitał go entuzjastycznie i podał mu rękę.

Mentalista przytrzymał ją przez sekundę, żeby poczuć uścisk dłoni. Zadziwiająco mocny, zważywszy na jego wyraźne zmęczenie.

– Wydajesz się cokolwiek skonany – zauważyła Mina, a Peder przytaknął.

– Na zmianę nie spały w nocy – powiedział.

Vincent zrobił wielkie oczy, nie potrafił się powstrzymać. Boże. Przyznawał, że trójka dzieci jest męcząca, jednak u niego między pierwszym a ostatnim upłynęło dziesięć lat. Nie potrafił sobie wyobrazić, co musi oznaczać trójka maleństw w jednym czasie. Pewnie by nawet nie ustał na nogach.

– W takim razie podziwiam cię, że w ogóle jesteś tutaj. Sen to interesujący temat. Czy wiesz, że jeszcze do niedawna nie wiadomo było dokładnie, co sprawia, że zasypiamy?

– Nie... nie wiedziałem.

Peder ruszył w stronę głównego wejścia do Gröna Lund. Mina i Vincent szli za nim.

– Dwa zespoły naukowców odkryły ostatnio coś, co nazwały włącznikiem snu – ciągnął Vincent. – Nazwały go Nemuri, co po japońsku znaczy sen.

– Aha, ja...

– Przebadaly dwanaście tysięcy muszek owocówek pod kątem ich wzorca snu i wtedy znalazły gen sterujący tym włącznikiem.

– Właśnie, owocówki. – Peder skinął w stronę wejścia.

Dziwne, ten Peder wydał się jakiś taki obojętny. Dla kogo jak dla kogo, ale dla niego chyba temat snu powinien być teraz najważniejszy. Chociaż przez to zmęczenie pewnie trudniej mu przyswajać informacje.

– Vincent – odezwała się cicho Mina tuż za jego plecami. – Daję ci kolejne ostrzeżenie „wikipedyczne”.

Vincent kiwnął głową i już się nie odezwał.

Park rozrywki, zamknięty w sezonie zimowym, wydawał się wręcz upiornie opuszczony. Żadnych okrzyków ludzi skaczących na bungee. Żadnej muzyki z dużej sceny, zgrzytu rozmaitych urządzeń ani gwaru rozmów.

– Tutaj stała ta skrzynia.

Peder wskazał na punkt przed bramą. Miał również ze sobą zdjęcia z badań kryminalistycznych i podał Vincentowi, który przyjrzał im się w milczeniu.

– Znaleźliście... czy technicy odkryli jakieś ślady? – spytał. – Mające cokolwiek wspólnego ze zbrodnią?

– Jeszcze nie wiadomo – odparł Peder, trąc oczy, jakby chciał pozbyć się piasku pod powiekami. – Oczywiście pobrali mnóstwo próbek, ale wyniki nie przychodzą od razu tak na pstryk. A na tym etapie i w takim miejscu trudno ustalić, co ma związek ze skrzynią, a co znajdowało się tu już przedtem.

– No pewnie – odezwał się w zamyśleniu Vincent, krążąc ze wzrokiem wlepionym w ziemię. – Wiesz, jeśli się przez dłuższy czas kiepsko sypia, może to spowodować poważne skutki uboczne. Zwiększa się ryzyko wielu chorób, pogarsza się pamięć i słabnie odporność.

– Bardzo dziękuję – odparł Peder i zakaszłał – to...

– Oprócz tego rośnie zagrożenie alzheimerem, nadużywaniem alkoholu, a także otyłością. Pozbawieni snu ryzykujemy też przeciążenie mózgu, bo sen pomaga nam w zapominaniu tego, co niepotrzebne.

– No tak, nie da się nie zauważyć, że główka nie do końca pracuje – skomentował Peder. – Chyba nie tylko u mnie – dodał cicho, patrząc na Minę.

Jednak Vincent usłyszał. I to wszystko za to, że chciał się podzielić pożytecznymi wiadomościami. No cóż, prawda, że zawsze było trudno mu zachować to, co nazywają umiarem. Możliwe, że powiedział trochę za dużo.

Przykucnął, żeby przyjrzeć się ziemi, gdzie stała skrzynia. Na wietrze trzepotał, jakby chciał odlecieć, pozostający jeszcze na miejscu kawałeczek taśmy policyjnej. Mina przyglądała się, stojąc obok; skrzyżowała ręce na piersi i dygotała z zimna, od którego aż zbladła, tylko jej wargi pozostały czerwone. Vincent wiedział już, że Mina się nie maluje, a jednak wydały mu się bardzo czerwone. Chociaż, rzecz jasna, nie wiedział nic o jej wargach. Chrząknął i skupił się na oglądanej ziemi.

– W dawnych czasach ludzie często spali na siedząco, a nie na leżąco – powiedział, wciąż kucając.

Ręką w skórzanej rękawiczce przesunął po kocich łbach. Kiedy znaleziono skrzynię, w tym miejscu był śnieg. Wszystko, czego nie wymietli technicy w poszukiwaniu istotnych śladów, z pewnością odleciało z wiatrem. Przyjście tutaj dało mu mniej, niż wcześniej liczył. Powinien raczej polegać na tym, że jego umysł nieświadomie zanotował coś, czego sam nie zauważył.

– To dlatego w muzeach widzimy takie krótkie łóżka. W XVII wieku lekarze uważali, że spanie na leżąco jest szkodliwe, twierdzili, że jedzenie może się wtedy przesunąć z brzucha przez krtań aż do głowy. Cholera, ale dziś wieje.

Wstał, w kolanach mu głośno strzeliło.

– To, przez co właśnie przechodzisz, jest skrajnym wariantem czegoś, co się nazywa sen dwufazowy. Sen podzielony. Kiedyś było w zwyczaju, że się kładło koło ósmej, wstawało około północy, aby po dwóch godzinach znów iść spać na kilka godzin.

Spojrzał znacząco na Pедера, który wyglądał jak jeden wielki znak zapytania.

– Innymi słowy, od braku snu głupiejesz i tyjesz – przetłumaczyła Mina.

– A, to dziękuję, przekażę żonie – zaśmiał się Peder.

– Jak szybko została zauważona ta skrzynia? – spytał Vincent, ponownie wpatrując się w ziemię.

– Wczesnym rankiem. Przechodzą tędy pasażerowie promu z Söder.

– Na pewno o to chodziło – zauważył. – Żeby szybko ją znaleźli. Zakładam, że to nie tu została zamordowana?

– Zgadza się, gdyby to stało się tu, znaleźlibyśmy więcej krwi – powiedział Peder. – Skrzynia została przywieziona już po jej śmierci, lekarka sądowa była tego pewna.

Wybór punktu ustawienia był równie spektakularny jak sama skrzynia. Otwarte miejsce, które przechodzi dużo ludzi. Morderca chciał, żeby została zauważona. A zaraz po tym odnalezione ciało. Pytanie dlaczego. Za bardzo to przemyślane jak na przypadek.

– To nie jest człowiek, który strzelałby w ciemno. – Vincent zwrócił się do Miny. – A jednak decyduje się na ryzyko i przywozi skrzynię tutaj. Musimy zrozumieć dlaczego.

Wiosenny wicher przeszywał go na wskroś. Mina wyglądała, jakby zmarła jeszcze bardziej. Chętnie zaproponowałby jej swój płaszcz, ale wiedział, że nie przyjąłaby go, chyba że po wypiaskowaniu i zanurzeniu w sodzie kaustycznej. Lepiej zaprowadzi ją w jakieś ciepłe miejsce. I tak już skończyli.

– Zobaczyłem, ile się dało – oznajmił. – Dziękuję ci, Peder.

Peder wyglądał, jakby zmęczenie przetoczyło się po nim nagle z całą siłą. Zachwiał się.

– Prześpij się trochę w samochodzie, zanim pojedziesz do domu – powiedział Vincent, kładąc dłoń na jego ramieniu. – Żeby nie było wypadku. Zmęczenie może doprowadzić do spadku zarówno zdolności poznawczej, jak i zdolności reagowania aż o osiemdziesiąt procent.

– Noo, muszę jechać do domu... – odparł Peder.

– Prześpij się godzinę. W domu masz dzieci. Nie powinny dorastać bez ojca. Statystyka wypadków na skutek zaśnięcia za kierownicą jest...

Peder powstrzymał go gestem.

– Przekonałeś mnie. Godzina snu. Dzięki.

– To ja dziękuję – odpowiedział pogodnie Vincent.

– Tylko nie mów nic mojej żonie.

Peder zgarbił się, idąc pod wiatr do samochodu. Nie trzymał się zbyt mocno na nogach.

MINA I VINCENT poszli do jej samochodu. Otworzyła go, ale nagle, gdy rozległ się pisk zamka, przyszło jej coś do głowy.

– Spiesz ci się? – zwróciła się do Vincenta. – Czy zdążysz pójść na kawę?

Wstrzymała oddech. Może to głupi pomysł. Jakoś nie chciało jej się jeszcze z nim rozstawać. Chyba dostrzegła wesoły błysk w oczach Vincenta, ale równie dobrze mogło to być poranne słońce, które wyrzało i teraz odbijało się w blaszanych karoseriach. W słońcu jego włosy były jeszcze jaśniejsze, prawie białe, i Mina złapała się na tym, że zastanawia się, czy Vincent ich przypadkiem nie rozjaśnia, czy ta jasność jest naturalna. Tak czy tak, podobały jej się.

– Oczywiście. W Hasselbacken na pewno mają otwarte.

Skinał głową w stronę starego pięknego drewniaka, który rozłożył się na pagórku nad parkingiem. Mina kiwnęła głową, zamknęła samochód, czemu znów towarzyszył głośny pisk zamka, i schowała kluczyk do kieszeni kurtki.

– Nigdy nie nosisz torebki? – spytał.

– A co w tym takiego dziwnego? – W tym samym momencie zdała sobie sprawę, że u kobiety to jednak dziwne.

Ruszyli do góry w stronę starego hotelu.

– Uważam, że torebki są niehigieniczne – ciągnęła, wzruszając ramionami. – Zbiera się w nich mnóstwo rzeczy, które tylko leżą tam i gromadzą bakterie.

– A kieszenie nie? – zaproponował.

Mina uniosła brwi.

– Cicho – powiedziała, wyjmując szybko ręce z kieszeni. – Nie podpowiadaj mi żadnych nowych pomysłów. W zupełności wystarczą mi moje własne.

Zaśmiał się. Zrobiło jej się przyjemnie, że może mówić tak lekko o tym, co rządziło jej życiem. Miała wrażenie, że Vincent ją rozumie. Oczywiście nie potrafiła rozmawiać o tym serio, tylko zbyć temat żartobliwym tonem, sugerującym, że to nic groźnego. Jakby było niewielkim dziwactwem, nad którym w pełni panuje. A jednak. Było to i tak więcej niż w relacji z jakimkolwiek innym człowiekiem.

Vincent miał rację. Hotel był otwarty. Zasiedli w rogu westybulu i zamówili po filiżance parzonej kawy. Kiedy przynieśli im zamówienie, zauważyła, że Vincent ją obserwuje. Odnotował, jak szybko i dyskretnie, przeciwionym do perfekcji ruchem przetarła serwetką brzeg swojej filiżanki. Kolegom z gmachu policji zabrało to znacznie więcej czasu, ale Vincentowi chyba nic nie umykało. Już się przygotowała na złośliwą uwagę, która w pracy zwykle padała.

Vincent wziął serwetkę i przetarł swoją filiżankę w taki sam sposób.

– Nigdy nie wiadomo, co się przedtem działo z tymi filiżankami – powiedział przepaszającym tonem, dmuchając na gorącą kawę.

Spojrzała badawczo, czy w jego oczach dostrzeże sygnał, że uważa ją za wariatkę, ale nie. Patrzył na nią z niewinną miną. Upiła kilka łyków kawy, która grzała przyjemnie. Dzięki Vincentowi miała poczucie przynależności. Nie czuła się wykluczona. A jeśli już, to przynajmniej razem z nim. Było to... niezwykle uczucie. Ale miłe.

– Dał ci coś ten przyjazd tutaj? – spytała.

– I tak, i nie. Jak sama powiedziałaś, nic nie zostało z ewentualnych śladów, za dużo ludzi tędy przechodzi. Ale owszem, wydało mi się, że wiem, z jakim typem sprawcy mamy do czynienia. Uderzyły mnie przede wszystkim dwie rzeczy. Odwaga, bo postawił skrzynię ze zwłokami w tak otwartym miejscu. A fakt, że nikt nie zauważył niczego szczególnego, sugeruje mi, że poszukiwany sprawca jest kimś, kto wtapia się w otoczenie.

– Mhm – mruknęła Mina w zamyśleniu.

Zapadło chwilowe milczenie. Pierwszy przerwał je Vincent.

– Znasz choć trochę historię Gröna Lund? – spytał, popijając kawę.

– Gröna Lund? Nic a nic – odparła, kręcąc przecząco głową do kelnerki, która szła do ich stolika.

– Najstarsze wesołe miasteczko w Szwecji – powiedział Vincent. – Otwarte w 1883 roku. Jednak w 1924 pojawił się objazdowy konkurent, zwany Nöjet, który rozłożył się dokładnie naprzeciwko.

– Teraz pamiętam! Słyszałam o tym. Nie było związanej z tym romantycznej historii?

– Zgadza się, była. Syn rodziny właścicieli Nöjet i córka właścicieli Gröna Lund zakochali się w sobie. Pobrali się i kierowali razem najpierw Nöjet, a potem Gröna Lund. A ich córka Nadja była szefową w Gröna Lund aż do 2001 roku.

– Proszę, jakie romantyczne – skomentowała Mina, w tym momencie zdając sobie sprawę, że zabrzmiało to fałszywie.

Nie zamierzała być ironiczna, ale romantyzm nie był jej działką. Zakłócał porządek. Zresztą prędzej czy później zawsze kończyło się to jakimś

ubabraniem.

– Dla mnie najbardziej interesujące są pokazy tak zwanych atrakcji ludzkich z lat trzydziestych – powiedział Vincent, patrząc przez okno w stronę sylwety parku.

– Atrakcji? Jak pokazy dziwolągów?

Zmarszczyła czoło. Zgniewała ją sama myśl o wystawianiu na płatnych pokazach ludzi odmiennych. Ciekawe, jak by ją określili? *Mina – kobieta bez bakterii! Sami popatrzcie, jak się myje! Poczujcie zapach jej alkożelu!*

– W Gröna Lund można było oglądać pewne afrykańskie plemię – powiedział Vincent, odwracając się teraz do niej – również grupę niemieckich karłów Bajkowego Miasta Liliput, no i striptiz.

– Prawdziwie rodzinne rozrywki – zauważyła szyderczo.

Zmrużył oczy, przyglądając się jej.

– Ludzie uważają za dziwne to, do czego nie są przyzwyczajeni – powiedział, stawiając ostrożnie filiżankę na stole. – Własne normy uważają za obowiązujące dla wszystkich i dlatego niepokoi ich to, co jest z nimi niezgodne. Odstawanie od większości równie często budzi podziw, jak jest wytykane palcem. Czasem jedno i drugie jednocześnie. Jak wiesz, ludzie płacą też za to, żeby mnie oglądać. Chyba nie sądzisz, że uważają mnie za normalnego pod jakimkolwiek względem? Że kogoś takiego jak ja zaproszą przed świętami na grzane wino? Jesteśmy wyjątkowi, Mino, i płacimy za to pewną cenę. Ale pamiętaj jedno: jedyna władza, jaką mają nad tobą inni, to ta, na którą im pozwalasz. Niech się gapią, jeśli chcą. Dlaczego nie pozwolić im zapłacić za tę przyjemność, jeśli mają na to ochotę? I niech gadają. Nie ma to nic wspólnego z tobą.

Unikając jego wzroku, Mina spojrzała w dół na wesołe miasteczko. Zamrugowała kilka razy. Z jego słów wynikałoby, że to łatwe. A przecież nie jest. To trudne. Zastanawiała się, czy opowiedzieć mu o spotkaniach AA, jednak nie znali się jeszcze aż tak dobrze. I pewnie nigdy się nie poznają.

– Tacy geniusze jak my i tak pozostają zawsze niezrozumiani – dodał z krzywym uśmiechem.

– Doceniam twoją skromność. – Zrewanżowała się uśmiechem. – A właśnie, skoro jestem geniuszem, rozmawiałam dziś z Mildą Hjort.

– Jaką Mildą?

– Lekarką sądową. Tą, która przeprowadziła sekcję zwłok Agnes Ceci. I zwróciła uwagę na nacięcia na jej udzie. Pamiętasz, że spytałeś mnie, czy w jej organizmie stwierdzono obecność jakichś środków?

– Już widzę, że zaraz będzie jakieś „ale”. – Vincent nachylił się bliżej.

– Popęłniła błąd – odpowiedziała Mina, również nachylając się do niego. – Nie zrobiła badania toksykologicznego ofiary. Nie pobrała próbek. Nie zamówiła

testów. Mimo że to absolutnie rutynowa procedura.

– Ojej.

Przytaknęła. Rozpacz Mildy była naprawdę wielka. Zostanie objęta postępowaniem wewnętrznym i ewentualnie poniesie konsekwencje.

– Tak zwany czynnik ludzki – dodała Mina. – Przechodziła... trudny okres.

Vincent bębnił palcami o stół w jednym powtarzającym się rytmie. Mina zorientowała się, że zaczęła poruszać stopą w tym samym rytmie. Zmusiła się do jej unieruchomienia. I czekała, aż Vincent przetrawi te informacje.

– I co teraz będzie? – spytał powoli i przestał bębnić.

– Milda skontaktowała się z prokuratorem, ja zawiadomiłam Julię o tym, co się stało. Wystąpimy o zgodę na ekshumację w możliwie najszybszym terminie i zważywszy na okoliczności, prawdopodobnie dostaniemy ją niezwłocznie. Jeśli się uda, nastąpi to jeszcze dziś. Rozkład ludzkiego ciała następuje bardzo szybko. Im więcej czasu upłynie przed pobraniem próbek, tym większe ryzyko utraty śladów. Ale najpierw trzeba załatwić pewne praktyczne problemy. Koparkę. Ściągnąć kogoś z kościoła. Osoby, które odpowiadają za ekshumacje. Techników kryminalistyki. Problem w tym, że czasem trzeba czekać całymi tygodniami, żeby ludzie byli dostępni.

Vincent wstał i sięgnął po telefon.

– Chyba mogę ci pomóc przy dwóch z tych punktów – powiedział. – Jeśli porozumiesz się z kimś z parafii, gdzie jest pochowana, i załatwisz techników kryminalistyki, to ja postaram się załatwić koparkę i grabarzy.

– To tak nie działa. Na tego rodzaju usługę musi być przetarg, a to zabiera czas.

– Może dla was. Ale ja nie pracuję dla policji. Będziesz musiała udawać, że nie wiedziałas, dokąd dzwonię. Nie byłaś przypadkiem zajęta ubieganiem się o jakieś zezwolenie czy coś w tym rodzaju?

Przy stolikach w westybulu pojawiała się coraz więcej ludzi, więc Vincent ruszył w stronę hotelowej recepcji, żeby móc stamtąd spokojnie zadzwonić.

– Nigdy bym nie przypuszczała, że w swoich kontaktach masz operatorów koparki – zawołała z rozbawieniem.

– Jeszcze wielu rzeczy o mnie nie wiesz – odpowiedział, częściowo odwrócony od niej.

Racja. Wciąż go nie rozgryzła. Pomyślała, że Vincent jest jak nierozpakowany prezent, ale w tym miejscu się zatrzymała. Od bardzo dawna nic jej nie sprawiło tyle radości. Pokręciła głową i zorientowała się, że nie ma napiętych barków. A przecież często bywała przez cały dzień tak spięta, że wieczorem, kiedy szła spać, dostawała migreny. Pierwszy raz od dawna czuła się

prawdziwie rozluźniona. Westchnęła z zadowoleniem i czekając na powrót Vincenta, upiła trochę kawy.

Przechodzącej kelnerce kiwnęła głową na znak, że poprosi o dolewkę. Zanim podniosła do ust filiżankę, przetarła starannie jej brzeg nową serwetką i tym razem nie próbowała tego ukryć. Słyszała dochodzący z recepcji głos Vincenta, ale bez rozróżniania słów. Uśmiechnęła się. I wmówiła sobie, że to ciepło w środku czuje dzięki kawie.

KWIECIEŃ

PRZED WEJŚCIEM do komisariatu zawahali się. Gunnar chwycił ostrożnie Märtę pod ramię. Poczuł, że drży pod brązowym wełnianym paltem, właściwie za ciepłym na tę porę roku. Wiosna rozpoczęła się na poważnie, ale nie zwracali uwagi na to, w co się ubierają, bo w myślach mieli tylko dręczący niepokój, przeczucie, że stało się coś złego.

– Miejmy to już za sobą – powiedział miękko.

Märta próbowała to jeszcze odwlec, ale pociągnął ją łagodnie do wejścia. Wiedział, co żona myśli. Po sześćdziesięciu latach małżeństwa znał ją i wiedział, że zмага się z odruchem schowania głowy w piasek, bo dopóki nie wiadomo, dopóty nic się jeszcze nie stało. Jednak Gunnar już wiedział. Czuwali przy telefonie, dzwonili po ludziach, szukali w pamięci wśród nieznanych im jej przyjaciół, osób, o których wspomniała choćby przelotnie. Wśród nazwisk, których kiedyś nie uznali za ważne, a teraz żalowali, że nie zachowali w pamięci. Kogoś w organizacji. Nikt nic nie wiedział. Jakby ją ziemia pochłonęła. A do Wielkanocy, którą zawsze obchodzili razem, zostało tylko kilka dni.

Gunnar, który przeszło czterdzieści lat był pastorem, na stare lata niemal przestał rozmawiać z Bogiem. Nie dlatego, by już nie wierzył, bo dziś jego wiara była silniejsza, niż kiedy był młodym entuzjastycznym księdzem tuż po święceniach. Ale dlatego, że zaczął brać Go za pewnik, założył, że Bóg jest u jego boku, że podąża za nim i czuwa nad nim, a on nie musi robić nic w zamian. Może ta pycha domagała się kary. Nie wiedział. Tyle że odkąd statek wrócił bez niej, nie przestawał się modlić. Już wtedy domyślał się, że ją w jakiś sposób utracili.

– Przepraszam – powiedział, podchodząc nieśmiało do okienka.

Za szybą siedziała młoda kobieta o miłym spojrzeniu. W normalnych okolicznościach zrobiłoby mu się ciepło na sercu od jej uśmiechu, cieszył się radością innych ludzi i sam zawsze starał się dawać radość i nadzieję. Zarówno na swojej drodze kapłańskiej, jak i w prywatnym życiu. Dziś jednak nie miał w piersi miejsca na radość. Ani na nadzieję. Wiedział, że Märta wciąż tę nadzieję ma, i pragnął szczerze, żeby to ona miała rację, nie on. Jednak poczuł tę uderzającą ciszę, gdy wykrzyczał swoją rozpacz, swoje błaganie o pomoc i Bóg po raz pierwszy nie odpowiedział na jego modlitwy. A Gunnar, mimo modlitw, już nie czuł Jego obecności. Czuł samą pustkę.

– Chcemy zgłosić zaginięcie – powiedział, przyciągając Märte, żeby i ona znalazła się w polu widzenia kobiety w okienku.

– Kto państwu zaginął? – spytała, a jej miły uśmiech ustąpił miejsca serdecznemu współczuciu.

Pewnie jest przyzwyczajona do takich spraw, pomyślał. Ileż to ona musi się codziennie naoglądać i nasłuchać w swojej pracy. Czy potrafi pojąć głębię ich rozpacz? A jeśli nie weźmie tego poważnie?

Märta sięgnęła ręką do torebki, wyjęła zdjęcie i bez słowa wsunęła pod szkłem w okienku. Razem je wybrali. Zrobił je Gunnar. W parku niedaleko ich szeregowca w Upplands Väsby. Siedziała z synkiem na kolanach na bujanym drewnianym koniu na wielkiej sprężynie. Taka była radosna tego dnia.

Oczy jej błyszczały od słońca i od tego, co miała w środku, Gunnar nazywał to boską jasnością. Nie była wierząca. W każdym razie nie tak jak on z Märta. Może pozostała jej jeszcze dziecinna wiara, płytką, ograniczającą się do uczęszczania na nabożeństwa na Boże Narodzenie i wspólnego świętowania Wielkanocy. Jednak lubiła, kiedy tak mówił, i to już wtedy, gdy była mała. Że bije od niej boska jasność. Miał nadzieję, że kobieta w okienku też to dostrzeże i zrozumie, że ktoś z taką jasnością i takim dzieckiem w objęciach nigdy nie zniknąłby z własnej woli.

– To nasza wnuczka i nasz prawnuk. Miała popłynąć statkiem na kilka tygodni, ale nie wróciła. A teraz dowiedzieliśmy się, że nawet nie wypłynęła. To znaczy, że zaginęła miesiąc temu. Linus, jej synek, cały czas mieszka u nas. Ale on potrzebuje mamy.

– Czy nic nie przemawia za tym, że mogła zniknąć z własnej woli? – spytała kobieta.

Między jej brwiami pojawiła się zmarszczka, a w oczach wyraz, który odczytał jako współczucie. Dzięki Bogu. Potraktowała ich poważnie.

– Musimy porozmawiać z kimś. Z policji – powiedziała Märta łamiącym się głosem i zachwiała się.

Gunnar instynktownie przytrzymał ją ramieniem. Nawrót choroby przybrał w ciągu ostatniej doby gwałtowny charakter. Niepokój plus SM to niedobra kombinacja. Czekali, podczas gdy kobieta patrzyła na zdjęcie. Kiwnęła głową.

– Zaraz państwo będą mogli porozmawiać z kimś. Zadzwońię po kogoś. Jak... Jak się nazywa państwa wnuczka?

– Tuva – odpowiedział Gunnar. – Ma na imię Tuva.

ZATRUDNILI OCHRONIARZA, który przynajmniej nie wyglądał na mięśniaka. Dobrze i to. Jeśli przedstawienie ma się udać, publiczność powinna czuć się odprężona. Nawet więcej, powinna być mu uległa. Czuć się bezpiecznie i być w dobrym humorze. Jakiś stojący z boku osiłek ze skrzyżowanymi rękami na piersi wywołałby odwrotny efekt. Jednak Umberto był zdania, że nie mają wyboru. Vincent przywitał się z ochroniarzem o imieniu Ola.

– Ona przychodzi zawsze po moim zejściu ze sceny – powiedział Vincent. – Więc nie wiem dokładnie, co się dzieje. Najwyraźniej dostaje się tam zaraz po opadnięciu kurtyny i potem szuka mnie na zapleczu.

– Czego ona chce? – spytał Ola.

Vincent wzruszył ramionami. Wszedł na scenę i zaczął sprawdzać rekwizyty na wieczorne przedstawienie.

– Nigdy się z nią nie spotkałem. Dotąd przechwytywała ją zawsze obsługa sceny. Nigdy nie zachowuje się agresywnie wobec nich, ale to nic nie znaczy. Wydaje się bardzo zdeterminowana. W zeszłym tygodniu występ był w teatrze z żelazną kurtyną. I pomimo tego się przecisnęła. Najbardziej się martwię o to, że mi coś zepsuje. Albo że sama robi sobie coś złego.

Ola uniósł brwi. Vincent poprawił stertę kostek Rubika i talii kart z obrazkami przedstawiającymi znanych ludzi.

– Nie wydaje się to zbyt zdrowe – zauważył Ola.

– I dlatego tu jesteś.

– Nie rozumiem – powiedział Ola, krzyżując ręce na piersi. – Przez całą resztę tej trasy mogę pilnować, żeby na scenę nie wchodził nikt nieupoważniony. Ani podczas przedstawienia, ani po nim. Taką mam pracę. Ale jeśli ona tak bardzo chce się z tobą spotkać, to dlaczego nie idzie po prostu do wejścia dla artystów, żeby tam na ciebie czekać? Przecież prędzej czy później wyjdiesz tamtędy.

Vincent wolałby, żeby Ola – choćby nawet nie mięśniak – nie krzyżował ramion. Nic tak mocno nie sygnalizowało ochroniarza jak to. Zresztą są badania wskazujące, że kiedy człowiek krzyżuje ramiona, gorzej przyswaja sobie

informacje albo słowa, jakie są do niego kierowane. Mózg automatycznie zwraca się wtedy do wewnątrz. A Ola powinien zrozumieć.

– Potrzyмай to przez chwilę – powiedział, podając mu jedną z talii.

Wystarczyło, żeby Ola otworzył ramiona.

– Pomyślałem to samo – ciągnął Vincent. – Dlaczego nie idzie do wejścia dla artystów? Na myśl przychodzi mi tylko jedno: jej zachowanie nie jest zaplanowane. Mimo że je powtarza. Ogląda całe przedstawienie, dziś wieczorem może po raz dziesiąty, i kiedy następuje koniec, budzi się w niej tak przemożny odruch, by wejść na scenę, że nie może się powstrzymać. Nie zamierzała tego od początku, ale nagle jest przekonana, że tym razem może się udać. – Spojrzała na Olę. – Definicja szaleństwa brzmi tak, że powtarzamy dokładnie to samo co wcześniej, wierząc, że teraz rezultat będzie inny niż poprzednim razem. Nie widzę innego wyjaśnienia jak to, że ta kobieta boryka się z pewnymi umysłowymi... wyzwaniem. W dodatku otrzymałem to.

Z kieszeni marynarki wyjął pogniecioną kopertę.

– List? – zdziwił się Ola. – Ludzie je wciąż wysyłają?

– Najczęściej są to osoby starsze – odparł Vincent. – Ale nie w tym przypadku.

Rozwinął częściowo list, żeby Ola mógł przeczytać. Wprawdzie był bardzo żarliwy, jednak ręka, która trzymała pióro, na pewno się nie trzęsła. Przeciwnie, pismo wydawało się niemal chłodne.

Oglądałam Cię w Nyhetsmorgon. Występowałeś z Jenny i Steffo. I jak zwykle posyłałeś mi bardzo wyraźne sygnały. Szkoda, że ich wcześniej nie odczytałam. Masz rację, należymy do siebie.

– Ojej. – Ochroniarz pokręcił głową.

– Na razie mamy tylko do czynienia z osobą zagubioną, która swoje potrzeby projektuje na pana z telewizji – powiedział Vincent. – To znane zjawisko psychologiczne. Takie osoby są przekonane, że ludzie, których widzą w telewizji, nawet postaci z seriali, są ich prawdziwymi przyjaciółmi. A odkąd dzięki usługom streamingowym całe sezony można oglądać jednym ciurkiem, zjawisko stało się jeszcze częstsze. Po prostu mózg nie jest tak skonstruowany, żeby odróżnić prawdziwe związki od zmyślonych. Przy lekkiej depresji takiej osoby ten jednostronny związek staje się wręcz niezbędny do życia. Może nawet, jak w przypadku autorki tego listu, zostać uznany za dwustronny.

– Czyli sądzisz, że list jest od kobiety, która przychodzi na twoje przedstawienia?

– Nie wiem. Może. Gdyby tylko o to chodziło, nie niepokoiłbym się. Jednak to już drugi list od tej osoby. Jeden mogłaby jeszcze wysłać pod wpływem

chwilowego zagubienia, ale dwa sprawiają wrażenie planu. Nie przeczytałeś jeszcze całości. I właśnie przez ten dalszy ciąg czasem nie mogę spać.

Rozwinął list do końca. Ola wytrzeszczył oczy.

Od tamtej pory nie było cię już w Nyhetsmorgon. Na tyle dawno, że to nie może być przypadek. Kiedy do mnie w końcu dociera, że należymy do siebie, ty się ode mnie odwracasz. Nie zamierzam tego akceptować.

– Żadnego wyjaśnienia, co przez to rozumie – zauważył Vincent. – Ani na ile poważna jest ta groźba. Wiem, że mogę się wydawać zarozumiały, „artycha”, któremu sława uderzyła do głowy. I nie wiem, czy ta kobieta jest rzeczywiście niebezpieczna. Nie jest to jednak osoba, z którą chciałbym się spotkać. Plus to, że nikomu nie wolno znajdować się na scenie z rekwizytami, gdy mnie tam nie ma.

Ola oddał mu karty.

– Nie bój się, że wydasz mi się nadęty – powiedział. – Niektórzy bywają naprawdę dziwni. Pracowałem podczas występów zespołu Sannex¹¹. Tam to dopiero są fani. Twoja stalkerka to przy nich pikuś.

JULIA ZAJRZAŁA do pokoju Rubena.

– Rzuć wszystko, nieważne co, i przyjdź do salki konferencyjnej – poleciła i poszła, zanim zdążył coś powiedzieć.

Ruben spojrział na esemesa, którego właśnie starannie układał.

Sofie, wczorajsze spotkanie było bardzo emocjonujące. Niestety dostałem przydział do tajnego zadania za granicą na pół roku. Ale z przyjemnością odezwę się do ciebie po powrocie. Chodzi o to, żeby od początku zaznaczyć dystans. Jak się muszą trochę postarać, to potem lecą do niego na wyścigi. To zawsze działa. Trzeba by jeszcze dodać coś seksownego na koniec. Może że nie wiadomo, czy przeżyje?

– Ruben! – przywołała go z korytarza Julia.

Westchnął i przytrzymał kursor, żeby wiadomość się skasowała. Brak odpowiedzi to też całkiem skuteczna strategia.

W salkie konferencyjnej czekali już Mina, Christer, no i Julia. Peder pewnie śpi w jakimś kącie. Julia miała lekko rozpalone policzki, jakby biegła. Bo rzeczywiście biegła. Jednak Ruben wolał wyobrazić sobie, że powód jest inny. Kiedyś już widział u niej takie policzki. Miała wtedy znacznie mniej ubrań na sobie, a on leżał pod nią, trzymając ręce na jej biodrach. Usiadł i odpalił zadowolony uśmiech w jej stronę, co kompletnie zignorowała.

Ciekaw był, o co chodzi z tym zebraniem i dlaczego takie pilne. Przecież zaledwie godzinę wcześniej zorganizowali krótkie omówienie, podczas którego Mina poinformowała o ekshumacji zwłok Agnes Ceci.

– Już wiadomo, kim była kobieta w skrzyni – oznajmiła Julia, stojąc przy krótszym boku stołu. – Tuva Bengtsson, lat dwadzieścia pięć, zamieszkała w Hägersten. Najbliższa rodzina to jej dziadkowie ze strony matki i trzyletni syn Linus. Rodzice od dawna nie mieszkają w Szwecji – dodała, jakby odpowiadając na uniesienie brwi przez Christera. – Właśnie przesłuchaliśmy tych dziadków, zaświadczyli, że ojciec Linusa, były partner Tuvy, jest w Londynie, i to od trzech lat. Oczywiście sprawdzimy to. Nie mamy żadnych informacji o jej znajomych

czy przyjaciółach, ale pracowała w kawiarni pod nazwą Fab Fika w Hornstull, najbliższy kolega to niejaki Daniel. Nie mamy jego nazwiska.

– To ja już jadę do tej kawiarni – powiedziała Mina, zanim Ruben zdążył otworzyć usta.

Julia zrobiła minę, jakby się wahała. Oparła się rękami o stół, Ruben nie mógł nie zauważyć ładnej krągłości jej pupy, kiedy się trochę pochyliła. Usiłował wypatrzeć brzeg majtek pod dzinsami, ale nic nie zobaczył. Na pewno włożyła stringi. Nie zdziwiłby się, gdyby zrobiła to ze względu na niego.

– Pewna jesteś? – zwróciła się do Miny. – Jesteś pod wieloma względami świetna, ale nawiązywanie nowych kontaktów nie jest może twoją mocną stroną? Będziesz musiała rozmawiać z osobami, które nie wiedzą, że Tuva nie żyje, i nie powinnaś im tego mówić.

– Julia, no nie bądź taka – odezwał się Ruben. – Mina, taka ciepła i mięciutka. Ja pojedę zamiast niej. Przede mną się każdy otworzy. Jak wiesz.

Spojrzał znacząco na swoją szefową.

– Ruben, właśnie mnie przekonałeś. Pojedzie Mina.

Mina kiwnęła głową, wstała i szybko wyszła z salki.

– A wy dwaj postaracie się znaleźć jakieś informacje na temat Tuvy Bengtsson – zwróciła się do Christera i Rubena, którzy też wstali. – Numery PESEL i inne dane znajdziecie jak zwykle w DurTvå ¹².

Ruben ruszył do drzwi, ale Julia zatrzymała go, kładąc mu rękę na ramieniu. Odczekała, aż Christer znajdzie się na korytarzu.

– Ruben – powiedziała cicho. – Wiem, że według ciebie kobiety uważają cię za dar z niebios. Ale jeszcze jedna taka uwaga, a „praca zdalna” nabierze w twoim przypadku zupełnie nowego znaczenia. Jeśli w ogóle będziesz miał pracę. Dostałeś wiele szans, ale ten zespół może się okazać ostatnią z nich. Nie wydaje mi się, żeby policja mogła ci jeszcze zaoferować jakiś kurs antydyskryminacyjny.

Puściła jego ramię i wyszła na korytarz. Ruben gapił się za nią, ale już mu się odechciało patrzeć na jej pupę. Agresywne kobiety są cholernie nieatrakcyjne.

ABY Z GMACHU POLICJI dotrzeć do Hornstull, wystarczyło przejechać przez Västerbron. Mogłaby tę odległość pokonać pieszo, ale i tak pojechała samochodem. Znalazłszy się w Hornstull, po prawej stronie zobaczyła Fab Fika. Słońce odbijało się w szybach, uniemożliwiając zjrzenie do środka. Minęła kawiarnię i pojechała dalej w stronę Gullmarsplan, żeby zabrać stamtąd Vincenta. Zadzwoiła do niego zaraz po zebraniu, bo chciała, żeby jej towarzyszył podczas spotkania z Danielem. Niech sobie tamci mówią, co chcą, ale Vincent potrafi w zachowaniu Daniela dostrzec coś, co jej mogłoby umknąć. W takiej sytuacji zawsze przydaje się obserwator, a Rubena jakoś nie widziała w tej roli. Zresztą w obecności Vincenta praca była znacznie fajniejsza.

Stała na placu i od razu go zauważyła. Miał na sobie czarną marynarkę i czarny golf. Brązowe buty. Uśmiechnęła się. Choćby się starał, nie mógłby jeszcze bardziej wyglądać na mentalistę. Albo tajniaka. W każdym razie z serialu. Będzie musiała mu powiedzieć, żeby zmienił kanał. Vincent dostrzegł ją i na jego twarzy wykwitł uśmiech.

– A więc spotykamy się z tym gościem – powiedział, wsiadając. – Jest podejrzany?

– Mnie również jest miło cię widzieć – odparła znacząco. – Jak się masz? Twój samochód dobrze chodzi?

W pierwszej chwili się zmieszał, a potem zmarszczył brwi.

– Przepraszam. Oczywiście, że chcę wiedzieć, jak się masz. Przez telefon mówiłaś z takim entuzjazmem, że mi się udzieliło. A więc cześć, cześć, Mina.

– Cześć, Vincent.

Wyjechała z placu i zawróciła w stronę Hornstull. Vincent poprawił się na fotelu, na którym zaszeleścił plastik.

– Masz... folię plastikową na siedzeniu? – zdziwił się.

– Żeby nie poplamić, kiedy morduję ludzi w samochodzie. Zgadnij, dlaczego cię tam posadziłam.

Vincent wybuchnął śmiechem, a Mina skupiła się na ruchu ulicznym.

– Sorry – powiedział. – A więc czego spodziewasz się dowiedzieć od kolegi Tuvy z pracy?

– Boję się, że niewiele mi powie o Tuvie. Kiedy przesłuchujemy osoby najbliższe ofiar, zwykle okazuje się, że wiedzą o nich zaskakująco mało, o tym, jak żyją, czy raczej żyły. Ich relacje rzadko są zgodne z tym, co wynika z przeszukania mieszkania ofiary.

– Co was tam interesuje? – spytał, przytrzymując się fotela, bo Mina szybko zmieniła pas na Gullmarsbron.

– Cóż, jeśli w lodówce jest mało jedzenia, znaczy to, że często jadają poza domem. Daje to dość przewidywalny wzorzec zachowań i okazję do spotkania obcych ludzi, na przykład mordercy. A nieobecność pewnych artykułów żywnościowych w lodówce daje pojęcie, czy poza domem jedzą śniadanie, czy raczej kolację. Trzeba się wczuć. Instrumenty muzyczne albo namalowany do połowy obraz opowiadają o jakimś hobby. Tuva i Agnes mogły należeć do tego samego stowarzyszenia albo chodzić na ten sam kurs, gdzie mogły spotkać mordercę. Pewnym wskaźnikiem są też zabawki erotyczne.

– Zabawki erotyczne? – zdumiał się.

Mina wzruszyła ramionami. Sama dawno temu przestała się dziwić rzeczom znajdowanym w mieszkaniach u ludzi. Trzeba tylko przygotować się psychicznie, zanim się zajrzy pod łóżko albo do wnek w wezglowiu. Najgorsze było, kiedy znaleźli tylko rolkę papieru toaletowego. Od razu wiedzieli, że będą inne dobrze schowane rzeczy.

– Wiemy, że Tuva była samotną matką – powiedziała. – Nic nam nie wiadomo, czy Agnes była w jakimś związku. Jeśli znajdujemy zabawki erotyczne z tematu dominacji, może to świadczyć o sposobie życia, który znajduje ujście w uczęszczaniu do specjalnych klubów. Miejsc, gdzie mogli chodzić, a czasem spotkać mordercę.

Vincent pokiwał głową w zamyśleniu.

– Tak, umiejętności Sherlocka Holmesa zostały chyba przecenione – powiedział – ale faktem jest, że Brunswick już w 1956 roku sformułował pewien model psychologiczny dotyczący związku między przedmiotami, którymi się otaczamy w naszych domach, a tym, jak nas przez to postrzegają inni. Baumeister i Swann napisali potem sporo tekstów o tym, jak podczas urządzania mieszkania komunikujemy poprzez symbole, a Sam Gosling udokumentował w 1997 bezpośredni związek, jaki zachodzi między różnymi typami osobowości a konkretnymi przedmiotami trzymanymi przez nich w sypialniach. Superciekawa sprawa.

Mina rzuciła mu szybkie spojrzenie.

– I w tym miejscu powinnam ci przypomnieć, dlaczego się niespecjalnie szlajałeś w młodości – powiedziała, skręcając w Ringvägen.

Znalazła się za jakimś volvo z tabliczką nauki jazdy, sunącym z prędkością trzydziestu kilometrów na godzinę. Typowe.

– Niezależnie, co odkryjecie – odezwał się – jest jeszcze jeden element świadczący o tym, że mogły prowadzić podobny styl życia. Morderstwa nastąpiły o mniej więcej tej samej porze dnia, o czternastej i piętnastej. Wydaje mi się, że musiało do nich dojść w podobnych miejscach. Może Tuva i Agnes jadały lunch w tej samej restauracji.

Przytaknęła. Byłby z niego niezły policjant, mimo tych czarnych ciuchów.

– Też mi to przyszło do głowy – powiedziała. – Peder ma sprawdzić spisy dań na wynos, na pewno miały w swoich kuchniach takie listy. Może okażą się takie same.

Kątem oka zobaczyła, jak Vincent otwiera teczkę i wyjmuje skoroszyty, które mu dała bez wiedzy swoich kolegów. Zaczął czytać raporty Miny.

– Jakoś mi się nie składa – powiedział. – Chodzi o ten profil. Tyle sprzeczności.

– Jak odbierają to u ciebie w domu? – spytała. – Mam na myśli, że w tajemnicy pomagasz policji?

Vincent zamknął skoroszyty i patrzył na nią przez dłuższą chwilę. Skręciła w Hornsgatan, a volvo pojechało w przeciwną stronę. Nareszcie. Za minutę, dwie będą już w Fab Fika.

– Zacznijmy od tego, że nie pomagam policji – powiedział. – Twoi koledzy jasno to wyartykułowali. Pomagam tobie. Z przyjemnością. A rodzina... Powiem tak. Benjamin uważa, że to bardzo ciekawe. Dla Rebecki, cokolwiek robię, to żenada. Astona nie interesuje nic, co nie jest związane z lego. A Maria... to Maria.

– Mogę zgadywać? W najbliższym czasie raczej nie zaprosi mnie na kawę.

Rozejrzała się za miejscem do parkowania. Gdyby przyjechała radiowozem, mogłaby stanąć gdziekolwiek. Jednak w takich sytuacjach samochód cywilny był lepszy. Wolała nie wystraszyć niepotrzebnie Daniela. Znalazła wolne miejsce i wyłączyła silnik. Fab Fika znajdowało się zaledwie sto metrów dalej.

– Można tak to ująć – potwierdził Vincent. – A teraz Daniel. Jaką przyjmujemy strategię?

– Ja gadam, ty obserwujesz. Ale bądź gotów na wszystko.

DANIEL ZMRUŻYŁ oczy, patrząc przez okno kawiarni przy Hornstull. Gdy słońce świeciło prosto na szyby, jak w tym momencie, widać było, jakie są brudne. Tuva z reguły odprawiała zagląających do nich czyścicieli okien, wolała robić to sama. A Daniel nie miał nic przeciwko temu, dopóki sam niczego nie musiał. Jednak Tuva od dawna nie mogła umyć okien. W ogóle niczego nie robiła, bo nie wiadomo było, gdzie jest. Westchnął. Zauważył, że goście spoglądali z dezaprobatą na brudne okno, i domyślał się, że ta robota spadnie na niego. Brud będzie tym bardziej widoczny, im na dworze będzie bardziej wiosennie. Wypłukał mocno używaną ścierkę i zaczął ścierać ladę dzielącą go od klientów. Spojrzał na odbicie swoich rozjaśnionych włosów w szklanym blacie i uśmiechnął się z zadowoleniem. Podobało mu się.

Otworzyły się drzwi, weszli mężczyzna i kobieta. Od razu wiedział, że nie są zwyczajnymi klientami. Mężczyznę znał skądś, ale nie wiedział skąd. Na pewno żaden stały klient. Może z telewizji? Z sieci?

Kobieta podeszła prosto do niego, mężczyzna został z tyłu.

– Daniel? – spytała.

Kiwnął głową. Ładna, ale o takim surowym typie urody. Jego wycięcie w czarnym T-shircie chyba nie zrobiło na niej wrażenia. Zamiast tego wpatrywała się w ścierkę w jego ręce. Najwyraźniej walczyła ze sobą, przetykając ślinę.

– Mina Dabiri, policja – powiedziała, wyciągając do niego rękę. – Pracuje pan z Tuwą?

Kurde, cholera, a niech to. Policja. Na pewno nie wyniknie z tego nic dobrego. Puścił ścierkę, żeby wziąć jej rękę, ale cofnęła ją jak oparzona. Podejrzana lala. Zerknął na pozostałych gości kawiarni. Potem kiwnął na nią, żeby przeszła za nim na koniec lady. Mężczyzna poszedł za nimi. Ech.

– Czy ona ma kłopoty? – spytał cicho, starając się, żeby zabrzmiało to obojętnie.

Byle nie powiedzieć czegoś niewłaściwego. Każde słowo powinno trafić w punkt. Dokładnie. Ton też nie powinien być nieodpowiedni.

Kobieta wymieniła spojrzenia z mężczyzną. Wiedzieli coś.

– Właśnie, cześć – powiedział, podając rękę tamtemu. – Jestem Daniel.

– Vincent Walder. – Mężczyzna potrząsnął nią.

Zrobił to w sposób dziwnie wystudiowany, jakby starannie to przemyślał. Daniel nie miał czasu się nad tym zastanawiać. Musiał dowiedzieć się, co oni już wiedzą. Inaczej będzie bez szans.

– Tuva została zgłoszona jako zaginiona – odezwała się ta ładna. – Rozmawiam ze wszystkimi, z którymi była, jest, blisko. Jej dziadkowie powiedzieli, że pracowała tutaj, i podali nam pana imię. Więcej nie mogę powiedzieć. A pan co słyszał?

– Że zaginęła. – Odetchnął, ale miał nadzieję, że nie było tego widać. – Wiem tylko jedno, to znaczy, że dziadkowie Tuwy, Gunnar i Märta, zadzwonili tu kilka dni temu. Napijcie się kawy?

Policjantka pokręciła głową przecząco, ale mężczyzna z przyjemnością wziął od niego espresso.

– Zna pan Gunnara i Märte? – zdziwiła się policjantka.

– Czasem przychodzą tutaj z Linusem – wyjaśnił. – Tuva nie odebrała Linusa ze żłobka, nie można było się do niej dodzwonić. W końcu ze żłobka zadzwonili do babci Tuwy, która go odebrała. Tuva podobno miała jechać na jakąś akcję Greenpeace’u, Märta pomyślała, że widocznie z Gunnarem pomylili daty, bo to ich kolej, żeby opiekować się Linusem. Mnie nie mówiła nic na ten temat, ale nie pierwszy raz. Tak czy inaczej, od tamtej pory przychodzili tu z Linusem co tydzień. A ja musiałem pracować na okrągło. Jestem wykończony. Moja dziewczyna nie jest zachwycona, że pracuję wieczór w wieczór. Miałem wyjechać na Wielkanoc razem z Evelyn. No ale Tuva zaginęła. To zupełnie do niej niepodobne.

Nie podobało mu się, że ten facet, Vincent Walder, trzyma się z tyłu i obserwuje go bez słowa. Daniel czuł się, jakby stał przed reflektorem, w którego świetle nic się nie ukryje.

– I nie przychodzi panu do głowy, co jej się mogło stać? – spytała policjantka, nie interesując się tym, że stracił ileś wieczorów z rzędu z Evelyn, bo musiał zastępować Tuwę.

– Nigdy by dobrowolnie nie opuściła swojego synka – odparł. – Przypuszczam, że sprawdziliście szpitale?

Policjantka przez mgnienie oka zawahała się. Tego mu było trzeba. Przywołał swój najbardziej uroczy i niewinny uśmiech. Musi mieć ją po swojej stronie, musi się dowiedzieć. Podczas poprzedniego przesłuchania mało brakowało. Nie chciał problemów. Jednak właściwy moment minął.

– Na razie nic nie wiadomo – powiedziała i podała mu wizytówkę. – Gdyby pan się czegoś dowiedział albo na coś wpadł, może pan dzwonić o każdej porze – powiedziała. – Omijając centralę, bo to moja prywatna komórka.

Prywatna? Podrywa go? Uśmiechnął się lekko, żeby sprawdzić, czy z jej strony będzie odzew, ale tylko spojrzała gniewnie.

– Właśnie, macie tu kamery? Może zostały nagrania z czasu przed zaginięciem Tuwy?

Daniel pokręcił głową. Nagranie z monitoringu. W takiej zasranej kafejce! Policjantka spojrzała na niego z wyraźnym rozczarowaniem. A potem powiedzieli „cześć”, mężczyzna otworzył jej drzwi i wyszli. Patrzył za nimi przez brudne szyby. Odczekał, aż znikną z jego pola widzenia. Potem złapał kurtkę, wypadł na ulicę i pobiegł w przeciwną stronę. Kafejka była w tym momencie najmniejszym z jego problemów.

– No i co? – odezwała się Mina już w samochodzie.

Nie włączyła silnika i odwróciła się do Vincenta.

– Widzę, że coś jest. Podzielisz się tym ze mną?

Vincent nie odpowiedział od razu, tylko zaczął szukać czegoś w torbie.

– On nie kłamie – powiedział – ale to nie znaczy, że mówi całą prawdę. Zauważyłaś, że mówiąc o Tuvie, ani razu nie użył słowa „ja”? Wypowiedział je tylko jeden jedyny raz, ale w zdaniu, że bardzo dużo pracuje. Wyłączenie z rozmowy samego siebie to technika dystansowania, robi się to, gdy coś staje się zbyt emocjonalne albo kiedy się kłamie.

Znów wyciągnął dwa skoroszyty.

– A więc pojawia się pytanie, dlaczego rozmowa o Tuvie miałyby być emocjonalnie nieprzyjemna? Na czym Daniel wolałby nie zostać przyłapany?

Podał jej skoroszyty.

– Pamiętasz, że zarówno Tuwa, jak i Agnes były singielkami – ciągnął. – Żadna nie miała stałego partnera. Tuwa mieszkała z synkiem Linusem, jej były partner zniknął bez śladu trzy lata temu, również jej rodzice mieszkają od paru lat za granicą. Agnes dzieliła mieszkanie z osobą, która została przesłuchana kilka miesięcy temu.

Mina skinęła głową. Czytała te papiery ze sto razy.

– Kiedy byliśmy w kawiarni, nic nie powiedziałem, w razie gdybym się mylił – powiedział. – Ale nie myliłem się. Mina, możesz opisać osobę, z którą Agnes dzieliła mieszkanie?

Nie musiała szukać daleko w pamięci, by przypomnieć sobie opis ze skoroszytu.

– Brązowe włosy – zaczęła. – Kręcone, bujne, facet po dwudziestce, szczupły, ale dobrze zbudowany, co ciekawe, facet, a nie kobieta, jak początkowo

zakładaliśmy, kiedy okazało się, że dzieli z kimś mieszkanie. O ile wiadomo, nie łączył ich żaden romantyczny związek. To on znalazł Agnes. Nazywał się...

Otworzyła szeroko oczy, kiedy sobie to uświadomiła.

Vincent przytaknął.

– Włosy można obciąć i rozjaśnić – zauważył.

– Ten współlokator Agnes nazywał się Daniel Bargabriel. I właśnie z nim rozmawialiśmy – powiedziała.

Wyskoczyła z samochodu i pobiegła z powrotem do kawiarni.

VINCENT ZAPUKAŁ do drzwi starszego syna.

– Benjamin?

Bez odpowiedzi. Prawdopodobnie ma słuchawki na uszach. Vincent otworzył drzwi bez pozwolenia, świadom, że jest to wtargnięcie. Benjamin rzeczywiście siedział przed komputerem w słuchawkach, ubrany tylko w szlafrok. Na widok ojca zdjął słuchawki i zatrzymał grę. Na ekranie pojawiło się logo z tekstem *Path of Exile*. Benjamin spojrzał na ojca spod uniesionej brwi. W miarę możliwości starał się unikać słów.

– No wiesz co – odezwał się Vincent na widok szlafroka.

Odezwał się w nim ojciec, mimo że Benjamin miał dziewiętnaście lat i był wystarczająco inteligentny, żeby w szkole podstawowej przeskoczyć jedną klasę. Właściwie miał prawo decydować o sobie. Właściwie. Bo dopóki mieszka w domu, obowiązują go pewne reguły.

– Niedługo szósta wieczorem – ciągnął Vincent – a ty się jeszcze nie ubrałeś. O której wstałeś?

– Nie wiem. Ze dwie godziny temu.

– Spałeś do czwartej?! Przecież to siedemnaście godzin. A szkoła?

Benjamin spojrzał na niego jak syn, który uważa, że przerósł ojca. Vincent nigdy nie potrafił tak spojrzeć, bo w tym sensie nie miał ojca, a jednak zrozumiał.

– Tato, chodzę na uniwersytet. Szkoda czasu i pieniędzy na jazdę aż do Kista¹³, skoro wszystkie wykłady są w sieci. Dzisiejszy wykład już obejrzałem. I zapamiętałem.

Vincent miał ochotę spytać, kiedy Benjamin ostatnio wietrzył swój pokój, bo panował tu zaduch jak od padłych zwierząt. Potrzebował jednak pomocy syna, tymczasem groziło mu, że ten go zaraz wyrzuci.

Chodziło o znalezienie jakiegoś związku między obiema ofiarami. Jakiegoś wzorca, którego do tej pory nie dostrzegli. Spodziewał się, że w odróżnieniu od niego Benjamin będzie miał lepsze rozeznanie w sposobie życia młodych ludzi.

Tuva i Agnes były wprawdzie o kilka lat starsze od jego syna, ale domyślał się, że ich świat był bardziej podobny do świata Benjaminu niż jego.

Numery na zwłokach i zmiażdżone zegarki wzbudziły w nim przekonanie, że będzie więcej odkryć, że w samych okolicznościach morderstwa zawarty jest jakiś komunikat. Vincent był w tym dobry, ale Benjamin uchodził za eksperta. Umiał bez wysiłku odczytać kod binarny i napisać program komputerowy, który ewentualnie będzie im potrzebny do rozwikłania tej historii. Przekazał już Benjaminowi niewielką porcję informacji, jaką dostał od Miny, i miał nadzieję, że coś z tego będzie.

– A tak w ogóle chciałeś czegoś? – Benjamin znacząco kiwnął głową w stronę zatrzymanej gry.

Vincent zamknął drzwi za sobą, pozostała część rodziny nie musi słyszeć.

– Chciałbym się dowiedzieć, jak ci idzie – powiedział, siadając na krześle, z którego najpierw zdjął grubą książkę na temat JavaScript i drugą z zasadami do *Warhammer 40000*.

– Nie otrzymałem zbyt wielu danych – odparł Benjamin. – Pewien jesteś, że nie masz dla mnie więcej informacji?

– Niestety. – Vincent pokręcił głową. – Znamy ich imiona i nazwiska. Tuva Bengtsson i Agnes Ceci. Wiemy, jak wyglądały, czym się zajmowały i gdzie mieszkały. Czas zgonu znamy z rozbitych zegarków i domyślamy się, że jest istotny, ale to wszystko.

Po całej podłodze pokoju walały się ubrania, nie wiadomo, czyste czy brudne, Vincent nie miał innego wyboru, jak stawiać na nich stopy.

– W dodatku – dodał – zostały naznaczone rzymskimi cyframi trzy i cztery.

– Chyba że są to tylko nacięcia.

Benjamin zebrał książki, które Vincent zdjął z krzesła, i ustawił je na półce. Najwyraźniej dbał o nie bardziej niż o swoje ciuchy.

– Oczywiście – przyznał Vincent. – Policjanci w zespole nie byli przekonani, że chodzi o cyfry. Jednak założymy, że to nie jest przypadek.

Benjamin podrapał się w głowę. Vincent wciąż czekał, kiedy przyjdzie ten dzień, gdy Benjamin przeciągnie grzebieniem przez włosy.

– Dobrze by było wiedzieć, czy znały mordercę – stwierdził.

Vincent zaśmiał się.

– Cóż, to by wiele rozwiązało, ale na dziś nic nam o tym nie wiadomo. Chociaż tak. Jest taki facet, który znał je oboje.

– A więc jednak.

– Też tak myślałem. Tylko że byłem dziś w kawiarni, gdzie pracuje. Wolałbym, żeby wydał mi się psychopatą, ale nie odebrałem go w ten sposób. Jest dziwny, ale chyba kryje się za tym coś innego. Oczywiście wszystko jest

jeszcze możliwe, zważywszy na to, jak mało wiemy. Przy tak wątkach podstawach zostaje wiele możliwości i pola do spekulacji.

– Tato, wiesz, co mówi zasada brzytwy Ockhama.

– Że jeśli istnieje wiele wyjaśnień jakiegoś zjawiska, należy wybrać najprostsze.

– Więc...?

– Ten gość nie jest najprostszym wyjaśnieniem. On tylko na takie wygląda. Może być częścią wyjaśnienia, ale nie całości. Daj spokój z Ockhamem i udaj, że nie mówiłem nic o tym facecie.

– Okej. Zabierzemy się do tego w sposób systematyczny.

Benjamin otworzył program przypominający Excela, tyle że w środkowej części były fotografie obu zamordowanych kobiet. Tuvy i Agnes. Benjamin kliknął na ich twarze, powiększając je na cały ekran.

– Z wyglądu są zupełnie różne – zauważył. – A więc ten trop można od razu odrzucić. Trzeba znaleźć jakiś inny łącznik między nimi. Poza nieprawdopodobnie oczywistym, jakim jest wspólny znajomy. Sprawdziliście mapy ich ruchów w miesiącach poprzedzających ich śmierć?

– Masz na myśli GPS i ich komórki? Wydaje mi się, że należy to do policyjnego standardu. Do tego nie jestem potrzebny Minie.

Syn rzucił mu dziwne spojrzenie.

– Dobrze. Bo nawet jeśli nie bywały w tych samych miejscach, mogły to być miejsca podobne. Co byłoby jakimś tropem. A nawet gdyby nie, można by porównać aplikacje zdrowotne, które ludzie miewają włączone na stałe. Może ćwiczyły. W takim razie miałyby przewidywalny schemat poruszania się.

– Aplikacja zdrowotna? – powtórzył z zastanowieniem Vincent.

O tym nie pomyślał. Wychodziła tu wyraźnie różnica pokoleniowa, osoby w wieku Benjamina automatycznie myślą o tym, że smartfon rejestruje wszystko, co robimy, nawet jeśli trzymamy go tylko w kieszeni. Może policjantka też o tym nie pomyślała. Napisał krótkiego esemesa do Miny. Odpowiedź piknęła mu w dłoń, zanim jeszcze schował telefon do kieszeni.

– Co ci odpowiedziała?

Nie mówił Benjaminowi, z kim esemesuje, ale brudne ciuchy, na których oparł stopy, bynajmniej nie dowodziły tępoty jego syna. Przeczytał wiadomość i zaśmiał się.

– Że z oczywistych względów sprawdzają takie rzeczy. „Na ludzi, którzy uprawiają jogging, jest najłatwiej się zacząć, bo w dzisiejszych czasach wszyscy słuchają podcastów”. Dalej napisała, że pomogłoby im, gdyby mieli telefon Tuvy. Wydaje mi się, że ten emotikon z półśmiechem na końcu jest sarkastyczny.

Benjamin spojrział na niego ze zdziwieniem.

– Tuva nie miała przy sobie telefonu?

– Kiedy ją znaleziono, była rozebrana do bielizny.

Jego syn pokręcił głową. Niewykluczone, że możliwość utraty smartfona wydała mu się jeszcze gorsza od tego, że zostałyby rozebrany i przebity mieczami. Nagle przez drzwi przedarł się głos Astona.

– Ja chcę trzy łyżeczki O’Boya, nie dwie! – wrzeszczał.

Vincent uśmiechnął się. Przynajmniej ktoś w tej rodzinie dostanie dziś to, czego chce. Spojrział jeszcze raz na obie twarze na monitorze komputera Benjamin. Dwie młode kobiety, już nieżyjące. Poddane strasznym rzeczom. A on się zastanawia, czy uprawiały jogging. Co za absurd. Przesunął wzrok na półkę z figurkami Warhammer, które Benjamin jeszcze kilka lat temu tak starannie pomalował. Nie miał siły patrzeć na niewypowiedziane pytanie w oczach na ekranie. Drzwi otworzyły się gwałtownie i do pokoju wpadł Aston z buzią brudną od kakao.

– Co robicie? – zawołał radośnie. – Myśmy z mamą właśnie zjedli coś słodkiego, a was to ominęło.

– Pukaj przed wejściem! – krzyknął Benjamin.

Aston rzucił się do ekranu komputera, z którego patrzyły Agnes i Tuva, nieświadome faktu, że nie żyją.

– Kto to jest? – spytał Aston. – Tato, czy to są twoje koleżanki?

W drzwiach pojawiła się Maria.

– Jakie koleżanki? – spytała, mrużąc oczy i patrząc na ekran. – Boże, dopomóż, Vincent, przecież one nie mają nawet trzydziestki!

– Maria! – krzyknął Benjamin, który aż poczerwieniał na twarzy i zaciągnął mocniej poły szlafroka. – My tu pracujemy!

Vincent odchylił się na krześle i zamknął oczy. Dziś już nie zrobią żadnych postępów.

– Tak czy inaczej, jedzenie na stole – oznajmiła Maria kwaśno. – Jak już skończycie z tym portalem randkowym.

– A więc słodkie było tuż przed obiadem? – odezwał się Vincent i znacząco unióśł brwi.

Maria spojrzała na niego ze złością. Oboje wiedzieli, że Aston owinął sobie mamę wokół palca. Zresztą działało to w obie strony, bo Vincent chyba nigdy nie miał tak bliskiej relacji z Benjaminem i Rebecką jak jego żona z Astonem.

– Dawniej też była taka? – spytał Benjamin, kiedy Maria już wyszła. – Kiedy się poznaliście?

– Wydaje mi się, że ona nie ma świadomości, jak to wygląda – odpowiedział Vincent. – Na pewno chce być serdeczna i tolerancyjna. Przecież widzisz, jaka

jest troskliwa dla Astona. W każdym razie jaka jest najczęściej. Ale wydaje się, że już nie starcza jej sił na więcej.

– Spędza za dużo czasu na stawianiu tarota... – prychnął Benjamin. – Mama zawsze pęka ze śmiechu, kiedy jej to opowiadam.

– Mógłbyś się postarać i być dla niej miły. Ona naprawdę nie ma na myśli nic złego.

Benjamin kiwnął głową, odwrócił się do komputera i położył dłonie na klawiaturze. Vincent podniósł się, żeby wyjść.

– Tato, jeszcze jedno. Daty morderstw. Godziny. Sprawdziłeś, czy da się przełożyć na coś innego? Na przykład litery?

Vincent przytaknął. Zdążył już o tym pomyśleć. Wydawało mu się, że złapał jakiś trop, kiedy uzmysłowił sobie, że pierwsze morderstwo, to dokonane na Agnes, nastąpiło 13 stycznia o godzinie 14.00. Można by to przełożyć na trzynastą, pierwszą i czternastą literę alfabetu, co daje słowo M-A-N. Dziwne, bo Agnes była kobietą. Zastanawiał się, czy morderca chce przekazać coś na temat tożsamości płciowej. Mocno wymuszony wniosek i zniweczony przez morderstwo Tuvy z 20 lutego o godzinie 15.00. Cyfry 20-2-15 przełożone na litery dały T-B-O. Najbliższe skojarzenie to *To Be Ordered. Turbo. To Be hOnest*. Znaczenie nieistotne w tym przypadku.

– Tak, ale nic mi to nie dało – odparł.

– Okej, będę to dalej sprawdzał. Spróbuję przełożyć binarnie i zobaczę, co to da. Wszystkie te cyfry są palindromami liczbowymi, ale z różnych systemów. Kto wie, może istnieje jakaś sekwencja liczbowa, na przykład 13-1-14-20-2-15, jako część czegoś większego, i mogłaby coś dać. Mogą to również być współrzędne jakiegoś miejsca. Jak na mapie.

– Wydaje się logiczne – odpowiedział Vincent. Nie miał serca tłumić entuzjazmu syna, mówiąc mu, że już sprawdził te możliwości. I jeszcze milion innych.

– Ktoś mi za to zapłaci... czy raczej nie?

– Co do mapy, chyba powinieneś skończyć z przesiadywaniem po nocach i oglądaniem *Skarbu narodów* – odparł Vincent, wstając i uśmiechając się krzywo. – Ale sprawdzaj dalej. Tylko najpierw zjedźmy kolację. Bo zrobimy przykrość Marii.

– Pewnie. Ale jak już mówiliśmy: brzytwa Ockhama.

– Twoja konkluzja została przekazana w sposób jak najbardziej klarowny. Ale ty nie widziałeś tego Daniela w kawiarni. Ledwo umiał zetrzeć ladę. Nie mówię, że jest podejrzany. W tej chwili wydaje się zamieszany w tę sprawę, ale nic nie powie. Czyli kryje się za tym coś jeszcze. Musimy to odkryć.

Ruszył do drzwi, a Benjamin zdążył już założyć słuchawki i wrócić do *Path of Exile*. Vincent oparł się pokusie, żeby potarł mu włosy. Wiedział też, że nie ma sensu przypominać mu o kolacji.

KVIBILLE 1982

JANE ZATRZYMAŁA się na progu kuchni. Braciszek siedział przy stole w piżamie i zajadał jogurt. Zapach truskawek dochodził aż do drzwi, a ilość konfitur na pomarańczowej ceracie zdradzała, że sam przygotował sobie śniadanie. Między jedną łyżką a drugą tasował mocno sfatygowane karty. Połowa talii wylądowała na podłodze. Jane nie mogła powstrzymać uśmiechu. Pewnie nowa sztuczka magiczna, która mu się jeszcze nie do końca udawała.

Mama siedziała obok, wciąż w szlafroku i z głową między ramionami opartymi na stole. Uśmiech Jane zniknął. Najwyraźniej nie był to jej dobry dzień.

Zadrzała, kiedy chłodny poranny wiaterek owiał jej gołe nogi, pociągnęła za dolny brzeg koszulki, żeby osłonić uda. Widocznie okno było otwarte przez całą noc. Pytanie, czy mama spała przy stole. Nie byłby to pierwszy raz.

– Chodź – powiedziała cicho, przywołując braciszka skinieniem.

Na razie mama milczała, ale Jane wiedziała, że jest tylko kwestią czasu, jak zacznie się to samo co zwykle. Braciszek nie powinien słuchać gadaniny, że nie chce jej się żyć, do niczego się nie nadaje, że nie potrafi utrzymać żadnego związku ani dostać pracy. Nie powinien się jeszcze zapoznawać z tą częścią dorosłego świata. Mama była wciąż jego najlepszą przyjaciółką. Jane mu tego czasem zazdrościła, ale na tym polega różnica między – prawie – szesnastolatką a wciąż dzieckiem. Człowiek poczuwa się wtedy do pewnej odpowiedzialności, choćby się o nią nie prosiło. Jeszcze tylko tydzień i trochę.

– Chciałem zrobić trójkątne tosty jak te mamy, ale mi się pokruszyły – powiedział z żalem.

– W porządku. Chodź już. Mama musi trochę odpocząć. Wiesz, że czasem bywa zmęczona.

– Nie chciałem jej budzić – powiedział, opróżniając talerz do czysta.

Następnie postawił go na blacie razem z pozostałymi naczyniami do umycia i podszedł do Jane.

Mama się nie poruszyła.

– Szykujesz nową sztuczkę karcianą? – spytała Jane, wyprowadzając go z kuchni.

– Tak, ale jeszcze nie jest gotowa – odpowiedział.

– Mógłbyś zadzwonić do Dziewczyńskiej Trójki, może razem coś wymyślicie?

Braciszek stęknął.

– One mają imiona: Malla, Sickan i Lotta – zauważył. – Mówisz o nich tak, jakby były jakimś chałowym zespołem. Zresztą dzisiaj ich nie ma.

– Ja też jestem sama – powiedziała. – Zresztą jak zawsze. Ty przynajmniej masz tu jakieś kumpelki. Mnie brakuje miejskiej trójki. – Widząc, że brat nie załapał, ciągnęła: – Teatr, Tivoli¹⁴ i Transport. Moich przyjaciół w mieście. Wszystko, czego tutaj nie mama.

– Ojej – znów stęknął. – Znowu udajesz dorosłą. Byłaś tylko trochę starsza ode mnie, kiedy się tutaj przeprowadziłyście z mamą. A przedtem ile razy byłaś w teatrze? Jak ci tak brakuje targów i ruchu samochodów, to przed mleczarnią przejeżdża całe mnóstwo tirów. Miejska trójka. Ha, ha, ha. Wyczytałaś to w jakiejś książce.

– Może, ale i tak mi tego brakuje.

Zrobiła pauzę i z kieszeni wyjęła płaski plastikowy przedmiot.

– A skoro dziś jesteśmy tylko we dwoje, braciszku, to mam dla ciebie wyzwanie.

Oczy mu się zaświeciły. Uwielbiał jej wyzwania.

Podowała mu kwadratową plastikową ramkę, w której było osadzonych piętnaście kwadracików ponumerowanych od jednego do piętnastu. Miejsce dla szesnastego było puste. Dzięki temu można było przesuwać kwadraciki w ramce, zmieniając kolejność numerów.

– Dla mnie betka – powiedział braciszek na ten widok. – Rozwiązuję to bardzo szybko.

– Nie powiedziałam ci, na czym polega moje wyzwanie – odparła Jane. – Ustawisz wszystkie w kolejności według numerów z wyjątkiem dwóch ostatnich, czyli numerów czternaście i piętnaście. Mają zamienić się miejscami.

Braciszek wziął od niej układankę i przyjrzał się.

– Łatwizna – powiedział, wbiegając po schodach na górę do swojego pokoju.

Jane patrzyła za nim i czuła lekkie wyrzuty sumienia. To była złośliwość z jej strony. Jednak potrzebowała spokojnie porozmawiać z mamą. Za godzinę po

niego pójdzie. Schody zaskrzypiały głośno, kiedy po nich wbiegał, ale już nieważne, że mama się obudzi. Nawet dobrze, żeby się obudziła.

Jane wróciła do kuchni. Mama wyprostowała się na krześle, ale twarz miała wciąż ukrytą w dłoniach. Niemyte włosy leżały płasko, poły szlafroka się rozchyliły. Jane poczuła jednocześnie współczucie i wzdgarę. Właściwie to nie mamy winą, że nie potrafi zatrzymać tej kręcącej się karuzeli emocji. Jane wiedziała, że istnieje coś takiego jak czynniki ryzyka genetycznego, na które człowiek nie ma wpływu, i najwyraźniej to dotyczyło jej mamy.

Pożyczyła podręcznik do psychiatrii od pielęgniarki szkolnej, której powiedziała, że go potrzebuje do szkolnego zadania. Poczytała tam o różnych terapiach. Na przykład o podawaniu litu. Jednak mama nie przyjmowała żadnych tabletek. Nawet nie zdawała sobie sprawy, że jest chora i że choćby wcale tego nie chciała, robi więźnia z własnej córki. Jane musiała stale być w pogotowiu. Albo żeby chronić brata, albo zaopiekować się mamą. Jakby nie miała własnego życia.

Zamierzała to w końcu zmienić.

Usiadła przy stole, starając się nie dotknąć znajdujących się na nim kleksów z konfitur.

– Zjesz śniadanie, mamó?

Naprawdę muszą porozmawiać. Ale już wiedziała, że tego dnia również nic z tego nie będzie.

W HOLU GMACHU policji kłębiło się od uczniów. Wyglądali na licealistów. Mina domyśliła się, że to wycieczka, trzydzieścioro siedemnastolatków nie przyszłoby schronić się tu przed zimnem. Poszliby raczej do 7-Eleven przy następnej przecznicy, co Minie bynajmniej nie przeszkadzało, pewnie inaczej niż właścicielowi tego sklepu. Jednak przyszli, i to akurat w dniu, kiedy jej to akurat najmniej odpowiadało. Nauczyciel rozdawał im plakietki z napisem „gość” i bez powodzenia starał się skłonić ich do przypięcia sobie na piersi.

– No, chodź, gliniarzu, tutaj jestem! – zawołał ktoś, najwyraźniej Klasowy Dowcipniś, bo został przez kolegów nagrodzony śmiechem.

Mina nie była pewna, jak Vincent zareaguje, kiedy będzie musiał przeciskać się przez tę horde nastolatków z buzującymi hormonami. Czy będzie zadowolony, jeśli go rozpoznają. Nie mogła wprowadzić go przez żadne boczne drzwi ani pomóc mu ominąć ten tłum. Jej wystarczyło patrzeć na nich, żeby poczuła się brudna. Gdyby miała się między nimi przepychać, musiałaby włożyć rękawiczki. I przyłbicę. Ale najlepiej w ogóle by się nie ruszała.

Wydawało jej się, że nawet tam, gdzie stoi w bezpiecznej odległości, czyli za bramkami, czuje owiewający ją zapach potu nastolatków. Vincent musi sam sobie radzić. A policji przyda się trochę blasku od celebryty. Choćby był nim czterdziestosiedmioletni facet czytający w myślach.

Vincent pojawił się za tłumem uczniów i zrobił wielkie oczy na ich widok. Spuścił głowę i zaczął się między nimi przeciskać.

– Ej, Vincent! – zawołał ktoś.

Mina była pod wrażeniem. Przedtem wątpiła, czy potrafią rozpoznać osobę, która nie jest kimś na TikToku.

– Kurde, Vincent, zostałeś policjantem myśli? – zawołał Klasowy Dowcipniś.
– Człowiek będzie bez szans!

Vincent poszukał go wzrokiem.

– Właśnie – odparł głośno i uśmiechnął się znacząco. – Twoją mamę zgarnąłem już z samego rana.

Dowcipniś zbaraniał, a potem wybuchnął śmiechem i wysunął rękę, żeby przybić żółwika z Vincentem. Mina uśmiechnęła się. Prywatnie Vincent Walder cierpiał na pewne niedostatki społeczne, żeby nie powiedzieć: upośledzenia. Co innego, kiedy grał rolę Mistrza Mentalisty.

Wreszcie przedarł się przez hordeę i dotarł do bramek. Otworzyła mu, kiedy jej pomachał ręką.

Uczniowie z wycieczki najwyraźniej zdążyli już o nim zapomnieć. Nauczyciel podniósł głos, chcąc skupić na sobie ich uwagę, ale znów bezskutecznie.

– Widzę, że nowi funkcjonariusze są coraz młodszy – odezwał się do niej Vincent.

– Zdziwiłbyś się – odparła. – Ten bezczel, który cię zaczepił, po maturze pewnie będzie chciał zdawać do szkoły policyjnej.

Vincent przytaknął jej z uśmiechem, ruszyli w stronę windy.

– Co się stało, że się spotykamy w gmachu policji? – spytał. – Myślałem, że moja obecność tutaj nie jest zbyt pożądana.

– W porze lunchu mogę spotkać się, z kim zechcę – odparła. – Zresztą pozostałych członków zespołu nie ma na miejscu. Zarządziliśmy poszukiwanie Daniela Bargabriela. Odkąd nam zniknął z Fab Fika, nie pojawił się również w domu, Ruben pojechał tam ze ślusarzem. Oczywiście upiera się, żeby mówić na niego Gargamel.

Podeszli do windy, gdzie już czekały trzy osoby. Mina, nie zatrzymując się, skrzyła na schody. W życiu nie zgodziłaby się tłoczyć w tym pudle pełnym bakterii, są jakieś granice.

– Bargabriel znaczy syn Gabriela – powiedział Vincent, który już miał się zatrzymać, ale skorygował krok i podążył za nią. – A Ruben znaczy w zasadzie tylko syn. Możesz mu to przekazać. Dokąd właściwie idziemy?

– Muszę wziąć z pokoju portfel, moglibyśmy potem pójść na lunch.

Mówiąc, wchodziła rażno po schodach.

– Ruben jest pewien, że to Daniel jest poszukiwanym przez nas sprawcą i że chodziło o jakiś miłosny trójkąt zakończony dramatem. Albo, jak podsumował wyrafinowanie, „tyle na temat teorii o seryjnym mordercy, rzymskich zegarach i innych gównach, po prostu Daniel pieprzył je obydwie”. Podkreślił, że jak się ma za sobą tyle lat doświadczenia zawodowego co on, to się wie, że najprostsze rozwiązanie jest tym właściwym.

– O ilu latach doświadczenia mówimy? – spytał Vincent lekko zdyszany, bo nie musiał wchodzić codziennie po schodach w budynku policji.

– W szkole policyjnej był o rok wyżej ode mnie.

Vincent wybuchnął śmiechem, który odbił się echem w klatce schodowej.

– Innymi słowy, myliłem się we wszystkim. A co mówią pozostali? Musisz wchodzić po dwa stopnie?

– Przepraszam. Potrzebujesz laski?

– Pamiętaj, że imponuję ci moim umysłem, a nie wspaniałą kondycją. Ile zostało jeszcze tych pięt?

– Dwa. Niech sobie wujek odpocznie.

Vincent stanął i oparł się o ścianę.

Mina zeszła kilka stopni i stanęła obok.

– Pozostali też nie są przekonani – powiedziała. – Widujemy sporo dziwnych rzeczy, które koniec końców okazują się po prostu dziwne, ale pozbawione znaczenia.

– Nie zgadzam się. Jestem coraz pewniejszy, że mamy do czynienia z odliczaniem. Daniel nie wygląda mi na mordercę, chociaż może być jakimś wstępem do tej historii, jednak do jej końca jest jeszcze bardzo daleko.

Vincent przysiadł na stopniu, Mina usiadła obok.

– Szkoda, że nie było monitoringu w kawiarni, gdzie Tuva była widziana po raz ostatni. I nie pojawił się żaden świadek, który widziałby ją gdzie indziej. Chętnie zobaczyłabym, kto wchodził do kawiarni i wychodził stamtąd w dniu jej zaginięcia. I kilka dni wcześniej. Cholera jasna.

– W kawiarni może i nie było monitoringu, ale... – Vincent w skupieniu ściągnął brwi. – Pamiętasz tamtą okolicę? Jakież szczegóły?

Skupił wzrok na czymś, czego nie widział przed sobą. Gałki oczne poruszały się tam i z powrotem, jakby się rozglądał, i cały czas mówił...

– 7-Eleven, wyjście jak zawsze na rogu budynku. Okrągła ławka wokół drzewa. Przepelniony stojak na rowery. Dwie restauracje. W jednej więcej ludzi, druga prawie pusta. Bar uliczny. Przed nim kolejka na pięć osób. A po drugiej stronie ulicy... Tak jest. Naprzeciwko był bank. Jestem prawie pewien, że Nordea. Zwykle bardzo dbają o bezpieczeństwo. Jeśli będzie nam sprzyjać szczęście...

– Jesteś genialny – stwierdziła Mina rozpromieniona. – Julia musi zlecić Christerowi załatwienie nagrań z kamer Nordei, on jest dobry w te klocki.

– Christerowi? – zdziwił się Vincent.

Mina się uśmiechnęła.

– Próbowałam ci to powiedzieć. Zdaję sobie sprawę, że nasz zespół może nie wygląda na specgrupę ostrą jak brzytwa, ale każde z nas ma chociaż jedną mocną stronę. U Christera jest to umiejętność dostrzeżenia pewnego schematu tam, gdzie nikt inny go nie zauważa.

– Powiązania – mruknął Vincent.

– A więc mam nadzieję, że Christer zauważy, jeśli było tam coś, co odstawało od normy – ciągnęła. – Ktoś przychodził aż za często. Albo przychodził regularnie i nagle przestał. Cóż, nie wiem. Jednak Christer jest dobry właśnie w tym. Dla większości ludzi coś może wyglądać na kleks atramentu, a on widzi motyla.

Vincent pokiwał głową.

– To mówisz, że jeszcze dwa piętra? – odezwał się nagle i uśmiechnął się złośliwie. – Zawsze musisz być najlepsza.

Zerwał się i pomknął w górę. Na półpiętrze zniknął jej z oczu. Słyszała, jak pędzi na górę, przesadzając po dwa stopnie. Z jego kondycją było wszystko w najlepszym porządku. Specjalnie skłonił ją, żeby usiadła. A ona dała się nabrać.

– Vincent?

Bez odpowiedzi. Był już wysoko. Mina wsunęła rękę do kieszeni, w jednej było coś prostokątnego. Portfel. Zupełnie zapomniała, że zabrała go ze sobą. Spojrzała w górę schodów i uśmiechnęła się pod nosem. Poczekaj, aż Vincent do niej wróci.

MAŁY SZEREGOWIEC w Upplands Väsby przypominał Christerowi dom jego mamy. Zadbany, wszędzie jakieś bibeloty, starannie uprasowane firanki, wszystko porządnie odkurzone. W dużym pokoju głośno tykający zegar. Dwa wysiedziane fotele i sofa, która z kolei wyglądała, jakby nigdy nie siedziała na niej choćby jedna osoba. Zbyt elegancka, żeby jej używać. U mamy była zielona w kwiaty w kolorze lila. W słoneczne dni mama przykrywała ją prześcieradłem, żeby obicie nie spłowieło.

– Napije się pan kawy?

Märta, babka Tuvy, spojrzała na niego proszącym wzrokiem. Wcale nie miał ochoty na kawę. Czuł się potem nieznośnie ożywiony i nie lubił tej jasności umysłu, którą dawała. Wolał czuć się otulony mgiełką zmęczenia. Rozumiał jednak, że praca czasem wymaga napicia się kawy. Krewni ofiar odnajdywali poczucie bezpieczeństwa w zwyczaju podawania świeżo zaparzonej kawy w używanych na co dzień filiżankach. Łatwiej im się wtedy rozmawiało. Przecież wystarczy, jak wypije kilka łyków. Jeśli mu się poszczęści, może w dodatku podadzą coś słodkiego.

– Poproszę, bardzo chętnie – odpowiedział, rozglądając się.

Gunnar już siedział przy stole ze wzrokiem wbitym w blat. Wydawał się dość nieobecny. Christer często widywał takie zachowanie u krewnych ofiar w pierwszej fazie żałoby, kiedy jeszcze nie do końca zdawali sobie sprawę, co się stało. Jakby znajdowali się w granicznej strefie między tym, co rzeczywiste a nierzeczywiste. Z czasem do nich dotrze.

Kuchnia była przyjemna i było to najtrafniejsze określenie. Na zasłonkach deseń w borówki, do tego pasująca cerata. W oknie begonie w kolorze lila. Na stole wazonik z baziami. Piękny oprawiony rysunek tuszem przedstawiający jakiegoś ptaka. Christer domyślał się, że sokoła.

– Dorodny.

Pokazał palcem obrazek. Drażniła go panująca cisza, ale nie chciał ich wypytywać, dopóki Märta nie skończy szykować kawy i nie usiądzie razem z nimi.

– Sokół wędrowny – odezwał się głucho Gunnar i podniósł wzrok, żeby spojrzeć na rysunek. – Ptak symbol Hallandu. Browary Falcon, wie pan. To jedno z najszybszych zwierząt na świecie, kiedy zanurkuje, potrafi lecieć z prędkością trzystu dwudziestu kilometrów na godzinę. Jest fenomenalnym myśliwym. Dostrzega gołębia z odległości ośmiu kilometrów.

– Zna się pan na ptakach? – W głosie Christera nie było entuzjazmu. Nie potrafił wzbudzić w sobie zainteresowania ptakami. Właściwie nie lubił żadnych zwierząt, bo albo uciekają, albo padają. Kiedyś w dzieciństwie miał kotka, którego dostał od wujka. Kochał tego kotka. Ale któregoś dnia, kiedy przyszedł ze szkoły, okazało się, że zwierzaka nie ma. Mama powiedziała, że widocznie Christer nie zamknął za sobą drzwi i kot uciekł. Christer płakał po nim przez wiele tygodni. Kilka lat później dostał królika od któregoś z facetów mamy. I dziwna rzecz, z nim przydarzyło się to samo. Od tamtej pory zawsze sprawdzał, czy zamknął drzwi za sobą. I zrozumiał, że nie warto się przywiązywać. Ani do zwierząt, ani do ludzi.

– W czasie wolnym zajmuję się na wpół profesjonalnie obserwacją ptaków – powiedział Gunnar, tym razem z nieco większą energią. – Od lat. Zaobserwowałem ptaki czterystu trzydziestu dwóch gatunków. Depczę po piętach Bertilowi Svenssonowi ze Skanii. On ma na koncie czterysta pięćdziesiąt gatunków.

– A ile ich jest w Szwecji? – zdumiał się Christer.

Zupełnie nie potrafił zrozumieć, co to może być za przyjemność łązić po lasach i bezdrożach, by przez lornetkę obserwować ptaki.

– Pięćset siedem.

Christer nie wiedział, co miałby jeszcze powiedzieć na ten temat. Z ulgą stwierdził, że Märta właśnie przyniosła kawę. I talerz owsianych ciasteczek. Usiadła koło męża.

– Muszę wam zadać kilka pytań o Tuvę – odezwał się jak najcieplejszym tonem. – O jej życie. Ale najpierw chciałbym się dowiedzieć, dlaczego to państwo zgłosili jej zaginięcie, a nie jej rodzice?

Märta rzuciła mężowi udręczone spojrzenie.

– Rodzice Tuvy, czyli nasz syn Carl i jego żona Marie, wyprowadzili się do małego domku we Francji, gdy tylko Tuva skończyła szesnaście lat. Powiedzieli, że to robią, bo są w jesieni życia. – Märta prychnęła. – A prawda jest taka, że są jeszcze młodzi. Od tamtej pory nie przyjechali ani razu. Tuva została zupełnie sama. Z kolei ojciec Linusa zmył się, kiedy tylko pojawiło się dziecko. Bóg jeden wie, że dziewczyna nie miała szczęścia do rodziny. Za to miała Linusa. Cudownego Linusa. I nas. Ona i Linus zawsze mogli na nas liczyć. Staraliśmy się, jak tylko mogliśmy.

Mówiąc to, Märta dotykała bazi na stole, a Christer kiwał głową w milczeniu, zapisując coś w notesie.

– Może opowiedzą państwo coś więcej na temat taty Linusa i jeszcze poproszę o dane kontaktowe do rodziców Tuwy. Jednak najpierw chciałbym się dowiedzieć, dlaczego państwo tak długo zwlekali ze zgłoszeniem zaginięcia. Wspomnieli państwo o jakiejś podróży, tak?

Gunnar spojrzał na żonę z nową energią.

– Tuwa jest aktywistką i walczy o środowisko naturalne – powiedział.

– Czyli co, uczestniczy w siedzących strajkach na skrzyżowaniach ulic? – spytał Christer; nie potrafił ukryć, że mu to nie imponuje.

– Greenpeace – odpowiedziała ostrym tonem Märta.

– O kurde, czyli oldskulowo. – Christer uniósł brwi. – Nie sądziłem, że ktoś się tym jeszcze zajmuje. Przeszkadzanie poławiaczom wielorybów i tym podobne?

– I tym podobne. Tuwa bardzo się angażuje. Ma to po nas.

Märta poklepała męża po ramieniu.

– Myśmy się też angażowali w tym ruchu w latach siedemdziesiątych. Zanim się zestarzeliliśmy.

Christer starał się wyobrazić sobie tych dwoje starych ludzi, jak podczas sztormu na morzu oblegają norweską platformę wiertniczą. Pięćdziesiąt lat, zanim przenieśli swoje zainteresowania na bazie i sokoła wędrownego. Sam się zdziwił, ale rzeczywiście potrafił to sobie wyobrazić. Dziś Gunnar i Märta byli dość leciwi, ale płonął w nich prawdziwy ogień. Wprawdzie tego rodzaju aktywizm nie ma, rzecz jasna, większego znaczenia. Umrą tak czy inaczej. Lody stopnieją. Ozonosfera stanie się jeszcze rzadsza. Z jakiegoś cholernego targu w Chinach przyjdzie śmiertelny wirus. Świat zginie. Nie da się tego zmienić.

– Tuwa miała wziąć udział w akcji – wyjaśnił Gunnar. – Wyjeżdża na dwa, trzy tygodnie i nie zawsze mamy z nią wtedy kontakt, bo akcja może być tajna. Albo odbywać się na morzu. Dlatego z początku nie zdawaliśmy sobie sprawy, że jej nie ma.

– No dobrze, a co z Linusem?

– Linus jest do tego przyzwyczajony. Ma u nas swój pokój. Tuwa jest poza tym bardzo oddaną mamą, a swoje zaangażowanie w ochronę środowiska traktuje jako działanie na rzecz przyszłości Linusa. Więc kiedy zadzwonili, że Tuwa nie odebrała Linusa ze żłobka, myśleliśmy, że widocznie pomyliliśmy dni, że ona już wyjechała i to my go mamy odebrać. Dopiero kiedy statek wrócił i dowiedzieliśmy się, że w ogóle nie wsiadła, zgłosiliśmy zaginięcie.

Głos jej się załamał, chwyciła mocniej rękę męża.

– Wiedzą państwo, czy Tuva miała jakichś wrogów? – spytał Christer możliwie najostrożniej. – Czy wspominała o niejakim Danielu Bargabrielu?

Małżonkowie znów wymienili spojrzenia. Gunnar wyprostował się na krześle. Obrazek z sokołem wędrownym znalazł się dokładnie nad jego głową, wyglądało to, jakby wylądował na niej ptak.

– Tuva nie miała szczęścia do mężczyzn – odparł drżącym głosem. – Słyszeliśmy o Danielu, ale ona nie chciała o nim rozmawiać. Wiele razy mówiła, że na pewno ją jakoś skrzywdzi.

– Co on jej zrobił? – spytała.

Christer ugryzł ciasteczko, żeby uniknąć odpowiedzi.

DANIEL POPRAWIŁ opuszczoną żaluzję. Otworzył ją. Zamknął. Nie potrafił zdecydować, co będzie lepsze, chronić się przed zaglądaniami z zewnątrz czy móc szybko zauważyć, jeśli pojawi się policja. Lepiej zachować czujność. Podniósł ją do połowy i spojrzął na parking przed oknem. Mieszkanie w Märsta należało właściwie do Josefa, ale mógł z niego korzystać niemal do oporu. Josef go nie potrzebował, a Daniel bał się wrócić do siebie, w razie gdyby policja obserwowała jego mieszkanie przy Hornstull. O kawalerce Josefa nie mogła wiedzieć.

Urządzono ją wręcz spartańsko, choć to mało powiedziane, bo nie było nawet łóżka, tylko materac na podłodze. Inna rzecz, że w tym momencie wygodne spanie nie było najważniejsze. Fakt, że Daniel nie był pewien, czy w ogóle odważy się spać. I to kiedykolwiek.

Odkąd opuścił trzypokojowe mieszkanie, które dzielił z Agnes, pomieszkiwał u różnych znajomych. Dość często u Evelyn. Prowadzący dochodzenie w sprawie Agnes nawet go nie prosili o zostawienie nowego adresu. Zakładał, że go obserwują. Wprawdzie słyszał, że policja w Szwecji nie jest taka jak w jego ojczystej Syrii, a mimo to mało brakowało, żeby ci policjanci, szwedzcy policjanci, wsadzili go za morderstwo.

Na początku nie wierzyli, że nie miał nic wspólnego ze śmiercią Agnes. Próbowali wykorzystywać swój urok i swoją niewinność, ale i tak byli pewni, że miał. A w każdym razie jeden z nich, który podejrzewał go o oddanie śmiertelnego strzału. W końcu musieli mu odpuścić, bo nie mieli żadnych dowodów. Zresztą Agnes naprawdę miała depresję.

Przyrzekł sobie, że gdziekolwiek by się znajdował, przez resztę życia będzie unikał glin na ile się tylko da. Nie wolno im ufać. A jednak okazał się nieostrożny. Cholernie nieostrożny.

Między znalezieniem martwej Agnes a zniknięciem Tuvy minął zaledwie miesiąc. To on powinien był zadzwonić na policję zgłosić jej zaginięcie, nie jej dziadkowie. Wtedy by go może nie podejrzewali. A teraz jest za późno. Jeśli dwójka policjantów, która przysłała do niego do kawiarni, nie wiedziała, kim jest

Daniel, wkrótce to odkryje. Ta ładna chyba nie kapowała, ale facet sprawiał wrażenie, jakby od razu wiedział. Facet, którego gdzieś kiedyś widział, ale nie potrafił umiejscowić.

Zastanawiał się, czy zadzwonić do Evelyn. Wytłumaczyć jej, co się stało. Ona na pewno dziwi się, że tak zniknął. A jego aż brzuch boli z tęsknoty za nią. O niczym tak nie marzył, jak żeby siedzieć w jej kuchni, popijając wino, patrzeć, jak Evelyn zapala papierosa, i gadać z nią o wszystkim i o niczym. Albo robić coś jeszcze fajniejszego od gadania. Stała mu przed oczami, jak zaczepnie dmucha mu dymem w usta podczas pocałunku.

Jednak wciągnięcie jej w tę historię to niedobry pomysł. Powinien radzić sobie sam. Przez moment zastanawiał się, czy może zadzwonić do Samira. Samir miał jeszcze gorzej, bo jego naprawdę przyskrzynili. Za coś, czego podobno nie zrobił. Daniel nie wiedział, jaka była prawda, ale może Samir coś wymyśli.

Chociaż nie wyglądałoby to za dobrze, gdyby policja miała potem sprawdzić jego komórkę. Musi sam znaleźć rozwiązanie.

Wymacał wizytówkę w kieszeni. Jeśli, jak przypuszczał, policja go szuka, ucieczka będzie wyglądała bardzo źle. Na razie mógłby tłumaczyć swoje zniknięcie tym, że się wystraszył. Jednak człowiek niewinny nie odwlekałby skontaktowania się z policją. Tuva była jego koleżanką z pracy, więc to oczywiste, że powinien się o nią martwić. I chcieć pomóc. Może jednak najlepszym sposobem, żeby uniknąć więzienia, będzie uprzedzenie ich. Sam do nich pójdzie.

W Syrii, żeby uniknąć policji, należało po prostu wziąć nogi za pas i liczyć na to, że człowieka nie dogonią, bo nie mają motorów. A w Szwecji może by lepiej do nich pójść? Jak zrobiłby człowiek niewinny.

Rozchylił żaluzję.

Zamknął ją.

Znów pomacał wizytówkę w kieszeni.

Może.

UCZNIOWIE WYSYPALI się na dziedziniec. Mina wiedziała dokładnie, gdzie stanąć, żeby nie zostać dostrzeżona. Zaobserwowała, że w większości byli ubrani tak jednorako, jakby obowiązywały mundurki. Tylko nieliczni się wyróżniali, a wtedy to już na całego. Poziom energii tych wrzeszczących i śmiejących się dzieciaków był znacznie wyższy niż zwykle w tym pierwszym dniu szkoły po feriach wielkanocnych.

Dobrze się wtapiała w tłum, jednak Mina nie miała problemu, żeby ją wypatrzeć w gromadzie dzieci. Jeśli można je jeszcze nazywać dziećmi. W połowie dzieci, a w połowie dorośli. Ciemne włosy związane w koński ogon. Dżinsy. Cienka wojskowa kurteczka i białe sportowe buty. Ciemnoniebieski plecak Fjällräven typu Kånken. Śliczna. Wręcz niezwykle.

Dziewczyna się odwróciła i Mina drgnęła. Niby wiedziała, że jest niewidoczna, stojąc w tym miejscu, czyli na peronie stacji metra Blåsut z widokiem na wejście do liceum Drottning Blankas. Jednak wołała sobie wyobrazać, że patrzą na siebie. Że się widzą. Dziewczyna wyglądała, jakby czegoś szukała, potem znów odwróciła wzrok.

Kilka minut i już jej nie było. Zniknęła w wejściu do szkoły, żeby pójść do którejś z klas. Na lekcję szwedzkiego, hiszpańskiego, matmy czy ekonomii. Czegokolwiek, czego się teraz uczy.

Z tyłu za Miną nadjeżdżał pociąg. Odwróciła się w momencie, gdy wjechał na stację. Ludzie wsiadali ze wzrokiem apatycznie wbitym w ziemię, unikając patrzenia na siebie. Mina ruszyła w kierunku wyjścia ze stacji. Jej samochód stał kawałek dalej. Nawet do głowy by jej nie przyszło, żeby wsiąść do metra. Według niej chmura bakterii unoszących się wokół ludzi stłoczonych w wagonach była tak gęsta, że widoczna niemal gołym okiem.

Pociąg odjechał, została na peronie sama. Musiała podjąć wysiłek, żeby się nie odwrócić i spojrzeć jeszcze raz na szkołę. Nie musiała patrzeć na zamknięte drzwi, żeby sobie przypomnieć o dzielącym je murze nie do pokonania. Tęskniła całym ciałem.

Wychodząc, minęła kiosk obwieszony posterami tabloidów, które wciąż grzały się tragedią związaną z zaginionym Robertem. Tytuły krzyczały o nowych znaleziskach. A jakże. Nowy poziom cynizmu. Ale Miny to nie dziwiło. Nie miała siły spojrzeć na radosne otwarte spojrzenie chłopaka na zdjęciach. Świat bywa czasem absolutnie odrażający.

Komórka zadzwoniła w jej kieszeni. W pierwszej chwili chciała nie odbierać, lecz rzuciwszy jeszcze ostatnie spojrzenie na szkołę, wyjęła ją. Rozmowa była krótka, ale treściwa. Jutro odbędzie się ekshumacja Agnes Ceci.

VINCENT Z ROZTARGNIENIEM czytał ulotkę informacyjną z kieszeni znajdującego się przed nim fotela lotniczego. Leciał maszyną ATR 72-500, która według ulotki mogła zabrać siedemdziesięciu dwóch pasażerów. Wsiadając, Vincent doliczył się trzydziestu, czyli z matematycznego punktu widzenia każdy z nich mógłby zajmować jedną parę foteli. Ale ktoś oczywiście musiał usiąść na wolnym miejscu obok niego. Ktoś w słuchawkach z na tyle głośnym dźwiękiem, żeby wydobywał się z nich mechaniczny rytm umpaumpa.

– *All that she wants* – śpiewał do taktu mężczyzna z fotela obok.

Vincent nie lubił małych samolotów. Czuł się w nich, jakby leciał w ponadwymiarowej trumnie. Trzeba odzyskać kontrolę nad oddechem. Aby nie poddać się klaustrofobii, stosował trik polegający na postawieniu jakiegoś zadania przed racjonalną częścią jego mózgu. Najlepiej trudnego. W ten sposób hipokamp, czyli część sterująca emocjami, będzie miał mniejszą możliwość wywołania u niego paniki. Znów spojrzał na ulotkę.

72 miejsca plus 30 pasażerów daje razem 102. 1 to A, 2 to B, 0 będzie O. Czyli 102 będzie AOB. Ace of Base. Zespół, który w tysiąc dziewięćdziesiątym drugim roku nagrał przebój *All That She Wants*. Vincent, rozczarowany, patrzył w okienko. Czasem było to aż za łatwe. Niemniej klaustrofobię trzymało na dystans.

Leciał do Sundsvall spotkać się z Sainsem Berganderem, wiodącym szwedzkim konstruktorem rekwizytów do iluzji i sztuczek magicznych. Zabrał ze sobą zdjęcia, które mu załatwiła Mina. Prawdopodobnie bez zezwolenia, skoro wciąż był traktowany jako osoba postronna, ale jeśli ktoś mógłby im pomóc rozgryźć tę skrzynię z mieczami, tą osobą był Sains. Vincent znał go od przeszło dziesięciu lat. Jeśli Sains nie wiedział czegoś na temat budowania iluzji, znaczyło to tylko, że jest to wiedza do niczego niepotrzebna.

Po godzinie lotu Vincent znalazł się w hali przylotów lotniska Midlanda. Rozejrzał się. Cztery osoby oczekiwały pasażerów. Jedną z nich był skromnie ubrany mężczyzna w średnim wieku. Gdyby ktokolwiek zwrócił na niego uwagę,

wzięłyby go za urzędnika gminy. Czyli – jak wiedział Vincent – dokładnie czego chciał Sains Bergander. Podszedł do niego z wyciągniętą dłonią.

– Cześć, przyjacielu, fajnie cię znów widzieć – powiedział.

Sains chwycił dłoń Vincenta obiema rękami. Najlepsza sztuczka wybitnego autora iluzji polegała na uczynieniu siebie samego niewidzialnym. Niewiele osób spoza jego rodziny wiedziało o jego istnieniu, a jeszcze mniej o tym, czym się zajmował. Sundsvall jest małym miastem, a Sains Bergander był bardzo zadowolony, że może poruszać się poza zasięgiem ludzkich radarów.

Obaj wsiedli do jego subaru outback i wyjechali z parkingu.

– O czym chcesz ze mną pogadać? – spytał Sains. – Przez telefon wydałeś mi się bardzo tajemniczy.

– Tego, co ci pokażę, właściwie nie powinienem ci pokazywać – powiedział Vincent. – A może nawet o tym rozmawiać. Jednak wiem, że się nie poddasz, poza tym strasznie dawno się nie widzieliśmy.

– Fakt. I naprawdę nie mam nic przeciwko odwiedzinom, takie czasy, że nieczęsto ktoś dosłownie puka do moich drzwi.

Sains skręcił i zaparkował samochód przed budynkiem, który służył mu za warsztat.

– Witaj w samym sercu magii – powiedział, gdy stanęli przed drzwiami.

Vincent wszedł do pomieszczenia, które przypominało połączenie warsztatu Świętego Mikołaja ze stolarnią. Pod ścianami stały maszyny, których przeznaczenia mógł się tylko domyślać, bo rozpoznał jedynie dwie piły tarczowe i drukarkę 3D przemysłowej wielkości. Od maszyn biegły grube rury, zapewne miały odsysać pył i wióry, co nie zmieniło faktu, że pomieszczenie było zawałone kawałkami drewna, zawiasami, farbą i bryłkami z cieniutkimi magnesami pośród gotowych skrzyń i rusztowań o niejasnym przeznaczeniu. Vincent przystanął przed drewnianą płytą zawieszoną na linie z sufitu. Wisiała poziomo na wysokości jego głowy, w oba jej końce były wkręcone dwa obrzydliwie grube bolce.

– Co to jest? – spytał.

– Rzecz, nad którą pracuję – odparł z dumą Sains. – Ale nie przyjmuję na to zamówień, mówię ci tylko, żebyś wiedział.

Stanął przed płytą i wyciągnął do góry ręce w taki sposób, że dłonie znalazły się na wysokości bolców.

– Ukrzyżowanie – powiedział. – Bolce przechodzą przez dłonie. To niesamowicie realistyczne, z każdej rany wylewa się prawie pół szklanki krwi. Uszyłem nawet tunikę z kapturem dla grającego rolę kata. Świetna. Chcesz zobaczyć?

Vincent pokręcił głową. Ciekawe, co powiedziałyby Mina. Iluzja nie iluzja, miał w tej chwili dosyć krwi i okaleczeń. Zamiast tego wyjął plastikową koszulkę z wydrukami zdjęć i rozłożył na blacie, odsunawszy najpierw kupkę metalowych spinaczy.

– Co na to powiesz? – spytał.

Sains pochylił się nad zdjęciami.

– To *Sword casket* – odparł – czy też *Sword box*, zależy, kogo spytasz. Ale tego ci chyba nie muszę mówić, nie do tego ci jestem potrzebny.

Vincent pokręcił głową.

– Widziałeś już taką skrzynię jak ta? – spytał.

– Dokładnie takiej to nie. Kto ją zbudował?

– Miałem nadzieję, że ty mi to powiesz. Czy ktoś zamówił u ciebie części do takiej skrzyni albo słyszałeś, że ktoś inny ostatnio je sprzedawał? Może sam szkic?

Sains prychnął, pokazując palcem zdjęcia.

– I ty myślisz, że pozwoliłbym sobie na taką partacką robotę? Wstydź się. Wiesz, że robię tylko rzeczy w najlepszym gatunku. I żaden ze znanych mi konstruktorów nie puściłby takiej fuszerki.

– Czyli to robota amatora?

– To też nie tak. Jeśli chodzi o szkice do konstrukcji, nie jest to takie łatwe, jak mogłoby się wydawać.

– Co masz na myśli?

Sains podszedł do regału z książkami i zaczął czegoś szukać. Po chwili wrócił z trzema książeczkami o spiralnych grzbietach.

– Tu masz Paula Osborne’a *Illusion systems* z 1981 roku – powiedział, kładąc pierwszą przed Vincentem. – To chyba główne źródło współczesnych szkiców do iluzji. Przyjrzyj się. Mógłbyś zbudować coś takiego?

Vincent otworzył jedną z książek i zaczął wertować szkice.

– Mógłbym spróbować.

– I nie udałoby ci się. Kupujący są sztukmistrzami, ale do tego, żeby coś takiego zbudować, lepiej jest być stolarzem. Potrzebujesz do tego nie tylko odpowiednich narzędzi, ale również zrozumienia dla tworzywa. W przeciwnym razie iluzja będzie za ciężka. Albo do skręcania sklejk użyjesz niewłaściwych wkrętów, albo zrobisz inne głupstwo. Poza tym wiele klasycznych szkiców zawiera błędy, i to zamierzone.

Vincent uniósł brwi.

– Dlaczego ktoś miałby sprzedawać szkice z błędami?

– Bo wtedy można wystąpić z takim numerem i powołać się na prawo autorskie, mając jednocześnie pewność, że nikt inny nie potrafi go wykonać.

Między magikami dochodzi do poważnych sporów o przywłaszczanie sobie chwały za cudze wynalazki magiczne. Tradycyjny sposób zaklepania sobie autorstwa to jego opublikowanie. Ale jednocześnie nie chce się, żeby ktoś inny skopiował nasz wynalazek i zaczął go wykonywać. Każdy magik chce być wyjątkowy. A więc publikujemy, ale z niewielkim błędem.

– I co się dzieje, jeśli ktoś zechce zrealizować taki błędny projekt?

– Po prostu mu nie wyjdzie. Kłapa się nie otworzy, ściany się nie złączą i tak dalej. Chcę przez to powiedzieć, że jeśli chcesz skonstruować tę iluzję, musisz jednocześnie rozumieć, jak zmienić projekt, żeby zadziałał. Z pewną korzyścią, bo nadasz tej iluzji własną charakterystyczną cechę. Ktoś inny zmieni ją w inny sposób.

Kłapa się nie otworzy. Z tyłu głowy Vincenta pojawiło się jakieś wspomnienie, ale natychmiast je od siebie odsunął. Sfrustrowany, przesuwał palcami po zdjęciach.

– Okej, czyli tej skrzyni nie zbudował zawodowiec – powiedział. – Co mi możesz jeszcze o niej powiedzieć? Proszę cię, przyjrzyj się jeszcze raz.

Sains zmrużył oczy, przyglądając się bliżej.

– Hmm. Czy to zdjęcie jest stare? Bo model tak. To znaczy stary. Konstrukcja zmieniła się w dość znacznym stopniu, ta przypomina te z lat sześćdziesiątych. Ale... – Sains podniósł jedno zdjęcie, zmarszczył czoło, upuścił zdjęcie i uderzył się dłonią w usta. – Vincent, kto to zbudował? – spytał słabym głosem.

– To ja ciebie pytam.

– Ale tej skrzyni chyba nikt nie używał?

Sains oparł się o warsztat. Aż pozieleniał na twarzy.

– Co się dzieje? – zaniepokoił się Vincent.

Sains chyba zdążył trochę dojść do siebie i sięgnął po inną książkę.

– Akurat do *Sword box* i *Sword casket* istnieją dobre rysunki – powiedział, przewracając kartki, aż znalazł to, czego szukał. – I są łatwe do skonstruowania. Spójrz.

Pokazał jeden z obrazków w książce.

– Asystentka magika siada w ściśle określony sposób w stosunku do otworów na miecze. Otwory są rozmieszczone tak, żeby wyglądały, jakby znajdowały się na całej powierzchni ścianek, ale w rzeczywistości dla kobiety zostaje miejsce. Pod warunkiem, że nie będzie się ruszała. Ponoć są magicy, którzy doprowadzają to ad extremum, w Niemczech podobno jeden taki gość podczas numeru złamał asystentce siedem żeber i żuchwę. Można to obejrzeć na YouTube. Jednak w skrzyni zawsze zostaje pewna przestrzeń. Ale Vincent...

Sains podniósł jedno ze zdjęć i pokazał to, co było oczywiste.

– W tej skrzyni nie ma takiej przestrzeni. Gdyby ktoś w niej siedział, zostałby przebity mieczami. Nie ma możliwości, żeby tego uniknąć. Mimo to... mimo to widzę, że ci, którzy ją zbudowali, opierali się na prawdziwym rysunku, nawet jeśli to stary projekt. Tylko że zabrali z niej... samą iluzję.

Sains wpatrzył się w Vincenta.

– Słuchaj, co to jest?

– I właśnie tego, mój przyjacielu, muszę się dowiedzieć.

PRZEGLĄDANIE NAGRAŃ z monitoringu było tak męczące, jakby obserwował schnięcie farby. Christer zamrugał powiekami. Na dworze zaczęło się zmierzchać, biuro pustoszało coraz bardziej. Wprawdzie nigdy nie było całkiem puste, zawsze ktoś był na dyżurze, jednak wieczorne i nocne zmiany były znacznie ograniczone. Ludzie chcieli do domu, do rodziny. Christer nie miał takiego powodu, ale i tak chętnie by się powlókł do swego mieszkania. Do samotności był przyzwyczajony. I pogodzony z nią.

Udało mu się dostać nagrania z monitoringu z trzech dni poprzedzających zniknięcie Tuvy. Swoją drogą dziwne, bo wolno je było przechowywać przez dobę, czyli powinny być dawno skasowane, co w banku wyraźnie podkreślili, kiedy się z nimi skontaktował. Jednak kiedy powiedział, po co mu te nagrania, odkryli z udawanym zdziwieniem, że technik najwyraźniej zaniedbał sprawę i cały materiał jest jeszcze na serwerze. Niech sobie tłumaczą, jak chcą, Christer był zachwycony, że nagrania zostały.

W każdym razie do momentu, kiedy zaczął je przeglądać. Kamera była, rzecz jasna, skierowana na wejście do banku, ale kawiarnia z naprzeciwka też była widoczna w kadrze. Niestety nie same drzwi, te znalazły się poza nim. Ale widać było chodnik, jezdnię, a przez wielkie witryny nawet kawałek wnętrza kawiarni. Przechodnie w większości nie szli sami. Były to roześmiane pary, dwóch dziadków, który wyglądali, jakby się kłócili. Mężczyzna z dużym psem. Starsza kobieta i dziecko, zapewne jakaś babcia z wnukiem.

Dwie kobiety z pieskami chihuahua. Christer nie potrafił zrozumieć mody na te paskudne małe pieski. Jak szczury na sznurku, tak uważał.

Znów zamrugał powiekami i wypił kilka następnych łyków kawy. Skrzywił się. Zimna. No pewnie, że zimna. Życie tylko z rzadka oferowało mu gorącą kawę.

Patrzył dalej. Chodnikiem szedł mężczyzna, którego wcześniej widział przez witrynę pijącego kawę. Najwyraźniej właśnie stamtąd wyszedł. Christer pochylił się. Jakby go znał. Nagranie było zbyt ziarniste, żeby dostrzec szczegóły, a zwłaszcza rysy twarzy. Mężczyzna utykał lekko i coś to przypominało

Christerowi, chociaż nie potrafił znaleźć więcej informacji w zakamarkach swego mózgu. Chód tego człowieka był bardzo znajomy, ale im usilniej starał się pochwycić tę informację, tym bardziej mu umykała.

Zawsze się denerwował, jeśli nie udawało mu się dojść do czegoś od razu albo znaleźć właściwego słowa. Jego matka umarła w stanie demencji, długiej podróży rozciągniętej na niemal dekadę. Nie był to los, którego Christer by wyczekiwał. Największe przerażenie budziło w nim to, że miałby mu zmieniać pieluchy i podcierać tyłek jakiś żujący gumę dwudziestolatek. A więc na wszelki wypadek schował specjalny nabój do pudełka na biżuterię matki. Leżał sobie w tym pudełku, czekając na dzień, w którym zostanie użyty. Taka śmierć jest szybka. I godna.

Przewinął do tyłu nagranie i jeszcze raz przyjrzał się utykającemu mężczyźnie. Nie. Pamięć nie zechciała służyć mu pomocą. Christer westchnął, zamknął plik, wstał i chwycił kurtkę. Dość na dzisiaj.

MINA UZNAŁA, że przed pracą zdąży jeszcze na spotkanie. Po tym, jak widziała dziewczynę, przez parę dni nie radziła sobie z dostrojeniem się do rzeczywistości związanej z pracą. Musiała najpierw zrobić sobie miękką przesiadkę. Zastanawiała się, czyby nie zadzwonić do Vincenta, ale dziewczyna była jeszcze jedną tajemnicą, którą byłoby jej trudno wyjaśnić. Lepiej tęsknotę znieczulić za pomocą innej tajemnicy.

Wszyscy byli już na miejscu, kiedy weszła. Wślizgnęła się i usiadła na jednym z pustych krzeseł. Zawsze było ich za dużo, żeby nikt nigdy nie pomyślał, że nie ma dla niego miejsca i nie jest mile widziany. Zbyt wielu z nich przychodziło właśnie dlatego, że gdzieś kiedyś zabrakło dla nich miejsca i nie byli mile widziani. Skinęła głową Człowiekowi ze Skanii i Paniusi w szalu lila.

Dziewczyna z delfinem miała podwinięty rękaw i ramię owinięte plastikiem. Pod nim prześwitywał tatuaż z napisem *Living on the edge*, skóra wokół niego była wściekle zaczerwieniona. Mina wyobraziła sobie szalejące pod tą skórą gronkowce, które wgryzają się coraz bliżej kości, niszcząc żywą tkankę. Potarła dłońmi o nogawki i mocno, choć dyskretnie uszczypnęła się w uda, żeby uciec od tych myśli. Dziewczyna z delfinem podniosła dłoń na powitanie i uśmiechnęła się do niej. Mina spróbowała odpowiedzieć uśmiechem, ale czuła się sztywna i nienaturalna.

Mężczyzna z psem siedział naprzeciw niej razem z Bossem. Właściwie powinna już przestać tak go nazywać i zamiast tego określać go jako Mężczyznę z Bossem. Obok nich siedziała kobieta na wózku. Mina założyła, że to partnerka, o której wspomniał. Na widok Miny uszy Bossego stanęły na baczność i zanim jego pan zdążył zareagować, pies podbiegł i oparł się przednimi łapami na jej kolanach, gorączkowo próbując polizać ją w twarz. Mina zerwała się w panice i zaczęła gwałtownie otrzepywać spodnie. Wprawdzie na dworze było sucho, ale i tak będzie musiała je wyrzucić. A teraz na dodatek wszystko to miała również na dłoniach. Mężczyzna z psem podbiegł i złapał smycz.

– Przepraszam, wydawało mi się, że go przywiązałem do nogi od krzesła.

– Nie musi pan przepraszać – odparła sztywno. – To ja... trochę się boję psów.

– Rozumiem, to w końcu duży pies. Ale słowo daję, jest bardzo łagodny. I najwyraźniej się w pani zakochał. Jeśli spojrzeć na to od pozytywnej strony.

– Spróbuję o tym pamiętać – powiedziała, zmuszając się do lekkiego uśmiechu. – Pozytywnie.

Usiadła znów, a Bosse został odprowadzony na miejsce. Jej tętno zaczęło się powoli uspokajać. Wszyscy patrzyli na nią. Mina spuściła wzrok. Wolałaby być niewidzialna. Nie chciała być zauważana ani ściągać na siebie uwagi innych. Nie w tym miejscu. Chciała słuchać, obserwować, uczyć się. Przychodziła do AA od trzech lat, jednak ani razu nie zdecydowała się podzielić własnymi doświadczeniami.

Kobieta na wózku uśmiechnęła się do niej współczująco. Mina udała, że nie widzi. Bosse położył się pod krzesłem swego pana, oparł wielki łeb na łapach, a spojrzenie wilgotnych brązowych oczu utkwiał w Minie. Spojrzenie smutne i rozczarowane z powodu odrzucenia.

Podczas przerwy Mina trzymała się na uboczu. Większość osób stała albo siedziała w małych grupkach, piła kawę i jadła ciasto, gawędząc. Mina usiadła w kącie i wyjęła telefon. Żadnych wiadomości. Otworzyła sobie *Candy Crush*, poziom dwadzieścia. Do osiągnięcia tego poziomu potrzebowała nieskończonej liczby godzin, ale był to dla niej idealny relaks. Cały mózg się odprężył, kiedy się wpatrywała w kolorowe słodycze, przesuwane, kasowane i dodawane. Był początek, a nie było końca.

– Ja też przepraszam za Bossego.

Drgnęła na ten głos na lewo od niej.

– Był już dorosły, kiedy go dostaliśmy, i niestety nie udało nam się go ułożyć tak dobrze, jak byśmy chcieli.

Kobieta na wózku uśmiechała się do niej przepraszająco. Mina westchnęła w duchu i schowała telefon do kieszeni. Najwyraźniej nie uniknie towarzyskich pogawędek, choćby chciała. Ludzie nie potrafią czytać sygnałów. Czasem marzył jej się świat, w którym wszyscy nauczyli się porządnie myć ręce, używali plastikowych rękawiczek i masek na twarz, i wszędzie znajdowały się wielkie szyldy z napisem „trzymaj dystans”.

– Nic się nie stało – odpowiedziała uspokajająco.

Miała nadzieję, że kobieta odjedzie na swoim wózku, ale ta została, spokojnie obserwując Minę z łagodnym uśmiechem. Mężczyzna z psem przyniósł dwa kubki kawy. Jeden podał kobiecie i uśmiechnął się przepraszająco do Miny.

– Wybacz, że ci nie przyniosłem, ale zazwyczaj nie pijesz...

– Nie, nie, w porządku.

Bosse siedział grzecznie przy nodze, ale sprawiał wrażenie, jakby w każdej chwili mógł skoczyć do Mina i polizać ją w twarz. Mina cofnęła się delikatnie.

– Bez obaw, trzymam go na smyczy – powiedział mężczyzna i usiadł naprzeciw niej.

Mina powstrzymała odruch, żeby wstać i odejść. Nie chciała nic o nich wiedzieć. Ani jak się nazywają, ani gdzie mieszkają. Gdzie pracują albo pracowali. Nie. Chciała. Wiedzieć. Byli niebezpiecznie blisko wtargnięcia na jej teren, w dodatku obcy, a ona nie chciała rozmawiać z obcymi ludźmi. Chyba że w pracy. Jednak poza pracą nie widziała konieczności wdawania się w rozmowy z nieznanymi. Szczerze mówiąc, ze znajomymi też nie. Zresztą jej lista znajomych była krótka. Coraz krótsza, w miarę jak ludzie się zniechęcali, bo nigdy nie kontaktuje się z nimi jako pierwsza.

– Kenneth mówił, że jesteś policjantką – powiedziała kobieta.

– Tak – potwierdziła krótko.

Kurde. Imię. Już wcześniej wiedziała, że ma takie imię, ale dla niej było to zbyt osobiste, za bardzo intymne. Poza tym nie miała ochoty rozmawiać z obcymi o swojej pracy. To pech, że Kenneth – kurde, w myślach nazwała go imieniem – i pozostali słyszeli, jak rozmawiała przez telefon z Julią o dochodzeniu. Więcej się to nie powtórzyło. I nie powtórzy. Ognioodporne drzwi rozdzielające różne części jej życia – to jedyny znany jej sposób, żeby sobie z tym poradzić. Żeby potrafiła sobie z tym radzić.

Mina rozejrzała się po pomieszczeniu. Chyba powinni już przejść do drugiej części spotkania? Wprawdzie nie musiała zostawać. Było to absolutnie dobrowolne, a więc mogła wyjść, kiedy zechce. Milczenie stało się w końcu zbyt dojmujące. Nie potrafiła się powstrzymać i wskazując palcem na wózek, spytała:

– Dlaczego siedzisz na wózku?

– Skolioza – odparła kobieta rzeczowo.

– Tak, no oczywiście, on... Kenneth wspominał.

Znów zapadło milczenie. Mina zaczęła się wiercić na krześle. Wydawało się, że Bosse jest coraz bliżej, jakby zakradał się powolutku, centymetr za centymetrem. Odsunęła się trochę razem z krzesłem na taką odległość, żeby brudy nie mogły przeskoczyć z psa na nią. Cisza zaległa nad nimi jak mokry koc i Mina już chciała odejść, a przynajmniej zmienić miejsce. Może mogłaby to jakoś usprawiedliwić, pytając Dziewczynę z delfinem o jej tatuaż. Jednak wolałaby nie znaleźć się zbyt blisko jej ramienia.

Telefon zabrzączał, Mina z ulgą wyjęła go z kieszeni. Przeczytała, zastanowiła się przez chwilę, napisała esemesa z odpowiedzią i wysłała. Podniosła wzrok i zobaczyła, że Kenneth i jego żona obserwują ją z zaciekawieniem. Mina wstała i wzięła kurtkę z oparcia krzesła.

– Przepraszam, praca mnie wzywa. Miło było poznać.

Skinęła głową kobiecie na wózku. Bosse powiódł za nią wzrokiem pełnym zawodu. Wychodząc z lokalu, minęła toaletę, ale świadomie zrezygnowała z wejścia i umycia tam rąk. Złapałaby jeszcze więcej bakterii, niż miała, wchodząc. W samochodzie ma nawilżane chusteczki. I spirytus do odkażania. Musi jej to wystarczyć.

CHRISTER WESTCHNAŁ. Jeszcze kilka godzin bezsensownego przeglądania nagrań z monitoringu Nordei i wtedy będzie miał całość, trzy doby kończące się chwilę po tym, jak Tuva wyszła przez drzwi kawiarni i zniknęła, ruszając, co już teraz było wiadomo, na spotkanie śmierci. Jednak kamera nie uchwyciła żadnej czarnej furgonetki, która mogła ją porwać, żadnego podbiegającego do niej zamaskowanego złoczyńcy. Niczego, co by odstawało od schematu.

Nie dostrzegł nic istotnego. Wprawdzie jakoś uwierał go ten utykający mężczyzna, ale nie mógł z tym nic zrobić poza czekaniem, aż może jeszcze skojarzy. Jak się nie pamięta, to nie i już. Kurde, przecież tego nie wyczaruje. Gdyby o to chodziło, trzeba było zatrzymać Vincenta.

Christer zamknął plik z nagraniem z monitoringu i znów westchnął. Następne zadanie też nie wydawało się zbyt pociągające. Po znalezieniu ciała Agnes, która – jak się wydawało – zginęła śmiercią samobójczą, to właśnie jemu zlecieli zawiadomienie Jespera Ceci. Ojca. Charlotte Ceci, matka, umarła jeszcze w dzieciństwie Agnes. Kiedy tylko dziewczyna osiągnęła jaką taką samodzielność, Jesper wyprowadził się do Arvika, gdzie założył nową rodzinę.

Christer był w zespole tym, który miał największe doświadczenie, jeśli chodzi o rozmowy z bliskimi ofiar, w związku z czym rzucali to zawsze na niego. Koledzy najwyraźniej nie rozumieli, że Christer nie lubi tego tak samo jak oni. I chyba nawet radził sobie z tymi rozmowami gorzej niż większość z nich. Kiedy trzeba, umiał działać uspokajająco, ale nie bardzo potrafił pocieszać.

Dobrze pamiętał swoją rozmowę z ojcem Agnes. Nie zawsze był dochodzeniowcem i podczas lat służby odbył wiele bardzo różnych rozmów. Jedni bliscy załamywali się, kiedy tylko powiedział, że jest z policji, nawet jeśli dzwonił w sprawie zaginionego kota, który został znaleziony martwy. Nie mógł się nadziwić, że właściciele zwierząt tak to przeżywają. Przecież powinni rozumieć cokolwiek, bo z własnego doświadczenia wiedział, że zwierzęta ciągle giną. Inni, kiedy dzwonił do nich, reagowali złością i oskarżali go, że zaniedbuje swoje obowiązki. Jak pięćdziesięcioletnia kobieta, której torebkę Michael Kors

znaleziono w idealnym stanie, choć bez telefonu komórkowego. W końcu miał dość i spytał, z jakiej komórki dzwoni w takim razie. Co za ludzie!

Jeśli wiadomość, którą miał do przekazania, była dramatyczna, mogli oczywiście doznać szoku. Było to trudniejsze, potrzebna była wtedy pomoc kogoś na miejscu, a Christer czuł się bezradny, siedząc przy telefonie. Problem polegał na tym, że trudno podjąć jakieś działania, kiedy nie wiadomo, jaka będzie reakcja.

Jesper Ceci należał do całkiem oddzielnej kategorii. Przez telefon rozmawiał... niemal uprzejmie. Oczywiście to również mogło świadczyć o szoku, zdarzało się, że bliscy starali się utrzymać emocjonalny dystans, żeby móc udźwignąć wiadomość o śmierci. Jednak to chyba nie był ten przypadek. Jesper Ceci miał w Arvika nową żonę i pięcioletniego syna. Kontakty z córką były od wyprowadzki ze Sztokholmu bardzo rzadkie. Kiedy Christer zadzwonił z informacją o jej śmierci, ojciec mówił o niej tak, jakby była daleką krewną. Albo osobą, którą ileś lat temu poznał na jakiejś kolacji. Christera aż przeszedł dreszcz.

Teraz będzie musiał znów do niego zadzwonić. Przypomnieć mu, że miał córkę, która być może nie popełniła jednak samobójstwa. Christer będzie musiał zadać mnóstwo pytań, wiedząc przy tym, że ojciec wcale nie ma ochoty na nie odpowiadać. Cholera jasna. Lepiej mieć to za sobą i niech się już skończy ten dzień. A jutro będzie nowy. Jakby miał być lepszy.

Christer wstał od biurka i otworzył drzwi na korytarz.

Niektórzy zamykali się w pokoju przed trudną rozmową. Christer przeciwnie. Widok na korytarz i odgłosy stamtąd stanowiły pożądany łącznik z rzeczywistością. Nie o to chodzi, żeby ta rzeczywistość była specjalnie zachwycająca, ale jednak. Cokolwiek lepsza od jego małego pokoju. A na pewno większa.

W związku z nową ustawą o danych osobowych wszelkie informacje o krewnych Agnes Ceci zostały skasowane z chwilą umorzenia postępowania wyjaśniającego. Policji wolno było rejestrować takie dane tylko w celach profilaktyki przestępstw, a rzekome samobójstwo pod to nie podpadało. Aż do tej chwili. Gdyby go ktoś pytał, a nie pytał, podkreśliliby, że GDPR¹⁵ to jedno wielkie gówno. Co komu szkodzi zapisywanie niezbędnych informacji o ludziach? Christer nie potrafił zrozumieć, dlaczego nagle wszystko ma być tajne. Gdyby ktoś chciał poznać cztery ostatnie cyfry jego PESEL-u, podałyby je. Na szczęście numer telefonu pracy Jespera Ceci można było wygooglować.

Przy okazji znalazł jego świeży artykuł na stronie „Arvika Nyheter”. Jesper Ceci był aktywnym działaczem partii Przyszłość Szwecji, znajdującej się pod silnym wpływem norweskiej Fremskrittspartiet¹⁶, tylko jeszcze bardziej

prawicowej. Zyskała popularność dzięki podnoszeniu takich kwestii jak ta, że ludzie niepłacący podatków nie powinni też otrzymywać zasiłków społecznych. Nazywając to wprost problemem związanym z imigrantami.

Christer spojrział na dołączone do artykułu zdjęcie Jespera. Ojciec Agnes uśmiechał się do niego zimno, miał rzadkie włosy zaczesane do góry, niebieską marynarkę przybraną czerwoną apaszką. Wyglądał, jakby wybierał się w rejs żaglówką. Jesper Ceci zasiadał w zarządzie gminy w Arvika, a artykuł traktował o zmianach, jakie chciałby widzieć w gminie w ciągu najbliższego roku. Christer potrafił sobie wyobrazić, że najchętniej rozdawałby obowiązkowe opaski na rękawy.

Nie miał siły czytać dalej. Wybrał numer do urzędu gminy Arvika i połączył się z centralą. Po trzeciej próbie został przełączony do właściwej osoby. Jesper odebrał już po pierwszym sygnale.

– Skończ z tym wreszcie – powiedział prosto w ucho Christera. – Mówiłem, żebyś tu nie dzwoniła, bo to źle wygląda.

– Eee, mówi Christer Bengtsson ze sztokholmskiej policji.

– Ojej, przepraszam – odezwał się już innym tonem. – Myślałem, że to żona.

– Nie, jak powiedziałem, Christer Bengtsson. Rozmawialiśmy kiedyś...

– Pamiętam – przerwał mu Jesper. – Nie była to rozmowa, o której da się szybko zapomnieć.

Christer w pierwszej chwili zdziwił się, że Jesper nie mówi z värmlandzkim akcentem, choć powinien pamiętać – dopiero co przeczytał o tym – że tamten urodził się w Halmstad. Krótka pamięć. Głos w słuchawce mówił wyraźnym dialektem hallandzkim. „Nie była to rozmowa, o której da się szybko zapomnieć”. A jakże. Christer mógłby przysiąc, że Jesper Ceci robił wszystko, żeby właśnie zapomnieć.

– Przepraszam, że znów do pana dzwonię – powiedział. – Ale pojawiły się nowe informacje w sprawie śmierci pańskiej córki. Faktem jest, że nie ma pewności, czy było to samobójstwo. Wznowiliśmy dochodzenie.

Zapadło milczenie.

– Co pan chce przez to powiedzieć? – odezwał się w końcu Ceci, tym razem jego głos brzmiał słabiej niż wcześniej.

– Podejrzewamy, że pańska córka mogła zostać zamordowana – odparł Christer. – Chciałbym spytać, czy wiadomo panu coś o jej przyjaciołach, nieprzyjaciołach, czy miała jakiś dług wobec kogoś, czy była zamieszana w działalność kryminalną...

– Jak pan śmie twierdzić, że moja córka była kryminalistką – wrzasnął Jesper Ceci, Christerowi aż zadzwoniło w ucho. – Jeszcze jedno słowo, a pozwę pana i całą sztokholmską policję za zniesławienie! To skandal! Wie pan, że znaleźli ją

w parku? Przed jakimś cholernym teatrem? Jakby chodziło o przedstawienie! Nigdy nie wierzyłem, że to było samobójstwo.

W jego tonie było coś sztucznego. Christer z tej frustracji walnął się słuchawką w czoło. Zadzwoił do Jespera na służbowy numer stacjonarny. Jesper musiał dbać o pozory, na wypadek gdyby ktoś słyszał ich rozmowę. Źle by wyglądało, gdyby polityk Przyszłości Szwecji miał córkę, która nie była taka, jak należy. Christer nie uwierzył ani przez sekundę, że ojciec Agnes jest aż tak przejęty. Wydierał się, bo mogli słyszeć go koledzy.

– Nie chciałem panu sprawić przykrości – powiedział cierpliwie Christer. – Rozumiem, że nie wiedział pan, co się dzieje w codziennym życiu córki w Sztokholmie, zważywszy na odległość i na to, że dawno się nie widzieliście. Wiem, że jest pan bardzo zajęty swoją karierą w Arvika. Przy okazji gratuluje panu nowej rodziny. W końcu Agnes była dorosła i miała własne życie.

– Niech pan lepiej uważa z tymi insynuacjami – odparł lodowato Jesper Ceci.

Jego miękki hallandzki akcent kontrastował mocno z zimnym tonem. Poruszyło to coś w podświadomości Christera, domagało się jego uwagi. Powinien dostrzec, jednak ciągle mu umykało. Odpowiedział rzeczowo.

– Niczego nie insynuuję. Moim głównym celem było poinformowanie pana o wznowieniu dochodzenia.

Jesper Ceci milczał przez chwilę. Sądząc po odgłosach, jakby się przemieścił, może przeszedł do innego pokoju.

– Ten... terrorysta – odezwał się potem cicho. – Na pańskim miejscu zacząłbym od niego.

Christer poczuł, jakby cała wypita dziś kawa spłynęła mu nagle do pęcherza.

– O kim rozmawiamy? – spytał z ożywieniem.

– O tym facecie, z którym mieszkała. Z Iranu, Syrii czy skądś. Ledwo sobie radził. Nie miałby nawet gdzie mieszkać, gdyby Agnes się nad nim nie zlitowała. Na pewno miał chrapkę na jej mieszkanie.

– Dlaczego pan nazywa go terrorystą?

Christer szukał gorączkowo długopisu, żeby notować.

– Może nie jest terrorystą. Ale tacy jak on już tak. Zrobią wszystko dla własnej korzyści, parszywi handlarze dywanami. I taki facet zabił moją córkę.

– Odniosłem wrażenie, że się przyjaźnili – odparł Christer. Już nie szukał długopisu, nie warto było notować tej rozmowy.

– Agnes przyjaciółką takiego gościa? Nigdy w życiu. Właśnie takie naiwne nastawienie sprawiło, że nasz kraj teraz wygląda tak, a nie inaczej. Bez zasad. Bez jakiegokolwiek ochrony. Myślałem, że kto jak kto, ale policjant to rozumie. Ale pan nie wie, jak wygląda prawdziwa Szwecja, słyszę to w pana głosie. Powinien się pan wstydzić. Proszę zadzwonić, jak go już złapiecie.

Rozłączył się. Christer westchnął i spojrzął jeszcze raz na zdjęcie z „Arvika Nyheter”. Normalnie nie podobałoby mu się, że ojciec zostawia córkę w jej osiemnaste urodziny. W tym przypadku była to pewnie największa przysługa, jaką Jesper mógł zrobić swojej córce. Przynajmniej przez kilka lat nie musiała go codziennie wysłuchiwać.

A potem umarła.

Daniel Bargabriel został już przesłuchany w związku z tą sprawą i wypuszczony. Nie wydawał się winny. Wtedy nie. Jednak Mina mówiła, że uciekł z kawiarni i zniknął. Niedobrze to wyglądało. Mało powiedziane. A dziadkowie Tuvy mówili, że spodziewała się czegoś złego po Danielu. Cholera jasna.

Christer usiadł i potarł oczy. Był to długi i nie najlepszy dzień. Nie zamierzał umniejszać potworności, które spotkały Agnes i Tuvę, ale przecież wszyscy umrzemy, prędzej czy później. Nigdy nie wiadomo, na kogo przyjdzie kolej ani kiedy. Tak jest i już. Christer czasem wyobrażał sobie, że w jego drzwiach staje czarna postać z kosą. Nie żeby koniecznie chciał umrzeć, bo był raczej pewien, że nie. Ale fajnie, gdyby była jakaś różnorodność. Śmierć. Życie. Niech to szlag.

Z westchnieniem puścił znów nagranie z monitoringu. Nie zamierzał oglądać, ale dopóki film przewija się na ekranie, będzie wyglądało, jakby pracował. Splótł ręce na brzuchu, odchylił się na fotelu i zamknął oczy. Nie chciałby, żeby sprawcą okazał się Daniel, bo to by była woda na młyn Jespera. Choć w tym momencie wszystko na to wskazywało. Znów westchnął. Niestety, czasem nawet rasista ma rację.

W SREBRENICY był stolarzem. Tworzył coś własnymi rękami. Odziedziczył zawód po ojcu i dziadku, wydawało się, jakby ich skumulowane umiejętności zostały przez niego uszlachetnione. W każdym razie tak mawiała jego babka. Wystarczyło, że spojrział na kawałek drewna, i od razu widział, co w nim mieszka, czego chce i w co powinno być uformowane. Stworzył tyle pięknych rzeczy. Nigdy nie oddał wyrobu, który nie byłby taki, jaki miał być.

Już nie tworzył. Chęć tworzenia odebrała mu wojna, a śmierć przesłoniła dostrzeganie piękna. W miejscu, gdzie przedtem mieszkała w nim radość, teraz znajdowała się jakaś czarna masa nawarstwionych doświadczeń wojennych. Smutków. Cierpienia odłożyły się w stawach, zaciskał pięści na samą myśl, że miałyby coś stworzyć.

Przez wojnę nabył nową umiejętność. Kopania. Zakopywania zmarłych. Nie mógł się ich doliczyć. Teraz kopał groby dla trumien, dla ludzi grzebanych pojedynczo. Z kościelnym ceremoniałem.

Wtedy zrzucali całe stosy zwłok. Głównie mężczyzn. I chłopców. Głębokie doły, do których ludzie byli zrzucani jak zwierzęce truchła. Odgłos ciała spadającego na ciało. Wcześniej przeszukiwane, pozbawiane cennych rzeczy, jeśli je mieli. W większości nie mieli. Byli biedni. Nic nieznaczący.

Zastanawiał się czasem, czy Mladić, dziś w celi, słyszy głuchy łoskot zrzuconych zwłok. Pewnie nie. Odgłos ośmiu tysięcy bośniackich muzułmanów strącanych do grobów powinien odzywać się głośnym echem między ścianami jego celi, ale prawdopodobnie jest mu wygodnie i ciepło, dają mu jeść i może oglądać telewizję. Trzeba szczególnego rodzaju potwora, żeby zamordować osiem tysięcy ludzi.

– Cześć. Jestem Ove. To moja maszyna. Będziecie mnie instruować, jak kopać.

Nicola potrząsnął jego wyciągniętą dłonią. Mężczyzna miał około pięćdziesiątki. Niski, łysy, z tatuażami pokrywającymi czaszkę. Na łyżce małej koparki widniał napis *Oves minilast*. Nicola spojrział na niego podejrzliwie. W Srebrenicy taki tatuaż sygnalizowałby kryminalistę po co najmniej dziesięciu

latach odsiadki. Nicola nie był pewien, co to oznacza tutaj. Postanowił ani na chwilę nie odwracać się do niego tyłem.

– Zaczynj od usunięcia wierzchniej warstwy ziemi – powiedział. – Ostrożnie. Blżej trumny przejmujemy to z Emilem. Zwykle trumny znajdują się na głębokości dwóch, trzech metrów, więc na wszelki wypadek nie kop głębiej jak półtora metra.

Facet z tatuażem na czaszce skinął mu i poszedł do koparki. Nicola wciąż obserwował go podejrzliwie.

W ich stronę zmierzał mężczyzna z kobietą. Zaraz za nimi jeszcze jedna kobieta i mężczyzna, ubrani w ochronne kombinezony.

– Mina Dabiri, policja – odezwała się pierwsza kobieta, podając mu rękę. – A to Vincent Walder.

– To ja ściągnąłem tu Ovego – powiedział mężczyzna. – Jest dobry. To mój sąsiad. W każdym razie mieszka niedaleko mnie. Przypuszczam, że to on do was dzwonił?

– Czy to kryminalista? – spytał Nicola.

Najlepiej walić prosto z mostu. Człowiek powinien wiedzieć, jak jest. Walder zrobił wielkie oczy.

– Kryminalista? Nie sądzę. Dlaczego... bo co?

Nicola kiwnął głową.

– W porządku – powiedział. – Wydaje się okej.

– Przyprawiliśmy też techników kryminalistyki – ciągnęła Mina, wskazując parę stojącą z tyłu. – Przejmą trumnę po odkopaniu.

Nicola znów kiwnął głową. Nie był zbyt rozmowny, przyszedł wykonać swoją robotę. Szwedzi czasem za dużo gadają. Jakby nie mogli znieść ciszy i musieli ją czymś wypełniać. On akurat uwielbiał ciszę.

Nicola i Emil cofnęli się o kilka kroków, żeby nie wchodzić w drogę koparce. Nie musieli rozmawiać. Byli braćmi. Może nie przez krew, ale od czasu Srebrnicy nie rozstawali się. Obaj stracili wszystko. Ich rodziny leżały gdzieś w anonimowych masowych grobach. Nieodnalezione, niezidentyfikowane.

Razem przyjechali do Szwecji i zamieszkali w niedużym dwupokojowym mieszkaniu w dzielnicy Rinkeby. Nicola gotował, Emil zmywał. Egzystowali, bo powiedzieć, że żyli, byłoby przesadą.

Mężczyzna z tatuażem manewrował zręcznie koparką, ostrożnie zdejmując wierzchnie warstwy ziemi. Nicola zerknął na człowieka, który towarzyszył policjantce i teraz z uwagą obserwował pracę koparki. Przypominał mu trochę jego prawdziwego brata, Sergieja, który z nich dwóch był tym mądrzejszym. Nicola tworzył rękami, a Sergiej głową.

Przed wojną brat nauczał matematyki na uniwersytecie. Nicola tęsknił za nim i ciągle nie potrafił zrozumieć, że sam został oszczędzony, a z brata zostały od tamtej pory same kosteczki.

– Co powiedziałaś o mnie technikom? – spytał policjantkę ten człowiek. Najwyraźniej zapomniał, że obok stoi Nicola.

– Nic – odparła. – Raczej się nie orientują w dokładnym składzie zespołu Julii. Czyli dzisiaj jesteś jednym z naszego zespołu. Wystarczy, że w to wchodzisz.

Nicola pokręcił głową. Wszyscy mają jakieś tajemnice, nawet tutaj. Za dużo tajemnic to nic dobrego. Kiedy ludzie sobie nie dowierzają, wszystko się może zawalić. Łyżka koparki cofnęła się i zatrzymała. Drzwi kabiny otworzyły się.

– Wystarczy? Czy mam dalej kopać?

Nicola chwycił łopatę i podszedł do grobu. Emil zaraz za nim. Zajrzeli, oceniając głębokość po odległości od powierzchni. Spojrzał na Emila, ten kiwnął głową.

– Przejmujemy – powiedział.

Zeszli do dołu i zaczęli kopać łopatami. W piersi poczuł ból na wspomnienie innej ziemi, innej śmierci. Dawno temu.

A przecież jakby to było dziś.

Wciąż dziś.

W PIERWSZEJ CHWILI nie usłyszał telefonu. Dopiero gdy Maria trąciła go w stopę.

– Odbierzesz? – spytała.

Vincent był głęboko pochłonięty lekturą o zachowaniach i kryzysach życiowych uwarunkowanych wiekiem. Autor zrelacjonował poglądy, oceny i działania typowe dla poszczególnych faz życiowych. Ludzie wcale nie są tak różni, jak myślą. Kiedy kupował tę książkę, chodziło mu z początku o to, żeby lepiej rozumieć własną rodzinę. Nie chciał popełniać błędu, sądząc, że dziewięciolatek, piętnastolatka, dziewiętnastolatek i czterdziestolatka rozumują tak samo. Zaczynał jednak podejrzewać, że materiał, na którym oparł się autor, nie objął jego rodziny.

Teraz czytał tę książkę, by zrozumieć mordercę. Mógł na podstawie znanych mu dotychczasowych działań tego człowieka pokusić się o określenie jego wieku, płci i pochodzenia. Zawsze coś. Jednak nie potrafił się pozbyć poczucia, że w tych działaniach jest sprzeczność.

– Vincent? – odezwała się znów zirytowana Maria. – Twój telefon dzwoni! A może boisz się odebrać, bo siedzę obok i mogłabym coś usłyszeć?

Zamknął książkę i spojrzał na komórkę leżącą na stoliku przed kanapą. Na wyświetlaczu pojawiło się imię Myny. Złapał szybko telefon, podczas gdy Maria ostentacyjnie pogłośniła telewizor.

– Miłej zabawy z kochanką – powiedziała. – Tylko nie obudź Astona. Miał dzisiaj ciężki dzień w szkole.

Vincent wyszedł do swojego gabinetu. Miał do wyboru albo wyjść, albo starać się przekrzyczeć odgłosy z *Let's Dance* na wideoplatformie TV4.

– Cześć, Mina – powiedział, przymykając drzwi.

– Christer rozmawiał z dziadkami Tuvy, właśnie przeczytałam jego raport.

– Aha, a samochód się dobrze sprawuje?

Szczęście, że nie była to wideorozmowa, bo na pewno byłoby po nim widać, jaki był rozbawiony własną kwestią.

– Bardzo zabawne. A tu człowiek się stara komunikować na twoim poziomie.

– Już nic nie mówię.

Vincent usiadł przy biurku i obrócił się powoli na krześle. Dźwięk w telefonie był taki, jakby rozmawiała przez słuchawki. Oczywiście. Przecież nie przytknęłaby ucha do telefonu, który leżał przedtem na stole albo w kieszeni. Musiałaby go najpierw dokładnie umyć. Pytanie, ile wytrzymają słuchawki, bo te na pewno też myje. Gdyby miał kiedykolwiek kupić jej prezent pod choinkę, będą to słuchawki douszne.

– Christer rozmawiał też z ojcem Agnes, Jesperem Ceci – ciągnęła Mina. – Zgadnij, czyje nazwisko wymieniają wszyscy troje?

– Daniela Bargabriela.

Strzelał, ale to była jedyna możliwość.

– Dobry jesteś, mentalisto. Choć to tylko luźne poszlaki. Babcia i dziadek twierdzą, że Tuva nie chciała o nim rozmawiać ze strachu, że Daniel zrobi jej krzywdę. Z kolei Jesper Ceci twierdził, że Daniel chciał przejąć mieszkanie Agnes. Wprawdzie jego przesłanki są rasistowskie, jednak...

– Jednak Daniel musiał mieć powód, żeby uciec z kawiarni.

Mina umilkła. Usłyszał jakieś dźwięki w tle, najpierw głośniejsze, potem ucichły. Była w pracy, rzecz jasna, i nikt nie wiedział, że dzwoni do niego. Począł, aż się znów odezwie. Lubił jej słuchać.

– A więc co ci mówi twój profil? – spytała, kiedy już głosy znikły. – Może Ruben ma rację? Czy to może być on?

Vincent przypomniał sobie własne spostrzeżenia podczas obserwacji Daniela, kiedy byli w Fab Fika. Przez ścianę oddzielającą go od salonu usłyszał, jak Tony Irving wypowiada się na temat idealnego slowfoxa. Widocznie Maria jeszcze bardziej pogłośniła telewizor, bo długo nie wracał. A potem albo ogłuchnie, albo czeka go ścięcie. Ale to później.

– Podczas naszej rozmowy w kawiarni Daniel był wyraźnie zdenerwowany i coś ukrywał – powiedział w końcu Vincent. – Tylko tyle. Może mógłby pod presją zareagować w sposób gwałtowny, jednak wtedy nie obserwowałem żadnych sygnałów świadczących o tłumionej wściekłości. Byłby wtedy bardziej sarkastyczny albo cyniczny, co by się objawiało westchnieniami, uruchomieniem *orbicularis ocul...*

– Orbi co?

– Nie wodził oczami. A ewentualny stres, na który go naraziliśmy, powinien spowodować jakąś formę tików. Jednak nic takiego nie nastąpiło. Z drugiej strony nie należy wyciągać uogólnionych wniosków na podstawie tylko jednego spotkania. Fakt, że w naszej obecności nie reagował w sposób gwałtowny, nie znaczy, że nie mógłby się tak zachować w innych sytuacjach. Ale mówiłem również, że morderca wydaje się mieć dwie różne osobowości. Wybuchową

i gwałtowną, owszem, ale również spokojnie planującą. Pozostaje nam sprawdzić, czy Daniel ma je obie.

Mina zakłęła.

– Wynika z tego, że powinniśmy w pierwszej kolejności zatrzymać Daniela – powiedziała. – Albo jest sprawcą tych morderstw, albo jest niewinny, a w takim razie może potrzebować ochrony przed zwolennikami Przyszłości Szwecji. Ojciec Agnes, wysoki funkcjonariusz tej partii, jest rozwścieczony. Jest na tyle znaną osobistością, że nie może zrobić niczego, co odbiłoby się na jego wizerunku. Może za to poprosić kogoś innego, żeby zamieścił zdjęcie Daniela i jego nazwisko na stronie partii na Facebooku wraz z sugestią, żeby zrobić z nim, „co należy”. To się już zdarzało. – Vincent stęknął i zrobił jeszcze jeden obrót na krześle. – Przyszłość Szwecji to są dopiero krasnoludy – skomentował. – Z nimi też będziemy musieli mieć do czynienia?

– Krasnoludki? Musiałeś mieć w dzieciństwie osobliwe święta. Ale dziękuję. Do rychłego zobaczenia.

Rozłączyła się.

Vincent posiedział jeszcze chwilę z telefonem w dłoni, zbierając siły, żeby pójść do Marii. Dobrze, że *Let's Dance* zbliżało się ku końcowi, słyszał, jak prowadzący podsumowują wieczór. Patrzył na display i starał się zmusić go do wyświetlenia imienia Myny. Jednak ekran pozostał czarny. Nabrał powietrza w płuca, otworzył drzwi i wszedł do salonu.

– Siedzę tu, ale wszystko słyszałam! – wykrzyknęła Maria. – Uprawiacie seks przez telefon. Obrzydliwość! Wstydziliście się!

Vincent spojrział na żonę. W głowie miał setki złośliwych odpowiedzi, jedną trafniejszą od drugiej. I coraz bardziej szkodliwą dla ich wzajemnych stosunków. W końcu nic nie powiedział. Odczuwał coraz większy żal, że tak daleko zabrnęli.

DANIEL CIĄGLE ZWLEKAŁ z wyjściem z mieszkania w Märsta, ale dłużej się już nie dało. Musiał kupić sobie coś do jedzenia. Papier toaletowy. I pobyć trochę na dworze. W łazience przyjrzał się sobie w lustrze. Został obdarzony żalonym plackowatym zarostem, dlatego starał się zawsze być świeżo ogolony. Żadnych cieni na policzkach à la Zac Efron. W tym momencie miał dziko rosnące kępki. Włosy, zazwyczaj ułożone w niby spontaniczną, w rzeczywistości zaś starannie ułożoną fryzurę, były niemyte od tygodnia i lepiły się do czaszki jak czapka. Do tego odrosty, przy skórze brązowe. Krótko mówiąc, wyglądał paskudnie.

Dobrze, że nie ma Evelyn, powiedziałyby, że wygląda jak bezdomny chory na raka. Każdego potrafiła trafić w czuły punkt. Tęsknił za nią bardziej niż kiedykolwiek. Ale widząc go w takim stanie, zerwałaby z nim w jednej chwili. Nie zdziwiłby się, gdyby na dodatek śmierdział.

Zachodziło pytanie, czy oni wiedzą. Czy policja orientuje się, gdzie on jest. Wcześniej był cholernie nieostrożny. I musiał kłamać na temat Tuvy. To znaczy może nie tyle kłamać, ile nie mówić wszystkiego. Co teraz może się na nim odbić. Dwa razy było już blisko. Nie może sobie pozwolić na więcej błędów.

Znów spojrzął w lustro. Powinien zacząć od tego, żeby włożyć coś więcej niż T-shirt i gatki, w których ostatnio chodził, a potem wyjść za próg. Zanim do reszty utraci kontrolę nad wszystkim. Jednak ciągle nie mógł się pozbyć przeczucia, że policja rzuci się na niego, kiedy tylko wyjdzie z mieszkania. I go pobije. Albo ktoś go zobaczy i zadzwoni z donosem na 114 14. Jego twarz jako „Poszukiwanego przez policję” na pewno znajdzie się na posterach na każdej latarni, poczynawszy od jego domu aż do sklepu ICA. Nie bez powodu.

– Weź się w garść – powiedział do siebie głośno. – Mają na głowie wielu innych, nie tylko ciebie.

Jednak pozostawało faktem, że bał się wyjść niezależnie od tego, czy był sam sobie winien, czy nie. I im dłużej będzie z tym zwlekał, tym strach będzie większy. Po raz trzeci spojrzął na siebie w lustrze. Przesunął dłonią po rozwichrzonym zaroście. Popatrzył na poplamioną koszulkę. Mógłby zadzwonić

do Samira, który na pewno podrzuciłby mu jakieś ubranie i jedzenie. Jednak wraz z Samirem pojawiłoby się mnóstwo innych problemów. Byłby zachwycony, że ma skąd sprzedawać swoje małe torebki. Josefowi, właścicielowi mieszkania, wcale by się to nie podobało. Jednak nie, Samir nie jest żadnym wyjściem. Daniel nie rozmawiał z Evelyn od czasu swojej ucieczki. A nie chciał jej stracić, nic nie było tego warte.

Evelyn przesądziła.

Dłużej nie będzie ściganym, powinien stać się atakującym. Jedyne sposoby, żeby pozbyć się potwora, to zabić go. Aby zachować kontrolę nad sytuacją, powinien sam skontaktować się z policją, zanim go znajdą. I być na tyle przekonujący, żeby o nim zapomnieli na dłuższy czas. Najlepiej na zawsze. Wziął wizytówkę przyczepioną do lustra, poszedł po telefon i wybrał numer.

Ktoś odebrał, nie słyszał jej dobrze. Zagłuszył ją szum, który miał w głowie z tych nerwów.

– Dzień dobry – powiedział. – Była pani u mnie w pracy, żeby pogadać. Chodziło o Tuvę, Tuvę Bengtsson.

KVIBILLE 1982

ROZŁOŻYŁ RYSUNEK na ziemi w oborze, którą wcześniej starannie zamiótł, żeby go nie pobrudzić. Rysowanie, mierzenie, wprowadzanie poprawek i zaczynanie wszystkiego od początku zabrało mu wiele dni, ale wreszcie skończył. Położył się obok rysunku i przyglądał się kolejnym fragmentom, żeby upewnić się, że nie popełnił żadnego błędu. W oborze od dawna nie było żadnych zwierząt, ale gdy tak leżał na drewnianej podłodze, czuł jeszcze zarówno ich woń, jak i krowich odchodów. Jane mówiła, że ten smród jest obrzydliwy, i odmawiała postawienia nogi w oborze. Ale on czuł się bezpiecznie z tym smrodem.

Obora była jego miejscem i tylko jego. Budując, spędził tu pewnie więcej czasu niż we właściwym domu.

Rozległo się pukanie i drzwi się otworzyły. Stała w nich Jane, dłoń trzymała wciąż na klamce.

– Mogę wejść? – spytała.

– Tak, ale przecież nie lubisz tu być...? – odpowiedział i usiadł.

– Wiem, ale uzmysłowiłam sobie, że to tylko molekuly zapachowe. Ćwiczę się w ich reinterpretowaniu. Czytałam, że tak można. No i chciałam się dowiedzieć, jak ci poszło z tą łamigłówką numeryczną. Zupełnie o niej zapomniałam.

Sięgnął do tylnej kieszeni po ramkę z cyferkami i wstał, by podejść do siostry. Zmagał się z tym wyzwaniem przez wiele dni.

– Nie rozumiem – powiedział, podając jej ramkę. – Chyba się... nie da?

– Bingo – odparła. – To nierozwiązywalne.

Ściągnął brwi. Jak to jest, że jeden porządek cyfr jest możliwy, a inny nie? Wydawało się to niedorzeczne.

– Zobacz – powiedziała. – Wszystkie cyfry miały znaleźć się na swoich miejscach z wyjątkiem czternastki i piętnastki, które miały się zamienić tymi miejscami. Jeśli zaczniemy od którejś z pozostałych cyfr, jaka będzie najmniejsza liczba ruchów konieczna do tego, żeby znalazły się na tym samym miejscu, z którego wyszły?

– Dwa ruchy. Najpierw w jedną stronę, wszystko jedno którą, a potem powrót.

– Dobrze. Parzysta liczba ruchów. To znaczy, że choćbyś wykonał nie wiem ile ruchów, musi to być parzysta liczba, żeby cyfra wróciła na to samo miejsce. Nie patrz tak na mnie, to logika matematyczna. A ile ruchów trzeba, żeby czternastka znalazła się na miejscu piętnastki? Nie można wykonać jednocześnie parzystej i nieparzystej liczby ruchów. Dlatego jest to nierozwiązywalne.

Pokręcił głową. Nie zrozumiał wszystkiego, jednak wydało mu się to przekonujące.

– Ja lubię, jak coś jest parzyste – powiedział. – Jest jakaś organizacja dla takich jak ty?

– Chcesz powiedzieć dla wyjątkowo bystrych?

– Nie, dla denerwujących starszych sióstr. – A potem dodał powoli: – Słuchaj, te molekuły, do których przyzwyczajasz swój nos, wiesz, że to są molekuły kupy, co?

Jane pozieleniała na twarzy.

– Łeee! – wrzasnęła. – Aleś ty obrzydliwy!

Wybiegła z obory, a jej brat aż się zwiął ze śmiechu. Śmiał się jeszcze bardziej, kiedy zobaczył, że próbowała wysmarkać się w rękaw koszulki, żeby pozbyć się z nosa tego, co niewidzialne.

Wrócił do szkicu, z którego strzepnął jakieś słomki. Nie był to jego pierwszy rysunek, a pod ścianami obory stały większe i mniejsze konstrukcje, które sam zbudował. Sztuczki magiczne. Jedne działały, inne nie. Allan, właściciel składu drewna, znał jego zainteresowania i był pod dużym wrażeniem, że chłopiec tak dobrze sobie radzi z budowaniem i konstruowaniem. Zawsze miał dla niego pod ręką a to płytę wiórową, a to jakieś deski albo kawałek materiału. W razie potrzeby nawet kartony po płatkach śniadaniowych.

Ostatni rysunek to zupełnie inna sprawa. Iluzje stojące wzdłuż ścian wymyślił sam po obejrzeniu magików w telewizji, potem rozgryzał, jak to zrobili. Nigdy nie wiedział, czy dobrze to wykombinował. Dopiero ten rysunek to była prawdziwa rzecz.

Mama pomogła mu zamówić w bibliotece w Kvibille kilka książek o efektach iluzjonistycznych. Musiał czekać na nie przeszło miesiąc. Okazało się jednak, że były to głównie biografie ze zdjęciami wystrojonych na świećaco magików

z różnych przedstawień w Las Vegas, tymczasem miał nadzieję, że znajdzie w nich opisy numerów. Najwyraźniej nikt nie chciał zdradzać swoich tajemnic. Aż trafił na książkę o arcynudnym tytule *Twoje hobby, seria 12: Stwórz swoje własne sztuczki magiczne!* Mało brakowało, a nie zamówiłby jej. Tymczasem składała się głównie ze schematów do najbardziej znanych numerów iluzjonistycznych. W głowie mu się nie mieściło, że istnieje książka, która zdradza wszystkie tajemnice.

Zrobiona była niedbale, ilustracje nie zostały sporządzone należycie, były to tylko fotokopie projektów. Przypuszczalnie amerykańskich, bo na wszystkich marginesach znajdowały się wymiary przełożone przez autora z cali na centymetry. Nieważne. W książce znalazł wyjaśnienie ulubionej przez niego iluzji: *The Substitution Trunk*, albo magiczna skrzynia.

Większość innych oglądanych przez niego iluzji polegała na tym, że magik wciskał swoją asystentkę do skrzyni, żeby robić z nią różne rzeczy: przepoławiał ją, podpalał, przebijał mieczami. A potem okazywało się, że asystentka wychodzi ze skrzyni przebrana. Zawsze go dziwiły sztuczki, które polegały na wyrządzeniu komuś krzywdy. I nagle ten ktoś wychodzi zdrowy i przebrany. Widocznie to taka historia dla dorosłych.

Różnica między *The Substitution Trunk* a innymi iluzjami była taka, że magik i jego asystentka przechodzili to samo. Oboje byli magikami i oboje byli asystentami. Magik stawał się asystentem.

On sam mógł zamienić się miejscami z kim innym. Stać się kim innym. To dużo lepsza historia.

Zerknął na zdjęcie w otwartej książce, leżącej na ziemi obok rysunku. Przedstawiało dwie osoby uśmiechające się i przyjmujące oklaski. Powinien znaleźć sobie asystentkę. O Jane mógł zapomnieć. Ale przy nowych wymiarach, które sobie wyliczył na podstawie szkicu, mama mogłaby się zmieścić w skrzyni. Będzie zaskoczona i jednocześnie dumna z niego. Wreszcie będzie mogła sama zrobić jakąś sztuczkę. Na wszelki wypadek sprawdził jeszcze raz wymiary.

To będzie jego najlepszy trik ze wszystkich.

– SIEDZIELIŚCIE DO PÓŻNA na imprezie taty?

Vincent zadał to pytanie lekkim tonem w nadziei, że mu się upiecze. Wprawdzie szanse nie były duże. Ale gdyby do tego doszło, miałby powód, żeby pójść kupić los na loterii; pierwszy raz w życiu.

Jego szansa na wygraną miliona koron w loterii Triss¹⁷ wynosiła jeden na 250 tysięcy, za to miał jedną szansę na pięć, że wygra cokolwiek. W Lotto szansa na skreślenie sześciu liczb i milion koron wynosiła jeden na 490 860. I jeden na pięćdziesiąt na jakąkolwiek wygraną. To już niech będzie Triss. Z drugiej strony na Bingolotto miał jedną szansę na mniej więcej 166 tysięcy, grając albo w Superchansen, albo Färgfemman, a szansa na jakąkolwiek wygraną wynosiła jeden na 7,7 losu, więc może powinien...

– Vincent! Czy ty mnie w ogóle słuchasz? – fuknęła Maria, aż poczerwieniała ze złości.

Liczył się z tym, że właśnie tak będzie. Po rodzinnych spotkaniach zawsze była zła jak osa. Wracała przepelniona trucizną, sączoną jej do ucha przez rodziców i rodzeństwo.

A jednak zrobiło mu się przykro, że tego dnia nie kupi losu. Przeciwnie. Czeka go zarządzanie konfliktem i niech go Bóg ma w swojej opiece. Wstał, nalał sobie kawy do *Fiuta z konfetti* i usiadł naprzeciw niej. Słońce rzucało złoty blask na stół, jakby wprawiało się przed latem.

– Wszyscy bardzo się dziwili, że cię nie było na urodzinach – powiedziała. – Tłumaczyłam, że masz przedstawienie, ale i mama, i tata byli urażeni.

– Przykro mi – odparł i w tej samej chwili wyczytał z jej mowy ciała, że to zdecydowanie niewłaściwa odpowiedź.

Vincent potrafił odczytywać nawet najmniejsze wahania w nastrojach publiczności liczącej osiemset osób i grać na nich jak na orkiestrze złożonej z wielu instrumentów, ale z dziwnego powodu nie potrafił się komunikować z własną żoną, która była chodzącym polem minowym. Tym bardziej, że miny zostały podłożone przez jej rodziców. I Ulrikę.

– Przykro?

Jej głos przeszedł w falset. Miała przed sobą ulubiony kubek z napisem *Skrząca cipa*, a Vincent pomyślał po raz kolejny, jak kiepsko pasuje on do jego żony. Znał wiele trafniejszych określeń. Prawdę mówiąc, większość innych słów.

– Nie chciałem powiedzieć...

Poruszał rytmicznie stopą pod stołem, ale zmusił się, żeby przestać. Jeśli sprawi wrażenie zdenerwowanego, Maria rozzłości się jeszcze bardziej. Zastanawiał się czasem, co takiego w nim zobaczyła. Dlaczego się w nim zakochała. Był dla niej zupełnie niewłaściwym typem mężczyzny. Albo, odwracając to, Maria była niewłaściwym dla niego typem kobiety. Punkt widzenia zależny od tego, kto kogo wybrał. I które z nich zainicjowało to coś, co nadal było uznawane za zdradę wobec rodziny, zdradę takiego kalibru, że rodzinne relacje były pokiereszowane aż do dziś.

On twierdził, że pierwszy krok zrobiła ona. Ona, że on. Możliwe, że prawda leżała gdzieś pośrodku. Maria zawsze rywalizowała z Ulriką, co nie było łatwe, bo Ulrika miała irytującą przywarę – wszystko wykonywała w sposób perfekcyjny. Maria była młodszą siostrą, której nic się nigdy nie udawało do końca. Ale prawdopodobnie to właśnie ta perfekcja u Ulriki sprawiła, że poczuł skłonność do Marii. Dopasowanie się do standardów wyznaczonych przez Ulrikę było wyczerpujące. Maria nie miała żadnych standardów. W każdym razie nie w tym sensie. Była tu i teraz. Otwarta. Bezpośrednia. A przynajmniej tak wtedy sądził. Okazało się, rzecz jasna, że wizerunek, jaki Maria przedstawiała na zewnątrz, był dość odległy od tego prawdziwego. Ale kiedy to odkrył, było już za późno. Zdrada stała się już tajemnicą publiczną, a oni zostali we dwoje na polu walki, pośród spustoszenia, które sami spowodowali. Gdyby miał być szczerzy, zapewne również on nie sprostął jej oczekiwaniom.

Jednak inicjatywa przekroczenia granicy tego, co zakazane, wyszła od Marii. Tak twierdził zdecydowanie Vincent, choćby ona temu zaprzeczała. Napięcie w ich wzajemnej relacji narastało od kilku miesięcy. Były spojrzenia. Gesty. Otarcie się o siebie całkiem mimochodem. Oboje byli wtedy w należącej do rodziny letnim domu. Tamci pojechali się kąpać. Vincent został, tłumacząc się tym, że musi popracować. Nie wiedział, jaką wymówkę miała Maria. Ale właśnie tam, w starej wiejskiej kuchni, kochali się po raz pierwszy. Maria podeszła, objęła go i pocałowała, a potem po prostu włożyła mu rękę do szortów i chwyciła twardego członek. Vincent wziął ją na ręce i zaniósł do gościnnego pokoju, który zwykle zajmował z Ulriką, kiedy przyjeżdżali w odwiedziny. A potem już był w niej.

Oboje wiedzieli, że weszli na jednokierunkową drogę, po której mogą iść tylko naprzód. I trzymali się tego konsekwentnie, ku zgrozie rodziny. Tydzień później Vincent poprosił Ulrikę o rozwód.

Przez pierwszy rok pieprzyli się jak szaleni, najczęściej z inicjatywy Marii. Jakby postanowiła zdobyć jego ciało, twierdzą, którą przedtem dowodziła Ulrika. Nie miał nic przeciwko temu. Lubił się z nią kochać. W seksie z Ulriką chodziło o to, żeby się dobrze spisać. Z Marią było... prawdziwiej.

Jednak cokolwiek było, szybko osłabło. W ostatnich latach nawet raz w miesiącu był czymś nadzwyczajnym. Prawie nie pamiętał, kiedy go ostatnio dotykała. A kiedy go w końcu dopuściła do siebie, to z jakąś nowo przyswojoną pruderią i przy zgaszonym świetle. Kiedyś chciała patrzeć mu w oczy, kiedy w niej był, co teraz wydawało mu się odległą fantazją.

– O Boże, haloooo, gdzie jesteś? Mógłbyś chociaż udawać, że cię interesuje, co do ciebie mówię! – zapieniła się.

Sam nie rozumiał, dlaczego tak trudno mu się skupić na jej słowach. Może dlatego, że najczęściej z góry wiedział, co powie, czasem pod nosem mamrotał cicho, gdy ona mówiła głośno to samo.

– Właśnie powiedziałam, że musisz zadzwonić do rodziców z przeprosinami. Siedemdziesiątka to nie są takie urodziny jak inne. Kiedy ty wreszcie postawisz rodzinę na pierwszym miejscu? Domyślam się, że bardzo jest fajnie chodzić, jak się podoba, ale my, wszyscy inni ludzie mocno osadzeni w rzeczywistości, nie możemy liczyć na taki luksus!

– Nie chodzę i nie robię, jak mi się podoba – odparł znużony. – Mam pracę, która wymaga tego, że często podróżuję wieczorami i w weekendy. Ale to praca.

– A ta nowa rzecz, z której robisz taką tajemnicę? Z nią, z tą policjantką? To niby też jest praca?

Vincent zdawał sobie sprawę, że nie ma znaczenia, co teraz powie. Maria nie prowadziła z nim dialogu, najczęściej tylko monologowała, a on był wyłącznie odbiorcą, który od czasu do czasu wydaje z siebie odpowiednie dźwięki na znak, że słucha z uwagą. Miał tego dość. Nie tym razem.

– Co ty sobie wyobrażasz? – powiedział. – Że skoro pracuję w świetle reflektorów, to co wieczór są laski, prochy i imprezy? Wiesz co, masz rację. Właśnie tak to wygląda. Żebyś wiedziała, ile ja telewizorów wyrzuciłem przez hotelowe okna, jednocześnie wciągając kreskę kokainy z brzucha modelki. Zwłaszcza w Vara i Kalmarze, wiesz, w tych małych miejscowościach, jest cholerne branie! Bingo Rimér¹⁸ udostępnił mi swoją listę kontaktów i ledwo nadałam za tymi napalonymi dwudziestkami, które mi się rzucają do stóp.

Maria nie przestawała się w niego wpatrywać.

– Teraz się wygłupiasz – skomentowała.

– Wiedziałaś, z czym wiąże się moja praca, kiedy mnie wybrałaś – ciągnął. – Jest wyczerpująca, dużo podróżuję i owszem, uczyniła ze mnie osobę publiczną. Ale ty mi zarzucasz, że rodzina nie jest moim priorytetem! Kiedy nie jestem

w rozjazdach, spędzam z rodziną więcej czasu niż większość ludzi. Kto przez cztery dni w tygodniu odwozi i przywozi Astona? Kto codziennie przyprowadzał ze szkoły Rebeckę i Benjaminą, dwie godziny wcześniej, niż były odbierane inne dzieci? I jestem, Mario. Kiedy ostatnio majstrowałaś z Astonem przy jego autku sterowanym radiem? Malowałaś figurki z Benjaminem? Odbyłaś prawdziwą rozmowę z Rebecką? Siedzenie z kubkiem herbaty i scrollowanie Facebooka to nie jest przebywanie z rodziną. Znajdowanie się pod jednym dachem to nie to samo co obecność. Zresztą kto płaci za twoje ręcznie robione kubki z „fajnymi” napisami?

Zaczerpnął tchu. Właściwie nie zamierzał posunąć się aż tak daleko, a z drugiej strony... Przecież to wszystko było prawdą.

Maria podniosła się ze swoim kubkiem w rękę.

– Chcę, żebyśmy poszli na terapię – powiedziała. – Poza tym nie masz pojęcia, ile ja się zajmuję Astonem. Jak myślisz, dlaczego nie chce odrabiać z tobą lekcji z czytania?

Po raz pierwszy to ona zaskoczyła jego.

– Na terapię – odezwał się niepewnie. – W jakim kierunku?

Poruszał się po cienkim lodzie. Nie potrafił wyobrazić sobie nic równie bezsensownego jak tracenie czasu i pieniędzy na sesje z kimś, kto prawdopodobnie wie o ludzkiej psychice znacznie mniej od niego. To tak, jakby neurochirurg przed operacją szukał rady u ginekologa. Idiotyzm. Jednak domyślał się, że nie ma co mówić o tym teraz Marii.

– Sam wybierz – fuknęła i poszła do przedpokoju. – Spieszę się na jogę.

Vincent odczekał, aż Maria wyjdzie, i sięgnął po telefon, który od trzech minut wibrował w jego kieszeni. Dwie nieodebrane rozmowy od Miny. I esemes.

Możesz przyjechać do budynku policji asap? ¹⁹ Zaraz będzie tu Daniel. Chciałabym, żebyś był obecny podczas przesłuchania.

ZAPROWADZILI GO do małego pokoiku. Zakładał, że to pokój przesłuchań, bo wyglądał jak w filmie. Stół z dwoma krzesłami naprzeciw siebie. Kilka krzesel pod ścianą. Poza tym pusty. Jedyna różnica była taka, że stół był z jasnobrązowego drewna i wyglądał jak mebel biurowy z lat dziewięćdziesiątych. I brakowało w nim zaczepów na kajdanki. Daniel wprawdzie nigdy nie trafił do syryjskiego pokoju przesłuchań, ale podejrzewał, że nie byłoby tam mebli z Ikei.

Drzwi otworzyły się i weszła ta ładna policjantka, która była u niego w kawiarni. Mina. Towarzyszył jej ten sam mężczyzna co wtedy.

– Przepraszam, że musiał pan czekać – powiedziała. – Nie było nas na miejscu, kiedy pan przyszedł.

Mężczyzna skinął mu głową i usiadł na jednym z krzesel pod ścianą. Jak on się nazywał? Ville czy coś takiego. Już za pierwszym razem wydał mu się znajomy, teraz to wrażenie się jeszcze nasiliło.

– Mógł pan widzieć mnie w telewizji – odezwał się mężczyzna w odpowiedzi na pytanie, które Daniel zadawał sobie w duchu. – A na imię mi Vincent.

Najwyraźniej czytał w nim jak w otwartej książce. Może jednak to przesłuchanie było złym pomysłem.

– Vincent Walder pomaga nam w dochodzeniu – wyjaśniła Mina. – Nie jest policjantem, ale zna się... na innych rzeczach.

Daniel był ciekaw, czy Mina zdaje sobie sprawę, że się uśmiecha, kiedy mówi o Vincencie.

– Dziś będzie tylko słuchał – ciągnęła. – Nazywam się Mina Dabiri, może pan pamiętać.

Podawała mu rękę. Suchą i trochę spierzchniętą, pachnącą lekko środkiem dezynfekcyjnym.

– Tak, nazwisko było na wizytówce – odparł.

– Chciał pan rozmawiać z nami.

Mina usiadła naprzeciw niego i otworzyła laptopa.

– Może pan zdejmie kurtkę?

Przećwiczył sobie, co powie, przede wszystkim zaś jak. Jeśli wyda im się za dobrze przygotowany, wypadnie nieszczerze, ale gdyby sprawiał wrażenie bardzo zdenerwowanego, pomyślą, że jest winny. Cała sztuka polegała na wypośrodkowaniu. Robić pauzy, ale nie za wiele. Zatrzymać się na jakimś słowie, jakby nie wiedział, co powiedzieć, ale też nie wydawać się chwiejny. Dlatego przećwiczył swoje wystąpienie. Jednak ten cały Vincent patrzył tak, jakby przeszywał go wzrokiem na wylot. Więc nie odważył się wygłosić swego wystąpienia. Trzeba wymyślić coś innego.

– Przepraszam, że uciekłem wtedy z kawiarni – powiedział. – Spanikowałem. A co do kurtki, jest cienka, na dworze jest ciepło. Wolę w niej zostać.

– Dlaczego pan spanikował? – spytała Mina. – Stało się coś, o czym powinniśmy wiedzieć?

– Kto by nie spanikował, kiedy nagle puka do nas policja? – odparł i spróbował się uśmiechnąć, ale rzuciwszy okiem na Vincenta, natychmiast zrezygnował. – Ostatnim razem, kiedy miałem z wami do czynienia, chcieliście mnie dopaść za morderstwo. Wiecie, że dzieliłem mieszkanie z Agnes Ceci. Dlatego zareagowałem... tak mocno... kiedy pani przyszła.

– A teraz? – spytała. – Za co teraz chcemy pana dopaść?

Sprytna. Tak to ustawiła, żeby on mówił jak najwięcej. Daniel wzruszył ramionami w nadziei, że wypadnie naturalnie. Wsunął ręce do kieszeni. Kurtka dawała mu niezłą ochronę, może dzięki niej nie da się go tak łatwo rozgryźć. Miał wrażenie, jakby sam siebie obserwował oczami Vincenta. Cokolwiek zrobi, może się wydać podejrzan. Również cegokolwiek nie zrobi. Odczuwał coraz większą nerwowość, zamrugał powiekami. Cholera jasna, a niech to. Mruganie to na pewno też nic dobrego.

– Zakładam, że Tuva wciąż jest uznawana za zaginioną – powiedział. – Inaczej nie byłibyście zainteresowani tym, żeby mnie przesłuchać. Jednak prawda jest taka, że ja nic nie wiem. Ledwo ją znałem. To Agnes i Tuva się znały.

Mina zeszywniała, Vincent chyba też zareagował.

– Znały się? – zdziwiła się. – To coś nowego. Nikt o tym nie wspominał, ani podczas przesłuchiwania osób, które znały Agnes, ani dziadków Tuwy. Wiedzieliśmy, że stanowi pan ogniwo pośrednie między nimi, ale czyżby istniał też bezpośredni łącznik? To chce pan powiedzieć?

Daniel zaczął się wiercić na krześle. Założył, że o tym wiedzą. Żeby jeszcze ten Vincent przestał się tak gapić.

– Znały się albo nie znały. Może nie to słowo. Raczej wiedziały o sobie. Agnes pracowała w kawiarni przed Tuwą. W ten sposób dostałem tę pracę. Agnes dała mi telefon do niej. Resztę załatwiłem sam.

– I obie znały ciebie – zauważyła Mina, pisząc pilnie na laptopie. Podniosła wzrok, pochyliła się nad laptopem i spojrzała mu w oczy. – Najpierw ginie dziewczyna, z którą dzieliliś mieszkanie. Postrzelona w twarz. A przeszło miesiąc później... ginie... twoja koleżanka z pracy. Domyślasz się, w jakim świetle to stawia ciebie? Jeśli masz mi coś do powiedzenia, zrób to teraz. Żeby nie było gorzej.

Danielowi zaschło w ustach. Teraz jest ten moment. Jeśli słowa, które z siebie wydobędzie, okażą się nietrafione, to koniec. Zjedzą go.

– Domyślam się, jak to wygląda. Bardzo dobrze to rozumiem. – Postarał się, żeby wyglądać na zmartwionego, ale nie zdenerwowanego. – Ale co ja mam na to powiedzieć? – ciągnął. – Sztokholm nie jest aż taki duży. Jak już wyjaśniłem, z Tuvą pracowałem tylko dlatego, że mieszkałem z Agnes.

– I to ma niby unieważnić twoje zamieszanie w sprawę?

Przytrzymała go spojrzeniem.

– Pani patrzy na to od złej strony! – powiedział z lekką desperacją. – Nie jestem wspólnym mianownikiem dla Agnes i Tuvy, to Agnes jest tym wspólnym mianownikiem. Gdyby mieszkał z nią ktoś inny, ten ktoś pracowałby z Tuvą. Ja siedzę tu przez przypadek. Nie mam z tym nic wspólnego. Chyba musi pani to rozumieć?

– To dlaczego dziadkowie Tuvy mówią, że nie chciała o tobie rozmawiać i bała się, że ją skrzywdzisz? Dlaczego ojciec Agnes wskazuje ciebie jako podejrzanego?

Na to Daniel nie był przygotowany. Przełknął ślinę. Wolałby nie musieć nic mówić, Evelyn się wścieknie, kiedy się dowie. Ale nie miał wyboru.

– Ojciec Agnes, gdybyście tego nie wiedzieli, jest rasistą. Odnosi się podejrzliwie do każdego, kto nie pochodzi z głębi szwedzkich lasów. Co do Tuvy... Nie chciała rozmawiać o mnie, bo było coś.

– Co takiego?

– Byliśmy ze sobą – ciągnął, wiercąc się. – Przez krótki czas. Ale wtedy byłem również z Evelyn. Tuva wiedziała, że nie rzucę dla niej Evelyn. To miała na myśli, mówiąc, że ją skrzywdzę. Uczuciowo. Nie fizycznie. Nigdy bym nie potrafił...

– Danielu – odezwał się milczący dotąd Vincent. – Proszę mi opisać, co to jest *double lift*.

– *Double*... co? Czy to coś... e, nie, nie, to nie był żaden trójkąt, nigdy by się to nie udało.

Vincent patrzył na niego wzrokiem, z którego nie dało się nic odczytać. Daniel desperacko pragnął zażartować, ale zdał sobie sprawę, że lepiej będzie milczeć.

– Zagramy w pewną grę – powiedział Vincent. – Proszę odpowiadać bez namysłu. Co przychodzi ci na myśl, kiedy powiem słowo... iluzje?

– E, Harry Potter?

– Deseń? – ciągnął Vincent.

– Koszula.

– Przemoc.

– Aua.

– Zakodowany?

Daniel zaczerwienił się i spojrzał w stół.

– Evelyn – odpowiedział.

Zobaczył zdziwiony wzrok Vincenta.

– Przepraszam, myślałem, że powiedział pan „napalony”.

Vincent uśmiechnął się krzywo i skinął głową Minie. Najwyraźniej było już po wszystkim, cokolwiek to było. Rysy twarzy Miny zmiękły nieco, kiedy się odchyliła, dotykając oparcia krzesła.

– Czyli byłbyś tylko ofiarą zbiegu okoliczności? – podsumowała. – No dobrze. Przyjmijmy, że tak jest. Niewykluczone, że znalazłeś się w złym miejscu o złym czasie. Chciałbyś jeszcze coś dodać do swoich wcześniejszych zeznań na temat Agnes? Kto mógłby pozbawić ją życia?

– Pozbawić? – powtórzył zaskoczony Daniel.

– Zamordować – sprecyzowała.

Pokręcił głową.

– A wiesz, kto mógłby chcieć zrobić krzywdę Tuvie? Czy ktoś w kawiarni zachowywał się, jakby jej groził? Może ktoś przychodził regularnie i z nią rozmawiał?

Daniel odetchnął. Może się jednak uda. Chociaż adrenalina szalała.

– Ciągłe się zdarza, że przychodzą jacyś ludzie naćpani albo po prostu dziwni. Wśród nich są również stali bywalcy. Ale większość stałych gości traktuje kawiarnię jak swoje biuro albo salon.

– W jakim sensie? – spytała Mina.

– Ludzie mediów przychodzą z laptopem i słuchawkami. Jeden bywalec siedział stale nad jakimiś szkicami, które trzymał w segregatorze. Kilka dziewczyn robiło na drutach. Wieczorami wpadali goście grający w planszówki. Nie przypomina mi się nikt, kto by się zachowywał dziwnie wobec Tuvy. Ani wśród normalsów, ani tych... dziwnych.

– Zastanów się jeszcze – powiedziała, kiwając głową w zamyśleniu. – Może sobie coś przypomnisz. Czy któryś z tych bardziej... oryginalnych... gości przestał nagle przychodzić. I pomyśl jeszcze nad Agnes. – Odwróciła do niego ekran laptopa – Wpisz tutaj, gdzie cię szukać – powiedziała, wskazując

formularz na ekranie. – Poza pracą. Adres i telefon. W razie gdybyśmy mieli jeszcze jakieś pytania. Sprawdzimy te dane przed twoim wyjściem.

Potrzebował kilku sekund, żeby do niego dotarło, co to znaczy.

– Czyli skończyliśmy? – spytał, wypełniając szybko formularz.

Nagle zrobiło mu się tak lekko, że prawie chciało mu się zachichotać. Nie mieli na niego nic, za co mogliby go zatrzymać. Choćby chcieli. Może ta szwedzka policja jest w porządku.

– Prawie – odparła Mina, odwracając się do Vincenta siedzącego pod ścianą.
– A ty co powiesz? Chciałbyś coś dodać?

Vincent podrapał się w szyję.

– Danielu, proszę, żebyś zrobił coś dla mnie. Wymień pięć rzeczy ze swojego mieszkania, ale jedna z nich ma być wymyślona.

– Co? – zdziwił się Daniel, w tym momencie strasznie zachciało mu się sikać.

– Ale ja... Okej. Są... ee, żaluzje, elektryczny czajnik, lustro w łazience, wentylator sufitowy i biurko. Bo co?

– Jestem tylko ciekaw – odparł Vincent.

Mina zakaszła.

– Okej, skończyliśmy – powiedziała, wstając. – Możesz iść. Dziękuję za zgłoszenie się. Odezwę się, gdybym jeszcze czegoś potrzebowała.

Podali sobie ręce, Daniel skinął głową Vincentowi.

– Jakby co, to będę u mojej dziewczyny Evelyn – powiedział. – Jej telefon też zapisałem. Muszę jej to i owo wyjaśnić.

– TO BYŁO bardzo interesujące – stwierdził Vincent.

Miał zaskakująco dobry humor po doświadczeniu, jakim było uczestniczenie w przesłuchaniu Daniela. Nie różniło się tak bardzo od tego, co sam robił z ludźmi podczas swoich spektakli. Jednak tym razem działało się na serio i wrażenie było oszałamiające.

– Moglibyśmy pojechać windą? Tyle tych pięter.

Wskazał na stalowe drzwi windy i od razu wyczuł silną niechęć Miny. Sam nie znosił poczucia zamknięcia w windzie. Jakby znajdował się w ruchomym grobie. Ale przynajmniej starał się pokonać swoją klaustrofobię, żeby świat nie zrobił się dla niego za ciasny. Nie był pewien, czy Mina podejmuje takie próby. Jeśli ktokolwiek zasługuje na prawdziwie szeroki świat, to właśnie ona.

– A tak w ogóle jak to się stało, że mogłem być obecny podczas przesłuchania? – spytał, żeby rozproszyć jej uwagę, zanim lęk przed pudłem pełnym bakterii, jak nazywała windę, stanie się obezwładniający.

– Powtórzyłam Julii, co mi mówiłeś o Danielu przez telefon – odparła. – Najpierw się zdziwiła, że jeszcze utrzymujemy kontakt, skoro nie odezwałeś się w sprawie profilu, który u ciebie zamówiła. Ale zaciekała ją twoja analiza i zgodziła się, żebyś był przy tym.

Cyfry na wyświetlaczu za Miną wskazały, że przyjechała winda. Byle teraz za bardzo nie naciskać. Lekkie, leciutkie popchnięcie, żeby mogła stopniowo odzyskać swoją przestrzeń. Na razie dobrze mu szło. W każdym razie nie ruszyła na schody.

– Dziękuję – odezwał się, kiedy drzwi windy się otworzyły. – A profil będzie, skoro Julia go jeszcze chce. Myślałem, że ten Jan już wam dostarczył wszystko co trzeba.

Skinął pytająco w stronę otwartej windy. Zawahała się, a potem z udawaną nonszalancją wzruszyła ramionami.

– No dobra. Żebyś się znów nie zapędził za wysoko. Co do Jana, na pewno dostarczy mnóstwo materiału, w większości błędnego.

Wszedł pierwszy i przytrzymał jej drzwi. Mina weszła niechętnie, ciągnąc nogi za sobą. Rozejrzała się z obrzydzeniem i stanęła dokładnie na środku, żeby niczego nie dotknąć.

– Mogę cię o coś spytać? O co ci chodziło z tymi pytaniami na koniec przesłuchania?

– Chciałem sprawdzić, jak jego zachowanie się zmienia, kiedy kłamie. On nie ma wentylatora na suficie.

Wcisnął guzik z literą P, drzwi zamknęły się i winda ruszyła w dół, a Vincent skupił się na rozmowie, żeby nie dać się klaustrofobii.

– Czy w takim razie nie byłoby lepiej, gdybyś je zadał na początku? Żeby potem dostrzec, czy kłamał podczas reszty przesłuchania?

– Wnioski i tak mogę wyciągnąć post factum. Bardzo uważnie obserwowałem jego zachowanie. Gdybym go spytał o to na początku, stałby się podejrzliwy i bardziej by uważał, co nie pozwoliłoby mi wychwycić, co w jego zachowaniu jest naturalne.

Mina jakby przestała słuchać. Tak mocno zacisnęła pięści, że knykcie jej zbieleły. Wpatrzyła się w tłustą plamę na lustrze. Widocznie oparł tam głowę ktoś używający dużej ilości kosmetyków do włosów.

– Ja... – zaczął.

Winda szarpnęła i zatrzymała się. Jednak drzwi się nie otworzyły. Nie znajdowali się na żadnym piętrze. Vincent nacisnął guzik otwierający drzwi. Nic. Nacisnął jeszcze raz, i jeszcze i jeszcze. Na próżno.

– Utknęła – odezwała się Mina.

Vincent wciąż gorączkowo naciskał guzik. Może po prostu nie kontaktuje. Na pewno. Próbował zapanować nad oddechem, ale było to trudne, zatrzymanie się windy kompletnie go zaskoczyło. Nie wolno mu wpaść w hiperwentylację, musi panować nad dopływem powietrza do mózgu. Rozejrzał się za czymś, co pomoże mu rozproszyć uwagę, ale niczego nie znalazł. Znajdował się w zamknięciu.

– Słuchaj, to nam raczej nie pomoże – powiedziała.

Słyszał jej głos, chociaż ledwo był świadom, że Mina stoi obok. *Drzwi się nie otworzyły*. Utknęli w tym blaszanym pudle i nie mogli się z niego wydostać.

Ściany zaczynały powoli napierać na nich.

W gardle mu zaschło, powietrze zrobiło się zbyt ciężkie, żeby nim oddychać. Cofnął się w stronę drzwi, pole widzenia skurczyło mu się, w końcu widział przed sobą jedynie wąski tunel otoczony czarną ciemnością. Ściany były coraz bliżej. Niemal widział, jak powietrze jest wysysane z windy.

Powietrza.

Nie było powietrza.

W oczach tańczyły mu gwiazdy, układając się w dziwne wzory, Mina była zaledwie kropeczką w najdalszym końcu tunelu. Jej głos dochodził z daleka, ale nie potrafił się na nim skupić. Nie teraz, gdy za chwilę ściany runą na niego.

Nagle poczuł czyjeś ręce na swoich ramionach.

– Vincent, posłuchaj.

Dotknięcie go ustabilizowało, zmusiło do koncentracji.

– Masz atak paniki.

Powoli, powoli słowa przeciskały się przez chaos panujący w głowie.

– To, co czujesz, jest okropne, ale nie ma nic wspólnego z rzeczywistością – mówił głos. – To tylko gwałtowny przypływ hormonów, adrenaliny i kortyzolu.

Vincent próbował odetchnąć głęboko. Nie potrafił. Nakrył dłońmi jej ręce na swoich ramionach, znów zrobił wdech. Tym razem poszło mu lepiej.

– Nie umierasz – powiedziała. – To nic takiego. To tylko chemiczna reakcja w twoim mózgu. Cokolwiek teraz myślisz, nie dzieje się to naprawdę.

Wciąż nie był w stanie odpowiedzieć, skupił się na dotyku jej dłoni. Na ciepło jej skóry. Domyślał się, ile wysiłku ją kosztowało, żeby ich nie cofnąć, nie myślała, że Vincent ich dotknie. A jednak nie cofnęła.

– Niedługo stąd wyjdziemy, wcisnęłam guzik „pomoc”. Ta winda czasem staje między piętrami i to jeden z powodów, dla którego wolę schody. Ale nigdy nie stoi długo. Więc oddychaj razem ze mną. Głęboko, spokojnie. Oddychamy razem, Vincent... oddychaj.

Odchylił się, opierając się lekko na niej, i robił, jak kazała. Jej ciepło rozchodziło się falą po nim. Ściany windy były wciąż za blisko, ale już się nie przesuwwały w stronę środka. To ona je zatrzymała. Dzięki niej poczuł się bezpiecznie. Od dawna nikt nie sprawił, żeby się tak poczuł. Od bardzo, bardzo dawna.

Winda nagle drgnęła i drzwi otworzyły się. Vincent nabrał w płuca powietrza, świeżego, co było przez niego bardzo pożądane. Mina stała teraz obok. Odwrócił się do niej.

– Przepraszam. To było z mojej strony... niepoważne.

Wzruszyła ramionami.

– Następnym razem pójdziemy schodami? Możesz stosować wobec mnie behawioralną terapię poznawczą, byle nie w tej gównianej policyjnej windzie. Okej?

Vincent znów odetchnął głęboko, a potem uśmiechnął się lekko.

– Czyli przejrzałaś mnie. Okej, umowa stoi.

VINCENT SPOJRZAŁ na córkę. Jak zwykle nie tknęła śniadania. Nie mieściło mu się w głowie, że tak można. Sam był rano głodny jak wilk, a Benjamin i Aston mieli to po nim. Ulrika, mama Rebecki, była wprawdzie bardziej wymagająca i nawet się martwił, czy nie spowoduje to zaburzeń odżywiania u dziewczyny. W obronie Ulriki należałoby dodać, że jedzenie było według niej ważne. Ale nie byle co ani byle jak. Jej mantra brzmiała „Fitness i figura”, Rebecka pewnie usłyszała to o kilka razy za dużo.

Obok Rebecki leżał jej telefon, który wciąż mrugał, sygnalizując nowe update’y na WhatsAppie i Snapchacie. Grupa jej koleżanek najwyraźniej musiała pozostawać w permanentnym kontakcie, nawet podczas śniadania. Vincent westchnął. Nigdy tego nie zrozumie. Żeby nie dać sobie czasu na żadną własną myśl albo refleksję i mieć go tylko tyle, by swoje poglądy opierać na opiniach wyrażonych przez innych w ciągu ostatnich dziesięciu sekund. Ale w jej wieku był pewnie taki sam. Chociaż nie. Raczej na pewno nie był. To były inne czasy. I okoliczności.

– Aston, w łazience masz czyste ubranie – zawołała Maria. – Zawołaj mnie, to ci pomogę włożyć skarpetki.

– Mamo, ja mam osiem lat, wiesz – odezwał się Aston, wychodząc z łazienki.
– Umiem się sam ubrać.

Włożył tego dnia szare spodnie dresowe i T-shirt z kotem na skuterze. Jego ulubiony, kupiony mu przez Marię.

– Ale wciąż jesteś boso – zauważyła.

Aston zmieszał się, podał jej skarpetki i wystawił jedną nogę. Vincent nie przypominał sobie, żeby Aston kiedykolwiek poprosił jego o pomoc przy ubieraniu się. Skończywszy, mama podała mu dwie kromki chleba i masło, żeby sobie posmarował. Parę tygodni temu dali sobie spokój z pokrojonym jabłkiem.

– A propos ubrania, nie będzie ci w tym trochę za gorąco? – Maria pociągnęła za rękaw koszulki Rebecki. – Koniec kwietnia, a ty wciąż nosisz długie rękawy.

Rebecka wyrwała się.

– Daj mi spokój! – warknęła, wstając. – Będę nosić, co mi się podoba!

Złapała ze stołu telefon i pognęła do swojego pokoju.

– Ja również chodzę w długich rękawach – odezwał się Benjamin, podnosząc wzrok znad swojej miski jogurtu. – Też mi nie wolno?

Maria zaczerwieniła się.

Vincent doskonale rozumiał, co sobie pomyślała. Benjamin był niepewny siebie, chował swoje ciało za ubraniem, podczas gdy inni biegali w kąpielówkach. Był uosobieniem stereotypu bladego, czarno ubranego nastolatka, który czyta książkę, siedząc w cieniu pod drzewem – a jeszcze lepiej w swoim pokoju za opuszczonymi żaluzjami – podczas gdy inni grają w siatkówkę plażową. Co innego Rebecka, którą można by uznać za towarzyskiego zawodowca i która często nadawała ton w swojej grupie znajomych.

– Może ma powód, żeby nie odsłaniać ramion? – mruknął Benjamin, odniósł swoją miseczkę do zmywarki i wcisnął między tkwiące tam od wczoraj kieliszki do wina. – Może byście ją kiedyś spytali o to.

Vincent nalał sobie kawy i podszedł do zamkniętych drzwi pokoju Rebecki.

– Nie miałem na myśli, że zaraz – powiedział Benjamin, idąc do łazienki. – To ci dopiero subtelność.

Vincent zapukał i wszedł. Jego córka siedziała na łóżku, skoncentrowana na swoim telefonie.

– Słuchaj, mogłabyś mi pomóc?

– Nie będę nic jadła, jeśli ci o to chodzi – powiedziała szybko, nie odrywając wzroku od telefonu.

Pokręcił przecząco głową i usiadł obok niej. Rebecka szybko położyła telefon na kolanach, wyświetlaczem do spodu i spojrzała na niego spod uniesionych brwi.

– Wiesz, że pomagam policji w pewnym dochodzeniu. Wczoraj został przesłuchany główny podejrzany. Potrzebuję twojej pomocy w interpretacji jego wypowiedzi.

– Mojej? To ty jesteś gościem od „jeśli patrzywlewotoznaczyżekłamie”.

– Po pierwsze, to mit. Nie ma takich ruchów gałek ocznych, które automatycznie oznaczają, że ktoś kłamie. Ale owszem, byłem tam i obserwowałem. A ciebie proszę, żebyś posłuchała.

Sięgnął po swoją komórkę.

– Masz znacznie większą sieć kontaktów towarzyskich ode mnie – ciągnął, szukając w telefonie pliku dźwiękowego. – I jesteś w takim wieku, że wyczuwasz najmniejsze wahania we wzajemnej komunikacji. Bo nawet najmniejsze towarzyskie potknięcie może się równać odtrąceniu na resztę roku.

Rebecka wytrzeszczyła na niego oczy.

– Z choinki się urwałeś?

Spojrzał na swoją córkę, o której kiedyś wiedział wszystko. Dziś nie wiedział nawet, jakie ma ulubione lody. Jeśli wciąż lubi lody. Wiedział jednak, co widzi na jej zaniepokojonej twarzy.

– Ja wiem, że to niełatwe – powiedział. – Jeśli jesteś choć trochę podobna do mnie, to w szkole chodzisz na paluszkach, bo reakcje innych są dla ciebie nieprzewidywalne. Nie musisz odpowiadać, wiem, że komuś z zewnątrz wydajesz się geniuszem w dziedzinie kontaktów interpersonalnych. Ale pamiętam, jak to było u mnie z kolegami. Mam nadzieję, że ty masz łatwiej. Chociaż nie zdziwiłbym się, gdyby i tak nie było za dobrze.

Rebecka milczała przez dłuższą chwilę. Możliwe, że właśnie popełnił absolutne faux pas i za sekundę córka wyrzuci go z pokoju.

– A więc przesłuchanie – odezwała się, wskazując telefon. – Tak w ogóle, to wolno ci odtworzyć mi to nagranie?

Odebrał to jako wybaczenie z jej strony.

– Chyba nie. Nawet się dziwię, że wolno mi było być przy tym. Ale posłuchaj, to tylko dziesięć minut. I powiedz mi, co o nim sądzisz.

Wcisnął odtwarzanie i dał jej odsłuchać całą rozmowę z Danielem. Następnie skasował nagranie.

– Pewnie mogą mnie za to oskarżyć, ale muszę wiedzieć. Jak uważasz?

Rebecka w skupieniu patrzyła w podłogę.

– Sprawiał wrażenie wystraszonego – powiedziała. – Zdenerwowanego. Jednak wiem, jak brzmią moi kumple, kiedy kłamią, bo spodziewają się opieprzu, i u niego tego nie słyszałam. Możliwe, że coś ukrywa, ale to, co mówi, jest chyba zgodne z prawdą.

– Też tak myślę – odparł, kiwając głową. – Mimo że cały czas patrzył w lewo – dodał, szturchając Rebeckę w bok.

Już miał objąć ją ramieniem, ale zrezygnował. Obojgu byłoby z tym nieswojo. Zresztą istnieją inne sposoby okazywania uczuć swoim dzieciom. Dostał uśmiech w odpowiedzi i w nagrodę.

– Ale, ale, tato. Ta policjantka, która prowadziła przesłuchanie. To z nią współpracujesz? Jaka ona jest?

– Masz na myśli Minę.

– *Whatever*. Wiesz, że jest tobą zainteresowana, co? Słyszać w jej głosie. Sama słodycz, kiedy o tobie mówi.

Vincent poczuł, że robi mu się gorąco, i domyślił się, że zaczerwienił się jak uczeń.

– Nic między nami nie ma – powiedział szybko.

– Przecież wiem. Ty byś się nie domyślił, że ktoś cię podrywa, choćbyś miał to napisane drukowanymi literami. Tutaj jest to dla mnie oczywiste. Ale nie powiem cioci Marii.

– Bo nie ma o czym.

– No właśnie. Muszę teraz do szkoły.

Rebecka wyszła, zostawiając go samego. Posiedział jeszcze chwilę, żeby rumieniec zniknął.

NA DWORZE BYŁO jeszcze widno. Jesienią i zimą dało się zobaczyć coś przez okno, widziała wtedy całą kuchnię i salon. Kiedy zapadał zmierzch, było jej również łatwiej pozostać niezauważoną. Teraz powinna zachować większą ostrożność.

Inna rzecz, czy zostałaby rozpoznana. Po tylu latach. Mina nie przypominała tej samej osoby co wtedy. To były inne czasy. Inne życie.

Dziewczyna, na którą tak cierpliwie czekała, pojawiła się wreszcie w oknie. Ciemne włosy opadły jej na twarz, kiedy nachyliła się nad stołem. Lampa oświetlała ją od tyłu, więc Mina widziała ją wyraźnie, chociaż było to trzecie piętro. Dziewczyna miała tę samą szarą bluzę z kapturem, w której widywała ją Mina. Widocznie ulubiony ciuch. Gryzła w zamyśleniu troczek od kaptura, ale znajdowała się za daleko, żeby dało się odczytać wyraz jej twarzy.

Tuż obok zaszczekał pies i Mina drgnęła. Był to mały i zły chihuahua, prowadzony na smyczy przez kobietę w płaszczu, który wyglądał na drogi, i loafersach z logo Gucci.

– Tarasuje pani przejście! – burknęła kobieta, przepychając się obok.

Mina nie odpowiedziała. Na Östermalmie nie spodziewała się niczego innego. Pies wciąż poszcze kiwał i powarkiwał, jakby chciał się przyłączyć do besztania swojej pańci, która ciągnęła go za smycz.

– No chodź, Chloe!

Pies w końcu niechętnie poszedł, popatrując gniewnie na Minę, która dalej stała na chodniku na Linnégatan.

Znów podniosła wzrok. Dziewczyny już nie było widać w oknie, Mina jak zwykle poczuła ukłucie w sercu. Tęsknotę. Poczucie winy. Żal. Sama nie wiedziała co. Pewnie wszystko razem i jeszcze trochę. Nigdy sobie tego nie wyklarowała. Zresztą nie miała takiego zamiaru. Puszka Pandory nie powinna być otwierana.

Ciekawa była, jak wygląda mieszkanie, pokój dziewczynki. Nigdy tam nie była, to oczywiste. Pamiętała za to inny pokój i inne mieszkanie. Znacznie mniejsze. Dwupokojowe mieszkanie w Vasastan²⁰ na trzecim piętrze. Na

parterze mieściła się grecka restauracja. Najlepsza w mieście. Nigdy nie mogła się przemóc, żeby tam wrócić. Wspomnienia czasem sprawiają ból. Wręcz fizyczny.

Nagle dziewczyna pojawiła się ponownie, tym razem w salonie. Gestykulowała. Rozmawiała z kimś. Chodziła tam i z powrotem. Wyglądało to na kłótnię, ale trudno było rozstrzygnąć. Gdyby był z nią Vincent, mógłby zinterpretować jej mowę ciała bardziej szczegółowo. Mina przyłapała się na tym, że stanęła na palcach. Jakby to robiło różnicę przy próbie wypatrzenia kogoś na trzecim piętrze. Mimo to wciąż się wyciągała do góry.

Po pewnym czasie szarej bluzy nie było już widać w oknie. Mina opadła na pięty i powoli ruszyła do samochodu.

CHOĆ DO nocy Walpurgii zostało jeszcze kilka dni, pogoda jakby uroiła sobie, że jest środek lata. Vincent nie miał nic przeciwko zaskakującemu upałowi, zważywszy na to, że jego spacer mógł potrwać dłużej. Zastanawiał się, gdzie mógłby prowadzić rozmowę telefoniczną, nie mając wokół żadnych ciekawskich. Najprościej byłoby zadzwonić z domu, ale nie miał siły tłumaczyć się żonie z każdej rozmowy z Miną.

Najpierw chciał po prostu usiąść w samochodzie, ale potrzebował ruchu, żeby mu się dobrze myślało. I jeszcze wrażeń. Wielu wrażeń. Mózg potrzebował jak najwięcej krwi i serotoniny. Stało w końcu na spacerze po Södermalmie²¹. Nawet gdyby ktoś go słyszał mówiącego do telefonu, nie wyłapie więcej niż strzępy rozmowy.

Założył słuchawki douszne i włączył reduktor szumów, żeby nie słyszeć ruchu ulicznego na Götgatan i przy Skanstull. Następnie zadzwonił na centralę gmachu policji i poprosił o połączenie z Miną. Odebrała po dwóch sygnałach. Zgodnie z jego oczekiwaniem. Bo taka była. Obowiązkowa.

– Sporo myślałem na temat psychologicznego profilu mordercy – powiedział.
– Zwłaszcza po przesłuchaniu Daniela. Masz czas rozmawiać?

Na przejściu przez ulicę stał obok niego mężczyzna około sześćdziesiątki, z kitką z tyłu i spiczastą bródką. Na widok Vincenta zrobił wielkie oczy, ale zaraz się opanował. Vincent obserwował setki takich reakcji. Ktoś go rozpoznał z telewizji albo występu, ale starał się zachowywać jakby nigdy nic.

– Dla ciebie zawsze – odparła.

Vincent poczuł, że się czerwieni.

– Zaczekaj, tylko włączę nagrywanie, jeśli się zgodzisz – powiedziała i postukała w klawiaturę. – Znając ciebie, będzie tego za dużo, żebym zdążyła zanotować jednym długopisem. Albo i pięcioma.

– Okej. To teraz słuchaj uważnie. Jak wiesz, byłem zdumiony tym, że morderca planuje na zimno, a jednocześnie jest tak emocjonalnie agresywny, czego mieliśmy dowody. Dlatego pomyślałem sobie, że poszukiwana osoba cierpi na swego rodzaju zaburzenie narcystyczne. Człowiek wtedy postrzega

siebie jako kogoś lepszego od innych ludzi, którzy są dla niego bez wartości. Stają się oni narzędziem, z którym można robić, co się chce.

Światło na przejściu zmieniło się na zielone. Mężczyzna z kitką minął Vincenta i widocznie postanowił porzucić udawanie, bo podniósł kciuk. Vincent uśmiechnął się w podziękowaniu, kiedy ich spojrzenia się spotkały. Wyrażenie uznania kosztuje tak niewiele. Wystarczy podniesiony kciuk. A jednak ludziom tak trudno przychodzi chwalenie innych. Vincent powiedział sobie, że też powinien się bardziej starać.

– Zaburzenie narcystyczne tego rodzaju może wyjaśnić wyrafinowanie, z jakim zaplanował morderstwa – ciągnął. – Konstruowanie iluzji, porwanie ofiar, numerowanie ciał, umieszczanie rozbitych zegarków i pozostawianie ofiar w specyficznych miejscach. Narcyz nie miałby z tym problemów, ponieważ nie morduje ludzi, których uznaje za równych sobie. W jego świecie istnieje tylko jedna taka osoba i jest nią on sam.

Vincent założył okulary po przejściu na drugą, słoneczną stronę ulicy i musiał ustąpić drogi kobiecie w średnim wieku, jadącej na elektrycznej deskorolce.

Ludzie, cokolwiek by o nich powiedzieć, ale bez nich byłoby nudno. Teraz ruszył wzdłuż Götgatan w stronę Medborgarplatsen.

– I to wyjaśnienie naprawdę wystarczy?

– Możemy jeszcze dodać prawdopodobne zaburzenie wyrażające się brakiem empatii – powiedział. – Być może powstałe wskutek fizjologicznego defektu mózgu, jak niedorozwój ciała migdałowatego, albo uszkodzonego połączenia między korą mózgową a hipokampem, co tym bardziej skłaniałoby do przemocy. Może też być tak, że morderca stworzył sobie wokół zabójstw własną rzeczywistość. Shōkō Asahara, człowiek, który był odpowiedzialny za wypuszczenie sarinu do tokijskiego metra, co doprowadziło do śmierci mnóstwa ludzi, twierdził, że odbierając im życie, bierze na siebie ich grzechy i prowadzi ich ku oświeceniu. Czyli zgodnie z jego światopoglądem nie mordował, tylko pomagał ludziom. A wtedy, rzecz jasna, jest łatwiej zabijać.

– Dosyć to ekstremalne podejście – zauważyła Mina po dłuższym milczeniu.

Vincent dotarł do stacji metra Medborgarplatsen i zastanawiał się, czy skręcić w stronę Danvikstull, czy też iść dalej do Slussen. Mógłby zajrzeć do któregoś ze sklepików przy Mosebacke. Maria westchnie głęboko, jeśli Vincent wróci do domu z kolejnymi płytami winylowymi, ale potrzebował jakiejś przeciwwagi dla muzyki wylewającej się z komercyjnych stacji radiowych włączonych w domu. W dodatku dopiero co zapłacił za telewizyjny kanał, emitujący chyba wyłącznie *Real Housewives of New Jersey* i temu podobne programy, bo o to prosiła. Niech będzie kierunek Slussen.

– Masz rację – powiedział. – Nie występuje często. Słuszna uwaga. Jesteś bystra, jak zawsze.

Naprawdę tak myślał, inaczej by tego nie powiedział. Jego pochwała przyniosła pożądany efekt, bo nawet przez telefon dosłyszał, że się uśmiechnęła. Takie to proste. Jednak idący obok mężczyzna z dwojgiem sześciolatków nie uśmiechał się. Jedno dziecko miało zmartwioną minę, drugie płakało. Vincent uzmysłowił sobie, że od kilku minut, rozmawiając, siedł obok nich.

– Tatusiu, ja nie chcę jechać do domu metrem – mówił płaczący maluch. – Tam jest gaz.

Mężczyzna zrobił minę, jakby miał zaraz zdzielić Vincenta, który przyspieszył kroku.

– Jednak tego rodzaju osobowość nie tłumaczy do końca obecnego tam czynnika emocjonalnego – ciągnął już nieco ciszej, rozejrzawszy się, czy nie ma w pobliżu dzieci. – Gdyby to był film, morderca cierpiałby na rozdwojenie jaźni. W rzeczywistości jest to bardzo nieprawdopodobne. Tak czy inaczej, do tego na razie doszedłem.

– Okej, to... sporo – odparła. – Czy chcesz powiedzieć, że Daniel pasuje do tego obrazu?

Vincent zatrzymał się nagle. Prawie zderzyła się z nim para, która właśnie wyszła z księgarni. Zrobił przeproszącą minę, tamci się uśmiechnęli.

– Nie, skąd, wręcz odwrotnie – powiedział. – Przecież się z nim spotkałaś. Daniel nie wykazywał takich cech ani wtedy, gdy przyszliśmy do kawiarni, ani w pokoju przesłuchań. Tego rodzaju narcyzm ujawniłby się w rozmowie, choćby w użyciu zaimków. Daniel znacznie częściej mówił „my” niż „ja”. Oczywiście jest zapatrzonej w siebie, ale mój Boże, chłopak ma ze dwadzieścia lat. Kto w tym wieku nie jest zapatrzonej w siebie?

Prawie dotarł do pierwszego sklepu z płytami. Część jego mózgu zaczęła się zastanawiać, czy w jego domowej kolekcji czegoś brakuje, i doszedł do wniosku, że nie. Czyli zakupy dla czystej przyjemności. To jeszcze fajniej.

– Wspomniałeś o zaburzeniu w odczuwaniu empatii. Jak u psychopatów. Oni chyba są dobrzy w udawaniu empatii?

– Można symulować ludzkie uczucia, jeśli wie się, że tak trzeba – powiedział i kiwnął głową, zapominając, że przez telefon tego nie widać – a Daniel bardzo uważał na to, co mówi i jak się zachowuje. Jednak siłą woli nie da się osiągnąć rozszerzenia źrenic, jak wtedy, gdy mówił o swojej dziewczynie. Poza tym, jeśli już wyciągać wnioski z jego dotychczasowego zachowania, nie wydaje mi się, żeby był w stanie przygotować coś bardziej ambitnego od zaplanowania kolacji.

– Czyli nie zgadzasz się z Rubenem i nie wierzysz, że Daniel jest mordercą?

– Profilowanie przestępców nie należy do moich kompetencji. Ty wiesz o tym i twój zespół o tym wie. Mogę się mylić. Jednak ja nie wierzę, że Daniel jest mordercą.

Położył rękę na klamce drzwi do sklepu i zatrzymał się na schodku.

– Jest coś, co go gniecie – ciągnął. – On się bardzo kontroluje i nie lubi mieć do czynienia z policją. Chętnie bym się dowiedział dlaczego.

– Wiesz co, ja też. I dzięki za profil. Postaram się, żeby Julia otrzymała go jak najszybciej.

Vincent zerknął na winylowe płyty na wystawie.

– Mina? Jaką muzykę lubisz?

– E... muzykę? A dlaczego pytasz?

– Tak sobie. Po prostu głośno myślałem. Do usłyszenia.

Rozłączył się i wszedł do sklepu. Dobrze, że Rebecka nie słyszała jego ostatnich słów, bo chyba padłaby ze śmiechu.

PRZYŚNIŁ MU SIĘ dawny przyjaciel. Lasse. To był powracający sen, choć nie rozumiał dlaczego. Lasse był jedną z wielu osób, które się przewinęły w jego życiu. Dawno temu. Inni ludzie też byli i odeszli, a o nich nigdy nie śnił. Nawet o mamie. Może dlatego, że wciąż wydawała się bardzo obecna w domu, gdzie zostały wszystkie jej rzeczy. Patrzyła na niego ze zdjęć na ścianach. W snach już nie było dla niej miejsca.

Lasse właśnie miał mu coś powiedzieć w tym śnie, kiedy słysząc inny głos, nagle wyprostował się na krześle i rozejrzał się rozespany.

– Co?

Obok stał Ruben, uśmiechnięty szeroko i ze skrzyżowanymi na piersi ramionami.

– Drzemkę sobie uciąłeś?

– Nie, nie... tylko... musiałem dać odpocząć oczom. Pieką mnie, bo godzinami przeglądam nagrania z monitoringu.

– Śpij sobie, Peder i tak przesypia połowę czasu w pracy...

Ruben uniósł jedną brew i spoważniał.

– Słuchaj, mówiłeś Julii o tym, kto był w kawiarni?

Pokazał palcem odtwarzane nagranie, a Christer patrzył zdezorientowany to na ekran, to na Rubena.

– Co? Kto?

Ruben pochylił się, wziął do ręki mysz i kliknął, cofając nagranie. Potem ponownie na „play” i pokazał palcem.

– Tam.

Mężczyzna, który utykał. Christerowi serce stanęło w piersi. Przecież wiedział, że powinien kojarzyć tego człowieka.

– Nie rób sobie wyrzutów – powiedział Ruben, poklepując go po ramieniu. – Za to ja nie zapominam żadnej twarzy. Często tam bywał?

– Codziennie. Po parę godzin.

Myśli galopowały mu w głowie jak zestresowany szczur w labiryncie, szukały odpowiedzi, która przecież gdzieś tam była. I nagle szczur zatrzymał się,

a mózg wreszcie znalazł to, czego szukał. Już wiedział, kto to jest. Błady jak ściana odwrócił się do Rubena.

– Jasna cholera.

MAJ

VEDRAN POTARŁ dłonie, żeby nie dać się zimnu. Zostawił rękawice w samochodzie. Co za głupota. Przecież wie, że nawet w maju ranki są zimne. Pierwsze promienie słoneczne właśnie dotarły do szczytów falistych dachów na hali ogrodniczej, tuż obok hal hurtowych w Årsta na południowym przedmieściu Sztokholmu. Elektroniczny zegarek na jego ręku wskazuje godzinę 4.45. Dokładnie w tym momencie powinien być wschód słońca, według Szwedzkiego Instytutu Hydrologiczno-Meteorologicznego. Dobry początek dnia.

Hala ogrodnicza otworzy się dopiero o piątej, ale już w dzieciństwie nauczył się od ciotki Jodranki, że trzeba być punktualnym. Vedran biega w miejscu dla podtrzymania krążenia krwi. Ranek jest lodowaty, chociaż według prognoz w dalszej części dnia będzie ciepło jak w lecie. Całe szczęście, że włożył grube skarpety. Wprawdzie jego kwaciarnia w Haninge nie musi się mierzyć z jakąś wielką konkurencją, niemniej klienci powinni wychodzić od niego zadowoleni. Nawet bardziej niż zadowoleni. Powinni wracać do jego sklepu. I dlatego sterczy przed wejściem do hali, żeby zapewnić sobie najlepszy towar.

Zajmuje się kwiatami od prawie czterdziestu lat, zaczął jeszcze przed urodzeniem się większości tych, którzy dziś tutaj pracują. W Belgradzie dostarczał kwiaty nawet do drużyny piłkarskiej Crveneje zvezdy, kiedy zamawiali bukiety dla zwycięzców. Rzecz jasna, przed zamieszkami na stadionie Maksimir. Paskudna historia. Ale zdążył wyjechać, zanim do nich doszło. Poznał Monikę i miłość ponad granicami. Było zupełnie oczywiste, że zamieszka u niej w Szwecji.

Nadal jest tutaj sam i teraz kręci głową. Od czterdziestu lat ani razu nie pozwolił sobie pospać dłużej. To dobre dla leniuchów. Zbiera się na odwagę,

żeby pospacerować wzdłuż hal i rozruszać kości. Inne ranne ptaszki znają go i w razie czego wiedzą, że był pierwszy w kolejce.

Dochodzi do parkingu po węższej stronie budynku i okazuje się, że nie jest tam całkiem pusto. Na środku stoi czarna szafa. Stoi tak od kilku dni, pojawiła się tamtej nocy, gdy parking został odgradzony ze względu na roboty ziemne, bo kładli rury. Zastanawiał się nad tą szafą co rano. A dziś parking jest ponownie otwarty. Goście od tych robót najwidoczniej skończyli.

Vedran przecina asfalt i podchodzi do szafy. Rosa na bokach łśni w porannych promieniach słońca. Vedran marszczy czoło. W głowie mu się nie mieści, że ktoś ją tak postawił. Pewnie jakiś milenials, który miał ją zabrać skądś i potem zostawił w pierwszym lepszym miejscu. Vedran w życiu nie zatrudniłby nikogo przed trzydziestką. To migające się od roboty szczeniaki z telefonami przyklejonymi do prawej ręki. Nigdy nie daje takim naprawdę dobrych kwiatów.

Vedran podchodzi do szafy i okrąża ją. Jest prawie równie wysoka jak on i mniej więcej równie szeroka. Jak szafa ubraniowa. Zbudowana niestarannie ze sklejki i tak samo niestarannie pomalowana. Wzdłuż brzegów biegnie metalowa rama. Vedran przesuwając dłoń po drewnie, uważając, żeby nie wbić sobie drzazgi. Według niego wygląda, jakby ten, kto budował szafę, był zły. Sklejka sprawia wrażenie ułamanej, a nie piłowanej. Wiele gwoździ wystaje i jest zagiętych. Aż wstyd. Jakby już naprawdę nie było kogoś, komu zależy na wykonaniu porządnej roboty. Szwecja jest pod wieloma względami fajnym krajem, ale za dużo tu niedbalstwa. W Serbii by coś takiego nie przeszło.

Okrążywszy szafę, Vedran widzi, że ma ona trójdzielne drzwi. Bo to, co wziął za szafę, to w gruncie rzeczy trzy wielkie pudła w metalowej ramie ustawione jedno na drugim z osobnymi drzwiami. Środkowe jakby trochę wystawały z ramy jednym bokiem. Vedran chce wepchnąć je na miejsce, ale zacięły się.

Może ta szafa wcale nie powinna być przetransportowana. Może ktoś ją zostawił. Jakiś idiota zrzucił ją na parking. Pewnie wstydził się, że taka kiepska. Ale tu nie może stać. Będzie przeszkadzała. Vedran zerka na zegarek. 4.50. Zdążyłby jeszcze zawlec ją na skraj parkingu. Dobrze mu zrobi trochę wysiłku fizycznego.

Jednak głupio byłoby nadwyrężyć plecy. Jeśli szafa jest pełna, zostawi to. Są jakieś granice angażowania się. Vedran wsuwa palce pod brzeg środkowych drzwiczek i ciągnie. Odgłos jest taki, jakby zostały przyklejone, lecz ani drgną. Idiota, który pomalował szafę, pozwolił jej schnąć przy zamkniętych drzwiczkach. No tak, milenials.

Przy wejściu do hali ogrodniczej pojawiło się trochę ludzi. Wkrótce otworzą. Jednak nie pokonają go te drzwiczki. Vedran ciągnie mocniej i w końcu farba

puszcza. Gdy drzwiczki otwierają się z trzaskiem, uderza go ostra woń żelaza i zgnilizny. Vedran odruchowo cofa się o krok i zasłania ręką nos.

Nie od razu widzi, co znajduje się w środku. Zwierzę zostało poćwiartowane, żeby się zmieściło, ale części leżą w nieładzie. Największa wygląda, jakby była to świnia. W każdym razie nie ma sierści. Dwie mniejsze mogą być kawałkami nóg. Vedran zgaduje tylko, przecież zajmuje się kwiatami. Nie zna się na częściach zwierząt. Niemniej jasne jest jedno. Na drzwiczkach nie ma farby, tylko jest krew. Zarówno na częściach w pudle, jak i w jego wnętrzu. Czerwona lepkość jest wszędzie. Niemal tak, jakby rozsmarowano ją pędzlem. Co to za człowiek, który robi takie rzeczy? W dodatku, o ile mu wiadomo, w halach hurtowych nie sprzedaje się mięsa. Tylko ryby i warzywa. I jego kwiaty.

Powinien wracać, za chwilę otworzą. Jednak Vedran znów podchodzi do szafy. Wciąż zakrywa ręką nos. Obok ciała zwierzęcia leży we krwi jakiś przedmiot. W pierwszej chwili go nie zauważył, ale choć to niepojęte, ktoś zostawił w pudle swój zepsuty zegarek. Vedran przygląda się dokładnie wielkiemu kawałowi mięsa i coś mu się nie zgadza. Świnie nie mają tak gładkiej skóry. Robi mu się niedobrze, ale musi się upewnić. Przydałyby się rękawice. Niechętnie ciągnie za górne drzwiczki i w końcu otwierają się, czemu towarzyszy ten sam lepki odgłos.

Vedran musi wiedzieć.

W górnym pudle jest równie wiele krwi, może nawet jeszcze więcej, ale Vedran ledwo ją zauważa. Jedyne, co widzi, to patrzące na niego oczy. Brązowe i bardzo ludzkie.

– Pomocy, Jodranko – szepcze Vedran i potyka się, cofając.

Jest mu tak niedobrze, że nie może myśleć.

Włosy chłopca są zlepione w strąki od krwi, która pokrywa również twarz i nagi tors, przecięty na wysokości sutków. Tylko tak mógł się zmieścić w pudle. Vedran uzmysławia sobie, że to, co znalazł w środkowym pudle, to reszta torsu i ramiona. A niżej jest jeszcze jedno pudło.

Bierze go strach.

Vedran cofa się coraz szybciej, nie mogąc oderwać wzroku od tych oczu patrzących z wyrzutem. Jakby pytały dlaczego. A potem osłupienie mija, Vedran odwraca się i biegnie do hali, w życiu tak nie biegł. I kiedy już dobiega, zaczyna krzyczeć.

CZTERY KRÓTKIE DZWONKI do drzwi. Tylko jedna osoba miała zwyczaj dzwonić równie natarczywie. Vincent otworzył drzwi i rzeczywiście stała w nich Ulrika. Była żona. Siostra Marii. Jakby życie nie było dostatecznie skomplikowane. Jednak musieli porozmawiać.

– Proszę – powiedział, zapraszając do środka.

– O czym chcesz rozmawiać? – spytała, zdejmując okulary słoneczne.

Prosto z mostu, jak zwykle. Bez wstępów. Dla Ulriki liczył się wynik. I jakby chcąc to dodatkowo podkreślić, była ubrana w strój treningowy. W kancelarii adwokackiej nosiła zawsze drogie, dobrze skrojone garsonki. Teraz miała na sobie różową sportową koszulkę i szorty, do tego pas z przytroczonymi buteleczkami wody. Nie musiał patrzeć na buty, żeby wiedzieć, że to na pewno Philipp Plein. Wszystko wyglądało na nowe i kosztowne. W ogóle się nie zmieniła.

– Kawy? – spytał.

Ulrika zdjęła gumkę z mocno utlenionych włosów, które opadły jej na ramiona.

– Wiesz, że nie piję kawy.

– Chciałem sprawdzić, czy cokolwiek się zmieniło – powiedział.

Zignorowała to i weszła do kuchni. Vincent zobaczył, że na jej pasku jest miejsce dla sześciu buteleczek. Jednej brakowało. Na pewno specjalnie ją usunęła, żeby została liczba nieparzysta, co ma wytrącić go z równowagi. Będzie mu trudno skupić się na czymś innym niż na otworze, w którym powinna tkwić szósta buteleczka. Paranoiczna myśl, był tego świadom. Z drugiej strony nie znał nikogo, kto by w równie bezwstydnym sposób manipulował innymi, i to tak skutecznie jak Ulrika. A ona wiedziała dokładnie, gdzie ma go nacisnąć.

– Gdzie siostra? – spytała, nalewając sobie do szklanki wodę z kranu.

Vincent poszedł za nią i odczekał, aż wypije.

– Maria wyszła – odparł po chwili. – Pomyślałem, że będzie lepiej, jeśli porozmawiamy we dwoje.

Postawiła szklankę na zlewie i spojrzała na niego badawczo.

Podczas takiego spotkania jak dziś można było łatwo zapomnieć, jak toksyczna stała się kiedyś ich wzajemna relacja. Czas sprawił, że nie wydawało się aż tak groźnie, kiedy spoglądał na to z dystansu dziesięciu lat, które minęły od tamtej pory.

Wtedy łatwo było uznać, że to ona była wszystkiemu winna z powodu swoich nadmiernych i niemożliwych do spełnienia oczekiwań: dzieci miały odnosić sukcesy, rodzina miała osiągnąć znakomitą sytuację finansową, a mieszkanie miało być wysprzątane na błysk, bo a nuż ktoś ich odwiedzi. Nigdy nie była zadowolona. Prawda była jednak taka, że nie pasowali do siebie. On nie był takim mężem, jakiego ona potrzebowała. I odwrotnie.

Koniec nastąpił nagle, kiedy wybrał Marię zamiast niej. Vincent tym samym został tym złym. Ale oboje wiedzieli, że ich wzajemna relacja była od lat toksyczna.

– Chodzi o twoją córkę – powiedział. – Naszą. Podejrzewam, że może się samookaleczać. Ona nie chce o tym rozmawiać ze mną. W związku z tym chciałbym zaprowadzić ją do poradni.

Ulrika zrobiła minę, jakby nie rozumiała.

– Poradni psychiatrycznej dla dzieci i młodzieży – wyjaśnił.

– Nie ma mowy – parsknęła pogardliwie, krzyżując ramiona. – Chcesz ją stygmatyzować społecznie?

Powinien był wiedzieć, że Ulrika przyjmie to w ten sposób. Dla niej zawsze najważniejsze było, co widzą i sądzą inni. Byłej żony nigdy nie interesowało, co dzieje się z człowiekiem w środku. Ważne było tylko to, co wystawione na zewnątrz. A w tym była bardzo dobra. Już dawno zaczął się zastanawiać, czy Ulrika nie ma przypadkiem cech lekko psychopatycznych. Tak czy inaczej, na pewno miała jakieś zaburzenia w odczuwaniu empatii. Może to nawet właściwość pożądana w przypadku osoby pracującej w kancelarii adwokackiej, zresztą na pewno pomogła jej w karierze. Mniej pożądana u matki.

– Nie chodzi o żadne stygmatyzowanie, tylko o to, żeby pomogli jej poczuć się lepiej. Rodzice jej już nie wystarczą. Są inni, zawodowcy.

– Poradnia psychiatryczna – powiedziała to, jakby smakowała to słowo. – Nie rozumiesz, jak by to wyglądało? Dla niej? Dla mnie? Przecież wszyscy by się dowiedzieli!

– No tak, to rzeczywiście okropne, gdyby się wydało, że twoja córka nie jest idealna – skomentował, opierając się o stół. – Prawdopodobnie kazaliby ci opuścić kraj.

Przez jej niecierpliwość sam nie potrafił się odprężyć i usiąść. Zbyła jego słowa machnięciem ręki. Miała świeżo pomalowane paznokcie. Francuski

manikiur. Żaden tam szokujący lakier, jak choćby czerwony. Czy czarny, ulubiony kolor lakieru Rebecki.

– Koniec tematu – powiedziała. – Chyba nie chodziło ci tylko o rozmowę o Rebecę?

Podniosła rękę, związując znów włosy w koński ogon.

– No weź – ciągnęła, bo wydawał się nie rozumieć. – Mogłabym przyjść kiedykolwiek, ale chciałeś, żebym przyszła teraz, kiedy nie ma dzieci ani Marii. Właśnie, czy ona wciąż je na śniadanie sconesy z konfiturą? Czasem na zmianę z kanapką z awokado, żeby wmówić sobie, że jada zdrowo?

Dzięki uniesionym ramionom jej piersi odznaczały się wyraźnie pod różową koszulką. Vincent domyślił się, że właśnie o to chodziło, i sklął siebie za to, że patrzy.

– Siostrunia – dodała, widząc, że się na moment zagubił. – Twoja żona. – Jeden kącik ust uniósł się w lekkim uśmiechu, zrobiła nieznośnie zadowoloną minę. – Maria raczej nie zwraca uwagi na to, jak wygląda – mówiła dalej, podchodząc bliżej. – Zupełnie cię nie rozumiem pod tym względem.

– Zakochaliśmy się – odparł, próbując się cofnąć. – A my już od dawna nie byliśmy w sobie zakochani.

– Może i nie, ale inne rzeczy równoważyły to z nadstatkiem, Vincent.

Stała zdecydowanie za blisko.

– Boże, Ulrika, minęło dziesięć lat. Ile będziemy to jeszcze odgrzewać?

Pominęła jego pytanie, i tak było retoryczne.

– Przebiegniesz się ze mną? – spytała.

Jej oddech miał lekko słodki zapach, jak po napoju energetycznym.

– Moglibyśmy zakończyć u mnie. Oczywiście jeśli jeszcze masz tyle sił.

Znalazł się na polu minowym. Cokolwiek powie, będzie źle. A więc milczał. Nagle chwyciła jego członek przez spodnie.

– A może się zestarzałeś? – ciągnęła. – Może powinieneś zostać w domu i raczej zajadać kanapki z konfiturą razem z żoną.

Zaczęła go masować, Vincent poczuł, że wbrew sobie twardnieje pod jej dłonią. Powinien się cofnąć. Już. Ale jego stopy się nie poruszyły. Ulrika wzięła jego rękę i włożyła pod swoje krótkie szorty. Dotyk jej cieplej skóry sprawił, że nagle do niego dotarło, co się dzieje, jakby go prąd kopnął. Wyrwał rękę i cofnął się, wpadając prosto na stół.

– Tak myślałam – prychnęła. – Zestarzałeś się – dodała, sunąc do wyjścia.

MINA SIEDZIAŁA na rogu łóżka. Prześcieradło było nowe, dopiero co wyjęte z plastikowego opakowania. Potrzebowała pięciu minut, żeby je naciągnąć na łóżku, by nie było żadnych zagnieceń. Przekręciła pudełko, które trzymała na kolanach. Na wieczku był napis *Satisfyer Pro 2* i zdjęcie młodej, zdeterminowanej kobiety wymachującej flagą. *The Next Sexual Revolution*. I coś o Air Pulse Technology.

Jakiś głosik w środku podpowiadał jej, że sam pomysł świadczy o jej braku kompetencji społecznych, bo zastąpienie człowieka przedmiotem na baterie nie jest rzeczą naturalną. Drugi głosik mówił, że takie ujęcie sprawy świadczy o uprzedzeniach. Są nowe czasy. Kobieta sprawuje kontrolę nad własną seksualnością, Mina wiedziała o tym i wcale się tego nie wstydziła. Nie potrzebowała mężczyzny. Młoda dziewczyna na zdjęciu okazywała to wyraźnie. To dopiero rewolucja.

Mina otworzyła opakowanie. Zawarty w nim przedmiot był w złotawym kolorze i wyglądał jak miła w dotyku plastikowa klamka do drzwi. Ładowana przez USB. Mowy nie ma, żeby ten plastik miał jej dotknąć przed zdezynfekowaniem. Sięgnęła do szafki nocnej, gdzie stała butelka z alkoholem, i spryskała miękką część *Satisfyer Pro 2*, po czym przesunęła po nim kciukiem. Chyba za sucho. Jednak była na to przygotowana i wyjęła olejek do masażu, który zamówiła jednocześnie z masażerem, po czym natarła gumę. Jedna kropla musiała wystarczyć. Nie mogłaby kontynuować, gdyby było za lepko.

Rzecz nie polegała na tym, że nie potrafiłaby zainteresować żadnego mężczyzny, ale na tym, że nie zniosłaby go na sobie. Wystarczyła sama myśl o zmaganiu się ze spoconym, cuchnącym męskim ciałem – nie mówiąc o samym członku... Wzdrygnęła się i odepchnęła od siebie ten obraz, zanim zdążył nabrać jeszcze wyraźniejszych kształtów.

Wolno tego nie chceć? Przynajmniej nie w ten sposób jak kiedyś? Jeszcze raz spojrzęła na kobietę na zdjęciu, szukając jakiejś odpowiedzi we wzroku. Jednak ona była zajęta wymachiwaniem flagą. I wtedy Mina uzmysłowiła sobie, że ta

kobieta ma rację. Taka sterylna i estetyczna złota klamka wygrywa pod każdym względem.

Brakowało jej tylko tego, żeby można było jeszcze patrzeć w oczy. Ludzie jej nie rozumieli. Myśleli, że nie chce bliskości, skoro nie chce, by jej dotykali dłońmi, które są siedliskiem bakterii. A kontakt wzrokowy jest znacznie bardziej intymny niż jakikolwiek dotyk. Szczęście, że zamknąwszy powieki, mogła każdemu patrzeć w oczy.

Wyłączyła dźwięk w komórce i odłożyła ją na szafkę nocną. Następnie zdjęła spodnie i majtki, położyła się na łóżku i odszukała włącznik na złotej klamce.

Air Pulse Technology. Tak, tak. Może na to poświęcić pół godziny, zanim będzie musiała pospieszyć do pracy.

W końcu była to pierwsza randka.

– NIE WIEDZIAŁAM, czy jeszcze tu będziesz.

– Wolno mi pracować podczas badania mojej sprawy – powiedziała Milda. – Dzięki Bogu. I tak mi przykro z powodu mojego zaniedbania, a gdybym jeszcze musiała siedzieć w domu i roztrząsać...

Mina tylko skinęła głową. To nie jej rzecz, żeby osądzać ani też uwalniać Mildę od poczucia winy. Od tego jest komisja badająca sprawę. Ludzie popełniają błędy. Ludzie nie są doskonali. Był to zresztą jeden z głównych powodów, dla których Mina wolała żyć sama. Ten i fakt, że większość ludzi nie rozumie w dostatecznym stopniu, na czym polega higiena osobista.

Zorientowała się, że Julia dzwoniła do niej parę razy, najpierw chciała od razu oddzwonić, ale potem postanowiła, że najpierw porozmawia z Mildą. Schowała komórkę do kieszeni.

– Śledziłam poszukiwania tego chłopca – odezwała się Milda.

Zamknęła powieki Robertowi i zdjęła plastikowe rękawiczki. Odsunęła się od lśniącego stołu obdukcyjnego, na którym leżały części ciała ofiary.

– Wraz z całą Szwecją – odparła Mina, podchodząc bliżej.

Dziwnie było patrzeć teraz na jego twarz, którą wcześniej przez miesiąc oglądała na pierwszych stronach tabloidów.

– Co roku giną w Szwecji tysiące ludzi. Robert był tylko jednym z tej statystycznej masy. A jednak miał w sobie coś takiego, co przyciągnęło do niego uwagę ludzi. Nie mówiąc o mediach.

– Bezbronność – odparła Mina, nachylając się nad twarzą chłopca.

Z zamkniętymi oczami wyglądał, jakby spał. Nic na tej twarzy nie ujawniało brutalności, z jaką została potraktowana reszta jego ciała.

– Zawsze bardziej porusza nas to, co postrzegamy jako czyjś bezradność – ciągnęła. – Robert miał dwadzieścia dwa lata, ale umysłowo był na poziomie dziecka.

– A rozpacz jego rodziców chwytала za serce – zauważyła Milda, przekładając swoje narzędzia.

Lekarka sądowa włożyła nowe rękawiczki. Mina skinęła pytająco w stronę pudełka i Milda podsunęła je. Mina poczuła dotyk cienkiego plastiku i przeszedł ją dreszcz zadowolenia. Gdyby mogła, stale nosiłaby rękawiczki, ale powstrzymywało ją coś tak idiotycznego jak obyczaj. Gdyby się urodziła w Japonii, mogłaby spokojnie chodzić zarówno w maseczce, jak i rękawiczkach, ale w Szwecji byłoby to dziwne. Mina uważała, że to jedyne sensowne rozwiązanie, ale w jej miejscu pracy byłoby nie do zaakceptowania. Wyobrażała sobie komentarze Rubena i Christera.

– Czy rodzice zostali zawiadomieni? – spytała Milda, odbierając pudełko z rękawiczkami i stawiając je na miejsce na blacie.

Wszystkie przedmioty były ustawione w rzędach, w iście wojskowym porządku, który Milda utrzymywała w swoim sterylnym królestwie.

– Tak.

Odpowiedź Miny była krótka. Ta część jej zawodu była dla niej najtrudniejsza. To, że każde morderstwo oznacza żałobę dla bliskich ofiary. I do jej obowiązków należy przekazanie informacji o śmierci.

– Czy to...? – Mina pokazała palcem jeden z dwóch przedmiotów leżących na stole obok zwłok.

– Tak. Miał to w kieszeni. Jego ubranie znajdowało się w dolnej szufladzie.

Przedmiotem, o którym mówiła, była proca. Duża i mocna, z drewna, z gumową taśmą. W opisie Roberta w tabloidach zaznaczano, że najczęściej jest widywany z procą, którą chętnie pokazuje obcym, żeby zademonstrować swoją zręczność. Wynikało z tego, że umiał trafić do pocztówki z dziesięciu metrów.

Mina oderwała wzrok od procy. Ten przedmiot był zbyt osobisty, a przez to poruszający. Zazwyczaj udawało jej się dystansować od ludzi, ich przeżyć i prywatności. A jednak coś w sprawie Roberta Bergera przebiło się przez jej skorupę. Nawet teraz, z rozczłonkowanym ciałem, jego twarz wydawała się spokojna i miła. Z cieniem uśmiechu. Gdyby nie te wielkie, pytające oczy.

Na wszystkich zdjęciach w gazetach uśmiechał się szeroko, serdecznie, jego oczy błyszczały radością i chęcią życia. W artykule w „Aftonbladet” napisali, że rodzice nazywali go Bobban. Dla Miny było nie do zniesienia, że poznała to zdrobnienie. Za mocno poruszało. Zmusiła się do skupienia na pracy policyjnej. Na procedurach. Regułach. Postępowaniach. Czynnościach. Czystych. Kliniknych.

– Jak widzisz, jego ciało zostało podzielone na trzy zasadnicze części. Chociaż licząc z kończynami, jest tego więcej – powiedziała Milda. – Cięcia są czyste, gładkie, użyte narzędzie było bardzo ostre.

– Żył wtedy?

– Tak – odparła Milda, wskazując na miejsca cięć. – Sporo krwawił, bo serce jeszcze biło. No i jest to. Powód, że do ciebie zadzwoniłam.

Odsunęła włosy z czoła Roberta. Znajdowała się na nim czytelna rzymska dwójka, wyryta na gładkiej skórze, na której wzdłuż bruzd powstał obrzęk.

– W jednej z szuflad leżał luzem zegarek – powiedziała Milda, wskazując na drugi przedmiot. – Jak widzisz, ustawiony na godzinę 14.00. Baterie zostały wyjęte, a zegarek mimo to rozbity.

Mina zaczerpnęła tchu. Zegarek. Cyfra dwa na czole. Vincent od początku miał rację. Było to odliczanie wsteczne. Rubena szlag trafi.

– A co powiesz o miejscu przestępstwa? Został zamordowany tam, gdzie go znaleziono, czy gdzie indziej? – spytała Mina.

– Wyczerpującej odpowiedzi udzielą ci technicy, którzy badali miejsce znalezienia szafy ze zwłokami. Ale gdybym miała zgadywać, to gdzie indziej.

– Dlaczego tak uważasz? – spytała Mina.

– Bo ta szafa nie wygląda, jakby stała w wielkiej ilości krwi, którą Robert musiał stracić. Jest na to za czysta od spodu. Prawdopodobnie został potem przewieziony na miejsce znalezienia.

Mina nabrała powietrza.

– Toksykologia? – Miała nadzieję, że Milda nie znienawidzi jej za to pytanie.

– Badanie toksykologiczne zostanie zrobione w związku z obdukcją. Pewnie będę musiała pobrać żółć z uwagi na to, jak mało krwi zostało w zwłokach. Ale uwierz mi, tamtego błędu nie powtórzę. Poprosiłam, żeby nadali priorytet badaniu próbek pobranych zarówno od Roberta, jak i od Agnes.

– Można tak? – spytała Mina, nie oceniając.

– Nie. Ale są mi winni parę przysług. W ten sposób mogę przynajmniej choć trochę zadośćuczynić za tamtą wpadkę.

– A czasowo jak się to będzie przedstawiać?

Mina nie mogła oderwać wzroku od pogodnej twarzy Roberta.

– Tylko kilka dni, może nawet szybciej. Jednak niczego nie obiecuję. Zostaje mi jeszcze sama obdukcja Roberta. Przywieźli go dopiero co. Chcesz zostać? Możesz przy tym być, jeśli chcesz.

Milda włożyła kolejną parę nowych rękawiczek i zaczęła przygotowywać narzędzia leżące na stole obok zwłok. Była tam również waga, Mina wiedziała, że posłuży do ważenia poszczególnych organów, począwszy od serca i mózgu aż po zawartość żołądka. Już była przy obdukcjach.

– Dzięki, ale nie – odparła. – Dziś odmówię sobie tej przyjemności. Natomiast obejrzałabym pudła.

– Jasne, całość stoi na zewnątrz w oczekiwaniu na transport do Narodowego Centrum Kryminalistycznego.

Trzeba natychmiast złapać Julię. I Vincenta.

Milda, zajęta wybieraniem narzędzi, skinęła głową, nie patrząc na nią. Mina ruszyła do drzwi. Tam odwróciła się i zobaczyła, jak Milda głaszcząc lekko policzek Roberta. Były w tym czułość i wielki żal.

MILDA WOLAŁA pracować w samotności, więc po wyjściu Miny poczuła ulgę. Nastawiła sobie wesołą muzykę do tańca, ale niegłośno, żeby nie zagłuszyć nagrania swoich obserwacji podczas obdukcji. Wiedziała, że to stereotyp w popkulturze: patolog słuchający podczas obdukcji określonej muzyki. Najczęściej opery. Jednak wszystkie stereotypy mają jakieś podstawy. Grająca w tle muzyka zapewniała jej spokój i skupienie. W dodatku tak było jakoś godniej wobec tych ludzi leżących przed nią na stole sekcyjnym. Przeciwwagą dla ciężkiej obecności śmierci była dla niej pogodna muzyka, szlagiery albo muzyka taneczna. A ci, którzy potem odsłuchiwali i dokumentowali nagrania z jej uwagami, zdążyli się dawno przyzwyczaić do jej podśpiewywania.

Razem z zespołem Arvingarna śpiewała ich przebój *Eloise*. Przeboje z Melodifestivalen ²² miały w jej sercu szczególne miejsce, nie opuściła żadnego festiwalu, odkąd była na tyle duża, żeby je oglądać w telewizji.

Samotnie zbieram myśli przed wyjściem – śpiewała z uczuciem, dotykając delikatnie brzegów nacięć.

Czyste. Proste. Do tego trzeba naprawdę ostrych narzędzi. Mowy nie ma o jakiejś częściowo stępionej klindze. A i tak mogą zdradzić coś interesującego. Oddzieliła kawałeczki kości z nacięcia i zaniosała do przygotowanego roztworu wody, płynu do zmywania ialconoxu. Jeśli jest tu jeszcze DNA, nie wolno go uszkodzić i ten roztwór będzie najlepszy. Termometr wskazał temperaturę: 55 stopni. Idealnie. Trzeba usunąć tkankę miękką, zanim będzie można kontynuować.

Myślałem, że dobrze zrobię, gdy zerwę.

Wróciła do Roberta i uparcie odsuwała od siebie myśli, które jej się nasuwały, kiedy miała na swoim stole tego młodego człowieka. Za kilka lat to może być Conrad. Jeśli nic się nie zmieni. Jeśli nie uda jej się nic zmienić. Delikatnie pogłaskała policzek Roberta. Na nim powinna się skupić. To jej powinność. Obowiązek.

Tęsknię za tobą i właśnie stoję u twoich drzwi.

Nadal czuła wstyd, że zapomniała o badaniu toksykologicznym zwłok Agnes. Nie wolno popełniać takich błędów, bo są zdradą wobec ofiary, ale także jej bliskich. Jej obowiązkiem to postępować z największą dokładnością, niczego nie zaniedbać i na kolejnych etapach dokonywać właściwych ocen. Jako mama pewnie nie może tego uniknąć, ale w pracy nie powinna popełniać błędów. Odepchnęła od siebie myśl o Conradzie, który mógłby leżeć na tym stole, i pracowała dalej.

Kiedy teraz zadzwonię do drzwi – otworzysz mi?

Pogodne słowa piosenki odbijały się od gładkich powierzchni pomieszczenia. Milda nie miała dobrego głosu, ale jej publiczności to nie przeszkadzało. Wspomagała ją akustyka, która była całkiem niezła.

Więc wyjdź do mnie.

Milda pozwoliła sobie na małą pauzę. Powinna podczas obdukcji przestrzegać procedur, ale w tym przypadku komplikował je fakt, że zwłoki były w kilku częściach. Zwłoki, które trafiały na jej stół, były w większości w dość przyzwoitym stanie. Nieczęsto miała do czynienia z rozczłonkowanymi ciałami.

Eloise! Czy jesteśmy dla siebie kimś więcej niż przyjaciółmi?

Wyspiewując refren, sięgnęła jednocześnie po nożyce. Najczęściej korzystała z pomocy asystenta, ale tym razem wołała sama. Jednak wszystko, przez cały czas wykonywania sekcji, było starannie dokumentowane nagraniem wideo, nie tylko dźwiękowym.

Więc pokaż mi, co czujesz. A potem niech decyduje miłość.

Jej śpiew mieszał się z głosem solisty, Caspera Jarnebrinka, i trzaskiem z nożyc podczas rozcinania chrząstki mostka. Ostrożnie odsunęła mostek, odsłaniając środkową część tułowia. Niektórzy spośród jej kolegów woleli naciąć kawałek żeber, ale Milda chciała uniknąć skaleczenia się o ostre kawałki kości. I tak było ich dość w tych rozczłonkowanych zwłokach.

Eloise!

W zwłokach prawie nie było już krwi, a resztki zdążyła skrzepnąć. Minimalna ilość krwi świadczyła o tym, że miała rację, że ciało Roberta zostało rozczłonkowane, kiedy chłopak wciąż żył. Najwyraźniej świat jest pełen zwyrodnialców.

Nieobecność krwi nadała ciału jasnoszary odcień, oznaczała też brak plam opadowych, co utrudniało określenie czasu popełnienia zbrodni. Nie było sensu badać cieczy wodnistej oczu, mimo że poziom potasu rośnie w ciągu kilku godzin po śmierci i mógłby być jakąś wskazówką, ale Robert był martwy od wielu dni.

Wiatry też zmieniają kierunek, a dla mnie tyś jest jedyna.

Włożyła dłonie do otwartej piersi Roberta. Dokonała oględzin wnętrzości i zrobiła kilka zdjęć. Lepiej dokumentować za szeroko niż za wąsko. Wyglądały normalnie poza lekko powiększonym sercem, co było często spotykane u osób z zespołem Downa.

A miłość jest warta wysokiej ceny, Eloise.

Lekko przytupywała do taktu; o dziwo, pomagało jej to w stabilizowaniu ruchów rąk podczas ostrożnego wyjmowania organów. Każdy miał być zmierzony i zważony. Dopiero po zakończeniu sekcji miała je włożyć z powrotem, zaszyć jamę brzuszną, żeby można było przekazać zwłoki firmie pogrzebowej.

To niełatwe, gdy nie dostrzega się własnych błędów.

Serce, nerki, wątroba, płuca zważone. Wszystkie normalne. Oprócz serca.

Jestem jak piłeczka w grze.

Żołądek wymagał nieco więcej pracy. Przy pewnej dozie szczęścia może ostatni posiłek Roberta da jakąś wskazówkę, gdzie spędził ostatnie godziny życia.

Tęsknię za tobą, stoję teraz u twych drzwi.

Z niewiadomego powodu piosenka została powtórzona przez odtwarzacz, ale zostawiła to. Uwielbiała tę piosenkę i od razu zakochała się w jej wykonawcy. Za każdym razem, gdy Casper Jarnebrink pojawiał się w telewizji, robiło jej się trochę gorąco. Tym bardziej, że jakby się wcale nie starzał. Może w piwnicy trzyma portret Doriana Graya. Sama by taki kupiła, gdyby wiedziała gdzie. Może na Wish albo na eBayu?

Przełożyła zawartość żołądka do metalowej miski. Odór był ostry, nieprzyjemny, ale Milda od dawna nie zwracała na to uwagi. Nie należała do tych patomorfologów, którzy wcierają sobie krem mentolowy pod nosem, żeby radzić sobie z zapachami martwego ciała. Za duże ryzyko, że się coś przeoczy. Choćby zatrucie arszenikiem, które po otwarciu żołądka da się wyczuć dzięki lekkiemu zapachowi migdałów.

Kiedy teraz zadzwonię do drzwi, otworzysz mi? Czy mam odejść?

Grzebała ostrożnie w zawartości żołądka. Mimo że wszystko to miało trafić do analizy w laboratorium sądowym w Linköpingu. Milda wiedziała, że nie będą zachwyceni, ale trudno. Jednak zawsze, przed przekazaniem technikom kryminalistyki, najpierw sama wszystko sprawdzała. Ściągnęła brwi.

Więc proszę cię, wyjdź do mnie.

Szeptala sobie tekst piosenki, kiedy w zawartości żołądka trafiła na grudę czegoś ciemnego.

Czy jesteśmy dla siebie kimś więcej niż przyjaciółmi? Pokaż, co czujesz...

A potem umilkła.

Żołądek Roberta był pełen włosów.

NIE CIERPIAŁ mieć rację. Wcale nie chciał mieć racji. Gdyby się mylił, Robert wciąż by żył. Vincent czuł się tak, jakby wymusił to morderstwo, bo upierał się, że chodzi o wsteczne odliczanie. Niby wiedział, że fakt, iż jest człowiekiem, na którego skierowane są światła reflektorów, nie oznacza, że może wpływać na bieg wydarzeń – przecież to nie on był powodem działań jakichś nieznanych mu ludzi – jednak nie mógł na to nic poradzić, tak myślał jego mózg i już. Nie potrafił się oprzeć programowaniu, liczącemu sobie ileś tysięcy lat, które czasem umożliwiało ludziom przeżycie. A dziś wywołało u Vincenta poczucie winy.

Wszedł po schodach razem z Miną.

– Co to za skrzynia tym razem? – spytał, kiedy zatrzymała się na właściwym piętrze, żeby otworzyć drzwi.

– Sam zobaczysz.

Informacja o znalezieniu zwłok Roberta Bergera niezwykle go przygnębiła. Z zawodowego punktu widzenia był zafascynowany aberracją chromosomową, zwaną trisomią 21. Tym, że wystarczy jeden dodatkowy chromosom, aby stworzyć odmienną osobowość. Vincent nie miał zbyt dużego doświadczenia z osobami z zespołem Downa, jednak te, które znał, miały kilka wspólnych cech charakteru. W związku z ograniczeniem ich zdolności poznawczych istotniejszą rolę odgrywa ciało migdałowate, wpływające silnie na emocje. Przez to byli to ludzie znacznie bardziej szczerzy od innych. Wszystkie ich emocje były silne i ważne dla nich. Vincent dostrzegał w tym coś bardzo ładnego i nieudawanego. Choć zdawał sobie sprawę, że mocno ich idealizuje, ale jednak.

Niedostatki Vincenta szły w przeciwną stronę, bo jemu okazywanie uczuć przychodziło z trudem. Jedno wiedział: ktoś tak otwarty i serdeczny jak Robert budzi u innych instynkt opiekuńczy i działa inspirująco. Nie niszczy się go. Ten, kto jest w stanie zrobić coś takiego, jest człowiekiem straconym.

– Jest. – Mina zatrzymała się przed szafą, równie wysoką jak ona sama.

Vincent od razu skojarzył.

– O kurde – powiedział i odwrócił wzrok.

Drzwiczki były na szczęście zamknięte, ale nie miał problemu z wyobrażeniem sobie, co w nich leżało. Troje drzwiczek. Dwa ostrza. Jedna szafa. Trzy, dwa, jeden. Robert był sam w sobie odliczaniem wstecznym.

– Ostrza, które tkwiły w pudłach, leżą tam – wyjaśniła.

– Daj mi chwilę, żebym mógł się pozbierać – odparł. – Tak czy inaczej, na pewno chodzi o słynną iluzję *Zigzag lady*. To znaczy, ma być tą iluzją.

Vincent odetchnął, a potem sięgnął po swój smartfon.

– Muszę to pokazać Sainsowi Berganderowi. Domyślam się, że nie wolno mi robić zdjęć?

Mina wzruszyła ramionami.

– A rób sobie, ile chcesz. Od tej chwili jesteś oficjalnie częścią zespołu dochodzeniowego. To wiadomość od Julii.

– Okej, a co na to Ruben?

– Chyba nigdy nie widziałam go tak zawziętego.

Vincent uruchomił aparat fotograficzny w telefonie. Jakoś łatwiej było patrzeć na to okropieństwo przez ekran. Mógł się wtedy skupić na szczegółach i zadbać o to, żeby ująć w kadrze wszystko, co Sains powinien zobaczyć. Pozostawał jednak pewien problem: powinien również sfotografować wnętrze tej szafy.

ŚCISNĄŁ W DŁONI różowy plastikowy skoroszyt i nagle się zdenerwował. Głupio mu było, że wziął jeden z różowych skoroszytów należących do Benjamina, ale innego nie znalazł. Liczy się w końcu zawartość.

Vincent po raz bodaj dziesiąty rozrzucił ją na biurku. Całą noc się zastanawiał, w jaki sposób najlepiej przekonać członków policyjnego zespołu, a to był rezultat jego przemyśleń.

Poprzednim razem nie poszło mu zbyt dobrze. Jednak wtedy nie rozumiał, że ma ich przekonywać. Teraz już wiedział, że nie wszyscy mają zdolność odpowiedniej koncentracji, dlatego skupił się na kolorowych, wyraźnych zdjęciach, które przynajmniej wzbudzą ciekawość. Zamierzał wykorzystać starą sztuczkę Marka Antoniusza, polegającą na tym, że z początku będzie się z nimi zgadzał, by potem użyć tego jak lewara do odwrócenia tego poglądu. Musiał też pamiętać, że punkt wyjściowy jest tym razem zupełnie inny. Bo miał rację, a oni o tym wiedzą.

Znów włożył zdjęcia do skoroszytu. Uzupełnił je kilkoma rodzinnymi, żeby było równo dziesięć. Musi tylko uważać, żeby nie wyjąć niewłaściwego. Gdyby na przykład pokazał to z urlopu w Las Vegas, gdzie przez cały czas cierpiał na rozstrój żołądka, a Aston uparł się, żeby robić mu zdjęcia. Las Vegas. L to dwunasta litera alfabetu szwedzkiego, V to dwudziesta druga, 1222. 12.22 nazywana jest w numerologii chrześcijańskiej potrójną lustrzaną godziną w formach poszukujących. Vincentowi przypomniawszy, że godzinę temu zapomniał o lunchu. Spojrzał na zegarek. Teraz nie ma na to czasu. Musi jechać, jeśli ma zdążyć.

Dziesięć zdjęć ze skoroszytu to $1 + 0$ równa się 1. Jedno zdjęcie. Jeden najważniejszy obraz. Ten musiał jednak stworzyć w ich wyobraźni.

Julia czekała na niego w recepcji gmachu policji.

– Cześć, Vincent – powiedziała z uśmiechem, wpuszczając go przez bramkę.

Poszedł za nią na trzecie piętro, do takiej samej salki konferencyjnej jak poprzednio. Może nawet do tej samej. Pozostali znajdowali się już na miejscu.

Peder. Christer. Ruben. I Mina. Zdał sobie sprawę, że czekali na niego. Ruben nie patrzył mu w oczy.

– Przepraszam za to małe spóźnienie – odezwał się Vincent. – Do ostatniej chwili przygotowywałem moją prezentację.

Julia usiadła obok mężczyzny, którego nie znał. Okulary w stalowych oprawkach, włosy przerzedzone na skroniach, robiona na drutach kamizelka w kolorze mchu, guziki pozapinane i powaga na twarzy. Jeśli istnieje coś takiego jak archetypowy psycholog, ten mężczyzna spełniał wszystkie kryteria. Zapewne profiler, o którym wspominała Mina. Jan.

– Nasze zebranie będzie się składało z dwóch części – oznajmiła Julia. – Zakończymy prezentacją Vincenta, ale najpierw posłuchamy Christera i Jana. Pojawilo się bowiem coś nowego. Christer?

Julia skinęła głową, a Christer musiał odchrząknąć, zanim się odezwał.

– No tak, chodzi o to, że przejrzałem nagrania z monitoringu. Z kamer naprzeciwko kawiarni.

Zrobił pauzę. Julia znów skinęła mu zachęcająco. Christer wydał charakterystyczne dla niego głębokie westchnienie i ciągnął dalej.

– A więc, jak mówiłem, przejrzałem nagrania z monitoringu. Cholerne mnóstwo ludzi się tam przewinęło. Mężczyźni, kobiety, chłopcy, dziewczyny, starzy, młodzi, psy, niemowlęta, nawet jeden gościu z tchórzem. Najpierw nie znalazłem niczego, co by odstawało od pewnego schematu, jednak przyglądałem się bardzo intensywnie i uważnie i...

– Przejdź do rzeczy – odezwała się Julia niecierpliwie.

Christer znów westchnął z udęconą miną.

– No więc jeden wydał mi się jakoś znajomy. Twarzy nie było widać wyraźnie, ale facet utykał i było w tym coś... jakbym go znał.

– I wtedy przyszedłem ja i rozwiązałem zagadkę – stwierdził bardzo zadowolony z siebie Ruben i spłótl dłonie na karku.

– Tak, tak, Ruben, wiem. – Julia spojrzała na niego gniewnie. – Christer, mów dalej.

– Nie mogłem go umiejscowić, ale fakt, Ruben go rozpoznał.

Ruben wychylił się energicznie do przodu. Najwyraźniej jego cierpliwość dla Christera się wyczerpała.

– To był Jonas Rask.

– Kurde, co ty mówisz? Jonas Rask? To on wyszedł?

Peder wyprostował się na krześle.

– Kto to jest Jonas Rask? – zwrócił się do Miny Vincent.

Odpowiedział Ruben.

– Gwałciciel i morderca. W zakładzie karnym Skogome odsiedział, no właśnie, dwadzieścia lat bez miesiąca. Wyszedł we wrześniu zeszłego roku. Uznali, że został zresocjalizowany. – Przy ostatnim słowie Ruben zrobił palcami znak cudzysłowu.

Vincent kiwnął głową.

– A tak, w Skogome prowadzą program terapeutyczny ROS – powiedział.

Peder zrobił minę, jakby Vincent odezwał się w nieznanym języku.

– ROS? – Vincent rozejrzał się po pozostałych. – Ktoś wie? Nie? ROS to akronim od słów oznaczających relację i socjalizację, program dobrowolnej terapii dla skazanych za przestępstwa na tle seksualnym. Metoda polega na zarówno grupowej terapii, jak i indywidualnych rozmowach z psychologiem. Stosuje się ją w pięciu zakładach karnych, między innymi w Skogome, i okazuje się, że uczestnicy programu są po wyjściu na wolność mniej skłonni do recydywy. Różnica nie jest duża, to osiem procent wobec dziesięciu. Z drugiej strony materiał statystyczny jest niewielki...

Mężczyzna w kamizelce przerwał mu.

– Przepraszam. Cześć. Nazywam się Jan Bergsvik – powiedział, wyciągając do niego rękę. – Tak się składa, że to moja dziedzina. Jestem psychologiem i mam długoletnie doświadczenie w pomaganiu przy policyjnych dochodzeniach, najczęściej przez profilowanie sprawców. Kierownictwo prosiło mnie, żebym przyszedł wam z pomocą. Najwyraźniej potrzebny wam profil. Jak rozumiem, dochodzenie utknęło w tym punkcie.

Vincent zerknął na Minę, potem ujął jego dłoń. Jak zimna ryba. Typowe dla ludzi uważających się za lepszych od innych. Nawet nie próbują się przywitać porządnie.

– Pracowałem nad sprawą Jonasa Raska – ciągnął Jan. – Dziwię się, że o niej nie słyszałeś, w latach dziewięćdziesiątych była bardzo głośna. Jonas Rask był kierowcą w jednej z większych firm transportowych, jeździł po całej Szwecji i Norwegii.

Vincentowi zaczęło coś świtać.

– To on porywał i gwałcił młode autostopowiczki? A dwie w dodatku zamordował?

– Tess Bergström i Ninę Richter – mruknął Christer.

– Zgwałcił je, udusił, potem zgwałcił jeszcze raz – powiedział Jan. – Trupy wyrzucał na pobocza w workach na śmieci. W kawałkach. Ćwiartował je w swojej ciężarówce. Nikt nie zwrócił uwagi na ślady krwi, bo prowadził transporty, co w jego przypadku było szczególnie korzystne, do rzeźni.

– Przecież to proste jak drut – mówił Ruben z podnieceniem. – Ten pieprzony Rask przychodził do kawiarni, w której pracowała Tuva. W takim razie mógł też

trafić na Agnes. Jasne, że to on!

– Nie rozpędzajmy się za bardzo i nie wyciągajmy pochopnych wniosków – odezwała się ostrzegawczo Julia.

Vincent podniósł w górę palec.

– Sposób działania Raska raczej się nie zgadza, co ja mówię, zupełnie się nie zgadza z naszym sprawcą.

Człowiek w kamizelce zaśmiał się lekko, kręcąc głową, jakby Vincent był dzieckiem, które właśnie powiedziało coś zabawnego.

– Przepraszam, a kim ty jesteś?

– Vincent został przez nas zaproszony jako konsultant – wtrąciła Julia. – Na próbę.

Wyraźnie nie chciała nastawiać wrogo Jana, mówiąc mu, co u nich robi Vincent.

– W takim razie może wyjaśnię od początku sposób funkcjonowania ludzi, w tym przypadku sprawców – powiedział Jan, patrząc na Vincenta znad okularów. – Działania wszystkich sprawców z czasem podlegają zmianom, ale zgodnie z ich podstawowym popędem. Jonas Rask jest stuprocentowym zbrodniarzem. Macie teraz na stole trzy bestialskie morderstwa. Te kobiety były w tym samym wieku jak te zaatakowane przez Raska. Ich zwłoki zostały następnie sprofanowane, dokładnie tak samo, jak zrobił Rask. W dodatku teraz okazuje się, że istnieje bezpośrednie powiązanie z Raskiem. Prawdopodobieństwo, że nie jest w to zamieszany, jest wręcz mikroskopijne.

– Oczywiście ty tu jesteś ekspertem – odparł Vincent. – Ale zwracam uwagę, że Robert nie był kobietą i żadna z ofiar nie została wykorzystana seksualnie, co chyba było charakterystyczne dla Raska. I tylko Robert został poćwiartowany. Co ty na to?

Jan milczał chwilę. Jego jedna ręka powędrowała bezwiednie do guzików kamizelki, z dołu do góry. Typowy gest świadczący o braku pewności siebie. Jakby pytanie Vincenta spowodowało u Jana wyrzut kortyzolu, hormonu stresu.

– Widocznie Rask jest już pozbawiony popędu seksualnego – powiedział. – Kto wie, co zrobiły z nim lata spędzone w więzieniu. Jednak brak popędu tłumaczyłby, dlaczego może również mordować młodych mężczyzn.

– Czyli powiedziałaś, że to, co przede wszystkim pobudzało Raska do działania, to popęd seksualny, tak? – dopytywał Vincent.

– Absolutnie – odparł z zadowoleniem Jan. – Nawet przemoc ma funkcję seksualną. Jednak samo zabijanie było dla niego wtórne, konieczne, żeby ofiary nie mogły nic powiedzieć, ale prawdopodobnie z tego również czerpał satysfakcję.

– A teraz, kiedy według ciebie stracił popęd seksualny, miałyby się u niego pojawić nowa siła napędzająca go do popełniania skomplikowanych morderstw? Bardzo jestem ciekaw, jak byś opisał profil takiego sprawcy. Szczególnie że na początku powiedziałaś, że napędza go wciąż to samo. To oczywiście nie moja dziedzina, ale jakoś mi się to nie zgadza.

Vincent patrzył niewinnie na Jana, który błędził spojrzeniem po obecnych. Mina ukryła twarz za swoim notesem.

– Widzę, że moja wiedza ekspercka nie jest tutaj w cenie – odezwał się w końcu Jan przez zęby. – Życzę powodzenia w dalszym dochodzeniu. Przekażę to kierownictwu.

Ponownie przesunął dłońmi po guzikach i wstał.

– A następnym razem może nauczycie swoich konsultantów trochę ogłady – dodał, wychodząc.

Zapadła cisza jak makiem zasiał. Vincent zobaczył kątem oka, że Mina powstrzymuje się od śmiechu.

– Wstydz się, Vincent – odezwała się, kiedy psycholog był już poza zasięgiem słuchu. – Pamiętaj, że twoja obecność wynika z naszej wspaniałomyślności.

– No nie, ja się zgadzam z Vincentem – powiedział Ruben.

Ten zrobił wielkie oczy. Od kiedy to Ruben jest po jego stronie? To coś nowego.

– Vincent nie powiedział, że Rask nie był sprawcą – wyjaśnił Ruben. – Pytał tylko, jak rozumuje dziś Rask. Ja bym też chciał to wiedzieć. Będzie wtedy łatwiej go złapać.

– Macie rację w jednym – stwierdził Vincent. – Z rachunku prawdopodobieństwa mogłoby wynikać, że Rask mógł być zamieszany. To znaczy, w tym momencie prędzej on niż ktokolwiek inny. Tylko że ja wciąż nie rozumiem dlaczego.

– Trzeba jak najprędzej ustalić miejsce pobytu Raska i go przesłuchać – powiedziała Julia. – Faktem jest, że poszukiwania już są prowadzone na pełną skalę. Więc może byśmy teraz zostawili Raska i posłuchali, co ma dla nas Vincent?

Patrzyła z zaciekawieniem na trzymany przez niego różowy skoroszyt.

Vincent odwrócił się do Julii. Najlepiej zwracać się do osoby, której nastawienie będzie sygnalizować grupie, co ma o tym sądzić. Zauważył, że za jego wzrokiem poszło spojrzenie Rubena, które potem odruchowo przesunęło się w dół do pupy Julii. Nawet nie powinien się dziwić, bo Mina mówiła już dawno, że Ruben chciałby iść do łóżka z każdą kobietą. A jednak. Ani to czas, ani miejsce... Okej. Skupienie.

– Mogę...? – Wskazał tablicę na ścianie.

– Bardzo proszę – odpowiedziała Julia, zapraszając go gestem.

Vincent otworzył skoroszyt, wyjął kilka zdjęć i przyczepił do tablicy magnesami, które znalazł w jej dolnym rogu. Nie przypadkiem zrobił tak samo jak wcześniej Mina. Wtedy przyczepienie przez nią zdjęć skojarzyło się jej kolegom z poważną robotą policyjną. Vincent liczył, że swoim zachowaniem wywoła u nich to samo skojarzenie, niech poczują, że to jest równie poważne. Potrzebne mu było stworzenie atmosfery wiarygodności, żeby kupili to, co zamierzał zaproponować. Żeby zobaczyli jego obraz sytuacji. To była jego ostatnia szansa. Tymczasem Peder wciąż wpatrywał się zaspanymi oczami w różowy skoroszyt Vincenta.

– Jak wata cukrowa – mruknął.

Obliznął palce lepiące się od cukru na drożdżówce i sięgnął po kolejną.

Christer przysunął mu talerz.

– Chyba masz zapaść umysłową – odezwał się cicho. – Zostaw mi pół drożdżówki.

– To mojego syna – powiedział Vincent, klepnąwszy dłonią w skoroszyt. – Nie miałem... tak czy inaczej. – Chrząknął i już mógł zaczynać. – Chciałbym wam pokazać dwie rzeczy. Pierwsza to te zdjęcia. Widzicie, co przedstawiają?

Widać było na nich uśmiechniętych mężczyzn w kostiumach z cekinami. Kilku stało przed pełną przepychu dekoracją udającą egipską świątynię lub inne „egzotyczne” miejsce, podczas gdy inni stali na scenie wśród dymów i laserowych świateł. Wszyscy byli upozowani obok różnego rodzaju wielkich pudeł i co najmniej jednej skąpo ubranej kobiety.

– Twoich kolegów od czarodziejskich sztuczek – odpowiedział Ruben. – No i co?

W końcu oderwał wzrok od tyłka Julii.

– Zgadza się. Ale przyjrzyjcie się jeszcze raz – polecił Vincent.

– Kurde, a to co? – wykrzyknął Ruben kilka sekund później.

– Przecież to... – powiedział Peder.

– Właśnie. To, na co patrzycie, to pokazy *Bullet catch*, *Sword casket* i *Zigzag lady*. Trzy spośród najsłynniejszych iluzji scenicznych. Ale również...

– ...sytuacje, w jakich zginęli Agnes, Tuva i Robert – dokończyła za niego Julia.

Podeszła do zdjęć i z zaciekawieniem im się przyjrzała.

– Skrzynia z mieczami Tuvy była trawestacją magicznego triku – powiedział Vincent. – I od początku mieliście tego świadomość. Morderstwo Agnes prawdopodobnie również było taką trawestacją. Albo i nie. Jednak przypadek Roberta nie pozostawił co do tego żadnych wątpliwości. Wasz sprawca jest osobą solidnie zorientowaną w klasycznych sztuczkach scenicznych, i to na tyle,

żeby samemu budować iluzje. Co powinno ograniczyć liczbę podejrzanych o 99,9 procent.

– Czyli ścigamy morderczego magika? – Julia pokręciła głową. – Ktoś wie, czy Daniel albo Rask znajdują się na sztucznych karcianych?

– Jak mówiłem, to jest pierwsza rzecz, którą chciałem wam pokazać – ciągnął Vincent. – Nie sądzę, żeby była to niespodzianka dla kogokolwiek z was. A oto druga rzecz.

Wziął czarny mazak i na tablicy napisał imiona Agnes, Tuvy i Roberta. Pod Agnes napisał liczbę 14, pod Tuvą 15, a pod Robertem 14.

– To godziny z rozbitych zegarków – odezwał się Ruben. – Prawdopodobne godziny dokonania morderstw. Jedyne, czego potrzebujemy, żeby schwytać mordercę. Od początku próbuję to powiedzieć.

– Czyżby? – zdziwił się Peder. – Wydawało mi się, że według ciebie Daniel utworzył trójkącik z Agnes i Tuvą.

Ruben udał, że nie słyszy. Przyglądał się zdjęciom iluzjonistów w kostiumach z cekinami.

– Ale oni wyglądają na pederastów – powiedział.

Peder i Christer unieśli brwi ze zdziwienia, a Julia zaśmiała się krótko.

– Boże, Ruben, kto jeszcze w dzisiejszych czasach tak mówi? Masz sto lat czy co? A w ogóle to wstydziłbyś się.

Vincent przeniósł ciężar ciała z jednej stopy na drugą. Tracił ich uwagę. W momencie gdy dochodził do najważniejszego. I właśnie to był powód, dla którego zawsze odmawiał poprowadzenia wykładu dla licealistów. Choć ich zdolność do koncentracji i tak była lepsza niż u tych policjantów.

– Ruben, co masz na myśli? Chodzi mi o zegarki, nie o... cekiny – odezwał się Peder, zakrywając dłonią usta, żeby ukryć ziewnięcie.

– Dla mnie są ładne – uznał Christer.

Peder już dawno zdążył zjeść ostatnią drożdżówkę, teraz oblizał palec wskazujący i zaczął nim zbierać resztki cukru ze stołu.

– Popatrzcie na te oznaczenia godzinowe – powiedział zadowolony z siebie Ruben. – Pora jest w gruncie rzeczy ciągle ta sama. Dwa razy mógłby być przypadek, ale nie trzy. Albo morderca ma stały rozkład zajęć, albo dotyczy to ofiar. Albo, co najbardziej prawdopodobne, dotyczy to ich wszystkich. Teraz, kiedy już mamy trzy oznaczenia godzinowe, musimy tylko sprawdzić, gdzie nasze ofiary znajdowały się około drugiej, trzeciej po południu. I tam znajdziemy naszego mordercę.

Ruben triumfalnie założył ręce za głowę, jakby właśnie sam znalazł rozwiązanie całej sprawy.

– To, co mówi Ruben, to faktycznie najbardziej oczywisty wniosek, dobra robota, szybko do tego doszedłeś – zaczął Vincent.

Ruben wyprostował się z, o ile to możliwe, jeszcze bardziej zadowoloną miną.

– I prawdopodobnie wniosek całkowicie fałszywy.

Uśmiech Rubena zniknął błyskawicznie. Pewnie była to złośliwość z jego strony, ale Vincent nie potrafił się oprzeć. Bo głównie Ruben przyczynił się do tego, że poprzednim razem go wyrzucili. Teraz zrobił tyle, że podał Rubenowi łopatę, pokazał, gdzie ma kopać, a potem Ruben nie tylko wykopał dół, ale jeszcze sam do niego wskoczył.

– Dobra, panie besserwissermentalisto – odpowiedział Ruben. – W takim razie daj mi coś lepszego. Ale, kurwa, niech to będzie naprawdę dużo lepsze.

Vincent nie odpowiedział. Wziął czerwony mazak i pod imionami Agnes i Tuvy na tablicy wpisał dwie daty: 13 stycznia pod Agnes i 20 lutego pod Tuvą. Pod imieniem Roberta dwa znaki zapytania. Jeden dotyczył dnia, drugi miesiąca. Następnie zmasał czarne cyfry godzin i napisał jeszcze raz na czerwono.

– Morderca chce, żebyśmy znali czas zbrodni – powiedział. – Stąd te zegarki. Jednak chce, żebyśmy poznali jeszcze więcej, również dzień, w którym została popełniona. Zwłoki zostały porzucone w miejscach, gdzie wiadomo, że zostaną od razu odnalezione. Transportując je tam, morderca podjął duże ryzyko, bo łatwo mógł zostać nakryty. Czyli musiało być dla niego ważne, by odnaleziono je szybko, zanim zaczną się rozkładać, żebyście mogli ustalić dokładnie, którego dnia popełniono morderstwa.

– Dobra, zaczekaj – odezwał się Christer. – Morderca chce, żebyśmy wiedzieli dokładnie, kiedy uderza. Ale dlaczego? Chce zostać złapany?

– I to jest pytanie – odparł Vincent. – Nie widać tu żadnego oczywistego schematu, z którego wynikałoby, kiedy nastąpi kolejne uderzenie. Między morderstwami minęły tygodnie, ten odstęp jest za każdym razem inny. Godzina też nie jest identyczna. Dlatego sądzę, że chodzi o coś innego.

– Sprawdziłam, czy w akurat te dni i o tych porach doszło do jakichś wydarzeń historycznych – powiedziała Mina – ale niczego nie znalazłam. Mogło oczywiście być coś w życiu mordercy, coś ważnego dla niego samego. Ale po co w takim razie podejmuje wysiłek, żeby nam to powiedzieć, skoro prawdopodobnie i tak nie będziemy tego wiedzieli?

– Zgadzam się z Miną i dlatego sądzę, że chodzi o coś innego. – Tu Vincent zrobił pauzę, żeby się upewnić, że słuchają uważnie. Mina miała rację. Było to coś w rodzaju wykładu, a Vincent był teraz w swoim żywiole. – Przypuszczam, że daty i godziny są fragmentami jakiejś wiadomości – powiedział.

– Fragmentami? Masz na myśli, że należy... je połączyć? – spytał powoli Peder. – Jak kawałki układanki?

Vincent przytaknął.

– Wiadomości dla kogo? – odezwała się Julia.

– Dla nas. Dla was. Jeszcze jej nie rozumiemy, bo wiadomość jest niekompletna. Morderstwa są odliczane wstecz, tak? Na zwłokach znajdowały się rzymskie cyfry. Morderstwa numer cztery, trzy i dwa zostały popełnione. Brakuje co najmniej jednego, zanim wiadomość będzie kompletna.

– Co najmniej jednego? – przeraził się Christer.

– Morderstwa numer jeden. Nie wiemy, co nastąpi przy zerze. Ale... – Vincent zrobił kolejną pauzę. Spojrzał im po kolei w oczy. Zbliżał się do końcowego akordu. – Nie musicie czekać aż do następnego morderstwa. Nawet nie musicie wiedzieć, co znaczy wiadomość od mordercy. Ze względu na błąd, który popełnił.

Widział, że wszyscy w pokoju wstrzymali oddech. Nawet Ruben był skupiony. Peder zastygł z ręką podniesioną do ust i zapomniał o cukrze, którego ziarenka spadały z powrotem na stół.

– Ostatnia ofiara, Robert, trafiła do miejsca, które przez kilka dni było odgrodzone. Zwłoki znajdowały się tam za długo, żebyście ustalili datę śmierci. Faktem jest, że nawet miesiąca nie jesteście pewni. Znaleziono je piątego maja, czyli chłopak zginął najpóźniej czwartego. Ale równie dobrze mogło to nastąpić kilka dni wcześniej i wtedy mamy kwiecień. Jeśli morderca podaje nam kawałki układanki, jak to ujął Peder, to tym razem mu się nie udało. Brakuje daty. I sądzę, że miałyby ochotę to naprawić, zważywszy na to, ile wkłada w to wysiłku.

Julia zrobiła wielkie oczy, nagle zrozumiała. Bystra dziewczyna. Prawie jak Mina.

– Zorganizujemy konferencję prasową – powiedziała. – Żeby go wywabić z ukrycia. Zaraz po rozmowie z rodzicami Roberta. Trzeba zrobić jakiś radykalny krok. Nie chciałam was obciążać wewnętrznymi sprawami policji, mogę tylko powiedzieć, że nasz czas jakby się kończy wraz z cierpliwością tych na górze. Jeśli wkrótce nie doprowadzimy do rozstrzygnięcia, wrócimy na nasze poprzednie stanowiska, a ten zespół zostanie rozwiązany. Sądzę, że konferencja prasowa mogłaby potrząsnąć drzewem, przekonalibyśmy się, czy spadną z niego jakieś owoce. Przy wielkim detektywie, jakim jest społeczeństwo, zawsze jest mnóstwo możliwości pozyskania nowych informacji, a właśnie tego nam trzeba.

– Wiesz, że będzie również mnóstwo dezinformacji – mruknął Christer. – Będziemy brodzić w gównie.

– Wyjdźcie do mediów – powiedział Vincent, nie zwracając uwagi na słowa Christera.

Który w istocie miał rację. Zwracanie się do ogółu społeczeństwa to broń obosieczna, ale w obecnej sytuacji, gdy mieli jedynie tępy nóż kuchenny, wybór był oczywisty.

– Powiedzcie, że poszukujecie informacji, kiedy do hal hurtowych w Årsta mogła zostać przytransportowana czarna skrzynia. Powiedzcie, że tego nie wiecie. Może dobrze byłoby też ujawnić, że ścigacie seryjnego mordercę. Tak jak to robią w serialach. Jeśli mój profil jest prawdziwy, to sądzę, że mordercy to pochlebi. Narcyz chce usłyszeć, że jest najlepszy, bo to się zgadza z jego poglądem. Wtedy rośnie szansa, że się odezwie, żeby dostarczyć trzeci, brakujący kawałek układanki. Sądzę, że nie będzie mógł się powstrzymać.

Peder wyglądał, jakby nie rozumiał.

– Ale sam mówiłeś, że wiadomość i tak nie będzie pełna – powiedział, tłumiąc ziewnięcie. – Przecież składa się z czterech części. Jak go znajdziemy przed popełnieniem czwartego morderstwa?

– Miejmy nadzieję, że morderca się gdzieś zdradzi – wtrąciła Julia. – Vincent mógłby posłuchać jego głosu i może rzeczywiście wyciągnie jakieś wnioski. Moglibyśmy również na wszelki wypadek porównać głos z nagraniami głosu Raska. I przeanalizować odgłosy z tła, żeby uzyskać pogląd, skąd dzwoni. Jeśli będziemy mieli szczęście, może rozmowę udałoby się zlokalizować. Gdyby dzwonił z komórki, odnaleźlibyśmy ją przez GPS. Ruszamy z przygotowaniami.

Mina skinęła do Vincenta i uśmiechnęła się. Dobrze się spisał. Julia podeszła do niego i chwyciła obiema rękami jego dłoni.

– To było bezcenne – stwierdziła. – Podczas konferencji prasowej zatrzymamy dla siebie informacje dotyczące Jonasa Raska. Twój udział na razie też pozostanie tajemnicą. Gdyby ktoś pytał, to widziałam Vincenta Waldera tylko w telewizji. Okej?

Vincent kiwnął głową w odpowiedzi. U tej publiczności była to reakcja porównywalna prawie z owacją na stojąco.

– Jeszcze jedno, zanim was ta sprawa pochłonie. – Julia zwróciła się do pozostałych.

Peder, który już wstawał, zatrzymał się, nie wiedząc, czy ma znów usiąść, czy wstać.

– Usiądź – westchnęła. – Jeśli ktoś z was nie przeczytał dotąd materiałów dotyczących zaginięcia Roberta, proszę zrobić to teraz. Zaczynamy wszystko od początku. Rodzice Roberta i personel domu, w którym mieszkał, zostali przesłuchani wiele razy. Ale nie przez nas. I nie po tym, jak został... odnaleziony. Ja i Christer spotkamy się z rodzicami już pojutrze. A do dawnego

miejsca zamieszkania Roberta pojedziemy przy pierwszej sposobności już po konferencji prasowej. Bierzmy się do roboty.

Christer kiwnął głową, nic nie mówiąc. Pozostali podnieśli się. Julia zwróciła się ponownie do Vincenta i podała mu plastikową tabliczkę.

– To twoja przepustka. Jesteś już jednym z nas.

JULIA ODETCHEŃŁA głęboko i nacisnęła dzwonek. Klatka schodowa była bardzo ładna. Wysokie piętra, posadzka w czarnobiałą szachownicę. Sztukateria. Za plecami czuła ponurą obecność Christera. Przez całą drogę do tego domu w Vasastan kwestionował jej decyzję, pytając, dlaczego to właśnie on ma jej towarzyszyć. Jak dziecko. Julia miała ochotę odpowiedzieć: Bo tak. Ale nie zrobiła tego. Była szefową, łączą się z tym pewne obowiązki. Szybko, zanim jej otworzą, zerknęła jeszcze na telefon. Poszukiwania Jonasa Raska trwały, wysłała ludzi do sprawdzenia jego dawniejszych adresów i w każdej chwili spodziewała się informacji, że został zlokalizowany. Jeśli nastąpi to szybko, może nawet nie będzie potrzeby zwoływania konferencji prasowej.

Rozległy się kroki. Drzwi otworzyła elegancka kobieta.

– Proszę wejść – powiedziała cicho i odsunęła się, żeby ich przepuścić. Czekano na nich.

Weszli do przedpokoju. Julia nie mogła się oprzeć zachwytowi dla tego wnętrza. Chciałaby mieszkać właśnie tak. Jednak oboje z Torkelem zgodnie uznali, że skoro zamierzają stworzyć rodzinę, najlepiej będzie postawić na szeregowiec z ogródkiem. Teraz, w tym przedpokoju z poprzedniego przełomu wieków, zaczęła się zastanawiać, czy na pewno była to słuszna decyzja. Tym bardziej, że od prawie pięciu lat mieszkali w szeregowcu w Enebybergu, a nie pojawił się na świecie nikt, kto mógłby bawić się na tyłach domu.

– Napiją się państwo kawy?

Głos matki Roberta był chłodny, pozbawiony emocji, ale zaczerwienione oczy zdradzały smutek. W kuchni stał siwowłosy mężczyzna w dżinsach i białej koszuli, również elegancki i starszy od żony. Mimo podkrążonych oczu stanowili piękną parę.

– Tak, bardzo chętnie – odparła Julia, a Christer przytaknął.

– Jestem Thomas.

Podał im rękę, Julia i Christer przywitali się kolejno.

– Przepraszam. A ja jestem Jessica – odezwała się kobieta; właśnie zaczęła szykować kawę w wielkim profesjonalnym ekspresie, który prychnął i stękał. –

Człowiek nie pamięta o najbardziej podstawowych sprawach. Najoczywistszych. Jak uprzejmość. Codzienna rutyna. Wszystkie te drobiazgi, które wydawały się takie ważne...

Thomas usiadł ciężko przy dużym drewnianym stole pod oknem i gestem zaprosił ich, żeby również usiedli.

Miał na twarzy wyraz pewnego zagubienia, jakby tkwił w jakimś śnie, niepewny, gdzie głowa, a gdzie nogi. Julia знаła to z wielu rozmów z krewnymi ofiar, jakie odbyła w ciągu lat swojej służby.

– Dziękuję. – Christer wziął filiżankę kawy z rąk Jessiki.

Na mlecznej piance był wzór dębowego liścia, Christer spojrzał na nią zupełnie dezorientowany. To było coś zupełnie innego niż parzona kawa, podgrzewana potem przez cały dzień, do której przyzwyczaili się podczas takich wizyt.

– Prowadzimy sklep delikatesowy, tu na parterze – wyjaśniła Jessica, szykując kawę dla Julii. – Pewnie zauważyliście, wchodząc.

Julia przytaknęła. Wchodząc tu, nawet przystanęła przed wystawą. Jadła oczami. W oknie wisiały wielkie suszone szynki. Pata negra. Prosciutto. Bresaola. Olbrzymie koło parmezanu królowało tam wśród najrozmaitszych serów kozich, brie i innych błękitnych pleśniowych. Nie znała nazw nawet ułamka z nich, ale na sam ich widok napłynęła jej ślinka do ust.

– Interes rodzinny – dodał Thomas, kręcąc głową, kiedy Jessica spojrzała na niego po podaniu filiżanki Julii.

Julia miała serce na piance swojej kawy.

– Rodzina Thomasa handluje serami od trzech pokoleń – wyjaśniła Jessica i również usiadła przy stole.

Ani ona, ani Thomas nie pili kawy. Sądząc po ich zapadniętych policzkach, prawie nie jedli i nie pili od wielu dni.

– Nawet żartowałam, że zamiast hrabiego dostałam za męża hrabiowski ser ²³ – powiedziała Jessica.

Żadne z nich się nie uśmiechnęło. Żart jakby zawisł i zaraz rozpląnął się w powietrzu. W tym domu nie zostało miejsca dla śmiechu.

– Proszę, cantucci – odezwał się Thomas, podsuwając im miseczkę.

Julia uwielbiała te nieduże włoskie sucharki z migdałów. Chrupiąc twarde ciasteczka, byłoby jej jednak trudno prowadzić sensowną rozmowę, więc podziękowała. Za to Christer wziął od razu trzy i po chwili gryzł hałaśliwie. Popatrzyła ze złością, odpowiedział jej nierozumiejącym spojrzeniem.

– Czy to prawda? – spytał Thomas drżącym głosem.

Patrzył w stół. Drewniany blat zdradzał, że kiedyś bywało tu weselej. Ślady po kieliszkach czerwonego wina. Żółte plamy po zapewne indyjskich potrawach

z kurkumą albo curry. Kolacje. Rodzina. Przyjaciele. Śmiechy.

– Czy co jest prawdą? – spytała Julia, chociaż wiedziała, o co mu chodzi.

Zapała się w sobie i zmusiła, żeby nie myśleć o niczym innym jak o radośnie uśmiechniętym chłopcu, który patrzył na nią ze zdjęć w każdej witrynie sklepowej, stacji benzynowej i kiosku.

– Że nie był... w całości... kiedy go znaleźli.

Julia próbowała skierować myśli na roślinki, które lada chwila zakwitną w jej ogródku. Na łódeczko sklecone przez Torkela, wciąż puste. Na zastrzyki, które dostawała w brzuch. Na swoją depresję, nieodwołalną, po informacji, że terapia hormonalna spowodowała u niej obniżenie poziomu estrogenów.

Christer wciąż chrupał sucharki, za otwartym oknem na jednym z drzew rosnących na podwórku krakała wrona. Julia zmusiła się do odpowiedzi.

– Prawda – potwierdziła.

Jessica się przygarbiła.

– I teraz chcecie opowiedzieć o tym całemu światu.

– Jeśli się zgodzicie. Oczywiście uszanujemy to, jeśli...

– Zróbcie wszystko co trzeba, żeby złapać zwyrodnialca, który to zrobił – odparła Jessica kamiennym głosem.

Julia wzdrygnęła się na tę nagłą zmianę i nie skomentowała.

– Opowiedzcie nam o Robercie – powiedziała po chwili.

Twarz Jessiki pojaśniała. Rzuciła mężowi szybkie spojrzenie. Wymienili uśmiechy. Ich spojrzenia mówiły o wspomnieniach radości i szczęścia.

– Pobraliśmy się młodo, ale minęło ładnych kilka lat, zanim pojawił się Robert. Ja miałam dwadzieścia pięć lat. Był naszym cudem.

Wyciągnęła rękę do męża, który ją ścisnął mocno, mocno. Chyba aż do bólu, pomyślała Julia. Za oknem znów zakrakała wrona.

– Bobban był najlepszym, najmiłszym, najbardziej kochającym stworzeniem na tym świecie. – Thomasowi załamał się głos. Pozbierał się i ciągnął dalej. – Dawał nam codziennie bardzo wiele radości. Jednak... kiedy dorósł, nie byliśmy w stanie zaopiekować się nim tak jak dotąd. Nie potrafiliśmy pilnować go na okrągło, a wymagał tego. Wielokrotnie wychodził sobie z domu, czasem w środku nocy, na pewno wiadomo wam, że musieliśmy go szukać przez policję. Dlatego z początku nie byliśmy bardzo zaniepokojeni. To znaczy nie więcej niż zwykle. Ale potem... Mijały kolejne dni...

Christer nabrał znów garść cantucci. Julia kopnęła go pod stołem. Rodzice Roberta chyba nie zauważyli.

– Czy byliście zadowoleni z placówki, w której mieszkał?

Pytanie zadał Christer, Julia spojrzała zdziwiona, bo wydawał się bardziej skupiony na kawie i ciasteczkach niż na rozmowie.

– Bardzo – odparła Jessica. – Robert jest tam od pięciu... nie, zaraz, od siedmiu lat. Ale ten czas płynie! Personel jest fantastyczny. Odwiedzamy syna codziennie, a on wraca do domu w każdy weekend. Czuje się bezpieczny. Kochany...

Zaszlochała, Thomas ścisnął jej rękę. Srebrny łańcuszek na jej przegubie chrzęścił przy każdym jej ruchu, Julia dostrzegła na nim plaketkę z wygrawerowanym napisem „Robert”. Jessica zauważyła jej spojrzenie. Puściła dłoń Thomasa i podsunęła jej rękę z łańcuszkiem.

– Dostałam go w zeszłym roku od Roberta na Dzień Matki. Oszczędzał z tygodniówki i poprosił Thomasa, żeby poszedł z nim kupić.

– Bardzo ładny – zauważyła Julia.

W jej głowie przemknęła myśl, której nie zdążyła powstrzymać. Czy kiedykolwiek ktoś będzie jej składał życzenia na Dzień Matki. Odsunęła ją równie szybko, jak się pojawiła. Jej zmartwienia były zupełnie nieznaczące w porównaniu z tym.

– Czy wiadomo wam, aby ktoś miał coś przeciwko niemu?

– Nie, absolutnie nikt – odparł Thomas, kręcąc głową. – Wszyscy go kochali. A on kochał wszystkich. Nie znam nikogo, kto nie byłby pod jego urokiem.

– Pamiętasz tę paniusię, której wybił z procy okno? – Jessica zaśmiała się. – Tę z naprzeciwka? Skończyło się tym, że zaprosiła go na drożdżówki z sokiem.

– Pamiętam.

Thomas uśmiechnął się. Podniósł wzrok i spojrzał na Julię.

– Takich historii o Robercie jest całe mnóstwo. On był naszym światłem i radością. Prawda, że urodził się z niepełnosprawnością, albo z czymś, co świat niemądrze i z uporem tak określa. Ale proszę mi wierzyć. Świat byłby znacznie lepszym miejscem, gdyby ludzie byli tacy jak Robert. On był po prostu doskonały.

Kątem oka Julia spojrzała na oprawioną fotografię Roberta, stojącą na szafce przy ścianie. Tę samą, którą potem powielono na gazetowych posterach. Zastanawiała się, jak by zareagowała, gdyby urodziło jej się dziecko z zespołem Downa. Miała już czterdzieści dwa lata. Nie było to niemożliwe. I z każdym rokiem to prawdopodobieństwo rosło. Co powiedziałyby na to Torkel...

– Będziemy również rozmawiać z osobami pracującymi w miejscu, gdzie mieszkał Robert. Chcieliby państwo coś dodać? – spytał Christer, patrząc ze zdziwieniem na milczącą Julię.

– Był naiwny – stwierdził Thomas. – Poszedłby z każdym, gdziekolwiek. – Zawahał się, a potem spytał: – Macie jakiegoś podejrzanego?

Julia przytaknęła.

– Zbrodniarza i recydywistę. Ścigamy go.

– Musicie... obiecacie, że go złapiecie – powiedział cicho. – Bo jak my mamy... z tym dalej żyć?

Julia wstała. Zastanawiała się, co na to odpowiedzieć. Niby powinna. Tyle razy słyszała tę prośbę. Błaganie o domknięcie sprawy. O wybawienie. O karę, która zadośćuczyni. Wiedziała jednak, że nie powinna składać obietnic, których nie będzie w stanie dotrzymać. Wstawiła swoją filiżankę do zlewu i już miała odpowiedzieć, kiedy uprzedził ją Christer.

– Niestety tego obiecać nie możemy – powiedział. – Możemy tylko zapewnić, że zrobimy wszystko co się da. Widzę, że Robert był wspaniałym chłopcem. Cieszcie się z pięknych chwil, które z nim spędziliście. Z dobrych wspomnień. Nie pozwólcie ich sobie odebrać.

Julia spojrzała na niego ze zdziwieniem. I to mówi Christer, który zwykle uważał, że życie jest udręką, a śmierć wybawieniem. Chyba po wyjściu stąd powinna dyskretnie powąchać jego oddech.

Thomas i Jessica pozostali przy stole w kuchni. Zamykając za sobą drzwi ich mieszkania, Julia zobaczyła, że wciąż trzymali się za ręce.

KVIBILLE 1982

JANE ZASTAŁA mamę w miejscu, gdzie trawnik przechodził w las. Siedziała w cieniu i wyrwała chwasty. Jane spytałaby chętnie, jaki sens ma wyrywanie mleczy tam, gdzie zaczyna się las, ale wiedziała, że nigdzie jej to nie zaprowadzi.

– Jak tam? – spytała, kucając obok mamy.

Mama wyrwała mlecze w równym rzędku.

– Nie mogę powiedzieć, żeby robiło to jakąkolwiek różnicę – zauważyła Jane. Mama rozprostowała plecy, zatrzeszczały.

– Aua. Ale miło jest mieć co robić. Widziałaś gdzieś brata?

– Pojechał na rowerze z tymi trzema dziewczynami z klasy – odparła Jane, odrywając listek z mlecza. – Pewnie się gdzieś obściskują.

– Jane! – powiedziała z przerażeniem mama. – Przecież oni mają po siedem lat! Zresztą te dziewczyny mają imiona; Malla, Sickan i Lotta. Powinnaś się cieszyć, że twój brat ma koleżanki.

– Jestem raczej zaskoczona.

Jane przyglądała się oberwanemu listkowi, potem ugryzła ostrożnie.

– Wiesz, że one są jadalne, co? Mlecze. Chyba że po prostu chcesz je wypielić.

– Po co miałabym jeść mlecze? – spytała mama, ścierając pot z czoła wierzchem dłoni, przy okazji rozmazując sobie trochę ziemi nad brwiami.

Jane wzruszyła ramionami.

– Zawierają mnóstwo żelaza, potasu i magnezu.

– A skąd ty to wiesz? Nawet nie jesteś w klubie fanów lasu.

– A dlaczego ty tego nie wiesz? Na przykład że po francusku mlecze to *pissenlits*, co znaczy sikać do łóżka, ponieważ ma właściwości silnie

moczopędne?

– Właściwości silnie moczopędne – powtórzyła po niej, przedrzeźniając, mama. – Czasem się zastanawiam, czyją ty jesteś córką. Za mądra jesteś jak na to miejsce.

I oto trafiło się otwarcie, na które Jane czekała. Mama wbiła metalowe narzędzie koło kolejnego mlecza i zaczęła delikatnie wykopywać. Jane odetchnęła głęboko. Teraz. Musi to teraz powiedzieć.

– À propos mnie i tego miejsca – powiedziała. – Pamiętasz, że wyjeżdżam za osiem dni?

– Pamiętam. – Mama wyrwała mlecze z korzeniami. – Jedziesz odwiedzić Ylvę w Dalarnie. Już o tym rozmawialiśmy. Jej mama wydaje się w porządku, nie martwię się o ciebie ani trochę. Nie będzie cię dwa tygodnie.

– Chodzi nie tylko o to – ciągnęła Jane.

Powiedz to teraz, powiedz to, powiedz.

– Potem wrócę, ale tylko żeby się spakować – dodała i wstrzymała oddech.

Mama zastygła w połowie ruchu i podniosła wzrok znad trawnika.

Jane musiała mówić dalej, powiedzieć wszystko, skoro już się odważyła.

– Wyprowadzam się – powiedziała. – Już nie mogę dłużej mieszkać tutaj, w tym gospodarstwie. Chcę robić wiele różnych rzeczy. Mieszkać w mieście. Znaleźć nowych przyjaciół. Uczyć się. Ja... już nie mam siły być tutaj. Doprowadza mnie to do szału.

Mama patrzyła na nią bez słowa. Jane zamrużyła powiekami, żeby się nie rozpłakać. Nie będzie płakać. Nie będzie. Bo wtedy nie da rady wyjechać. I mama wygra. Spojrzała w błękit nieba i znów zamrużyła. To niebo takie puste. Ani chmurki, ani samolotu. Jane nie potrzebuje pustki. Wprost przeciwnie. A w tym gospodarstwie nigdy nie będzie tego miała.

– Nie martw się – powiedziała. – Mam prawie szesnaście lat. Poradzę sobie. Już sobie załatwiłam zakwaterowanie.

– Nie o ciebie się martwię – odpowiedziała mama cicho. – Tylko o siebie. Z nas dwóch ty zawsze jesteś tą silniejszą. Sprytniejszą. Wiesz takie rzeczy, że po mleczach się sika, jak się dochodzi do różnych wniosków... Ja ledwo umiem postawić jedzenie na stół. Bez ciebie... twój brat jest dość szczególny... ja nie dam rady.

Znów patrzyła w dół na trawę.

– Zabiję się, jeśli stąd wyjedziesz – powiedziała.

Jane miała wrażenie, jakby ją ktoś uderzył w pierś, zabrakło jej tchu. Myślała, że mama się rozgniewa, że będzie jej zabraniać, płakać, że wpadnie w rozpacz, cokolwiek. Ale tego się nie spodziewała. Nagle zagotowała się ze złości.

– Kurde, wstydzilabyś się! – zawołała. – I to ma być matka? To jest z twojej strony szantaż. Nie mogę żyć za ciebie. Chcę mieć własne życie. A ty nie będziesz sama. Mój brat nie jest taki delikatny, jak myślisz. Zresztą jeśli rzeczywiście nie dasz rady być sama, może powinnaś znaleźć sobie kogoś, kto zechce tu zostać z tobą. Bo ja nie chcę.

Jane wstała i spojrzała na mamę, która wciąż patrzyła na trawę, na idealnie wypielony pasek ziemi. Wydawała się mała, jakby pozbawiona kręgosłupa. Jane pomyślała, że słusznie zrobiła, mówiąc to wszystko. Musi wyjechać stąd, bo inaczej zmarnieje. Jak mama.

PEDER NIECIERPLIWIEŁ się, stojąc pod drzwiami do łazienki, skąd dochodziły odgłosy, jakby jego żona umierała.

– Kochanie, co się dzieje? – zawołał, przyciskając ucho do białej drewnianej tafli.

W odpowiedzi usłyszał umęczone mruknięcie. Po minucie, może dwóch, Anette otworzyła. Była blada jak trup.

– Odsuń się – powiedziała, wymachując rękami, żeby trzymał się na dystans. – Mam zimową wirusówkę. Albo letnią. Tak czy inaczej, ani ty, ani trojaczki nie możecie się do mnie zbliżyć.

Jej długie włosy zwisały w strąkach, woń dochodząca z łazienki kazała mu szybko zamknąć za nią drzwi.

– Nie ma problemu, kochanie – powiedział. – Tylko cię najpierw zafoliujemy. Będziesz trochę twardsza, a dzieciaki będą musiały się trochę postarać podczas karmienia.

Anette przewróciła oczami i weszła do łazienki po butelkę spirytusu do dezynfekcji. Peder wstrzymał oddech. Wolałby, żeby nie otwierała znów tych drzwi. Anette spryskała i wytarła klamkę po obu stronach.

– Mówię poważnie – powiedziała. – Do tej łazienki już nie macie wstępu. Jest tylko moja. Chyba że marzysz o tym, żeby ciągle chciało ci się rzygać i robić kupę.

Peder udał, że jest w szoku.

– Jakies płyny ustrojowe? To u nas występują takie? Przecież trojaczki są takie sterylne.

Przytulił ją i pogłaskał po głowie. Nie miała siły się opierać.

– Proponuję, żebyś się tutaj zabarykadowała – powiedział, prowadząc ją do sypialni. – Przyniosę ci iPada. Nie wychodź stąd, dopóki nie wyzdrowiejesz i nie obejrzysz wszystkiego na Netfliksie, kolejność nieważna. Ja z trojaczkami zajmiemy salon. Możemy zbudować szałas. Jeśli zatęsknią za mamą, powiem, że nas zostawiłaś.

Anette uśmiechnęła się lekko.

– A ty możesz liczyć na jakiś seks z wdzięczności – powiedziała, zerkając tęsknie na łóżko. – Może za jakiś rok, dwa.

– W takim razie muszę sprawdzić w kalendarzu, czy będę wtedy wolny – odparł Peder, idąc po dodatkowe poduszki. – Tylko zadzwonię do pracy, że biorę kilka dni wolnego na opiekę.

Wyjął telefon, podczas gdy Anette usiadła ostrożnie na łóżku. Rzeczywiście źle wyglądała. Może powinien przy okazji poprosić Minę o kilka litrów spirytusu do dezynfekcji. Mowy nie ma, żeby miał tak zachorować.

– Słuchaj – odezwała się. – Oczywiście w miarę sił będę je karmić, ale co poza tym zrobisz z jedzeniem?

Peder ugryzł się w język. Właściwie nie powinien. Anette mu nigdy nie wybaczy. Jednak bramka była akurat pusta.

– Możemy jeść ociekające tłuszczem hamburgery – powiedział, przeciągając każde słowo. – Lśniące wręcz od tłuszczu. Albo czerninę. Wiesz, krew z solą. I jeszcze trochę kluchów.

Anette zrobiła wielkie oczy. A potem wypadła z sypialni i rzuciła się z powrotem do łazienki.

– TO PEDER DZWONIŁ – wyjaśniła Julia osobom obecnym w salce konferencyjnej. – Nie będzie mógł czuwać z nami przy telefonach. Anette jest chora, musiał wziąć zwolnienie na opiekę nad dziećmi.

Ruben nie zdziwił się. Właściwie ani trochę. Przecież można było spokojnie założyć, że Peder nie da rady ciągnąć tego w nieskończoność. „Anette jest chora”. A jakże! To raczej Peder potrzebuje małej przerwy. Siedzi w Riche przy Stureplan nad wczesnym, ale przedłużonym lunchem. Jest tam całe mnóstwo kobiet, które z takiego czy innego powodu nie muszą po lunchu wracać do biura i już po drugiej popijają cavę. Na pewno by się napaliły na to, że Peder jest policjantem. Ruben znał to z doświadczenia. Najlepszy byłby mundur, chociaż w lokalu nie wyglądałoby to najlepiej. Po cywilnemu też jest dobrze, ale kropką nad „i” były kajdanki, wyzierające spod marynarki. Wtedy szalały. Obrączka na palcu nie miała znaczenia. Nie żałował Pederowi, wprost przeciwnie. Anette się raczej nie nadaje do łóżka w tej chwili. A może i jeszcze dłużej.

– Sam będzie się zajmował trojaczkami? – odezwał się Christer, kręcąc głową. – Biedak. Będzie cieniem samego siebie, kiedy już wróci do nas. Właściwie już jest. No to będzie cieniem swego cienia. – Christer odchylił się na krzesło, które zatrzeszczało, i westchnął głęboko. – Może ktoś powinien jechać do nich, żeby pomóc – mruknął.

Sam niech jedzie, skoro tak przepada za dziećmi. Pieluchy to ostatnia rzecz, którą Ruben wpuściłby do swojego życia.

– Tak czy inaczej, jest nas o jedną osobę mniej – dodała Julia.

Miała na sobie żakiet i spodnie rozszerzające się od pupy w dół. Ruben podejrzewał, że chciała dzięki temu nadać sobie bardziej oficjalny wygląd, ale wolał, kiedy nosiła spódnice. Albo obcisłe dzinsy. Cóż, nie można mieć wszystkiego.

– Ruben, ty weźmiesz zmianę z Vincentem – oznajmiła Julia.

– Ja razem z czarodziejem? – parsknął. – *A match made in heaven* ²⁴.

– Zawróci na pięcie, jeśli go tak nazwiesz – odezwała się Mina. – To znaczy jeśli nazwiesz go czarodziejem.

– Naprawdę? – powiedział to takim tonem, jakby na to liczył. – Postaram się o tym pamiętać.

Mina nawet na niego nie spojrzała. Kurde, ta to się nigdy nie da zmiękczyć.

– Czyli tak – powiedziała Julia, zbierając swoje papiery. – Wciąż nie mamy Jonasa Raska, więc za dwie godziny zwołuję konferencję prasową. Nie wspomnę tam ani o współpracy z Vincentem, ani o tym, że szukamy Raska. No bo nie mamy na niego nic poza poszlakami. Będę wdzięczna, jeśli wy również nie powiecie nikomu niczego *off the record*, a tym bardziej otwarcie. Konferencja będzie transmitowana na żywo we wszystkich mediach społecznościowych i zwykłych mediach, które zdążyliśmy tu ściągnąć. A potem czuwamy przy telefonach, jak długo będzie trzeba. Na pierwszej zmianie Ruben z Vincentem.

Ruben już otwierał usta, ale Julia uciszyła go podniesionym palcem.

– Para skojarzona w niebie, czyli przeze mnie – powiedziała. – Vincent jest teraz jednym z nas.

STALI WŁAŚNIE PRZY kamiennym murku na wzniesieniu na Fjällgatan, skąd mogli patrzeć na całe Stare Miasto, Skeppsholmen i część Djurgården. Widok był fantastyczny. Z tej odległości można było prawie zapomnieć o miejskich brudach, spalinach i uświnionych ludziach. Aż się mieniło w oddali. Był stąd również widok na Gröna Lund, gdzie znaleziono Tuvę. W tym momencie jednak Mina starała się o tym nie myśleć i widzieć tam po prostu park rozrywki.

Vincent zaproponował pójście na spacer, żeby pogadać o sprawie bez udziału pozostałych osób w zespole. Chodzili już od godziny, analizowali i roztrząsali wszystko, czego się dotąd dowiedzieli albo co myśleli, że wiedzą.

– Masz jakieś plany na lato? – spytał nagle Vincent, patrząc na widok.

Minna zrobiła wielkie oczy.

– Plany? Chyba zdajesz sobie sprawę, że znajdujemy się w samym środku dochodzenia?

– Tak, ale pomyślałem, że niedługo czerwiec i tak dalej...

Chrząknął i umilkł, jakby już nie wiedział, co powiedzieć.

– Vincent, czy ty próbujesz prowadzić ze mną rozmowę grzecznościową?

Powstrzymała uśmiech.

– Może. Pomyślałem, że tyle mówiliśmy o tym dochodzeniu.

– Fajnie, że się ćwiczysz.

Stając tyłem do widoku, oparła się plecami o kamienny mur, ale najpierw przyłożyła do niego plastikową torebkę z Coop. Słońce grzało w twarz. Przydały się nowo zakupione okulary słoneczne.

Wydawało jej się, że zobaczyła jakąś znajomą, ale wtedy tamta się odwróciła i poszła w drugą stronę. Pewnie pomyłka.

– À propos dochodzenia, nie wiem, czy to dobry pomysł, żebyś szedł na konferencję prasową. Jeśli cię ktoś rozpozna i zacznie pytać, co tam robisz, odciągnie to uwagę od naszego przesłania. Julia bardzo wyraźnie powiedziała, że nie powie nic o współpracy z tobą.

– Jestem po prostu ciekaw, jak w realu wygląda taka konferencja – odparł.

Mina przymknęła powieki pod okularami.

– Niektóre szczegóły spraw podamy, inne zachowamy dla siebie. Te, które są znane jedynie mordercy. W ten sposób będziemy mogli odsiać fałszywe przyznania się od prawdziwych. Ludzie potrafią przyznawać się do rzeczy, których nigdy nie zrobili, i to częściej, niżby się zdawało. Na przykład do zamordowania Palmego przyznało się przeszło sześćdziesiąt osób.

Zdjęła okulary i pozwoliła, by słońce ogrzało ją całą. Lubiła zimno, bo wydawało jej się czyste. Jednak ciepło było jakieś takie... żywe. Byle się przy tym nie pocić. Teraz, kiedy czuła na twarzy powiew chłodnawej bryzy, było w sam raz.

Znów ruszyli.

– W takim razie – odezwał się Vincent – proponuję, żebyście udawali naiwnych, gdy chodzi o „kawałki układanki”, jak to wyraził Peder. Daty i godziny popełnienia morderstw po prostu muszą stanowić jakiś kod, nie wyobrażam sobie, żeby mogło być inaczej. Jednak nie ma powodu ujawniać, że zdajecie sobie z tego sprawę.

– To prawda.

Mina pomilczała chwilę, potem spojrzała na niego z boku.

– A Rask? Co na ten temat sądzisz?

– A nie było to oczywiste? – Vincent kopnął kamyk, który poleciał. – Zgrzyta mi to. Po prostu wydaje mi się niemożliwe. Rask jest przestępcą seksualnym, a ja nie mam wrażenia, żeby w przypadku naszych ofiar był jakiś motyw seksualny.

– To nie musi znaczyć, że go nie ma. Seks to nie tylko ściśle seksualne zachowania. Wielu mężczyzn, z którymi zetknęłam się podczas służby, czerpało podniecie z przemocy, władzy, poczucia przewagi, z zadawania bólu, budzenia lęku, ze strachu.

– Jako męski ród powinniśmy wstydzić się tego, co wyrządzamy światu – stwierdził Vincent.

– Kobiety też potrafią robić paskudne rzeczy. Co się napatrzyłam, to moje. Jednak skala męskiej przemocy jest zupełnie inna. Chcę przez to powiedzieć, że nie możemy z całą pewnością powiedzieć, że w motywacji do tych morderstw brak pierwiastka seksualnego.

Vincent przytaknął.

– Masz zupełną rację. Niczego nie wykluczam. Nie możemy sobie na to pozwolić. Jednak Jonas Rask nie wydaje się dostatecznie... wyrafinowany, chyba tego słowa szukałem. Dlatego mam poważne wątpliwości, czy rzeczywiście powinniśmy skupić na nim nasze wysiłki.

Mina nie odpowiedziała. Rozmowa o seksie obudziła w niej myśli, które ze wszystkich sił starała się odepchnąć od siebie. Seks jako przewaga. Jako władza

nad kimś. Doświadczyła tego aż za bardzo. Nigdy więcej. Przenigdy. W porównaniu z tym jej *Satisfyer Pro 2* był najlepszym facetem, jakiego kiedykolwiek miała.

Przez dłuższą chwilę szli w milczeniu. Zaskakująco komfortowym. Vincent wyciągnął rękę i mrużąc oczy od słońca, pokazał coś palcem.

– Spójrz, tam się pobraliśmy z Marią.

Odwróciła się, żeby zobaczyć.

– W Gröna Lund?

– Nie. Na tej wysepce obok. Kastellholmen. Jej rodzina odmówiła przyjęcia na nasz ślub. – Zaśmiał się. – Ale Gröna Lund byłoby pewnie odpowiedniejszym miejscem, biorąc pod uwagę to, jakim rollercoasterem okazało się nasze małżeństwo. Mina zobaczyła znajdującą się poniżej małą wysepkę z czerwonym podłużnym budynkiem. Pewnie o to mu chodziło. Wyglądało bardzo ładnie. Jednak Vincent miał rację, Gröna Lund wydawało się zabawniejszym miejscem.

– Wiesz co, Vincent, à propos tych ćwiczeń z rozmów o niczym. Ze zwykłymi rozmowami też sobie radzisz całkiem dobrze.

– Ale tylko z niektórymi ludźmi.

Uśmiechnęła się i znów spojrzała na miasto. Gdzieś tam siedzi morderca i czeka na następną okazję. Pomyślała, że nie mają wyboru. Muszą go uprzedzić.

OPARŁ SIĘ o ścianę i skrzyżował najpierw nogi, a potem ramiona. Obiecał Minie, że będzie trzymał się z tyłu.

– Hieny cholerne – skomentował Ruben, który stanął razem z nim na końcu sali.

– Wypełniają swoje zadanie – zauważył rzeczowo Vincent.

Ruben wydawał się pogodzony z jego uczestnictwem w zespole, przynajmniej chwilowo.

– Łatwo ci mówić. Dla nas są najczęściej okolicznością obciążającą. Zresztą sądzę, że gównu nam da ten numer telefonu, na który ludzie mają do nas dzwonić z doniesieniami.

– Rozumiem, co masz na myśli, ale dziennikarze jako czwarta władza są potrzebni, bo stanowią przeciwwagę dla rządu i parlamentu. W przeciwnym razie policja mogłaby stać się za bardzo dominująca i...

– Tak, tak, ale Szwecja nie jest republiką bananową – odpowiedział Ruben, patrząc ze złością na Vincenta.

– To byłoby akurat dziwne – ciągnął Vincent ze wzrokiem utkwionym w podium. – Określenie republika bananowa dotyczyło kiedyś Hondurasu, który był uzależniony od swego eksportu bananów, dzięki czemu amerykańska spółka United Fruit uzyskała tam wpływy polityczne. Potem zaczęto tak określać kraje Ameryki Łacińskiej uzależnione od kilku zaledwie produktów eksportowych, rządzone przez skorumpowaną administrację albo juntę wojskową i znajdujące się pod silnymi wpływami ze strony obcych państw albo firm. Więc...

W tym momencie odwrócił się, ale Rubena już nie było. Vincent wzruszył ramionami. Niektórych ludzi zupełnie nie interesuje to, co należy do wykształcenia ogólnego.

Gwar w wielkiej sali konferencyjnej w gmachu policji nasilał się. Wskazówki zegara, tykając, doszły do wyznaczonej godziny konferencji prasowej, mobilizacja ze strony mediów okazała się ogromna. Vincent dostrzegł logotypy obu wielkich tabloidów²⁵, porannych dzienników ogólnokrajowych, agencji prasowej TT, trochę gazet lokalnych i nowych mediów, których nie znał.

Mikrofony, kamery filmowe, magnetofony, smartfony i zwyczajne porządne notesy.

Weszła Julia i stanęła przy podium. Za nią znajdowały się wielkie plansze z logotypem policji. Jeszcze jej nie widział w mundurze, a było jej w nim do twarzy. Julia miała pewien chłodny urok, który korespondował z surowością munduru, a jasne włosy odcinały się ładnie od niebieskiego koloru. W jej mowie ciała dostrzegał zawsze jakiś smutek, jakby czarną obwódkę wokół całej jej postaci.

Chrząknęła, gwar ucichł. Zauważył Minę, która stała lekko schowana przy krótszej przedniej ścianie sali. Zdziwił się, że wcześniej jej nie dostrzegł, bo zwykle, gdy wchodził do pomieszczenia, w którym byli jacyś ludzie, widział najpierw ją.

– Witam państwa na dzisiejszej konferencji prasowej dotyczącej morderstw, które jak teraz podejrzewamy, zostały popełnione przez tego samego sprawcę – zaczęła Julia. – Proszę o zachowanie obowiązujących zasad, to jest nie przerywać, tylko czekać na udzielenie głosu i pozwolić mi mówić do kropki.

Nikt nie odpowiedział. Julia zerknęła szybko na leżący przed nią plik papierów i mówiła dalej.

– Mamy powody sądzić, że poszukujemy jednego i tego samego sprawcy trzech morderstw: Tuvy Bengtsson, Agnes Ceci i Roberta Bergera.

W sali znów rozległ się gwar, Julia z irytacją zmarszczyła brwi. Odczekała, aż zrobi się ciszej i będzie mogła mówić.

– Potrzebujemy pomocy społeczeństwa, żeby zidentyfikować sprawcę. Mamy kilka tropów, o których nie możemy mówić, ale w obecnej sytuacji jesteśmy otwarci na wszelkie informacje, które mogą mieć cokolwiek wspólnego z tymi morderstwami. Pomocy potrzebujemy między innymi w ustaleniu, czy istnieje coś, co łączy ofiary. Mamy też powód, by przypuszczać, że sprawca uderzy ponownie.

Gwar przerodził się w pełną wzburzenia kakofonię. Aparaty fotograficzne błyskały, reporterzy zaczęli wykrzykiwać pytania, wymachując rękami. Kątem oka Vincent widział, jak Mina patrzy na nich ze złością. Ładnie jej było z tym wyrazem zacięcia na twarzy.

– Cisza! – krzyknęła Julia. Zgromadzeni reporterzy uciszyli się niechętnie, żeby mogła kontynuować. – To, co nam wiadomo o tych morderstwach i o czym na razie możemy powiedzieć, to to, że zostały zainscenizowane jako iluzje magiczne ze świadomie wprowadzonym do nich błędem. Nie wydaje się również, aby ofiary zostały zamordowane w miejscach odnalezienia zwłok, ale zostały tam przywiezione z pierwotnego miejsca przestępstwa. Mamy powody przypuszczać, że wymagany był do tego pojazd o przestrzeni ładowniczej większej

niż w samochodzie osobowym, może rodzaj furgonetki, ale na razie są to tylko domniemania. Podejrzewamy też, że ofiary zostały uśpione w celu zrealizowania czynu, zważywszy na jego zwyrodniały charakter. Potrzebna nam pomoc w ustaleniu czasu popełnienia trzeciego morderstwa, chodzi o morderstwo Roberta Bergera. Został on znaleziony piątego maja na parkingu przy halach targowych Årsta w Sztokholmie. Niestety nie możemy ustalić dokładnego czasu tej zbrodni, ponieważ w chwili odnalezienia zwłoki znajdowały się na tym parkingu od kilku dni. Dlatego poszukujemy informacji również o tym, czy może ktoś coś widział. Uruchomiliśmy specjalny telefon dla społeczeństwa, numer widzą państwo na ekranach.

Westchnęła głęboko, zatoczyła wzrokiem po krzesłach, na których rozsiadł się tłum reporterów i fotoreporterów, następnie kiwnęła głową do czterdziestolatka trzymającego mikrofon z kostką z logo „Expressen”.

– Co dokładnie skłania was do przypuszczenia, że sprawca planuje kolejne morderstwo? Czy, innymi słowy, mamy do czynienia z seryjnym mordercą? Znanym już wcześniej policji?

Z pozorów Julia była zupełnie spokojna, ale Vincent bez problemu dostrzegł drobne oznaki stresu. Ciężar ciała oparła na prawej stopie skierowanej na zewnątrz, jakby chciała wyjść. Prawie nie mrugała powiekami, za to w kąciuku oka pojawiły się minimalne drgania. Splecione dłonie oparte na podium wydawały się rozluźnione, ale kciuki tarły o siebie, żeby powstrzymać rozchodzenie się w organizmie fali kortyzolu.

– To jedna z tych rzeczy, o których nie mogę powiedzieć państwu nic więcej ponad to, że mamy istotne powody, żeby tak przypuszczać. I tyle.

Kolejne ręce podniesione wysoko. Julia skinęła do młodej reporterki agencji TT.

– Co to za iluzje magiczne, których użył sprawca? O co chodzi ze znaleziskiem koło Gröna Lund? Mówi się o jakiejś skrzyni.

– Niestety, na ten temat też nie mogę nic powiedzieć.

Reporterka TT zadała kolejne pytanie.

– Myślicie, że sprawcą jest ktoś, kto osobiście ma do czynienia ze sztuczkami magicznymi? Ktoś z tego środowiska?

– Sprawdźliście, czy Joe Labero ma alibi? – krzyknął ktoś, wywołując śmiech tu i ówdzie.

– Albo Brynolf & Ljung? – dopowiedział inny dowcipniś.

Zmarszczka między brwiami Julii pogłębiła się, a Mina wyglądała na wściekłą. Vincenta uderzyła znów jej uroda. Fakt, że trudno było oczy od niej oderwać.

– Na tym etapie nie możemy informować o ewentualnych podejrzanych, ale przygotujemy profil sprawcy – powiedziała. A potem dodała: – Nie wydaje mi się, żeby pasował do panów Joe Labero, Brynolfa czy Ljunga.

Najwyraźniej nie odpowiadał jej ten rodzaj dziennikarskiego poczucia humoru.

– Może szukamy jakiegoś szwedzkiego Houdiniego... Houdiniego mordercy! – entuzjazmował się młody reporter „Göteborgs-Posten”. Rozległy się stłumione śmiechy.

Vincent zauważył, że większość zgromadzonych gorliwie to zanotowała. Określenie na pewno się przyjmie, bo czwarta władza najwyraźniej uznawała, że seryjny morderca wymaga efektownego sformułowania.

Julia wciąż się uśmiechała, ale był to coraz sztywniejszy uśmiech.

Vincent rozumiał ją. Powinna utrzymywać dobre stosunki z dziennikarzami. I choćby uważała ich żarty za niesmaczne, potrzebowała ich sympatii, żeby mieć jaką taką kontrolę nad tą historią. W przeciwnym razie mogliby pisać, co im się podoba.

– Dziś nie odpowiem na więcej pytań. Potrzebujemy pomocy ze strony społeczeństwa, jak mówiłam, na ekranach jest numer, na który można dzwonić. Znajdzie się również na stronie internetowej policji, na naszym koncie na Instagramie i Facebooku.

Znów kakofonia, podniesione ręce i wykrzykiwane pytania. Jednak Julia zdążyła już odwrócić się do nich plecami i zmierzała do Miny. Wyszły razem, skręciwszy w prawo, Vincent wyciągnął szyję, żeby jak najdłużej móc widzieć Minę. Kiedy już zniknęła, wymknął się dyskretnie, bo było tylko kwestią czasu, że zostanie rozpoznany. Takich pytań Julia z całą pewnością nie potrzebowała. Natomiast Vincent powinien się pospieszyć na spotkanie przy telefonie z Rubenem.

– A WIĘC JAK to działa? – spytał Vincent, próbując zrozumieć, co widzi na ekranie.

Pomieszczenie, w którym znajdował się razem z Rubenem, było pełne technicznych urządzeń, których przeznaczenia mógł się tylko domyślać. Najbliższy ekran przedstawiał coś mniej skomplikowanego, co przypominało tabelkę Microsoft Excel.

– Za pomocą tego programu zlokalizujemy rozmówcę? – spytał, starając się ukryć, że ta sytuacja bawi go niemal jak dziecko.

Byłoby oczywiście lepiej, gdyby jak w filmie całą ścianę pokrywały ekrany, wyświetlające tajemnicze liczby i obrazy z dronów, ale nie można mieć wszystkiego.

– No więc to jest centrala telefoniczna – odparł Ruben. – Wszyscy dzwoniący są nagrywani, ale my będziemy słuchać ich w realu. Oczywiście nie da się, gdyby wiele osób zadzwoniło jednocześnie, ale zwykle ruch nie jest aż tak duży. Gdybyśmy usłyszeli cokolwiek podejrzanego, na przykład ktoś brzmiałby jak Rask, zaznaczamy tę rozmowę. W ten sposób. Tylko tyle.

Ruben kliknął w dokumencie na jeden rząd, który zrobił się czerwony. Centrala telefoniczna. Niezupełnie był to „Bourne”. Vincent z trudem ukrył rozczarowanie.

– A zlokalizowanie dzwoniącego?

– I tu znajdujemy się w prawnej dupie – odparł Ruben i podszedł do ekspresu przelewowego, który stał na stoliku koło drzwi.

Nalał kawy do kubka tylko dla siebie, ale kierując się jej zapachem, Vincent z przyjemnością z niej zrezygnował. Młodość tej kawy minęła dawno temu i nie była to młodość szczęśliwa.

– Zezwolenie na zlokalizowanie dzwoniącego wydaje sąd – ciągnął Ruben, ścierając ze stołu trochę rozlanej kawy. – Żeby je uzyskać, trzeba podać, kogo chcemy zlokalizować. A tego przecież nie wiemy. Bo właśnie tego chcemy się dowiedzieć. Oczywiście w momencie, kiedy usłyszemy coś podejrzanego, możemy zatelefonować do prokuratora z prośbą o tymczasowe zezwolenie i od

razu przystąpić do lokalizowania dzwoniącego. Jednak wątpię, żebyśmy się z tym wszystkim uwinęli przed końcem rozmowy. Potrafimy lokalizować, moglibyśmy uzyskać informację w momencie, kiedy dzwonią, ale tego nam nie wolno.

– To jaki jest sens, żebyśmy tu siedzieli? – spytał Vincent.

Ruben usiadł na krześle obok.

– Kurde, ale gorąca – powiedział, dmuchając do swojego kubka. – Bo potem zażądamy billingów od wszystkich operatorów. Nawiasem mówiąc, też musimy mieć na to zgodę sądu. Otrzymanie tych billingów potrwa parę tygodni, ale uzyskamy z nich informację, kto do nas dzwonił. Jeśli zdążymy je dostać przed ich usunięciem, co następuje po dwóch miesiącach. Mówiłem, że jesteśmy w dupie?

– Powiedziałeś, że billingi dotyczą telefonów komórkowych. A więc kiedy je dostajecie, możecie zidentyfikować miejsca, gdzie się znajdowały, na podstawie logowania do konkretnych masztów?

– Mówimy na to stacje bazowe. Właśnie tak, panie mentalisto. Możemy się w ten sposób zbliżyć do dzwoniących. Ale te billingi to prawdziwy koszmar, przekazujemy je do działu analiz, kopia trafia też do Pedera, żeby miał się w co wgryzać.

Billingi. Gdyby miał do nich dostęp, mógłby przekazać je Benjaminowi, który byłby zachwycony. Jednak zjednanie sobie działu analiz byłoby pewnie jeszcze trudniejsze niż przeciągnięcie na swoją stronę Rubena. Peder może dałby się przekonać. Albo można by skopiować billingi, gdy Peder przyśnie. Ale, ale. To będzie późniejsze zmartwienie.

– Czyli jesteśmy tu po to, żeby zaznaczyć, które rozmowy będą warte zlokalizowania – podsumował. – Kiedy już dostaniecie te billingi.

– Hura, dotarło. Tak jest, będziemy słuchać. Ale skoro już tu jesteś, możesz im po prostu czytać w myślach. Wydaje mi się, że Julia liczy na to.

Ruben zaśmiał się sucho. Vincent zdawał sobie sprawę, że jego wypowiedź była czysto retoryczna, ale i tak postanowił odpowiedzieć. Ruben powinien zrozumieć, że są po tej samej stronie.

– Może niezupełnie czytać w myślach – powiedział. – Jednak słuchając, można wyłapać inne rzeczy. Na przykład psychopatę jest łatwiej rozpoznać poprzez słowa. Psychopaci potrafią udawać emocje wyrażane mimiką i mową ciała, ale umyka im sposób mówienia. Akcentują neutralne słowa tak samo jak te emocjonalne. Potrafią opowiadać o tym, co jedli na śniadanie, i w tym samym zdaniu ujawnić ciężką zbrodnię. Przeważnie nie mówią o innych, tylko o sobie, używając form czasu przeszłego, żeby się zdystansować. Ale poza psychopatią możemy również wyłapywać zmiany w...

Ruben zastopował go uniesieniem dłoni.

– Będzie dobrze – powiedział, patrząc na zegarek. – Konferencja prasowa powinna już być na wszystkich stronach internetowych redakcji. A w mediach społecznościowych jej skrócona wersja z numerem telefonu. Zaczynam czekać.

– Jak długo to potrwa?

– Tyle, ile trzeba.

Dziesięć pierwszych telefonów pochodziło albo od osób wyraźnie pragnących zwrócić na siebie uwagę, albo autentycznie chcących pomóc, chociaż nie miały nic do przekazania. Nic, co byłoby warte analizowania. Po dłuższym wysłuchiwaniu tej czczej gadaniny Vincent poddał się i też poszedł po kubek kawy.

Po wypiciu trzech takich kubków stwierdził, że podsłuchiwanie rozmów telefonicznych jest najmniej ciekawe ze wszystkiego, czego do tej pory doświadczył. Ruben powiedział niewiele więcej, głównie milczeli, czekając na kolejny telefon. W końcu Ruben stęknął i rozprostował się.

– Wyjdę na trochę – powiedział. – To nic nie da.

– Wychodzisz? A dokąd?

Ruben wzruszył ramionami.

– Może pograć w padla. O tej porze w hali są głównie dwudziestopięciolatki, dziewczyny w takich obciskających spodniach do jogi, wiesz. Zresztą wszystko, byle nie siedzieć tutaj.

Ruben wstał i zabrał kurtkę z oparcia krzesła.

– Poradzisz sobie – powiedział. – Wrócę za jakąś godzinę. Zadzwoń jakby co.

Vincenta tak zamurowało, że nie zdobył się na odpowiedź. Nie odnalazł się nawet po wyjściu Rubena. Stwierdził, że nie jest w stanie przebywać sam w tym pomieszczeniu pełnym wrażliwych urządzeń. Powinien zadzwonić po Minę. W dodatku byłaby dużo przyjemniejszym towarzystwem.

Chwycił komórkę, żeby wysłać jej esemesa, kiedy symbol trwającej rozmowy przeszedł na ekranie z czerwonego na zielony. To znaczy, że skończył się nagrany komunikat policji i rozmowa trwa na żywo.

– Jestem bardzo rozzarowany waszą niekompetencją – odezwał się poirytowany męski głos. – To jest po prostu niechlujstwo.

Znów jakiś narzekający świr. Skargi, że policja nie robi tego, co do niej należy, stanowiły połowę wszystkich telefonów. Vincent zaczął wyszukiwanie numeru Miny wśród swoich ulubionych w komórce.

– Robert zginął trzeciego maja – ciągnął głos. – To chyba oczywiste. Trzeciego maja.

Kciuk Vincenta na wyświetlaczu zatrzymał się. Co ten facet powiedział? Tylko nieliczni spośród dotychczasowych dzwoniących wspominali o jakichś

szczegółach, a nikt o konkretnej dacie. Vincent nachylił się nad biurkiem i pogłośnił dźwięk.

– Jestem po prostu załamany poziomem, na jakim prowadzone jest to dochodzenie – mówił mężczyzna z coraz większą złością.

Mimo wzburzenia wymawiał dokładnie każdą sylabę, jakby przykładał wielką wagę do poprawności. Dobór słów wskazywał na to, że patrzy na rozmówcę z góry, stawiając siebie ponad nim. Możliwe zaburzenie narcystyczne. Wielu dzwoniących mówiło, że są sprawcami, ale ich przejrzał łatwo. To było co innego. Mózg Vincenta wywiesił czerwoną flagę, nie próbując wyjaśniać sygnałów, które to spowodowały. Miał pewność, że ten dzwoniący to prawdziwy morderca. Poszukiwany człowiek był tak blisko, że słyszał jego oddech. Ale nie miał pojęcia, czy to Rask.

– Mongoł może i potrzebował trochę czasu. – Mężczyzna odezwał się znów, teraz trochę innym tonem. – Przecież wiecie, o której umarł. Naprawdę nie zrozumieliście, co znaczą rozbite zegarki?

Vincent miałby do niego setki pytań. O co chodzi z tym wstecznym odliczaniem? Do kogo zaprowadzi? Dlaczego iluzje? Jednak mógł tylko słuchać.

– Powinniście się lepiej postarać – zakończył mężczyzna i rozłączył się.

Vincent gapił się na ekran.

Ostrożnie przesunął kursor na ekranie i zaznaczył rozmowę na czerwono. A potem zdał sobie sprawę, że Ruben nie zostawił mu swojego numeru telefonu.

– CZYLI TAK, JAK myślałem, data też jest ważna – powiedział Vincent w zamyśleniu.

Mina z Vincentem siedzieli w salce konferencyjnej, wszystko, co dotyczyło dochodzenia, zebrali na tablicy.

– Tak – przyznała, wyciskając na ręce kilka kropel alkożelu, które zaraz wtarła. – Komuś strasznie zależy, żebyśmy mieli właściwe daty i pory dnia.

Skóra na jej dłoniach łuszczyła się, była tak wysuszona od spirytusu, że powstały w niej drobne pęknięcia. Cena, którą musiała zapłacić. Pytającym gestem podsunęła buteleczkę Vincentowi. W pierwszej chwili chyba chciał odmówić, potem wzruszył ramionami i podsunął jej ręce, żeby mogła nalać trochę płynu.

– Tylko nie rozumiem, jak się do nich ma Robert – ciągnął, pocierając dłonie.

Ostry zapach alkożelu rozszedł się w niedużej salce. Rozkoszna woń.

– Rzeczywiście, ja też nie. Powiązanie między Tuvą i Agnes jest naturalne, rodzinę Roberta przesłuchaliśmy bardzo gruntownie. Ale wciąż niczego nie znajdujemy. Kompletnie. Julia kontaktowała się przez telefon z personelem domu, gdzie mieszkał Robert, ale to też nic nie dało. Na wszelki wypadek wybiera się tam z Christerem, żeby porozmawiać z nimi osobiście, ale masz rację, Robert nie pasuje do schematu.

– Mhm...

Vincent odwrócił się razem z krzesłem, siedział teraz twarzą do tablicy.

– Właśnie tego nie umiem pospinać – powiedział. – W tej sprawie jest tyle rzeczy niepasujących do siebie, które same sobie przeczą. Nawet ja wiem, że seryjny morderca trzyma się jednej i tej samej kategorii ofiar. Nie trzeba być policjantem, żeby o tym wiedzieć, wystarczy Google. Między Tuvą i Agnes było wiele podobieństw. Dwie młode dziewczyny. Ale Roberta to nie dotyczy. Jak w dziecięcej grze *Pięć mrówek to więcej niż cztery słonie*. Na pytanie, kogo skreślamy, odpowiedź jest oczywista – Robert. W dodatku chłopak miał bardzo ograniczoną sieć kontaktów. Żadnego życia towarzyskiego poza rodziną i osobami w domu, gdzie mieszkał. Poruszał się w bardzo wąskim kręgu.

W odróżnieniu choćby od Tuwy, która codziennie spotykała się w pracy z dużą liczbą ludzi.

– Å propos, dostaliśmy informację, gdzie może przebywać Jonas Rask. Jedna z jego byłych żon słyszała, że mieszka w kamperze gdzieś pod Sztokholmem, ale jeszcze go nie zlokalizowaliśmy. Jest kilka takich skupisk, ale Rask może również trzymać się na uboczu. Tak czy inaczej, mam wrażenie, że jesteśmy coraz bliżej. Wkrótce będziemy go mieli. Będziesz wtedy mógł go wypytać.

– Teoretycznie powinien być zamieszany w te morderstwa – przyznał Vincent, przenosząc wzrok z tablicy na Minę. – Ale nie wierzę. Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że ten wasz psycholog Jan Bergsvik błądzi we mgle. To mi się po prostu nie zgadza.

Mina miała wrażenie, jakby przeszył ją spojrzeniem swoich jasnobłękitnych oczu. Spuściła wzrok.

– Ludzie robią wiele dziwnych i niezrozumiałych rzeczy – odparła. – Jednak praca policji jest zwykle bardzo standardowa. Jedyne rozwiązanie okazuje się najczęściej tym właściwym. Czy to przypadek, że człowiek, który zamordował dwie dziewczyny i zgwałcił jeszcze więcej, był widywany w okolicy i w samej kawiarni, gdzie pracowała Tuwa?

– Ale żadna z ofiar nie została zgwałcona – zaproponował Vincent.

– Kto wie. Rask odsiedział dwadzieścia lat w więzieniu. Może już nie ma żadnego popędu seksualnego? Może mordowanie, a potem ćwiartowanie ich ciał stanowiło dla niego jakiś psychologiczny substytut?

Vincent spojrzał zaskoczony.

– Ja też wiem to i owo – powiedziała, mrugając do niego.

– Mhm – mruknął, ale słysząc było, że się z nią nie zgadza. – Mówisz jak Jan. Kopnęła go w nogę.

– Może to Jonas Rask dzwonił w sprawie daty – powiedziała, ale czuła, że coraz bardziej grzęźnie.

– Tak, no cóż, możliwe. Co robimy dalej z tą nagraniem rozmową?

Nad talerzem z owocami krążyła muszka owocówka, Minie z obrzydzenia zrobiło się niedobrze, musiała przełknąć, żeby móc odpowiedzieć. Wyjęła butelkę z alkozelem i wylała sobie na dłoń. Zastanawiała się, czy spryskać muszkę, ale szansa, że ją trafi, była niewielka. Vincent spojrzał szybko, wstał i wyniósł talerz. Wrócił z pustymi rękami i usiadł, jakby się nic nie stało. Minę zapiekły oczy od łez. Chrzęknęła.

– O której musisz jechać?

Vincent spojrzał na zegarek.

– Samolot do Malmö odlatuje za dwie godziny. Czyli niedługo.

Nie chciała, żeby już jechał. Nie zdążyli porządnie porozmawiać od czasu spotkania przed konferencją prasową. Ale jak miałaby mu to powiedzieć? Cokolwiek powie, zdradzi więcej, niżby chciała. Zachowała neutralny wyraz twarzy.

– No to bierzmy się do roboty.

KVIBILLE 1982

– WPUŚCISZ MNIE zaraz? Bo umieram z ciekawości – śmiała się mama.

Jej głos brzmiał wyraźnie, jakby już stała w oborze, chociaż w rzeczywistości znajdowała się po drugiej stronie drzwi.

– Zaczekaj trochę. Już niedługo.

Poprawił koszulę i w skupieniu zmarszczył czoło. Oby okazało się, że dobrze to wymyślił i wszystko będzie okej. Mama była taka smutna po wyjeździe Jane. Prawie z nim nie rozmawiała, jeśli nie liczyć śniadania, kiedy szykowała mu trójkątne tosty i tłumaczyła, że trzeba zawsze robić tak samo. Poza tym pochłonęły ją te rządki chwastów. Nawet przyczepiła do lodówki plan. Był to właściwie szkic zrobiony wiecznym piórem na stroniczce wyrwanej z notesu telefonicznego, ale zawsze. Był plan.

Malla, Sickan i Lotta widziały go i uznały za dziwaczny. Ich rodzice widocznie czegoś takiego nie robili. Ale chłopiec rozumiał, jak ważna jest dokładność. I miał nadzieję, że sam też był dokładny. Uważał, że mama potrzebuje trochę radości. Gdyby nie pomogło to, co przygotował, to nie wiedział, co mógłby jeszcze zrobić.

Chrząknął, a potem uroczyście otworzył drzwi. Oczy mamy były pełne oczekiwania, gdy przechodziła przez próg jego magicznego warsztatu. Zrobiła kilka kroków i stanęła jak wryta na widok tego, co zbudował.

– No popatrz, popatrz... to zupełnie... Ojej!

Była to największa skrzynia, jaką skonstruował kiedykolwiek. Sięgała jej prawie do pasa i była na kółkach, żeby można ją było obracać i oglądać ze wszystkich stron.

Chłopiec zwolnił hamulec na jednym kółku i teatralnym ruchem zakręcił skrzynią. Na palcach zostało mu trochę ciemnoniebieskiej farby.

Mama z podziwu zakryła usta dłońmi. Odetchnął, nie musiał się już denerwować. W dodatku miał dla niej jeszcze jedną niespodziankę. Jedna ściana skrzyni pozostała niepomalowana. Przyczepił do niej papier z napisem *Miejsce zarezerwowane dla Les Vargas*.

– W poprzednim życiu chyba musiałam być jakąś świętą – powiedziała w końcu, ocierając łzy otwartymi dłońmi. – Bo nie wiem, czym mogłam sobie zasłużyć na ciebie.

– No więc jak to działa? – spytała, kiedy już skończyła malować. – Opowiesz czy jak?

Tym razem też były to gwiazdy.

– No muszę, skoro masz zostać moją asystentką – powiedział, otwierając skrzynię. – Chyba że się rozmyśliłaś?

– Nie, skąd, bardzo chcę. Pomyśleć tylko, będę czarować!

W głowie mu się kręciło od oparów farby. Pewnie nie powinni zamykać drzwi. Jednak to była ich tajemnica. Nikomu innemu nie wolno tego zobaczyć. Wprawdzie nikt ich raczej nie odwiedzał, ale jednak.

– Najpierw wchodzisz do skrzyni – powiedział. – Właściwie powinnaś mieć kajdanki na rękach i być w worku, ale nie mam worka. Ani kajdanek.

– No i dzięki Bogu – zaśmiała się mama.

– Potem zamknę skrzynię na kłódkę i stanę na wieku. Ty w tym czasie wymkniesz się przez ukryte drzwiczki z tyłu skrzyni i się schowasz.

– Nie widziałam żadnych drzwiczek – zaniepokoiła się.

– Na tym polega trik – odpowiedział z uśmiechem. – Są ukryte w namalowanym wzorze.

Pokazał jej drzwiczki w tylnej ścianie, ukryte w namalowanej kratce.

– Na tej obręczy upiąłem materiał – ciągnął. – Staję na skrzyni, w środku obręczy, i podtrzymuję ją tak, że materiał zakrywa mnie ze wszystkich stron. Ty wchodzisz przez znajdujący się z tyłu otwór w materiale, stajesz obok mnie i przejmujesz obręcz. Ja wymykam się przez ten sam otwór i przez ukryte drzwiczki wpełzam do skrzyni. A potem ty opuszczasz obręcz. Stoisz wtedy na skrzyni, a ja jestem w środku. Będzie wyglądało tak, jakbyśmy w czarodziejski sposób zamienili się miejscami. Albo jedno z nas zamieniło się w drugie. Ja stałem się mamą, a ty masz siedem lat.

Mama jeszcze raz przesunęła dłonią po ukrytych drzwiczkach.

– Bardzo solidnie to zbudowałeś – zauważyła.

– Miałem prawdziwe szkice. Ale musimy sporo poćwiczyć, bo cały trik polega na szybkiej zamianie. Jane się niczego nie domyśli.

Po twarzy mamy przesunął się cień. Chłopiec przygryzł wargi. Nie trzeba było wspominać Jane. Głupek z niego. Mama od jej wyjazdu wciąż chodzi

smutna. Chociaż to już dwa dni. Dwa dni to przecież wieczność. Wolałby, żeby mama skupiła się na czym innym. Choćby na ćwiczeniu sztuczek magicznych razem z nim.

– Ta skrzynia nie jest zbyt przestronna – powiedziała, jakby czytała mu w myślach. – Pewien jesteś, że się zmieszczę?

– To część iluzji. Jest większa, niż się zdaje.

Pokazał jej na planie, jednocześnie literował sobie w myślach. J-ane to cztery litery. Nie będzie jej przez czternaście dni. Cztery plus czternaście równa się osiemnaście. Trzeba będzie przećwiczyć trik osiemnaście razy. Jane wtedy wróci, a mama znów będzie pogodna.

– Będiesz siedzieć w tej skrzyni najwyżej pół minuty – powiedział – zanim wypełniesz i zamienimy się miejscami.

– Mówisz pół minuty?

– Najwyżej.

VINCENT SIEDZI na kanapie w swojej garderobie. Wciąż mu się przewija w głowie tamta rozmowa telefoniczna i głos tego człowieka.

Wieczorne przedstawienie odbyło się w sali koncertowej Malmö Live.

Organizowanie takiego show w lokalach koncertowych jest zawsze skomplikowane, część miejsc z tyłu trzeba wyłączyć, bo widzowie znaleźliby się za daleko od sceny. A Vincent chce, żeby dobrze go widziała cała publiczność – a on ją. Na dzisiejszym przedstawieniu, mimo wyłączenia części miejsc, było sześciuset widzów. Znakomicie, zważywszy na to, że jest koniec maja. Ogródki restauracyjne to w sezonie letnim jego największy konkurent.

Nie sześciuset widzów, tylko pięciuset osiemdziesięciu sześciu. Vincent czuje, jak jego mózg rozpędza się na tę myśl, a on mu na to pozwala, jednocześnie poprawia nieotwarte butelki wody Loka. Wszystkie naklejki w tę samą stronę. Kusi go, żeby wysłać zdjęcie do Umberta z podpisem # *kranówka*, jednak daje spokój.

Pięćset osiemdziesiąt sześć.

$5 + 8 + 6$ równa się 19, $1 + 9$ równa się 10, $1 + 0$ równa się 1.

5 8 6 to również piosenka z drugiego albumu New Order. To ten dziwny kawałek, do którego wcisnęli elementy z *Blue Monday*. A Monday to poniedziałek, pierwszy dzień tygodnia. Znów cyfra 1.

Według numerologii jedyńka oznacza kreatywność i twórczość. Jeśli miałyby się pochwalić, nieźle to oddaje jego show. Jedyńka uważana jest również za cyfrę męską. Vincent zgaduje, że to z powodu jej prostego fallicznego kształtu, co pokazuje, że numerologia została najpewniej stworzona przez mężczyzn. Znacznie prawdziwszą męską cyfrą byłaby bardziej obwisła cyfra 9.

Co razem z 1 oczywiście daje 19, sumę $5 + 8 + 6$.

Pięćset osiemdziesiąt sześć.

Ale 1 oznacza też samotność, jednostkę, poszczególnego człowieka. Który chwilowo tkwi na wysiedzianej czarnej kanapie w Malmö. Brak mu Miny.

Miny?

Nie Marii?

Brakuje mu oczywiście dzieci. Swojej rodziny. Ale, owszem, brakuje mu dziwnej policjantki. I to bardzo. Nawet jej nie spytał, czy już ułożyła swoją kostkę Rubika. Bo on zмага się w tej chwili z zagadką, którą morderca przedstawił przez telefon.

Wiecie, kiedy on umarł. Naprawdę nie rozumiecie, co znaczą rozbite zegarki?

To oczywiste, że zegarki wskazują godzinę śmierci. Jednak Vincent nie może oprzeć się myśli, że mordercy chodzi o coś więcej. Trzy zegarki. Trzy ofiary. Dwie kobiety. Jeden mężczyzna. 3321. Vincent śmieje się. Jeśli się nie myli, jest to numer rozliczeniowy banku Nordea. Morderca raczej nie to miał na myśli. Vincentowi udało się przynajmniej zanalizować dzwoniącego człowieka na podstawie jego tonu i doboru słów. Obiecał Julii, że zaraz po powrocie do Sztokholmu złoży raport przed całym zespołem. Wie, że jego obecność w nim jest warunkowa. Oby zechcieli wysłuchać go jeszcze raz.

Vincent wstaje, podchodzi do umywalki i puszcza wodę. Kiedy jest już lodowata, ochlapuje sobie twarz. Wystarczy tych rozpraszających myśli jak na jeden wieczór. Podczas dzisiejszego przedstawienia było mu naprawdę trudno utrzymać skupienie. Jakaś kobieta wśród publiczności spontanicznie nazwała go Dumbledore, co wzbudziło wiele śmiechu. A jemu przypomniało się przesłuchanie Daniela, który na pytanie o skojarzenie z magią odpowiedział, że Harry Potter. W porównaniu z Raskiem Daniel jest zupełnie nieprawdopodobny jako morderca. Jednak podczas tego przesłuchania powiedział coś, co Vincentowi wtedy umknęło, a jednak utkwiło w podświadomości i uwiera go od tamtej pory.

Teraz wyciera twarz ręcznikiem i patrzy na siebie w lustrze, starając się wejrzeć poza oczy w głąb własnej głowy. To jest tam. Coś ważnego. Vincent musi dowiedzieć się, co to takiego. I chyba powinni spotkać się jeszcze raz z Danielem Bargabrielem.

DANIEL STOI przed bramą domu Evelyn i patrzy w górę. Jest późno, na ulicy jest ciemno, ale w oknie jej kuchni na pierwszym piętrze pali się światło. Według niego wygląda jak pocztówka: rozświetlone pojedyncze okno na tle żółtego frontonu z poprzedniego przełomu wieków. Daniel wie, że dał plamę. Naprawdę. Ale to przecież nic dziwnego, że ukrywał się przed policją. Wiadomo, jak jest. Kiedy nie jest się równie białym jak oni, zawsze jest ryzyko, że człowieka zamkną za coś dużo większego. Wystarczy zapytać Samira. Nieważne, czy rzeczywiście coś się przeszkrobało, czy nie.

Stojąc przed bramą, Daniel ma ograniczoną widoczność, ale wie, że ona siedzi po drugiej stronie szyby i czeka na niego. Za długo był z dala od niej. Myślał, że skłoni to policję, żeby się od niego odczepiła. Jednak ten cały Vincent wszystko widzi. Daniel pewnie jest teraz jeszcze bardziej podejrzany niż przedtem. Tylko dlatego, że chciał uniknąć kłopotów. Potrzebuje pomocy Evelyn, żeby do reszty nie stracić kontroli nad tym wszystkim. Nie zrobił nic złego poza tym, że się bał. Nikt nie może mu robić z tego zarzutu. Wystarczy spytać Samira.

Potrzebuje nie tylko pomocy Evelyn. Potrzebuje jej samej. Tęskni za nią. Zwykle rozpoczynali wieczór u niej w kuchni, rozmawiając o różnych rzeczach, najczęściej przy kieliszku wina albo przy piwie. Evelyn wtedy pali, stojąc przy otwartym oknie. Poza tym prawie wcale nie pali, ale po dwóch kieliszkach wina lubi wychylić się przez okno z papierosem. W tej swojej pasiastej koszulce z dekoltem, który jest na tyle duży, że zsuwa jej się na gołe ramię.

Mawia, że czuje się wtedy, jakby była w Paryżu albo Rzymie zamiast w do wyrzygania poprawnym Sztokholmie. Zwłaszcza wiosną. Wtedy chciałyby być gdziekolwiek, byle nie tu.

Tego akurat nie rozumiał, dla niego Sztokholm jest piękny wiosną. Z drugiej strony nie był ani w Paryżu, ani w Rzymie. Po tych słowach jej wzrok robi się mętny i wtedy prowadzi go do sypialni. Czasem zaczynają już w kuchni. Evelyn smakuje dymem i winem, wiosną i tęsknotą. Przerodziło się to w pewną

przewidywalną rutynę, ale Daniel to lubi. Ta rutyna wydaje mu się całkiem na miejscu. I romantyczna.

Późnowiosenny wieczór jest ciepły. Faktycznie, mógłby to być Paryż. Zresztą dlaczego nie? W kawiarni i tak spalił za sobą mosty swoim zniknięciem. Mogą spadać. Jeśli opróżni swoje konta w banku, wystarczy chociaż na weekend dla nich obojga. Powinien był zrobić to dawno temu. Byłaby zachwycona.

Tylko najpierw musi się wytłumaczyć z paru rzeczy. Z tego, że zniknął. Że nie odpowiadał na jej esemesy. Że Tuva zniknęła. Daniel ma nadzieję, że Evelyn mu wybaczy, że się nie odzywał, i zrozumie, dlaczego się przestraszył, kiedy przyszła policja. Ma nadzieję, że nie przestała go kochać.

Ma nadzieję na wiele rzeczy.

Najpierw na jej czole pojawi się zmarszczka niepokoju. Może nawet zaciśnie usta. Ale on wtedy zacznie całować jej kącik ust, ojej, jak się stęsknił za tym, żeby znów ująć jej twarz w dłonie. Daniel robi głęboki wdech, podchodzi do bramy i zaczyna wstukiwać kod, gdy z tyłu słyszy głos.

– Daniel?

Stoi za nim nieznajomy mężczyzna około trzydziestki. Ciemne włosy, niebieski garnitur.

– Daniel, to ty? Mieszkałeś z Agnes, prawda?

Nie odpowiada. Nie ma ochoty, żeby mu w tym momencie przypominać o Agnes.

– Sebastian – mówi facet, uśmiecha się i podaje mu rękę. – Jestem kumplem Agnes. To znaczy byłem. Zanim... wiesz. Chyba się kiedyś spotkaliśmy na jakiejś imprezie.

– Może – odpowiada niepewnie.

Jest przekonany, że nigdy się nie spotkali.

– Mieszkasz tu? – pyta tamten, patrząc na dom.

– Nie, moja dziewczyna tu mieszka.

Sebastian, podobno tak się nazywa, wybucha śmiechem. Głośnym.

– Szybki jesteś! Agnes nie żyje od, ile to, czterech, pięciu miesięcy? No to w którym oknie mieszka ta twoja nowa?

– Nie nowa. A Agnes i ja nie byliśmy parą. Tylko wynajmowałem u niej pokój.

– *Yeah, right* – mówi Sebastian, puszczając oko.

Daniel marszczy czoło. Nie podoba mu się ta sytuacja. Przecież nie musi się tłumaczyć przed tym facetem. Ma dosyć tego, że ciągle go o coś oskarżają. Niechby ten gość sobie poszedł. Evelyn siedzi na górze w kuchni. Na pewno już mu naląła wina. Zapaliła papierosa. Rozmyśla o Paryżu. Może już włożyła

koszulkę w paski, w której jest jej tak zajebiście ładnie. Dla niego ją włożyła.
A on wciąż sterczy na ulicy.

– Przepraszam, nie mam czasu – mówi i zaczyna wstukiwać kod do bramy.

Sebastian obejmuje go ramieniem i odciąga od domofonu.

– Dobrze się stało z tą Agnes – mówi spokojnie Sebastian.

Daniel sztywnieje.

VINCENT ODCHYLA się na kanapie i zamyka oczy. Wraca myślami do przesłuchania, do tego, co powiedział Daniel. W każdym razie nie miał pojęcia o żadnych sztuczkach. Myślał, że *double lift*, kiedy bierze się z talii dwie karty tak, by wyglądało na jedną, to jakaś forma grupowego seksu. Vincent ledwo powstrzymał się wtedy od śmiechu.

Daniel wyraźnie się bał, że mu nie uwierzą, kiedy opowiadał o swoich relacjach z Agnes i Tuvą. Zupełnym przypadkiem znał je obie, co wydawało się tak nieprawdopodobne, że owszem, wręcz nasuwało przypuszczenie, że coś się za tym kryje. A patrząc na to ze statystycznego punktu widzenia, to wręcz niemożliwe, żeby tak nie było. Wszystkie warianty muszą się gdzieś kiedyś wydarzyć. I właśnie tego ludzie nie rozumieją, mówiąc: „To musi coś znaczyć”, bo na ulicy natknęli się na starego znajomego, kiedy akurat pomyśleli o nim po raz pierwszy od wielu lat.

Vincent wzdycha. Gdyby zestawić liczbę osób poznanych w życiu przez jednego człowieka z liczbą jego myśli w jednym dniu, jest w zasadzie niemożliwe, aby te dwie zmienne się kiedyś nie przecięły. Nie u wszystkich, ale u dostatecznie wielu osób. Nie jest to „nieprawdopodobne”, lecz przeciwnie, bardzo prawdopodobne.

Kiedy Daniel mówił o Tuvie i Agnes, ani jego ciało, ani mięśnie twarzy nie sygnalizowały, by kłamał.

Vincent otwiera oczy. W ten sposób sobie tego nie odtworzy. Powinien poszukać wśród wspomnień, których jego umysł nie rejestrował w sposób świadomy. O których sam nie wie. Jest tylko jeden sposób, żeby się do nich dokopać. Powinien się sam zahipnotyzować.

Wstaje i ze względu na Umberta zamyka drzwi na klucz, żeby nie wystraszyć sprzątaczek, gdyby go znalazły. Potem kładzie się na podłodze i patrzy w sufit. Autohipnozę stosuje zwykle, żeby móc zasnąć, kiedy Maria czyta w łóżku przy niepotrzebnie silnej lampce, jednak tym razem nie wolno mu zasnąć. Powinien raczej skoczyć na główkę do swojej podświadomości. Vincent rozgląda się po garderobie i przyswaja wrażenia.

– Krzesło, czerwone, metalowe nogi – mruczy. – Zasłona, w kwiaty, koszarna. Błat, niebieski, z MDF. Szum wentylatora, słyszę samochody z dworu i agregat minilodówki. Dywan pode mną jest miękki, podłoga twarda, temperatura ciepła.

A potem zamyka oczy.

MĘŻCZYŻNA O IMIENIU Sebastian znów się śmieje. Jego śmiech jest przyjazny, ale ramię trzymające Daniela mówi co innego.

– Nie można powiedzieć, by Agnes dbała specjalnie o podstawową białą rodzinę – mówi Sebastian. – W tym sensie wyświadczyłeś nam przysługę. Najlepiej od razu pozbyć się takiej wywłoki. Jak myślisz, na co ją złapałeś, na tego wielkiego syryjskiego fiuta?

Sebastian zaczepnie szturcha go palcem w krocze. Daniel chce się wyrwać, ale tamten trzyma go mocno. Nie jest w stanie odpowiedzieć, choćby chciał, bo w gardle ma suchość. To się nie dzieje. To nie może się dziać naprawdę.

– Na tego fiuta, którym pokalasz następną szwedzką kobietę? – ciągnie Sebastian. – Nie sądzę, Danielu. Czy jakkolwiek się to wymawia w twoim cholernym języku.

Sebastian odpycha go od bramy. Od Evelyn. Od poczucia bezpieczeństwa i światła. Daniel traci na moment równowagę, ale szybko ją odzyskuje. Jeśli się przewróci, będzie po nim. Okno Evelyn jaśnieje zapraszająco parę metrów nad nim. Daniel próbuje myślami zmusić ją, żeby je otworzyła. *Wyjrzyj przez okno. Spójrz na mnie.*

Z cienia po drugiej stronie ulicy wychodzi nagle czterech mężczyzn w bomberkach. Na prawych rękawach świecą jak pioruny litery SF. Nie mają one nic wspólnego z miłą rodzinną rozrywką²⁶. Ich litery SF mają inny krój i są skrótem od Sveriges Framtid – Przyszłość Szwecji²⁷.

Daniel czuje jeszcze większy strach. Zna ich. Sveriges Framtid udaje partię polityczną, a w gruncie rzeczy są to chuligani z własnym logo. Josef mówił mu, co zrobili z jego kuzynem. Jeden cios w tył głowy wystarczył, żeby kuzyn musiał do końca życia nosić worek stomijny. Miał piętnaście lat. I trafił na jednego z tych rasistowskich idiotów. A teraz jest ich pięciu.

Na ulicy poza tym jest pusto. Ale można wołać pomocy. Może Evelyn usłyszy go przez zamknięte okno.

– Evelyn! – krzyczy Daniel. – Dzwon po policję!

Jego krzyk zostaje ucięty, gdy Sebastian wali go z byka w nos. Daniel wyje, gdy jego twarz zamienia się w czysty ból. Pole widzenia pokrywa jakiś pstrokaty wzór, oczy zachodzą łzami. Nie widzi, nie słyszy, nie ma nic poza jego wyciem. I bólem. Jakby ktoś go walnął młotkiem. Nie może oddychać. Krew z rozbitego nosa wypływa ustami i spływa mu na szyję.

Daniel chwieje się lekko, jakby nie miał żadnego ciężaru. *Nie upadnij, tylko nie to.* Mruga przez łzy i widzi, że tamci już dochodzą. Dwóch trzyma w rękach żelazne rurki.

– Słyszeliśmy, że policja cię wypuściła – mówi Sebastian, ścierając sobie z twarzy krew Daniela. – Ale spoko. Mamy w zwyczaju sprzątać po nich.

VINCENT ZAGŁĘBIA się w swoją pamięć. Znów jest w pokoju przesłuchań. Tyle że choć mózg zwykle segreguje wspomnienia, teraz wszystko jest równie ważne. Zalewają go kolory, słowa i ruchy. Prawdziwe tsunami, które grozi zatopieniem go. Powinien to wszystko posortować, żeby znaleźć to, co odstaje.

Słowa Daniela.

Musi skupić się na słowach Daniela. Zwłaszcza tych, na które wcześniej nie zwrócił uwagi.

To Agnes i Tuva się znały.

Nie, nie to.

Ojciec Agnes jest rasistą.

Nie. To pamiętał już przedtem. Musi znaleźć pęknięcia w pamięci, puste plamy.

Ciągle bywa, że przychodzą jacyś dziwni ludzie... oczywiście, że również wśród nich są stali bywalcy.

Gdzieś tam powiedział coś.

... większość traktuje kawiarnię jak swoje biuro... ludzie mediów mają laptopy...

Już blisko.

Jeden stały bywalec siedział zawsze nad jakimiś szkicami, które trzymał w segregatorze.

Jest. Szkiców nie trzyma się w segregatorze, bo są na to za duże. Ale Vincent całkiem niedawno widział segregator ze szkicami. U Sainsa Bergandera.

Vincent otwiera oczy, nie zaprzęta sobie głowy łagodnym wychodzeniem z hipnozy i czuje, jak jego mózg walczy o to, żeby osiągnąć niezbędną szybkość.

Daniel widział stałego bywalca, który oglądał szkice.

Vincent jest się gotów założyć, że chodziło o szkice do iluzji. To oczywiste, kiedy teraz o tym myśli. Ruben miał rację pod jednym względem: morderca przychodził regularnie, żeby obserwować Tuvę i poznać jej zwyczaje, zanim uderzy.

Daniel wie, jak wygląda morderca. Może nawet jak się nazywa. Vincent łapie kurtkę, w której znajduje się jego komórka, niezdarnie otwiera ulubione i wybiera numer Miny. Klnie, że praca zmusiła go do znalezienia się z dala od centrum wydarzeń. Trzeba jak najprędzej złapać Daniela.

JEDEN Z MĘŻCZYZN robi zamach, a Daniel odruchowo podnosi rękę, osłaniając głowę. Błąd. Uderzenie trafia w uniesione przedramiona, łamiąc obydwu. Daniel wydaje głośny krzyk i zwija się z bólu.

Evelyn. Na pewno zadzwoniła już na policję. Czy widzi, co się dzieje? Czy stoi przy oknie i patrzy, za bardzo przestraszona, by otworzyć?

– Dość – jęczy Daniel. – Dość. Zrozumiałem.

Następny cios trafia go w bok, łamiąc co najmniej jedno żebro, a prawdopodobnie więcej. Daniel już nie może krzyczeć, oddychanie sprawia mu ból. Odłamki żeber przypuszczalnie przebiły płuco.

Daniel chciałby się wycofać, ale nie jest w stanie biec, a oni wydają się wręcz rozbawieni. Następują jeszcze szybsze ciosy, ale sygnałów bólowych jest tyle, że chyba dochodzi do przeciążenia w jego zakończeniach nerwowych. Mózg nie jest w stanie odebrać wszystkich sygnałów i ich posegregować. Daniel ma wrażenie, jakby płonął.

Oby zaraz przestali.

Przecież on ma jechać do Paryża razem z Evelyn.

W uderzeniach następuje przerwa. Może już są zadowoleni. Nadali swój przekaz.

– Raz, dwa, trzy!

Dwaj napastnicy odliczają, a potem walą go rurkami w rzepki kolanowe. Daniel pada przed siebie, próbując wydać z siebie krzyk, ale tylko chrypi. Ląduje na połamanych rękach i wali czołem o asfalt. Jakby mózg został porażony milionami woltów, a białe pioruny pokryły całe pole widzenia.

Evelyn kładzie mu dłoń na karku, dłoń z papierosem, i całuje go, wdmuchując mu dym w usta.

Daniel płonie, a tamci pracują nad nim w milczeniu. Słyszy głucho uderzenia, gdy buciorami trafiają go w tułów. Za dużo tego, ból układa się warstwami i czeka na swoją kolej.

Rozświetlone okno Evelyn nad jego głową. Tak blisko. Chce ją zawołać, ale znów chrypi. Gdyby tylko wyjrzała. No, zapal tego papierosa. Jednak Daniel

wie, że ona czeka najpierw na niego.

Koszulka zsuwa się na jej nagie ramię, które jest obietnicą czegoś więcej.

Jestem tu. Zobacz. Zadzwoń na policję.

Paryż, Evelyn, Paryż.

Bucior trafia go jeszcze mocniej w brzuch i Daniel zwija się odruchowo w kłębek. Kopnięcie wbija odłamki żeber głębiej w płuco. Odbija mu się kwaśnym sokiem żołądkowym, który wylewa się kącikiem ust.

– Obrzygałeś mi buty, ty świnioparszywa – mówi facet w buciorach i kopie go jeszcze raz w kolano.

Odłamki kości w rozbitym kolanie przesuwają się od kopnięcia, Daniel jest bliski utraty przytomności. Ciemność kołysze się przed jego oczami. Brak tlenu, myśli chaotycznie.

Dlaczego wciąż nie ma policji?

Nagle ciosy ustają. Zachodzi jakaś zmiana. Daniel wie, co teraz będzie. Co nie powinno nastąpić.

– Sebastian, twoja kolej – odzywa się jeden z tamtych. – Dokończ to.

Daniel zamyka oczy.

Skupia się na Evelyn.

Evelyn trzyma nonszalancko butelkę piwa, zwisającą między jej palcem wskazującym i środkowym.

Mimo bólu skupia się na tym, jak Evelyn przechyla głowę, kiedy się do niego uśmiecha.

Jak wygląda, kiedy budzą się razem i są nadzy.

Jak ona pachnie, kiedy go całuje.

Dym i wino.

Jak w Paryżu.

Te rasistowskie łobuzy nigdy mu jej nie odbiorą.

Daniel zatrzymuje przed sobą obraz Evelyn, kiedy Sebastian robi podskok i ląduje obunóż na jego głowie.

CZERWIEC

– ZAPRASZAMY!

Szklane drzwi otworzył mężczyzna po trzydziestce, nadający wyraźne hipsterskie sygnały. Christer rozejrzał się. Całkiem przyjemnie. Jasno, czysto, przytulnie. Nie tak jak na ostrych dyżurach psychiatrycznych, gdzie bywał służbowo. Były to często miejsca gołe, parszywe, wypełnione lękiem i odbijającym się między ścianami krzykiem z oddali. A tutaj, jak mu Julia skrupulatnie wyjaśniła w samochodzie, jest dom pomocy społecznej, nie zakład dla pacjentów psychiatrycznych.

O czym Christer dobrze wiedział. Po prostu lubił się z nią podrażnić i patrzeć, jak Julia marszczy piegowaty nosek. Julia była dobrą szefową. Pewnie nie uwierzyłaby, ale naprawdę ją lubił, chociaż dobrze to ukrywał. Żeby jeszcze od czasu do czasu odpuściła i nie zgrywała ważniaczki.

Hipster zaprowadził ich do niedużego gabinetu. Na biurku panował porządek, książki na regale stały w równych rzędach. Literatura fachowa. Na parapecie obok olśniewającego kwiatka stała tęczowa chorągiewka i zdjęcie ich gospodarza, obejmującego innego hipstera. No jasne. Christer miał włączony na full gejowski radar i odgadł to, kiedy tylko zobaczył Hampusa Norléna, który im otworzył drzwi.

Osobiście nie potrafił zrozumieć czegoś takiego jak dwa penisy w jednym łóżku, przecież to sprzeczne z logiką biologii. Co jest bardziej racjonalne? Dwie śrubki czy śrubka i nakrętka? Oczywiście rzecz. Z drugiej strony czuł, że każdy szuka szczęścia na swój sposób. Dopóki podczas gejowskich parad nie wymachują sztucznymi penisami na oczach rodzin z dziećmi, tylko trzymają to dla siebie. Jak Lasse.

Lasse.

Boże, ile to lat? Ze czterdzieści. Lasse był jego najlepszym przyjacielem, kiedy byli nastolatkami. A kiedy mieli po dwadzieścia parę lat, nawet mieszkali razem. Wszystko ze sobą dzielili. Więc Christer był tym bardziej zdziwiony, kiedy okazało się, że Lasse gra w innej drużynie. Pamiętał, że często wymieniali uściski. Tak wyglądała ich przyjaźń, Lasse był miłym facetem. Ale to nic nie znaczyło. Potem, kiedy Christer już wiedział, zrobiło się trudniej. A w końcu stracili ze sobą kontakt.

– Wyrazy współczucia – powiedziała Julia, siadając na jednym z krzeseł, które Hampus ustawił przed biurkiem.

Christer usiadł na drugim. Hampus kiwnął głową i zajął swoje krzesło.

– Aż do końca mieliśmy nadzieję – powiedział łamiącym się głosem. – Nadzieja zapewne umiera ostatnia. Chociaż obawialiśmy się najgorszego. Ale jeśli prawdą jest, co słyszałem, to nasze najgorsze obawy nawet nie zbliżyły się...

Głos go zawiódł do reszty, musiał się odwrócić i otrzeć oczy.

– Niestety nie wolno nam komentować żadnych szczegółów z dochodzenia – odparła łagodnie Julia.

Zapadła cisza. W rogu okna bzyczała tłusta mucha; desperacko starała się przebić przez szybę, nie pojmując, że coś oddziela ją od wolności.

– Od jak dawna Robert mieszkał tutaj?

Christer przerwał milczenie i pochylił się w przód. Krzesło było straszliwie niewygodne, już bolał go tyłek i krzyż.

– Od kiedy skończył piętnaście lat, byliśmy dla niego takim domem odciążeniowym.

– Poznaliśmy jego rodziców. Bardzo dobrze mówili o was – zauważyła Julia.

Hampus skinął głową.

– Dobrze się z nimi współpracowało. A Bobban jest fajnym chłopakiem. To znaczy był. Spokojny, bez jakichkolwiek skłonności do przemocy. Wśród naszych mieszkańców niektórzy mają wielkie problemy z agresją i nie mogą mieszkać w domu właśnie w związku z tym. Bobban taki nie był. Jednak często uciekał i również w domu nie można było zostawić go bez dozoru. Dlatego na dalszą metę nie dało się łączyć pracy z opieką nad nim. W tym momencie pojawiliśmy się my. Traktowaliśmy to jak wspólną odpowiedzialność z jego rodzicami. Można by to nazwać opieką naprzemienną.

Hampus uśmiechnął się pod brodą. Christer podrapał się po starannie ogolonym podbródku. Zawsze tak miał. Mama go wcześniej nauczyła, że nikt nie zaufa człowiekowi z brodą. Zresztą latem musi mu być gorąco i strasznie swędzieć. Nie mówiąc o resztkach jedzenia na takim bujnym krzewie. Christer

z irytacją przeniósł wzrok z brody Hampusa na muchę w rogu okna. Strasznie była głośna.

– Może pan opowiedzieć nam trochę o Robercie? – spytała Julia, najwyraźniej obojętna na głośne bzykanie.

– No cóż, niezły był z niego zawodnik. – Hampus rozpromienił się, oczy mu zaśniły. – Fajny jak mało kto – ciągnął. – Oglądaliśmy razem stare odcinki *Jackassów*. Śmieszyły go. I kochał jeść. Trzeba było trochę go ograniczyć, bo doszedłby pewnie do dwustu kilo wagi. Ale nigdy nie widziałem nikogo, kto by czerpał taką radość z brania jedzenia do ust.

– Właśnie – wtrącił się Christer. – Jego rodzice wspomnieli, że miał skłonność, żeby brać do ust również inne rzeczy.

Mimowolnie spojrział na zdjęcie Hampusa i jego chłopaka. Żeby go tylko Hampus źle nie zrozumiał... Nie chciałby wyjść na kogoś pełnego uprzedzeń.

– Tak, dziwna rzecz. Zawsze się martwiliśmy, żeby się czymś nie udławił, bo Bobban wszystko brał do ust. Rośliny. Ziemię. Kamyki. Żwir. *You name it*.

Rozmowa o rzeczach wkładanych do ust bynajmniej nie pomogła Christerowi. Przed oczami stanął mu Hampus, biorący w usta penisa tego drugiego faceta. Wstrząsnął się, żeby odsunąć od siebie takie myśli.

– A ucieczki? – spytała Julia.

Wyglądała na nieporuszoną i chłodną, mimo że w pokoju było gorąco i duszno. Christer poczuł pot spływający mu po plecach, koszula przylepiła się do krzyża. Mucha bzyczała jeszcze głośniej, próbując ucieczki przez szybę.

– No tak, to był największy problem – przyznał Hampus. – Uwielbiał wybierać się gdzieś na własną rękę. Wypracowaliśmy system, żeby ktoś stale miał na niego oko, ale on był strasznie cwany i jakoś i tak udawało mu się uciec. Z procą. Gdziekolwiek był Bobban, tam była również jego proca. Nawet nie macie pojęcia, jak świetnie sobie z nią radził. Zabawiał mieszkańców naszego domu, robiąc dla nich pokazy. Potrafił zestrzelić kapsel z butelki, nie przewracając samej butelki. Coś niebywałego. – Hampus pokręcił głową. Nagle odwrócił się, szybko się zamachnął i rozgniół muchę. – Przepraszam, ale już nie mogłem wytrzymać – powiedział.

Christer przytaknął z wdzięcznością.

– A tym razem jak uciekł? – spytał. – I jak długo go nie było, zanim się zorientowaliście?

– Zorientowaliśmy się od razu. To było przedpołudnie, około dziesiątej. Miałem go pilnować, ale jedna z pozostałych osób mieszkających tutaj poślizgnęła się na schodach, więc pobiegłem do niej. Okazało się, że nic jej nie jest, i pięć minut później wróciłem. Bobbana już wtedy nie było. W pierwszej chwili się specjalnie nie zaniepokoiłem. Jak mówiłem, co i raz nam znika, ale

zawsze go znajdujemy. Jednak... Jednak nie tym razem. Kiedy zaczął zapadać wieczór i wciąż go nie znaleźliśmy, zadzwoniłem do jego rodziców. Zdecydowaliśmy, że zgłaszamy zaginięcie na policję. Dzięki Bogu od razu potraktowaliście to poważnie.

– Czy tamtego przedpołudnia było coś, co by odstawało od normy? Może jakaś osoba, która nie powinna tu być? Cokolwiek, co się panu nasuwa na myśl?

Hampus rozważył starannie to pytanie. Potem powoli pokręcił głową i rozłożył ręce.

– Nie... Wszystko było jak zwykle. Nic, co by się odróżniało. Owszem, przechodzili ludzie, przejeżdżały samochody, ale tak jest codziennie. Nic, na co bym zwrócił uwagę.

– Czy Bobban poszedłby z kimś nieznanym? – spytała Julia, u której w końcu pojawiły się kropelki potu nad wargą.

Christer ucieszył się, że jednak ma do czynienia z człowiekiem, a nie z robotem, który ma wbudowany klimatyzator.

– Tak, bez wahania. Bobban kochał wszystkich. Nikogo nie podejrzewał o nic złego. I nie znam nikogo, kto by jego nie kochał. Jego nie dało się nie kochać.

Znów mu się głos załamał. Siedząc za biurkiem, Hampus patrzył na swoje kolana, ręce splótł przed sobą na blacie. Julia podniosła się.

– Na razie chyba nie trzeba nam nic więcej. Ale wrócimy tutaj, gdyby się okazało, że mamy jeszcze jakieś pytania.

– Wystarczy się odezwać – odparł Hampus i wstał, żeby podać im rękę.

Christer zawahał się. Wyobraził sobie Hampusa i to, co bierze do ręki. Za zamkniętymi drzwiami. A potem podał mu swoją. To przecież nie zaraza. Uścisk dłoni Hampusa był zaskakująco silny, chociaż ręka wydawała się miękka i elastyczna. Christer przytrzymał ją trochę dłużej, by okazać, że mu to obojętne.

SALA BYŁA zapełniona tylko w połowie. Przy tak ładnej pogodzie raczej nie ma się ochoty w samym środku dnia tkwić w zamkniętym pomieszczeniu, żeby wyznawać grzechy. Albo nałogi. Jakkolwiek to nazwać. Sama była bliska dać sobie z tym spokój. Jednak zawsze gdy czuła, że nie potrzeba, że już się z tym uporała, właśnie wtedy wiedziała, że jest jej to najbardziej potrzebne. Więc jednak przyszła.

Mina rozejrzała się. Dziewczyna z delfinem siedziała na zwykłym miejscu. Plastik został zdjęty, na jej ramieniu widoczny był wilk, a nad nim napis *Living on the edge*. Również *Carpe diem* uznała za ważne, bo napis pokrył całe przedramię. No pewnie. Jakże oryginalnie. Mina powinna teraz nazywać ją Dziewczyną z delfinem i wilkiem. Albo Dziewczyną z komunalem.

Byli również Kenneth i jego żona na wózku. Oczywiście. I ich pies. Basse? Bosse? Tak, Bosse. Pies przyglądał jej się ze swego miejsca na ziemi obok wózka, a gdy jego wzrok spotkał się ze wzrokiem Miny, ożywił się i usiadł. Szybko się odwróciła. Wcale nie pragnęła uwagi psa i miała nadzieję, że tym razem smycz jest przywiązana z drugiego końca, żeby nie mógł do niej podejść. Wolą nie myśleć, co się kłębi w tej sierści.

Choć dopiero zaczął się czerwiec, było gorąco i duszno. Nie wydawało się, by wczesny upał miał ustąpić, czuła, jak pot spływa jej za pasek spodni.

Opanowała odruch, żeby wstać, pojechać do domu i wbiec prosto pod prysznic. Wzdrygnęła się na samą myśl o poceniu się, jakby brud wychodził z jej środka przez skórę. Latem brała prysznic dwa razy częściej niż zimą. Podczas upałów najchętniej co godzinę, ale trudno byłoby wtedy robić cokolwiek innego.

Kenneth pomachał jej z lekkim roztargnieniem. Jego żona skinęła na powitanie. Mina uzmysłowiła sobie, że nie wie, jak ta żona ma na imię. Może powinna spytać. Powinna okazać uprzejmość. Jednak wolą unikać poznawania zbyt wielu spośród przychodzących tutaj. Pies Bosse to i tak o jednego za dużo.

Kobieta na wózku wyglądała na zmęczoną. Była blada. I było jej gorąco, obfity pot z nasady włosów zalewał jej oczy. Ciągle mrugała powiekami i co pewien czas sięgała ręką, by otrzeć słone krople.

Głosy uczestników działały usypiająco. Kolejne osoby wstawały, żeby się dzielić, wywalić z siebie wszystko. Sukces. Porażka. Tragedia. Triumf. Jedni znajdowali się na początku swojej drogi, inni szli nią już od dawna. Ci pierwsi mieli promienne spojrzenie neofity. Jeszcze nie zderzyli się z pierwszą przeszkodą. Jeszcze nie wiedzieli, że ta droga naprzód nie jest tak prosta, jak się zdaje na początku.

Mina zazdrościła im. Sama utożsamiała się raczej z umęczonym zacięciem weteranów. Było bardziej realistyczne i opierało się na doświadczeniu kogoś, kto zmierzył się z porażką. Po której się podniósł. I poniósł kolejną porażkę. I znów się podniósł. Było to spojrzenie kogoś, kto widział przed sobą wijącą się drogę, pełną zakrętów, ale pogodził się z tym, że to jego droga.

Głowa jej niechcący opadła, otworzyła oczy, choć wcześniej nie zdawała sobie sprawy, że są zamknięte. Nie zorientowała się, jak przysnęła z tego gorąca. Rozejrzała się, żeby sprawdzić, czy ktoś zauważył, że drzemała na siedząco.

Nagle drgnęła. Z żoną Kennetha działo się coś niedobrego. Twarz wydawała się blada, gąbczasta, kobieta miała oddech krótki, urywany. Również Kenneth zauważył, że coś jest nie tak, odezwał się do niej cicho, wtedy gwałtownie pokręciła głową.

Mina zastanawiała się chwilę. Potem zrobiła kilka kroków, podchodząc do nich, i ukucnęła przed kobietą. Bosse, szczęśliwy, zerwał się i pociągnął za smycz, żeby się zbliżyć do niej. Mina cofnęła się instynktownie.

– Jak się czujesz? – spytała, zerkając jednocześnie w górę na Kennetha.

– Ona nie chce, żebym dzwonił po karetkę – powiedział. W jego głosie dosłyszała strach.

Jego żona z trudem nabrała tchu, jakby nie była w stanie odpowiedzieć. I znów pokręciła głową. Mina wyjęła telefon.

– Nieważne. Musi trafić do szpitala. Natychmiast. Już dzwonię.

Kenneth przyjął to z ulgą, ale jego żona gwałtownie pokręciła głową. Mina zignorowała ją. Bosse sapał z gorąca i wywalił język, ale jakby nie rozumiał, że coś się dzieje z jego panią, i całą energię skierował na Minę. Mina powiedziała krótko, o co chodzi, że jest policjantką, podała adres lokalu i opisała sytuację. Wspomniała też, że wymagająca pomocy kobieta siedzi na wózku inwalidzkim.

Pozostałe osoby w sali zorientowały się, że coś się dzieje. Dziewczyna z delfinem załamywała ręce, patrząc z niepokojem na Minę.

Mina skończyła rozmowę.

– Już jadą – oznajmiła.

– Dziękuję – powiedział Kenneth. – Ona zwykle się tak nie zachowuje, zawsze...

Mamrotał coś pod nosem, głos brzmiał niewyraźnie. Pewnie był w szoku. Mina już miała pocieszającym gestem położyć dłoń na jego ramieniu, ale dała spokój. Wyglądał na równie spoconego jak ona. Żona Kennetha chyba miała napad paniki, bo oddychała coraz gorzej. Nawet Bosse zrozumiał w końcu, że coś jest nie tak. Położył łeb na kolanach swojej pani i zaskomlał. Niezdarnie go poklepała, wciąż walcząc o oddech.

Mina mówiła do nich uspokajająco, jednocześnie nasłuchując sygnału karetki. Minęło niewiele czasu, jak usłyszała, że podjeżdża, i wyszła do ratowników. Potem już poszło szybko. Ratownicy wbiegli ze swoim sprzętem i z noszami, wszyscy obecni podnieśli się z krzeseł. Stali jak wryci, obserwując bezradnie, co się dzieje. Ratownicy położyli na noszach żonę Kennetha, który cały czas trzymał ją za rękę. Mina towarzyszyła im do karetki, szybko i sprawnie wstawili nosze. Kenneth również wskoczył do karetki, nie puszczając ręki żony. Drzwi ambulansu już się miały zamknąć, gdy zawołał coś do Miny.

– Bosse! Proszę, zajmij się naszym psem.

Mina gapiała się na karetkę, która błyskawicznie odjechała na sygnale. Zza pleców, z głębi lokalu dochodziło radosne szczekanie Bossego.

PIERWOTNY KRZYK z przepaści doszedł z gabinetu Vincenta. Rebecka aż podskoczyła, upuszczając szklankę z wodą. Vincent próbował ją złapać, ale szklanka rozbiła się o płytki, na podłodze powstała spora kałuża z kawałkami szkła. Vincent niedawno wrócił z Malmö, a w domu wszystko było jak zwykle.

– Vincent! – Maria wypadła z gabinetu, cała czerwona ze złości. – Miałeś się pozbyć tego cholerstwa! – krzyknęła.

Aston, który budował z lego na podłodze salonu, rozplakał się, słysząc, że mama się gniewa.

– Mama się nie gniewa – powiedziała Maria, starając się opanować – w każdym razie nie na ciebie, kochanie. Ale twojego tatę chyba uduszę, o mało nie dostałam ataku serca przez niego. Myślałam, że ktoś na mnie napadł.

Vincent miał właśnie wyjść. Po raz pierwszy zwołał zebranie zespołu i nie chciał się spóźnić, tkwiąc w korkach. Oby policja już zdołała dotrzeć do Daniela. Mina miała wczoraj wieczorem wyłączony telefon, pewnie się wcześniej położyła, ale wysłał jej esemesa, że trzeba pilnie ściągnąć Daniela na ponowne przesłuchanie, podczas którego chciałby być obecny. Najlepiej dziś, a w każdym razie jak najszybciej. Wysłał też esemesa do Sainsa Bergandera z prośbą o zdjęcia i szkice iluzji, które chciał pokazać Danielowi. Trzeba się dowiedzieć, co to za szkice, nad którymi przesiadywał gość kawiarni, a Daniel mógłby powiedzieć, czy je poznaje. Mógłby ewentualnie stwierdzić, czy tym gościem był Jonas Rask. Vincent był bliski egzaltacji. To coś w rodzaju „Vincent Walder, prywatny detektyw”.

Dobrze wiedział, co przytrafiło się Marii w jego gabinecie. Otóż firma jego producenta zamówiła tekturową postać wysokości prawdziwego człowieka, służącą za reklamę ostatniej serii jego programów w telewizji. Postać przedstawiającą jego samego. Kiedy ją przyniósł do domu, Maria od razu nazwała ją „cholerstwem”. Osobiście był zdania, że jest całkiem elegancka. Wprawdzie obiecał żonie, że ją wyrzuci, ale jakoś nie miał do tego serca. Ile osób może się pochwalić naturalnej wielkości kopią samego siebie? Jeśli miał być szczery, uważał, że jest fajna. Zresztą jak mógłby ją zniszczyć? Przecież to

on. Z psychologicznego punktu widzenia było coś głęboko niepokojącego w myśli, że miałby wyrzucić samego siebie. Fakt, że niedawno przeczytał niezwykle interesującą pracę na temat kognitywnej terapii rozwoju osobistego. Motywem przewodnim tej pracy była opowieść Owidiusza o Narcyzie. Miłość własna i fascynacja swoim „ja” była głęboko zakorzeniona w psychologii. Również Freud znalazł dla tej fascynacji specjalne słowo – *verliebtheit*.

– Uważaj, bo wejdiesz na szkło – ostrzegł Marię, która zbliżała się do niego z niepokojącą szybkością.

– Musisz mieć tak wielkie ego? – odezwała się. – Żeby aż trzymać w gabinecie kopię samego siebie! Co ty z nią robisz, może się razem onanizujecie, kiedy nikogo z nas nie ma w domu?

– Maria! – krzyknęła przerażona Rebecka. – Chodź, Aston, pobudujemy w twoim pokoju.

– Boję się, kiedy mama się gniewa – poskarżył się Aston.

Na twarzy Marii pojawił się wyraz udręki. Vincent wiedział, że zostanie obciążony winą również za Astona. Rebecka ominęła ostrożnie rozbite szkło i kałużę, przeszła do salonu, ostentacyjnie wzięła braciszka za rękę, zgarnęła, ile tylko mogła, klocków, po czym zamknęła drzwi. Nie spojrzawszy na tatę i bonusową mamęciocię.

– Przepraszam – odezwał się Vincent. – Wciąż nie rozumiem, dlaczego jesteś za każdym razem tak samo przestraszona. Przecież wiesz, że on tam jest.

Maria wykrzywiła usta.

– A ja nie rozumiem twojej fascynacji nim.

– *Verliebtheit* – wyjaśnił.

– Wyrzucić to – powiedziała, wbijając w niego wzrok.

– Obiecuję – odparł, sięgając po ścierki i zmiotkę.

Najwyraźniej spóźni się kilka minut.

MINA W NAPIĘCIU spojrzała na psa. Bosse chyba od dawna nie był kąpany. I z całą pewnością nie został spryskany żadnym środkiem bakteriobójczym. Ale był rozradowany. I to bardzo. Ogon bębnił rytmiczne solo o asfalt, wzniecając drobinki brudu, które osiadały na jego sierści.

Vincent zwołał zebranie zespołu w porze zaraz po lunchu. Poprosił o ponowne przesłuchanie Daniela, który może być w posiadaniu ważnej informacji. Miała jeden nieodebrany telefon od Vincenta, a rano esemesa, ale nie zdążyła się z nim jeszcze skontaktować. Więc teraz powinna szybko wracać do pracy.

Znów spojrzała na psa.

To się nie da.

Powinna rozwiązać ten problem jakoś inaczej. Ale jak? Prosiła, błagała, nawet groziła, byleby któraś z pozostałych osób zgodziła się wziąć Bossego. Nikt się nie kwapił, żeby spełnić dobry uczynek. A przecież nie mogła go zostawić. Jakkolwiek brudny i pełen bakterii, był żywym stworzeniem.

Dobre i to, że lokal AA znajdował się w odległości spaceru od gmachu policji. Wyobraziła sobie, co by było, gdyby musiała jechać samochodem. Miałaby zafoliować samochód? Przymocować psa na dachu? Jego zafoliować? Gdyby wskoczył do środka, samochód zostałby skażony na zawsze.

Powinna zadzwonić do Vincenta, że trochę się spóźni. Wyjęła telefon, ale zanim zdążyła zadzwonić, na ekranie pojawiła się wiadomość. Od lekarki sądowej, Mildy. Zaciekawiona Mina kliknęła na wiadomość, podczas gdy Bosse wciąż wygrywał solo ogonem. Przyszły wyniki z toksykologii. Tempo było rekordowe, Mildy musiała uruchomić wszystkie swoje kontakty w Narodowym Centrum Kryminalistycznym, żeby naprawić błąd, jaki popełniła przy autopsji Agnes. Mina schowała telefon do kieszeni. Teraz naprawdę musi iść.

Wbiła wzrok w Bossego. W kieszeni miała nową butelkę alkożelu. Obleje go nim, jeśli się nie będzie dobrze zachowywał.

VINCENT MIAŁ WŁAŚNIE wejść do budynku policji, kiedy zobaczył pędzącego w jego stronę wielkiego goldena retrievera. A potem zobaczył coś, co sprawiło, że zastygł w pół kroku. Bo za psem, ciągnięta przez niego na smyczy, biegła Mina.

– Zrób coś! – krzyknęła.

Vincent przykucnął, czekając, aż pies się zbliży, i wyciągnął dłoń, dając mu ją do powąchania. Gdyby dał się polizać po twarzy, Mina zapewne nalegałaby, żeby na przyszłość oddzielała ich zawsze szyba z pleksi. Pies zaskowytał ze szczęścia, że wreszcie dane mu było coś powąchać. Zbadał dłoń starannie, potem kolejno oblizwał wszystkie palce i wydawało się, że na tym poprzestał.

– Z psami też rozmawiasz? – spytała, sapiąc po marszobiegu.

Vincent wstał i wziął od niej alkożel.

– Tak, wprawdzie mówiłem z akcentem, ale chyba zrozumiał.

Starannie umył ręce, najbardziej ze względu na nią. Pies patrzył na niego oczami pełnymi szczęścia.

– A więc pies? Nie mówiłaś mi o nim.

– Wabi się Bosse, zaopiekowałam się nim, ale już nie rozmawiamy o tym. Więc co z tym Danielem?

Mina rzuciła mu spojrzenie, z którego wyraźnie wynikało, że zaraz go zamorduje, jeśli da do zrozumienia, że obok jest pies. Wziął od niej smycz, nie patrząc na Bossego, który szczechnął radośnie. Mina oddychała już lżej.

– Daniel powiedział jedną rzecz podczas przesłuchania. Jeden z gości przesiadywał w kawiarni, studiując jakieś szkice. Wtedy to do mnie nie dotarło, ale sądzę, że mógł widzieć mordercę. Może nawet nie raz, ale wiele razy. Następne morderstwo może nastąpić jutro. Albo w samym środku lata. Albo jesienią. Albo choćby za kwadrans. Nie wiem, bo jeszcze nie rozgryzłem tego kodu. Jeśli dojdzie do następnego morderstwa, będzie to moja wina i nie wiem, czy potrafię z tym żyć. Ale jeśli znajdziemy Daniela i będziemy mieć trochę szczęścia, znajdziemy również mordercę. Zanim znów zdąży uderzyć.

Bosse zaszczekał, jakby się zgadzał.

– NIE, BOSSE! Nie wolno do kosza! Nie, Bosse, nie wolno drożdżówki! Dość! Siad! To znaczy idziemy! Tam idziemy! Cholera jasna, co za kundel! Tu, mówię!

Mina próbowała ze zmiennym powodzeniem prowadzić Bossego do salki konferencyjnej. Vincent się poddał i jak tylko weszli do budynku, przekazał jej z powrotem smycz. Podejrzewała, że bardziej go bawiło przyglądanie się.

Drzwi do salki otworzyły się, wyrzwał z nich zaskoczony Christer i zrobił wielkie oczy na widok Bossego.

W tym momencie pies spojrzał na policjanta i zaczął tłuc ogonem tam i z powrotem. Christer przykucnął przed nim, podobnie jak przedtem Vincent. Co to jest z tymi facetami i psami? Mina zdecydowanie wolała koty. Nie w tym sensie, że wpuściłaby jakiegokolwiek zwierzę za próg własnego mieszkania, ale gdyby już musiała wybrać. Koty przynajmniej mają charakter w odróżnieniu od psów. Jakby dla ilustracji tego przykładu, złocisty psi narwaniec ruszył na Christera, można by pomyśleć, że spotkał najlepszego przyjaciela w całym swoim życiu.

– No cześć, stary! Aleś ty piękny! A jak przyjemnie, kiedy ktoś podrapie za uszkiem. No tak, właśnie... – czulił się do psa Christer.

Pies gorliwie oblizwał mu twarz, a Christer wydawał się nie mieć nic przeciwko temu. Mina patrzyła na to ze zgrozą, podczas gdy Vincent uśmiechał się szeroko. W końcu Christer wstał z trudem, zatrzeszczało mu głośno w kolanach.

– To ty nie nienawidzisz zwierząt? – zdziwiła się.

– Co? Skąd, kto tak powiedział? – Christer uśmiechnął się. – Mamy nowego kolegę czy jak? Jakiś nowy Vincent? W każdym razie dopasowali się kolorami!

Mina spojrzała ze złością, a potem rozejrzała się, trzymając smycz. W korytarzu stał stół. Może będzie dostatecznie ciężki, żeby utrzymać na miejscu Bossego. Uniosła jedną nogę od stołu i wsunęła pod nią smycz, żeby pies nie mógł się stamtąd ruszyć.

– Nie pytaj – powiedziała. – Muszę chwilowo się nim zaopiekować.

Vincent przytrzymał jej drzwi do salki konferencyjnej i Mina weszła.

– Christer! Idziesz? – spytała.

– Tak, tak, strasznie dużo tego gadania – stwierdził Christer i usiadł, żeby znów czulić się z psem.

Potar mosił jego złotą sierść, a potem poszedł za tamtymi.

– Nie rozumiem, kto mógł powiedzieć, że nie lubię psów – mruknął. – Chyba każdy widzi, jaki jest piękny.

Mina zamknęła szklane drzwi, zostawiając na zewnątrz psa, w którego wzroku były zawód i smutek. Kręcił łbem, nic nie rozumiejąc, jego smutne skomlenie dało się słyszeć przez drzwi. Mina ignorowała to. W salce czekali Peder i Ruben. Julia najwyraźniej jeszcze nie dotarła. Peder i Ruben z całą pewnością słyszeli hałasy dochodzące z korytarza, Mina spojrzała gniewnie na obu, przede wszystkim na Pedera, który uśmiechał się szeroko i kiwał ręką do psa.

– To pies – oznajmiła z westchnieniem. – Wabi się Bosse. Mam nadzieję, że szybko się go pozbędę. No więc. Zaczynamy?

– Czekamy na Julię – zaoponował Ruben.

Mina usiadła ostentacyjnie tyłem do Bossego, wyjęła paczkę nawilżanych chusteczek antyseptycznych i starannie wytarła ręce. Wzdrygnęła się na myśl, że Bosse najprawdopodobniej przyciska nos do szyby za jej plecami, zostawiając na niej mokre ślady. Odczekali minutę, dwie w milczeniu, podczas gdy zarówno Christer, jak i Peder wciąż kiwali ręką do Bossego.

– Właśnie, czy Anette czuje się już lepiej, skoro tu jesteś? – spytał Ruben, puszczając oko do Pedera.

– Nooo? – Peder patrzył na niego, nie rozumiejąc.

– Ruben cię chyba podejrzewał, że wybrałaś się szukać przygód, a choroba Anette posłużyła ci jako wymówka – powiedział Christer.

– Wcale tak nie powiedziałem! – wybuchnął Ruben.

– Fakt, ale my cię tak dobrze znamy, że aż słyszymy twoje myśli, są bardzo głośne – westchnął Christer.

Peder wsunął rękę do torby koło krzesła i wyjął z niej napój energetyczny. Puszka wydała syk, kiedy ją otworzył.

– To obecnie moja jedyna przygoda – powiedział Peder i uniósł puszkę, jakby przepijał do Rubena.

Weszła Julia.

– Tam jest pies – zaczęła i umilkła na widok spojrzenia Miny. – Okej. Zaczynamy? Przed południem byłam razem z Christerem w domu opieki, w którym mieszkał Robert, ale niewiele to nam dało. W związku z tym, że zebranie zostało zwołane przez Vincenta, oddaję mu głos.

Vincent chrząknął.

– Jak wszyscy wiedzą, po konferencji prasowej dostaliśmy telefon, w którym data morderstwa została określona na trzeci maja. Sądzę, że była to autentyczna rozmowa. Już wcześniej napomknąłem, że mamy do czynienia z kimś o dwojakiej osobowości, kimś, z pewną przesadą, w rodzaju doktora Jekylla i pana Hyde’a. W tym przypadku dzwonił pan Hyde. Był mocno i bardzo osobiście oburzony, tego rodzaju falujący tembr głosu jest nie do podrobienia, jeśli człowiek nie jest zawodowym aktorem. Zresztą ta jego buta, żeby zadzwonić, wskazuje na megalomanię, jaką sprawca okazywał już wcześniej. Dlatego jestem przekonany, że dzwoniącym był morderca we własnej osobie.

Bosse zaczął trykać łbem o szybę, skomlał głośno. Mina zignorowała to i kiwnęła głową do Vincenta, żeby kontynuował.

– Czy to był Rask? – spytał Peder.

– Nasze nagrania głosu Raska są za stare, żeby móc to stwierdzić – powiedziała Julia. – Głos zmienia się z upływem czasu.

– Zresztą nie świadczy o tym jego słownictwo – zauważył Vincent. – Odsłuchałem stare nagrania z przesłuchań Raska i on nie mówi w ten sposób. Poza tym dobór słów i przebieg rozmowy zostały starannie przemyślane. Facet mógł mieć przed sobą scenariusz. Coś takiego mógłby przeczytać każdy, nawet Rask. Jednak w jego sposobie akcentowania był jakiś fałsz.

Bosse uderzył łbem w szybę tak mocno, że drzwi zadzwięczały.

– Co za cholera! – wykrzyknęła ze złością Mina, odwracając się do drzwi.

– Boże, przecież on tylko chce wejść i być z nami – powiedział spokojnie Christer, wstając.

– Nie wpuszczaj go.

Christer udał, że nie słyszy, i otworzył szklane drzwi. Bosse wyrwał smycz spod nogi od stołu i wpadł jak pocisk. Okrążył stół, witając się ze wszystkimi, węsząc i oblizując. Wreszcie usiadł między Pederem a Christerem. Mina wytarła energicznie ręce kolejną nawilżaną chusteczką. Jako jedyna nie dotknęła przedtem psa.

– Co za cyrk – mruknęła.

– A więc telefon – ciągnęła Julia. – Czy dzwoniący podrzucił jakieś tropy?

Vincent zastanowił się.

– Nie. To znaczy owszem, jeden. Wyraźnie widać, że o ile nie pragnie być złapany, to na pewno chce być zrozumiany. Wiecie, że od początku postrzegałem daty jako część pewnego komunikatu. Teraz nie ma co do tego wątpliwości. Ważne dla niego jest to, żebyśmy mieli wszystkie części komunikatu i go zrozumieli. Tylko wciąż nie rozumiem, dlaczego to takie ważne.

Mina próbowała analizować, co powiedział Vincent. W większości te rzeczy były jej znane, jednak co innego usłyszeć wszystko zebrane w całość, w dodatku

wysłuchać razem z pozostałymi członkami zespołu. Kiedy rozmawiała z Vincentem sam na sam, postrzegała to jako teorię, a teraz stało się rzeczywistością. Z twarzy kolegów wyczytała, że już nie mają żadnych wątpliwości co do Vincenta Waldera.

– Wygląda na to, że możemy już wyłączyć specjalny numer dla dzwoniących – zauważyła Julia. – Dostaliśmy to, czego chcieliśmy. Pozostałe telefony nie okazały się istotne. Ruben? Peder? Macie coś do dodania? Udało się zlokalizować tę rozmowę? Przeanalizować? Billingi coś dały? Może technicy odkryli jakieś pomocne odgłosy w tle?

– Pracujemy nad tym pełną parą, ale na razie nie mam nic bardziej konkretnego. Czekamy na informację od operatorów komórkowych i na techniczną analizę głosu dzwoniącego dla porównania z głosem Raska. Analiza odgłosów w tle również trwa.

Ruben, jak zawsze, mówił tonem, jakby to pytanie do niego było oskarżeniem.

– Teraz moja kolej – odezwała się Mina i skinęła sztywno do Rubena. – Kiedy byłam w drodze tutaj, zadzwoniła Milda z wynikami badań toksykologicznych. Nie tylko zwłok Agnes, również Tuvy i Roberta.

Zrobiła pauzę, przeciągając ją dla większego efektu.

– Ketamina – powiedziała w końcu.

– Ketamina? – Ruben zmarszczył brwi.

– To środek znieczulający używany przy operacjach – wyjaśniła. – Występuje w postaci proszku, tabletek i w ampułkach. Łatwy w podaniu również wtedy, gdy pacjent się opiera.

Christer z roztargnieniem drapał Bossego po brzuchu. Pies położył się na grzbiecie, łapy miał wyciągnięte do góry, uszy rozpostarte jak wachlarze i głupawy wyraz rozkoszy na pysku.

– Ketamina jest również tak zwanym dysocjantem psychoaktywnym, tak samo jak gaz rozweselający czy fencyklidyna – dopowiedział Vincent. – Nałogowcy nazywają go najczęściej Ket, KitKat albo Special-K. Jak płatki śniadaniowe. Ale jest to, jak powiedziała Mina, środek narkotyczny i tak mocny, że może powodować halucynacje, delirium, przyspieszenie tętna i podwójne widzenie. Faktem jest, że ketaminę stosuje się w celach medycznych zarówno u ludzi, jak i u zwierząt.

Vincent umilkł. Wszyscy gapili się na niego.

– Powinam się martwić, że jesteś taki zorientowany? – spytała go szeptem Mina.

– W skrócie: ketamina została użyta w celu uśpienia ofiar – stwierdził Ruben.

– Nałogowcy mówią na to: wpaść w dziurę K – powiedział Vincent.

– A więc mamy trzy ofiary, u których stwierdzono obecność ketaminy – podsumowała Mina i chrząknęła. – Prawdopodobnie miał to być sposób, żeby łatwiej je opanować. Albo dodatkowo wzmocnić ich koszmarne doznania. Może jedno i drugie.

– Na ile powszechna jest ketamina? – spytała Julia.

– Idąc tu... spacerem, zadzwoniłam do kolegi z zespołu do spraw narkotyków – powiedziała Mina, nie zwracając uwagi na rozbawioną minę Vincenta.

Spacer jak spacer. Bosse ciągnął ją tak, że ślizgała się na podszwach. Brakowało tylko płóz. Vincent prawdopodobnie wyobraził sobie, jak wyglądała jej rozmowa przez telefon i ile przekleństw skierowanych do psa trafiło do ucha kolegi.

– Można ją kupić na ulicy – odparła. – Znaczą ketaminę. Nie jest może najpowszechniej używanym narkotykiem. W ochronie zdrowia przepisywana jest przez niektórych lekarzy jako środek antydepresyjny, ale niezbyt często. Poza tym stosują ją weterynarze podczas zabiegów chirurgicznych na wielu różnych zwierzętach. Kotach, psach, koniach, gryzoniach, małpach, łasicowatych, ptakach drapieżnych i papugowych.

– I to wszystko wiedział ten gość z zespołu do spraw narkotyków? – zdziwił się Ryben. – Widać nie mają wiele do roboty.

Mina westchnęła.

– Nie, sama wygooglowałam.

– Podczas spaceru? – spytał z niewinną miną Vincent.

– Tak. Podczas spaceru. Boże! Jakbym mówiła do przedszkolaków.

– Dzieci! Ja zajmę się dziećmi! Teraz moja kolej! – krzyknął Peder, wrywając się z drzemki.

Potrącił nadpita puszkę napoju energetycznego, która się przewróciła. Na stole powstała kałuża.

– Podejrzewam, że organizm Pедера produkuje ketaminę w sposób naturalny – powiedział Ruben. – Widział ktoś, żeby człowiek zasnął podczas picia napoju energetycznego?

– Poddaję się – powiedziała z rezygnacją Mina i usiadła u szczytu stołu.

Bosse wstał, chcąc do niej podejść, ale Christer złapał smycz i go przytrzymał. Całe szczęście. Znajdowali się na trzecim piętrze, a Mina była gotowa zafundować psu jego pierwszą i ostatnią lekcję latania.

– Ostatnia rzecz – odezwał się Vincent. – Daniel powiedział coś podczas przesłuchania. Jeden z gości przesiadujących w jego kawiarni zwykle studiował jakieś szkice. Wtedy tego nie skojarzyłem, ale wydaje mi się, że Daniel mógł widzieć mordercę. I to nawet nie raz, ale wiele razy. Daniel może okazać się kluczem do zidentyfikowania mordercy. Jeśli był to Rask, nie będzie problemów

z jego rozpoznaniem. Dlatego zaproponowałem Julii, żeby natychmiast zatrzymać ponownie Daniela. Sprawa może być bardzo szybko rozwiązana.

– Od rana go poszukujemy – powiedziała Julia. – Zobaczę, czy da się zrobić coś więcej.

W tym momencie rozległo się pukanie, zajrzał jakiś mężczyzna. Mina nie pamiętała jego nazwiska, wiedziała tylko, że ma jakiś związek ze służbami ratowniczymi.

– Przepraszam, zdaje się, że macie... ojej, jaki piękny pies!

– Życzysz sobie czegoś? – spytała chłodno Mina.

– Tak, ogłosiliście poszukiwanie niejakiego Daniela Bargabriela?

– Tak, właśnie o nim rozmawialiśmy – zdziwiła się Julia. – Musimy ściągnąć go na przesłuchanie, i to jak najszybciej.

– Z tym może być trudniej – odpowiedział mężczyzna. – W zasadzie to już jest tutaj. Ale w lodówce.

– W lodówce? – Vincent nie zrozumiał.

– Nie żyje – powiedziała cicho Mina, patrząc w podłogę.

Nawet Bosse zorientował się, że coś jest nie tak, i zaskomlał.

– Pomyślałem, że będziecie chcieli wiedzieć. – Mężczyzna zamknął drzwi.

VINCENT OZNAJMIŁ, że idzie po prawdziwą kawę, zamiast – jak mówił Ruben – kawy gliniarskiej, którą mieli na miejscu w salce konferencyjnej. Prawda była taka, że chciał mieć powód, żeby wyjść z budynku. Wyszedł przez drzwi, skręcił za róg i oparł się o ścianę. Stał tam, oddychając głęboko. Daniel nie może być martwy. Przecież go spotkał, rozmawiał z nim. Przesłuchał go.

Uświadomił sobie z całą siłą, że to dzieje się naprawdę. To, co stało się Tuvie i Agnes, było potworne, ale dla niego były raczej nazwiskami na papierze i zdjęciami na ekranie. O Robercie czytał w gazetach. Żadne z nich nie było kimś znanym mu osobiście, człowiekiem z krwi i kości. Do nich mógł odnosić się w miarę racjonalnie i rzeczowo. Z dystansem. Tym razem było inaczej. Chodziło o kogoś konkretnego, kto poczęstował go kawą. Jasna cholera. Stał tak, oddychając głęboko, aż poczuł, że stężenie adrenaliny i kortyzolu zaczęło powoli opadać. Następnie ruszył ciężkim krokiem do kawiarni, którą mu doradziła Julia. Gdzie policjanci mieli rabat.

Kupił kawę dla wszystkich, a z myślą o Pederze wszystkie drożdżówki, jakie jeszcze mieli w kawiarni.

Po powrocie do salki konferencyjnej zastał ich w nastroju równie kiepskim jak wtedy, gdy wychodził. Bosse leżał płasko na ziemi z nosem między przednimi łapami. Spojrzał na Vincenta smutnym wzrokiem, nie podnosząc łba. Czy psy mogą jeść drożdżówki? Może Christer będzie wiedział.

– Coś mnie ominęło? – spytał, stawiając na stole papierowe torebki i wyjmując ich zawartość.

Wszyscy z wdzięcznością przyjęli kawę. Kiedy wyjął pachnące drożdżówki, rozległo się tęskne szczeknięcie.

– Dostaniesz trochę – powiedział Christer, odrywając kęs dla Bossego, do którego mówił jak do dziecka. – Ale ciasto jest dla ciebie niezdrowe, więc tylko kawałek. Inaczej cię brzuszki rozboli, piesuniu.

– Nie podejrzewacie żadnego związku między śmiercią Daniela a tamtymi morderstwami? – spytał Vincent.

– Jest zeznanie świadka – powiedziała Julia, kręcąc głową. – Właśnie dostaliśmy kopię. Widział, jak z miejsca uciekali ludzie, którzy mieli na ubraniach emblemat Przyszłości Szwecji.

– Świat jest niesprawiedliwy, a napady na niewinnych ludzi są częstsze, niż można by przypuszczać – odezwał się Ruben. – Raz przez rasistów, a raz przez kobiety.

– Oczywiście pójdziemy tym tropem – ciągnęła Julia ostrym tonem i spoglądając gniewnie na Rubena – ale chyba nie powinniśmy wiązać z tym zbyt wielkich nadziei. Tak czy inaczej, już się nie dowiemy, co albo kogo widział Daniel. Czekać na odnalezienie Raska, moglibyśmy spróbować odnaleźć kolejne narzędzie zbrodni, w tym przypadku następny trik magiczny. W obecnej sytuacji raczej nie pozwoli nam to niczemu zapobiec. Jednak dobrze by było wiedzieć, czego powinniśmy się spodziewać, jeśli tego nie rozwiążemy.

– Co masz na myśli? – spytał Peder, wypijając jednym haustem resztę napoju z przewróconej puszk. Przedtem zdążył opróżnić kubek kawy na wynos. Odstawił pustą puszkę na stół i od razu sięgnął do torby po następną.

– Naprawdę będziesz pił i kawę, i dwie... – zaczęła mówić Mina, ale umilkła, kiedy Peder skierował na nią zmęczone spojrzenie.

– Mam na myśli to – ciągnęła Julia – czy są jeszcze inne skrzynie, do których magicy wsadzają ludzi, pozorując potem ich śmierć? Jest ich więcej niż te, które już widzieliśmy?

Oczy wszystkich zwróciły się na Vincenta, który namyślając się, przesunął dłoń po podbródku. Zdziwił się, kiedy poczuł pod palcami zarost. Musiał się nie golić od ładnych kilku dni. Całkiem do niego niepodobne. Oznaka stresu. Musi pamiętać, żeby się ogolić po przyjeździe do domu. Chociaż nie. Jeśli ogoli się wieczorem, nie będzie tego potrzebował rano, czyli o zwykłej porze golenia. Kiedy w takim razie przyjdzie kolej na następne golenie? Zachwiałyby to całym jego rozkładem dnia.

Daniel nie żyje.

Brzuch go zabolął na samą myśl. Musi po prostu pamiętać, żeby jutro rano się ogolić.

Niemniej Julia postawiła dobre pytanie. Czekają na niego. Nawet Bosse patrzył na niego wzrokiem, w którym było coś na kształt oczekiwania. Chyba że to tylko nadzieja na coś słodkiego. Rozszyfrowanie psów przychodziło mu z trudem. Ludzie byli pod tym względem znacznie łatwiejsi.

– Obawiam się, że jest tego więcej – powiedział. – Iluzje, w których ludzie giną albo zostają pozbawieni kończyn, nie są niespotykane, wręcz przeciwnie. Obecnie wydaje się nawet, że stanowią większość. Klasyczny numer to oczywiście *Sawing a lady in half*. Kobieta przecięta na pół. Horace Goldin i P.T.

Selbit kłócili się o to, który z nich jako pierwszy przedstawił go na początku lat dwudziestych ubiegłego wieku. Prawdopodobnie jednak jest to iluzja pochodząca z początku dziewiętnastego wieku. W pierwotnej wersji asystentka była przecinana na pół w skrzyni. Następnie Goldin zlikwidował skrzynię i zaczął używać piły tarczowej. Do tego mnóstwa sztucznej krwi. Dosyć to było niesmaczne. Istnieją też wersje z dwiema asystentkami, które są przecinane i potem zamieniają się dolnymi połowami ciała, albo *Janet box*, gdzie nie mamy dwóch części, tylko dziewięć, które następnie są rozciągane. Mniej więcej jak ten pokrojony w plastry koń Damiena Hirsta, jeśli go widzieliście. Ale owszem, być może ujrzymy jakiś wariant *Przeciętej kobiety*.

– Jeszcze coś? – spytała Julia.

Zbladła trochę, słysząc jego porównanie z tym koniem pokrojonym w plastry.

– Eee, może *Origami box*? Asystentka wchodzi do pudła, które szybko zostaje złożone do takiego rozmiaru, że jest za małe, by pomieścić człowieka.

– Nie brzmi to tak, jakby ktoś miał od tego umrzeć – zauważył Christer, drapiąc Bossego za uszami.

Pies zaczął zlizywać ze stołu rozlany napój energetyczny.

– Poskładana skrzynia jest wielkości twojej głowy – powiedział Vincent. – Potem, rzecz jasna, zostaje jeszcze przebita mieczami.

– Wydaje się, że te iluzje często polegają na tym, że mężczyzna ma przebić kobietę – stwierdziła Julia. – Czyżby magicy rzeczywiście mieli takie małe fiutki?

Peder zakasłał z puszką przy ustach, a Ruben się zaczerwienił aż po uszy. Otworzył usta, jakby chciał bronić rodzaju męskiego, ale zamknął, kiedy zobaczył spojrzenie Julii.

– Albo chodzi o zademonstrowanie swojej władzy nad życiem i śmiercią – powiedział Vincent. – Chociaż to może jedno i to samo. Byłbym zapomniał: *Crusher*. Skrzynia z asystentką w środku zostaje ściśnięta w imadle prawie na płask.

– Bardzo przyjemnie – skomentował Christer. – Chyba mamy coraz wyraźniejszy obraz. Dużo trzeba będzie szukać tych skrzyń.

– Noo, aż takie proste to nie jest – zaproponował Vincent. – Nie wszystkie iluzje przewidują użycie skrzyni. Choćby *Impaler*, w którym asystentka balansuje, leżąc na czubku miecza. Wygląda to, jakby unosiła się na mieczu. Aż się osuwa i miecz przebija ciało.

– Zaraz padnę! Przedtem żartowałam, ale trudno o bardziej falliczny symbol! – zauważyła Julia.

– To może ci się spodoba, że akurat tę iluzję magik chętnie wykonuje osobiście – odparł Vincent z lekkim uśmiechem. – Nie wiem, jaki stąd

wyciągniesz wniosek.

Napój energetyczny najwyraźniej podziałał na psa, bo Bosse wstrząsnął się, a potem okrążył dwukrotnie stół ku wyraźnemu przerażeniu Miny i zachwyтови Pедера. Zaczął trzecie okrążenie i kiedy mijał Christera, ten złapał go za sierść.

– Siad, Bosse – powiedział zdecydowanie.

Pies posłuchał natychmiast, usiadł obok Christera i spojrzał na niego radośnie.

Vincent ciekaw był, czy któreś z nich w ogóle go słuchało. Wciąż nie mógł się uporać ze śmiercią Daniela. Przypuszczał, że tamci zdążyli się uodpornić po tylu latach służby.

– *Impaler* – odezwał się Peder. – *Crusher. Zigzag lady. Origami box. Sword box.* Po angielsku brzmi to jakoś lepiej. W „Skrzyni z mieczami” nie ma już tej samej ikry.

– Vincent, czy to już koniec tych iluzji? – spytała Julia.

– Niezupełnie. Bo, rzecz jasna, są też iluzje, w których śmierć tylko czai się w razie pomyłki magika. Jak w *Table of death*. – Spojrzał na Pедера, który słysząc nazwę tej iluzji, wydawał się rozbawiony prawie jak dziecko. – Magik jest przywiązany do stołu i musi zdążyć się uwolnić, zanim na niego spadnie i przebije go wielka płyta z mieczami – ciągnął Vincent. – Albo też musi uwolnić się z kaftana bezpieczeństwa, wisząc głową w dół nad czymś niebezpiecznym, najlepiej na linie, która płonie. No i ulubiony numer Houdiniego *The Water torture cell*. Mistrz uwalniania się z pułapek, w kajdankach na rękach i wisząc głową w dół, musi wydostać się ze zbiornika z wodą, który w dodatku jest zamknięty od zewnątrz na kłódkę.

– To mi się dużo bardziej podoba – stwierdził Peder, ustawiając starannie opróżnioną puszkę na poprzedniej. – Człowiek, który wygrywa wbrew wszelkim oczekiwaniom.

Mówił teraz znacznie szybciej. Potrójna dawka kofeiny zrobiła swoje.

– Dokładnie tak – powiedział Vincent. – Jednym z powodów wielkości Houdiniego było to, że działał w ekonomicznie trudnych czasach i ludzie w większości martwili się, jak sobie dadzą radę. I wtedy pojawia się niskiego wzrostu Żyd, który nie tylko rzuca wyzwanie krępującemu i klaustrofobicznemu otoczeniu, w jego przypadku dosłownie, ale jeszcze z nim wygrywa. Sądzę, że właśnie to pozytywne przesłanie trików Houdiniego mogło uratować niejedną psychikę podczas depresji lat dwudziestych ubiegłego wieku.

– Vincent, to więcej informacji, niż się spodziewałam. Albo potrzebowałam. I nie ma na nie czasu. Ale dziękuję. Mógłbyś mi to napisać w mailu, najchętniej w skrócie? I może sprawdź wśród swoich znajomych, czy do budowy większości z tych iluzji jest potrzebna jakaś konkretna rzecz. Jakiś materiał, specjalne zawiąsy, czy ja wiem. Przekaż to potem Pederowi, który podzwoni do składów

drewna, rekwizytorni i tak dalej, sprawdzając, czy ktoś kupował rzeczy sugerujące, że buduje iluzję. Mina, sprawdź Przyszłość Szwecji, czy przyjmują na siebie odpowiedzialność za śmierć Daniela, czy spróbują zrzucić ją na kogoś innego. Mam też szczerą nadzieję, że prasa przestanie używać durnego określenia sprawcy jako „Houdiniego mordercy”. Ale domyślam się, że oczekiwanie od nich rozumu to zbyt wiele, skoro najważniejsze jest ściganie się o wysokość nakładów.

Znów zapadło milczenie. Vincent zgadywał, że wszyscy myślą to samo. Plan Julii wydawał się beznadziejny. Przez głowę przemknęła mu jakaś myśl, ale kiedy już sądził, że ją pochwycił, znów się schowała. Chodziło o jej słowa, coś z budowaniem...

– Wiem, co myślicie – powiedziała. – To strzał w ciemno. I prawdopodobnie nic nie da. Ale teraz, gdy Daniel nie żyje i ciągle czekamy, co z Raskiem, szczerze mówiąc, nie wiem, co moglibyśmy jeszcze zrobić. I wiesz co, Peder, ty jesteś dobry w wydłubywaniu nowych tropów.

Sains Bergander też mówił coś o budowaniu. Że trzeba te konstrukcje przeprojektować. Do Vincenta dotarło nagle, co to znaczy. Próbował skontaktować się i umówić z Sainsem, odkąd sfotografował skrzynię z Robertem. Jednak Sains nie odbierał. Zresztą już raz powiedział, że nie wie, kto mógł zbudować skrzynię z mieczami, w której zginęła Tuva. Tyle że Vincent pytał nie o to, co trzeba. Sains wiedział znacznie więcej. Vincent wyjął telefon i od razu zadzwonił. Odezwała się poczta głosowa. Sains miał wyłączony telefon. Jasny gwint. Trzeba się z nim skontaktować jak najszybciej.

PRZERAŻENIE MINY NARASTAŁO, im bliżej było do jej mieszkania. Przebywanie w taksówce, w dodatku z psem, wywołało u niej na tyle silną reakcję lękową, że jej oddech stał się szybki i jednocześnie płytki. Siedzący obok niej Vincent pomagał jej zapanować nad oddechem. Bosse został umieszczony z tyłu auta typu kombi.

– Robisz wdech i liczysz do czterech – powiedział, oddychając razem z nią. – Przytrzymaj i na cztery robisz wydech. Przytrzymaj.

Odetchnęli tak kilka razy. Po pewnym czasie poczuła, że krew znów się utlenia, łatwiej jej było myśleć, kiedy adrenalina przestała już szaleć w mózgu.

Przejechali przez rondo przy Gullmarsplan, Mina poczuła, że jest coraz bliżej swojej oazy, czystego mieszkania prawie bez bakterii. Swojego azylu, gdzie przynajmniej chwilami mogła czuć się czysta. A teraz koniec z tym. Jej mieszkanie przeżyje nieodwołalną inwazję wszystkich tych cząstek, bakterii, mikroorganizmów i wszelkich okropności, które na swoim porośniętym sierścią grzbiecie nosił Bosse.

– A właściwie czyj to pies? – spytał Vincent. – Bo zakładam, że nie twój.

Mina pokręciła mocno głową.

– Kogoś... znajomego... kto wylądował w szpitalu. Musiałam się nim zająć. Trochę za szybko się to stało.

Zrobiła pauzę. Czuła opór przed proszeniem o pomoc. Byłaby oznaką słabości. Że sobie nie radzi sama. Że nie jest niezdobytą i samowystarczalną fortecą na wszystkich poziomach życia. Prośba o pomoc oznaczałaby dopuszczenie kogoś do siebie. Dlatego nie prosiła nikogo z kolegów. Świadczyłoby to o stosunkach przyjacielskich, a tych przecież nie było. Nie chodziła do nich na kolacje, nie wypytywała o ich życie prywatne. Czasem i tak mówili o sobie, jakby nawet nie zauważali, że nigdy nie odpowiada, nie komentuje, przede wszystkim zaś nigdy nie rewanżuje się, opowiadając o sobie. Wiedziała, do czego by to doprowadziło, gdyby się otworzyła. A więc nie miała wyboru.

– Mógłbyś... czy mógłbyś wziąć Bossego? – spytała. – Mogę w podziękowaniu upiec tort dla twoich dzieci. Chociaż nie, nie mogę. Ale mogę zaoferować... kupny?

Teraz to Vincent pokręcił głową.

– Wziąłbym go chętnie, a Bosse byłby na pewno zachwycony, bo koło mojego domu jest las, ale Maria ma alergię na sierść. Czyli nie byłoby to dobre, zważywszy na to, jak ten pies linieje.

Była to ostatnia rzecz, jaką Mina chciałaby usłyszeć. Nie musiała się odwracać, żeby przed oczami stanęła jej chmura z sierści unoszącej się wokół Bossego. A w tym kłębowisku mnóstwo rozmaitych żyjątek. Zacisnęła powieki i wzdrygnęła się.

– Nie masz nikogo innego, kogoś mogłabyś poprosić?

Odwróciła twarz.

– Nie planowałam, że tak będzie – powiedziała cicho. – Decyzja, że będę żyła sama, nie zapadła z dnia na dzień. Praca... Praca jest moją rodziną.

Kiedyś dawno temu miała przyjaciół. Nawet rodzinę. Jednak ciąg zdarzeń uszeregowanych jak złota droga Dorotki do czarnoksiężnika w Krainie Oz nieodwołalnie zaprowadził ją w jedynym możliwym kierunku. Odtrąciła kolejno wszystkich. Świadomie czy nieświadomie, sama nie wiedziała, jak było. Jednak praca wystarczyła jej, niczego więcej nie potrzebowała.

Wzruszyła ramionami, wpatrując się w podłogę taksówki.

– Życie po prostu tak mi się ułożyło. Chyba nigdy nie miałam wrażenia, że mam wpływ na to, co mi się przydarza...

Vincent słuchał w milczeniu. Była mu za to wdzięczna.

Taksówka podjeżdżała pod dom, jej puls znów przyspieszył.

Bosse czekał ze swojego miejsca w otwartym bagażniku, a kierowca patrzył na niego gniewnie w lusterku wstecznym. Mina poczuła, że jest w pułapce. Nie знаła nawet nazwiska właścicieli Bossego, tym bardziej ich numerów telefonu. Na spotkaniach AA używano tylko imion, czasem nawet tego nie. Kenneth. I jego żona. Wiedziała tylko tyle. W głębi duszy miała nadzieję, że już się z nią próbowali skontaktować, żeby go zabrać. Że żona Kennetha szybko doszła do siebie i teraz jadą do domu, więc zaraz będą chcieli odzyskać psa. Jednak nie, żadnego znaku życia. Rozumowała w ten sposób, że im i tak łatwiej będzie znaleźć ją. Wiedzieli, że jest policjantką i nosi niezwykłe imię Mina. Była jedyną policjantką w Sztokholmie o tym imieniu. A może już czekają pod jej domem? Nie. Kiedy taksówka wyjechała zza rogu i zatrzymała się przed jej bramą, nikogo tam nie było.

Może Dziewczyna z delfinem wie, jak się z nimi skontaktować, ale jak ją znaleźć? Wiedziała tylko, że ma na imię Anna.

Jej panika narastała. Bosse czekał i rzucał się w pomieszczeniu bagażowym.

Wysiadła możliwie jak najszybciej.

– Pojadę dalej tą taksówką – odezwał się Vincent.

– Ile ci będę winna? – spytała, wciągając głęboko do płuc ciepłe, świeże powietrze.

– Ten kurs pójdzie na konto ShowLife Productions. Umberto wprowadzie o tym nie wie, ale nie szkodzi.

Kierowca wysiadł, by wypuścić Bossego. Pies skakał wesoło wokół Miny, która robiła desperackie uniki, żeby jej nie dotknął. Smyczą rzucało na wszystkie strony. Kierowca z kwaśną miną ostentacyjnie chwycił smycz i podał jej. Po paru sekundach wahania wzięła ją.

Ale głupio.

Po prostu beznadziejnie.

Pozostaje jej tylko zacisnąć zęby. Sama jest sobie winna. Wstukowała kod do bramy, otworzyła i weszła po schodach na piętro, podczas gdy taksówka z Vincentem odjechała. Powoli wyjęła klucze z kieszeni i włożyła do zamka, poruszając nimi chwilę, zanim kliknęło i mogła otworzyć. Wciąż mogła zmienić zdanie. Jej bańka mogła pozostać nienaruszona. Skoro postawiła dumę przed świętością swego domostwa, to nie miała odwrotu. Nacisnęła klamkę. Bosse natychmiast włożył nos w szparę i zanim zdążyła się zorientować, drzwi były na tyle otwarte, że wcisnął się do środka.

To było jak eksplozja w samym środku jasności i powściągliwości. Wystarczyło kilka sekund, a wpadł kolejno do salonu, do sypialni, kuchni, łazienki, wszędzie węsząc, ocierając się, zostawiając za sobą sierść; przez chwilę krążyła w powietrzu, by powoli, powoli opaść na podłogę. Mina zapatrzyła się na kłaczek, który już zdążył przylgnąć do boku kanapy. A jeszcze przedwczoraj jeździła po niej ręką owiniętą taśmą klejącą, żeby zebrać jak najwięcej cząstek kurzu. Te cząstki były w tej chwili jej najmniejszym zmartwieniem.

Zamknęła za sobą drzwi. Łzy piekły ją pod powiekami, klatka piersiowa unosiła się i opadała w urywanym oddechu. Bosse jakby wyczuł, że coś jest nie tak. Przybiegł, usiadł przed nią na chodniku w przedpokoju i przekrzywił uszy. Mina nie była w stanie znieść myśli, jak to wszystko łązi po nim, zsuwa się, pełza po jej kanapie, po podłodze, narzucie na łóżko, dywanie w salonie, po stole kuchennym, po podłodze w łazience, po jej prysznicu, lodówce, ekspresie do kawy, jej ubraniach, jej...

Szarpnęła drzwi i wypadła z mieszkania. Bosse za nią. Szybko zamknęła drzwi, usiadła, opierając się o nie, i mocno chwyciła smycz. Trzęsącymi się rękami wyjęła telefon. Tym razem poświęci swoją dumę.

VINCENT PRZYSTANAŁ na środku kuchni, w ręce trzymał swoją komórkę. Takiego telefonu się nie spodziewał. Przeszedł do salonu, jednocześnie porządkując myśli.

– Co masz taką minę? – spytała Maria z kanapy. – Kochanka nie chce już uprawiać z tobą seksu przez telefon?

Siedziała, racząc się żelkami. Według Marii słodczyce były w porządku, pod warunkiem że wegańskie. Wprawdzie sama nie była weganką, ale widać okazywały się zdrowsze. Nie miał serca mówić jej, że cukier pochodzi z rośliny.

– Nie, rozmawiałem właśnie z Ulriką – odparł. – Twoją siostrą.

– Wiem, kto to.

Maria włożyła do ust dwa żelki: czerwony i zielony. Była zdania, że są smaczniejsze, jeśli się pomiesza kolory.

– Chce się spotkać – powiedział. – Porozmawiać o Rebecce. Myślę, że... wydaje się, jakby mnie jednak posłuchała. W sprawie zaprowadzenia Rebecki do przychodni psychiatrycznej.

Maria zgmiotła głośno, agresywnie torebkę z żelkami, ale nic nie powiedziała.

– Nie wydawała się wcale taka rozdrażniona i uparta jak zwykle – ciągnął. – Wprost przeciwnie. Chyba się naprawdę zastanowiła.

– Nie podoba mi się, że się spotykasz z moją siostrą – odezwała się Maria. – Dobrze wiesz, że się nie poddała, jeśli chodzi o ciebie. Nawet nie zmieniła nazwiska i została przy twoim.

Bezradnie rozłożyła ręce. Powinien był się domyślić, że tak zareaguje.

– Przecież nazwisko zachowała ze względu na dzieci – tłumaczył. – Wiesz, że tak. Czasem muszę się z nią spotykać. W końcu jest matką dwojga z trójki moich dzieci. Musimy wypracować wspólny pogląd na niektóre sprawy. Nie chciałbym, żeby Rebecka i Benjamin cierpieli na skutek niekonsekwentnego traktowania. I akurat w tej sprawie zarówno ona, jak i ja musimy wyrazić pisemną zgodę, ażeby tak się stało.

Maria ponownie otworzyła torebkę i włożyła do ust trzy żelki naraz. Nie widział, w jakich kolorach.

– I tak mi się to nie podoba – odparła. – Jako matce jednego z trojga twoich dzieci. To kiedy się spotykacie?

– Za miesiąc. Wiesz, zajęta adwokatka. Mamy się spotkać na mieście. Na neutralnym gruncie. Ona wybiera się na kolację z grupą kumpelek, przedtem się spotkamy i porozmawiamy.

– Aha. W takim razie dobrej zabawy. Na pewno nie będę czekać do twojego powrotu.

– Spotykamy się o siódmej.

Maria wzruszyła ramionami i zaczęła szukać pilota, który zawieruszył się między poduszkami na kanapie. Najwyraźniej było po rozmowie. Vincent westchnął. I znów, jak już bywało, miał wrażenie, że zrobił coś nie tak, tylko nie wiedział co.

– Szczęśliwa jesteś? – spytał nagle.

Nie planował tego, nie wiedział, że wydobędzie z siebie te słowa, dopóki sam ich nie usłyszał. A wtedy było już za późno, żeby je cofnąć.

– Co mówiłeś? – spytała lekko nieobecny tonem.

Odwróciła nieco głowę w jego stronę, ale nie odrywając oczu od czołówki *Ślubu od pierwszego wejrzenia*. Wiedział, że ogląda serwis streamingowy i mogłaby w każdej chwili zrobić pauzę, gdyby rzeczywiście chciała porozmawiać. Jednak wolała nie.

– Nic takiego – odparł.

Prawda była taka, że nie wiedziałby, co powiedzieć dalej.

PEDER JECHAŁ WŁAŚNIE do domu, kiedy zadzwoniła Mina. Natychmiast zawrócił. Prośba o pomoc była z jej strony czymś niezwykłym. A prośba prywatna nie zdarzyła się nigdy, o ile pamiętał. To jakby kometa Halleya wróciła już po trzydziestu pięciu latach. Lubił Minę, a w jej głosie dosłyszał desperację. Dlatego, choć mu się właściwie spieszyło do domu, zawrócił. Nigdy u niej nie był, ale łatwo trafił z pomocą GPS-u.

– Cześć.

Mina pokiwała mu lekko ręką, kiedy wysiadł. Wstała z chodnika, podniosła plastikową torebkę, na której siedziała, i podeszła zdecydowanym krokiem, trzymając mocno smycz Bossego. Pies na widok Pedera podskakiwał radośnie, wywiesiwszy ozór, a Peder zdał sobie sprawę, że uśmiecha się szeroko.

Uważał, że golden retrievery mają w sobie coś takiego, co powoduje, że człowiek czuje łaskotanie w brzuchu. Wszystko, co się wokół nich dzieje, sprawia, że wpadają w zachwyty. Gdyby miał się urodzić ponownie, tym razem jako zwierzę i mógł wybrać które, bez wątpienia wróciłby do żywych jako golden retriever.

– Dziękuję – powiedziała, podając mu smycz.

Peder kiwnął głową. Domyślał się, że nie powinien się za bardzo rozwodzić nad tym, że się do niego zwróciła.

– Zadzwon, gdyby zgłosili się właściciele – powiedział, otwierając tylne drzwi dla psa.

Widział jej oczy utkwione w psa na tylnym siedzeniu, ręce jej lekko drżały. Potrafił odgadnąć jej myśli. Jemu psia sierść zupełnie nie przeszkadzała. Już od dawna nie zaliczał swojego volvo do pojazdów szczególnie higienicznych. Ani on, ani Anette nie byli zbyt porządnicy, a odkąd na świat przyszły ich trojaczki, zupełnie się poddali. Kątem oka zobaczył, jak Bosse liże siedzenie dokładnie w tym miejscu, gdzie przedwczoraj wymiotowała Molly. Zdał sobie sprawę, że najmańdrzej będzie nie wspominać o tym Minie.

– Zadzwonię, jak się tylko odezwą – odpowiedziała.

– A właśnie. – Peder już wsiadał, ale zatrzymał się w pół drogi. – Byłbym zapomniał. Wpadłem do Fab Fika w Hornstull. Pomyślałem, że jeśli Daniel widział kogoś podejrzanego, to może inni też. Jednak nikt nie widział żadnego klienta ze szkicami.

– No oczywiście.

– I nawet domyślałam się dlaczego, bo ja zostałam dostrzeżony przez obsługę dopiero po pięciu minutach. Tacy byli zajęci prywatnymi rozmowami. Klienci byli dla nich zdecydowanie mniej ważni. – Pokręcił głową. – Ta dzisiejsza młodzież i tak dalej – dodał.

– Twoja trójka nigdy taka nie będzie – odparła Mina i uśmiechnęła się.

– Nie, skąd. Zostaną nauczone manier, a jeśli któraś w ciągu trzech minut od powrotu tatusia z pracy nie poda mu cappuccino, zostanie poszczuta psem. W piance będzie musiał być portret tatusia.

Wsiadł do auta, Mina podniosła rękę na do widzenia.

Zobaczył, że podchodząc do swojej bramy, trzyma się prosto, zupełnie inaczej, niż kiedy przyjechał.

Półtorej godziny później był w domu. W związku z tym, że zawrócił, trafił na najgęstszy ruch i jazda do domu zabrała mu dwa razy więcej czasu niż zwykle. Bosse spał jak zabity na tylnym siedzeniu, ale w momencie, gdy Peder skręcił na podjazd i zatrzymał się, usiadł i rozejrzał się ciekawie.

Po otwarciu drzwi wyfrunął z auta, Peder ledwo zdążył złapać smycz, gdy pomknął przed siebie. I mniej więcej w tym momencie, stojąc na swoim podjeździe, Peder zaczął zdawać sobie sprawę, że może to nie był jeden z jego najmądrzejszych pomysłów. Utwierdził się w tym po otwarciu drzwi, kiedy usłyszał głos Anette, płynący kaskadą z łazienki.

– No więc ja już nie mam siły, składam wypowiedzenie, nie przespały ani minuty w ciągu całego dnia, chociaż tak, spały minutę, ale nie jednocześnie, a ja w nocy też nie spałam, tak, wiem, że miałam cię obudzić, ale ty byś spał, nawet gdyby wybuchła wojna światowa, a ja i tak nie spałam i bym nie zasnęła, więc to jest moja dwudziesta godzina czuwania, a Molly właśnie obrzygała Meję i kiedy już przebrałam obydwie, to Majken zrobiła kupę, który która jej przeciekła przez pieluchę, no i teraz muszę ją znów przebrać, i jasna cholera, ale ja się na to nie pisałam, miałam mieć jedno dziecko, jedno cholerne dziecko, trzymać je na rękę i wyglądać jak któraś z tych celebrytek na okładce „Mamy”, i być fantastyczna, i matczyzna, popijając latte i pojadając kulki z nasion chia, nikt mnie nie ostrzegł przed tym piekłem pełnym kup i rzygów, jeśli jeszcze jedna rzecz pójdzie mi dziś nie tak, to, kurde, skoczę z mostu, słyszysz, Peder, jeszcze jedna jedyna rzecz i skaczę.

Bosse zaskomlał, szarpiąc smycz, ale Peder szybko pociągnął go za drzwi, które zamknął cicho. Wyjął telefon i wysłał żonie esemesa, że dostał pilne wezwanie do pracy. Następnie odszukał pewien adres. Przez chwilę zastanawiał się, czy może najpierw zadzwonić. Ale schował telefon do kieszeni.

Lepiej się nie zapowiadać.

Z POKOJU BENJAMINA dochodziły dziwne stłumione dźwięki. Vincent stał pod drzwiami i już miał pukać, ale się wstrzymał. Chciał zrozumieć, jakiej muzyki słucha jego syn, znaleźć jakieś odniesienia, których mógłby użyć w rozmowie dla podtrzymania relacji z synem. Nie miał ambicji, żeby być tak zwanym luzackim tatą. Była to kategoria ludzi, którą z trudem trawił, osób, które ciągle podkreślały, że są „soft” albo „mega”. Zwłaszcza w odniesieniu do własnych dzieci. Niemniej łatwiej jest rozmawiać o poważnych sprawach, jeśli się najpierw znajdzie jakiś wspólny mianownik.

W dodatku zainteresowania dzieci i ich muzyczne gusta były dla niego pewnym wyzwaniem. Zapewne nie pomyślały o tym, ale fundowały mu dzięki temu doświadczenia, których nie miałby bez nich. A takie regularne dostarczanie umysłowi nieoczekiwanych wrażeń to zdecydowanie najlepszy sposób na utrzymanie go w formie. Aż dziw, że nie wszyscy ludzie to rozumieją i robiąc to samo przez całe życie, w większości są nawet zadowoleni. Vincent nigdy nie potrafił tego pojąć.

Przyłożył ucho do drzwi; nie mógł się zdecydować, co sądzi o muzyce, którą tego dnia wybrał sobie do słuchania Benjamin. Niby niezła, ale brakowało jej jakiegoś kontekstu. Brzmiała trochę jak muzyka cyrkowa w wykonaniu kapeli nożowników. Cyrk nożowników. Zanim zdążył zatrzymać rozpędzone myśli, przed oczami stanęły mu obrazy z takiego cyrku, zapach unoszący się nad areną, napisy na afiszu. Odgłosy już znał. Zapukał sześć razy, trzy razy po dwa puknięcia, dotknięcie knykциями drewna przywróciło go do rzeczywistości. Nie doczekał się reakcji ze środka, więc otworzył drzwi i wszedł, rzuciwszy szybkie spojrzenie na komputer stacjonarny Dawida, gdzie na Spotify grał zespół o nazwie The Tiger Lillies. Trzej demonicznie umalowani bladzi faceci w melonikach, robiący dziwne miny. Niewiele się pomylił.

Benjamin leżał na łóżku z laptopem na brzuchu. Na uszach miał słuchawki i był zupełnie pochłonięty jakimś wykładem na YouTubie. Przypuszczalnie nawet nie słyszał muzyki. Zareagował dopiero, gdy Vincent usiadł na brzegu łóżka. Wtedy zatrzymał film i podniósł wzrok, ale został w słuchawkach.

– Co oglądasz? – spytał Vincent.

– To superciekawe. Wyobraź sobie, że jesteś w grupie żołnierzy, którzy zostali zwyciężeni przez wroga i żeby nie pójść do niewoli, wolicie popełnić zbiorowe samobójstwo. Sęk w tym, że z powodów religijnych nie wolno wam odbierać sobie życia.

– Benjaminie, mam się martwić? – Vincent zmarszczył czoło. – To mi wygląda na fanatyzm.

– Nie jestem żadnym terrorystą – westchnął Benjamin. – Chodzi o problem matematyczny. To się podobno wydarzyło naprawdę, żydowscy żołnierze zostali schwytani przez Rzymian. Wyobraź sobie, że jesteś jednym z żołnierzy i siadacie w kręgu. Ty zabijasz tego na lewo od ciebie, następny kolejnego na lewo od siebie. I tak dalej. W końcu wszyscy są martwi z wyjątkiem jednego, który jest zmuszony żyć. Ale powiedz, że chcesz być tym jednym! Jeśli wiesz, od którego zaczyna się zabijanie, i znasz liczbę miejsc w kręgu, na którym miejscu, licząc od niego, powinieneś usiąść, żeby być tym, co zostanie?

– Nie masz nic trudniejszego? – odparł Vincent. – Chociaż problem matematyczny jest ciekawy. Jeśli liczba osób w kręgu wynosi dwa do potęgi, przeżyje zawsze ta, od której się zaczęło, czyli na miejscu numer jeden. A więc jedyne, co należy zrobić, by przeżyć, niezależnie od liczby osób w kręgu, to najpierw policzyć je i odjąć potęgę liczby dwa. Powiedzmy, że jest dziewiętnaście osób. Wtedy należy odjąć szesnaście. Następnie bierze się tylko tych, co zostali, w tym przypadku trzech, ale podwajamy to, bo trafienia omijają co drugą osobę, czyli te, które zmarły. I dodajemy to do pozycji startowej, czyli pierwszej. Jeden plus trzy plus trzy. To daje siedem. A więc z dziewiętnastu osób w kręgu przeżyje ta na miejscu numer siedem.

Benjamin wzruszył ramionami. Vincent oczekiwał nieco więcej entuzjazmu dla swojego znakomitego wywodu, ale Benjamin był nastolatkiem, czyli Vincent powinien pewnie uznać za komplement już to, że jego syn nie zasnął.

– À propos ludzi, którzy się nawzajem zabijają, jak idzie z tym Houdinim mordercą? Zrobiliście jakieś postępy?

– Proszę, żebyś go tak nie nazywał – powiedział Vincent, opierając się o ścianę i wciągając nogi na łóżko. – W tych morderstwach naprawdę nie ma nic magicznego. A tym bardziej w dochodzeniu. Kiedy wreszcie wpadłem na coś konkretnego, nastąpiło gwałtowne zahamowanie.

– Co się stało?

– Człowiek zginął.

Vincent zobaczył, że jego syn zbladł jak ściana. Benjamin zamknął laptopa i usiadł obok ojca.

– Próbowałem skontaktować się ponownie z Sainsem w sprawie tych skrzyń – powiedział Vincent. – Ale nie odbiera telefonów i nie odpisuje na maile. Wiem, że ma zwyczaj zamykać się w swojej bańce, kiedy pracuje nad jakimś dużym projektem. Nic nie poradzę, mogę tylko czekać. A jeśli będę za bardzo nalegać, w ogóle mi nie pomoże. Te skrzynie to jedyne, co teraz mam. Chociaż wciąż wydaje mi się, że daty i godziny popełnienia tych morderstw są jakimś komunikatem. W przeciwnym razie po co zostawiałyby te rozbite zegarki? Po co by dzwonił i podawał nam właściwą datę śmierci Roberta, ryzykując przy tym, że zostanie zlokalizowany? Nie, coś nam umyka.

Benjamin podszedł do komputera stacjonarnego i spauzował Spotify.

– Właśnie, a kiedy wydarzy się następne morderstwo? Ile zostało wam czasu, żeby to rozgryźć?

– Wiem nie więcej niż ty, więc się nie gorączkuj. Doprawdy nie ma powodu, najwyżej morderca zdąży zaatakować ponownie, i to tylko na skutek mojej tępoty.

Benjamin kliknął na dokument, nad którym zaczęli pracę kilka miesięcy temu. Był denerwująco pusty, jeśli pominąć nieliczne podstawowe informacje.

– Po pierwsze, nie wiemy, ile cyfr wchodzi w skład każdego fragmentu informacji w kodzie – myślał głośno Benjamin. – To znaczy mamy daty i zegarki. Również ponumerowane zwłoki. Czy numer jest częścią kodu? Morderstwo Agnes wydarzyło się 13 stycznia o godzinie 14.00. Czyli mamy 13-1-14. Chyba że 14-13-1. Agnes została też oznakowana cyfrą 4. Czy ta czwórka powinna być włączona? I kod brzmi 4-14-13-1? A może czwórka ma być na końcu? Widzisz, jak trudno się w tym połapać?

Vincent patrzył na ekran monitora na biurku Benjamina. Poczł, że siedzi na czymś twardym, i odwinął koldrę, żeby to usunąć. W tym samym momencie pomyślał, że może jego syn specjalnie schował tam coś, ale już było za późno. Pod koldrą znalazł książkę zatytułowaną *Applied Cryptography*. Aż się musiał uśmiechnąć. Rzeczywiście pornografia, chociaż osobliwa.

– Morderca chce, żebyśmy to rozgryźli – powiedział Vincent. – Nie komplikowałyby tego za bardzo. Daty i godziny to ten sam typ informacji. Dane kalendarzowe. Ale numeracja już nie. Nadal jestem przekonany, że chodzi o odliczanie wsteczne i tylko tyle. A co do kolejności, gdybyś miał podać porę i określoną datę, jak byś to powiedział? Powiedz, kiedy się urodziłeś.

– Urodziłem się 11 listopada o 23.03... A, rozumiem.

– Właśnie. Podajesz dzień, miesiąc i na końcu godzinę. Oto twoja kolejność.

– Słyszę, co mówisz, Mistrzu Mentalisto.

Mówiąc to ostatnie, Benjamin poruszył jedną brwią.

– Sam nie wiem – skomentował Vincent. – Zaczynam podejrzewać, że moje dzieci są równie bystre jak ja.

– Bystrzejsze – powiedział Benjamin z udawanym kasznięciem.

Zamknął dokument. Na ekranie pojawiły się zdjęcia Agnes, Tuvy i Roberta w towarzystwie muzyki z *Gwiezdných wojen*. *Darth Vader's theme*. Obrócił się na krześle z nieznośnie zadowoloną miną. Vincent nie wiedział, czy chwalić syna za prezentację w PowerPoincie, czy się martwić. Spod zdjęć wypłynęły teraz, mieniając się, daty morderstw wraz z tytułem: *Polowanie na Houdiniego mordercę*.

– Naprawdę uważałeś, że takie mieniające się cyfry są na miejscu? – spytał.

– O co chodzi, przecież mienia się na czerwono! Tato, teraz bądź cicho i słuchaj. Mamy morderstwo Agnes: 13-1-14. Tuvy 20-2-15. Roberta 3-5-14. Zastosowałem matematyczne podejście do dat i godzin. Dodawałem je, szukałem ciągów liczbowych i tak dalej. Nic mi to nie dało. Obaj od początku próbowaliśmy podejść do tego jak do szyfru, więc to również skreśliłem. Wreszcie spróbowałem przełożyć cyfry na inne formaty, jak częstotliwości światła, promieniowania albo radiowe, na miary długości, współrzędne. Nic. Wciąż brak czwartego elementu układanki, czyli morderstwa, którego staracie się unikać.

– Mhm – mruknął w zamyśleniu Vincent. – Wpisz sekwencje cyfr z dat i godzin do Google.

Benjamin zrobił, co mu kazano.

– Śmieszna rzecz. Wszystkie te sekwencje są również kodami pocztowymi. Do miast za granicą.

Vincent się ożywił.

– Do jakich miast?

– Blainville, Washington i Mexico w stanie Nowy Jork. To na pewno tylko przypadek.

– Wpisz te trzy nazwy do wspólnego wyszukiwania w Google – powiedział Vincent.

Poczuł w środku poruszenie, instynkt, przecucie, jak zwał, tak zwał, ale mówiło mu, że są na właściwym tropie. Benjamin wpisał „Mexico Blainville Washington” i kliknął.

– Zaraz zobaczymy – powiedział. – Najpierw mamy kilka planów podróży między tymi miastami, ale zostały wygenerowane automatycznie, więc z nimi możemy sobie dać spokój. Następnie mamy trzy książki. *Gulf of Mexico Origin*, jedna *Mollusca...* i coś oraz *Mammals of Mexico*. Śmieszna rzecz. Ta ostatnia ma nawet odsyłacz do konkretnej strony.

– Ta. – Vincent wskazał tę ostatnią. – Wyróżnia się. Za bardzo charakterystyczna. Sprawdź ją.

Coś mu ta książka przypominała. Aż za bardzo. Benjamin kliknął na linki do wszystkich trzech i porównał.

– Masz rację – stwierdził po kilku sekundach. – Spójrz tutaj. W pierwszych dwóch książkach poszukiwane słowa są rozrzucone po całym tekście. A w ostatniej jest tylko ten jeden odsyłacz. Strona 873.

Benjamin kliknął na link do *Mammals of Mexico*, Google wyświetlił mu PDF z podaną stroną i trzema wyszukiwanymi słowami zaznaczonymi na żółto. Vincent nie zwrócił na nie uwagi. Ciągle był myślami przy ssakach Meksyku. Bardzo to znajome. Dopiero wtedy spojrzął na numer strony.

– Strona 873 – powiedział, wskazując numer. – To data. Ósmy siódmy. Ósmy lipca. A w związku z tym, że do pozostałych morderstw doszło o godzinie 14.00 i 15.00, można przyjąć, że trójka na końcu oznacza trzecią po południu. Godzinę 15.00. To nie może być przypadek. Sądzę jak ty, że morderca chciał nam ułatwić. Nasz błąd polega na zbyt zawikłym myśleniu. Wystarczyło jedno proste googlowanie, żeby uzyskać ostatnią datę.

Vincent z zadowoleniem oparł się znów o ścianę. Powinien zaraz zadzwonić do Miny. Jednak coś go uwierało. Jest tego więcej.

Ósmy lipca.

Nie, chodzi o coś innego.

Zazwyczaj łatwo potrafił szukać we własnej pamięci i trafić na to, co mu potrzebne. Pod warunkiem, że od początku miał w niej zapisane to wspomnienie. Ósmy lipca to zbyt wczesne wspomnienie. Zbyt dawno temu. Był wtedy mały. Zwierzęta w Meksyku.

Na ekranie szczerzył do niego kły lampart. Widział już tę książkę.

W marcu.

W biurze u Umberta. Leżała tam od grudnia.

Ponieważ...

Ponieważ ktoś mu ją przysłał.

Wyskoczył z pokoju syna i pobiegł do swojego gabinetu.

– A kiedy mi za to zapłacisz? – zawołał za nim Benjamin. – Faktem jest, że pomogłem ci dotrzeć do rozwiązania!

Vincent miał osobną szafkę na książki, które dostał w prezencie, wprawdzie nie zamierzał ich czytać, ale nie potrafił wyrzucić. Bo książek się nie wyrzuca i tyle. Nie musiał długo szukać. Była to prawdziwa cegła, z lampartem w całej swej okazałości na okładce. *Mammals of Mexico*, autor Gerardo Ceballos. Ta sama, którą przed chwilą widział na ekranie u Benjamina.

Miał tak spocone ręce, że upuścił ciężki album, ale zaraz podniósł i gorączkowo przekartkował do strony 873. Aż mu zabrakło tchu. Była cała pokreślona czerwonymi liniami. Wyglądało to, jakby ktoś chciał, żeby książka krwawiła. Kartkował tam i z powrotem, ale żadna inna strona nie była pokreślona. Między liniami było coś jak czerwone kleksy, ale to nie one sprawiły, że mu dech zaparło. To słowa obok. Zapisane na czerwono. Zdecydowanym charakterem pisma. Odczytał wiadomość kilka razy.

Cześć, Vincent,

sprawiłbyś mi wielki zawód, gdybyś sądził, że ósmy lipca to data kolejnego morderstwa. Naprawdę nie pamiętasz? Jeśli chcesz mnie znaleźć, to musisz lepiej popatrzeć.

Vincent wciąż nie był w stanie odetchnąć pełną piersią. Za dużo tego, żeby zapanować nad tym myślowo. Musiał podzielić to na mniejsze części, żeby łatwiej sobie z tym poradzić i nie oszaleć. Ktoś wysłał mu książkę z wiadomością. I to na cały miesiąc przed pierwszym morderstwem. Dwa miesiące przed poznaniem Miny w teatrze w Gävle. Na długo przedtem, nim został wciągnięty w dochodzenie.

W całej tej historii w pewnym sensie chodziło o niego.

Cały czas chodziło o niego.

Choć zupełnie nie rozumiał dlaczego.

Oślupiał ze zgrozy.

CHRISTER PATRZYŁ w zamyśleniu na swój regał z książkami. Zastanawiał się, od której książki z „nowej półki” zacząć. Od ostatniej Andersa de la Motte? Czy od Leifa G.W. Perssona? Sprzedawca w księgarni akademickiej wcisnął mu jeszcze debiutancką powieść Alexandra Karima, tego aktora. Jednak kiedy przewrócił kilka stron, nabrał wątpliwości. Podróże w czasie i temu podobne dyrdymały. Nie, wolał tradycyjne kryminały. Choćby Petera Robinsona. Ten się naprawdę zna na rzeczy. Albo Håkan Nesser. Od pewnego czasu nie pojawiło się nic nowego o Van Veeterenie, ale stare książki dawały się czytać po raz drugi, co też Christer robił dość regularnie.

Wolał kryminały z bohaterami rodzaju męskiego, kobiety go irytowały. Zresztą kobiety autorki denerwowały go również jako osoby. Miały mnóstwo poglądów na wiele spraw, na których się zupełnie nie znały. Jeśli miał być szczery, również Leif G.W. miał niemało do powiedzenia o większości spraw. Ale G.W. to zawsze G.W. A wina ma dobre.

Tyle że większość książkowych detektywów nie piła wina, tylko whisky. Christer w związku z tym próbował nauczyć się pić whisky i przez parę miesięcy co wieczór męczył się z jedną szklaneczką. Dodając coraz więcej lodu, żeby dało się to przełknąć. W ostatniej szklaneczce miał głównie lód z kilkoma kroplami whisky. A potem się poddał.

W kryminałach, którymi się zaczytywał w czasie wolnym, pociągało go jednak nie tyle popijanie whisky i domniemany alkoholizm, co ta melancholia. Samotność. Problemy z nawiązaniem jakiejś sensownej relacji. Christer czuł się jak jeden z nich. Jakby sam mógł pojawić się na książkowych kartach w roli bohatera którejś serii. Ciągle wątpiący. Poszukujący. Stale pod prąd. Jeśli miałby być szczery, faceci w tych książkach pracowali ciężiej, niż on by chciał. Może z jednym wyjątkiem: Everta Bäckströma. Ale Kurt Wallander, Van Veeteren, Martin Beck, Alan Banks i Mikael Blomkvist – ależ oni zasuwali. Zasuw i whisky – nie do końca harmonizowało to z jego osobą. Owca

Największym ulubieńcem Christera był jednak Harry Bosch. Z nim miał naprawdę wiele wspólnego, co stwierdził po wielu latach obcowania

z bohaterem kryminałów Michaela Connelly'ego. Czytając pierwszy tom o Boschu, od razu poczuł, że oto odnalazł swego bliźniaka w świecie detektywów, swoje alter ego w literaturze kryminalnej. Wzruszył się niemal do łez. Jakby odnalazł dawno zaginionego brata. Jasne, było sporo różnic. Matka Harry'ego Boscha była prostytutką, podczas gdy matka Christera była świętoszkowatą przejrzałą paniusią, która miała w swoim życiu zaledwie kilka związków, raczej platonicznych. Matka Harry'ego została brutalnie zamordowana, a matka Christera umarła we śnie na udar. Harry Bosch był żołnierzem na wojnie w Wietnamie, a Christer odsłużył wojsko jako ochroniarz w pułku w Arboga.

A jednak.

Podobieństw było wystarczająco wiele, by Christer poczuł się dobrze z tym porównaniem. Jego dom. Dom rodzinny odziedziczony po mamie. Położony na stromym zboczu z widokiem na cieśninę Skuru. Harry miał tak naprawdę na imię Hieronimus po holenderskim malarzu. Christer miał na drugie imię Engelbert. Po wielkim idolu mamy, piosenkarzu Engelbercie Humperdincku. Harry Bosch był leworęczny, tak samo jak Christer, byli nawet tego samego wzrostu. I tak jak Harry Bosch, Christer kochał jazz. Prawdę mówiąc, zaczął go słuchać i kochać ze względu na uwielbienie Boscha dla tego gatunku muzyki. Przyszło mu to łatwiej niż z whisky. W tym momencie miękko leciał w tle *Time After Time* z Chetem Bakerem. Christer i Harry. Tacy podobni. Niesamowicie podobni, stwierdził z zadowoleniem Christer, podziwiając widok z okna.

Zadzwoił dzwonek u drzwi. Kto to może być? Christer podniósł się z fotela uszaka.

Za progiem stał Peder z Bossem na smyczy.

– To ty? – zdziwił się Christer. – Myślałem, że to Mina przyjdzie z psem.

– Dlaczego myślałeś, że Mina przyjdzie z psem? – zdumiał się Peder. – Skąd wiedziałeś...?

Christer nie odpowiedział. Głupie pytanie. Uwierzyłby ktoś, że Mina będzie w stanie zatrzymać u siebie psa? Boże. Iluż to idiotów chodzi po tym świecie. Christer kiwnął, żeby weszli, i odsunął się od drzwi. Pod ścianą stał już wielki wór karmy dla psów.

– Kupiłem mu już karmę w najlepszym gatunku, dwie miski i posłanie.

Nachylił się i odpiął smycz od obroży Bossego. Pies natychmiast poleciał do salonu, żeby wszędzie powęszyć.

– Ale skąd wiedziałeś, że akurat ty... – nie mógł się nadziwić Peder.

Christer wzruszył ramionami.

– Bo to jedyna logiczna możliwość. Tyle że jak zwykle nikt w pierwszej chwili nie myśli o mnie.

W głębi mieszkania odtwarzacz zmienił ścieżkę na *Who Can I Turn To* z George'em Cablesem.

KVIBILLE 1982

SPOJRZAŁ NA swoje koleżanki, które pedałowwały przed nim po żwirowej drodze prowadzącej do jeziora. Kiedy dotrą już na miejsce, Malla, Sickan i Lotta rzucą się z wraskiem do wody, a potem nieodwołalnie będą się z nim drażnić, że nie chce się kąpać, tylko siedzi na skraju lasu. Nic mu to nie szkodziło. Wiedział, że nie mają na myśli nic złego, kiedy mu dogryzają i chlapią na niego wodą. Złe były za to ciemności panujące w jeziorze. Tam, w głębinie, mogło być wszystko. Nic nie widać, więc skąd miałyby człowiek wiedzieć, kiedy może go wciągnąć pod wodę?

Pod kołami roweru chrzęścił żwir. Sam miał wrażenie, jakby mu coś w środku chrzęściło i groziło, że ściągnie go w ciemność. Mroczny cień w jego głowie. Potrzebował Malli, Sickan i Lotty, swoich koleżanek, które robiły zwyczajne, normalne rzeczy. I traktowały go normalnie.

– Słuchaj, ty mały Yodo – zawołała do niego Lotta. – Dodaj gazu!

Miał na sobie ozdobiony zieloną figurką T-shirt należący kiedyś do Jane i chyba mocno przechodzony. Nigdy nie oglądał *Gwiezdnych wojen*, o których rozmawiała cała klasa, ale znał postaci z filmu i wiedział, że dużo fajniejsza byłaby koszulka z Lukiem Skywalkerem albo Chewbacą. Nawet ze złym Darthem Vaderem. Ale Jane powiedziała, że to Yoda jest naprawdę ekstra, bo jest najmądrzejszy.

– I tak jestem wyższy od ciebie – zaproponował, ale dziewczynki zdążyły już zniknąć za zakrętem.

Nacisnął mocniej na pedały, żeby je dogonić. Płaszcz, po który poszedł, akurat kiedy wpadły po niego, leżał zmięty na rowerowym bagażniku. Yoda jest dla palantów. On jest dzisiaj Chewbacą.

Po kąpeli dziewczynki położyły się na ręcznikach, żeby wyschnąć. Chłopiec rozebrał się do majtek, jakby postanowił się wykąpać, ale w ostatniej chwili zmienił zdanie – wiadomo było, że tak zrobi. Słońce grzało. Zgłodniał i pożałował, że nie zabrał trójkątnych kanapek mamy.

– Myślisz, że twoja mama zauważyła, kiedy się zmyłeś? – spytała Lotta. – Staraliśmy się cicho zachowywać, ale może coś usłyszała.

Ojej, tylko nie to. Aż mu się zimno zrobiło. Trzeba było nie myśleć o tych kanapkach, wtedy by nie pytała.

– A w ogóle była w domu? – spytała Mia. – Bo jej nie widziałam.

– Odpoczywała – odparł. – No wiecie. Dobrze, że nie hałasowaliśmy.

Przynajmniej to było bliskie prawdy. Koleżanki pokiwały głowami. Wiedziały, że jego mama czasem tak ma. Potrzebuje wtedy wypoczywać i lepiej, żeby się nie spotykała z nimi. To były dni, kiedy mama była jak ten mrok w jeziorze.

– Chcesz do nas przyjść na obiad? – spytała Sickan. – Bo moja mama zawsze szykuje za dużo jedzenia.

Krople wody na jej brzuchu lśniły w promieniach słońca. Stwierdził z ulgą, że jest ich za dużo, żeby dały się policzyć.

– Chyba nie powinienem...

– Twoja mama nawet nie zauważy, że cię nie ma – odezwała się Malla. – Przecież wiesz, że tak. Chodźmy wszyscy na obiad do Sickan!

Lotta wydała okrzyk radości, a Sickan wybuchnęła śmiechem.

– Mama padnie! Jedziemy do mnie, tylko najpierw wyschniemy.

Oczywiście wiedział, że jego nieobecność w domu nie pozostanie bez kary. Że będą jakieś konsekwencje. Mama czeka na niego. Powiedział jej, że tylko idzie po coś, a zamiast tego pojechał ze swoimi koleżankami. Ale akurat w tym momencie, siedząc na tej słonecznej polanie nad jeziorzkiem, po raz pierwszy w życiu się tym nie przejął. A mrok w jeziorze już nie wydawał się taki straszny.

NALAŁ SOBIE jeszcze odrobinę Balvenie Portwood. Trzecią porcyjkę z rzędu. Dwudziestojednoletnia whisky, od kilku lat jego ulubiona. Aż szkoda jej było, bo tego wieczoru mógłby równie dobrze pić czysty spirytus. Zresztą cokolwiek na uspokojenie nerwów. Jakiś głosik w środku podpowiadał mu, że uspokajające działanie alkoholu jest niewiele znaczące wobec paranoi, jaką również może wywołać, ale dziś nie miał siły wykazać się rozsądkiem. I był za stary, żeby popalać trawkę.

Przed nim na biurku w gabinecie leżały *Mammals of Mexico*. Vincent zamknął książkę, nie chciało mu się znów patrzeć na tę wiadomość dla niego. Kiedy Maria szła spać, powiedział, że musi dłużej popracować. Rebecka i Benjamin nie wrócili jeszcze do domu. Jego starsze dzieci za bardzo sobie pozwalały z tym późnym przychodzeniem. Vincent zgasił górną lampę, zostawiając sobie tylko słabe oświetlenie biurka.

Kręcił się na krześle w przód i w tył, z boku na bok. Prawdę mówiąc, sam nie wiedział, co zrobić. Przypuszczał, że zapewne powinien skontaktować się z Miną. Zadzwoić na policję. I co powiedzieć? Że otrzymał wiadomość od mordercy, którą można odnaleźć jedynie pod warunkiem, że jest się tak samo świrniętym jak on? Obrócił szklankę, bursztynowy napój zakręcił się powoli. Inaczej niż whisky Lagavulin, Balvenie pił bez lodu. Jednak pozostał odruch obracania szklanką, żeby usłyszeć postukiwanie kostek.

Jak zareagowałby Ruben, gdyby mu powiedzieć, że morderca albo ktoś inny, znający datę morderstwa jeszcze przed jego popełnieniem, wiedział również, że Vincent weźmie udział w dochodzeniu, zanim on sam się na to zdecydował? Ruben sądziłby na pewno, że mentaliście coś się pokręciło w głowie. Ruben, człowiek dręczony przez demony. Ciekawe, na ile ten policyjny casanova był świadom swego zachowania. Doświadczenie Vincenta mówiło mu, że u takich samców alfa pod wierzchnią skorupą kryje się coś nader kruchego. Rolą Vincenta nie było zwracanie mu na to uwagi, pewnie zyskałby tylko tyle, że Ruben podbiłby mu oko. Może jednak przyszła pora, żeby ktoś nie tylko porozmawiał z Rubenem, ale również go posłuchał.

Znów upił łyk whisky, jednocześnie łagodnej i palącej. Zamknął oczy. Próbował przez krótką chwilę skupić się wyłącznie na wrażeniach smakowych i zapachowych. Nie dało się. Ciągłe miał przed oczami czerwone litery z tej cholernej lamparcej książki. Znów otworzył oczy.

Wiadomość w albumie kazała mu oczywiście zadać sobie interesujące pytanie. Mianowicie: kto mógł wiedzieć albo przynajmniej zakładać, że będzie współpracował z policją, zanim wiedział o tym on sam. Przychodziły mu do głowy tylko dwie osoby. Po pierwsze, Julia, która zgodziła się, żeby Mina się z nim skontaktowała.

No i sama Mina.

Mina wiedziała. I nawet postarała się obudzić jego ciekawość na tyle, żeby przyjął jej propozycję. Gdyby tamtego wieczoru w Gävle przyszedł do niego ktoś inny, skończyłoby się zapewne na uprzejmej rozmowie i zdecydowanym „nie”. Ale Mina się nie poddała.

Wypił resztę whisky w szklance i nalał sobie następną.

Niemożliwe, żeby to była Mina.

To nie może być Mina.

Sama myśl była absurdalna. Znał ją przecież. Chociaż właściwie nie znał. Jednak wyobraził sobie, że wie, jak ona działa. Boże, wyczuwał jej obecność, nawet kiedy jej przy nim nie było. Wprowadziła się do niego, do jego wnętrza.

Tej książki nie wysłała Mina.

A gdyby jednak.

A jeśli to Mina ją wysłała.

Wzdrygnął się na tę myśl i odepchnął ją od siebie. Zbyt przykra, żeby się nad nią dłużej pochylać. Bo jeśli tak było, wszystko runie.

Później do tego wróci. A jeśli to nie Mina, to kto? Nie wierzył, że mogłaby to zrobić Julia. Pozostaje... nikt. Wstał i zaczął chodzić tam i z powrotem po pokoju. Trzeba zwiększyć dopływ krwi do mózgu, żeby się lepiej myślało. Jednak był zbyt niespokojny, żeby położyć się na podłodze.

Wrócił pamięcią do pierwszego spotkania.

Do wieczoru w Gävle.

Mina siedziała naprzeciw niego.

W barze uczestnicy konferencji z Helsingborga.

Jej słomka.

Jego hamburger.

Moja szefowa zgodziła się, żebyśmy wzięli konsultanta z zewnątrz.

Ktoś mi podpowiedział, żeby z panem porozmawiała.

Ktoś podpowiedział, czyli nie musiała to być Julia. A jeśli nie ona, to kto? Teraz już ma coś, o co ją musi spytać. Z chwilą gdy opowie jej o wiadomości

w książce, zostanie w fatalny sposób osobiście wplątany w sprawę. Najchętniej poczekałby z tym jak najdłużej. Jednak nie chciał utrudniać dochodzenia. Wprost przeciwnie. Przecież musi zapobiec morderstwu.

Zakorkował butelkę i odniósł do szafki w kuchni. W pierwszej kolejności trzeba się dowiedzieć, z kim rozmawiała Mina, by ustalić, kto podsunął jej myśl o włączeniu do sprawy Vincenta.

A potem opowie jej o książce.

Tej, której przecież ona nie mogła mu przysłać.

LIPIEC

MILDA WIEDZIAŁA z doświadczenia, że na wizytę u dziadka powinna przeznaczyć sporo czasu. Dziadek Mykolas i jej mama pochodzili z Grecji, a tata z Litwy. Milda otrzymała imię po litewskiej bogini miłości z czasów pogaństwa. Innymi słowy, niezła z niej krzyżówka, pół Litwinka, pół Greczynka, wychowana w Szwecji. Bezkonkurencyjna kombinacja.

Milda była zdania, że pochodzenie tego imienia ma w jej przypadku dość ironiczny wydźwięk. Nie miała w życiu jakiegoś nadmiaru miłości, w każdym razie nie ze strony mężczyzn. Jej małżeństwo było z tych przeciętnych, praktycznych, a później randkowała też niewiele. Przeszło rok temu zarejestrowała się wprawdzie na Tinderze, lecz stało się to pewnego wieczoru, po samotnym wypiciu w domu zbyt wielu kieliszków wina. A potem nawet się nie zalogowała, żeby sprawdzić. To, co słyszała na temat Tindera, nie było zbyt budujące. Istniało również ryzyko, że trafi tam na ojca swoich dzieci.

– Dziadku? – zawołała, zaglądając do domu, ale nikt nie odpowiedział.

Drzwi wejściowe były jak zwykle niezamknięte na klucz, ale wiedziała, że nie ma sensu zwracać mu uwagi. Jego wiara we wrodzone ludzkie dobro była ujmująca. I groźna. Parę tygodni temu miała na stole sekcyjnym starszego człowieka, zamordowanego podczas włamania do domu. Dwóch młodych facetów torturowało go i zabiło dla zaiste imponującej sumy pięciuset siedemdziesięciu koron.

Przeszła przez kuchnię i salon do drzwi ogrodowych. Wiedziała, gdzie go zapewne zastanie. W ukochanej przez niego szklarni.

Przystanąła na małym drewnianym tarasie, ale go nie zawołała, tylko obserwowała przez kilka minut, czekając, aż ją w końcu zauważy. Ileż to godzin spędziła tu jako dziecko. W ogrodzie małego czerwonego domku w Enskede, tuż

obok lasu. Szklarnię podarowała mu na sześćdziesiąte urodziny. Był to jego mały raj.

Milda patrzyła, jak dziadek chodzi tam i z powrotem za szklaną ścianą. Podlewał trochę tu, trochę tam, wprawnymi palcami dotykał ziemi, czasem szczypnął jakiś martwy liść, rozmawiał z sadzonkami rosnącymi bujnie dzięki jego trosce. Wiedziała, co tam rośnie. Pomidory, chili, papryka i cukinie. Udało mu się nawet wyhodować arbuza. Dla dziadka Mykolasa nie było rzeczy niemożliwych.

W końcu ją zauważył. Rozpromienił się i kiwnął ręką, przywołując ją. Poczula, jak uśmiech rozlewa się po całej jej twarzy, i szybko zeszła po niewielkiej pochyłości do szklarni.

– Cześć, dziadku!

Objęła go, wdychając zapach dojrzewających w słońcu pomidorów, ziemi i miłości. Niby wiedziała, że miłość nie ma zapachu, ale gdyby go miała, pachniałaby jak dziadek Mykolasa.

– Zobacz! – powiedział z dumą. – Spójrz, jakie piękne te kwiaty cukinii! Zerwę kilka i usmażę, wiem, że to uwielbiasz, a reszta niech urośnie, dając piękne owoce.

Zatoczył ręką nad swoim małym królestwem, słuchała, jak opowiadał po kolei o każdej roślinie, w jakim stadium się znajduje. Kochała to. Wiedziała, że jej starszy brat odliczał dni do odejścia dziadka Mykolasa i zostawienia im w spadku domku w Enskede. Do szybkiej sprzedaży. A ją ścisnęło w gardle na samą myśl, że dziadek nie będzie zawsze grzebał w swojej szklarni. Bardzo się różniła od swego brata.

– Jak się ma Adi? – spytał dziadek, jakby czytał w jej myślach.

Adi po litewsku znaczy wilk. Bardzo odpowiednie imię dla jej brata.

– W porządku – skłamała.

Z Adim nigdy nic nie było w porządku. Ciągłe robił jakieś biznesy, które miały uczynić go bogaczem. Biznesy, które przeważnie nie miały wiele wspólnego z prawem. Można by przypuszczać, że rok w więzieniu za oszustwo ubezpieczeniowe powinien go czegoś nauczyć. Ale skąd! Adi był niepoprawny. A jako najstarsze dziecko, syn i oczko w głowie mamusi i tatusia, był absolutnie przeświadczony o swojej doskonałości.

– A Vera i Conrad?

Ze spojrzenia dziadka czytała, że nie ma sensu kłamać na temat swoich dzieci. Więc nie odpowiedziała.

– Wiesz, że Conrad może przyjść i zamieszkać u mnie, kiedy tylko zechce – powiedział poważnie. – Może przydałaby mu się zmiana otoczenia, zwłaszcza teraz, w wakacje. W dodatku w tym domu nie ma ani kropli alkoholu. Mógłby

zostać, jak długo będzie chciał, i tak potrzebuję pomocy przy uprawach, kiedy rozpędzą się na dobre.

– Dzięki, ale teraz jest w ośrodku dla uzależnionych. I musi tam zostać do końca lata. Może potem.

Ugryzła się w język, widząc urażone spojrzenie dziadka. Znalazła synowi kwaterę u obcych, zamiast zwrócić się do własnej rodziny. W świecie dziadka Mykolasa tak się nie robi.

– Myślę, że byłoby mu u ciebie przyjemnie – powiedziała, kładąc dłoń na jego rękę. – Tylko musi nabrać sił.

Dziadek uśmiechnął się.

– Dobrze. Chodź, zrobię kawy.

Wyszedł przed nią ze szklarni i z pewnym wysiłkiem wdrapał się na drewniane schodki na pochyłości. Zabolał ją widok jego chwiejnych ruchów, dawniej był prawdziwym chłopem na schwał, ciągle w ruchu, zawsze aktywny. Ale z głową nadal było wszystko w porządku, umysł miał ostry jak brzytwa, a jako długoletni profesor biologii był dokładnie tym, z kim chciała porozmawiać.

– A więc. Uwielbiam, kiedy wpadasz bez specjalnego powodu. Jednak widzę, że tym razem masz jakiś. Co ci leży na sercu, kochanie?

– Jakiś czas temu miałam na stole chłopaka – powiedziała. – Brutalnie zamordowanego. A to znalazłam w jego żołądku.

Podawała torebkę strunową dziadkowi, który obejrzał ją uważnie, siadając naprzeciw niej przy stoliku pod oknem wychodzącym na drogę.

– Mogę?

Przytaknęła.

Otworzył torebkę, najpierw powąchał zawartość, potem ją wyjął. Kłębek włosów. Część tych, które znalazła w żołądku Roberta. Większość zgodnie z wszystkimi procedurami oznaczyła i wysłała do analizy w Narodowym Centrum Kryminalistycznym. Jednak wiedziała, że w związku ze sporymi zaległościami, jakie tam mają, na wynik musiałyby przypuszczalnie czekać jeszcze z miesiąc. W całej tej sprawie i w historii chłopca było coś takiego, że bardzo jej zależało na szybszej odpowiedzi, niżby mogła jej udzielić centrala. Dziś dziadek rwie się głównie do pracy w swojej szklarni, ale Milda nigdy nie spotkała równie wybitnego biologa. Zresztą zoologa też nie.

– Wydaje mi się, że wiem, co to jest. Ale muszę obejrzeć pod mikroskopem, żeby się upewnić. Zaczekaj tu. Wypij swoją kawę. Zaraz wracam.

Dziadek Mykolas wstał, zauważyła, że skrzywił się przy tym z bólu. Milda popijała kawę, patrząc przez okno. Uwielbiała Enskede. Wychowała się w Bagarmossen, też nieźle, ale Enskede miało pewien staroświecki wdzięk,

czuła się tu mile widziana i u siebie. Być może nie miało to nic wspólnego z dzielnicą, bardziej z tym, że mieszkał tu dziadek. A jednak. Stare krzaki róż. Bez, którego zapach rozchodził się wiosną po całym kwartale. Dzieci bawiące się na ulicy, jak dawniej bywało.

Przed domem przechodził właśnie niski mężczyzna, wydał jej się znajomy, jakby bawiła się z nim w dzieciństwie, ale nie miała pewności. Kiedy w końcu podniosła rękę, żeby mu pomachać, zdążył już pójść.

– Tak jest!

Dziadek wrócił z miną zadowolenia i usiadł po przeciwnej stronie stołu. Znów się skrzywił. Milda zakonotowała sobie, że niedługo trzeba zmusić starego uparciucha do pójścia do lekarza.

– Tak jak myślałem. To sierść zwierzęcia z gatunku wizonów. Słowo pochodzi z francuskiego: *vison* to po francusku norka amerykańska.

Tu zrobił pauzę, a Milda nie zamierzała go pospieszać. Dziadek miał teraz swoją chwilę i cieszył się każdą jej sekundą. Nie chciała go tego pozbawiać. A więc upiła następny łyk kawy i czekała, obserwując go w milczeniu.

– Jest to zwierzę pochodzące z Ameryki Północnej, typ strunowce, podtyp kręgowce. Gromada ssaki. Oczywiście. Osiąga długość od trzydziestu do czterdziestu pięciu centymetrów bez ogona, który może mierzyć trzynastę do dwudziestu trzech centymetrów. Samiec waży od kilograma do półtora, podczas gdy waga samicy to tylko około trzech czwartych kilo. Egzemplarze hodowlane mogą jednak ważyć więcej od dzikich.

Milda kiwnęła głową. Zaczęła się domyślać, o jakie zwierzę chodzi, ale pozwoliła dziadkowi mówić dalej. Był w swoim żywiole, oczy błyszczały mu radością.

– Dawniej zwierzę to zaliczano do tej samej grupy co tchórze pospolite z rodziny mustela, jednak badania genetyczne wskazują na tak duże różnice, że obecnie zalicza się je do rodzaju *Neovison*. A więc, moja kochana, jest to sierść norki!

Triumfalnie podsunął jej kłaczek. Milda przytaknęła. Domyślała się tego od jakiegoś czasu.

– A da się jakoś ustalić, skąd pochodzi akurat ta sierść? Jakiś podgatunek charakterystyczny dla określonego miejsca w Szwecji?

– Niestety nie. Najczęściej norki dzieli się na dzikie i hodowlane, te z ferm. Oczywiście wiesz o kontrowersjach, jakie budzą warunki na tych fermach. Jednak nie ma różnicy między futrem norki dzikiej a hodowlanej.

– Szczerze mówiąc, nawet myślałam, że u nas już nie ma ferm norek.

Milda wstała i poszła do kuchni po dzbanek z kawą, żeby dolać im obojgu.

– Owszem, wciąż są. Nie orientuję się, ile ich jest ani gdzie są, ale takie rzeczy da się na pewno znaleźć w internetach.

Uśmiechnęła się. Dziadek nie był entuzjastą nowoczesnej techniki i upierał się, żeby nie uczyć się poprawnych nazw.

– Gdzie można znaleźć dzikie norki? W jakim środowisku? – spytała, znów siadając.

Na zewnątrz kilkoro dzieci zaczęło grać w bandy, ich radosne okrzyki były dobrze słyszalne przez uchylone okno kuchenne.

– Norki żyją w pobliżu wód. Jezior, różnych cieków i terenów podmokłych. Żywią się rybami, rakami, żabami i innymi drobnymi zwierzętami.

Milda słuchała, jednocześnie myślała intensywnie. Sierść norki. W żołądku Roberta. Co to może znaczyć? Czy w ogóle ma jakieś znaczenie? Cóż, dowiedzenie się tego nie będzie należało do niej. Mogła poprzestać na przekazaniu swoich ustaleń, inni niech zrobią resztę. Uśmiechnęła się do dziadka.

– Dziękuję. Bardzo mi pomogłeś. A teraz opowiadaj. Jaki w tym roku szykujesz ciekawy eksperyment w szklarni?

Dziadek rozpromienił się. Ostrożnie włożył kłaczek z powrotem do torebki, zamknął ją, oparł na stole łokcie i złączył dłonie czubkami palców.

– Więc tak. Pomyślałem, że w tym roku trochę się pobawię, żeby się przekonać, czy uda mi się skrzyżować dwa gatunki marchewki; wydaje mi się, że połączenie London Torg z Early Nantes mogłoby dać fajny rezultat. Chciałbym też skrzyżować dwa z moich gatunków róż. Wydaje mi się, że mogłoby powstać coś naprawdę ładnego z hybrydy Rugeldy i Dream Sequence, owszem, to ta, która również nosi nazwę Astrid Lindgren. Rugelda, jak na pewno wiesz, sama już jest hybrydą rugosy, a Dream Sequens to floribunda. Więc myślę, że...

Milda przypatrywała się dziadkowi, jak z radością opowiada jej o swoich mieszańcach. Znów pomyślała, że musi go częściej odwiedzać. I zaciągnąć do przychodni w Dalen, jeśli trzeba, to nawet siłą.

BALANSUJĄC Z DWOMA talerzykami z kawałkami tortu księżniczki, Vincent zmierzał do stolika, gdzie czekał Sains Bergander. Jeden kawałek przewrócił się i przez chwilę Vincent zastanawiał się, czy go postawić, ale dał spokój. Podeszedł do maszynki do kawy, znajdującej się na środku lokalu.

– Jaką chcesz? – spytał, patrząc przez ramię.

– Czarną jak moja dusza – odparł Sains.

– No tak, można się tak czuć, jeśli ma się hobby polegające na konstruowaniu ukrzyżowania – zauważył Vincent, wracając do stolika z dwiema filiżankami. – Dziękuję, że znalazłeś czas, żeby znów się ze mną spotkać. I przepraszam, że ci się naprzykrzałem.

Jeszcze nie dzwonił do Miny. Nie miał odwagi. Kiedy więc dowiedział się, że Sains jest w Sztokholmie, pojawiła się okazja, by się spotkać i skupić na czym innym niż na albumie z lampartem. Zresztą naprawdę potrzebował porozmawiać z konstruktorem.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparł Sains. – Przykro mi, że nie mogłeś się do mnie dodzwonić, kończyłem duże zamówienie. Przynajmniej nie musiałeś jechać aż do Sundsvall. Przyjechałem pomóc mojemu bratu w iluzji, którą przedstawi w telewizji. Ciągłe nie wychodzi nam wysokość płomieni.

Vincent pokręcił głową. Magicy.

Spotkali się w Vetekatten, dużej cukierni w samym śródmieściu Sztokholmu. Jak zwykle pełnej turystów, dzięki czemu mogli rozmawiać swobodnie, nie narażając się, że ktoś ich podsłucha. Każdy magik wie, że najlepszym miejscem do ukrycia czegoś jest to, które znajduje się na widoku.

Vincent zapatrzył się na warstwy przewróconego kawałka tortu. Spód biszkoptowy. Dalej dżem malinowy. Bita śmietana. Marcepan. Pięć warstw. Cholera jasna. Ale z wierzchu jest cukier puder.

Odetchnął. Z cukrem sześć warstw.

Dopiero co obejrzał wykład matematyczki Eugenii Cheng, która wyjaśniała teorię kategorii, posługując się przykładami z pieczenia. Z pewnością potrafiłaby zamienić kawałek tortu na twierdzenie matematyczne. W normalnej sytuacji

byłby tym ubawiony. A teraz zastanawiał się, jak w przekroju wyglądał Robert, po pocięciu na trzy części skrzyni *Zigzag lady*. Warstwy tkanki tłuszczowej i krwi. Czy przypominało to tort księżniczki? Ze skórą zamiast marcepanu? Odsunął od siebie talerzyk.

– Ale równie dobrze mogłem przyjść do ciebie do domu – rzekł Sains. – Chociaż tu też jest miło.

– To nie jest temat na rozmowę w domu – odparł Vincent. – Tak jest lepiej. I wiem, że masz mało czasu, więc przejdę do rzeczy. Pamiętasz tę iluzję, którą ci poprzednio pokazałem, skrzynię z mieczami?

– Tę o dziwnej konstrukcji – powiedział Sains i kiwnął głową.

Chwycił widelczyk, wbił w tort i włożył do ust spory kawałek. Warstwy tłuszczu i krwi. Vincent zacisnął powieki. Sains najwyraźniej w ogóle nie słyszał o konferencji prasowej, chociaż dotyczyła jego branży. Ceną za bycie genialnym wynalazcą był kiepski kontakt z otaczającym go światem.

– Natomiast nie powiedziałem ci – ciągnął Vincent – że ktoś użył skrzyni do popełnienia morderstwa. Co gorsza, policja odkryła jeszcze dwie ofiary zamordowane za pomocą rzekomych iluzji scenicznych.

Sains zakrztusił się tortem i rozkaszłał się. Vincent poszedł szybko po szklanę wody. Sains przyjął ją z wdzięcznością, wypił, odstawił pustą szklanę i wytarł starannie usta serwetką, jakby kupował sobie czas do namysłu.

– Co ty mówisz – odezwał się w końcu. – Morderstwa? Naprawdę? A kim jest ten ktoś?

Vincent upewnił się, że po ataku kaszlu Sainsa nikt już nie patrzy w ich stronę, a potem wyjął zdjęcia ze skoroszytu.

– Pomagam policji w dochodzeniu – powiedział. – Szczegóły są, rzecz jasna, objęte tajemnicą, chociaż za naszą sprawą rzecz trafiła do mediów. Wydaje się, że mamy do czynienia z absolutnym szaleńcem. Zresztą spójrz na te zdjęcia.

Przestawił filiżanki i szklanę, robiąc miejsce dla zdjęć, które rozłożył na stoliku. Nie powinien był ich powiększać do formatu A4, bo okazały się trochę za bardzo widoczne dla innych gości kawiarni. Jednak chodziło mu o to, żeby ukazywały szczegóły. Sains odstawił talerzyki z tortem na sąsiedni pusty stół. Najwyraźniej też stracił apetyt.

– Tu jest skrzynia z mieczami – pokazał Vincent. – To same miecze, nie wiem, czy ci je przedtem pokazywałem. A tutaj cztery zdjęcia mieczy i skrzyni do...

– *Zigzag lady* – wtrącił Sains. – Nietrudno zgadnąć, co tu się stało. Ohyda.

– Ja nawet w normalnych przypadkach mam wrażenie klaustrofobii, kiedy ktoś wchodzi do takiej skrzyni – powiedział Vincent. – Ale nawet nie umiem sobie wyobrazić, co musiał czuć chłopak w tej skrzyni.

Sains spojrzał na niego z dziwnym wyrazem twarzy.

– Wydaje się, że ciasnota to ostatnia rzecz, o której wtedy myślał. Ale mówiłeś o trzech iluzjach. Jaka jest trzecia?

– *Bullet catch.*

– O kurwa. Dziękuję ci, że nie przyniosłeś żadnego zdjęcia.

Sains przyglądał się fotografiom ze wszystkich stron. Mogłyby przedstawiać niewinne rekwizyty, gdyby nie to, że te skrzynie i ostrza przez samo swoje istnienie emanowały złem. Żaden człowiek zdrowy na duszy i ciele nie wyprodukowałby czegoś takiego.

– Co chcesz ode mnie usłyszeć? – odezwał się. – Nie powiem ci nic więcej ponad to, co ci mówiłem poprzednim razem.

– Może i nie. Jednak wtedy cię zapytałem, czy ktoś zamówił u ciebie albo u kogoś innego skrzynię albo szkice do niej. Nie zdawałem sobie sprawy, że rozwiązanie być może znajduje się w samej konstrukcji iluzji. Wtedy mieliśmy tylko jedną skrzynię, a ty stwierdziłeś, że zrobiono ją byle jak. Ale teraz mamy dwie skrzynie. Powiedziałaś, że jest niewiele osób potrafiących konstruować iluzje, ponieważ trzeba do tego sporych umiejętności rzemieślniczych i jednocześnie solidnej wiedzy na temat sztuczek magicznych.

– Tak, tylko niewielu z nas opanowało obie te dziedziny – przyznał Sains.

– Może się mylę – ciągnął Vincent – ale wydaje mi się, że każdy twórca ma własny styl i odciska swój ślad na tym, co robi. W tym przypadku na tym, co konstruuje. Choćby budował na podstawie cudzego szkicu, to zawsze zostawi swój znak. Zgadza się?

– Swoje signum – przytaknął Sains. – Tak na to mówimy.

– Okej. Jak już stwierdziliśmy, te skrzynie nie zostały zbudowane przez zawodowca. Więc chyba nie mają profesjonalnego signum w rodzaju logo. Ale może coś tu jest. Obie skrzynie na tych zdjęciach są skonstruowane przez tę samą osobę. Dostrzegasz między nimi jakiś związek? Może jakiś szczegół, który dostrzegasz tylko ty, ale podsuwający trop do poszukiwanego sprawcy. Jak mówiłeś, nie jest was wielu. Czyje signum widzisz na tych skrzyniach?

Ich stolik minęła grupka składająca się z pięciu osób. Sądząc po języku, w jakim rozmawiali, holenderskich turystów. Wszyscy w takich samych T-shirtach z nadrukiem. Na pewno własnej roboty, głoszącym, że – a jakże – podróżują po Europie. Vincent położył rękę na zdjęciach, ale nie dość szybko. Zauważyła je młoda kobieta i zatrzymała się.

– *Oh my god* – odezwała się po angielsku. – *Are you guys building magic tricks? Awesome!*

– *Thank you* – odparł z uśmiechem Sains. – *Not many would have recognized it.*

Co on wyprawia? Vincent chciał, żeby kobieta sobie poszła, nie miał ochoty na rozmowę. Nie zdziwiłby się, gdyby Sains na dodatek poczęstował ją tortem. Zaraz będą tu mieli całą resztę Holendrów w swoich identycznych koszulkach.

– *Well, magic is for nerds* – stwierdziła kobieta. – *Got to go.*

Pobiegła za swoją grupą, ale jeszcze zawołała do Sainsa:

– *Us nerds need to stick together!*

Vincent skrzyżował ramiona na piersi, czekając, aż Holendrzy wyjdą.

– Skończyłeś? – spytał potem.

– Przepraszam cię. Rzadko się zdarza otrzymać pochwałę od kogoś w wieku poniżej pięćdziesięciu pięciu lat. Właśnie, chcesz swój tort?

Vincent pokręcił głową, wtedy Sains zabrał oba talerzyki i zjadł to, co jeszcze na nich zostało.

– Tak czy inaczej – powiedział między jednym kęsem a drugim – masz rację, że dostrzegłbym, gdyby te skrzynie zbudował ktoś, kogo znam. Ale tutaj nie widzę.

Chwilę żuł w zamyśleniu.

– Vincent, nie uwzględniasz jednej rzeczy – powiedział i przełknął. – O ile nieczęsto się zdarza, żeby jedna osoba miała spore umiejętności techniczne i jednocześnie znała się na iluzji, to jest ich na tyle mało, żebyśmy się orientowali, kto co robi...

Vincent domyślił się, do czego Sains zmierza. Miał ochotę puknąć się w czoło. Jak mógł być taki tępy!

– ...więc nie ma nic dziwnego w tym, że z dwóch osób każda umie co innego – dokończył zdanie Sainsa. – Magik zna się na iluzji, a rzemieślnik umie budować.

Vincent zakrył twarz dłońmi, chciał przez chwilę zamknąć się na otaczający świat.

– Jest ich dwóch – powiedział, nie zabierając rąk. – Za bardzo się ograniczyłem w swoim myśleniu. To nie jeden morderca, tylko dwóch, współpracujących ze sobą. Co tłumaczy, dlaczego wydawało mi się, że w tych morderstwach wyrażają się dwie różne osobowości. Jedna planująca w sposób racjonalny, druga emocjonalna i skłonna do przemocy. Usiłowałem stworzyć sobie spójny obraz sprawcy, ale bez powodzenia. Nic dziwnego. Bo to nie był jeden sprawca.

Opuścił ręce na kolana i spojrzał na Sainsa, który wciąż wpatrywał się w zdjęcia.

– Vincent – odezwał się powoli Sains. – Samotny sprawca może zachowywać się jak szaleniec. Dopuszczać się zbrodniczych czynów niezrozumiałych dla

wszystkich, ale dla chorego umysłu całkiem zasadnych. Ale dwóch sprawców? Muszą uzgadniać swoje działania, dzielić się zadaniami...

Sains zsunął zdjęcia samymi palcami, jakby bał się czymś zakazić, gdyby dotknął ich całą ręką, po czym ostrożnie włożył je z powrotem do skoroszytu.

– Nie ścigacie jednego samotnego szaleńca, tylko dwa monstra – stwierdził.

– *Folie à deux* – odparł Vincent powoli. – Psychoza i obłąd, które dzielą ze sobą dwie osoby. A ja nie mogę ich znaleźć.

Spojrzał przez witrynę na świat, gdzie jest lato i słońce, a ludzie jedzą lody i nie muszą rozmyślać nad bestialskimi morderstwami i niezrozumiałymi szyframi.

– Bo nie byłem dość bystry. Następne morderstwo będzie moją winą. Głupota jednego człowieka i obłąkanie dwóch innych. *Folie à trois*.

WCIĄGNĘŁA MOCNO, jak najmocniej sprej do nosa. Przed następnym krokiem musiała się zaprzeć. Julia czuła zgrozę za każdym razem, gdy miała wbić sobie igłę, robiąc zastrzyk. Poradzono jej, żeby zwizualizowała sobie cel, jaki ma przed sobą. I naprawdę próbowała. Zamykała powieki i przed oczami stawał jej obraz małego dzidziusia. Nieważne, chłopiec czy dziewczynka. Włoski jak puch, pulchne nóżki. Śmiech bulgoczący w gardle. Sięgała jak najgłębiej do swojej tęsknoty.

Nie pomagało. Bała się tych zastrzyków tak samo jak przedtem.

W domu pomagał jej Torkel, ale w ciągu dnia nie bardzo mógł wyjść z pracy, żeby zrobić jej zastrzyk. Zrobić im zastrzyk, jak zawsze podkreślała dziarsko pielęgniarka. Julia myślała wtedy ze złością, jakie im, skoro ta igła przebija jej skórę. Ale to był tylko jeden z tysiąca absurdów w procesie leczenia, któremu poddawali się od paru lat.

Znów się zapała. Chwyciła w dwa palce skórę w pasie, poszukała dobrego miejsca i starała się unieruchomić trzęsącą się rękę ze strzykawką.

Drgnęła i o mało się nie ukłuła, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Ostrożnie odłożyła strzykawkę z hormonami i sprej za stojącą na biurku oprawną fotografię ślubną jej i Torkela, wsunęła koszulę do spodni i poszła otworzyć.

– Cześć, nie przeszkadzam?

W drzwiach stała Milda Hjort. Julia musiała się namyślić. Powinna niebawem zrobić sobie ten zastrzyk. Ale Milda raczej nie rozwodziła się zbyt długo. Zresztą nie było dobrego powodu, żeby ją odprawić. Mogło to być coś ważnego.

– Ani trochę – odparła, odsuwając się od drzwi.

Rzuciła szybkie spojrzenie na swoje schludne biurko i z ulgą stwierdziła, że strzykawki nie widać zza fotografii.

– Siadaj – powiedziała, wskazując jej jedyne krzesło dla gości, jakby w ogóle był jakiś wybór.

Zdawała sobie sprawę, że jej ton jest profesjonalny. Rzeczowy. Nie było w nim słychać tęsknoty za dzieckiem ani zawiedzionych nadziei i wspomnień po

martwych płodach, wypływających z niej prosto do miski, czemu towarzyszył koszmarny odgłos. Niezdolne do życia, jak je określili w szpitalu.

Julia uzmysłowiła sobie, że Milda przygląda jej się badawczo, widocznie przez chwilę nie panowała nad swoim wyrazem twarzy. Ten moment już minął, a kiedy usiadła na swoim fotelu biurowym, we wzroku znów miała skupienie.

– Co masz dla nas? – spytała, opierając twarz na dłoniach i patrząc ciekawie na Mildę.

Praca Mildy fascynowała ją. Dla Julii nadrzędnym celem było zapewnienie bezpieczeństwa życiu ludzkiemu. Również w sprawach dotyczących zabójstw najważniejsze było znalezienie sprawcy, żeby jego ofiarą nie padło więcej ludzi. Natomiast Milda pojawiała się na etapie, kiedy najważniejsza była ofiara. Spędzała więcej czasu wśród martwych niż wśród żywych. Julia wątpiła, czy byłaby w stanie wykonywać pracę, która dla Mildy była życiowym zadaniem. Zadaniem potrzebnym. Martwi potrafią mówić. Przekonała się o tym nie raz. Patolog dostarczał ważnych elementów układanki w każdym dochodzeniu.

– A więc tak. Chodzi o sprawę z Robertem Bergerem. Tym samym również o morderstwa Tuvy Bengtsson i Agnes Ceci. Jednak to Robert jest kluczem. Tak sądzę. Taką mam nadzieję.

Poprawiła się na krześle.

– Słucham cię z całą uwagą – wtrąciła z zainteresowaniem Julia, pochylając się w przód.

W tym momencie potrąciła ramkę z fotografią, ale szybko postawiła ją na miejsce.

Milda chrząknęła.

– Jak wiesz, Robert miał zwyczaj wkładać sobie do ust różne przedmioty – powiedziała. – Ciągłe żuł rzeczy nienadające się do jedzenia. Nie jest to tak niezwykle, jak by się mogło wydawać. A kiedy go otworzyłam, znalazłam w jego żołądku sporą ilość włosów.

– Fuj – skrzywiła się Julia.

Wyobraziła sobie smak włosów w ustach i zrobiło jej się niedobrze.

– Tak, chociaż dla nas to może dobrze. Wnioski z tego to nie moja rzecz, ja tylko przekazuję, co znalazłam. Ale możliwe, że mordercę łączy coś z... fermą norek.

Julia otworzyła szeroko oczy.

– Z fermą norek? A są jeszcze w Szwecji takie fermy?

– Ja też myślałam, że nie ma. Ale owszem, pewna liczba wciąż istnieje, chociaż organizacje praw zwierząt walczą o ich zamknięcie.

Julia milczała.

– Są tu dwie rzeczy – ciągnęła z ożywieniem Milda, prostując się na krześle.
– Po pierwsze, jak wiesz, w ciałach wszystkich ofiar stwierdzono obecność ketaminy. Po drugie, Robert miał w żołądku sierść norek. Ta sierść mogłaby oczywiście pochodzić od dzikich norek, ale nie sądzę. Otóż ketaminę stosuje się między innymi do usypiania tych zwierząt. Mogę się prawie założyć, że Robert został zamordowany na fermie norek. A w takim razie pozostali również.

Julia odchyliła się, żeby to przetrwać. Słowa Mildy krążyły jej w głowie, szukając punktów zaczepienia, dróg i prawd. Na razie był to jeden wielki zamęt. Myśl o fermie norek jakoś nie znajdowała tam naturalnego zaczepienia.

– Omówię to z zespołem – powiedziała, podnosząc się.

To nie może czekać. Milda również wstała. I jakby się zawahała.

– Sama robisz sobie te zastrzyki? – spytała ostrożnie.

– Słucham? – Julia znieruchomiała.

– Doszło do mnie, że znajdujecie się w trakcie... procesu. Dajesz radę z zastrzykami czy chciałabyś, żeby ci pomóc? Mogę ci zrobić.

Julię ścisnęło w gardle. Poczła złość, że ludzie wiedzą i plotkują o nich. A powinna pamiętać, że w gmachu policji nie mogła się uchować żadna tajemnica. Sięgnęła po strzykawkę i wyciągnęła koszulę ze spodni. Poczła wielką ulgę.

Nawet nie bolało, kiedy Milda zrobiła jej zastrzyk.

VINCENT SIEDZIAŁ przed telewizorem z pilotem w ręce. Zdawał sobie sprawę, że w wieku czterdziestu siedmiu lat jest prawdziwym dinozaurem, bo w dzisiejszych czasach nikt nie ogląda normalnej telewizji. A jemu się podobało, że programy są emitowane o konkretnej porze i uciekają mu, jeśli ich wtedy nie oglądał.

Oczywiście większość programów była streamingowana, czyli w zasadzie nic mu nie uciekało. I właśnie w tym problem. Vincent był absolutnie świadom, że jest ofiarą psychologicznej zasady dostępności: to, co niedostępne, jest właśnie dlatego bardziej emocjonujące i atrakcyjne. Okazało się jednak, że ta zasada działa również w drugą stronę. Jeśli wszystko jest dostępne, to nic nie jest interesujące. A Vincent nie miał czasu na to, co nieinteresujące.

Zorientował się, że w domu panuje niezwykła cisza. Przez drzwi dochodził niewyraźnie głos Benjamina, co oznaczało, że jest połączony online. Ciągle się zdumiewał, że jego syn ma kolegów, choćby niewidocznych. Aston spał, choć raz zadowolony, Rebecka wyszła gdzieś, a Maria... Właściwie nie wiedział, co robi Maria. Zgadywał, że leży w łóżku i czyta książkę pełną wywodów na temat sensownego życia. Uwielbiała takie książki. Wręcz je połykała. Niektórzy ludzie czytają książki kucharskie, chociaż nigdy nie wykorzystują żadnego przepisu. Inni przebijają się przez podręczniki do ćwiczeń fizycznych, chociaż nigdy nie ćwiczą. Maria robiła to samo z poradnikami. Zamiast rzeczywiście zastosować którąś z rad, które przeczytała, łatwiej było otworzyć następną podobną książkę. A potem zwałać na nią winę, że życie jest wciąż takie samo.

No dobrze, może to złośliwe, ale kiepsko znosił tę biblioteczkę na szafce nocnej żony, gdzie każdy tytuł obiecywał rozwiązać tajemnicę czegoś albo jakiś konkretny kod. Prychnął pogardliwie. Autorzy tych poradników nie mieli pojęcia ani o kodach, ani o prawdziwym życiu.

W tym momencie jego myśli zakłócił odgłos. Sprzed okna salonu. Kiedy podniósł wzrok, mignęła mu jakaś postać. A może nie? Na dworze było jeszcze widno, ale las za rogiem rzucał cień na trawnik przed oknem. Oświetlenie zasilane bateriami słonecznymi, które zamontował wzdłuż zwirowej ścieżki

prowadzącej do drzwi wejściowych, było za słabe, żeby oświetlić cały front posesji. Zgasił telewizor i podszedł do okna, żeby wyjrzeć.

Nic.

Krzak na skraju trawnika poruszył się, jakby coś albo ktoś przeszedł tamtędy w stronę lasu. Pewnie sarna. Po wyprowadzce na wieś szybko się przekonał, jak niewielkie obawy przed człowiekiem żywi przyroda. Ciekaw był, jak długo to coś lub ten ktoś obserwował go przez okno. Sarna pewnie zastanawiała się, co on robi w jej lesie.

Na szybie dostrzegł dwie tłuste plamy na wysokości oczu i próbował je zetrzeć rękawem. Plamy znajdowały się jednak po zewnętrznej stronie i miały kształt półksiężyców. Uformował dłonie jak lornetkę i przyłożył do szyby. Pasowały idealnie. Jakby wyglądał na dwór. Albo zaglądał do środka. Czyli ktoś stał po drugiej stronie i zaglądał w taki sam sposób. I na pewno nie była to sarna.

Rozległo się głośne pukanie, Vincent o mało nie krzyknął. Znów. Poszedł do drzwi i otworzył ostrożnie, nie wiedząc, czego się spodziewać.

Stała tam Mina.

– Ojej, cześć – odezwał się, nie umiejąc ukryć zdziwienia. – To ty mnie szpiegujesz?

– Szpieguję? Nie, po prostu nie chciałam dzwonić do drzwi, w razie gdyby Aston spał.

– Nie, to znaczy, był tu ktoś...

Pokazał palcem las, ale przerwał, widząc wyraz jej twarzy.

– Stało się coś? – spytał.

Wyszedł na schodki przed domem, przymykając drzwi.

– Nie, po prostu pomyślałam... – Urwała, jakby sama nie wierzyła w to, co zamierzała zaraz powiedzieć. – Może byśmy razem coś wymyślili.

Nie wiedział, jak na to zareagować. Spojrzał na stojącą przed nim kobietę. Mina może i była dziwna, ale przynajmniej nie było to udawane, jak u większości innych ludzi. Doceniał to. Musiała się naprawdę zebrać na odwagę, żeby przyjechać do niego do domu. Zaryzykować odmowę. Zwłaszcza po tym, co mu powiedziała o sobie w taksówce. Jak mógł w ogóle pomyśleć, że Mina, zważywszy na jej charakter i to, z czym walczy, przysłała mu ten album? Miał ochotę sam wymierzyć sobie kopniaka. Jak mógł być taki niewrażliwy? Jakiś szmer kazał mu obejrzeć się za siebie przez szparę w drzwiach. Jeśli Maria zobaczy Minę, zrobi niezłe piekło.

– Pomyślałam, że może przywitam się z twoją rodziną – przekonywała Mina.
– Skoro tak często ze sobą pracujemy.

– To niedobry pomysł – odparł. – Nie dziś.

Mina cofnęła się o krok. Nie widział wyraźnie jej twarzy, ale opuszczone barki powiedziały mu wszystko. Zranił ją, i to mocno. Właśnie dostała odmowę, której tak się obawiała.

– To znaczy dobry pomysł, żebyśmy razem coś zrobili – zapewnił ją pospiesznie – bardzo dobry. Miałem na myśli moją rodzinę. Maria jest dzisiaj trochę wytrącona z równowagi, zresztą nawet w normalnych warunkach jest okropnie zazdrosna. Gdyby cię zobaczyła w takiej sytuacji, kiedy nie dochodzi do ładu sama ze sobą...

– Co znaczy „w takiej sytuacji”, co chcesz przez to powiedzieć? Coś jest nie w porządku?

Vincent wpatrzył się w nią. Nie, nic nie było nie w porządku. Czarne włosy, ściągnięte surowo w koński ogon, i biały golf podkreślały zarówno jej rysy, jak i osobowość. Wszystko razem robiło większe wrażenie niż poszczególne elementy i aż mu dech zapało. Miał tylko nadzieję, że nie widać tego za bardzo, i robił wszystko, byle nie spojrzeć na jej czerwone usta, kiedy do niego mówiła. W dodatku najwyraźniej potrzebował towarzystwa bardziej, niż sądził, skoro dopiero co mu się przywidziało, że ktoś go podgląda. Oczywiście, że to była sarna.

– Chcesz przez to powiedzieć, że Maria ma powody do zazdrości? – ciągnęła.

Niewielkie drgnienie w jej kąciку ust, jak zapowiedź uśmiechu. Ale pewien nie był. Może to tylko cień.

– Do zazdrości o ciebie? – Zdał sobie sprawę, że się czerwieni. – To znaczy ona...

– Na pewno nie o mnie – przerwała mu. – Przecież się nie znamy. Chodzi mi o to, czy tak w ogóle ma powody do zazdrości. Miewasz romanse z innymi kobietami?

Oto właśnie Mina, która obudziła jego ciekawość już od tamtego pierwszego wieczoru w Gävle. Szczera do bólu, pozbawiona pożądanej w kontaktach towarzyskich finezji, która czasem może być uciążliwa. Zwłaszcza gdy człowiek nie został na nią zaprogramowany, jak w jego przypadku. Przy Minie Vincent chyba po raz pierwszy poczuł się naprawdę sobą. Bez konieczności odgrywania roli, której oczekiwali od niego inni. Spojrzał na jej dłonie. Nie wyglądały na wysuszone. Musiała je nasmarować. Jego nos wyczuł lekki zapach wanilii.

– Żadnych romansów – powiedział. – Owszem, raz jako człowiek żonaty miałem romans. Ale to było z nią. Z Marią. I wtedy się rozwiodłem i z nią ożeniłem.

Mina pokiwała głową, jakby rozumiała.

– Chodźmy – powiedział, zamykając za sobą drzwi. – Maria jest pewnie najlepszą matką na świecie, wystarczyłoby ci spojrzeć na nią, kiedy jest

z Astonem. Ale poza tym komunikowanie się w naszym domu pozostawia nieco... do życzenia. Wyślę jej esemesa, że mnie wezwałaś. W pewnym sensie jest to prawda.

– Tylko obiecaj mi, że nie będziemy rozmawiać o pracy, bo od wielu miesięcy nie myślę o niczym innym – powiedziała, biorąc go pod rękę. – Zwyczajni ludzie mają teraz urlop. A my zrobimy sobie przerwę na dzisiejszy wieczór.

Jej ramię było sztywne, a chodzenie pod rękę niewygodne. Niezwykły gest jak na nią, ale docenił jej wysiłek.

– Umowa stoi. Rozmawiamy o niczym, jak choćby o mojej domniemanej niewierności i zazdrosnej żonie.

Przeszli zwirową ścieżką przez trawniczek przed domem i wyszli na drogę, która wiała się przez osiedle. Był jasny wieczór, w powietrzu utrzymywało się wciąż letnie ciepło.

Przystanął przy skrzynce na listy. Czegoś na niej brakowało. Przed którymś z jego dawniejszych przedstawień Umberto zamówił metalowe naklejki z tekstem „Zabrania się czytania w myślach”. Jedną z tych naklejek Vincent przyczepił do skrzynki, kiedy się tu przeprowadzili. Teraz jej nie było. Pewnie leży gdzieś w trawie. Nie wierzył, żeby ktoś ją wziął, pewnie bawiła tylko jego. Jednak bez niej skrzynka wyglądała jakoś nieciekawie.

– Bardzo spokojnie w twoim Tyresö. Jakby się wyjechało na wieś. Musiałam włączyć GPS, żeby nie zabłądzić. Człowiek ma wrażenie, jakby cywilizacja skończyła się kilka kilometrów stąd.

Zaśmiał się.

– Nie będę udawać, to naprawdę jest wieś. Ale mnie jest tu dobrze. To znaczy nam. Podczas tras objazdowych spotykam mnóstwo ludzi i fajnie się czuję, kiedy wracam do domu, gdzie od najbliższego sąsiada dzieli mnie dwieście metrów. Właśnie, poznałaś go. To Ove od koparki. Aston może poszaleć wśród przyrody, a szkolny autobus przejeżdża niedaleko stąd. Dość o tym. A ty jak? Dobrze się czujesz w twoim mieszkaniu w Årsta?

Uzmysłowił sobie, jak mało o niej wie, chociaż współpracują ze sobą od pięciu miesięcy. I ile chciałby wiedzieć. Co to było z tą psychologiczną zasadą dostępności? „To, co niedostępne, wydaje się bardziej atrakcyjne i emocjonujące”. Przestań. Nie jesteś taki. Mina była wprawdzie fascynującą osobą, w dodatku bardzo atrakcyjną. Cieszył się, że pojawiła się w jego życiu. Jednak ich relacja miała dojrzały i profesjonalny charakter. A być może przerodzi się w przyjaźń. I to wystarczy.

Oczywiście Maria i tak będzie zazdrosna. To nieuniknione. Ale była zazdrosna również wtedy, kiedy w spożywczaku rozmawiał z kasjerką Liv. Panią w wieku lat pięćdziesięciu pięciu i pozostającą w związku z Corinne ze stoiska

nabiałowego. I co z tego. Wolałby, żeby Maria miała więcej wiary w siebie. Żeby pomógł chociaż jeden z tych jej poradników. Skoro on zawiódł pod tym względem.

– Tak, raczej dobrze – odparła Mina. Vincent potrzebował sekundy, żeby sobie przypomnieć, że chodziło o jej mieszkanie.

– Właściwie to mam do ciebie pytanie dotyczące pracy – powiedział z ociąganiem. – Ale obiecuję, że tylko to jedno. Wiesz, chodzi o tamten raz w Gävle, kiedy się poznaliśmy. Powiedziałaś, że ktoś ci podpowiedział nawiązanie kontaktu ze mną. Kto to był?

Mina zatrzymała się w pół kroku i odwróciła się do niego.

– Dlaczego o to pytasz?

– Powiem ci, słowo, tylko nie teraz. Pytam, bo to może się okazać ważne.

Długo patrzyła na niego, jakby rozważała, co powiedzieć.

– Ja... poszłam z kimś do Anonimowych Alkoholików. Jako osoba towarzysząca.

Vincent uniósł brwi. Nie tego się spodziewał. Jednak każda informacja mogła okazać się istotna. W odpowiedzi kiwnął tylko głową.

– Tam ją poznałam. Ma na imię Anna. To ona mi ciebie podpowiedziała. Oprócz tego, że słyszała o tobie, wiem o niej tylko, że ma na łydce tatuaż z delfinem. A na ramieniu wilka. Jeśli chcesz się z nią spotkać, będziesz musiał jak stalker sterczeć przed lokalem AA na Kungsholmen. Dam ci adres.

Utrzymała kontakt wzrokowy przez kolejnych kilka sekund, jakby czekała, co Vincent na to.

– Anna – powiedział i uśmiechnął się. – Delfin. Kungsholmen. Dziękuję. Ani słowa więcej o pracy. Słowo.

Uniosła jeden palec wskazujący, drugą rękę wsunęła do kieszeni i wyjęła telefon. Nawet nie słyszał, że zawibrował.

– To Julia. – Pokazała mu wyświetlacz. – Lepiej odbiorę, bo mam wrażenie, że inaczej będzie nas prześladować ta praca. Cześć, Julia!

Umilkła i wydawała się słuchać z uwagą.

– Serio, fermy nerek? – odezwała się po dłuższej chwili. – Okej, dzięki za info.

Rozłączyła się i włożyła telefon z powrotem do kieszeni. Zdążył jeszcze zauważyć, że najpierw wyłączyła wibrację i włączyła cichy tryb.

– Może jednak powinniśmy popracować? – odezwał się. – To chyba było coś ważnego?

Pokręciła głową.

– Jestem tak samo sfrustrowana i jak ty boję się, że nastąpi kolejne morderstwo – powiedziała. – Ale dziś wieczorem raczej nie złapiemy żadnego

zabójcy. Milda, nasza lekarka sądowa, znalazła powiązanie między morderstwami i fermami norek. A jadąc do ciebie, widziałam twój mail, że mamy do czynienia nie z jednym mordercą, tylko z dwiema osobami.

– Tak, chociaż nie zmienia to w sposób istotny profilu psychologicznego sprawcy – stwierdził Vincent. – Tyle że staje się bardziej zrozumiały. Jednak skoro jest ich dwóch, to mają nieprzyjemnie zaawansowaną zdolność do racjonalnego i dalekosiężnego planowania agresywnych działań. Może nawet bardzo dalekosiężnego.

– Co nas nie przybliży do znalezienia ich – zauważyła Mina. – W każdym razie nie dziś.

Spojrzała na zegarek. Podobało mu się, że go nosi. W dzisiejszych czasach coraz częściej korzysta się jedynie z zegarka w telefonie. Tymczasem zegarek jest elegancki, poza tym Vincent źle znosił brak opanowania u osób, które sprawdzając, która godzina, odruchowo zaglądały również do mediów społecznościowych.

– Za późno, żeby dziś wysłać kogoś do sprawdzania ferm norek – ciągnęła. – Zresztą i tak nikogo nie ma w pracy. Zrobimy to jutro rano. Niech Ruben jedzie. A dziś spróbujemy choć raz pomyśleć o czymś innym.

– Julia spała z Rubenem, prawda?

– Cicho, nikomu nic nie wiadomo na ten temat. Poza wszystkimi, którzy byli na tym świątecznym rejsie. Ale to było jakieś pięć lat temu. Albo i więcej. Dlaczego pytasz?

– Bo Ruben mnie ciekawi. To jego pozowanie na bożyszczce wszystkich kobiet. Tam pod spodem kryje się coś więcej.

Mina uniosła jedną brew.

– Niech ci będzie – powiedziała. – A tak w ogóle to dokąd idziemy?

– Nie wiem, ale przyjemnie jest na dworze. – Vincent ominął kałużę. – Gdzie byś chciała?

– Też nie wiem. Nawet nie byłam pewna, czy się zechcesz spotkać. Ale gdzieś daleko od lasu. Już go widziałam.

Vincent podejrzewał, że Mina robi wszystko, byle nie wyobrazić sobie insektów poruszających się po drzewach i liściach. Chyba lepiej, że nie wspomni jej o mijanym właśnie wielkim mrowisku.

– Cóż, skoro mamy nie pracować, może byśmy... może pójdziemy do kina? – wymienił możliwość pierwszą z brzegu.

Zaśmiała się, potem podniosła na niego wzrok, uśmiechając się lekko. Tym razem był to na pewno uśmiech.

– Do kina? Jak na randce?

Znów się zaczerwienił. Cholera. Nie pomyślał.

– Nie, no pewnie. Przepraszam. A co lubisz robić?

– Ćwiczyć – odpowiedziała. – I grać w bilard. Jestem w tym naprawdę dobra. Ale do kina chętnie pójde. Dawno nie widziałam żadnego filmu. – Szturchnęła go łokciem w bok. – Skoro i tak Maria będzie się srożyć, moglibyśmy dać jej jakiś powód.

Pojechali samochodem Miny do Filmstaden w halach na Söder. Niewiele mówił w samochodzie, trudno mu się rozmawiało, kiedy siedział obok i nie widział wyrazu jej twarzy. Płacąc apką parkingową, zmusił się, żeby nie poprawić czasu parkowania, by wypadła parzysta suma zamiast nieparzystej. Nie chciał robić nic dziwnego.

W kinie kupili bilety na film, o którym żadne z nich nigdy nie słyszało, i przeszli do westybulu. Za kasami stały szafy z popcornem w dużych tekturowych pojemnikach. Skierował kroki do najbliższej kasy, ale się zatrzymał. Powinien kupić coś do picia i przekąski? Czy nie powinien? Bo wtedy jest randka? Nie był pewien, jakie są zasady.

Odwrócił się, żeby spytać Minę, i odkrył, że nie ma jej obok, została kilka metrów z tyłu. Stała jak wbita w ziemię, ze wzrokiem utkwionym w pudła z popcornem. Była blada. Potem jej wzrok powędrował w bok, w stronę automatów z napojami i sterty słomek. Rozszerzone źrenice i napięta szczęka zdradzały, że ma atak lękowy.

Idiota z niego.

Ludzie z personelu, ktokolwiek z nich, podobnie jak każdy z widzów, mogli dotykać popcornu w otwartych pojemnikach. Setki ludzi o niemytych rękach mogły grzebać w tych słomkach. Nie mówiąc o osobach siedzących przed nimi na przydzielonych im fotelach albo rozlanych napojach, które mogły przykleić im się do podeszew w sali kinowej. Jak mógł uwierzyć, że będzie jej się to podobało?

– Mina – odezwał się, dotykając ostrożnie jej łokcia. – Chodźmy stąd.

Drgnęła, kiedy poczuła jego dotyk, ale wciąż patrzyła na szafy z popcornem.

– Przecież zapłaciliśmy za bilety – zaoponowała. – Zaczęła pocierać dłonie, jakby je myła. Znow były suche i spierzchnięte. – Nie możemy wyjść, skoro zapłaciliśmy.

– Właśnie że możemy. Zapłaciliśmy, żeby zrobić, co nam się podoba. Jak sobie nałożysz jedzenie, nie znaczy to, że koniecznie musisz zjeść wszystko. Zawsze jest wybór. Wszyscy rodzice się mylą.

Trzymając Minę delikatnie za łokieć, wyprowadził ją z kina. Zaczęła lżej oddychać, gdy tylko zostawili za sobą ladę ze słodyczami i przekąskami. Przeszli do labiryntu hal z restauracjami sąsiadującymi z kinem.

– Usiądź tutaj – powiedział, wskazując najbliższy bar. – Zamów coś do picia. Przyda ci się. Zaraz wracam.

Nie czekając na odpowiedź, wybiegł z hal i wpadł do sklepu Coop tuż obok, cały czas przeklinając własną bezmyślność.

Po trzech minutach był już z powrotem. Mina siedziała przy stoliku w głębi lokalu. Dla niego już stało piwo, dla niej cola zero. Wyglądała na nietkniętą.

– Proszę – podał jej zapieczętowane opakowanie słomek, które właśnie kupił. – Domyślam się, że nie masz przy sobie własnych.

Mina wyglądała, jakby się miała rozpłakać.

– Przepraszam. Nie chcę, żebyś mnie wzięła za wariatkę. Ja się naprawdę staram, ale to takie...

Gdyby się rozpłakała, nie wiedziałby, co zrobić. W paczce znajdowało się pięć słomek. Na haku wisiało siedem paczek. Razem trzydzieści pięć. Mina nie ma chyba więcej jak trzydzieści trzy lata. Różnica między trzydzieści pięć a trzydzieści trzy wynosi dwa. Po jednej dla nich obojga. Razem dwa. Bardzo nie chciał, żeby się rozpłakała.

– Ja patrzę na to w ten sposób – powiedział – że jesteś ostatnią osobą na świecie, która zachoruje na gripę. To naprawdę nieźle.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością, otworzyła paczkę i włożyła słomkę do swojej coli. Spojrzała na niego, a potem wetknęła drugą do jego piwa.

Vincent wrócił do domu niezbyt późno, jednak rodzina już spała. Aston zazwyczaj padał z wyczerpania około ósmej wieczorem, Maria zwykle szła do łóżka najpóźniej o wpół do dziesiątej, a nastolatki godzinę, dwie później. Najbardziej twórcza dla niego pora wypadła między dziesiątą wieczór a drugą w nocy, więc powrót o północy, jak teraz, był wręcz optymalny. Miał przed sobą jeszcze dwie godziny, kiedy czuł się kreatywny i wydajny.

Nie dziś. Za dużo miał w głowie myśli na temat Miny i rozmów z nią. Umył zęby i wszedł do sypialni, cicho, by nie obudzić Marii, bo od razu spytałaby go tym swoim oskarżycielskim tonem, dlaczego wraca w środku nocy. Nie miał siły się bronić.

Rozebrał się bez zapalania światła. Złożone skarpetki i bielizna na podłodze. Do brudów. Pozostałe czyste rzeczy na komodzie. Kiedy jego oczy przyzwyczyły się do ciemności, na szafce nocnej Marii zobaczył cień. Była to jej sterta książek. Podobnie jak żona, nie za wiele wiedział o tym, jak sobie radzić z życiem. I tak samo jak ona, nie nauczył się tego z książek. Różnica polegała na tym, że on zdawał sobie z tego sprawę.

Jednak zaczynał się uczyć.

Mina zaczęła go uczyć.

MORA 1982

JANE SIEDZIAŁA na krześle w przedpokoju u Ylvy. Obok na komodzie stał telefon. Trzymała rękę na szarej słuchawce, ale nie podniosła jej z widełek. Zadzwoić do domu czy jednak nie. Oto było pytanie. Przedtem bała się, że mama będzie dzwonić dzień w dzień, przez cały czas jej wizyty u koleżanki, może nawet kilka razy dziennie, żeby pytać, co u niej i kiedy wraca. Nawet uprzedziła rodziców Ylvy, że mama się czasem za bardzo nakręca, i z góry za to przeproszała.

Jednak mama zachowywała się zaskakująco dobrze. Zadzwoiła tylko pierwszego dnia, żeby się upewnić, że Jane dojechała i wszystko w porządku. Potem się już nie odzywała. Chociaż na pewno było jej trudno się powstrzymać. Ale to dobrze. Może mama odkryła, że doskonale sobie radzi. Może mama, podobnie jak Jane, która myśląc do tyłu, dokonywała logicznego rozbioru sztuczek magicznych brata, doszła do wniosku, że to jednak nie córka utrzymywała ją w pionie. Że sama się trzymała. I może nie będzie problemów z odejściem Jane z domu.

A jednak siedziała z ręką na słuchawce i ta ręka była coraz bardziej spocona. Bo Jane czuła, że coś jest nie tak. I to bardzo. Nie umiała wytłumaczyć dlaczego, było to zupełnie nieracjonalne. Mówiła sobie, że się wygłupia albo że to tylko wyrzuty sumienia. Powinna się raczej cieszyć, że mama nie zachowuje się zgodnie ze swoim zaprogramowanym zwyczajem.

Tymczasem przecucie podpowiadało jej, że coś jest nie tak, jak powinno. W domu. Kręciła w palcach sznur słuchawki. Jeśli zadzwoni i okaże zaniepokojenie, mama każe jej natychmiast wracać. Jeśli nie zadzwoni, wciąż będzie miała tę nieracjonalną gulę w brzuchu.

Wytała spoconą dłoń o spodnie, wzięła słuchawkę do drugiej ręki i wybrała numer do domu. Przez kilka sekund miała w uchu trzaski poprzedzające połączenie. Kiedy w końcu nastąpiło, sygnał był tak delikatny i słaby, jakby dzwoniła na drugi koniec świata. Po pięciu dzwonekach ktoś odebrał.

– Halo, mieszkanie Bomanów.

– Cześć, braciszku. Mówi Jane.

Milczenie. Pamiętała, że mały nie lubi gadać przez telefon. Będzie musiała wziąć na siebie ciężar rozmowy.

– Co u was? – spytała.

– Dobrze. Jem śniadanie.

Uśmiechnęła się do siebie. Wszystko w porządku. Do kąta z tą gulą.

– Mogę zgadnąć? Grzanki mamy podzielone na trójkąty?

– Tak, bez kantów. Z jajkiem pokrojonym w plastry. Wiesz...

– Trzeba się trzymać codziennych zwyczajów.

– ...trzeba się trzymać codziennych zwyczajów.

Zaśmiali się równocześnie.

– Mogę pogadać z mamą? Jeśli skończyła robić ci kanapki?

– Nie, nie może teraz rozmawiać.

– Ma dziś... taki dzień? – spytała przyciszonym głosem. – Dajesz radę?

– Nie, to znaczy akurat jej nie ma. U mnie wszystko okej.

To znaczy, że mama jest przynajmniej na tyle zdrowa, że przyszykowała śniadanie. No dobrze. Czyli ten niepokój wynikał wyłącznie z jej wyrzutów sumienia. A skoro rozmawia tylko z bratem, mama nie może jej prosić, żeby już wracała do domu.

– A ty przypadkiem nie szykowałeś jakiegoś tajemniczego triku przed moim wyjazdem? Mama mówiła, że może sama weźmie w nim udział. Pokażecie mi po moim powrocie?

Po drugiej stronie zapadło milczenie. Przycisnęła słuchawkę do ucha, niepewna, czy braciszek wciąż tam jest. Usłyszała słaby oddech. Nie lubił rozmawiać o swoich tajemnicach. Mawiał, że wtedy już nie ma magii. Ale mógłby nie być taki drażliwy.

– Nie martw się – powiedziała. – Mama mi nic nie zdradziła.

– Już mi się nie chce rozmawiać. Chcę zjeść, tosty mi wystygną.

– Dobra, braciszku. Zobaczymy się za tydzień. Pozdrów mamę.

Rozłączył się, zanim skończyła mówić. Uwolniła palce zaplątane w kabel i odłożyła słuchawkę. Podczas rozmowy miała wrażenie, że jest dobrze, ale teraz niepokój powrócił. Braciszek pod koniec wydał jej się jakiś dziwny. Powinna wracać do domu, upewnić się, czy wszystko dobrze.

– Przestań, Jane – powiedziała głośno sama do siebie, kręcąc głową.

Mama była największą manipulantką, jaką można sobie wyobrazić. Potrafiła tak się wczepić pazurami, że człowiek nie mógł złapać tchu. Najwidoczniej te pazury trzymały ją mocniej, niżby przypuszczała. Nic nie robiąc, mama niemal ściągnęła ją z powrotem do domu. Tym razem nic z tego. Tym razem Jane zamierzała wygrać.

Chwyciła swoją torbę kąpielową i przeszła na tył domu. Ylva leżała na kocu na trawie, czytając książkę.

– Ylva, co ty na to, żebyśmy poszły się kąpać?

– Aaaale jesteś zapóźniona. – Ylva wstała z koca.

Już miała na sobie bikini.

– Kto będzie ostatni, ten musi skoczyć z siedmiu metrów!

Postanowiła nie wracać do domu, dopóki sama nie będzie chciała.

RUBEN PO RAZ BODAJ setny z rzędu sięgnął ręką do przekładni biegów i znów po to tylko, by uświadomić sobie, że jej nie ma. I setny raz pożałował, że nie pojechał swoim chevroletem camaro. Co za wygłup z tą automatyczną skrzynią biegów. Przecież nie jest niepełnosprawny. Z drugiej strony ferma norek kojarzyła mu się z jakimś brudem, zanieczyszczeniami przemysłowymi i wałającymi się kłębamii sierści. Nie chciał na to narażać Ellinor, jak nazywał swoje auto. Jeśli ktoś go pytał o to imię, zawsze powoływał się na stary film akcji z Nicolasem Cage'em. Prawdziwe pochodzenie imienia było jego prywatną sprawą.

Ellinor wróciła akurat z serwisu i stała w garażu, gdzie po wypolerowaniu błyszcząca pod brezentem. Sąsiedzi, z którymi dzielił garaż, wyzłośliwiali się z powodu tego brezentu, ale niech tam, sami mieli brudne auta. Nie życzył sobie, żeby drobiny tłuszczu unoszące się w powietrzu w garażu lądowały na jej białym lakierze.

A więc wziął tego dnia służbowy samochód. Napis POLICJA też się przydawał, kiedy zjawiał się nieproszony. Szybko wykorzystywał nerwowość, jaką budził radiowóz. Mimo to dzień jak dotąd okazywał się jedną wielką stratą czasu. Zresztą zgodnie z jego wcześniejszym przypuszczeniem. Do tej pory zdążył odwiedzić trzy fermy, postanowił, że załatwi jeszcze jedną i na dziś będzie dość.

Myśl była taka, żeby na razie tylko się porozglądać. Wyczuć, czy ferma norek rzeczywiście może być miejscem, gdzie się przetrzymuje, a może i morduje ludzi, tak by nikt nie zauważył. Jednak fermy, które odwiedził dotąd, nie miały nawet jednego centymetra kwadratowego wolnej powierzchni. Wszędzie trzymali norki. Tysiące zwierząt stłoczonych w zautomatyzowanym systemie, dzięki któremu na tysiąc norek przypadała jedna osoba obsługi. Skoro niemal brakowało miejsca dla norek, to tym bardziej na dyskretny, acz morderczy warsztat stolarski.

Ostatnia ferma znajdowała się na Lidön w archipelagu na wysokości Norrtälje, w związku z czym musiał dostać się na wyspę promem. Wjechał na

prom, wyłączył silnik i wysiadł z samochodu. Wiatr szarpnął jego marynarką i włosami. Nie miał nic przeciwko temu. Przyda się trochę świeżego powietrza. Smród na fermach był, mówiąc wprost, koszmarny. Wiedział, że wiele osób oburza się na sposób traktowania tych zwierząt, wśród świadomych ludzi nie była to ceniona gałąź gospodarki. W pewnym sensie ich rozumiał, bo to, co widział tego dnia, doprawdy nie zasługiwało na podziw.

Z drugiej strony, gdyby chcieć ponarzekać, że się źle dzieje, to pomocy potrzebuje też wielu ludzi, może w pierwszej kolejności przed zwierzętami. A kto chce pomóc, powinien się najpierw zdecydować jak. Można na przykład zostać policjantem i robić coś pożytecznego dla innych. Albo wstąpić w szeregi partii lewicy i demonstrować.

Prom dopłynął na miejsce już po kwadransie, Ruben wsiadł ponownie do samochodu i w tym samym momencie zadzwonił telefon.

– Ruben Höök – przedstawił się, odbierając przez system głośnomówiący.

– Cześć, mówi Vincent. Jak ci idzie? Słyszałem, że jesteś w terenie i podjąłeś trop w związku z fermami nerek, tak?

Vincent? Akurat jego telefonu się nie spodziewał. Widocznie Mina mu wychlapała. Ona chyba uważa, że ten cały magik robi lepszą robotę niż policja. Na pewno chodzi jej tylko o to, żeby iść z nim do łóżka. Zawinięta w folię. Zaśmiał się, kiedy sobie to wyobraził.

– Jeśli mam być szczerzy, jest to marnowanie czasu – powiedział, uruchamiając silnik. – Jadę w ostatnie miejsce. Mam nadzieję, że nie będziemy podążać tropem pozostałej zawartości żołądka Roberta. Bo byłoby do odwiedzenia sporo McDonalldów.

Samochodem zatrzęsło, gdy prom przybił do brzegu.

– Co się stało, że do mnie dzwonicz? – spytał, kiedy szlaban poszedł w górę i mógł już zjechać.

– Chciałem porozmawiać z tobą, ale tak, żeby inni w zespole nie słyszeli.

Na promie były tylko dwa inne samochody. Minął je, jednocześnie zerkając na mapę w telefonie. Ferma nerek znajdowała się niedaleko przystani. Bardzo chciał, żeby ten dzień już się skończył.

– Nie znamy się właściwie – ciągnął Vincent. – Ale obserwowałem cię. Słuchałem, jak mówisz. Chodzi o twój stosunek do kobiet. Jak dawno od ciebie odeszła?

Ruben gwizdnął i zjechał na pobocze. Oba samochody, które dopiero co wyprzedził, minęły go teraz, trąbiąc gniewnie. Jeszcze przed zatrzymaniem się zaczął grzebać w kieszeniach, szukając słuchawek. To zbyt osobiste, żeby narażać się na podsłuchanie. Wprawdzie był w samochodzie sam, ale jednak.

– A co to za pytanie? – odparł, kiedy bezprzewodowe słuchawki były już na miejscu. – Po pierwsze, nie mam pojęcia, o czym mówisz, a po drugie, to sprawa prywatna. Co ty sobie wyobrażasz? Niby kim ty jesteś?

– Nie chcę wtykać nosa w nie swoje sprawy – powiedział Vincent – ale potrafię rozpoznać złamane serce. Całkiem obiektywnie.

Ruben kompletnie nie wiedział, co na to powiedzieć. Nie chciał przyznać ani przed sobą, ani przed nikim innym, że ten cholerny mentalista, mimo swego absolutnego braku taktu, miał rację. Ruben nie chciał się nad tym zastanawiać. Ani teraz, ani w ogóle. Na kobietach nie można polegać i tyle.

– Przepraszam, że tak walę prosto z mostu – ciągnął Vincent tonem, który na szczęście był wolny od lepkiego współczucia. – Wydaje mi się, że nie chciałbyś rozmawiać inaczej. A ja wolę się pomylić i zostać uznany za niewrażliwego idiotę niż patrzeć, jak się męczysz. Przy założeniu, że mam rację.

– Brzmi to tak, jakbyś chciał się ze mną ożenić – parsknął lekceważąco Ruben i znów uruchomił silnik. – Co ci do tego, jak się czuję, mógłbyś chyba mieć to gdzieś?

Dostrzegł w oddali fermę norek. Przypuszczalnie zaraz będzie jakiś zjazd z szosy, który doprowadzi go do parkingu przed głównym budynkiem. Będzie na miejscu za dwie minuty.

– Ale nie mam. To znaczy...

– Więc chcesz zostać moim terapeutą? – przerwał mu.

– Wcale nie. Nawet nie chcę wiedzieć, czy mam rację. Widzisz, Ruben, kiedy już jesteś dobry, to jesteś. Tyle wywnioskowałem z zachowania twoich kolegów. A tamta historia chyba ci przeszkadza. Cierpią na tym twoje umiejętności.

Ruben zaparkował auto i wysiadł. Na poprzednich fermach już na parkingu dochodziły niepozostawiające żadnych wątpliwości odgłosy prowadzonej działalności. Zwierzęta wymagały karmienia i klimatyzacji, niezbędne były taśmociągi. Temu wszystkiemu towarzyszyły różne dźwięki. Nie mówiąc o samych norkach. Tu panowała zupełna cisza. Domyślił się, że ferma została zamknięta. Jak w coraz większej liczbie hodowli tego rodzaju. Panujący spokój byłby może i przyjemny, gdyby nie smród. Nawet gorszy niż na poprzednich fermach. Spośród miejsc, które odwiedził dotąd, to było pierwszym, które przynajmniej teoretycznie mogłoby być ustronnym miejscem mordy.

– Ale twoje zachowanie przeszkadza również twoim kolegom – ciągnął Vincent, przerywając mu te obserwacje. – Mówię to bez oceniania. Jednak inni reagują na twoje komentarze i spojrzenia. Chyba wydaje ci się, że mówisz lekko i dowcipnie, zresztą może jest tak. Jednak widzę, że wytrącasz z równowagi innych i nawet skłania ich to do popełniania błędów. Nie oceniam, to tylko moje obiektywne spostrzeżenie.

Obiektywne spostrzeżenie? Kto poniżej setnego roku życia tak mówi?

– Masz na myśli Minę? – spytał Ruben.

Z domu mieszkalnego znajdującego się obok fermy wyszedł brodaty mężczyzna w wieku emerytalnym. Boże, ten gość tam mieszka? Praktycznie rzecz biorąc, na fermie? Należy mieć nadzieję, że dawno temu stracił powonienie.

– Jak powiedziałem, to nie moja sprawa – zauważył Vincent. – Ale sądzę, że to niedobrze, jeśli jako zespół nie osiągniecie szczytu swoich możliwości, zważywszy na moment, w jakim znajdujecie się w tym dochodzeniu.

Dobrze, że przynajmniej nie włączył siebie i nie powiedział „w jakim znajdujemy się w tym dochodzeniu”. Zawsze coś. Na trawniku obok domu stały pomalowane na biało drewniane meble ogrodowe. Tam skierował się mężczyzna. Ruben nawet ze swojego miejsca mógł dostrzec, że z mebli obłazi farba. Na jednym fotelu siedziała kobieta. W tym momencie mężczyzna dostrzegł Rubena i zmienił kierunek.

– Mógłbym w czymś pomóc? – spytał, podchodząc do radiowozu.

Ruben pokazał palcem swoje słuchawki, dając do zrozumienia, że prowadzi rozmowę.

– A poza tym, Ruben, sam chciałbym, żebyś się po prostu lepiej czuł – zakończył Vincent.

– Vincent, przepraszam cię na sekundę – powiedział i następnie zwrócił się do mężczyzny. – To pana ferma?

– Moja i żony. – Wskazał na nią palcem. – Raczej była. Obawiam się, że niewiele z niej zostało. Aktywiści włamali się i „uwolnili” norki. Nie udało nam się ich wyłapać. Musieliśmy zwolnić Görana i Martina, to znaczy naszych pracowników, i zamknąć działalność. W tutejszych lasach jest wciąż bardzo dużo norek zarówno na tej wyspie, jak i na sąsiednich. Wie pan, one świetnie pływają. – Zaśmiał się. – Złożyliśmy doniesienie na policję, ale nie było reakcji. Może pan w tej sprawie? Najwyższy czas, żeby się policja tym zajęła. Chciałbym, żeby ci aktywiści wreszcie za to zapłacili.

Ruben kiwnął głową.

– Nie mieliście tu żadnych innych nieproszonych gości? – spytał. – Poza aktywistami?

– Tutaj? – zaśmiał się mężczyzna, robiąc wielkie oczy. – To mała wyspa. Prom, którym pan przyплыł, to jedyna możliwość dostania się tutaj, chyba że ma się swoją łódź. Słyszelibyśmy, gdyby był ktoś obcy. Więc nie, nie było żadnych dzikich imprez, a może miał pan co innego na myśli. – Zarechotał i ciągnął dalej: – Bez norek nie jesteśmy interesujący nawet dla aktywistów. Nikt

nie przyjeżdża tutaj bez konkretnego interesu. Chcemy to sprzedać i przeprowadzić się do Herrljunga. Wie pan, rodzina.

Ruben mruknął coś i zanotował. Jeszcze jedna ślepa uliczka. Na tej wyspie nie wydarzyło się nic ciekawszego niż to, że od fasady budynku odłazi farba. Naprawdę powinni zrobić coś z tym smrodem.

– Gdyby pan stwierdził, że ktoś tu jednak był, to proszę do mnie zadzwonić – powiedział, wręczając mężczyźnie swoją wizytówkę.

Tamten przyjął ją i kiwnął głową. Odwrócił się i poszedł do żony siedzącej na ogrodowym fotelu. Kobieta pomachała Rubenowi.

Ruben wsiadł do samochodu i ponownie włączył słuchawki. Pomachał starszemu małżeństwu i wyjechał z parkingu na drogę.

– Vincent, znów jestem – odezwał się. – Co ty właściwie starasz się mi powiedzieć?

Sam się zdziwił, że mówi to bez irytacji. Zwykle nie cierpiał wszelkiej gadaniny o uczuciach, tak samo jak ludzi chcących babrać się w jego wnętrzu. Tym razem musiał przyznać, że ten mentalista jest naprawdę bystry. I coś w nim zapragnęło kontynuować tę rozmowę.

– Już myślałem, że się rozłączyłeś – powiedział Vincent. – Chyba zrobię tak. Wysłę ci esemesa z numerem telefonu pewnej osoby, która jest dobra w tego typu rozmowach. Faktem jest, że jedną z najlepszych. Skontaktuj się z nią. Albo i nie. Nie dowiem się i nawet nie chcę się dowiedzieć, co zdecydujesz. Powinieneś jednak zrozumieć, że twoi koledzy naprawdę cię doceniają i lubią. Zależy im na tobie. Pod warunkiem, że nie zachowujesz się jak idiota.

Ruben milczał, jadąc do przystani. Miał w uszach łagodny głos Vincenta. Poczł, że chce mu powiedzieć. Chciał. Powiedzieć.

– To było prawie jedenaście lat temu – odezwał się w końcu. – Miała na imię Ellinor. Wtedy po raz ostatni komuś zaufałem. Ale tobie nic do tego.

Nawet nie miał tego na myśli, ale jego normalne ja aż podrygiwało w środku, protestując przeciwko tej gadce, niezgodnej z całą jego istotą. Mimo to nie mógł ciągnąć dłużej tej rozmowy, bo coś by w nim pękło. Dziesięć lat poświęcił na to, żeby się przed tym obronić.

Rozłączył się i wjechał na prom. W głowie kłębiły się myśli, przypomniane przez Vincenta, myśli o tym, co było kiedyś. Nieczęsto do nich wracał, właściwie nigdy, bo nie miał odwagi, a teraz zalały go niepowstrzymaną falą. Ellinor. Ellinor. Kiedyś była jego kotwicą, jego opoką i poczuciem bezpieczeństwa. Była idealna. A on był młody i tego nie rozumiał. I zepsuł fajny związek. Tak to wyglądało. Ta prawda, którą przez dziesięć lat próbował zagłuszyć, pieprząc się z innymi. Bo po Ellinor nastąpił długi szereg dziewczyn, były to liczne Isabelle, Janniki i Melissy. Po pewnej Sannie jego pogarda dla

kobiet była już totalna. I słusznie. Jeśli doświadczenie czegoś go nauczyło, to tego, że kobiety chciały tylko jednego, czyli korzystania z jego konta bankowego. Co nie było celem zbyt dalekosiężnym, zważywszy na wysokość jego zarobków w policji. Skoro właśnie tego chciały, nie miały też prawa narzekać, gdy już z nimi skończył. Stopniowo nabierał także przekonania, że kobietom podoba się ten nowy gburowaty Ruben. Działał na nie. Żadna nie pytała, dlaczego taki jest, dopóki był zabawny, bezczelny, płacił i pieprzył je lepiej od ich mężów. Żadna nie chciała wiedzieć, co się za tym kryje.

Ellinor.

Aż pojawił się Vincent Walder. Skurczybyk. Ruben poprawił lusterko wsteczne i przez moment zobaczył sam siebie. Ze zdziwieniem zauważył, że się uśmiecha. Tylko trochę, ale jednak. Poczuł dziwną ulgę. Telefon zabrzęczał. Ruben domyślił się, co to. Postanowił się wstrzymać, nim skasuje esemesa od Vincenta.

MINA ŚCIAĞNĘŁA białe bawełniane rękawiczki, wrzuciła je do kosza na śmieci i wyjęła z kartonu następną parę. Spędziła cały dzień w pracy przed komputerem i ani razu nie zmieniła rękawiczek. Wolą nie myśleć o wylęgarni bakterii wśród śmieci w koszu. Nie opróżniła go ani razu od dziesiątej, kiedy piła kawę. Najchętniej by go podpałiła. Wyobraziła sobie, jak płomień sterylizują to wszystko. Ale wtedy uruchomiłby się alarm pożarowy. Wciągnęła nowe rękawiczki i oparła głowę na rękach, zanim zdążyła sobie uzmysłwić, że na skutek bezpośredniego kontaktu z jej czołem rękawiczki stały się niezdatne. Zrzuciła je na te poprzednie i włożyła parę nowych.

Wstała, wyjęła butelkę czyszczącego spreju. Najwyższa pora, bo minął cały tydzień, odkąd zmywała ściany w swoim pokoju. W dodatku to zajęcie pomagało jej się skupić. Tymczasem zapach środka czyszczącego przypomniawszy jej babcię Ellen. Dla Miny była ona uosobieniem poczucia bezpieczeństwa, jej ostoją.

Małe dwupokojowe mieszkanie przy Mariatorget było zawsze wysprzątane, woń szarego mydła mieszała się z zapachem pieczonego ciasta. Mina chodziła tam codziennie po szkole, żeby nie wracać do domu, do pustej willi. W objęciach babci dorastała. Czasem myślała sobie, że jej stopniowe osuwanie się w samotność zaczęło się po nagłej śmierci babci Ellen na udar. Mina miała wtedy piętnaście lat. Od tamtej pory właściwie z nikim nie nawiązała prawdziwej więzi. Nawet z mężczyzną, z którym kiedyś mieszkała. Dopiero teraz. Z Vincentem. Spojrzała na trzymany w ręku sprej i włożyła go z powrotem do szuflady.

Za oknem była pełnia lata, słońce świeciło prosto na szyby, przez co w jej gabinecie było niemożliwie gorąco. Mimo to nie otwierała okna, bo oprócz chłodniejszego powietrza wpadłyby pyłki, spaliny, cząsteczki asfaltu, dym papierosowy i wszelkie brudy powstające na dole na ulicy. Najchętniej ubrałaby się w kombinezon ochronny, ale raczej nie spotkałaby się z aprobatą. Musi się pogodzić z tym, że będzie spocona. Ubranie można zawsze uprać, a majtki i skarpetki wyrzucić.

Nie zrobiła żadnych postępów. Trzy ofiary. Trzy osoby zamordowane przez tego samego sprawcę. Nie wierzyła, że wybrał je przypadkowo. Były zbyt różne. Musi istnieć jakiś wspólny mianownik. Jednak od śmierci Roberta nie mieli nic. Żadnego nowego morderstwa, żadnego przyznania się, nic. Nie mogło być po wszystkim, wiedziała, że tak nie jest. Wsteczne odliczanie się nie skończyło.

Zrobiła pół obrotu krzesłem, żeby spojrzeć na ścianę, na której umieściła odbitki zdjęć Agnes, Tuvy i Roberta, a także narzędzi zbrodni. Iluzji. Skrzyń. Było tam również zdjęcie Daniela i wycinek z gazety na temat ojca Agnes, Jespera. Zaklinał się, że nic mu nie wiadomo na temat zamordowania Daniela. Aresztowali dwóch podejrzanych sprawców, których zidentyfikowali świadkowie. Byli od dawna znani policji, więc odnalezienie ich nie wymagało większego trudu. Obaj upierali się, że działali z własnej inicjatywy. Zdawała sobie sprawę, że nigdy się nie dowie, czy Jesper Ceci rzeczywiście nie był, a może jednak był w to zamieszany. Mimo to trudno jej uwierzyć, aby Przyszłość Szwecji miała coś wspólnego z pozostałymi morderstwami. Wprawdzie Tuva była Żydówką, a Robert niepełnosprawny intelektualnie, zatem nie byłoby dla nich miejsca w świecie, do którego dążyła Przyszłość Szwecji. Mimo to nie wierzyła, że partia polityczna ubiegająca się o wejście do Riksdagu organizowałaby systematyczne mordy. Daniel najprawdopodobniej padł ofiarą napakowanych testosteronem rasistowskich indywiduów, działających bez większego zastanowienia. I tyle na temat teorii spiskowych.

Na ścianie, dzięki dziadkom Tuvy, znajdowało się również zdjęcie jej byłego chłopaka w Londynie. Jeszcze nie wszczęli jego poszukiwań, Mina zgadzała się z Julią, że prawdopodobnie nic by nie przyniosły. Prawda znajdowała się znacznie bliżej.

Vincent powiedział, że morderca prawdopodobnie pojawił się kilkakrotnie w kawiarni przy Hornstull. Daniel widział tam kogoś. Innymi słowy, morderca wybierał swoje ofiary bardzo starannie. Nie były to przypadkowe porwania z ulicy, jak kiedyś działał Jonas Rask. Ten sam Rask, wciąż przebywający na wolności, którego jeszcze nie udało im się znaleźć.

Mina wstała, podeszła do ściany i przyjrzała się twarzom ze zdjęć, jakby chciała zmusić je do odpowiedzi. Dlaczego akurat oni? Jaki jest między nimi związek?

Wróciła do komputera i ostrożnie wycięła dziurkę w rękawiczce na wysokości czubka prawego palca, żeby móc używać touchpada w laptopie. Było to z jej strony poświęcenie, ale w przeciwnym razie nie mogłaby na nim pracować. Stale te kompromisy, wyjątki, pęknięcia w jej zbroi, przez które mogły się do niej dostawać różne syfy.

Odetchnęła głęboko i poruszyła touchpada odsłoniętym czubkiem palca. Odszukała dane Agnes, Tuvy i Roberta w rejestrze numerów ewidencyjnych i wydrukowała raporty z przesłuchań ich bliskich. Gdzieś musi być między nimi związek, tylko trzeba go znaleźć. I to pilnie. Morderca jeszcze nie skończył.

Vincent też o czymś nie mówi. Wypytywał o Dziewczynę z delfinem, wydawało się, że to ważne. Nie podobało jej się, że nie powiedział nic więcej; musi mu zaufać, że zrobi to, kiedy tylko będzie mógł.

Któregoś dnia kolejna niewinna osoba może zostać zamknięta w którymś ze straszliwych urządzeń, o których opowiadał Vincent. Mina musi temu zapobiec.

VINCENT PRZESZEDŁ pomostem do restauracji Gondolen. W środku było prawie pełno, choć było dopiero wpół do ósmej wieczorem, przy stolikach tłoczyli się turyści i miejscowi na urloпах. Nie dostrzegł Ulriki.

– Witam, ma pan rezerwację? – spytał kierownik sali.

– Nie. Nie zostanę długo. Usiądę w barze.

Przy odrobinie szczęścia szybko załatwi tę rozmowę z Ulriką. Tylko musi się skupić na potrzebach Rebecki i ignorować wszelkie złośliwości na temat siostry Ulriki i ich małżeństwa. Tłumaczył Marii, że restauracja jest neutralnym miejscem, i była to prawda, podobnie jak to, że w publicznym miejscu Ulrika nie odważy się zrobić nic niestosownego. Nie chciałby powtórki z poprzedniego razu.

Usiadł w barze i zamówił filiżankę parzonej kawy. Wprawdzie nie tego domagał się jego ściśnięty z głodu żołądek, bo od śniadania nie zdążył nic zjeść, jednak Vincent nie zamierzał zostać tu dłużej niż to absolutnie konieczne. Zaraz po rozmowie pójdzie sobie na kebab na rogu.

Zdążył wypić połowę swojej kawy, kiedy postawiono przed nim szczerze napełniony kieliszek czerwonego wina. Obok niego stała Ulrika z równie pełnym kieliszkiem. Uniósł brwi pytająco.

– Potrzebujesz tego – powiedziała tytułem wyjaśnienia.

– Czyli nagle sprawa stała się aż tak poważna? – odparł i zakręcił kieliszkiem tak, że wino obmyło jego brzeg. – Kiedy przychodzą twoje kumpelki?

Obserwował wino, które wirowało coraz wolniej, ściekając po ściankach jak krople deszczu po szybie.

– Mamy godzinę do ich przyjścia – odparła, siadając obok. Kiwnęła głową, wskazując na jego kieliszek. – Sprawdzasz zawartość alkoholu czy jak?

Vincent westchnął. Godzina. Sześćdziesiąt minut. Trzy tysiące sześćset sekund. Kebab musi jeszcze trochę poczekać. Upił duży łyk wina.

– To mit, że można patrzeniem oszacować zawartość alkoholu – powiedział. – Alkohol paruje szybciej niż woda, co oznacza, że napięcie powierzchniowe rośnie i tworzy krople po wewnętrznej stronie szkła. I to jest to, co widzimy.

Zjawisko chemiczne. Jednak nic nam nie mówi o jakości wina ani o jego smaku. Po prostu ładnie wygląda.

Jeszcze trzy tysiące pięćset dziesięć sekund.

– Nie wiedziałam, że stałeś się znawcą win – powiedziała krótko.

– Nie znam się na winie, ale wiem, jak działają płyny. Słuchaj, nie chciałbym tu być, kiedy przyjdą twoje kumpelki, więc porozmawiajmy.

– Nie musimy się tak spieszyć – odparła miękko. – Co u was słychać? Jak Rebecka i Benjamin zachowują się, kiedy są u ciebie?

Ostatnia rzecz, jakiej się spodziewał. Ulrika niechętnie rozmawiała z nim o dzieciach. Do jej stylu życia kobiety nastawionej na karierę chyba nie przystawało bycie mamą dwojga nastolatków. Przede wszystkim nigdy nie wspominała o tym, jak dzieciom jest u niego, chyba że akurat narzekała na coś. Fakt, że musiała dzielić się dziećmi ze swoją siostrą, był raną, która chyba nigdy się nie zagoi.

Patrzył na nią, usiłując przejrzeć jej plan, co tak naprawdę kryje się za jej pytaniem. Jej pochylona głowa i spojrzenie pełne oczekiwania nie zdradzało jednak żadnych ukrytych zamiarów. Wyglądało na to, że po prostu ją to ciekawi. Daleko jej było do tej agresywnej Ulriki z poprzedniego razu. Pozwolił sobie lekko się odprężyć. Może ta rozmowa będzie jednak miała cywilizowany charakter.

– Cóż, zacznijmy od tego, że cały czas mówią do twojej siostry „ciociu” zamiast po imieniu.

Ulrika właśnie miała się napić i zaśmiała się prosto do kieliszka, niemal rozlewając wino. Jej śmiech zabrzmiał ordynarnie i złośliwie, a mimo to interesująco dzięki chrypcie w głosie. Właśnie to było w niej takie irytujące, że miała wszystko. Urodę, pieniądze, energię. Niesamowity instynkt rywalizacji. Bryłowała, nawet kiedy się śmiała. Jedyna niepewność dotyczyła tego, czy ma jakieś uczucia.

– Przepraszam – powiedziała – ale przecież jest nią. Znaczą ciocią.

Z biegiem lat Vincent nabierał coraz większego przekonania, że jego była żona faktycznie cierpi na deficyt empatii. Z początku myślał, że jest po prostu zimna. Niezainteresowana innymi ludźmi. Potem zrozumiał, że sprawa jest poważniejsza, bo Ulrika była mentalnie niezdolna do postawienia się w sytuacji drugiej osoby lub zrozumienia jej emocji. Za to dobrze udawała. Świetnie wiedziała, co powiedzieć, żeby przeciągnąć innych na swoją stronę, kiedy było jej to potrzebne. I pewnie również dlatego była znakomitą adwokatką.

– Jednak Maria woli, żeby mówili do niej po imieniu – odparł. – A tak w ogóle to Benjamin nie opuszcza swojego pokoju od, na pewno, dwóch tygodni, podejrzewam, że w stertach brudów znajdujących się po kątach

zagnieździły się jakieś trolle. Rebecka ma mnóstwo koleżanek i mówi, że wszystko jest mega, więc z całą pewnością czuje się podle. I nadal nie odsłania przedramion...

– Może tylko myśli, że jest kluchowata?

Vincent zamilkł. Właśnie. I oto doszli do przyczyny, dlaczego w końcu nie potrafił już żyć z Ulriką. Jej absurdalne, wręcz niezdrowe wymagania wobec samej siebie – to jedno. W końcu była dorosła, więc się nie wtrącał. Problem pojawiał się, gdy tą samą miarą chciała mierzyć najbliższe otoczenie. I gdy w końcu zaczęła stawiać te same wymagania dzieciom, mówiąc im, ile powinny w przyszłości zarabiać i jak wyglądać, żeby zyskać akceptację, wtedy miał dość. Zaczęły się między nimi kłótnie.

– Jeśli Rebecka ma kompleksy z powodu wyglądu, to ma je przez ciebie – stwierdził ostro. – Jest jeszcze jedna, gorsza rzecz. Nie miałem ostatnio okazji ci tego powiedzieć, ale sądzę, że nasza córka się tnie. Żyłką. Albo nożem. Do krwi. Okej?

Wypił wino jednym haustem. Ulrika już się nie śmiała. Również opróżniła kieliszek. Kiwnęła na barmana i zamówiła dwa mocne dżiny z tonikiem. Informację o Rebecce potraktowała chyba poważnie. Na swój sposób.

– U mnie się nie tnie – powiedziała. – Widocznie u was w domu dzieje się coś, co ją do tego skłania. U mnie jest pogodna.

– Boże – zapatrzył się na byłą żonę – jak możesz być tak oderwana od rzeczywistości? Co ty w ogóle wiesz o własnej córce? Kiedy odbyłaś z nią jakąś prawdziwą rozmowę?

– O co chodzi, przecież rozmawiamy – zaproponowała Ulrika, popijając podany jej dżin z tonikiem.

Ze złością zamieszał swojego drinka. Dobrze, że jest alkohol, skoro tak ma wyglądać ta rozmowa.

– To jak nazywa się jej najlepsza przyjaciółka? Tylko nie mów, że ty nią jesteś. Nie ma nic gorszego od mam, które chcą się kumplować ze swoimi nastoletnimi córkami.

– Hm, więc chyba Emma?

Vincent obrócił się na stołku, by znaleźć się z Ulriką twarzą w twarz.

– Ona nie ma najlepszej przyjaciółki – odparł z wielką powagą. – Ma mnóstwo znajomych, ale żadnych prawdziwych przyjaciół. Uśmiech na jej ustach nie jest prawdziwy. Nigdy nie obejmuje oczu. Jak to możliwe, że tego nie widzisz? A może nie chcesz, bo to się nie zgadza z twoim wyobrażeniem siebie jako kobiety w świetnej formie i spełnionej mamy udanych dzieci?

W jego szklance prawie nic nie zostało. Za szybko pił z tej złości. Powinien być ostrożniejszy i pamiętać, że nic nie jadł.

– Vincent, do cholery, spaszuj – fuknęła. – Chociaż powinnam ci pewnie podziękować, że uważasz mnie za spełnioną i atrakcyjną.

Westchnął. Jak zwykle odwróciła kota ogonem.

– Czyli to moja wina, że nie widzisz, co się dzieje? – odparł. – I stan Rebecki też? Zastanawiam się czasem, czy ty jesteś prawdziwa.

– Nie jestem – powiedziała, kręcąc mieszadełkiem między kawałkami lodu w opróżnionej szklance. – Jestem wytworem twojej wyobraźni, a ty siedzisz sam, pijesz i gadasz do siebie. Nawet goście przy stolikach zaczęli się dziwić.

Pokazała palcem opróżnione szklanki barmanowi, który od razu przystąpił do mieszania dwóch kolejnych drinków.

– Macie tu migdały albo coś, co bym mógł jeść do tego? – spytał.

Barman przytaknął, zniknął na minutę, po czym przyniósł miseczkę gorących migdałów i postawił przed Vincentem. Za mało jak na kolację, ale chwilowo musiały mu wystarczyć. Vincent włożył do ust garść migdałów. Uczucie palenia w żołądku złagodniało odrobinę.

Zabrzączał telefon Ulriki.

– Spóźniają się – powiedziała, przeczytawszy esemesa. – Będziesz musiał mi jeszcze potowarzyszyć.

Zerknął na zegarek. Dopiero co miał do końca spotkania osiemset czterdzieści sekund.

– Potraktuj to jak wieczór wolny od dzieci, za to w dorosłym towarzystwie – dodała. – Pewnie nie masz takich zbyt wiele. To jak, zawrzemy pokój?

Skinął głową. Racja. Lepiej w tej sytuacji skupić się na tym, co możliwe. Zastanawiał się jednak, czy kiedykolwiek uda im się odbyć prawdziwą rozmowę na temat Rebecki.

Im było później, tym bardziej bar się zapełniał, w końcu zrobiło się tłoczno. Ulrika zamawiała kolejne drinki. Vincent był stopniowo spychany coraz bliżej niej, siedzieli już ramię w ramię. Nie widział jej, kiedy rozmawiali. Gdyby odwrócił głowę, jego twarz znalazłaby się w odległości zaledwie dziesięciu centymetrów od jej twarzy. Zdecydowanie za blisko. Jego prywatna bańka wymagała co najmniej półmetrowego dystansu, ale w tej ciasnocie nie było na to szans. Jadł już trzecią miseczkę migdałów i właśnie włożył do ust kilka następnych.

– Vincent, Vincent – odezwała się Ulrika, wymawiając niewyraźnie pierwszą literę jego imienia. – Uśmiechnęła się, kiedy barman postawił przed nią kieliszek cavy, a dla niego whisky. Dżin z tonikiem dawno zostawili za sobą. – Co się właściwie z tobą dzieje? – Nacisnęła go ramieniem.

– Ze mną? – westchnął. – Nie wiem, Ulriko. Co się właściwie dzieje z tobą? Przybrałaś pozę wspaniałej lali, która nie dostrzega nikogo poza samą sobą.

Zawsze taka byłaś?

– Uważasz, że jestem wspaniała?

Zerknął w bok, chyba dojrzał u niej uśmiech zadowolenia, ale nie widział wyraźnie, bo siedzieli za blisko. W dodatku miał ten sam problem z niewyraźnym widzeniem, co ona z mową.

– Daj spokój. Obiektywnie jesteś piękna, to jasne. Problem nie w tym, tylko...

Odwróciła się do niego. Znalazła się na tyle blisko, że poczuł na uchu jej gorący oddech.

– Chciałbyś mnie pocałować, prawda?

– No wiesz! – Vincent, na ile to było możliwe w tym tłoku, rozłożył bezradnie ręce. – Właśnie to miałem na myśli. Jesteś niemożliwa.

Dopił whisky i odstawił pustą szklaneczkę obok jej kieliszka. Nawet nie zauważył, kiedy go opróżniła. Wydawało mu się, że dostali drinki przed chwilą. Widocznie nie. A miał zachować ostrożność. Nieźle.

– Kiedy pieprzyłeś się ostatnio z Marią? – spytała, nachylona wciąż do jego ucha. – Ile miesięcy temu?

Nie dał się na to złapać. Byłby to wstęp do wywodu, o ile ich współzycie było lepsze. Jakby regularne godzinne pieprzenie się oznaczało, że przez resztę doby nie mieli innych problemów.

– A ty? – skontrolował. – Słyszałem, że nie masz nikogo. Nastawiłaś się na łowienie w barach przed samym zamknięciem czy jak?

– A czyja to wina – powiedziała, opróżniając kolejny kieliszek, którego przyniesienia nawet nie odnotował.

Na to nie było rozsądnej odpowiedzi. Zamiast tego gapił się prosto przed siebie przez szklane ściany lokalu. W Gondolen, dzięki położeniu restauracji, roztaczał się wspaniały widok na całe miasto. Uwielbiał patrzeć na Sztokholm nocą, zwłaszcza z okien samolotu, gdy wracał z występów. Na podstawie świetlnych kropek w dole próbował wtedy zgadywać, co to za dzielnica.

Oczywiście wiedział, że z miejsca, gdzie siedzi, ma widok na Skeppsholmen i Djurgården, ale mózg nie radził sobie z układanką ze świetlnych punkcików. Nocne światła tańczyły mu przed oczami. Był za bardzo pijany. Spojrzał na swoją pustą szklanę. Nie była przed chwilą pełna? W takim razie ktoś musiał ją opróżnić, bo nie pamiętał, żeby wypił kolejnego drinka. Te światła tańczące w dole mówiły jednak co innego. Naprawdę powinien był zjeść dzisiaj coś więcej niż tylko śniadanie.

– To co robimy? – spytał ze wzrokiem utkwionym wciąż w letnią noc.

Musiał włożyć trochę wysiłku w wyraźne wymawianie słów. Mimo to nie do końca się to udawało.

– Masz na myśli z Rebecką? Czy z nami?

Oczywiście, że miał na myśli Rebeckę. Chociaż nic nie było już oczywiste. Nie miał odwagi mówić, bo nie wiedział, co padnie z jego ust, jeśli je otworzy.

– Jesteś żaloszny – powiedziała Ulrika. – Chyba nie myślisz, że wciąż ciebie chcę?

– Nawzajem – powiedział, podnosząc pustą szklaneczkę w geście toastu. – Muszę się wysikać.

Wstał z hokera i świat mu zawirował. A niech to. Ale się spił. Tak, tak. Teraz nie ma co żałować. I tak będzie na to czas jutro. Teraz powinien się skupić, żeby trafić do toalety i nie wypaść zbyt żałośnie. Może będzie miał to szczęście, że nikt go nie rozpozna. A potem podziękuję i zamówi taksówkę do domu. Rozmowę o Rebecce będą musieli dokończyć innym razem, ale najpierw musi napełnić żołądek, bo do reszty straci kontrolę.

Zataczając się, dotarł do toalet, stanął przy umywalce i odkręcił kran. Kiedy woda była już dostatecznie zimna, ochlapał nią twarz. Nic to nie pomogło. Poza tym, że zamoczył koszulę. Weszła za nim jakaś osoba, która też nie szła prosto.

– Ty skurczybyku – powiedziała Ulrika.

Nie zdążył zareagować, gdy chwyciwszy go za kołnierz, pociągnęła w stronę drzwi do ubikacji i przywarła do niego. Przycisnęła wargi do jego ust, odpowiedział jej i ich języki dotknęły się. Całowali się żarłocznie, drapieżnie. Złapał ją za włosy i odciągnął jej głowę w tył. Jęknęła lekko od pociągnięcia za włosy.

– A niech cię – powiedział.

Otworzył drzwi do kabiny i słaniając się na nogach, wszedł tyłem, ona za nim i zamknęła drzwi. Rozpięła mu spodnie, Vincent zmagął się z guzikami jej bluzki, ale mocno odepchnęła jego rękę.

– Usiądź – powiedziała, a Vincent usiadł ciężko na klapie sedesu, spodnie i bokserki miał opuszczone do kolan.

Podciągnęła spódnice do bioder, odsunęła majtki i szybko usiadła na nim okrakiem. Sam się zdziwił, że był taki twardy, kiedy w nią wszedł. Chwycił ją mocno za biodra, żeby przytrzymać, ale również żeby się za bardzo nie zbliżyć. Ujeżdżała go z furią osoby, która od długiego czasu zmagала się z takim rozczarowaniem i złością, że nie widziała przed sobą nic innego. W jej uścisku nie było miłości, tylko sama wściekłość. Na niego czy na kogoś innego – nie wiedział, zresztą nie obchodziło go to. Nie podniósł na nią oczu, nie chciał patrzeć na jej twarz, widział tylko jej biodra i jak się w nią wbija. Wypieprzą wszystko, co kiedyś było między nimi fajne, a teraz stanie się niewybaczalne i zepsute; oboje o tym wiedzieli.

Nagle przestała się poruszać. Mocno odkaszlnęła i zeszła z niego.

Nie spojrzała na niego, on na nią też nie.

Poprawiła majtki, obciągnęła spódnicę i zapięła bluzkę, a Vincent patrzył na swój wciąż półtwardy członek. Wyszła z kabiny i zamknęła drzwi.

Vincent został, siedząc ze spodniami opuszczonymi do kostek.

O kurwa.

Kurwa, kurwa, kurwa.

SZYKOWAŁA SIĘ do łóżka, kiedy zadzwonił telefon. Stała w łazience, właśnie wyrzuciła bawełniane dzienne majtki i włożyła nową parę na noc. Najchętniej weszłaby jak najszybciej między świeżo uprane prześcieradła, jeśli potrwa to zbyt długo, nowe majtki wydadzą jej się nieświeże i znów będzie musiała zmienić przed pójściem spać.

W pierwszej chwili nie chciała odbierać. W końcu było już po północy. Jednak komórka nie przestawała dzwonić. Mina poszła do sypialni, gdzie ładował się telefon, i spojrzała na wyświetlacz. Vincent. Tak późno? To do niego niepodobne. Musiało się coś stać.

Włożyła słuchawki do uszu i odebrała.

– Cześć, Vincent, co się dzieje?

– Minahej – odpowiedział natychmiast i zdecydowanie za głośno.

Bełkotał lekko. Od razu się zorientowała, że jest pijany.

Odgłosy ulicznego ruchu mieszały się ze słowami. Znajdował się na dworze i chyba szedł ulicą.

– Przepraszam, nie chciałem cię budzić – ciągnął. – Ale nie wiedziałem, do kogo innego mógłbym zadzwonić.

Mówił niewyraźnie, jakby w ustach miał watę. Słysząc było, że wkłada dużo wysiłku w wymawianie spółgłosek. Najwyraźniej był bardzo, bardzo pijany. Żeby tylko nie szedł za blisko samochodów, które przejeżdżały obok, jak się domyślała.

– Stało się coś? – spytała.

To całkiem do niego niepodobne. Vincent zawsze się kontrolował.

– Można tak rzec. Zrobiłem coś kurewsko głupiego. Kurewsko.

Nastąpiła dłuższa pauza.

Mina owinęła się szlafrokiem i usiadła na brzegu łóżka, czekając, aż Vincent zacznie znów mówić. Ruch jakby się trochę uspokoił. Vincent widocznie znalazł lepsze miejsce, gdzie mógł przystanąć.

– Zdradziłem Marię – powiedział wreszcie. – Z jej siostrą. Moją byłą żoną.

– Z twoją byłą? – wykrzyknęła.

Nagle zawahała się, czy aby chce ciągnąć tę rozmowę. Zrobiło się za bardzo prywatnie, wręcz intymnie. Lepko. Dotąd ich wzajemna relacja miała charakter zawodowy. Z odpowiednim dystansem. Polubiła go, dopuściła do większej zażyłości niż kogokolwiek od bardzo dawna, ale wystarczy. Teraz dzielił się z nią swoim życiem, o co nie prosiła. W dodatku w jego życiu panowało wielkie zamieszanie. A jednak zadzwonił właśnie do niej. Bo miał do niej zaufanie. Mógłby zadzwonić do kogokolwiek. Ale nie zrobił tego. Spośród wszystkich ludzi na świecie wybrał ją, żeby się zwierzyć. To musi być coś warte, mówiła sobie gorączkowo. Starła się przekonać samą siebie, że to dobra rozmowa między dwojgiem przyjaciół. Jednak gdzieś tam знаła prawdę. Paliło ją w środku z zazdrości.

– Vincent – odezwała się ostro. – Mówisz, że przespałeś się z byłą żoną? – Starła się panować nad głosem, ale czuła, jak kurczowo ścisną telefon.

– Nie wiem, czy można powiedzieć, że się przespałem – odparł. – Wrażenie było takie, jakbyśmy się bili. Czysta... złość. Co za głupota. Zupełnie nie wiem, co mam ze sobą zrobić.

Chlipnął przy ostatnich słowach, przebijających się przez szum samochodów, zabrzmiało to, jakby płakał.

– Maria wie?

– Nie, już by mnie zdążyła zabić. Nie mam odwagi jechać do domu. Wszystko zepsułem.

Mina spojrzała na swoje przesuszane ręce i pomyślała o tym, co sama zrobiła. Jakich dokonała wyborów, przez które straciła przyjaciół. Swoją rodzinę. Przez które co tydzień siedziała na mityngu AA, nie mając nikogo, komu mogłaby się zwierzyć. Bała się, że Vincent zepsuł jeszcze więcej. Oprócz rodziny.

– Co czujesz do byłej żony? – spytała.

Rzeczowo. Chłodno. Ręce jej się spociły.

– Co czuję? – powtórzył. Zabrzmiało to, jakby trochę wytrzeźwiał. – Kiedyś myślałem, że jej nienawidzę. Ale w gruncie rzeczy... nic. Popiół. Myślę, że ona też. Ale wiesz, zrobił się taki mętlik. Straszny. I trwał bardzo długo. Właściwie wciąż jest mętlik. Przecież nie planowałem, że zakocham się w jej młodszej siostrze... po prostu stało się. A związek z Ulriką... między nami już nie było dobrze, ledwo ze sobą rozmawialiśmy, więc nawet nie wiem, dlaczego ją to obeszło. Chociaż tak, jasne, trochę nieszczęśliwie się złożyło, że akurat z jej siostrą... – Jego niewyraźny głos zanikł na moment. Wrócił z pełną siłą. – Dziesięć lat to trwało, ale udało jej się zemścić, oj, udało. Kurde... Nie wiedziałem, że można tak nienawidzić.

Mina położyła się na łóżku i zamknęła oczy. Wykrochmalone prześcieradła zaszeleściły pod szlafrokiem. Jakoś tam rozumiała go. Jej wybory też nie były

świadome. Po prostu tak się stało. W każdym razie tak sobie potem wmawiała. A więc kim ona jest, by sądzić? Kim jest, że leży z tym palącym bólem w brzuchu po czymś, czego nawet nie miała? Nie padły między nimi żadne zapewnienia. Nic. Poza tym, co przecież jest. Chrzęknęła i zacisnęła powieki.

– Jedź do domu, Vincent. Ty i twoja była żona jesteście dorosłymi ludźmi. Zrobiliście coś głupiego. Czasem tak postępujemy. Również jako dorośli. Nikt nie jest wolny od błędów. Najważniejsze, że wiesz, że to był błąd, i więcej się nie powtórzy. Nie musisz nic mówić. Po prostu zostaw to.

Jeśli nauczyła się czegoś w AA, to tego, że życie składa się z iluś kroków naprzód, a potem jest potknięcie i krok wstecz. Kto wierzy, że jest inaczej, przeżyje zawód. Wszyscy jesteśmy ludźmi i niewolni od błędów. Poznała tę prawdę i powtórzyła jak mantrę więcej razy, niżby sobie życzyła.

– Tak mi strasznie wstyd przed tobą – powiedział cicho. – Nie chcę, żebyś mną gardziła. Ja taki nie jestem. Ja... bardzo cię lubię, Mina.

Otworzyła znów oczy i słuchała szumu miasta przez telefon. Ona w ciepłym domu, w miękkim łóżku. On gdzieś tam w ciemnościach. Ale oddychali razem. Przez dłuższą chwilę żadne z nich się nie odezwało.

– Dziękuję, Mina – przerwał milczenie Vincent. – I jeszcze raz przepraszam za ten telefon.

Rozłączył się. Mina poleżała jeszcze z zamkniętymi oczami i komórką w ręce. Pożar w brzuchu zniknął. Nagle poczuła samotność, która była niemal ogłuszająca. Obróciła się na bok i zwinęła w kłębek.

VINCENT STAŁ PRZED budynkiem na Kungsholmen. Zanim zebrał się na odwagę, żeby tam przyjść, musiał odczekać dwa dni od spotkania w Gondolen i upewnić się, że już nie jedzie od niego wódą. Miał wrażenie, jakby się cały zamarynował w alkoholu. Nie oczyścił się od środka, raczej przeciwnie. Teraz musiał radzić sobie ze wstydem. Nie mógł zrzucić z siebie winy za to, co się tam stało. Jednak wszystko ma swój czas i miejsce. Teraz powinien się skupić na tym, po co tu przyszedł.

Budynek wyglądał podobnie do innych w tej dzielnicy. Tylko mała tabliczka obok dzwonka informowała, że lokal Anonimowych Alkoholików znajduje się na parterze. Oczywiście duży neon byłby w tym kontekście zupełnie nie na miejscu. Pytanie, co powinien teraz zrobić. Sterczeć w bramie i liczyć, że wypatrzy tę całą Annę z tatuażami? Czy lepiej wejść? Czy będzie mile widziany, skoro nie ma problemu z żadnym uzależnieniem? Oczywiście mógłby udawać, ale nie za bardzo mu się to podobało.

Kiedy tak się zastanawiał, jego umysł bawił się literami na tabliczce. Po kilku sekundach przerobił Anonimowych Alkoholików na Ajatollahów Mohikanina. Był z siebie całkiem zadowolony, ale nie pomogło mu to znaleźć Anny. Nie miał wyboru, musiał wejść.

W holu przed lokalem stał stolik, a na nim termos z kawą. Przez otwarte drzwi zobaczył dokładnie to, czego się spodziewał. Było to duże pomieszczenie z pewną liczbą krzeseł ustawionych w kręgu. Co za ulga, że niektóre stereotypy się jednak potwierdzają. Przez boczne drzwi weszła kobieta około pięćdziesiątki. Zobaczyła Vincenta i kiwnęła do niego ręką, by wszedł.

– Właściwie jeszcze nie zaczęliśmy – powiedziała – ale nalej sobie kawy i usiądź. Jesteś tu pierwszy raz?

Już miał powiedzieć, że nie jest jednym z nich, ale powstrzymał się, kiedy zdał sobie sprawę, jak by to zabrzmiało. Zamiast tego nalał sobie kawy do papierowego kubka i wszedł.

– Lena – przedstawiła się kobieta, podając mu rękę. – Nie wiem, ile ci wiadomo na nasz temat, ale nie musisz mówić nic ponad to, co sam zechcesz.

Nawet podawać swego imienia. Oczywiście istnieje ryzyko, że oprócz mnie ktoś jeszcze rozpozna cię z telewizji, ale skoro tu jesteś, to na pewno jest dla ciebie ważne co innego.

– Hm, okej, dzięki. – Tylko tyle zdołał z siebie wyrzesać.

Usiadł na jednym z plastikowych krzeseł, jednocześnie bez powodzenia szukając w myślach, co by tu jeszcze powiedzieć. Może byłoby to jednak niegłupie, żeby uczestniczyć w jednym spotkaniu. Spokojnie obserwować innych zebranych. Warto się dowiedzieć, jak ta Anna funkcjonuje.

Lokal zapełniał się stopniowo, ludzie siadali w kręgu. Wciąż nie widział młodej kobiety z wytatuowanym na łydce delfinem. Nie było jej, kiedy zaczęło się spotkanie.

Vincent posłuchał opowieści o utraconej i odzyskanej nadziei, o odwadze i sile, również o rozczarowaniu sobą. Anny nadal nie było.

– Ogłaszam kilka minut przerwy – powiedziała po jakimś czasie Lena. – Na stole jak zwykle czekają kawa i ciasteczka.

Vincent wstał i wyszedł do holu. Miał tylko nadzieję, że wśród tych, którzy go ewentualnie rozpoznają, nie będzie nikogo z tabloidów. Lena miała rację o tyle, że samo jego przyście oznaczało, że ma na głowie ważniejsze rzeczy. Choć nie znała prawdziwego celu, w jakim przyszedł.

– Kawy?

Zastąpił mu drogę brodaty mężczyzna i gestem wskazał stół z kawą.

– Nie, dziękuję, już wychodzę – powiedział, uśmiechając się, Vincent.

– Mądra decyzja. To znaczy nie chodzi o wyjście, tylko o kawę. Zawsze przynoszę własną. Jestem Kenneth.

Mężczyzna podał mu rękę. I zaraz zaczął się tłumaczyć. – Głupie przyzwyczajenie. Nie musisz się przedstawiać. Domyślam się, że jesteś tu pierwszy raz, tak? Ja za pierwszym razem chyba też wyszedłem w połowie. Trochę za dużo tego.

Vincent uściśnął mu rękę, ale się nie przedstawił.

– Szukam pewnej osoby – powiedział. – Ma wytatuowanego delfina.

– Pewnie masz na myśli Annę. – Mężczyzna zaśmiał się. – Ten delfin od niedawna ma towarzystwo, to już prawie zoo.

Podszedł do wieszaka, wziął stamtąd plastikową torbę i wyjął termos.

– Nie zawsze przychodzi – powiedział. – Przyjaźnicie się?

– Nie, ale można powiedzieć, że dała mi pracę. Pośrednio. Chciałem jej tylko podziękować.

Przy stole z kawą pojawiła się starsza pani w liliowym szalu. Poruszała się po lokalu z wdziękiem, jakby sunęła przez jakiś reprezentacyjny apartament, a nie lokal organizacyjny.

– Olgo – zwrócił się do niej Kenneth – nie wiesz, w jakie dni przychodzi Anna?

– *Da*. W czwartki – odparła z obcym akcentem.

Vincent nie był przekonany, że ten akcent jest autentyczny.

Kenneth kiwnął głową.

– To sprawdź w czwartek – powiedział. – Na pewno nie chcesz mojej kawy?

Vincent uśmiechnął się jak najuprzejmiej. Nic tu po nim.

– Następnym razem – odpowiedział.

Jednak będzie musiał prosić Minę o pomoc. Powinien był jej od razu powiedzieć.

SARA TEMERIC potarła skronie. Pracowała w policji od prawie dziesięciu lat. Najpierw w Riksriminalen, czyli Krajowym Biurze Kryminalnym, a potem po jego przekształceniu w Noa, czyli Narodowym Oddziale Operacyjnym. W Noa analizowała finansowanie terroryzmu i uczestniczyła w zespole nadzorującym Narodowe Oddziały Interwencyjne. Odpowiedzialne funkcje jak na osobę będącą dopiero po trzydziestce, ale była dobra w tym, co robiła. Na tyle dobra, że po czterech latach zaoferowano jej awans i nowe stanowisko oraz tymczasową placówkę w Nowym Jorku. Miała zostać specjalistką od działań operacyjnych, cokolwiek to znaczyło.

Nie wahała się ani przez chwilę i wyjechała do Stanów. I, rzecz jasna, poznała tam mężczyznę. Mieli teraz z Michaeliem dwoje dzieci, Leah i Zachary'ego, jej dwa oczka w głowie. Jednak od początku założyła, że dzieci nie będą się wychowywać w Stanach, tylko w Szwecji, a Michael nie miał nic przeciwko temu. Układ przedstawiał się tak, że najpierw spędzą kilka lat w Stanach, gdy dzieci będą malutkie, a Michael będzie miał szansę zdobyć pozycję jako twórca gier komputerowych, potem zaś przeniosą się całą rodziną do Szwecji. W związku z tym pełniła teraz funkcję straży przedniej i jednocześnie z wchodzeniem w nowe zadania – miała poszukać dla nich mieszkania i biura dla Michaela.

Uwielbiała swoją pracę, a poszukiwanie mieszkania sprawiało jej przyjemność. Przede wszystkim zaś cieszył ją powrót do Szwecji. Jednak doskwierała jej tęsknota za rodziną i marzyła o dniu, kiedy przyjadą.

Od powrotu w połowie lata była zajęta głównie odciążaniem analityków operacyjnych. Wykonywała prace poniżej właściwego dla niej poziomu zarobków, ale dobrze się czuła, uczestnicząc w praktycznych działaniach, zanim wyjaśnią się sprawy związane z jej etatem.

Była tylko jedna nieprzyjemność, mianowicie analizę monitoringu musiała przekazać Rubenowi Höökowi. Spotkała się z nim zaledwie raz przed swoim wyjazdem do Stanów. I ten jeden raz wystarczył. Rzucił na nią szybkie

spojrzenie i powiedział coś, że „lepsze byłyby heisty”. Dopiero później dowiedziała się, że Heist to marka kobiecej bielizny korygującej.

Do tej pory była wyłącznie dumna ze swoich kobiecych kształtów, ale po spotkaniu z Rubenem miała wrażenie, że wszyscy się na nią gapią, bo jest gruba. Jej ówczesny chłopak spędził cały wieczór na zapewnieniach, że jest piękna, a Ruben to idiota, który pewnie napala się na anorektyczki w wieku szkolnym.

Niektóre ciernie są trudno usuwalne. Ruben Höök osiągnął za pomocą trzech słów to, że Sara poczuła się gruba i brzydka. Nigdy mu tego nie wybaczyła. A teraz miała się z nim znów spotkać. Dobre i to, że wygooglowała męską markę bielizny Addicted, produkującą bokserki z dodatkowym wypełnieniem z przodu i na pupie. *Dla wzmocnienia twojej męskości* – tak się reklamowali. Gdyby Ruben powiedział choć jedno słowo, które jej się nie spodoba, złoży w jego imieniu zamówienie na pięciopak takich gatek.

Weszła do salki konferencyjnej i z ulgą stwierdziła, że Julia ściągnęła tam resztę zespołu, żeby wysłuchać sprawozdania Sary. Lubiła Julię. Julia była inteligentna, bystra, swojej pracy w policji ewidentnie nie zawdzięczała ojcu, ale temu, że była równie dobra jak on. I trzymała w ryzach Rubena. Sara przywitała się kolejno ze wszystkimi. Podając rękę Rubenowi, w ostatniej chwili przeniosła wzrok na Padera, stojącego zaraz za nim. Brzydkie zagranie, żeby unikać kontaktu wzrokowego z osobą, z którą się witamy, ale dobrze mu tak. Pewnie nawet nie pamiętał, że już się kiedyś spotkali. Zresztą Peder już jej pomagał w porządkowaniu danych. Nie przypominała sobie, by Ruben pomógł jej w czymkolwiek.

Podłączyła laptopa do ekranu w salce i rozpoczęła prezentację. Na monitorze pojawiła się siatka z kolumnami cyfr.

– Jestem Sara, to tytułem wyjaśnienia dla tych, którzy mnie jeszcze nie znają – zaczęła. – Pomagałam działowi analiz w zlokalizowaniu rozmowy telefonicznej, o którą wam chodziło. Wykazy ruchu telefonicznego operatorów to istna dżungla. Na szczęście dysponujemy ostrą maczetą w osobie Padera.

Peder, mimo swoich podkrążonych oczu, uśmiechnął się dumnie.

Kliknęła myszą, jeden z punktów został zaznaczony kwadratem.

– To jest telefon, który odebraliśmy.

– Który ja odebrałem – odezwał się Ruben.

– Tak? O ile mi wiadomo, nawet cię nie było wtedy w tym pomieszczeniu. Co to było, badminton, tak? – spytała Mina.

– Nie wierz we wszystko, co ci mówią – odparł Ruben, zaciskając szczęki. – To był padel.

– Wychwyciliście coś jeszcze z tej rozmowy? – spytała Sara, zwracając się do Julii. – Zdaje się, że przekazaliście ją do analizy pod kątem odgłosów

towarzyszących i z tła?

– Tak, ale nie było tam nic, co by nas szczególnie zainteresowało. Akustyka w tle wskazuje, że dzwoniący prawdopodobnie znajdował się w pomieszczeniu średniej wielkości i z dość skąpym umeblowaniem. Niewielkie szumy uliczne, czyli miejscowość o gęstym zaludnieniu. Mamy też analizę niezależnego konsultanta, według którego dzwoniącym był sam morderca.

– Jeden z morderców – wtrącił, przesadnie to akcentując, Ruben i przewrócił oczami.

– Właśnie tak. Przyjęliśmy tezę, że sprawców może być dwóch. Jednym z nich mógłby być Jonas Rask – powiedziała Julia.

– Nie wiem, czy wam to pomoże – powiedziała Sara, wyświetlając mapę na ekranie. – Ale komórka, z której dzwonił ten człowiek, zarejestrowała się do stacji bazowej w Sztokholmie. A konkretniej tu, na Kungsholmen. Szkoda, że analiza odgłosów towarzyszących nie dała nic więcej, jeśli chodzi o rodzaj miejsca.

– Domyślałam się, że sprawdziłaś, kto jest właścicielem numeru telefonu?

Peder siorbał kawę z kubka z napisem *Najlepszy tata na świecie*, gdzie słowo „najlepszy” zostało przekreślone i zastąpione „najbardziej śpiący”. Wyglądało, jakby sam to napisał. Albo jego żona. Sara słyszała o trojaczkach.

– Niestety telefon na kartę prepaidową – odparła, wracając zaraz do swoich kolumn cyfr. – Liczyłam się z tym. Kiedy jest włączony, możemy śledzić jego ruchy, obserwując stacje bazowe, do których się loguje. A więc sprawdziliśmy, gdzie się znajdował w ciągu ostatnich dwóch miesięcy. Operatorzy niestety nie przechowują danych ponad ten przedział czasowy. Jednak ten telefon nie był nigdzie ani przed, ani po rozmowie z wami.

– Jednorazówka? – dopytała Julia, która notowała podczas relacji Sary, chociaż po spotkaniu i tak miała dostać maila z podsumowaniem.

Sara domyślała się, że Julia w ten sposób porządkuje myśli.

– Najprawdopodobniej – odparła Sara. – Człowiek ten przypuszczalnie kupił jakiś tani aparat i kartę, czyli bez jakiegokolwiek historii połączeń możliwych do wyśledzenia.

– Domyślałam się, że musiałaś się ubiegać o zezwolenie na to wszystko? – Mina wskazała cyfry na ekranie.

– Pozyskaliśmy HÖK – potwierdziła Sara. – Czyli tajny nasłuch komunikacji elektronicznej. Trudna procedura, bo nasz prokurator musi się zwrócić o zgodę na to do sądu. I tak poszło szybko. Prawdopodobnie ze względu na okoliczności.

– Czy śledzenie numeru może pozostać aktywne, żebyś wiedziała, jeśli się znów pojawi? – spytała Mina. – Nie na listach sprzed dwóch miesięcy, tylko w czasie rzeczywistym? Przecież nigdy nic nie wiadomo.

– Porozmawiam z prokuratorem. Chyba nie będzie problemów, zważywszy na bardzo szczególny charakter tej sprawy. Jednak powinniście być przygotowani na to, że ten telefon leży zniszczony w jakimś koszu na śmieci.

Sara wyłączyła swoją prezentację i szykowała się do wyjścia. Jednak na westchnienie ulgi pozwoli sobie dopiero, gdy już nie będzie w tym samym pomieszczeniu co Ruben.

– Taaa – odezwał się z rezerwą Ruben w tym samym momencie. – Czyli nic nam nie dała ta prezentacyjka Sary w PowerPoincie. Równie dobrze możemy mieć do czynienia z kimś, kto mieszka albo pracuje na Kungsholmen, jak z człowiekiem, który był tu przypadkiem, a w ogóle to mieszka w Norwegii.

– Wiecie, że właśnie znajdujemy się na Kungsholmen, co? – Christer powiedział to tonem niemal wesołym. – To może być kolega z tego samego budynku. To by dopiero było.

MINA WESZŁA DO znajomego lokalu. Zaczynała mieć tego dość. Nie tylko samego lokalu, również całej tej historii. Wciąż ci sami ludzie z ich opowieściami o uzależnieniu, siedzący na tych samych plastikowych krzesłach ustawionych w kręgu, niezmiennie pijący lurę z termosu z pompką i jedzący wciąż te same banalne ciasteczka.

Tym razem były to kruche babeczki malinowe, stwierdziła, zajrzawszy do blaszanej puszki na stole. O jeden szczebelek lepiej. Może upieczone przez kogoś spośród alkoholików. Spojrzała z odrazą na okruchy leżące już na białym papierowym obrusie. Z siedmiu osób, które przyszły przed nią, przypuszczalnie wszystkie dotknęły każdego ciasteczka, zanim wybrały jedno. Nie zjadłaby żadnego, nawet gdyby je miała najpierw wypiąskować.

Pojawiło się sporo nowych twarzy. Dziewczyny z delfinem, Anny, o którą pytał Vincent, nie było. W drzwiach pojawił się Kenneth i kiwnął jej głową. Mina wiedziała, że przyszła pora na obowiązkową pogawędkę, i była przygotowana.

– Jak się ma twoja żona? – spytała, a potem pokazała palcem termos. – Chcesz kawy?

– Dzięki, że pytasz, żona ma się lepiej, ale za kawę dziękuję – odparł Kenneth z rozbawioną miną. – Jakaś ty dzisiaj rozmowna.

Mina wzruszyła ramionami.

– Ale wiesz, skoro już o niej rozmawiamy – ciągnął Kenneth i wyjął własny termos. – Będzie musiała zostać w szpitalu przez kilka tygodni, a ja nie mam siły zająć się wszystkim w domu. Wiem, że proszę o wiele, zwłaszcza że już od miesiąca opiekujesz się Bossem, ale czy on mógłby zostać u ciebie do końca lata? Mogę ci zapłacić.

Mina znieruchomiała, wpatrując się w niego.

Odpowiedziało jej błagalne spojrzenie. Nawet dość podobne do ulubionego spojrzenia Bossego.

Trudny wybór. Kenneth nie wiedział, że Bosse dostał u Christera znacznie lepszy dom niż ten, który sama mogła mu zaoferować. Jednak moment, żeby

o tym powiedzieć, był zupełnie nieodpowiedni. Zresztą jak miałyby to powiedzieć? Hej, wypożyczyłam twojego psa komuś innemu!

– Ojej, czekaj, mam telefon z pracy – powiedziała z przepraszającą miną i szybko odeszła.

– Naprawdę mogę ci zapłacić. – Doszły do niej słowa Kennetha.

Wbiegła do damskiej toalety i zamknęła za sobą drzwi na klucz. A potem zadzwoniła do Christera. Odebrał po trzech sygnałach.

– Cześć, Mina, jak leci? Zapomniałaś czegoś na biurku? Właśnie przechodziliśmy obok, idąc do kuchenki, jak chcesz, to mogę tam wrócić...

– Nic z tych rzeczy – przerwała mu. – Chodzi o Bossego.

– Jest tu ze mną – odpowiedział pogodnie Christer. – Właśnie dlatego szliśmy do kuchenki. Chyba cię pozdrawia. Ale, ale, dlaczego szepczesz?

Zdała sobie sprawę, że nie tylko szepcze, ale jeszcze przykucnęła obok sedesu. Wstała więc i mówiła trochę głośniej, ale na tyle cicho, żeby nie było jej słychać po drugiej stronie drzwi.

– Nie wiem, jak to powiedzieć. Ale właśnie rozmawiałam z właścicielem Bossego.

Po drugiej stronie zapadło milczenie.

– Ojej – odezwał się wreszcie Christer, wyraźnie przygnębiony. – Chce, żeby mu oddać psa, tak? A myśmy się dzisiaj wybierali na miasto, żeby kupić fajne szczotki do sierści. I może jedwabną smycz.

Mina zamknęła oczy. Bosse, duży swawolny golden retriever o żywych oczach i z wywalonym jęzorem. Szczotki i jedwabna smycz to ostatnie, z czym by jej się kojarzył. Ale nie ma co tłumaczyć tego Christerowi. Skoro wyobraził sobie, że Bosse jest wystawowym pudlem, to niech mu będzie. Dopóki go to cieszy, zwłaszcza zważywszy na to, co miała mu teraz do powiedzenia.

– To świetnie – stwierdziła. – Bo jest wprost przeciwnie. Właściciel pyta, czy mogłabym go zatrzymać przez resztę lata. Na pewno masz jakieś plany, ale może się podzielimy...

– To super! – przerwał jej. Jak na jego lakoniczny sposób wyrażania się był to niemal okrzyk. – Spędzimy z Bossem najpiękniejsze lato – powiedział. – Przekaż moje pozdrowienia i podziękowania.

Po wyjściu z toalety zastała Kennetha stojącego wciąż przy stole z kawą. Patrzył na nią z tą samą rozbawioną miną co wcześniej.

– Zawsze odbierasz telefony z pracy w toalecie? – spytał.

– To poufna sprawa – powiedziała, próbując beztróskiego uśmiechu. Wypadło dość sztucznie. – Ale wezmę go. Znaczą Bossego. Nie ma problemu. Tylko powiedz, kiedy ma do ciebie wrócić. Będziemy się przecież widywać tutaj. Poczęstujesz mnie odrobiną prawdziwej kawy?

Kenneth nie przestawał dziękować, nalewając jej radośnie kawy ze swojego termosu do nowego kubka. Przyjęła go, chociaż wiedziała, że kawy nie tknie. Ważne były gesty jako sposób podtrzymywania dobrych stosunków. I porzucenia tematu Bossego.

Przeszła z kubkiem w ręce do sali i usiadła na jednym z krzeseł tak, żeby widzieć drzwi. Może pora coś zmienić. Skoro ma dość tego, że ciągle jest tak samo, mogłaby się postarać, żeby tym razem było inaczej.

Myśląc o tym, już miała upić łyk z kubka, ale w ostatniej chwili zdała sobie sprawę z tego, co robi. Szybko odstawiła kubek pod krzesło z nadzieją, że Kenneth tego nie zauważy.

Zrobiła już rozgrzewkę w postaci przyjacielskiej pogawędki. To może dziś się wreszcie podzieli swoimi doświadczeniami.

Wszyscy usiedli, Mina zdecydowała się. Kiwnęła głową na znak, że chce zacząć. Wszyscy patrzyli na nią. W napięciu. Pełni oczekiwania. Już pożałowała. Chociaż było za późno na zmianę decyzji. Pociąg ruszył z peronu i rozpoczął jazdę.

Wstała i chrząknęła.

A potem znów usiadła.

Wszyscy pasażerowie pociągu pociągnęli za hamulec bezpieczeństwa. Nie da się.

Kenneth wpatrywał się w nią.

Mina odwróciła głowę. To jej sprawa. I tylko jej.

W PARKU TANTOLUNDEN na Söder było mnóstwo rozłożonych na trawie koców piknikowych, młodzieży grającej w siatkówkę i cieszących się letnim słońcem rodzin z małymi dziećmi. Nad wszystkim unosił się zapach kiełbasek i hamburgerów docierający ze stoisk na nadbrzeżnej promenadzie, a z wielu różnych miejsc dochodziła muzyka. Vincent rozpoznał co najmniej pięć różnych stylów muzycznych. Uwielbiał to. Najlepiej czuł się wśród ludzkiego mrowia, chociaż mogłoby się zdawać, że powinno go męczyć. Kiedy jednak znalazł się w takim zbiorowisku, czuł, że gdzieś przynależy, że jest jednym z nich, prawdziwym zawodowcem od pikników, który zapakował do koszyka truskawki i szampana, albo herbatniki i sok czy piwo, czy co się teraz pakuje do takich koszy. Naprawdę nie wiedział.

– To jest znacznie przyjaźniejsze środowisko pracy niż zamknięty gmach policji – odezwała się idąca obok Mina.

Szli przez park ku wodzie. Vincent zaproponował, żeby się przespacerowali wzdłuż brzegu zatoki od Hornstull do Skanstull. Zawsze uważał, że nad wodą jest pięknie i że są to jednocześnie warunki sprzyjające kreatywności. A wody jest w Sztokholmie dużo.

Było na co patrzeć poza Miną, która tego dnia miała na sobie jasne spodnie i niebieską koszulkę. Z trudem odrywał wzrok od jej karku. Mimo swobodnego ubioru wydawała się jak zwykle powściągliwa. Koszulka wyglądała na nową i leżała jak szyta na nią, a na lnianych spodniach nie było najmniejszego zagniecenia. Ubiór był może i luźny, ale bez nonszalancji. Jak to u Miny.

– Lepiej mi się myśli, kiedy się ruszam – powiedział. – Wyzwalają się endorfiny, tętno jest nieco szybsze, co zwiększa zasoby umysłu. Piękny widok powoduje podniesienie poziomu serotoniny i dopaminy, które są prawdziwym smarem dla synaps między komórkami mózgu. Więcej myśli na sekundę oznacza więcej możliwych rozwiązań na sekundę.

Skrećili na promenadę. Po kanale sunęły tu i ówdzie z miłym terkotem motorówki, w ich kadłubach odbijało się słońce.

– Dziękuję – odparła Mina. – Chyba tak. Ale jakoś sędziwie to zabrzmiało.

– Niby co?

Widocznie coś mu umknęło. Może Mina powiedziała coś, czego nie dosłyszał. Wrócił do własnych słów, ale nie dopatrywał się niczego „sędziwego” ani w tym, co mówił o komórkach mózgowych, ani o serotoninie. Może źle usłyszała.

– Że nazwałeś mnie pięknym widokiem – powiedziała. – Jak sobie czterdziestosiedmiolatek radzi z personalizowaniem?

Vincent poczuł, że zaczerwienił się jak burak, jednocześnie strasznie mu się zachciało sikać.

– Naprawdę nie miałem na myśli... – wyjąkał. – Znaczy miałem na myśli tę wodę... nie jesteś...

Miał ochotę zapaść się pod ziemię. Co za żenada. Oczywiście, że nigdy by tak...

– Vincent – odezwała się ostrym tonem.

Zamrugął.

– Żartowałam, Vincent.

Roześmiał się krótko i trochę za głośno. Jednak dobrze to oddało ulgę, jaką poczuł.

Szli dalej promenadą, schodząc z drogi rowerom, które przejeżdżały ze świstem.

– W dodatku nigdy bym cię nie nazwał widokiem – powiedział. – Przecież ty jesteś jak galion.

– Słuchaj no! – Uderzyła go pięścią w ramię. – Że też udało ci się stworzyć rodzinę.

– Nie było to łatwe. Ale zawsze można wynajść.

– A propos rodziny, jak sytuacja z Marią... i Ulriką?

Nie było to coś, o czym miałyby ochotę rozmawiać. Jednak zważywszy na to, że dzwonił do niej w środku nocy, był jej winien odpowiedź.

– Dla Ulriki chyba nic się nie stało – powiedział. – A Maria nie wie. Wystarczy, że wyjdę do skrzynki wyjąć pocztę, a ona już jest zazdrosna. Nigdy by nie okazała zrozumienia. Jeszcze raz cię przepraszam, że wtedy zadzwoniłem.

W odpowiedzi tylko kiwnęła głową. Obserwował ją. Miała chłodny wyraz twarzy, ale tym razem nie umiał z niej nic wyczytać.

– A właściwie to jak to znosisz? – spytał po dłuższej chwili, zmieniając temat. – Przebywanie na łonie natury?

– A widzisz, żebym czegoś dotykała? – Pomachała palcami. – Do drzew jest kilka metrów. Zresztą wiesz, że jakby co, zawsze noszę w kieszeni plastikowe rękawiczki.

Przechodzili właśnie obok kolorowej przyczepy kempingowej, zamienionej w bufet, i musieli krążyć między leżakami rozstawionymi na środku promenady. Miejsce zostało udekorowane plastikowymi palmami i kolorowymi lampionami, z trzeszczącego głośnika wydobywały się rytmy calypso i przez chwilę mogło się wydawać, jakby nie znajdowali się w Szwecji, ale na zagranicznym urlopie. On z Miną.

– A więc o czym chce tym razem rozmawiać wielki mentalista? – spytała.

Przez kilka sekund milczał, jakby nagle nie wiedział, jak zacząć.

– Pamiętasz, jak cię spytałem, kto ci podpowiedział, żebyś się do mnie zwróciła. Miałem bardzo istotny powód. Nawet próbowałem skontaktować się z Anną, ale mi się nie udało. Chciałbym porozmawiać z nią osobiście, ale najważniejsze, żeby w ogóle do niej dotrzeć. Chodzi o to, że ktoś mi wysłał wiadomość. Taką wiadomość, którą można znaleźć tylko pod warunkiem, że zna się daty popełnienia morderstw. I jest się takim samym świrem jak ja.

– Cóż, wyobrażam sobie, że możesz mieć sporo... dziwnych... wielbicieli – zauważyła. – Po tej konferencji prasowej nietrudno znaleźć te daty w sieci. Na pewno wszystko jest już na Flashbacku.

– Wyraziłem się nieprecyzyjnie. Wiadomość wysłano do mnie, zanim zacząłem wam pomagać w dochodzeniu.

Mina zrobiła wielkie oczy.

– Nie rozumiem. Jak to... co chcesz przez to powiedzieć?

– To, co mówię. Przed Bożym Narodzeniem, czyli przeszło miesiąc przed tym, jak Agnes Ceci została znaleziona martwa na ławce, ktoś przesłał mojemu agentowi album z zakodowaną wiadomością, miał mi ją przekazać jako prezent pod choinkę. Ale agent zapomniał o tym i prezent dotarł do mnie znacznie później. A wiadomość odczytałem dopiero całkiem niedawno.

– O Boże. – Mina położyła rękę na ustach.

Doszli alejką do pomostu wychodzącego na zatokę. Vincent widział, że Mina myśli intensywnie.

– Czyli... ten, kto to wysłał, zgadł, że będziesz z nami współpracował, zanim jeszcze ci to zaproponowałam? Teraz rozumiem, dlaczego chcesz się skontaktować z Anną. Vincent, musimy to przedstawić zespołowi.

Już miał położyć dłoń na jej nagim ramieniu, ale się powstrzymał. Nie trzeba, musiałyby się umyć. Przystanął przy barierce i spojrzał na fale mieniące się w słońcu.

– Sam nie wiem. Boję się, że znów będą chcieli mnie odsunąć, gdyby się okazało, że jestem jakoś zamieszany w tę sprawę.

– Będzie dobrze – zapewniła go. – Lubią cię.

Nie zabrzmiało to zbyt przekonująco.

- Chciałbym zostać – powiedział. – Wiesz, w tym budynku policji na Kungsholmen jest... widok, który bardzo mi się podoba.
- Wazeliniarz.

MINA STAŁA ZWRÓCONA plecami do salki, gdzie Vincent wyjaśniał pozostałym, w jaki sposób daty morderstw doprowadziły go do wiadomości w albumie. Stała tak, by w miarę jak prezentował fakty, zapisywać je na tablicy. Ale miała jeszcze drugi powód, mianowicie ten, że potrzebowała więcej czasu, żeby uspokoić emocje. Ręka przy tablicy drżała lekko. Mina zmusiła się, żeby parę razy odetchnąć głębiej, zanim się odwróciła. Album leżał na środku stołu, rozłożony na pokreślonej na czerwono stronie z wiadomością.

– Jesteśmy z Vincentem zgodni, że osoba, która mi podpowiedziała, żeby się z nim skontaktowała, mogła być tą, która również przesłała tę książkę.

Usiadła przy stole, unikając wzroku pozostałych. Wiedziała, że ręka wciąż drży.

– Według mnie jest to kompletnie popieprzone – stwierdził sucho Ruben, kręcąc głową z niedowierzaniem. – Znajdujemy się bardzo daleko od Jonasa Raska. Przepraszam, ale chyba zgadzacie się, że żyjemy w realnym świecie? Nie w jakimś cholernym filmie czy zaczytanym kieszonkowym kryminale. W prawdziwym świecie nie jest to aż tak złożone. Ludzie zabijają się nawzajem pod wpływem chwili, nie zajmują się żadnymi skomplikowanymi planami, kodami i temu podobnym gównem, które potem chowają w tajemniczych książkach o lampartach. Czy tylko ja jestem tego zdania, czy wszyscy zapisaliście się do tej sekty?

Ruben rzucił ze złością długopis na stół, odchylił się na krześle i założył ręce na piersi.

– Dziękuję za stoicki przyczynek do dyskusji – powiedziała z rezerwą Julia i zwróciła się do Miny. – Kto ci właściwie podpowiedział, żeby zwrócić się do Vincenta?

Mina spojrzała na swoją drżącą rękę, modląc się, żeby nikt nie zwrócił na to uwagi. Podniosła wzrok. Vincent oczywiście gapił się na jej rękę. Ignorując go, odpowiedziała z wymuszonym spokojem.

– Jako osoba wspierająca towarzyszyłam komuś zaprzyjaźnionemu... na spotkaniu AA na Kungsholmen. Tam poznałam kobietę, która mi to

podpowiedziała. Ma na imię Anna.

– O kurde, to ty masz przyjaciół? – zaśmiał się Ruben.

Peder rzucił mu gniewne spojrzenie, Mina zauważyła z radością, że Vincentowi oczy aż pociemniały. Nawet Christer spojrzał ze złością na Rubena.

– Mów dalej, Mino – powiedziała Julia.

– Była tam Anna, no i ona... podeszła do mnie.

– Ot tak? Skąd wiedziała, kim jesteś? – zaciekawiał się Peder i wychylił do przodu.

Mina poczuła, że dłonie jej się pocą. Nie odważyła się spojrzeć na Vincenta, ale czuła jego wzrok na sobie. Rozłożyła ręce i wzruszyła ramionami.

– Usłyszała, jak rozmawiałam o sprawie przez telefon. Czasem trudno jest odejść na bok, kiedy się odbiera telefon, a ona często tam przychodzi.

– Dobrze. W takim razie trzeba ją przesłuchać, sprawdzić, co ona wie – skonstatowała Julia.

Mina czuła pot spływający jej po krzyżu. Wiedziała, że nie może pójść tam razem z którymś z kolegów, bo wszystko się wyda. Albo musi dopilnować, żeby sama dostała to zadanie bez żadnego towarzysztwa, albo ktoś inny...

– Peder – zwróciła się do niego Julia. – Weźmiesz to na siebie? Poproś Minę o rysopis, imię już znamy. I dowiedz się możliwie jak najwięcej. Dlaczego podpowiedziała Minie Vincenta. Czy wie coś więcej. Mina nie powinna chodzić tam służbowo, skoro poszła w charakterze osoby towarzyszącej. Nie róbmy kłopotu tej osobie.

– Dziękuję – powiedziała Mina z prawdziwą wdzięcznością, chociaż z całkiem innego powodu, niż myślała Julia.

Ręka już nie drżała, odchyliła się na krześle, żeby koszulka mogła wchłonąć krople potu w dole pleców. Spojrzała na Vincenta. Uśmiechnęła się do niej.

– Vincent, chciałabym, żeby nasi technicy kryminalistyki obejrżeli ten album – powiedziała Julia.

– Oczywiście. Sam zamierzałem to zaproponować. Jednak chciałbym go odzyskać jak najprędzej, bo bez niego nie rozszyfruję tej wiadomości do mnie. Nadal nie wiem, co to znaczy.

– Nie jest to bynajmniej standardowe podejście, zważywszy na to, że książka może być dowodem w sprawie – zauważyła Julia. – Westchnęła. – Chociaż w tej sprawie nic nie jest standardowe. Wolę nie myśleć, ile razy złamaliśmy wszelkie zasady. Cholera, no cóż, pogadam z Narodowym Centrum Kryminalistycznym, żebyś możliwie najszybciej ją odzyskał. Christer, weź rękawiczki i przekaz ją technikom przy zachowaniu wszelkiej ostrożności. Okej?

– Właśnie miałem wyjść, korzystając z przerwy, nie mógłby... – mruknął Christer i spochmurniał, ale Julia przerwała mu.

– Ma być przekazana natychmiast. Przez ciebie. Pięć minut z twojej przerwy obiadowej to niewielka strata. Zawsze ją przeciągasz o co najmniej dziesięć minut, więc sądzę, że jesteś winien podatnikom... – spojrzała dla efektu na zegarek – rok, cztery miesiące, tydzień i trzy dni z twojego czasu.

Peder zdusił chichot.

Christer prychnął, wstając.

– Nie musisz być taka nieprzyjemna, proszę bardzo, już idę...

Sięgnął po książkę i wzdrygnął się, kiedy Julia krzyknęła.

– Rękawiczki!

– Tak, tak.

Odwrócił się, żeby przynieść rękawiczki.

– Nie rozumiem – odezwał się Vincent.

– Co znowu? Będzie więcej zagadek? – parsknął Ruben.

– Nie, ale jeśli Christer przedłużył sobie każdą przerwą obiadową o dziesięć minut i ten skumulowany czas wynosi przeszło rok i cztery miesiące, równa się to... w pewnym przybliżeniu... siedemdziesięciu tysiącom przerw. To z kolei równa się dwustu pięćdziesięciu dniom roboczym w ciągu roku, więc Christer musiałby przeciągać te przerwy przez dwieście osiemdziesiąt lat, żeby to osiągnąć.

Vincent spoglądał niewinnym wzrokiem na Rubena. Mina zacisnęła usta, powstrzymując śmiech. Nie miała całkowitej pewności, że Vincent żartuje, ale podejrzewała, że tak.

– Wydaje się całkiem prawdopodobne, zważywszy na to, że mowa o Christerze – zauważył Peder.

– Widzę, że wszystkim w tym towarzystwie to umknęło – odezwał się Ruben, wstając. Miał tak samo kwaśną minę jak przedtem Christer. – Ciągłe mam wrażenie, że brzmi to jak jakaś popieprzona historia z *Kodu da Vinci*. Najprostsze wyjaśnienie jest zawsze tym prawdziwym, nie tak mówią?

– Brzytwa Ockhama – wtrącił Vincent.

Ruben wpatrzył się w niego.

– Czyja? – spytał Peder, ziewając. – Co do tego ma jakaś brzytwa?

– Dom wariatów...

Ruben szedł do wyjścia, kręcąc głową. Mina nie miała siły się irytować. Tak bardzo jej ulżyło, że jej tajemnica jest wciąż bezpieczna. Jednak uczucie ulgi znikło na myśl o Annie. Wydawała się taka nieszkodliwa, a być może jest groźniejsza, niż ktokolwiek mógł przypuszczać.

SIERPIEŃ

BYŁ JASNY I CIEPŁY letni wieczór. Bezwietrzny, otulający. Niebo nad Sztokholmem mieniło się tysiącami odcieni różu. Mina słyszała, że ten różowy kolor na niebie bierze się ze spalin, ale niezależnie od tego był to prawdziwy spektakl wart oglądania.

Dziewczyna siedziała kawałek dalej, miała nogi spuszczone z nabrzeża. Tak blisko, a tak daleko. Sama. Tak było najczęściej. Obok przepłynęła majestatycznie rodzina łabędzi i rodzice syknęli głośno, kiedy jakiś kajak znalazł się za blisko. Naprzeciw nich wznosił się zamek królewski, przypominający więzienie gmach przy Starym Mieście, który zawsze rozczarowywał amerykańskich turystów brakiem baszt i zębatych blanek.

Wędkarze wyciągali połów i wrzucali do podniszczonych plastikowych wiader. Mina podkradła się trochę bliżej. Szła za dziewczyną od jej bramy, ale w odpowiedniej odległości. Teraz jednak pokusa była zbyt wielka i zachciało jej się być bliżej.

Ciemne włosy dziewczyny były krótsze, niż kiedy widziała ją ostatnio. Musiała ściąć co najmniej dziesięć centymetrów, bo sięgały tylko ramion. Gęste, lśniące, proste. Grzywka opadająca na twarz. Jakby słyszała myśli Miny, bo odgarnęła włosy ręką i założyła za ucho. Jeden z wędkarzy wyciągnął dużego okonia i włożył do wiadra. Od razu założył kolejną przynętę i znów zarzucił wędkę. Przepływająca rodzina łabędzi nasyczała na wędkarza.

Mina zbliżyła się o kolejnych kilka kroków. Zatrzymała się. Do dziewczyny podeszli dwaj nastolatki i usiedli po obu jej stronach. Oczywiście mogli to być koledzy, z którymi się umówiła, wciąż było za daleko, żeby słyszeć, co mówią, jednak ich mowa ciała sugerowała, że tak nie jest. Z wahaniem postąpiła jeszcze kilka kroków. Musiała podejść na tyle blisko, żeby słyszeć.

Tak blisko jeszcze nigdy nie była.

Nawet obserwując od tyłu, widziała, że dziewczyna zeszywniała, unosząc barki. Typowa reakcja obronna. Jeden z chłopaków wyciągnął rękę po jej plecak. Mina przeanalizowała szybko tę sytuację i podeszła.

– Co tu się dzieje? – spytała władcym tonem, wyciągając swoją blachę policyjną.

Chłopcy spojrzeli najpierw na blachę, potem na nią, zerwali się na równe nogi i pobiegli w stronę Kungsträdgården. Dziewczyna uśmiechnęła się z wdzięcznością. Trzymała plecak w objęciach.

– Chcieli, żebym im go oddała – powiedziała.

– Tak myślałam – odparła Mina, której robiło się na przemian zimno i gorąco.

– Dziękuję.

Dziewczyna podniosła głowę i przytrzymała wzrok, patrząc w oczy Miny.

– To moja praca – powiedziała krótko Mina i zrobiła ruch, jakby chciała odejść. Zanim się zdążyła powstrzymać, powiedziała: – Może ci postawić coś do picia? Jakiś gazowany napój?

Dziewczyna zawahała się.

– Realizujemy w policji program zachęcający nas do kontaktów z młodzieżą. Żeby jak najwcześniej nawiązać pozytywne relacje. Żeby wasze pokolenie nie nazywało nas psami i tak dalej... Co ty na to? Na koszt podatników.

– Nie piję lubię gazowanych – odparła dziewczyna, wstając. – Ale chętnie napiję się cappuccino.

Mina poczuła, jak jej serce galopuje z nerwów i tysiąca innych emocji, których nie potrafiła zidentyfikować. Nie powinna była, nie należało pytać, ale jest jak jest.

– W tamtym ogródku podają dobrą kawę – powiedziała dziewczyna, pokazując palcem w stronę Kungsträdgården, tę samą, w którą uciekli chłopcy. Mina skinęła głową. Pewnie są już daleko. Zerknęła jeszcze na telefon. Żadnych wiadomości od Pedera ani Julii.

To jej chwila.

Poszły do kawiarnianego ogródka, gdzie było pełno, ale miały szczęście, bo akurat zwolnił się stolik dla dwóch osób. Mina choć raz nie przejęła się, że stolik został kiepsko wytarty, a krzesła wyglądały, jakby od lat nie były myte. Nic nie było ważne. Dziewczyna zaczekała przy stoliku, podczas gdy Mina poszła kupić dwa cappuccino. Z przyzwyczajenia poprosiła o papierowe kubki, chociaż miały wypić na miejscu. Nawet te kubki jej nie przeszkadzały.

– Dziękuję – powiedziała dziewczyna, kiedy Mina wróciła z kawą.

Pijąc pierwszy łyk, przymknęła powieki.

– Nie jesteś za młoda na to, żeby lubić kawę? – spytała Mina.

– Kiedy byłam małą, mieszkaliśmy we Włoszech. Tam dzieci wcześniej piją kawę. Uwielbiam cappuccino, ale nie znoszę obrzydliwej kawy parzonej, która stoi na płytce przez cały dzień. Takiej, którą pewnie pijecie wy, policjanci?

Zaśmiała się, ale bez złośliwości.

– Nie mogę nie przyznać ci racji – odparła Mina.

Kelnerka z wyrazem zmęczenia i znudzenia na twarzy niemrawo pozbierała z ich stolika brudne filiżanki.

– Zastanawiam się, czy też nie zostać policjantką – oznajmiła dziewczyna pogodnie, a Mina omal nie zakrztusiła się gorącą kawą.

Wpatrzyła się w dziewczynę.

– Dlaczego?

– Bo... – zawahała się tamta – jak byłam małą, to moja mama zginęła pod kołami samochodu, którego kierowca uciekł. Nigdy go nie złapali. Tak nie może być. Chciałabym się tym zajmować.

– Bardzo mi przykro – odparła Mina.

– No tak, jeszcze nie muszę decydować, kim będę – ciągnęła dziewczyna. – Ale to jedna z możliwości, które biorę pod uwagę. Chyba że zostałabym influencerką. Potrafię spędzać całe godziny, żeby zrobić idealne ujęcie, kiedy tu, w Kungsträdgården, kwitną wiśnie.

Pokazała palcem drzewa, które dawno zdążyły utracić intensywnie różowy kolor i teraz były zielone, wyglądały zupełnie zwyczajnie i wcale nie zachęcały do zdjęć. Wyjęła smartfon z plecaka. Szybko spojrzała, westchnęła ciężko i schowała z powrotem.

– Ktoś się niepokoi? – spytała Mina.

– E, to mój tata. Jest, no, trochę... nadopiekuńczy. Musi wyluzować.

– W mojej pracy rozumie się, dlaczego rodzice są nadopiekuńczy.

– No, na pewno widuje pani sporo paskudztwa – stwierdziła chłodno dziewczyna i upiła więcej kawy.

Na górnej wardze zostało jej trochę pianki, Mina musiała powściągnąć chęć wyciągnięcia ręki, żeby ją wytrzeć.

Nie spytała o jej imię. Znała je. Aby nie ryzykować, że się wygada, nawet w myślach nazywała ją tylko „dziewczyną”.

– Najbardziej chciałabym być policjantką w dochodzeniówce. Nie taką, co jeździ radiowozem po mieście i ściga narkomanów. Ale słyszałam, że i tak trzeba parę lat odsłużyć, patrolując ulice, rzeczywiście tak jest? Szczerze mówiąc, nie wiem, czybym się odważyła.

– Tak, teraz tak jest – przyznała Mina. – Chociaż chcę to zmienić. Właśnie po to, żeby nie ryzykować, że straci się ludzi, którzy byliby dobrzy w pracy

dochodzeniowej, ale nie są zainteresowani pracą na ulicach ani nie mają do niej warunków.

– A pani dała radę? – spytała dziewczyna, przyglądając jej się z zaciekawieniem.

Mina zastanowiła się. Czy powiedzieć szczerze, jakie to było trudne? Chodziło nie tyle o chuliganerię, czas pracy ani strach, czyli to, z czym zmagali się inni policjanci prosto po szkole. Raczej o jej własne demony. Brud, otoczenie, którego nie mogła kontrolować, konieczność ukrywania swoich fobii, żeby nie być postrzegana jako dziwoląg. Ważne było poczucie przynależności. Do grupy, do kolegów. Kiedy decyzje trzeba podejmować w ułamku sekundy, mogło to przesądzić o życiu lub śmierci.

– Dałam radę – odpowiedziała tylko.

Za dużo byłoby do tłumaczenia. Prościej było niczego nie wyjaśniać.

– Chciałabym pani coś dać – powiedziała nagle dziewczyna i zdjęła z szyi jeden z mnóstwa sznurów koralików. – W podziękowaniu.

– Nie trzeba, to moja praca – zaproponowała Mina.

Dziewczyna podała jej naszyjnik z czarnym wisiorkiem.

– Ale pani jest miła – powiedziała. – Nie wszyscy są tacy. Ten wisior jest magnetyczny.

– Magnetyczny?

– Podobno ma dobroczynne działanie na organizm. To ma coś wspólnego z czerwonymi krwinkami. Albo z jeszcze czymś innym, sama nie wiem. Jednak chciałabym, żeby pani to miała.

Mina o niczym tak nie marzyła, niż żeby to przyjąć, ale gdyby już wcześniej nie złamała wszelkich zasad, zrobiłaby to teraz. Z drugiej strony nie mogła odmówić. Naszyjnik przynajmniej nie wyglądał na drogi.

– Magnetyczny, mówisz – powiedziała, przyjmując go. – Dziękuję. Znaczy to dla mnie więcej, niż myślisz.

Zakładając go, starała się ukryć, jak blisko jej do płaczu. Było to zapewne tylko urojenie, ale poczuła, że ten wisior grzeje jej klatkę piersiową jak słońeczko. Objęła go dłonią.

– A jak będzie ze szkołą policyjną? – spytała.

– Zobaczę – odparła dziewczyna, dopijając cappuccino. – Jak już mówiłam, mam jeszcze czas.

Kątem oka Mina zarejestrowała jakiś ruch. Do ich stolika podszedł mężczyzna i mocno chwycił ramię dziewczyny. Nie sprzeciwiła się, tylko wstała. Ale w jej spojrzeniu w kierunku Myny była rezygnacja.

– No to cześć, miło było poznać – powiedziała, odwracając się i odchodząc z nim.

Mina już się podnosiła, ale przytrzymała ją czyjaś mocna dłoń na jej barku. Z tyłu podszedł drugi mężczyzna. Obszedł stolik i usiadł na miejscu, gdzie przedtem siedziała dziewczyna. Z wyglądu nijaki, w szortach i T-shircie, sportowych butach wydających słynny syk, zegarek od Daniela Wellingtona. Ale Mina wiedziała, co ma o nim sądzić.

Nie powiedział nic, wyjął iPhone'a i podał jej. Mina wiedziała, czyj głos usłyszy po raz pierwszy od wielu lat. Wiedziała, jakie będą konsekwencje nawiązania przez nią kontaktu. Co było zabronione. Ale co miała zrobić? W końcu była policjantką.

Posłuchała tego głosu.

Nie odezwała się, nie odpowiedziała.

Kiedy oddawała telefon, ręka jej się trzęsła. Mężczyzna wziął aparat, wciąż nie mówiąc ani słowa, i odszedł. Została na miejscu. Tak się trzęsła, że bała się upadku przy wstawaniu.

KVIBILLE 1982

ZSZEDŁ WŁAŚNIE z góry i zmierzał do kuchni, kiedy rozległo się pukanie do drzwi wejściowych. Dwa puknięcia. Zatrzymał się w pół kroku. W pierwszej chwili nie był pewien, czy dobrze usłyszał, bo właściwie się nie zdarzało, żeby ktoś do nich pukał. Jednak przez mleczną szybę obok drzwi ujrzał cień.

Nie była to mama, wiedział to. Jane też nie miała jeszcze wrócić. Zmarszczył się. Miał ochotę powiedzieć, żeby ten ktoś sobie poszedł, nikogo nie potrzebuje. Jeśli się nie poruszy, może da za wygraną i sobie pójdzie.

Znów pukanie. Tym razem trzy razy. A potem męski głos.

– Halo?

Mężczyzna oczywiście usłyszał skrzypienie schodów, kiedy po nich schodził. Trudno. Otworzył drzwi na tyle, żeby stając w nich, zasłonić wejście.

– Cześć – odezwał się Allan, który stał na schodkach. – Nie byłem pewien, czy mnie usłyszałeś.

Allan, właściciel składu drzewnego. Kolega mamy. Do którego dzwonił godzinę temu, chociaż już zdążył o tym zapomnieć. Równie dobrze mogłyby minąć dwa tygodnie. Czas płynął teraz jakoś inaczej.

Allan zdjął żółtozieloną czapkę z logo BP i otarł spocone czoło. Na schodkach stały obok niego dwie torby z Ica pełne jedzenia.

– Chyba udało mi się kupić wszystko, o co prosiłeś. Chociaż było tego trochę. To mama jest aż tak chora?

– Tak, ledwo mówi. Dlatego zadzwoniłem. Proszę. Równo.

Podał dwie setki, Allan wsunął je do kieszeni spodni.

– To kto się tobą zajmuje? – spytał z zatroskaną miną. – Dzwoniliście po doktora? Może sprawdzę, co z nią, trzeba przywieźć jej coś z apteki w Halmstad albo co?

Chłopiec przytrzymał drzwi nogą, kiedy Allan położył rękę na klamce.

– Ona teraz śpi – odparł i zakasłał. – A... jeśli się zarazisz? Lepiej nie podchodź do mnie za blisko.

Allan przytaknął i zabrał rękę. Znów otarł czoło.

– Masz rację – powiedział. – Zostałem w tym tygodniu sam w składzie i jest mnóstwo roboty. Nie mogę sobie pozwolić na chorowanie. Ale może ci wniosę te torby? Żebyś ty nie musiał?

– Dziękuję. – Chłopiec zrobił mu przejście. – Tam.

Wskazał mu kuchnię, a Allan stęknął, podnosząc pełne torby. Z jednej wypadło zielone jabłko i potoczyło się po podłodze. Chłopiec wpatrywał się w nie, trzymając się za brzuch, żeby nie było słychać burczenia. Dawno nie jadł. Allan wrócił i podniósł jabłko, przystanął przy schodach.

– Pewien jesteś, że ona śpi na górze?

Chłopiec przytaknął, trzymając się wciąż za brzuch.

– Okej. – Allan podał mu jabłko. – Powiedz jej, żeby dbała o siebie. I zadzwoń, gdybyście jeszcze czegoś potrzebowali.

Chłopiec stał jeszcze w drzwiach, dopóki się nie upewnił, że Allan już nie wróci. Dopiero wtedy wbił zęby w jabłko. A potem wszedł i zamknął starannie drzwi na klucz.

Wśród rzeczy, o które prosił Allana, była pasta i nitka do zębów. Wyjął je i położył na stole. Mama pilnowała, żeby zawsze myć zęby przez dwie minuty. Wziął zegarek, który dostał pod choinkę, i założył, żeby odliczać czas.

Dwie minuty. Nie wiedział, co by było, gdyby szczotkować zęby dłużej, i nawet nie chciał wiedzieć. Nitkowanie było trudniejsze. Nie pamiętał, czy powinien robić to przed szczotkowaniem, czy po nim. Co mówiła mama?

Przed wydawało się sensowniejsze.

A może po?

Ojej, poplątało mu się. A taki był dokładny. Ale dwie minuty to sto dwadzieścia sekund. 12 dodać 0 to 12. Użyje dwunastu centymetrów nitki przed pójściem spać. I będzie dobrze.

Zasady mamy były ważne.

Jesteśmy tym samym co nasze zwyczaje, tak mówiła.

Musiał sobie przypomnieć, jakie były jej zwyczaje.

ASTON BIEGŁ do niego, ściskając w rękę komórkę.

– Tato, no, przecież się rozbiję w wyścigu, jak telefon dzwoni! – wrzasnął.

Vincent wypuścił z ręki chochlę do gotujących się klusek i wy dostał komórkę z zaciśniętej ręki syna, zanim ten zdążył cisnąć ją przez całą kuchnię.

– Wyłącz ją! – wrzeszczał dalej Aston. – Przecież gram na niej w *Asphalt 9*.

– Już nie – odparł Vincent i machnął ręką, wskazując mu mamę.

Na wyświetlaczu odczytał, że to Mina. Nareszcie. Nie mógł się do niej dodzwonić przez cały weekend. Nie odpowiadała również na esemesy. Musiał sobie przypomnieć, że jego też dotyczy psychologiczne zjawisko reflektora, kiedy człowiek myśli, że jest powodem znacznie większej liczby zdarzeń niż w rzeczywistości. Mimo to nie przestawała go dręczyć myśl, że z premedytacją go unikała.

– Cześć, Mina – powiedział; w tym samym momencie Aston rzucił się z rykiem na mamę.

Na podłodze rozpoczęły się zawody o to, kto kogo połaskocze. Aston wydawał się mieć znaczną przewagę.

Vincent odwrócił się do kuchenki i zamieszał kluski, jednocześnie odwrócił na patelni plastry kielbasy. Prawie przywarły. W słuchawce panowała cisza.

– Mina, jesteś tam?

Usłyszał jej oddech. Urywany. Jakby... płakała? Ściszył głos tak, że prawie go zagłuszył szum wyciągu nad kuchenką.

– Stało się coś? – spytał ostrożnie.

Teraz usłyszał wyraźnie, że płacze. Przerywany szloch świadczył, że Mina próbuje zapanować nad głosem. Odczekał chwilę, dając jej czas na pozbieranie się. Nie zareagował, kiedy kluski wykopiały.

– Jestem – powiedział. – Nie ma pośpiechu.

Okropnie się czuł, słuchając jej płaczu. Nigdy nie potrafił mierzyć się z cudzymi silnymi emocjami, nie wiedział, jak się zachować. Teraz było jeszcze gorzej. Mina, zawsze taka pozbierana, dokładna. Skupiona. W tym momencie był świadkiem, jak straciła panowanie nad sobą, i czuł się jak podglądacz. Nie

powinien tego widzieć. Jednak sam fakt, że do niego zadzwoniła, dowodził, że sprawa jest poważna.

Woda z klusek przelała się na płytę indukcyjną. Zadziałała blokada, wyłączając płytę. Na szczęście, bo z patelni zapachniało spalenizną.

– Nie za dobrze się czuję – powiedziała wreszcie, słowa były urywane, tak jak przedtem płacz. – Przez cały weekend nie mogłam ani jeść, ani spać.

– Dosłownie czy w przenośni?

– Dosłownie. Nie śpię od siedemdziesięciu dwóch godzin. Albo więcej. Strasznie mi ciężko. Już nie wiem, co robić.

Woda kapała z płyty na podłogę i na nogi. Dopiero kiedy oparzyła mu palce u stóp, zdał sobie sprawę, że kolacja zamieniła się w jedną wielką katastrofę. Wolał nie patrzeć na kiełbasę. Akurat to było teraz najmniej ważne.

– Już do ciebie jadę – powiedział. – Jesteś w domu? Będę za pół godziny. Nic nie rób, siedź tam i nie ruszaj się z miejsca.

Nie wyjaśnił dlaczego, nie powiedział, że się boi, co mogłaby zrobić, zanim do niej przyjedzie.

– Okej – odpowiedziała ledwo słyszalnym głosem.

Nawet nie miała siły się sprzeciwić. I podała mu kod wejściowy do bramy.

Vincent spojrział na mokrą podłogę. Powinien się tym zająć. Ale później.

Rebecka wychyliła się ze swojego pokoju.

– Tato, co ty wyprawiasz? Aż tutaj śmierdzi spalenizną.

– Dobrze, Rebecko – odparł, szybko wycierając ścierką płytę. – Przejmij szykowanie kolacji. Muszę coś załatwić.

– Ale ja... co? Ojeeej? – Podniosła ręce w geście rezygnacji, ale wyszła do kuchni. – Idę kupić pizzę – powiedziała, przyjrzawszy się katastrofie. – Przelej mi. Wiesz, że podłoga jest zalana, co?

Vincent wyjął smartfon i przelał jej pieniądze, następnie przyniósł swojego laptopa.

– Co ty robisz? – Maria podniosła się z podłogi z uwieszonym u jej nóg Astonem. – Kto to dzwonił?

– Mina. Coś jej się stało. Muszę jechać, żeby ją pocieszyć.

Otworzył wyszukiwarkę.

– Chyba żartujesz. Nabijasz się ze mnie? – odezwała się ostro. – Będiesz pocieszać? Nie ma nikogo innego, do kogo mogłaby zadzwonić? Vincent, do cholery, przecież jest niedzielny wieczór!

Vincent skupił się na laptopie.

Maria nie słyszała głosu Miny.

– Ale zadzwoniła do mnie – powiedział. – Więc teraz to już moja rzecz. – Spojrział na żonę, która założyła ręce na piersi. – Naprawdę się przestraszyłem –

ciągnął. – Gdybyś ją tylko słyszała.

– Ach tak? To dlaczego nie jedziesz? Skoro już musisz być jej rycerzem na białym koniu?

– Na białym? Przecież nasza toyota jest czerwona.

– Wiesz co, czasem... – powiedziała Maria, kręcąc głową.

– To nie ma nic wspólnego z rycerskością – odparł. – Osoba z mojego otoczenia znalazła się w potencjalnie niebezpiecznej sytuacji, fizycznie i psychicznie. Wydaje się, że jestem jedyną osobą, która o tym wie, i co za tym idzie, jedyną, która może jej pomóc. Czyli patrząc na to racjonalnie, muszę. Ale powinienem sprawdzić coś, żeby nie popełnić błędu. – Odwrócił laptopa, żeby mogła spojrzeć.

Kliknął na stronę Wikipedii zatytułowaną *How to comfort a friend*.

– Żartujesz? – powiedziała zniesmaczona Maria. – Aspergera masz czy co? Musisz googlować, jak pocieszać? Takie rzeczy się wie. Mówisz: „Jestem przy tobie, gdybyś mnie potrzebowała”. To jest najważniejsze. Naprawdę nie masz za grosz prawdziwej empatii?

Żle go zrozumiała, jak zwykle. Nie dlatego szukał w sieci, by udawać troskę, ale właśnie dlatego, że się troszczył. Wcale nie był przekonany, że to, co „się po prostu wie”, jest zawsze słuszne. „Wiadomo”, że dzieciom po jedzeniu nie wolno się kąpać przez godzinę, bo dostaną skurczu. Co jest kłamstwem wymyślonym przez objedzonych rodziców, którzy chcą przez tę godzinę odpoczywać. I „wiadomo”, że jedzenie z mikrofali traci wartości odżywcze. Też wymysł. Oczywiście sam też nie był odporny na takie złudne przekonania. Mina była dla niego zbyt ważna, żeby miał ryzykować. Ale jak to wytłumaczyć Marii?

– Nie jestem przyzwyczajony do pocieszania dorosłych – powiedział. – I nie chciałbym dodatkowo pogorszyć sytuacji. Dlatego sprawdzałem, jakich błędów unikać. Jak choćby to.

Odczytał głośno fragment ze strony.

Częsty błąd to słowa: „Jestem przy tobie, gdybyś mnie potrzebowała”. Problem w tym, że jest to zbyt ogólne. Osoba pocieszana staje nagle przed koniecznością wymyślenia, jak możesz pomóc. Zamiast tego zaproponuj konkretną pomoc, na przykład posprzątasz, ugotujesz coś albo przenocujesz u niej.

– Przenocujesz. – Maria ściągnęła usta. – Tylko tego brakowało.

Vincent westchnął głęboko. Zupełnie umknęła jej sama puenta.

– Wiesz co – ciągnęła gorzko. – Możesz potem nie wracać do domu.

Vincent zastanowił się. Maria nie chce, żeby nocował u Miny. Ale do domu też ma nie wracać. Boże. Czy kiedykolwiek zrozumie kobiecą logikę?

DRZWI DO MIESZKANIA Mina nie były zamknięte na klucz. Dywanik za progiem był na tyle duży, żeby zdejmować na nim buty bez konieczności stawiania na podłodze. Pod warunkiem, że było się wystarczająco elastycznym i miało wyczucie równowagi. Vincent na wszelki wypadek zdjął buty jeszcze na podeście i potem postawił je na dywaniku. Nie wołał jej, tylko wszedł do mieszkania.

Mina siedziała na sofie w dużym pokoju, wciąż trzymała w ręce telefon. Sądząc po jej wyglądzie, chyba mówiła prawdę, że ani nie jadła, ani nie spała. Błada jak trup, za to z czarnymi sińcami pod oczami. Postawą ciała przypominała balon, z którego uszło powietrze. Pozostałą jej energię najwyraźniej zużyła na płacz, aż się cała trzęsła.

Vincent postawił na stoliku przed sofą torbę z zakupami, które zrobił po drodze, a potem poszedł do kuchni po szklankę. Wróciwszy, wyjął z torby butelkę soku i nalał jej trochę. Domyślał się, że do własnej szklanki nie potrzebuje słomki.

– Sok, jogurt, kanapka – powiedział, wyjmując pozostałe rzeczy. – Nawet dobra ta kanapka. Z awokado.

Na stoliku pojawiły się okruchy, ale nie sądził, żeby chwilowo zwróciła na to uwagę. Pokręciła głową.

– Wiem – powiedział. – Nie możesz jeść. I nie będę cię do tego namawiał, ale kiedy już dojdiesz do tego, że możesz, to masz tę kanapkę. Teraz chciałbym tylko, żebyś się napiła. Ale to też nie jest pilne.

Postawił szklankę jak najbliżej niej i odsunął się, jakby podkreślał, że to dla niego nieważne. Uważał przeciwnie, że to bardzo pilne, ale miał nadzieję, że nie było tego słyhać w jego głosie. Mina wyglądała, jakby w każdej chwili mogła dostać zapaści.

Usiadł na kanapie obok niej, zawahał się przez moment, ale potem objął ją ramieniem. Pozwoliła mu na to i oparła się o jego pierś. Mimo że jego koszula wciąż pachniała przypaloną kiełbasą i rozgotowanymi kluskami.

Płakała cicho, a Vincent głaskał ją po głowie. Na jednej z ilustracji strony *How to comfort a friend* pokazali dokładnie, jak to robić. Ale sam też by na to wpadł. Dobrze się z tym czuł. Naturalnie.

Czekając, aż minie najgorsze, przyjrzał się jej mieszkaniu. Wyobrażał sobie, że będzie całkiem białe. Białe meble, ściany i obrazy. Żeby brud nie miał gdzie się ukryć. Tymczasem ściany mieszkania Miny były jasnoszare, a meble z jasnego drewna, w każdym razie w dużym pokoju i w kuchni, bo te widział. Zaskoczył go jej gust. Minimalistyczny styl sprawił, że nie dziwiło symetryczne ułożenie rzeczy, z których każda miała swoje miejsce, i że wszystko było idealnie odkurzone. Gdyby jej nie znał, myślałby, że znalazł się na planie reportażu o urządzaniu mieszkań, a nie w czyimś wysterylizowanym kawałku życia. Na ile mógł ocenić, nie było tu żadnych śladów interakcji z innymi ludźmi. Żadnych zdjęć krewnych czy przyjaciół, żadnego kalendarza z zapiskami o kolacji czy kawie z kimś.

Po kilku minutach jej oddech się trochę uspokoił. Sięgnął wtedy po szklanekę i podał jej. Wzięła ją w obie dłonie i upiła kilka łyków. Zrobiła przerwę, jakby chciała mu oddać szklanekę, ale zatrzymała ją i wypiła do końca. Odetchnęła. Chociaż trochę witamin i cukru. Oby dość, żeby po cichutku wrócił apetyt.

– Mogę pytać?

– Jeśli musisz – odparła cicho.

– Nie muszę. Zostanę tak długo, jak będziesz potrzebowała mojej obecności. Możesz zjeść i przespać się. Ale tylko kiedy będziesz chciała. I nie musimy rozmawiać.

Tego ostatniego nie wyczytał na stronie Wikipedii. Sam na to wpadł. I chyba dobrze, bo w milczeniu kiwnęła głową. Znów oparła ją na jego piersi. Łzy wciąż płynęły, ale już nie tak gwałtownie jak przedtem.

– Właśnie, a co Maria na to, że do mnie pojechałeś? – spytała. – Była zazdrosna?

– To równie oczywiste jak to, że papież nosi komiczne nakrycie głowy. Przede wszystkim Maria uważa, że mam w głowie nie po kolei i potrzebny mi psychiatra.

Zaśmiała się.

– Co do tego ostatniego, tu akurat jesteśmy zgodne – powiedziała. – Wiesz, że pachniesz kielbasą?

Teraz na niego przypadła kolej, żeby się zaśmiać. A potem oboje umilkli. Mina była wyraźnie wyczerpana. Dobrze by jej zrobiło, gdyby zasnęła. Dostroił oddech do jej oddechu, po chwili oddychali w tym samym rytmie. Odprężyła się jeszcze bardziej. Kontynuował to, pozwolił sobie rozkoszować się czysto fizycznym odczuciem, że jest zsynchronizowany z kimś. Nieczęsto tak miał.

Ostatni raz był dawno temu. Teraz spowolnił oddech i zauważył, że nieświadomie zrobiła to samo. Oddychał powoli razem z nią, potem zwolnił go jeszcze bardziej, ale stopniowo, żeby jej ciało miało czas się dostroić. Po pięciu minutach wolnego oddychania zasnęła.

Odetchnął głęboko. Nigdy nie odważyłby się pocieszać Marii ani Ulriki, gdyby spróbował, na bank by go wyśmiały. Jednak z Miną poszło mu dobrze, i to bardzo. Prawie naturalnie.

Ułożył ją ostrożnie na sofie i nie wiedział, co dalej. Rozejrzał się po pokoju. Dom zawsze mówi wiele o osobie, która w nim mieszka, chociaż w dzisiejszych czasach jest trudniej, kiedy nie da się przejrzeć czyichś zbiorów muzycznych i regałów z książkami. Przeglądanie zapisanych nagrań ściągniętych ze Spotify i Storytel to niezupełnie to samo. Vincent odkrył jednak, że najciekawsze informacje znajdują się tam, gdzie ludzie sądzą, że nie zostawiają śladów. Na przykład przyklepna karteczka przypominająca o ponownej wizycie u lekarza. Magnes na lodówce ze słowami, z których utworzono zdania. Zapomniane drobiazgi na dolnej półce stolika przed kanapą.

U Miny nie było takich śladów ani w dużym pokoju, ani w kuchni. Obrazy na ścianach również niczego nie zdradzały, chyba kupiła je w Ikei. Nie zamierzał wchodzić do jej sypialni, zwłaszcza teraz, gdy spała. Byłoby to zbyt poważne naruszenie jej prywatności. Na biurku w dużym pokoju leżała kostka Rubika. Pewnie ta sama, którą widział w jej kieszeni, kiedy się poznali.

Chwycił ją za dwa rogi i trzymał kciukiem i średnim palcem, żeby móc kręcić palcem wskazującym i serdecznym. Rzędy kwadracików obracały się prawie bez oporu. Nie mylił się. Była to tak zwana *speed cube*, dostatecznie pozbawiona tarcia, żeby dała się rozwiązać jedną ręką. Zdziwił się, że Mina pozostawiła ją nierozwiązaną. On sam był wyznawcą starej szkoły i zaczynał zawsze od krzyża. Wiedział, że są szybsze sposoby, ale ten został mu w pamięci mięśniowej. Bez zastanowienia kręcił jedną ręką, jednocześnie rozglądając się.

Na biurku leżały też dokumenty, które były mu znane, bo wszystkie związane z dochodzeniem. Jego uwagę zwróciło oprawione zdjęcie na brzegu biurka. Z ramki zwisał naszyjnik. Vincent rozpoznał magnetyczny wisiołek i zdziwił się. Mina nie wydawała się osobą, która wierzy w takie odjechane rzeczy kojarzące się z New Age. Ale, ale. Nie jego sprawa.

Mina poruszyła się niespokojnie na kanapie. Mamrotała coś, ale nie słyszał co. Oprawiona fotografia była portretem młodej dziewczyny. Dziesięciocentymetrowej wysokości, przypominała mu zdjęcia robione w szkole, kiedy rodzice płacą za cały arkusz w nadziei, że babcie, dziadkowie i cała reszta rodziny ucieszy się, jeśli również w tym roku dostanie jedno. Podejrzewał, że rodzice mocno przeceniają tę radość.

– Natti – wymamrotała Mina.

Tym razem usłyszał to wyraźnie.

– Śpij, śpij – powiedział miękko.

– Natti, kochanie, jestem tutaj – powtórzyła, marszcząc czoło. – Nie widzisz mnie?

Kochanie? Poczuł, że się czerwieni. Aż tak blisko nie są ze sobą. Chyba spała, ale bardziej niespokojnie niż przedtem. Znów spojrział na dziewczynę ze zdjęcia. Odwrócił je. Z tyłu był podpis *Nathalie 10 lat*. Jeszcze bardziej się zaczerwienił. Mina nie miała na myśli jego. Natti była osobą²⁸. Odstawił zdjęcie, starając się, żeby stało dokładnie tak jak przedtem, i poprawił naszyjnik. Znalazł długopis i odwrócił pierwszą kartkę z raportu dotyczącego Agnes.

Nie będę o nic pytał, ale jeśli będziesz chciała mi powiedzieć, wysłucham cię – napisał.

Dopiero wtedy zorientował się, że zupełnie nie myśląc o tym, ułożył trzymaną w ręce kostkę Rubika.

PS. *Przepraszam za kostkę* – dopisał i położył kartkę z wiadomością i kostką obok kanapki na stoliku.

Na jednym końcu kanapy leżał idealnie złożony miękki koc. Rozwinął go i przykrył nim Minę. Następnie wziął buty w rękę i na palcach wyszedł z jej mieszkania.

VINCENT NIE MÓGŁ zasnąć. Ćwiczenie z autohipnozy, do którego zwykle się uciekał, tym razem nie zadziałało. Nigdy dotąd mu się to nie zdarzyło. Myśli kłębiły się nieustająco. Kompletnie zaskoczył go nowy list. Był przyzwyczajony do listów i maili od osób, które chciały, żeby im pomógł zaprowadzić ład w ich życiu albo poradził przed rozmową o pracę. Listy z pogroźkami, które dostał wiosną, już nie zaprzętały jego myśli. Teraz jednak osoba ta znów do niego napisała.

Usiadł, spuszczać nogi z łóżka, i włączył latarkę w telefonie, żeby nie przeszkadzać Marii. Rozłożył list już piąty raz z rzędu.

Będziemy ze sobą. Rozumiem jednak, że nie potrafisz powiedzieć tego swojej żonie. Załatwię to.

Czytając to, za każdym razem czuł dreszcz przechodzący po krzyżu. Późna nocna godzina też nie sprzyjała klarownemu myśleniu. Powinien odzyskać kontrolę nad ośrodkiem emocji w swoim mózgu, bo najwyraźniej wpadł w jakąś turbulencję. Niepokój osłabnie sam z siebie, jeśli mu zabraknie paliwa. Najprościej byłoby wziąć się do rozwiązywania jakiegoś abstrakcyjnego problemu. Albo poczytać jakąś trudną książkę. Tylko że wszystkie jego książki znajdowały się na dole w gabinecie. Nie miał siły tam iść. W końcu był środek nocy.

Spojrzał na ciemny kształt leżący obok, na drugiej części łóżka. Żona miała skłonność, żeby otulać się ciasno kołdrą. Leżała zawinięta jak gołąbek w garnku. Wiedział, że Maria ma książki. Wprawdzie ze znakiem tęczy, ale może choć raz powinien podejść bez uprzedzeń. W dzieciństwie też chciał, żeby istniała magia. I nawet zrobił wszystko, żeby tak było. A teraz była noc, czyli czas, gdy nie do końca obowiązują te same zasady gry co zazwyczaj. Jeśli ma kiedykolwiek znaleźć coś interesującego w książkach Marii, to właśnie teraz.

Obszedł łóżko i zapalił lampkę na nocnej szafce Marii, kulę przedstawiającą księżyc. No jasne. Żona mruknęła przez sen i odwróciła się tyłem do światła.

Rzeczywiście miała tam cztery książki. Cokolwiek by o nich powiedzieć, jego żona podchodziła bardzo poważnie do tematu samodoskonalenia się.

Przynajmniej w teorii. Książka leżąca na samym wierzchu nosiła tytuł *Jak się nie poddawać*. To nie dla niego. Fakt, że już ją czytał, autorka Angela Duckworth była inteligentną kobietą, opierającą się na solidnych danych. Potrzebował czegoś bardziej szalonego, jakichś pomysłów, z którymi mógłby się pospierać.

Kolejna książka nosiła tytuł *Jak kochać wszystkich bezwarunkowo. Magia życia*. Na okładce znajdował się rysunek zielonego kielka wyrastającego ze słońca, przy czym kielek miał kształt serca z kolejnym słońcem na środku. Bez autora, ale z linkiem do jakiejś strony internetowej. O, coś w tym rodzaju. Miałby co tu robić. Ale może znajdzie coś jeszcze lepszego.

Trzecia książka miała tytuł *Naucz się kochać to, co masz*, ostatnia zaś *On jest idiotą, ale to twój idiota*. Stał chwilę, trzymając w rękach te trzy ostatnie.

Naucz się kochać.

On jest idiotą.

Kochaj wszystkich bezwarunkowo.

Nagle zrozumiał i aż się przestraszył, a jednocześnie zakręciło mu się w głowie. Do tej pory sądził, że konsumowanie książek służy Marii do „samopoznania” albo „odnalezienia swego duchowego ja” czy czegoś równie oderwanego od rzeczywistości. Pokpiwał z tego wielokrotnie, i to częściej, niżby chciał pamiętać.

Okazało się, że to wcale nie było tak. Lektury te miały jej pomóc zrozumieć jego . Znaleźć drogę do rodziny, w której dwoje dzieci było nie jej. Kompletnie jej nie rozumiał. Żona miała rację. Jest idiotą. Absolutnym idiotą. Miała za męża człowieka z innej planety. Vincent nie był już pewien, czy w ogóle zasługuje na miłość.

– Vincent – odezwała się zaspana Maria. – Co ty robisz?

Odłożył książki na miejsce i poprawił stosik. Przesunął dłonią po oczach w nadziei, że nie zauważyła jego łez. Maria uniosła głowę i zmrużyła oczy.

– Stało się coś? – spytała.

Zgasił jej lampkę, żeby nie widziała jego zawstydzenia.

– Pamiętasz, kiedy się w sobie zakochaliśmy? – spytał słabym głosem.

– Mhm... Co?

– Powiedziałem ci wtedy, że jestem trudny we współżyciu. Chociaż nie miałem pojęcia, jak bardzo. I ile cię to kosztuje.

– Jasne, że jest to trudne doświadczenie – powiedziała, ziewając. – Zwłaszcza w środku nocy. Nie mógłbyś się położyć?

– Ale czy to jest tego warte?

Teraz już całkiem otworzyła oczy.

– Masz na myśli życie z tobą?

Przytaknął w milczeniu, choć nie wiedział, czy Maria to widzi w ciemności.

– Myślę, że to zależy od ciebie – odparła. – Chcesz, żeby było warto?

Znów przytaknął. Przede wszystkim sobie.

– Przepraszam – powiedział. – Byłem idiotą.

– Przecież wiem. – Uśmiechnęła się. – I czasem mam ochotę cię udusić. Ale jesteś moim idiotą. No chodź, połóż się. Jak chcesz, to na łyżeczkę od wewnętrznej strony.

– Ale ty nie wiesz, co ja...

– Wiem, że jest druga trzydzieści w nocy – stwierdziła, spojrzawszy na cyfrowy budzik pod lampą – i jeśli nie chcesz, żebym cię zostawiła, to wracaj do łóżka. Za cztery godziny pobudka.

Położyła się, odwróciła i chwilę się powierciła w łóżku, szukając możliwie wygodnej pozycji. Po dłuższej chwili jej oddech stał się cięższy i wolniejszy.

Vincent powstał jeszcze, patrząc na sylwetkę żony. Matki jego najmłodszego syna. Nie tylko się poddał, ale sam zrobił wszystko, żeby popsuć ich wzajemne relacje. A ona się nigdy nie poddała. Starła się bardziej niż on kiedykolwiek. Postanowił zmienić to od zaraz. Nie dlatego, że na to zasługiwał. Jednak jeśli z ich małżeństwa da się jeszcze uratować cokolwiek, zamierzał to zrobić. Pod warunkiem, że ona mu na to pozwoli.

LEKKIE PUKANIE sprawiło, że Mina się wzdrygnęła. Nie zauważyła wejścia Julii, dopóki ta nie puknęła dyskretnie w róg biurka.

– Mówiłam do ciebie kilka razy, musiałś być myślami bardzo daleko – powiedziała Julia. – Czy Peder dopadł już tę całą Annę?

Mina odwróciła się, robiąc półobrót na krześle. Było całe z chromowanej stali, bez siedziska pokrytego materiałem, jak na krzesłach kolegów. Materiał był wręcz niesamowitym siedliskiem bakterii. Zwłaszcza taki, który ma się pod pupą przez większą część dnia. Stal można zawsze wytrzeć. A w razie potrzeby umyć.

– Nie, ale udało mu się ustalić jej adres – odparła, podnosząc się. – Właśnie dał znać.

Peder był na kolejnym zwolnieniu na opiekę nad trojaczkami. Jednak przed swoim zniknięciem w świecie niemowlęcych wymiotów przysłał jej krótkiego esemesa z informacją.

– Właśnie zamierzałam tam jechać i zabrać ze sobą Vincenta. Zasłużył na to, żeby mi towarzyszyć.

Coś jej mówiło, że powinna zabrać go ze sobą mimo ryzyka, że jej tajemnica się wyda. Nawet sama się dziwiła, że nie przeszkadza jej, jeśli Vincent się dowie.

– Czy to na pewno dobry pomysł? – spytała Julia. – Przez tę książkę został osobiście zamieszany w tę sprawę. Nie lepiej, żebyś zabrała ze sobą Christera?

Mina zdecydowanie pokręciła głową.

– Nie, chcę, żeby to był Vincent. Przynajmniej tyle możemy zrobić. Faktem jest, że to dzięki niemu zaszliśmy tak daleko. Lepiej poradzę sobie z Anną, w razie gdyby przyszło jej do głowy coś głupiego.

Julia uśmiechnęła się z rozbawieniem.

– Oczywiście, ale twoi koledzy też zrobili swoje. Nie zapominaj o tym, zanim wpadniesz w absolutny zachwyty nad Vincentem.

– Zachwyty... – parsknęła Mina i z rozdrażnieniem uzmysłowiła sobie, że się czerwieni. – Po prostu uważam, że jego obecność byłaby wskazana ze względu na jego umiejętności, to nie ma nic wspólnego z...

– Dobra, dobra, nie nadymaj się, bo zaraz pęknie. No to zabierz go ze sobą. Ale bądźcie ostrożni.

Julia uśmiechnęła się lekko złośliwie, odwróciła się na pięcie i wyszła. Mina chciałaby zawołać ją, żeby dalej wyjaśnić, ale wiedziała, że tylko pogorszyłaby sprawę.

Sięgnęła po mokre serwetki antyseptyczne i starannie przetręła miejsce na biurku, w które puknęła Julia.

– TO PEDER SIĘ Z NIĄ NIE SPOTKAŁ? – dopytywał Vincent, kiedy Mina parkowała. – Dlaczego nie była na spotkaniu AA?

– Mówił, że nikt nie wiedział, po prostu nie przyszła.

– Chyba nie wolno im podawać adresów? Przecież na tym polega idea AA, anonimowość, prawda?

Mina przytaknęła, zaciągnęła hamulec ręczny i wyłączyła silnik.

– Nie podają adresów, ale ktoś spośród uczestników spotkania wiedział, gdzie ona mieszka. Podobno są sąsiadami i czasem jeździli razem na mityngi.

Wysiedli z samochodu i rozejrzeli się. Dzień był pochmurny, w powietrzu wisiał deszcz. GPS doprowadził ich do nieciekawego osiedla wielkich bloków mieszkalnych. Beton i stal w kombinacji pozbawionej jakiegokolwiek uroku, ale kiedyś spełniające zadanie, jakim było szybkie zapewnienie mieszkań w rozrastającym się w rekordowym tempie Sztokholmie.

– Które piętro? – spytał Vincent, patrząc w górę przez zmrużone powieki.

– Drugie – odparła Mina, wybierając nazwisko Anny na panelu przy drzwiach budynku.

Po kilku dzwonekach kliknął zamek w drzwiach i mogli wejść. Mina zmarszczyła nos. W całej klatce schodowej unosił się nieprzyjemny zapach starych sików zmieszanych z wonią czegoś ostrego, domyślała się, że zapewne jakiegoś szkodliwego materiału użytego do budowy.

– Wiem, darujemy sobie windę – powiedział Vincent, idąc na schody.

Farba odłaziła całymi płatami ze ścian pomalowanych na smutny jasnozielony kolor. Mina nie byłaby w stanie zliczyć swoich służbowych odwiedzin na takich klatkach, pomalowanych farbą dokładnie tego samego rodzaju. I o tym samym zapachu.

– Tutaj. – Vincent pokazał palcem dekoracyjną tabliczkę z nazwiskiem Anny.

Przed drzwiami leżała wycieraczka z napisem *The queen of fucking everything*.

– No to dawaj – powiedziała sucho Mina i kiwnęła głową.

Niech zadzwoni. Zawsze to mniej o jeden dzwonek zainfekowany bakteriami. Brzuch ją bolał na myśl, że Vincent zaraz pozna jej tajemnicę. Trudno, raz kozie śmierć.

Drzwi otworzyły się. Dziewczyna z delfinem spojrzała na nich z dość obojętną miną, ale potem było tak, jakby wszelkie możliwe emocje przemknęły kolejno po jej twarzy. Kulminacją był taki wrzask, że Mina się przestraszyła.

– VINCENT!

Anna rzuciła się na szyję Vincentowi, który się zachwiał. Mina otworzyła usta z wrażenia, a Vincent stał z uwieszoną u jego szyi wrzeszczącą Anną. Mina nic nie rozumiała. Oczywiście wiedziała, że Anna zna Vincenta ze słyszenia, przecież właśnie dlatego tu przyjechali, ale takiego powitania się nie spodziewała. Vincent najwyraźniej też nie. Miał speszoną minę, jakby szukał czegoś w pamięci.

– O, hej... – powiedział wyraźnie zmieszany, usiłując uwolnić się z objęć Anny.

– Możemy wejść? – spytała Mina. – Chcielibyśmy z tobą o czymś porozmawiać.

Zdawała sobie sprawę, że powiedziała to szorstko, ale wciąż próbowała się pozbierać po tym natarciu na Vincenta. Jak na osobę, która może być zamieszana w morderstwo, Anna zachowywała się co najmniej dziwnie.

– Oczywiście, jasne, bardzo proszę! Przepraszam, ojej, jak ja wyglądam i jeszcze nie posprzątałam, Vincent, gdybym wiedziała, że akurat dziś przyjdiesz, odstawiłabym się i wyszykowałabym mieszkanie.

Trajkotała nerwowo, cofając się do środka, żeby zrobić im miejsce w drzwiach. Vincent miał nadal niepewną minę i jakby się wahał przed wejściem, ale w końcu wszedł za nią.

– A ja tu sobie stoję i smażę mielone mięsko dla Inga, przepraszam, ale muszę sprawdzić, czy się nie przypala, bo on nie lubi przypalonego, chce, żeby było tylko zrumienione, no tak, właściwie chciałby całkiem surowe, ale nie wiadomo, co tam może być w środku, więc i tak wolę mu podsmażyć...

W tym momencie Anna przerwała i spojrzała na Minę, jakby dopiero teraz odnotowała, że Vincent nie jest sam.

– Na imię ci Mina, nie? Spotykamy się na...

– Na Kungsholmen – wpadła jej w słowo Mina i wbiła wzrok w Dziewczynę z delfinem. – Byłam tam kilka razy jako osoba towarzysząca.

Albo przekaz dotarł do niej, albo Anna nie mogła myśleć o niczym poza Vincentem, bo tylko krótko kiwnęła głową i znikła w głębi mieszkania. Mina weszła do przedpokoju za Vincentem, nie do końca pewna, co będzie dalej.

Przedpokój był schludny i wbrew słowom Anny wysprzątany, ale też nadmiernie udekorowany. Makatki z sentencjami, obrazki z cytataми, emaliowana tabliczka z napisem *Carpe diem*, druga ponownie z *The queen of fucking everything*, lustra, sztuczne kwiaty i mnóstwo przedmiotów dekoracyjnych. Haft krzyżykowy konstatujący, że *Wielki fiut to marna pociecha w ubogim domu*. Skierowali się do kuchni, gdzie Anna nie przestawała trajkotać.

– Dam tylko jeść Ingowi, potem nastawię kawkę dla was i chyba mam jakieś ciasteczka. No więc ciągle do mnie nie dociera, że w końcu przyszedłeś, Vincent, niech ja tylko zadzwonię do Lindsay, żeby jej o tym opowiedzieć, bo wysłała mi tyyyyle negatywnej energii i jeszcze mówiła, że to się nie zdarzy, że tylko sobie wmawiam i nie powinnam była wysyłać tych głupich listów, że wszystko to sobie ubzdurałam! Ha! Słyszałeś coś równie głupiego? Zwłaszcza że przecież tu jesteś!

Anna, cała rozpromieniona, podeszła do kuchenki, gdzie się dymiło z patelni. Mina dopiero teraz zauważyła czekającego tam cierpliwie kota rasy ragdoll. Od samego widoku Mina poczuła szczypanie w oczach i trudności z oddychaniem. Właściwie nie miała alergii, ale kocia sierść na pewno nie należała do rzeczy, które by chciała przynieść ze sobą do domu. Kot zerknął w ich stronę, ale potem już ignorował, bo zawartość patelni była znacznie ciekawsza.

– Już, już, kochany, zaraz zjesz, pańcia ci pomoże, ale będzie pycha, co, kochaniutki?

Gaworzyła jak do dziecka i sięgnęła po łyżeczkę, jednocześnie zdejmując patelnię z kuchenki i stawiając ją na podkładce na stole. Usiadła na krześle, a kot odwrócił się do niej, żywo zamiatając ogonem wytartą podłogę kuchenną. Mina bała się sprawdzać, czy Vincent ma równie zszokowaną minę, co – jak się domyślała – ona sama. Dziewczyna z delfinem zaczęła karmić kota łyżeczką. Mina w życiu nie widziała nic podobnego. Spotykała Annę co czwartek w AA, niechętnie zamieniała z nią kilka słów i słuchała jej świadectwa. Do tej pory odnosiła wrażenie, że Anna jest w miarę normalną osobą. Może trochę szaloną. Ale to...

Pokręciła głową, nie mogąc się powstrzymać, a potem rozejrzała się za jakimś krzesłem, żeby usiąść. To zapewne potrwa dłuższą chwilę. Z ulgą stwierdziła, że mieszkanie wydaje się bardzo czyste i wysprzątane. Czyli da radę usiąść na kuchennym krześle. Najchętniej sięgnęłaby po mokrą serwetkę i przetrła najpierw zarówno krzesło, jak i stół, ale nauczyła się panować nad swoimi odruchami podczas wykonywania obowiązków zawodowych.

Vincent usiadł obok i teraz już Mina odważyła się na niego zerknąć. Zafascynowany obserwował karmienie kota i wydawał się intensywnie nad

czymś zastanawiać. Odwrócił głowę, ich spojrzenia się spotkały. Mina skinęła do niego.

– Anno – powiedział. – Chcielibyśmy przy twojej pomocy wyjaśnić pewną sprawę. Rozmawiałś z Miną na mój temat, pamiętasz to?

– No pewnie, Boże, ale ja przecież rozmawiam o tobie ze wszystkimi! Przecież wiesz!

– Ja wiem?

Chrząknął.

Umówili się z Miną, że nie wspomną o książce, przynajmniej nie na początku, bo może Anna zechce wtedy uciec. Jednak Mina była z każdą sekundą coraz bardziej przekonana, że Anna nie ma nic wspólnego ani z książką, ani z zawartą w niej wiadomością. Żeby to widzieć, nie trzeba było być mentalistą.

– A dlaczego akurat wtedy? I dlaczego z Miną? Jak ci to wpadło do głowy, by jej podpowiedzieć, żeby się ze mną skontaktowała?

Anna nadal karmiła kota zrumienionym mięsem, jednocześnie mówiąc.

– Nie ma w tym nic dziwnego. Było nas kilka osób, słyszeliśmy rozmowę Miny i odebrałam to w ten sposób, że potrzebna jej pomoc. Wtedy wydało mi się dość oczywiste, żeby jej podpowiedzieć ciebie.

Dziewczyna z delfinem mówiła do niego tak, jakby Miny tam nie było. Najwidoczniej pojawienie się u niej Vincenta było czymś tak fantastycznym, że nie dostrzegała nikogo innego. Patrzyła na niego wzrokiem promiennym, ale nie do końca naturalnym. Wyskrobała resztkę mięsa dla kota.

– Dlaczego było oczywiste, że przyszedł ci na myśl Vincent? – spytała Mina.

Anna uśmiechnęła się szeroko.

– Bo nieustannie o nim myślę.

Skonsternowana Mina spojrzała na mentalistę. Cała ta wymiana zdań wydawała jej się dziwna. Jakby działo się coś więcej, czego nie rozumiała. Chociaż tyle dobrego, że Anna nie wydawała się zainteresowana mówieniem o tym, skąd się obie znają.

– Chodź, Vincent, muszę ci coś pokazać!

Zerwała się, odstawiła patelnię z łyżeczką na kuchenkę i ruszyła w stronę zamkniętych drzwi po przeciwnej stronie przedpokoju. Kiwnęła na Vincenta, żeby szedł za nią. Oboje z Miną wstali i poszli z pewnym ociąganiem.

– Spójrz! Prawda, jak ładnie?

Anna otworzyła drzwi na oścież i zatoczyła ręką krąg, podskakując lekko z przejęcia.

Zaciekawiona Mina podeszła, zaraz za nią Vincent. I stanęli jak wryci.

W całym pokoju wszędzie znajdowały się zdjęcia Vincenta. Nie był na nich sam. Zawsze był to Vincent z Anną. W części były to selfie, zrobione podczas

składania podpisów autorskich albo wykładów, z radośnie uśmiechniętą Anną na pierwszym planie i Vincentem gdzieś w tle. Inne były kolażami, Anna najwidoczniej zmontowała własne zdjęcia ze zdjęciami Vincenta. Wiele było dodatkowo udekorowanych wyciętymi tytułami z kolorowej prasy – *Celebrycka miłość kwitnie*, *Ślub lata* – i dorysowanymi serduszkami. Te zdjęcia pokrywały wszystkie ściany aż do ostatniego centymetra.

Rozglądając się, Mina poczuła mrowienie na karku. Do tej pory uważała Annę za osobę zabawną, choć lekko stukniętą. Ale to było szaleństwo, na które trzeba brać leki.

W głębi pokoju stał stolik z oprawioną fotografią Vincenta z jego ostatniego show. Przed nią leżała metalowa tabliczka z napisem „Czytanie w myślach zabronione”. Jeden jej róg był lekko zagięty, jakby została od czegoś oderwana.

Był to ołtarzyk.

Mina spojrzała na Vincenta. Szczęka mu opadła, zostawiając otwarte usta.

– To ty – rzekł powoli. – To ty wchodzisz na scenę po moich przedstawieniach...

– No pewnie, że ja! Przecież wiesz!

Anna śmiała się zachwycona, wciągając Vincenta do pokoju. Próbował się opierać, ale chwyciła go mocno za ramię.

– Nie żartowałaś, kiedy powiedziałaś, że nieustannie o nim myślisz? – spytała dyplomatycznie Mina.

Ile tego Vincenta! Zdjęcie za zdjęciem za zdjęciem...

– Anno, muszę wiedzieć jedną rzecz – powiedział. – Wysłałaś mi książkę? Z lampartem na okładce? Czy ktoś poprosił cię, żebyś mi wysłała?

Teraz to Anna się zmieszała. Jej wyraz twarzy nie był udawany, nawet Mina potrafiła to stwierdzić. Przeczucie jej nie myliło.

– Książkę? Z lampartem? Wprawdzie lubię koty, ale wysyłałam ci tylko listy, chyba je dostałeś?

– Tak, owszem. Listy, w których groziłaś mnie i mojej rodzinie.

Anna nie wiedziała nic o żadnej książce, było to zupełnie jasne. Jednak Vincent bardzo pobladł. Trzeba go stąd zabrać. Najlepiej zanim kotu zachce się zaprzyjaźnić. Bosse wyczerpał na jakiś czas jej pulę kontaktów ze zwierzętami.

– To pomyłka – powiedział Vincent do Miny.

– Anno, miło było wpaść do ciebie – odezwała się przyjaźnie, ale stanowczo Mina. – Jeśli Vincent nie ma do ciebie więcej pytań, to już pojedziemy.

Anna spojrzała na nią z zaskoczeniem, a potem zwróciła się do Vincenta.

– Co? Nie zostajesz? Kiedy w końcu tu jesteś? W końcu tu przyszedłeś! Bo przeczytałeś moje listy. Zostaniesz ze mną. A nie z nią. – Wskazała Minę. –

Fajnie mieszkasz w tym Tyresö – ciągnęła – ale tobie i mnie ten duży i pusty dom nie jest potrzebny.

– Skąd ty wiesz, gdzie ja... – zaczął Vincent.

Otworzył szeroko oczy.

– Ta tabliczka... jest z mojej skrzynki na listy, prawda?

Anna zamilkła nagle, przebierając palcami po tabliczce. A potem przytaknęła.

– Lubię na ciebie patrzeć. Ale kiedy ona się pojawiła – tu spojrzała na Minę – musiałam się ukryć. Widziałam was. Ciągłe jesteście razem.

– Vincent? – Mina znów poczuła mrowienie na karku. – O czym ona mówi?

Nie odpowiedział. Przyglądał się zdjęciom na ścianach. Zwłaszcza selfie, na których byli oboje. Z sytuacji, kiedy Anna była obok, chociaż jej nie zauważył. Kiedy mogło jej przyjść do głowy absolutnie wszystko.

Mina również patrzyła na zdjęcia, jej wzrok przykuło zwłaszcza jedno, na którym Anna leżała na brzuchu na jakiejś leżance. Była bez koszulki i ktoś robił jej coś na plecach. Ojej, nie. Zdjęcie było niewyraźne, ale Mina знаła Dziewczynę z delfinem na tyle, żeby wiedzieć.

Anna zobaczyła, na co Mina patrzy, odwróciła się, pisnęła radośnie i podwinęła koszulkę, żeby zobaczyli. W wygięciu pleców miała wytatuowane wielkie różowe serce. W nim portret jej i Vincenta. Wyglądali na bardzo szczęśliwych, że są razem.

– Nareszcie przyszedł nasz czas, Vincent – zaszczebotała.

Mina wpatrywała się w tatuaż. Vincent cofnął się powoli, oddalając się od obnażonych pleców Anny. A potem odwrócił się, wypadł z mieszkania i zbiegł po schodach.

NIEZUPEŁNIE SIĘ spodziewał, że tak wygląda las. Właściwie nie był nigdy w lesie, więc skąd miał wiedzieć, że jest wilgoć, a czasem nawet mokro. Nie można było po prostu położyć się na ziemi, żeby się pieprzyć.

– Przejdźmy kawałek dalej – powiedział, odwracając się do niej.

Gałązka trzepnęła go w twarz, złapał się za policzek.

Spojrzała na niego znudzona i przytaknęła niechętnie.

– Byle nie za daleko, mam nowe reeboki i nie chcę, żeby się zniszczyły.

Wskazała rozmokłą błotnistą ziemię. Zdecydowanie nie było to odpowiednie podłoże dla lśniących nowością białych butów.

– Zapłaciłem ci – przypomniał jej w nadziei, że wystarczy to za motywację.

Miał gdzieś jej buciory. Chciał tylko jednego: włożyć jej fiuta. Mieć to za sobą. Rozejrzał się. Musi szybko znaleźć jakieś suche miejsce, żeby się nie rozmyśliła. Kumple na motorowerach czekali na niego koło kiosku w Tallkrogen. Nie mógł wrócić niewypieprzony, po prostu nie mógł. Jako jedyny z nich był jeszcze prawiczkiem, co mu często złośliwie wytykali.

– Tam dalej jest chyba polanka, na pewno będzie bardziej sucho.

Pokazał palcem i ruszył w tamtym kierunku.

Niechętnie poszła za nim. Wzdychała ostentacyjnie.

– Pamiętaj, zapłaciłeś za zwykłą misjonarkę, bez dodatków, żadnego obciążania ani nic. Żeby była zgoda.

Mówiła zblazowanym tonem, jakby rozmawiała o pogodzie.

Ciekaw był, z iloma facetami się pieprzyła. Ta myśl wzbudziła w nim jednocześnie obrzydzenie i podniecenie, taka dziwna kombinacja.

Fiut mu stwardniał i obcierał się o dzinsy, musiał przesunąć go o parę milimetrów.

Zadrzała z zimna, idąc niepewnie za nim lekkim skosem i mocniej otulając się swoją kurtką dzinsową.

Znalazł ją w internecie. Kumple wybierali ją razem z nim. Sterczeli u Addego przez całe popołudnie, szukając kogoś dla niego. Żeby nie było za drogo. Miał tylko pięćset koron, prezent od babci pod choinkę. U Lizette wystarczyło akurat

na zwyczajne rżnięcie. W zasadzie miał być tysiąc, tak napisała na swojej stronie, ale Mehmet, który był doświadczony, stargował mu do pięciuset.

– No zoba! Przyczepa kempingowa! – powiedział z ulgą, głosem wpadającym w falset. Na polanie kawałek dalej stała mocno zapuszczona przyczepa.

Im bliżej podchodzili, tym drzewa były rzadsze, a ziemia bardziej sucha, tak jak liczył.

Twardość fiuta zrobiła się bolesna, oddech stał się płytki, urywany. Ciekaw był, jak będzie. Obejrzał tysiące pornosów, więc wiedział wszystko ze szczegółami, jakie odgłosy temu towarzyszą, ale nie miał pojęcia, jakie to uczucie, kiedy fiut jest w cipie. Zaraz, zaraz się tego dowie.

– A jeśli ktoś tam mieszka – odezwała się i zakląła, potknąwszy się o gałązkę.

– Spoko, zaraz sprawdzimy – powiedział, zaciskając kciuki do białości.

Jeszcze chwila i będzie się pierdolił.

Podchodząc do przyczepy, poczuł coś dziwnego. Pewnie pleśń albo zepsuta kanalizacja. W tym momencie miał to gdzieś. Fiut był twardy jak kamień i żaden smrodek mu nie przeszkodzi. Jeszcze kilka sekund i będzie ją miał pod sobą.

Otworzył drzwi i wszedł do środka. Zaraz wybiegł i wymiotował. Kątem oka zobaczył, jak Lizette biegnie przez las, krzycząc coś o policji. Jej nowe białe reeboki lśniły w mroku między drzewami. Kurde. Nie będzie żadnego pierdolenia.

– O CHOLERA, FUJ!

Christer splunął na ziemię. Jeden z obecnych na miejscu techników kryminalistyki spojrział na niego surowo i Christer przepaszającym gestem podniósł obie dłonie.

– No tak. Nie wyglądał zbyt świeżo... – stwierdził ponuro Ruben.

– Rzeczywiście, trudno uwierzyć, żeby pan Rask mógł kogokolwiek zabić w ciągu ostatnich paru miesięcy; ani Roberta, ani nikogo innego – powiedział Christer, łykając ślinę, bo znów mu się odbiło.

Drzwi do przyczepy były otwarte, woń zgnilizny wisiała ciężko nad polanką.

– Nic dziwnego, że go nie znaleźliśmy – zauważył Ruben, kręcąc głową. Ale... – W jego oczach pojawiła się iskra nadziei. – Ale mógł zostać zamordowany przez tego drugiego mordercę!

– To nie ty marudziłeś na temat najprostszycy rozwiązań?

Christer odszedł kilka kroków, żeby nie zawadzać technikom w ich szeleszczących całościowych kombinezonach, i wszedł prosto w kałużę. Patrzył teraz smętnie na swoje buty. Dostał je jeszcze od mamy, dobrze mu służyły przeszło dziesięć lat i nie wyglądały na bardzo zniszczone. Mama zawsze kupowała rzeczy w dobrym gatunku, żeby były trwałe. Ale ten cholerny las okaże się chyba ich łabędzim śpiewem.

– Zobaczmy jeszcze, na co umarł – odparł Ruben, wciąż z nadzieją.

Obok przystanęła młoda ładna kobieta z ekipy techników, miała jaskrawoniebieskie włosy.

– Dopóki Milda nie zrobi sekcji zwłok, nie będzie wiadomo na pewno, ale wygląda na to, że Jonas Rask umarł wskutek przedawkowania, i to jeszcze zimą – powiedziała.

– Innymi słowy, na pewno przed zamordowaniem Roberta – mruknął Ruben i odchrząknął. – Na ile jesteś przekonana co do przyczyny śmierci?

– Wenflon tkwił jeszcze w ramieniu – odparła.

– Nabrał tych zwyczajów w mamrze – dodał Christer.

Nie mógł odżałować butów, w dodatku wilgoć dotarła właśnie do skarpetek. Od lat nie obcował z naturą w ten sposób i jakoś nie miał ochoty na więcej.

– Kto by nie nabrał, w końcu odsiedział dwadzieścia lat – skomentował Ruben i zadygotał.

Dzień był właściwie ciepły, jednak wilgoć i mrok w lesie wpłynęły na obniżenie temperatury. Za to sama przyczepa stała w palącym słońcu przez całe lato, co na pewno przyczyniło się do widoku, jaki zastali w środku.

Zwłoki zostały teraz zabrane w czarnym worku zamkniętym na suwak. Kilka kropli przeciekło przez suwak i smród uderzył w ich stronę z całą siłą. Christer zatkał nos, ale i tak musiał walczyć z mdłościami. Z zadowoleniem stwierdził, że również Ruben pozieleniał na twarzy. Nie dało się wjechać do lasu żadnym wózkiem, więc worek ze zwłokami został odniesiony na noszach. Mildę czekało mało przyjemne zadanie. Również technicy mieli przed sobą sporo roboty w przyczepie.

– No tak. To tyle – powiedział Ruben i ruszył wielkimi krokami w stronę drogi, gdzie zostawili auto.

Czekał tam na nich Bosse. Przy odpowiednio uchylonym oknie i ze sporą miską wody na podłodze. Na pewno ucieszy się z ich powrotu. Christer westchnął nad stanem rzeczy. Zniszczone buty, przemoczone skarpety – i kolejny trop prowadzący w ślepią uliczkę.

BOŻE, JAK ona nienawidziła urlopu. W języku szwedzkim było niewiele słów, których nie lubiła równie mocno, podobnie jak tego, że jest do czegoś zmuszana. Urlop.

– Potrzebujecie trochę wakacji, tak samo jak inni – oznajmiło kierownictwo. – Jest sierpień. Odpocznijcie. W gmachu są jeszcze inni dochodzeniowcy, mogą przez tydzień czy dwa dopilnować spraw.

Mina postrzegala to inaczej. Ich zespół został powołany z określonego powodu, a więc nie po to, żeby teraz szli na urlop. Miała w związku z tym silne podejrzenie, że to gorliwe wysłanie na urlop przez kierownictwo jest pierwszym krokiem do przełączenia ich w stan spoczynku, czyli rozwiązania zespołu. Nie zamierzała na to pozwolić.

Tyle pracy, a nawet nie udało im się zlokalizować Jonasa Raska. Wydawało się, że to powinno być całkiem proste. Osoby wychodzące z długiej odsiadki były zazwyczaj łatwe do odnalezienia. Ukrywanie się przed policją wymagało odpowiednich zasobów i sprytu. A to, że przyzwyczajenie jest drugą naturą człowieka, działało na korzyść policji. Jednak szukanie w dawnych ulubionych dziuplach Raska nic nie przyniosło, tak samo jak szukanie jego przyczepy. Trzeba było do tego piętnastolatka spragnionego seksu.

Po prostu katastrofa.

Musi się bardziej postarać, ale potrzebuje do tego jakiegoś konkretnego. Mina cofnęła się o krok i spojrzała na swoje dzieło. Jediną zaletą wymuszonego urlopu było to, że mogła w ciszy i spokoju przejrzeć wszystko, co było związane ze sprawą, i nikt z kolegów jej w tym nie przeszkadzał. Chociaż szkoda, że nie mogła spotykać się z Vincentem. Od dwóch tygodni miał cykl wykładów, w większości nawet nie w Szwecji. Prawie nie bywał w kraju od czasu, jak poszli z wizytą do Anny, Dziewczyny z delfinem. Może i dobrze. Po części dlatego, że raczej nie wyobrażała sobie, aby Anna prześladowała go za granicą. Pieniądze wydawała chyba głównie na nowe tatuaże. Drugi powód był taki, że Mina wciąż nie była pewna, czy jest gotowa rozmawiać z nim o sytuacji, kiedy był u niej w domu. Może wkrótce, ale jeszcze nie teraz.

Jedną dłuższą ścianę pokoju pokryły przyklejone papiery i zdjęcia. Mina pozwoliła sobie również pisać i rysować na niej flamastrami. Łatwo to potem zamaluje. Wprawdzie słyszała, że akurat flamaster wymaga trzech warstw farby, ale i tak co jesień malowała całe mieszkanie delikatną szarą farbą, bo po roku trochę ciemniała, na pewno od brudu, który przyklepał się do ścian, choćby je nie wiem jak myła.

Nie przejmowała się tym, że tylko ona widzi to ciemnienie ścian. A gdyby miała być szczerą, pewnie też nie widziała. Ale wiedziała. Poza tym uważała, że samo malowanie ma efekt terapeutyczny. Bo, rzecz jasna, wykonywała je samodzielnie. Nie było takiej możliwości, żeby wpuściła do swojego mieszkania rzemieślnika w brudnych ogrodniczkach.

Tuva. Agnes. Robert.

Patrzyli na nią pusto ze ściany. Takie same zdjęcia jak te w pracy. Tamte zdjęcia, zrobiła odbitki i przyklepiła z powrotem. A potem w domu dodała kolejne elementy. Kartki. Zdjęcia. Rysowała połączenia, zaznaczała kółkiem i podkreślała to, co uważała za najważniejsze.

W jednym rogu zrobiła listę rzeczy, które ewentualnie mogły łączyć ofiary. Było to całe morze słów i kontekstów zanotowanych bezpośrednio na ścianie. Dentysta. Szkoła. Sklep spożywczy. Pokrewieństwa. I jeszcze kilkanaście innych słów. Gdyby ludzie wiedzieli, jak łatwo jest dokumentować schematy ich zachowań. Facebook. Instagram. W niektórych przypadkach trochę zgadywania i telefonów dla potwierdzenia. Jeśli tylko znajdzie, co ich łączy, zbliży się do ustalenia prawdy, wiedziała to.

Jednak do tej pory nic nie przyniosło rezultatu. Wydawało się, że ofiar nie łączy zupełnie nic. Zero.

Zniecierpliwiona, pociągnęła za swój koński ogon. W następnym momencie puściła go i sięgnęła po alkożel. Wycisnęła sobie porządny kleks i energicznie wtarła w ręce. Cofnęła się o krok, żeby spojrzeć na cały ten kolaż. Przeniosła wzrok w prawo. Kolumna Vincenta. Z oczywistych względów sprawdziła również wszystko co się dało na jego temat. Szczególnie że został osobiście zamieszany w sprawę. Ale już w marcu zdecydowała się zaufać jego osądowi, chociaż w zasadzie nie wiedziała o nim wiele więcej niż to, co przeczytała w Wikipedii. Trochę to było nieodpowiedzialne, uznała teraz, chociaż całe szczęście, że to zrobiła. Luki w wiedzy na temat Vincenta Waldera uzupełniła w ciągu ostatnich kilku tygodni. W porównaniu z pozostałymi postaciami ze ściany wciąż jej brakowało różnych informacji, ale przecież nie był ani ofiarą, ani podejrzanym.

Jeszcze.

Spojrzała na portret Vincenta, był to reklamowy fotos z jego przedstawienia. Znała go od niecałych sześciu miesięcy, ale wydawało się, że znacznie dłużej. Tak dobry kontakt z kimś innym zdarzał jej się bardzo rzadko. Po raz pierwszy od...

Szybko odsunęła od siebie te myśli i zmusiła się do skupienia na Vincencie. Patrzył ze zdjęcia prosto na nią. Chwilami miała wrażenie, jakby wodził za nią wzrokiem po pokoju.

Przejrzała wszystkie okoliczności dotyczące Vincenta, podobnie jak w przypadku tamtych osób. I tak samo przekopywała się słowo po słowie przez informacje zapisane na ścianie. Dzięki czemu dowiedziała się o nim więcej. Do jakiego dentysty chodzi. Gdzie robi zakupy spożywcze. Gdzie się wychował. Udało jej się nawet zdobyć jego zdjęcie klasowe z początków szkoły podstawowej. Wszystko to dzięki firmom, które wyspecjalizowały się w digitalizacji starych zdjęć, oferowanych potem online. Miała to zdjęcie na biurku. Vincent był na tym zdjęciu wręcz prześliczny, miał słodką szczelinę po zębie, bardzo widoczną, bo był szeroko uśmiechnięty.

Mina nie znosiła szkolnych zdjęć. I swoich koleżanek i kolegów z klasy. Wszystkich oprócz jednej jedynej Pii, jej najlepszej przyjaciółki. A więc w ostatnich klasach szkoły podstawowej, które były dla niej najgorszym okresem, przekreślała, nie patyczkując się, wszystkie twarze. I nazwiska.

Wszystkie nazwiska znajdowały się zawsze pod zdjęciem z oznaczeniem konkretnych rzędów. I zawsze było jedno nazwisko bez właściciela, który był nieobecny. Vincent i Mina pochodzili z zupełnie różnych części Szwecji, a różnica wieku między nimi wynosiła przeszło dziesięć lat, a jednak ich zdjęcia klasowe były bardzo podobne. Przez chwilę pomyślała o Pii, ciekawe, co dzisiaj robi. Ich przyjaźń trwała długo, aż do dorosłości. Potem Pia nie mogła pojąć życiowych wyborów Miny. A więc ich drogi się rozeszły. Od tamtej pory Mina nie zyskała nowych przyjaciół. Przyjaciele się narzucają. Za dużo od ciebie chcą. Zadają za dużo pytań. Domagają się uwagi i zainteresowania. Mina nie miała siły angażować się w jakiegokolwiek relacje. Tak było, zanim poznała Vincenta. Powstało pytanie, czy na pewno chce mieć go w swoim życiu. Przecież stworzyła sobie egzystencję, która się sprawdziła. Utrzymywała wszystkie jej elementy na miejscu. Tymczasem Vincent je poruszył, narzucał się, czego dowodem była ułożona kostka Rubika na jej stole.

Mina westchnęła, odwróciła się i już wychodziła z dużego pokoju, kiedy zadzwoniła jej komórka. Z wyświetlacza wynikało, że to Christer.

– Cześć, cześć. Chcieliśmy się tylko dowiedzieć razem z Bossem, jak ci jest... na urlopie – powiedział, akcentując to ostatnie z lekką irytacją. – Bosse jest dzisiaj trochę oklapnięty, więc siedzimy w domu.

Najwyraźniej Christer też nie był do końca zadowolony z wymuszonego urlopu. Mina wciąż nie mogła się przyzwyczaić do nowego, pogodnego Christera. Który w dodatku kocha zwierzęta. Znała go, odkąd pojawiła się w gmachu policji, i nigdy nie widziała, żeby się uśmiechnął choćby do złotej rybki.

– Ty wszystko robisz razem z tym psem? – spytała.

– Ruben też mnie o to spytał. Bosse nie lubi być sam, potrzebuje mojej obecności, lubi stałość i poczucie bezpieczeństwa. Ale to oczywiście trudne do pojęcia dla kogoś, kto nigdy nie musiał się zająć czymś, co byłoby bardziej skomplikowane od juki.

– Co?

– Chodziło mi o Rubena. Z tą palmą. Nie o ciebie – dodał szybko Christer.

Mina spojrzała na ścianę ze wszystkimi zdjęciami i notatkami. Jej urlop. Miała go okłamać, że jest w jakiejś winnicy w Toskanii, na zakupach w Nowym Jorku albo na plaży w Las Palmas?

– Kiedy pytałem o twój urlop, miałem, rzecz jasna, na myśli dochodzenie – ciągnął Christer.

Mina poczuła się jak przyłapana z ręką w torbie ze słodyczami.

– Tak łatwo mnie przejrzeć? – spytała.

– Tylko dla tego, kto patrzy. Ja też nie mogę powiedzieć, żebym żeglował po Archipelagu Sztokholmskim.

– Szczerze mówiąc, nie mogę posunąć się naprzód – westchnęła. – Zaczęłam nawet sprawdzać rodziców ofiar. I też niczego nie znalazłam. Mieszkają w różnych miejscach kraju. Zawody też różne. Nie są spokrewnieni. Wyszukuję różne rzeczy, mniejsze i większe, i ciągle nie znajduję niczego, co by ich łączyło. W tej chwili moją największą nadzieją jest to, że morderca dał za wygraną.

Usiadła na biurku i musiała odsunąć zdjęcie klasowe Vincenta, żeby go nie pognieść.

– A związki z Hallandem też nic nie dały? – spytał Christer, podczas gdy Bosse się rozszczękał. – Przepraszam, tylko dam mu jeść.

Głośny stukot suchej karmy o blaszaną miskę zmusił ją do odsunięcia telefonu od ucha. Po chwili do jej uszu dotarło głośne rozgryzanie chrupków przez szczęśliwego psa. Bosse nawet w zwyczajnych okolicznościach był radosny aż do przesady, wołała nie myśleć, jaki jest, kiedy dostaje jeść.

– Jakie związki z Hallandem? – spytała, kiedy Bosse się trochę uspokoił.

– Związki to może za mocne słowo, ale przyznasz, że to ciekawy zbieg okoliczności.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

Christer westchnął głośno.

– O Boże. No tak, mnie to też zabrało chwilę, ale kiedy już to zauważyłem, to... Wydawało mi się, że ci mówiłem, ale może nie...

– Christer – zniecierpliwiała się Mina. – Wal wreszcie. O czym ty mówisz?

– No więc ojciec Agnes jest z Hallandu, zresztą słyhać po tym, jak mówi – wyjaśnił. – A rodzice Roberta wspomnieli, że ojciec działał w przemyśle serowarskim, co się od razu kojarzy z zakładami Kvibille. Które znajdują się w Hallandzie. A co do Tuvy... Jej dziadek jest ornitologiem amatorem, w domu ma na ścianie wielką planszę z ptakiem symbolem Hallandu. To sokół wędrowny. Wszystko to jest w moich raportach. Myślałem, że ten związek jest tak oczywisty, że nikt nie mógł go przeoczyć.

Mina wyobraziła sobie zadowoloną minę Christera. Niestety będzie musiała ściągnąć go z tego piedestału.

– Czy dziadek Tuvy miał również plansze z innymi ptakami?

– Może – przyznał niechętnie Christer.

– A ile jest w Szwecji zakładów serowarskich? Przecież Kvibille nie jest jedyny.

– Okej, okej. Zastrzel mnie. Może ten związek nie jest jasny jak słońce, ale takie mam przeczucie. Wydaje mi się, że są z Hallandu. O ile to ma jakieś znaczenie. No dobra, muszę kończyć, Bosse chce pooglądać telewizję.

Mina nie zamierzała pytać, skąd Christer to wie ani co ewentualnie ogląda pies. Serial o ostrym dyżurze dla zwierząt? A może program przyrodniczy? Albo ten film *Mój przyjaciel Hachiko* z Richardem Gere'em? Jakoś nie widziała Christera w roli Richarda Gere'a.

Co to ona robiła, kiedy zadzwonił Christer... No właśnie, kawę. Zeskoczyła z biurka, odłożyła komórkę i zrobiła krok w stronę kuchni. A potem zawróciła w pół kroku. Spojrzała na kolaż. Na nowe zdjęcia, których żaden z kolegów nie widział. Podniosła zdjęcie leżące na biurku i przyjrzała się nazwiskom. Odwróciła, przeczytała.

Mogłaby ucałować Christera. Miał rację co do tego Hallandu. Tylko że popełnił typowy męski błąd, skupiając się wyłącznie na mężczyznach. A rozwiązanie było zupełnie inne.

Już wiedziała, jaki to związek.

Wreszcie wiedziała, jaki to związek.

DYWANIK W PRZEDPOKOJU u Miny nie zrobił się większy od ostatniego razu. Vincent zdjął jeden but i balansując na jednej nodze, usiłował zdjąć drugi. Bał się być pierwszym, który zostawi ślad buta na klinkierowej podłodze. Zachwiał się i oparł ręką o drzwi.

Mina spojrzała na tę rękę, ale odwróciła wzrok, kiedy się zorientowała, że zauważył. Wiedział, że Mina już wyobraża sobie tłuste plamy po palcach na drzwiach, i ciekaw był, jak długo wytrzyma, zanim je zdezynfekuje. Uprzedził ją, wydając z kieszeni paczkę nawilżanych chusteczek i wycierając drzwi. Potem spojrzał na tę paczkę i udał zmartwionego.

– Czekał – powiedział. – Przecież te chusteczki są używane. Przetarłem nimi poręcze w metrze.

Przez mgnienie oka na twarzy Miny pojawił się wyraz przerażenia.

– Ha, ha – powiedziała, uderzając go w ramię, ale na tyle mocno, żeby do niego dotarło, że wcale jej to nie ubawiło. – Witamy po powrocie do Szwecji. Pozbierałaś się po spotkaniu z twoją stalkerką Anną? Zauważyłam, że jej nie zahipnotyzowałaś, żeby o tobie zapomniała, ani nic takiego. Może ci to jednak pochlebilo, co?

Vincent tylko patrzył na nią. Ta historia wyraźnie rozbawiła ją bardziej niż jego. Starał się zapomnieć o tatuażu z sercem, chociaż jego obraz pojawiał mu się pod powiekami w najbardziej nieodpowiednich chwilach.

Przesunął dłonią po twarzy i wszedł za Miną do dużego pokoju. Mieszkanie było wysprzątane równie starannie jak poprzednim razem. Porządek zakłócał tylko chaos na jednej ścianie dużego pokoju. To było coś nowego. Na podłodze leżało kilka obrazów. Domyślił się, że zostały zdjęte, żeby zrobić miejsce dla tego wszystkiego, co teraz znajdowało się na ścianie. Dokumentów i zdjęć, do których Mina miała dostęp w ramach dochodzenia. Kilku z nich przedtem nie widział. Wszystko było zalaminowane w plastik.

– To się już zdarzało – powiedział. – Mam na myśli stalkerów. Tyle że nie w tak skrajnej formie. Najczęściej stalkują znudzone gospodynie domowe albo

młodzi ludzie o zaburzonej tożsamości, którzy z jakiegoś powodu sądzą, że wszystkie ich problemy rozwiążą się, jeśli tylko będą ze mną.

– Proszę, jaki casanova.

– Wcale nie. Gdyby nie trafili na mnie, projektowaliby swoje uczucia na kogoś lub coś innego. Przypadek Anny jest nieco odmienny. W odróżnieniu od większości tamtych osób ona nie zadowala się fantazjowaniem. Wydaje się, że pomoc może tylko utrzymywanie jak największego dystansu między mną a nią. Z pomocą policji, gdyby było trzeba.

– Prosisz mnie, żebym cię ochraniała? – Mina uśmiechnęła się.

– Już to robisz.

– Ruben byłby zachwycony, gdyby dowiedział się o Annie – zaśmiała się.

– Wiem. A więc co ty na to, żebyśmy zachowali to dla siebie?

Vincent spojrzał ponownie na ścianę. Nigdy nie rozumiał, czemu miało służyć to przypinanie do ściany, co robią we wszystkich serialach kryminalnych, poza tym, że fajnie wygląda w filmie. Jednak teraz, patrząc na ścianę Mina, nagle zrozumiał. Chodzi o sporządzenie mapy skojarzeń, tyle że od drugiego końca. Zamiast wyjść od centralnej myśli i tworzyć odgałęzienia, ona już miała te odgałęzienia. I teraz szukała tego, co je łączy. W środku znajdowało się zdjęcie. Vincent podszedł i kiwnął głową, wskazując je.

– Czy to jest...?

– Dlatego zadzwoniłam – odparła.

Jej głos nie zabrzmiał pewnie. Jakby się obawiała reakcji Vincenta. Nie musiał przyglądać się dokładnie, żeby wiedzieć, co przedstawia to zdjęcie, widział je wiele razy. Wprawdzie dawno temu. Bardzo dawno temu. Wyciągnął rękę, żeby zdjąć zalaminowane zdjęcie ze ściany, ale powstrzymał się, kiedy Mina głośno zaczerpnęła tchu. Powinien pamiętać. Za ich plecami na biurku leżało pudełko z jednorazowymi rękawiczkami bawełnianymi. Vincent wyjął jedno, włożył i znów sięgnął po zdjęcie. Tym razem nie było jej reakcji.

Zdjęcie klasowe. Odwrócił je.

Z tyłu było napisane: *Szkoła w Kvibille, klasa 1b*. Odwrócił je ponownie. Ubrania dzieci zdradzały, że były to wczesne lata osiemdziesiąte.

– Ten w ostatnim rzędzie to ty, prawda? – Mina pokazała palcem uśmiechniętego chłopczyka z brakującym zębem, ukrytego częściowo za tęgą wychowawczynią.

Vincent kiwnął głową, z trudem to przełknął. Było to jedyne klasowe zdjęcie z Kvibille, na którym zdążył być, zanim się przeprowadził i zmienił szkołę. Jednak nie widział podobieństwa między chłopcem na zdjęciu a sobą z dzisiaj. Jak ten chłopiec mógł zostać nim? I czy to dobrze, czy źle, że sam siebie nie poznawał? Może nie chciał poznać samego siebie?

– Nie wiedziałam, że miałeś na nazwisko Boman – powiedziała Mina.
Przeczytał listę nazwisk pod zdjęciem.

Vincent Adrian Boman.

Boman. Dawno nie słyszał tego nazwiska.

– Walderowie byli moją rodziną zastępczą – powiedział. – Przyjąłem ich nazwisko. Przedtem nazywałem się Boman. Ale jak dotarłaś do mojego zdjęcia klasowego?

– Dzięki solidnej robocie policyjnej. Walderów znalazłam w ewidencji ludności. Było ich trochę, ale tylko jedna rodzina przyjęła sierotę o imieniu Vincent. W dokumentach opieki społecznej znajdowało się rodowe nazwisko chłopca, Boman, i informacja, że mieszkałeś przedtem w Kvibille. Dalej było już łatwo. Ale nie dlatego pokazuję ci to zdjęcie. – Mina wskazała jedną z jego koleżanek z klasy. – Ta dziewczynka nazywa się Jessica Widergård. To mama Roberta. Podobna do siebie. Od razu ją rozpoznałam z krótkich reportaży w wiadomościach.

Vincent zbladł. Długo patrzył na zdjęcie. Potem pokazał palcem dwie inne dziewczynki siedzące obok Jessiki.

– Były we trzy. Jessica, Maria i Charlotte, czyli Sickan, Malla i Lotta.

– Kolegowały się? – spytała Mina, otwierając szeroko oczy.

– Bardzo. Trzymały się zawsze razem. Jak siostry. A dlaczego pytasz?

– Bo Maria Bengtsson i Charlotte Hamberg to matki Agnes i Tuvy.

Zapadło milczenie, aż dzwoniło w uszach.

– Znałeś je? – odezwała się w końcu Mina.

– Sickan, Mallę i Lotte? – spytał bezbarwnym głosem. – No pewnie. W tamto lato po pierwszej klasie, z której jest to zdjęcie, często się bawiliśmy we czwórkę. Zanim zmieniłem szkołę.

Wspomnienia wypierane przez niego przez większą część życia natarły na niego z siłą walca. Jego warsztat magiczny w oborze. Zbudowana przez niego skrzynia z namalowanymi gwiazdami.

Mieli zrobić niespodziankę Jane.

Mama była tamtego dnia taka radosna.

Na zdjęciu dzieci stały po siedmioro w trzech rzędach. $7 + 3$ równa się 10. Zdjęcie zostało zrobione wiosną 1982. $1 + 9$ równa się 10. $8 + 2$ to również 10. $10 + 10 + 10$. Trzy boki trójkąta równobocznego. Jak tosty mamy. Też miały być równe. Jakkolwiek by się starał, każda myśl prowadziła go z powrotem do mamy.

Tylko pół minuty, najwyżej.

Pojechali rowerami, żeby się kąpać.

– Nie rozumiem. Powinienem od razu zareagować na ich nazwiska, gdyby były w którymś z raportów, ale chyba nigdzie ich nie widziałem. Nie rozumiem tego.

– Bo nie zostały ujęte w dochodzeniu. Charlotte umarła wkrótce po urodzeniu Agnes. Maria jest mamą Tuvy, ale wyjechała razem z mężem do Francji po ukończeniu przez córkę szesnastu lat i od tamtej pory nie była w Szwecji. W protokole została wymieniona mama Roberta, Jessica, ale nic dziwnego, że nie zareagowałeś, bo nie nazywa się Widergård, ponieważ po zamążpójściu zmieniła nazwisko, tak samo jak tamte dwie. I jak ty. W sensie, że zmieniłeś nazwisko.

Vincent wpatrywał się w zdjęcie. Jego dawne koleżanki. Lato, kiedy się razem kąpali. To znaczy one, bo on nie. Siedział i patrzył na jezioro. Poczuł, że cień z jeziora narastający od tamtego lata urósł do takich rozmiarów, że rozciąga się na teraźniejszość i gotów jest go pochłonąć.

– Tak czy inaczej – ciągnęła Mina – zdjęcie dowodzi, że matki ofiar się znały, a ty mi mówisz, że na dodatek znały ciebie. Że się razem bawiliście. To nie może być przypadek.

Przykucnęła przed nim i – nie do wiary – położyła dłonie na jego rękach. Była teraz bardzo poważna.

– Vincent, w jaki sposób jesteś zamieszany w tę sprawę?

– Ja? Ale... A muszę? Inni ludzie też je znali. Daj mi dziesięć minut, a udowodnię ci, że Maria, Jessica i Charlotte kupowały słodycze w tym samym sklepie. Albo jako nastolatki zadawały się z tym samym chłopakiem. Albo jako dorosłe pracowały w tym samym miejscu. Weźmiesz w krzyżowy ogień pytań wszystkich, którzy mogli je znać?

Mina wzdrygnęła się na ten atak, zabrała rękę. Nie chciał jej zranić, ale był zupełnie nieprzygotowany na to, co powiedziała. I na to, czego nie powiedziała. Na razie.

– Przepraszam. – Wyciągnął do niej rękę.

Nie wzięła jej.

– Masz rację – przyznał. – To nie może być przypadek, zważywszy na to, że wam pomagam w dochodzeniu. W odróżnieniu od ich ewentualnie wspólnych znajomych. Nie chciałbym tylko, żebyś sądziła, że mam z tym coś wspólnego, że wiem o czymś, czego nie mówiłem. Zwłaszcza po tej wiadomości w książce. Naprawdę nie mam pojęcia, co to wszystko znaczy.

Pokazał palcem zdjęcie.

– Chyba że... Myślisz, że to ja będę czwartą ofiarą? Albo mój syn Benjamin? Znajdziecie go zgniecionego w *Origami box* i z cyfrą jeden na czole?

Czuł się, jakby wyszedł z siebie i obserwował z zewnątrz. Jakby oglądał film.

Mina pokręciła głową.

– Wydaje mi się, że twoja rola w tym wszystkim polega na czym innym – powiedziała.

Podala mu zalaminowany arkusz z biurka. Wydruk z archiwalnego numeru „Hallandsposten”. Artykuł był na dwie kolumny, opatrzony wielkim sensacyjnym nagłówkiem z wykrzyknikiem. Jednak największą część strony zajmowało zdjęcie. Vincent widział je tylko raz, zanim jego zastępczy rodzice zdążyli wyrzucić gazetę. A jednak nigdy go nie zapomniał. Przedstawiało chłopca stojącego na podwórzu gospodarstwa. Nie było widać, co to za gospodarstwo, ale Vincent wiedział. Jakaś poważniejsza gazeta wybrałaby na pewno inne zdjęcie – albo nie zamieściłaby żadnego. Jednak redaktor „Hallandsposten” nie miał nic przeciwko publikacji wizerunków dzieci. Lata osiemdziesiąte. To były jednak inne czasy.

Za chłopcem widać było odgradzającą teren pasiastą taśmę policyjną. A za taśmą przed oborą wyłaniała się skrzynia wymalowana w gwiazdy.

Chłopiec patrzył prosto w obiektyw. W jego oczach zebrał się smutek i ból całego świata. Vincent znał to spojrzenie. To samo spojrzenie widział co rano, kiedy patrzył w lustro w łazience.

– Ilu spośród twoich kolegów już wie? – wyszeptał.

– Jeszcze żaden – odparła.

Milczała dłuższą chwilę, a potem spytała:

– Dlaczego nic nie powiedziałaś? Niech cię szlag. – Odchyliła głowę w tył i zamruła, ale w jej głosie dosłyszał płacz. – Co ja mam o tym myśleć, Vincent? Zaufałam ci.

– Mina, byłem wtedy tylko dzieckiem.

Łzy spływały jej teraz po policzkach, otarła je rękawem koszulki.

– Ja z zasady nikomu nie ufam – powiedziała. – Ale dla ciebie zrobiłam wyjątek. I skłoniłam tamtych, żeby też ci zaufali. Niech cię szlag, bo właśnie udowodniłeś, że miałam rację. Chyba rozumiesz, że kiedy opowiem tamtym, staniesz się naszym pierwszym podejrzanym?

Vincent patrzył w podłogę.

– A ty co podejrzewasz? – spytał. – Wierzysz, że ich zamordowałem?

Mina chlipnęła i pozbierała się. Spojrzała na niego wzrokiem zawodowca.

– Dobrze pytanie – odparła bezbarwnym głosem. – A zamordowałeś?

LETNI WIECZÓR był znacznie ciemniejszy, niż powinien. Chmury, nieobecne, kiedy jechał do Miny, teraz pokryły całe niebo. W każdej chwili mógł spaść deszcz. Vincent z największym trudem koncentrował się na jeździe, na szczęście ruch na drodze był niewielki. Ludzie jeszcze nie wracali ze spóźnionych urlopów. Mieli fart, zważywszy na to, jak jechał.

Jednak wcale nie miał ochoty wrócić zbyt szybko do domu. Po przyjeździe nie będzie miał potrzebnej mu psychicznej przestrzeni, żeby sobie przetworzyć to wszystko, co mu powiedziała Mina. Maria już mu zasygnalizowała esemesem, że Aston chce budować „gigantolbrzymi statek kosmiczny z lego”, co z przyjemnością scedowała na Vincenta. Czy też – jak napisała – „na was, chłopaki”. Maria mówiła zawsze, jak ważne jest dla niej równouprawnienie. Widocznie nie obejmowało budowania z synem z klocków. Vincentowi to akurat nie przeszkadzało. Maria nie wiedziała, co traci.

Tym razem postanowił jednak pojechać do domu okrężną drogą, żeby uporządkować myśli. Może by tak przejechać przez parking przy halach hurtowych, gdzie został znaleziony Robert. Może mu to uruchomi proces myślowy. Z drugiej strony źle by to wyglądało, że jedzie na miejsce zbrodni, gdy za chwilę sam zostanie podejrzanym. Mina zapewne zadzwoniła już do Julii, żeby jej wszystko powiedzieć. Ciekawe, kogo wyślą, żeby go zatrzymał. Christera? Nie. Jego nie. Rubena. Jasne, że poślą Rubena. Przed maską zaczął padać lekki deszczyk, Vincent włączył wycieraczki.

Informacje Miny były jak szuflada, którą należy opróżnić we właściwej kolejności. Trzeba zacząć od początku. Koleżanki z klasy. Maria, Jessica i Charlotte, czyli Malla, Sickan i Lotta. Jego przyjaciółki z dzieciństwa. Które potem zostały matkami Tuvy, Roberta i Agnes. Ale to nie musi znaczyć, że chodzi o niego. Chyba że...?

Padało coraz mocniej, Vincent podkreślił wycieraczki. Bębnienie deszczu o dach dało lekko hipnotyczny efekt, myśli ulatywały w różne strony, musiał się sprężyć, żeby je uszeregować w jakimś logicznym porządku.

A jeśli odkrycie Miny nie dotyczy wprost jego, co to znaczy? Czy ktoś morduje dzieci wszystkich uczniów jego dawnej klasy? Dlaczego w takim razie właśnie ich dzieci, a nie z klasy równoległej?

Nie, nie wszystkich dzieci. Odliczanie wsteczne pokazywało to wyraźnie. Będą tylko cztery morderstwa. A kiedy odliczanie dojdzie do zera, nastąpi coś szczególnego, Vincent był o tym przekonany. Coś, co łączyło akurat Marię, Jessicę i Charlotte. Może miały wspólnego wroga? Ale znów: gdyby miały wspólnego wroga, to one powinny być zamordowane, a nie ich dzieci, które się nawet nie znały.

A kim będzie osoba numer cztery, morderstwo numer jeden, jeśli to nie on? Bo mimo że wiadomość w książce była skierowana do niego personalnie, wciąż nie był gotów zaakceptować, że to on jest wspólnym mianownikiem. Co prawda dość krótko byli koleżeńską paczką. Jedno lato. Po jego wyjeździe na pewno znalazły kogoś innego. Innego kolegę albo koleżankę. Okres, jaki spędziły bez niego, był dłuższy od tego z nim. Aż tak ważne to nie było. Nie chciało mu się to poskładać.

Zresztą nie było już nikogo, kto znałby jego przeszłość. Po tym artykule jego przybrani rodzice zrobili wszystko, żeby ją pogrzebać. Wykonali kawał dobrej roboty. Vincent był szczerze zdziwiony, że Minie udało się to odkopać. Vincent Walder wtedy nie istniał. W Kvibille był tylko Vincent Boman.

Boman.

Boman.

Czekaj,

czekaj,

czekaj.

Wcisnął gaz do dechy i wjechał na rondo. Ktoś zatrąbił na niego wściekle. W tym momencie niebo otworzyło się i deszcz lunął z całą siłą. Nieważne. Nic nie było ważne. Poza datami. Już wiedział, co znaczą. Musi to jeszcze sprawdzić z Benjaminem, ale złamał kod. Miał przed oczami cyfry, jakby wisiały kilkadziesiąt centymetrów nad maską silnika i lśniły w deszczu, zamieniając się w litery. A to, na co się złożyły, napełniło go przerażeniem.

SIEDZIAŁA NA ZIMNEJ PODŁODZE i wpatrywała się w ścianę. Vincent ze zdjęcia gapił się na nią. Wydruk z gazety przyczepiła nad zdjęciem klasowym w samym środku jej pajęcznej sieci. W ręce trzymała kostkę Rubika, tę ułożoną przez Vincenta. Przekładała ją z ręki do ręki. Chciała pokręcić, ale nie miała pewności, czy potrafi odtworzyć układ. Jakby jeden lekki ruch mógł spowodować reakcję łańcuchową nie do zatrzymania, a każda próba przywrócenia stanu pierwotnego powodowałaby tylko coraz większy nieporządek. Zupełnie jak w jej życiu.

Siedmioletni Vincent Boman spoglądał na nią smutno ze ściany.

Zwierzyła mu się. Boże, był przy niej, kiedy spała.

Kostka wciąż latała z ręki do ręki.

Zaufała, zawierając mu część siebie. A on przez ten cały czas ją okłamywał.

Kostka przeleciała łukiem do drugiej ręki.

Gdyby jej chociaż wspomniał o tym. O tym, co stało się z jego mamą. Twierdził, że wyparł to, że nie pamiętał. Chciała mu wierzyć, ale nie wiedziała, czy jeszcze potrafi.

Dlaczego nie mogła poprzestać na swojej samotności? Żadna z tych rzeczy by się wtedy nie wydarzyła.

Spojrzała na kostkę i cisnęła nią o ścianę. Kostka trafiła małego Vincenta w czoło i rozpadła się na kawałki. Mina objęła rękami kolana i kołysząc się w tył i w przód, zapłakała cicho.

VINCENT WPADŁ bez pukania do pokoju Benjamina. Syn, który jak zwykle leżał na łóżku w słuchawkach i z laptopem na piersi, aż się wzdrygnął.

– Co ty wyprawiasz! – Benjamin zamknął laptopa. – Uważaj na moje książki na podłodze, zrobiłeś kałużę!

Miał rację. Vincent ociekał wodą spływającą na podłogę. Nie zwracając sobie głowy przebraniem się, wbiegł prosto do pokoju Benjamina. Mimo krótkiego odcinka między garażem a drzwiami wejściowymi do domu zdążył przemoknąć, a teraz kapło mu z nosa. Sięgnął po ręcznik wiszący na oparciu krzesła przy biurku, ale Benjamin go powstrzymał.

– Naprawdę lepiej nie.

Vincent cofnął rękę. Nie zamierzał pytać.

– Morderstwa – powiedział, ściągając kurtkę. – Wyświetl daty.

– Znowu – westchnął Benjamin, wygramolił się z łóżka i podszedł do biurka. – A wiesz, że szkoła się zaczęła? Mam sporo wykładów, powinienem się na nich skupić.

– Muszę zobaczyć przed sobą wszystkie daty – powiedział, nie zważając na słowa syna.

– A mógłbyś się wytrzeć? – odparł poirytowany Benjamin, odsuwając na bezpieczną odległość kilka pomalowanych figurek *Warhammer*. – Zamoczysz mi wszystko.

Vincent poszedł szybko do łazienki po ręcznik, podczas gdy Benjamin otworzył dokument w Excelu.

– Pamiętasz naszą pierwszą próbę rozszyfrowania kodu? – spytał Vincent, kiedy już wrócił.

– Masz na myśli, kiedy przełożyliśmy daty na litery? 1 to A, 2 to B i tak dalej. Najprostszy z szyfrów. Nigdzie nas to nie zaprowadziło.

– Powtórzmy to – powiedział Vincent, wycierając mocno włosy. – W kolejności numerycznej.

– Niech ci będzie, chociaż nie rozumiem po co.

Wywołał stronę ze zdjęciami Agnes, Tuwy i Roberta, gdzie były również daty i godziny ich śmierci.

– Pierwsze morderstwo, czyli tak zwane samobójstwo Agnes, nastąpiło 13 stycznia o godzinie 14.00 – powiedział Benjamin. – 13-1-14. Przełożone na litery to M-A-N.

Zamieniał cyfry na litery i jednocześnie mówił.

– Tuva została zamordowana w skrzyni z mieczami 20 lutego o godzinie 15.00. To się przekłada na T-B-O. A Robert został, według anonimowego telefonu do policji, pocięty 3 maja o godzinie 14.00. Czyli 3-5-14, co daje C-E-N.

Podstawił ostatnie cyfry i odsunął się od biurka razem z krzesłem, żeby Vincent mógł spojrzeć.

– M-A-N-T-B-O-C-E-N. To wciąż nic nie znaczy. Ale to już wiedzieliśmy.

– Nie znaczy, bo to kolejność, w jakiej zostały popełnione morderstwa – stwierdził Vincent, stając na ręczniku, żeby zminimalizować kałużę. – Kolejność chronologiczna. Ale kolejność liczbowa jest odwrotna. Agnes została oznaczona cyfrą cztery, Tuva trójką, a Robert dwójką. Ustaw je w porządku numerycznym, czyli dwatrzycztery. Robert-Tuva-Agnes.

Benjamin zamienił miejscami Roberta i Agnes na ekranie i spojrzął na powstałą kombinację liter.

– C-E-N-T-B-O-M-A-N. I tak nie rozumiem – powiedział, marszcząc czoło. – To nadal bzdury.

– W żadnym razie – zaproponował Vincent. – Mówi nam, kiedy nastąpi następne morderstwo, morderstwo numer jeden. 22 września o godzinie. 14.00. Za miesiąc.

Benjamin spojrzął na niego ze zdumieniem.

– Jak do tego doszedłeś?

– Bo 22 września o godzinie 14.00 to inaczej 22-9-14. Czyli litery V-I-N. Morderstwo numer jeden będzie pierwszym w kolejności, przed tamtymi. Nie widzisz?

Zniecierpliwiony sięgnął nad synem do klawiatury i wpisał litery V-I-N przed tamtymi. Zamoczył klawisze, ale co tam.

– Jeden, dwa, trzy i cztery. Cztery morderstwa – powiedział.

Na ekranie wyświetliło się V-I-N-C-E-N-T-B-O-M-A-N.

– Vincent Boman to moje prawdziwe nazwisko. Te morderstwa to od samego początku komunikat skierowany do mnie.

ŻE TEŻ CI NIEDZIELNI kierowcy na trasie przez Essingen nie mogą się nauczyć, żeby nie zajeżdżać drogi. Ruben wrzucił dwójkę, redukując bieg. Wprawdzie był akurat czwartek, ale jednak. Co oni mają do roboty na drodze? Znow wrzucił trójkę i zastanawiał się, czy dociskając gaz, dojdzie do czwórki. Jednak nie wyglądało to najlepiej. Biała toyota auris właśnie zmieniła pas i zablokowała mu szybszą jazdę.

– Dobra, Ellinor – przemówił do auta. – Będziesz musiała się trochę uspokoić.

Wyobraził sobie, że silnik zawarczał ze złości. W odróżnieniu od prawdziwej Ellinor auto go nigdy nie zawiedzie, w życiu mu nie oznajmi, że ma go dość. Przesunął palcami po rancie nad deską rozdzielczą, odnotował, że jest kurz. Trzeba będzie posprzątać.

Nie, powinien teraz znajdować się na Autobahn, oto co powinien. Tymczasem zaś jest w drodze do gmachu policji. Zbyt długo trwa ten zastój w dochodzeniu. Wszystkie dotychczasowe tropy okazały się ślepyimi uliczkami. Najwyraźniej ktoś zaczął się przyglądać ich niewiele wnoszącym ustaleniom. Ruben nie był pewien nawet tego, czy ich tak zwany zespół specjalny jeszcze istnieje formalnie. Poprzedni koledzy pewnie śmieją się z jego niekompetencji. To żenujące, że w przewidywalnej przyszłości będzie kojarzony z głośną i nierozwiązaną serią morderstw. A to, co się teraz wydarzyło, było kroplą, która przepełniła czarę goryczy. Ten niby czarodziej Vincent Walder zwołał znow zebranie. Przecież to cywil. I bajerant. Nie ma prawa zwoływać zebrania policyjnego zespołu. W dodatku w samym środku urlopu.

Wzburzony Ruben położył rękę na leżącej obok brązowej kopercie, upewniając się, że wciąż tam jest. Przyszła do niego pocztą. Bez nadawcy. Przeczytał jej zawartość i najpierw go zatkało, potem zaczął się śmiać, a na końcu się wkurzył. Ktokolwiek mu to przysłał, najwyraźniej wiedział o udziale Vincenta w dochodzeniu.

To, co znalazł w tej kopercie, przedstawiało zupełnie nowy obraz mentalisty. Ruben wiedział już, że Vincent oszukał ich wszystkich. Najwyraźniej jednak

mentalista uważał, że to nie wystarczy, chciał jeszcze ogłupić ich do reszty. I o to chodzi z tym zebraniem. Ruben był o tym absolutnie przeświadczony. Pierdolony Vincent Walder. A Ruben już zaczynał uważać, że facet jest okej. Uwierzył, że Vincent chce mu pomóc. Nigdy mu tego nie wybaczy.

Znów dotknął koperty na siedzeniu obok.

– Vincent Walder, *you are going down* – powiedział z determinacją i wcisnął gaz.

Niech się w końcu ruszy ta toyota z przodu.

RUBEN PRZYSZEDŁ do salki konferencyjnej jako pierwszy. Wybrał sobie krzesło naprzeciw tablicy, gdzie przypuszczalnie Vincent zrobi swoją prezentację. Ruben będzie go miał przez cały czas na celowniku.

Chwilę po nim wszedł niespiesznie Peder, którego zdołało coś, co dałoby się określić jako całkiem obfitą brodę. Od początku swego urlopu chyba nawet nie spojrzął na maszynkę do golenia. W dodatku był zaskakująco opalony i ożywiony. Zdziwienie Rubena musiało być widoczne, bo Peder mrugnął do niego.

– Przez dwa tygodnie mieszkaliśmy u moich rodziców. – Uśmiechnął się radośnie. – W tym momencie życie jest piękne. To coś niebywałego, co dwoje żywych sześćdziesięciolatków może zrobić dla naszego zdrowia psychicznego. W każdym razie dla mnie i Anette. Pewnie minie kilka lat, zanim znów będą gotowi nas zaprosić. Tata wyglądał na lekko wycieńczonego, kiedy ostatni raz zmieniał pieluchy dzieciom. Za to ja nawet zacząłem czytać książkę. No, prawie, w każdym razie zacząłem się zastanawiać, co by tu poczytać.

Peder usiadł obok Rubena, w tym samym momencie weszli Christer i Mina. Byli pochłonięci rozmową. Mina miała zaczerwienione oczy, jakby płakała. Chyba że również do twarzy zaczęła używać wysuszającego alkożelu, co by go nie zdziwiło.

– Słowo – mówił Christer. – To żaden problem. Jak już mówiłem, opiekuję się nim z największą przyjemnością. Nawet mu kupiłem ładniejszą smycz, z ozdobnymi kamieniami. Rzecz jasna, nie są to żadne brylanty, ale ładnie się mienia, kiedy idziemy na spacer.

– Będę ci winna całą moją roczną pensję, jak to się skończy – westchnęła Mina i usiadła obok Pedera.

Christer roześmiał się i usiadł z drugiej strony Rubena.

– Jaki ładny naszyjnik, Mina – odezwał się Peder. – Chyba widziałem w reklamach w telewizji, to taka magnetyczna zawieszka, tak?

– Aleś ty uważny – odezwał się Christer i znów się roześmiał. – Czyżbyś się wyspał?

– Tak, wystarczyło kilka godzin głębokiego snu, żeby wróciła zdolność koncentracji.

– To prezent – odparła oschle Mina.

Ruben domyślił się, że Mina z jakiegoś powodu nie ma ochoty rozmawiać na ten temat. Jednak Peder był tak zachwycony swoją odzyskaną żywością umysłu, że nie wyłapywał sygnałów.

– Myślałem, że Vincent przyjdzie razem z tobą – odezwał się Ruben, chcąc zmienić temat, zanim Peder spyta o coś jeszcze w związku z naszymi przyjaciółmi.

– A to dlaczego? – spytała Mina równie oschle jak przedtem. – Przecież nie mieszkamy razem.

– Czasem się człowiek zastanawia.

Mina zmarszczyła czoło i spojrzała ze złością. Najwyraźniej Vincent już nie cieszył się u niej większą sympatią. Zawsze coś. Ruben miał właśnie powiedzieć kilka starannie dobranych słów na temat tego całego mentalisty, kiedy weszła Julia z Vincentem.

– Dobrze, że wszyscy już są – powiedziała. – No to zaczynamy.

Julia miała na sobie letnią sukienkę kończącą się nad kolanami. Może niezbyt odpowiednią dla szefowej policyjnego dochodzenia, ale ona również musiała wziąć urlop. Zresztą Ruben nie miał zamiaru narzekać. Z łatwością wyobraził sobie pozostałą część tych wytrenowanych nóg aż po pupę. Przecież wiedział dokładnie, jak wyglądała pod spodem. I – kurde – chyba włożyła stringi. Wystarczyłoby tego na bardzo przyjemne fantazje aż do końca zebrania, ale Vincent wszystko zepsuł. Stał i udawał zdenerwowanego. Zarozumialec jeden. Ale nie ma pośpiechu. Ruben poczeka na właściwy moment. Ta rozmowa telefoniczna była na pewno pułapką, Vincent próbował go podejść, żeby sprawdzić, ile Ruben wie tak naprawdę.

– Nie powinniśmy zaprosić facetów, którzy teraz prowadzą to dochodzenie? – spytał. – Bo oficjalnie chyba nie wróciliśmy z tak zwanego urlopu?

– Chciałem najpierw powiedzieć to wam – odparł Vincent, kręcąc się w miejscu. – Im mniej osób będzie wiedziało, tym lepiej.

– Czy to ma coś wspólnego z osobą z AA, która podpowiedziała Vincenta? – spytał Ruben.

– Nic nam nie dał kontakt z nią – odezwała się Julia. – Okazało się, że jest to po prostu fanka Vincenta. Nic jej nie było wiadomo o książce.

– O Boże.

– Nie ma co owijać w bawełnę – powiedział Vincent. Chrząknął. – Cały czas mówiłem, że te morderstwa są same w sobie jakimś kodem albo informacją. Otóż znaleźliśmy go. Przez cały czas mieliśmy go przed oczami.

Na tablicy napisał *Agnes-Tuva-Robert*.

– To kolejność, w jakiej te morderstwa zostały popełnione – powiedział, wskazując na imiona ofiar. – Jednak gdyby wziąć pod uwagę numerację na zwłokach, porządek będzie ten.

Starł imiona i napisał je w kolejności *Robert-Tuva-Agnes*. Następnie dopisał znak zapytania przed imieniem *Robert*.

– Pytajnik symbolizuje morderstwo numer jeden. Ostatnie według wstecznego odliczania. Ale pierwsze w porządku numerycznym. Jeśli przełożymy dzień, miesiąc i godzinę popełnienia morderstw na litery, gdzie jeden to A, dwa to B i tak dalej, wyjdzie nam to.

Pod imionami narysował kreskę i w nowym rzędzie pod spodem napisał CEN-TBO-MAN.

– To daje nam dwa elementy ważnej informacji – ciągnął. – Po pierwsze, datę następnego morderstwa. To dobrze. Ale jeśli to się zgadza, wskazuje również na mnie w sposób, którego niestety nie potrafię wytłumaczyć.

Vincent chrząknął ponownie, był wyraźnie zakłopotany. Dobry aktor, mógł ewentualnie przyznać Ruben. Zamierzał mu pozwolić na kontynuowanie tego małego przedstawienia.

– Jeszcze jedno – dodał Vincent. – Kiedyś nosiłem nazwisko Boman.

Napisał VIN- pod cyfrą jeden, tak by znalazło się przed pozostałymi literami na tablicy.

VIN-CEN-TBO-MAN. Ruben zaśmiał się cicho. Musiał przyznać, że jest pod wrażeniem. Nie przypuszczał, że Vincent odważy się posunąć aż tak daleko. Do tego trzeba mieć jaja ze stali. Albo manię wielkości.

– Przecież tam jest napisane Vincent Boman! – wykrzyknął Christer, sekundę po tym, jak pozostali obecni uzmysłowili sobie to samo. – Co, do jasnej...?

– Założywszy, że mam rację – powiedział Vincent, nie zwracając uwagi na Christera – ostatnie morderstwo nastąpi 22 września o 14.00. Ponieważ 22-9-14 odpowiada literom V-I-N.

– Urodziny Anette! – zawołał Peder, podejrzanie rozespany.

Chyba właśnie stracił wigor, którego nabrał po dwóch tygodniach odpoczynku. Koledzy zagapili się na niego.

– No tak. Moja żona ma urodziny 22 września – powiedział, czerwieniąc się.

– A ja mam wtedy ważną wizytę u lekarza – dopowiedziała Julia ironicznie.

– Ale nie rozumiem – ciągnął Peder – dlaczego daty morderstw układają się w twoje imię i nazwisko?

– Ruben, według mnie od tej chwili wracamy oficjalnie do służby – stwierdziła Julia. – I na tym nie koniec. Zawiadamiam kierownictwo.

– Imię i nazwisko to niejedyna rzecz, która łączy się z Vincentem – odezwała się Mina, możliwie neutralnym tonem. – Matki ofiar to koleżanki Vincenta

z dzieciństwa.

Ruben uśmiechnął się na widok Vincenta, który zrobił się czerwony jak burak. Wyglądał, jakby chciał zapaść się pod ziemią. Ujawnienie tego faktu nie mogło być częścią jego planu, choć był znakomitym aktorem. Po prostu było aż za bardzo kompromitujące. Kurde, koleżanki Vincenta! Mina się naprawdę postarała. A Vincent siedzi w gównie po samą szyję. Chociaż Ruben nawet nie potrzebował otworzyć ust.

– Wierście mi – powiedział Vincent, nie patrząc nikomu w oczy. – Nie mam pojęcia, co to wszystko znaczy. Te morderstwa są w pewnym sensie o mnie. Książka to był tylko początek. Próbowałem odgadnąć, kto mnie ściga w ten sposób, ale nikt mi nie przychodzi do głowy. Mam w najgorszym razie kilku zawistnych kolegów wykładowców, ale żadnych wrogów. Wrogów miewa się w powieściach albo w filmach, ale nie w prawdziwym życiu.

– Wygląda na to, że ktoś chce cię dopaść zupełnie bez powodu – zauważył Ruben i wyduł wargi. – Biedny Vincent. – Wyjął z torby kopertę i położył na stole. – Ja mam inne wyjaśnienie – powiedział. – A mianowicie, że sprawcą był sam Vincent. Ma tak wielkie ego, że dla zabawy ukrył swoje imię i nazwisko za datami morderstw. A kiedy nie odnaleźliśmy komunikatu, zniecierpliwił się, że nie jesteśmy równie bystry jak on, i musiał pokazać palcem.

– Ruben! – odezwał się Christer i spojrział na niego z przerażeniem. – Co ty opowiadasz?

– Poczytałem sobie o sztuczkach magicznych – ciągnął Ruben. – I dowiedziałem się, że najlepszy trik to schować coś na widoku. Vincent, opowiedz im o Al Koranie i jego obrączkach.

Po minie Vincenta widać było, że zrozumiał. Miał go.

– Al Koran był sławnym iluzjonistą – zaczął powoli Vincent. – Znany był jego trik polegający na tym, że jak ogniwa łańcucha łączył ze sobą obrączki, które pożyczał od publiczności. Jedna z obrączek należała do niego. Legenda mówi, że rozpoczynał występ od zademonstrowania fałszywej obrączki z ukrytym otworem i mówił, że zazwyczaj trik polega właśnie na tym, ale on by nigdy czegoś takiego nie zrobił. Po czym właśnie robił to. I nikt nie rozumiał, jak to się dzieje, mimo, a może właśnie dlatego, że przed chwilą ujawnił ten sposób. Jednak nie rozumiem, co to ma wspólnego z dochodzeniem.

– Właśnie że doskonale rozumiesz – zaoponował Ruben, zwracając się do kolegów. – Wydaje mi się, że Vincent właśnie wykonał na nas numer, który prezentował Al Koran. Zdradził, na czym polega trik, i sądzi, że właśnie dlatego uwierzemy, że nie jest sprawcą. Chociaż wszystkie dowody świadczą o czymś przeciwnym.

– Ruben, to są bardzo poważne oskarżenia – powiedziała Julia. – O jakich dowodach mówisz? Mam nadzieję, że masz coś więcej niż ten trik z obrączkami.

– Macie pamięć jak sito czy co? – Podniósł głos z irytacji i wskazał palcem najpierw na Vincenta, potem na litery na tablicy. – Nasz miły Vincent uwielbia używać swego nazwiska, kiedy manipuluje ludźmi. „Artysta zawsze podpisuje się pod swoim dziełem”, coś się przypomina? Ten facet, który choć tego nie pamiętał, napisał na murze sto razy VINCENT WALDER tylko po to, by polechtać ego Vincenta?

Vincent zbladł jak ściana.

– To był eksperyment, który miał na celu wyjaśnienie zjawiska, jakim jest fanatyzm – zaczął słabym głosem, ale umilkł, kiedy zobaczył spojrzenia pozostałych.

Ruben był zachwycony.

A jeszcze nie skończył.

Najlepsze zostawił na koniec.

Otworzył kopertę i położył jej zawartość na środku stołu, gdzie wszyscy mogli zobaczyć.

– Dostałem to pocztą – powiedział. – Od anonimowej osoby, która widocznie nie chce, żebyśmy wpadli w pułapkę Vincenta. Uprzedzę pytanie: owszem, sprawdziłem, artykuł jest autentyczny.

MAGIA ZAKOŃCZONA TRAGEDIĄ! – brzmiał nagłówek archiwalnego artykułu „Hallandsposten”. Christer, Peder i Julia pochylili się nad nim. Mina rzuciła przelotne spojrzenie na Vincenta, wychwycone przez Rubena. Najwyraźniej ten artykuł nie był jej nieznany. Dobra ta Mina.

„W pewnym gospodarstwie w okolicach Kvibille zabawa w iluzję stała się śmiertelną rzeczywistością” – odczytał Ruben wstęp do artykułu.

– Nie ma się co dziwić, że Vincent tyle wie o odbieraniu życia ludziom za pomocą iluzji. Nasz drogi Vincent Boman ma długoletnie doświadczenie w zabijaniu ludzi w skrzyniach.

KVIBILLE 1982

ZSZEDŁ DO KUCHNI wcześniej niż zwykle. Szykowanie śniadania mamy było trudne i zajmowało więcej czasu, kiedy robił to sam. Wiedział, że ma być dokładnie. Mama mówiła na to rytuał. Włożył dwie kromki do tosteru, sprawdził, czy suwak jest na pozycji 3,5, i czekał. Za oknem kuchni już świeciło słońce, weszło dwanaście minut później niż kilka tygodni temu. Wakacje się prawie skończyły. A dzisiaj wróci Jane. Dzisiaj wszystko musi być *dokładnie*.

Kiedy kromki wyskoczyły z tosteru, wyjął je ostrożnie szpilką do ziemniaków, żeby się nie oparzyć. Następnie starannie odciął jeden brzeg kromek, naciskając ostrożnie nożem, tak jak pokazała mu mama. Potem drugi brzeg. Podczas odcinania trzeciego zatrzeszczało. Zatrzymał w powietrzu rękę z nożem. Kromka pękła. Na cały centymetr. Tak nie może być. Wyrzucił ją do kosza na śmieci i zaczął od początku. Dwie kromki do tosteru, suwak na pozycji 3,5. Po paru sekundach zastanowienia obniżył do pozycji 3. Przecież toster był już nagrany. Nie chciał, żeby nowe kromki się przypaliły.

Dopiero po trzech próbach udało mu się pokroić tosty na równe trójkąty. Nareszcie. Pierwszy krok załatwiony. Jedną z leżących przed nim czterech kromek wyrzucił.

Trzy kromki.

Trzy boki trójkąta.

Trzeci brzeg pękł.

Trzy dodać trzy dodać trzy równa się dziewięć.

Ale trzy razy trzy razy trzy równa się dwadzieścia siedem. A dwa plus siedem też równa się dziewięć.

Jakkolwiek by liczył, dziewięć to to samo co trójkąt.

Chwycił głowę dłońmi i przycisnął skronie palcami. Dziewięć plus liczba jego lat to szesnaście, tyle lat, ile ma Jane. Różnica wieku między nim a Jane wynosi zatem dziewięć, trójkąt. On, Jane, mama. To ich trójkąt.

Jeden trójkąt pękł z trzeciej strony.

Przestań. Przestań. Przestań.

Rozumiał, dlaczego rytuały mamy są takie ważne. Dopóki wszystko wykonuje się ciągle w ten sam sposób, nie myśli się za dużo. W dodatku o czymś zapomniał. Co to miał...

Aha, kawa. Zapomniał nastawić kawiarkę mamy. Nalał wody do dzbanka i postawił na płycie grzejnej, jednocześnie zastanawiał się, co u mamy było pierwsze. Rytuały czy myśli, które miały być powstrzymane przez te rytuały. A może to jedno i to samo?

Jane dotarła do gospodarstwa wieczorem, znacznie później, niż myślała. Z drugiej strony nikt się nie wysilił, żeby jej pomóc. To też mówiło wiele o mamie, że głównie zajmuje się sobą. Przed wyjazdem Jane mama postarała się ją nastraszyć, ale potem nawet nie zadzwoniła.

Jane weszła po schodkach na ganek i nacisnęła klamkę. Zamknięte. Od kiedy oni zamykają drzwi wejściowe? Ze złością nacisnęła dzwonek. Są jakieś granice. Chyba się wścieknie, jeśli ich nie ma w domu. Wyjedzie jeszcze tego samego wieczoru.

Zamek został otwarty od środka, w drzwiach stał jej braciszek w pizamie.

– Dlaczego nie odbieracie telefonu? – spytała, stawiając z hukiem plecak w przedpokoju.

Brat uniósł brwi.

– Telefonu?

Jane położyła ręce na krzyżu i odgięła się do tyłu. Musiała przejść ostatni odcinek drogi i była wykończona. Plecak nie został spakowany do długiego dźwigania.

– Zadzwoniłam z dworca, zanim wsiadłam do pociągu – powiedziała. – I drugi raz, kiedy wysiadłam w Halmstad. A potem jeszcze raz z dworca autobusowego w Kvibille. Myślałam, że może wyjdziecie mi na spotkanie. Przydałaby się pomoc przy noszeniu.

Brat zerknął w stronę kuchni, Jane podążyła za jego wzrokiem. Słuchawka była odłożona, leżała obok telefonu na blacie.

– Co jest, do cholery? – spytała.

– Pewnie zapomniałem odłożyć słuchawkę – odpowiedział ostrożnie.

– O Boże, najwyraźniej wszystko jest po staremu.

Pokręciła głową i weszła do kuchni.

– W każdym razie jestem w domu – ciągnęła. – Wprawdzie tylko na kilka dni. Mama ci pewnie mówiła?

Otworzyła lodówkę i wyjęła wszystko, co tam znalazła. Tata Ylvy zrobił jej dwie kanapki na podróż. Było to ostatnie, co zjadła. Całe wieki temu.

– O czym miała mi mówić?

Westchnęła i wskazała mu krzesło przy stole. Braciszek usiadł. Sama zajęła to obok, jedzenie z lodówki wyłożyła na stół i chwyciła jego rękę. Była zimna i trochę wilgotna.

– Wyprowadzam się – powiedziała. – Pójdę do liceum w Mora. Wprawdzie to nie Sztokholm, bo właściwie tam chciałam, ale przynajmniej nie... tutaj. Pamiętasz, jakie miałam trzy T?

– Teatr, Tivoli, Transport – odparł braciszek, marszcząc czoło.

– Z tych trzech są w Mora przynajmniej dwa – ciągnęła. – I jeszcze jak ktoś nie jest z Mora, może zamieszkać w szkole. Tata Ylvy pomógł mi wszystko załatwić, mama musi tylko podpisać, że się zgadza, żebym tam mieszkała.

Bratu łzy napłynęły do oczu. Wstrętne mama, że postawiła ją w takiej sytuacji. Jane liczyła, że mama zdobędzie się chociaż na odwagę, żeby powiedzieć mu przed jej powrotem. Brat nie radził sobie ze zmianami, trzeba było je zapowiadać z dużym wyprzedzeniem.

– Za ile lat się wyprowadzisz? – wyszeptał.

– Nie lat, tylko już. Wróciłam na cztery dni, potem wyjeżdżam.

– Jane, to nie może być! – krzyknął, rzucając się jej na szyję. – Trójkąt nie może zostać z tylko jednym bokiem – płakał jej w policzek. – Bo wtedy byłaby tylko kreska. Przewróciłby się. Ja nie chcę się przewrócić. Jane, kochana moja, ja się nie chcę przewrócić.

Odsunęła go od siebie i spojrzała mu w oczy.

– O czym ty mówisz?

– O trójkącie – szlochał. – Ty. Ja. Mama. Nie mogę zostać sam. Jesteś starsza, wiesz, jak sobie radzić sama, ale ja... ja... przyrzekam, że będę dokładnie przestrzegać wszystkich rytuałów. Dokładnie. Tyle się w tym naćwiczyłem. Proszę, nie wyjeżdżaj.

Wróciła gula w żołądku, którą poczuła, kiedy prawie dwa tygodnie temu dzwoniła do domu. Martwiła się wtedy, że jest coś nie tak. Potem wmówiła sobie, że nie jest źle. Tymczasem rzeczywiście było nie tak. A nawet jeszcze gorzej. Braciszek ją nastraszył.

– Gdzie mama? – spytała, wyplątując się z jego objęć.

Nie patrząc na nią, wskazał na blat kuchenny, cały pokryty starannie pokrojonymi trójkątnymi tostami. Były ich setki. Idealnie upieczone.

– To są tosty mamy – powiedziała – a mama gdzie?

Teraz już się naprawdę przestraszyła. Gula w żołądku zamieniła się w czarną dziurę.

– Na blacie – odparł. – Pamiętasz? „Jesteśmy tym, co stale robimy”, ciągle to mówiła. Tyle razy to robiłem. Za każdym razem dokładnie. Więc ona jest tam.

Jane poczuła mrowienie na karku. Wstała i cofnęła się, brat wciąż patrzył w podłogę.

– Mamo? – zawołała z przedpokoju, ale bez odpowiedzi.

W panice pobiegła na górę i po kolei otworzyła drzwi wszystkich sypialni. Mamy nie było w żadnej z nich.

Zbiegła po schodach do drzwi wejściowych. Braciszek został w kuchni i płakał. Powinna zostać z nim, przytulić, powiedzieć, że będzie dobrze, ale nie było czasu. Bo nie było dobrze.

Musiała się dowiedzieć.

Na dworze zapadał zmierzch. Oświetlenie mieli tylko na ganku i przed oborą. Mrok zelżał, kiedy na niebie zaczęły się pojawiać gwiazdy, akurat na tyle, że już widziała wielki trawnik odcinający się niczym pole cieni. Pusty. Mamy tam nie było.

Las na jego dalszym krańcu był pograżony w zakazanej czerni, nie mogła tam wejść, dopóki nie zrobi się jasno.

– Mamo!

Znów zawołała. Mama mogła oczywiście być u Allana. Lubiła tam chodzić. Może nawet zapomniała, że córka dziś wraca. Ale jeśli tak, to dlaczego braciszek nic nie powiedział? I dlaczego słuchawka leżała odłożona?

Co tu się wyprawia?

W najgorszym razie mama dostała ataku paniki i leży gdzieś w ciemnościach, nie mając siły sama wrócić. Może potrzebuje pomocy. No pewnie, że braciszek się boi, jeśli rzeczywiście dostała ataku paniki. Pewnie jest w szoku, co może tłumaczyć jego zachowanie. W końcu jest jeszcze mały.

Pobiegła w stronę obory. Zatrzymała się w świetle lampy na zewnątrz i głęboko zaczerpnęła tchu. Jakiś zapach. Słodkawy i... mdlący. Zeszłego lata braciszek jadł tam drugie śniadanie i zostawił resztki, które w letnim upale powoli się rozkładały. Zanim je znaleźli, unosił się stamtąd obrzydliwy smród. Przypominał ten. Chociaż ten był jeszcze gorszy.

Znacznie.

Otworzyła drzwi obory i od razu musiała zasłonić ręką nos i usta. Oczy zaszyły jej łzami od tego fetoru. Śmierdziało sikami i potem, i zgnilizną, i śmiercią. Lampa przed wejściem oświetlała tylko kawałek wnętrza, resztę zasnuła ciemność.

Zamrugła i zdała sobie sprawę, że ciemność się porusza.

I wydaje odgłosy.

To, co wzięła za cienie, było w gruncie rzeczy olbrzymim rojem much. Tysięcy tłustych much plujek, brzęczących w podnieceniu, latających i pełzających jedna na drugiej. Ten rój był większy od niej. Poczowała w ustach kwaśny smak soków żołądkowych. Musi stąd wyjść, zanim zwymiotuje. Rzuciła się do drzwi, a rój w tym momencie wzbił się wyżej na tyle, że zdążyła zobaczyć kontury czegoś.

Była to skrzynia.

Niebieska skrzynia wymalowana w gwiazdy, a na niej wielka kłódka.

GRAD TŁUKŁ w brezentowy daszek nad jej głową. Zaproponowała, żeby się spotkali w TAK ²⁹, ogródku restauracyjnym na dachu Gallerian. Znalezienie się tak wysoko rzeczywiście miało w sobie coś. Powietrzem jakby łatwiej się oddychało. Brud zostawał na dole.

Ledwo zdążyli dostać swoje pudełka z makaronem, kiedy spadł grad. Wraz z innymi gośćmi pospieszyli pod brezentowy daszek nad częścią kuchenną i barową restauracji. Białe kulki waliły z nieba z furią kogoś, kto czekał zbyt długo. Zadrżała i spojrzała na swoje nagie ramiona. Z zimna pokryły się gęsią skórką. Niemal zapragnęła, żeby Vincent zaoferował jej swoją marynarkę, ale wiedziała, że tego nie zrobi. Zwłaszcza teraz, kiedy ich stosunki były takie napięte. Nie można powiedzieć, żeby podczas ostatniego zebrania stanęła po jego stronie. Była za bardzo zszokowana tym, co ujawnił.

– Vincent, ja to muszę wiedzieć – odezwała się.

Vincent przestał fascynować się letnim gradem i spojrzał na nią.

– Spytam cię tylko raz – ciągnęła – ale musisz być szczery. Czy masz z tym wszystkim coś wspólnego? Nie musisz mówić, w jaki sposób, tylko... masz czy nie?

Widziała, że jej słowa bardzo go zraniły. Jego zazwyczaj wyprostowana sylwetka zapadła się, błysk w oku zniknął. Ale Mina musiała wiedzieć. Raz na zawsze. Odwrócił się od niej i długo milczał. Potem postąpił krok naprzód, prosto pod grad. Oddalając się od niej.

– Gdybym miał – powiedział – czy wierzysz, że tamtego wieczoru w Gävle, kiedy cię poznałem, zgodziłbym się wziąć udział w dochodzeniu? Czy raczej uciekłbym w przeciwną stronę, i to jak najprędzej? To chyba jasne, że nie mam z tym nic wspólnego.

Bryłki gradu przykleiły mu się do włosów i barków; topiąc się, zaczęły spływać po plecach.

– Przepraszam – powiedziała. – Musiałam spytać.

Odwrócił się i spojrzał jej w oczy.

– Musiałaś? Naprawdę? Myślałem, że znamy się na tyle, że jesteśmy... że my...

Kiwnęła głową, żeby mówić dalej, ale umilkł. Wyszła spod daszku i stanęła obok niego. Od odrobiny zmarzniętej wody jeszcze nikt nie umarł. Razem patrzyli na mokre dachy. Nie zdając sobie sprawy, co robi, i zanim było już za późno, splotła dłoń z jego dłonią. Cholera. Nie miała takiego zamiaru. Wstrzymała oddech, czekając na jego reakcję. Nie odsunął się. Ścisnął jej rękę.

– Że się nawzajem rozumiemy – dokończyła jego zdanie.

Przytaknął w milczeniu.

Zmrużył oczy, patrząc przed siebie w ten grad, i nagle drgnął.

– Jezu, przez chwilę wydawało mi się, że tam, kawałek dalej, zobaczyłem Annę.

Spojrzała w tamtą stronę, ale grad nie pozwolił zobaczyć wyraźnie.

– To nie ona – stwierdził, kręcąc głową. – Teraz na dodatek mam przywidzenia. Po prostu super.

Grad ustał równie szybko, jak się pojawił. Goście zaczęli wychodzić spod daszku, Mina i Vincent puścili ręce.

– A teraz? – spytała, patrząc na zmoczone pudełko z makaronem w jego drugiej ręce. – Też chcesz uciekać w drugą stronę?

Znalazł kosz na śmieci, do którego mogli już wrzucić to, co miało być ich lunchem. Wyjął z kieszeni buteleczkę alkożelu i podał jej. W oczach wciąż miał żal.

– Pobiegnę, dokąd zechcesz – powiedział. – Myślałem, że o tym wiesz.

– ZGODNIE Z TEORIAŁ Vincenta mamy przypuszczalnĄ datę następnego morderstwa. A w związku z tym, że poprzednie wydarzyły się w Sztokholmie, zakładamy, że dojdzie do niego również tutaj.

Ruben spojrział z powątpiewaniem na mówiącą to Julię.

– Vincent, no właśnie – odezwał się. – Ile razy mam wam powtarzać, że trzeba go zgarnąć? Zamknijmy go w areszcie jako podejrzanego, przecież do 22 września zostało tylko parę tygodni. On może mieć nieznanym nam współników, pytaliście go o to? Albo czy znał Raska? Wciąż niczego nie wiemy. To jak szukanie igły w stogu siana. A wy nie chcecie przesłuchać jedynej osoby, która coś wie. Tylko ja widzę, co się dzieje? Ile jeszcze potrzeba wam dowodów?

Mina spojrziała na niego kwaśno. Sama miała poczucie beznadziei, a nastawienie Rubena bynajmniej jej nie osłabiło.

Czuła się przytłoczona. Gdzieś tam chodzi jakiś człowiek, żyje, krząta się, zajmując codziennymi sprawami czy przyjaciółmi, przekonany, że rysuje się przed nim przyszłość. Szczęśliwie nieświadom, że to wszystko się za parę tygodni skończy, jeśli nie uda im się temu zapobiec. A najgorsze, że Ruben mógł mieć rację.

Jednak znała Vincenta. Był genialny, mimo że potrzebował dziesięciu minut, żeby zawiązać buty tak, jak chce. I miała jego słowo, że jest niewinny.

Vincent też rozumiał, że podejrzenia wobec niego są poważne. Odwołał wszystkie swoje zobowiązania do końca miesiąca i obiecał nie opuszczać miasta. I już nie uczestniczył w dochodzeniu.

Julia spokojnie kontynuowała.

Była to jedna z cech, którą Mina naprawdę doceniała u swojej przełożonej. W każdej sytuacji zachowywała spokój. Nawet kiedy Ruben poczynał sobie jak dupek.

– Rozmawiałam z komendantem głównym i otrzymałam od niego obietnicę dodatkowego wsparcia na 22 września – powiedziała. – Nie wiemy gdzie, to

prawda, ale do tej pory miejsca znalezienia zwłok były dość specyficzne. Znane i publicznie dostępne, nie w jakimś przypadkowym zaułku.

Peder podniósł rękę i Julia skinęła głową.

– Miejsce było za każdym razem inne – powiedział. – A więc można by chyba zaryzykować skreślenie dotychczasowych. Czyli nie kierujemy dodatkowych sił na obserwowanie Gröna Lund, parku przy Chinateatern ani hal hurtowych.

– To trafne spostrzeżenie, myślę, że masz rację. Oczywiście istnieje pewne ryzyko, bo możemy się mylić, jednak wydaje mi się warte podjęcia. Czyli tych miejsc nie pilnujemy. Ale jakie mogą być w takim razie inne miejsca charakterystyczne dla Sztokholmu? I znane?

Podniosła rękę z mazakiem, żeby zapisywać propozycje na tablicy.

– Kaknästornet, Svampen, Humlegården ³⁰ – powiedziała Mina.

Julia zanotowała trudnym do odczytania charakterem pisma.

– Plattan ³¹, zamek – zaproponował obojętnie Ruben.

– Junibacken ³², Djurgården, muzeum statku „Vasa” – dodał Peder, a Julia zapisywała dalej. – Hornstull – powiedział jeszcze.

Ruben parsknął.

– Też coś, Hornstull? Na Söder?

Powiedział to tak, jakby Söder było brzydkim słowem.

– Horns... tull – powtórzyła głośno Julia, zapisując.

– A co, mamy całkiem olać Söder? – spytał Peder.

– A kogo obchodzi Söder? A co jest niby w Hornstull? – oponował dalej Ruben.

– Klasa, spokój! – powiedziała surowo Julia.

Mina przewróciła oczami. Ale snob z tego Rubena. Akurat wiedziała, że urodził się i wychował w Rimbo, a nie – jak twierdził – w Vasastan ³³.

– Dramaten ³⁴ – odezwał się Christer. – Stawiam na Dramaten. Gdybym był mordercą, na pewno umieściłbym trupa właśnie tam. Byłoby to bardzo efektowne.

– Z tym że nie wiemy, czy mordercy chodzi właśnie o efekt, czy też łączy go coś z tymi miejscami.

– Albo czy miejsca też nie są częścią jakiegoś kodu – wtrąciła Mina.

Ruben westchnął.

– Kurde, wystarczy tego dobrego – stwierdził. – Vincent zaprezentował nam ukrytą wiadomość. Którą sam tam umieścił. Ale nie wszystko jest szyfrem, alfabetem Morse’a i ukrytym przesłaniem. Teraz przyda się trochę porządnej roboty policyjnej, a nie jakiegoś hokuspokus, które tylko wprowadza zamieszanie.

– Dramaten. – Dopisała na tablicy Julia i cofnęła się o krok.

– Pamiętajcie jedno – odezwała się znów Mina. – Miejsca znalezienia zwłok były wtórne do miejsc zbrodni, które zostały dokonane gdzie indziej. Zgadzam się, że wzmożone obserwacje zwiększają szanse na znalezienie sprawców. Ale dopiero po morderstwie. A my mamy mu zapobiec.

– I to wszelkimi dostępnymi środkami – dopowiedziała Julia. – Jednak zawsze to jakiś początek. Zabiorę się zaraz do wyliczenia i sporządzenia schematu rozlokowania sił i tym podobnych, jeśli przyjdą wam do głowy jeszcze jakieś miejsca, które należy obserwować, to dopiszcie je na tablicy. Poproszę też Sarę Temeric z działu analiz o jeszcze aktywniejsze śledzenie sieci komórkowych począwszy od dziś. Liczba funkcjonariuszy na mieście zostanie oczywiście zwiększona. I jesteśmy otwarci na wszelkie pomysły co do dalszych działań.

– Jak mówiłem, igła w stogu siana o nazwisku Vincent Walder – powiedział Ruben.

Julia odwróciła się i spojrzała na niego ze złością.

– Nie pomagasz taką postawą! Co masz do zaproponowania poza błyskotliwym pomysłem, żeby zatrzymać Vincenta? Żeby olać resztę? Kręcić młynka palcami, czekając, aż zadzwoni telefon? Tak byś to załatwił?

– Przecież można by przesłuchać jego dawnych nauczycieli i kolegów z klasy – mruknął Ruben. – A ta Jessica, mama Roberta, była jego koleżanką. Dlaczego z nią nie pogadamy?

– Bo Vincent nie jest podejrzany, nie ma żadnych zarzutów! – krzyknęła Julia. – Nie ma żadnego konkretnego, który by wiązał go z tymi morderstwami. Czego tu nie rozumiesz?

Ruben zaczerwienił się i uciekł wzrokiem przed jej spojrzeniem.

Istne kino. Brakuje tylko popcornu, pomyślała Mina. Obserwowanie, jak Ruben dostaje ochrzan, było absolutnie jej ulubionym widowiskiem.

– Może powierzyłabyś Rubenowi sprawę obserwacji na Söder? – zaproponował Christer, a Peder zdławił chichot.

– Dowcipnisie pieprzeni – mruknął Ruben.

Wyszedł szybko, gdy pozostali podnieśli się z krzeseł. Mina została jeszcze chwilę, patrząc na tablicę i listę, która jeszcze urośnie. W jednym Ruben miał rację: to było jak szukanie igły w stogu siana.

WRZESIEŃ

PO RAZ PIERWSZY od dawna w domu nie było nikogo poza nim. Aston był w szkole, Benjamin choć raz wybrał się na wykład do Kista, Rebecka poszła spotkać się z koleżanką, a Maria na jogę. I bardzo dobrze. Nie musieli patrzeć na samochód policyjny zaparkowany po drugiej stronie ulicy z widokiem na ich dom i wyjazd z garażu. Vincent nie był oficjalnie podejrzany, ale po naleganiach Rubena zgodził się być obserwowany. Ponieważ nadszedł dzień, w którym według niego miało dojść do następnego morderstwa. 22 września. W razie czego udowodni swoją niewinność, gdy pod koniec dnia okaże się, że nikogo nie zamordował, zapewne ku wielkiemu rozczarowaniu Rubena.

Ruben mógł wziąć samochód cywilny. Vincent zgadywał, że taka zasada obowiązuje podczas policyjnej obserwacji. Ale nie, Ruben chciał, żeby było widać, że to policja. Wydawało się nawet – a niech to! – że biały radiowóz z żółtymi i niebieskimi znakami został umyty. Ruben pewnie poczuł zawód, kiedy odkrył, że Vincent nie ma sąsiadów. Vincent pomachał mu przez kuchenne okno, ale kiedy Ruben się odwrócił, pokazał mu środkowy palec.

Nieobecność rodziny oznaczała, że Vincent miał cały dom dla siebie. Mógłby na kompie Benjaminą posurfować po stronach porno, dokończyć budowanie modeli lego Astona, upiec ciastka Rebecce albo tańczyć nago w salonie i nikt by nie zauważył. Albo nie. Tańce nago to raczej coś dla Marii. Oczywiście nie naprawdę, ale pewnie by chciała.

Wyjął album *Telekon* Gary'ego Numana i położył na gramofonie w salonie. Kiedy jako mały chłopiec po raz pierwszy słuchał muzyki nie dla dzieci, były to właśnie piosenki Numana, Kim Wilde i innych artystów brytyjskiej sceny new wave. Właśnie zaczęli je wtedy grać w szwedzkim radiu. Miał pięć lat, kiedy po raz pierwszy usłyszał piosenkę *I Die: You Die* i potem w nocy śniły mu się

koszmary. Były to dźwięki nie pochodzące ze znanych mu instrumentów. Tony i harmonie bardzo odległe od poczucia bezpieczeństwa. Najpierw go przestraszyły. Potem zafascynowały. Miał wtedy absolutną pewność, wywodzącą się z jego dotychczasowego pięcioletniego doświadczenia, że wie, co to muzyka, i to przekonanie okazało się zupełnie fałszywe. A skoro może tak być z muzyką, to z czym jeszcze? Świat był całkiem inny, niż myślał. Wszystko było możliwe. Bez jakichkolwiek siatek ochronnych.

Słuchając tej muzyki, osiągał zawsze ten sam stan umysłu co wtedy. W tym momencie właśnie tego potrzebował. Musiał być kreatywny. Rozumować poza schematami. Bo jeśli nawet rozczaruje Rubena, nie popełniając dziś morderstwa, to przecież ktoś je popełni. Ktoś w liczbie mnogiej. Nie wierzył ani przez moment, że Rask był jednym z morderców.

Pogłodził muzykę i wszedł do gabinetu. Miał do dyspozycji cały dom, jednak gabinet był tym miejscem, które lubił najbardziej. Nie zaskakiwały go tam żadne niespodzianki, wiedział, gdzie co jest i czym jest.

Przede wszystkim był to jego pokój. Nikt się nie mógł denerwować, że książki zostały ustawione na regale kolorami zamiast w porządku alfabetycznym. Albo że na półce, wśród wspaniałych nagród, jakie otrzymał, stał jego portret jako zombi, prezent od wielbiciela, znanego rysownika komiksów.

Vincent wyciągnął się na grubym zielonym dywanie na podłodze, żeby pomyśleć. Gary Numan śpiewał w salonie, że zamierza cię ostrzec przed upadkiem. Vincent próbował przepatrzeć wszystkie elementy układanki, żeby dojść, gdzie jest w niej jego miejsce, ale ciągle nie mógł tego poskładać. W głowie miał jeden wielki zamęt, nie potrafił zapanować nad myślami. Wirowały tak gwałtownie, że wydawało mu się, że się przewróci, chociaż już leżał. Próbując to powstrzymać, wyciągnął ręce, pod dłońmi czuł włókna dywanu, skupił się na oddychaniu. Zawrót głowy ustępował powoli. Zidentyfikował wszystkie elementy układanki, ale nadal nie rozumiał.

Całe szczęście, że pozostali policjanci w zespole nie byli równie mocno przekonani o jego winie jak Ruben. Nawet nie miał do niego pretensji, pewnie sam rozumowałby podobnie. Jednak dało mu to tylko trochę dodatkowego czasu. Jego zamieszanie w tę sprawę prędzej czy później trafi do mediów. Mina i pozostali już nie będą mogli go osłaniać, mimo jego niewinności.

Skupił się na słabym żółtym świetle z lampy na suficie. Przyciemnił ją, zanim się położył. Wyglądała teraz jak żółtozłota kula szybująca pod sufitem.

Media go zjedzą. Houdini morderca, mentalista Vincent Walder. W ostatecznym rozrachunku zostanie uznany za winnego. Trzech morderstw. Albo czterech, zanim ten dzień dobiegnie końca. Nie będą mieli wyboru. To

tylko kwestia czasu. I właśnie tego czasu zostało mu pewnie niewiele. A więc co ma?

Po raz tysięczny zaczął wszystko od początku, może mu coś umknęło.

Zamknął oczy i w myślach wyciągnął trzy szuflady. W każdej znajdowało się kilka warstw rozumowania, możliwe wnioski i ewentualne schematy. Na razie poprzestał na przyjrzeniu się etykietkom.

Szuflada numer jeden: *Matki ofiar: dawne koleżanki*. Innymi słowy, mordercy wiedzą, gdzie dorastał i z kim.

Szuflada numer dwa: *Ofiary zginęły wskutek zepsutych iluzji. Tak jak mama*. Zatem wiedzieli, co stało się z jego mamą.

Szuflada numer trzy: *Daty i godziny morderstw zgadzały się z jego imieniem i nazwiskiem z dzieciństwa*. Patrz szuflada numer jeden.

Znów otworzył oczy i utkwił wzrok w złotej kuli.

Wszystko wskazywało na jego dzieciństwo.

Nietrudno było dojść do wniosku, że mordercy musieli go znać, może nawet dorastali razem z nim. Ale to psychologiczna pułapka. Bo tak łatwo jest uwierzyć, że wszystko zaczyna się od siebie samego, że jest się początkiem wszystkich zdarzeń. Wszyscy w pewnym sensie tak myślą, nie sposób od tego uciec, bo każdy jest sam dla siebie punktem odniesienia. Nie znaczy to jednak, że tak jest.

Wszystkie informacje o jego dzieciństwie dało się wyszukać w sieci. To nawet nietrudne, jeśli się wie, jak szukać. Morderców nie musiały łączyć z nim żadne osobiste więzy, wystarczyło podłączenie do internetu.

Jednak jeśli mordercy go nie znali, to Vincent też nie potrafił dopatrzeć się u nich motywu. Dlaczego miałby zrobić to wszystko ktoś obcy? Żeby mu pochlebić? Rzucić wyzwanie? Może i ma wielkie ego, ale nie na tyle, żeby poważnie wierzyć w takie wytłumaczenie. Szaleństwa stalkerskie raczej nie sięgają dalej niż do takich fantazji jak u Anny. Oczywiście, Moriarty stworzył mordercze zagadki dla Sherlocka Holmesa jedynie po to, by sprawdzić, czy ten potrafi je rozwiązać. Ale to była literatura. W tym, co przydarzyło się Agnes, Tuvie i Robertowi, było niewiele z mglistej romantycznej zagadki.

Złota kula zabręczała i nagle pojaśniała. Pewnie trzeba wymienić ściemniacz. Vincent usiadł na dywanie z wyprostowanymi nogami. Podążył teraz innym torem i zaczął igrać z myślą, że mordercy faktycznie go znają. Wprawdzie nie miał w swoim otoczeniu nikogo, kto potrafiłby wykonać coś takiego, ale jednak. Gdyby był ktoś taki. Gary Numan jakby w perwersyjny sposób zgodził się z nim, śpiewając z werwą refren *I Die: You Die*.

Jeśli nawet znał morderców, to co z tego? Wciąż nie znajdował motywu. A czwarte morderstwo ma nastąpić dziś.

W jego głowie pojawiła się nagle czwarta szuflada myślowa. Nie przypominał sobie, żeby ją stworzył. A jednak była tam, wyraźnie obok tamtych trzech. Zamknął powieki i zajrzał do niej. Zupełnie pusta. Podświadomość najwyraźniej chciała mu coś podpowiedzieć. Cztery szuflady, cztery elementy układanki z informacjami, ale jeden pusty.

Aha.

No oczywiście.

Czyli układanka nadal nie była kompletna. Umknęła mu istotna informacja. Czwarty element, który miał wszystko ujawnić. W salonie skończyła się płyta. Słyszał, jak igła gramofonu trze o papierową naklejkę. Zignorował to.

Czwartym elementem układanki nie było, jak sądzili, ostatnie morderstwo. Już wiedział, co to jest.

I ten element znajdował się u niego w domu.

MINA WŁAŚNIE PRZEBRAŁA się w czyste ciuchy i założyła naszyjnik od Nathalie, gdy rozległ się dzwonek do drzwi. Wzdrygnęła się. Jej dzwonek nigdy nie dzwonił. Nikt jej nigdy nie odwiedzał. Chyba że? Czy to mógł być Vincent? Czyżby niezauważenie przeszli do takiej fazy znajomości, że pozwoliłby sobie na całkiem spontaniczną wizytę? Nie. Nie dziś, gdy ma na ogonie Rubena. To nie mógł być Vincent. Pewnie jakiś sprzedawca. Dzieciak, który chce wciskać skarpety do gry w piłkę albo tulipany.

Albo świadkowie Jehowy. Starannie uczesani młodzi ludzie w białych koszulach z czarnym krawatem i natchnieniem bijącym z ich nieobecnego wzroku. Jak paskudne roboty z wypranymi mózgami.

Otworzyła. Za drzwiami stał Kenneth.

– Cześć! – powiedziała zdziwiona. – To ty?

– No, cześć. Chciałbym zabrać Bossego. Przepraszam, że to się przeciągnęło. Na szczęście znalazłem twój adres na Eniro. Wpuścił mnie na klatkę jakiś uprzejmy sąsiad.

Ulga mieszała się z poczuciem winy. Ulga, że wreszcie nawiązała kontakt z panem Bossego, ale poczucie winy, bo Kenneth myśli, że pies jest u niej.

– Już myślałam, że zszedłeś do podziemia – powiedziała, żeby zyskać na czasie. – Chyba od lata nie widziałam cię w AA.

– Pewnie się po prostu mijaliśmy – odparł. – Z Bossem wszystko w porządku?

Patrzył na nią usilnie, potem rozejrzał się za psem. Mina poczuła, jak na jej twarzy pojawia się sztuczny grymas.

– No więc wszystko z nim w porządku. Ale nie ma go tutaj...

– A gdzie jest?

Kenneth miał zdezorientowaną minę. Wzruszyła ramionami, jakby się usprawiedliwiała.

– Nie mogłam pogodzić opieki nad nim z pracą według grafiku. Naprawdę chciałam, ale nie dało się. Mam fantastycznego kolegę, który ofiarował się z pomocą, więc Bosse jest u Christera.

– Aha, u Christera – powtórzył po niej Kenneth, wciąż zdezorientowany.

– Jak się czuje twoja żona? – pospieszyła spytać Mina.

– Miło, że pytasz. Przez pewien czas było nieprzyjemnie, ale udar okazał się łagodny, więc szybko udało im się ją ustabilizować i przez lato i początek jesieni odpoczywała już w domu. Teraz już doszła do siebie na tyle, że mogę znów się zająć Bossem.

– Jak to dobrze – powiedziała Mina i naprawdę tak myślała. Wzruszyła ją widoczna miłość Kennetha i jego żony, w ciągu ostatnich miesięcy wiele razy zastanawiała się, co u nich.

– A gdzie znajde... Christera? – spytał Kenneth.

Mina wyjęła telefon i zaczęła przeglądać listę swoich kontaktów.

– On mieszka w pobliżu Skurusundet. Jadąc w stronę drogi na Värmdö, po jakichś dziesięciu kilometrach zobaczysz tę cieśninę, na rondzie skręcasz w prawo i po około pięciuset metrach po prawej będzie brązowy dom, wygląda jak domek weekendowy.

Wiedziała to wszystko, bo w przypływie wyrzutów sumienia niedawno pojechała do Christera z worem karmy dla psów, który zostawiła mu pod drzwiami.

– Proszę, to jego numer telefonu, zadzwoń, żeby ci podał adres, i...

– Trochę dużo tego. Nie mogłabyś pojechać ze mną, pokazać drogę? – spytał niemal błagalnie, robiąc wielkie oczy jak Bosse. Mina spojrzała przez okno na ulicę. Przed wejściem do jej domu stała zdezelowana furgonetka. Wyglądała, jakby miała sporo lat na karku. Mina mogła sobie tylko wyobrazić poziom higieny w środku.

– Byłbym naprawdę wdzięczny, powierzyliśmy ci Bossego i mówiłaś, że się nim zaopiekujesz...

Skrecała się na samą myśl. To kompletnie zły dzień. Ale Christer mógłby ją potem odwieźć do gmachu policji. Kenneth dotknął czułego punktu, jakim było jej sumienie, więc nie wiedziała, jak miałaby mu odmówić. Chociaż całą sobą czuła sprzeciw na myśl, że ma wsiąść do tej brudnej furgonetki. Sięgnęła po swoją kurtkę dzinsową.

– Dobrze, pojedę z tobą.

Zamknęła drzwi mieszkania, minęła go i zeszła po schodach w dół, wyszła na ulicę i żywym krokiem podeszła do furgonetki, żeby się nie rozmyślić. Kenneth pospieszył za nią, okrążył samochód, podchodząc do drzwi kierowcy. Mina otworzyła drzwi po stronie pasażera i nabrała powietrza. Tak jak się obawiała. Jeszcze jeden wdech. Wsiadła.

VINCENT WSTAŁ Z PODŁOGI i przyniósł sobie album. Ten, który ktoś przysłał mu za pośrednictwem Umberta tuż przed świętami. Z lampartem na okładce. Policja zwróciła go po tygodniu. Pewnie woleliby zatrzymać go na dłużej, ale Vincent nie przypuszczał, by rozwiązanie znajdowało się w chemicznych testach kartek. Przypuszczalnie i tak nie znaleźliby nic poza odciskami palców jego i Umberta. Jeśli w ogóle jest tam rozwiązanie, to zawiera się w samym komunikacie.

Na pewno pochodził od morderców, ale poprzednim razem nie zwrócił na niego większej uwagi, bo nie pasował do pozostałych elementów układanki. Zinterpretował go jako chęć, żeby się z nim podrażnić. Może nie przyjrzał się porządnie. Otworzył stronę 873, do której dotarł Benjamin. Wciąż nie doszedł do tego, co znaczy 8 lipca godzina trzecia. Jeśli znaczy cokolwiek. I tak jak poprzednio coś mu dzwoniło, ale na tyle słabo, że mogło mu się wydawać. Czasem schemat nie istnieje, choćby człowiekowi się zdawało, że go dostrzega.

Komunikat na stronie brzmiał równie zagadkowo jak przedtem.

Cześć, Vincent,

sprawiłbyś mi wielki zawód, gdybyś sądził, że ósmy lipca to data kolejnego morderstwa. Naprawdę nie pamiętasz? Jeśli chcesz mnie znaleźć, to musisz lepiej popatrzeć.

Lepiej popatrzeć. Dziwne sformułowanie. Dlaczego nie postarać się albo poszukać? Zignorował komunikat i przestudiował pozostałą część strony. Agresywne krechy i czerwone kleksy. Zdał sobie sprawę, że zarys tych kleksów jest uformowany. Miały wyraźne brzegi, ale ich kształt był dziwny. Nagle kłębowisko myśli w jego głowie zwolniło i przybrało bardziej konkretną postać. Wspomnienie lata, do którego nigdy dotąd nie wracał. Zaciemniły je i wyparły późniejsze wydarzenia tamtych letnich miesięcy. Wspomnienie koca na trawniku.

Urodziny mamy.

Kiedy nazywał się Vincent Boman.

Jej ulubiona sukienka.

Kartka z życzeniami.

Przyjrzał się kreskom na stronie książki. Niektóre nie tworzyły linii ciągłej, tylko były przerywane. Niemożliwe... Nieprawdopodobne. Nie może być. Ostrożnie wydarł stronę z książki i omal jej nie przedarł, bo tak się trząsał.

Trzeba pozaginać wzdłuż linii, żeby powstał papierowy samolocik.

Nie chciał widzieć postaci, która nabierała kształtu pod jego powiekami, kręcił głową, chcąc się jej pozbyć, ale nie było innej możliwości. Musiał się dowiedzieć.

Ulubiona sukienka mamy była w lamparcie cętki.

Lampart na okładce książki.

Trzymał wtedy w ręce talię kart.

Linie przerywane zaginał do wewnątrz, a linie ciągłe na zewnątrz i z każdym zagięciem łączyły się czerwone formy.

Zapamiętajcie sobie ten dzień, ósmy lipca godzina trzecia po południu, bo będziecie o nim opowiadać swoim wnukom.

Tak mówił. Ósmy lipca o trzeciej. 873. Urodziny mamy. Nie obchodził ich od prawie czterdziestu lat.

Kiedy już skończył zaginać papier, wpatrzył się w rezultat. Ta sama gruba czerwona litera powtórzona trzy razy.

TTT.

Krzyknął i zgniótł papier. Chwycił album i wrzucił na regał, strącając wszystkie swoje nagrody, które z hałasem spadły na podłogę. Portret zombi też spadł, szkło wypadło z oprawy. TTT. W dzieciństwie słyszał te litery na tyle często, że nie mógł nie wiedzieć, co symbolizują. Teatr, Tivoli i Transport.

I odpowiadają miejscom, gdzie znaleźli zwłoki Agnes, Tuvy i Roberta. Agnes w Berzelii Park przy Chinateatern, Tuvę przed parkiem rozrywki Gröna Lund, a Roberta na parkingu.

Jane.

Mordercą była jego starsza siostra. W głowie się to nie mieściło, ale stanowiło jedyne wytłumaczenie. Trzeba skontaktować się z Miną. Szybko.

– PRZEPRASZAM, JA... Powinnam była coś powiedzieć. Bosse...

Szukała słów. Przepraszanie było jednym z jej najsłabszych punktów i starała się w miarę możliwości tego unikać. Dlatego wymawianie takich zwrotów szło jej kulawo. Ale Kenneth przyszedł jej z pomocą.

– Nic nie szkodzi – powiedział. – Najważniejsze, że trafił pod dobrą opiekę.

– Dzięki – odpowiedziała, choć nie miało wypaść tak zdawkowo.

Żeby załagodzić to wrażenie, zainicjowała coś, czego zazwyczaj unikała, czyli pogawędkę. Niewielu rzeczy nie cierpiała równie mocno jak rozmowy, która do niczego nie prowadzi. Jednak w tej chwili służyła przynajmniej jakiemuś celowi. Brud w furgonetce pełzał po niej, wprowadzając tylko w przemochność, ale jednak. Mina miała wrażenie, jakby poruszały się po niej niewidzialne cząsteczki. Wypełniając ciszę, mogłaby przynajmniej odwrócić swoją uwagę od nasilającego się uczucia paniki.

– Jak się poznaliście... z żoną? Przepraszam, zdałam sobie sprawę, że nie wiem, jak jej na imię.

– Jane. Ma na imię Jane.

– Ładnie. A więc jak się poznaliście z Jane?

Miała świadomość, jak nieporadnie, wręcz nieudolnie prowadzi tę rozmowę, która miała być lekka. Większość ludzi opanowuje tę sztukę. Mina sądziła, że też by potrafiła, ale zabrakło woli, żeby poćwiczyć.

– Poznaliśmy się na dnie.

– Na dnie?

Spojrzała na niego. Nie była to odpowiedź, której się spodziewała. Sprawilo to, że jej zainteresowanie natychmiast wzrosło. Kenneth odpowiedział ze wzrokiem utkwionym w drogę przed sobą.

– Znalazłem ją na ulicy. Pobitą prawie na śmierć. Miała... problemy. Jej życie nie było łatwe. Moje też nie. I również miałem problemy. Ale to jak z dwoma minusami, które dają plus. Coś się wydarzyło, kiedy ją zobaczyłem na tej ziemi. Miała wybitą zuchwę, jedno oko tak spuchnięte, że nie było go widać. Trzy

żebra złamane i złamaną nogę. Pęknięte prawe ramię. Tak ją ktoś skopał w plecy, że uszkodził kręgosłup.

Mina pokiwała głową.

– Czyli to nie skolioza?

Kenneth pokręcił głową.

– Zaraz skręcamy – powiedziała Mina, Kenneth wrzucił kierunkowskaz.

– Ludzie na ogół nie chcą słuchać prawdy. Więc kłamiemy. Tak jest łatwiej – powiedział.

– Rozumiem, co masz na myśli – odparła, patrząc w okno.

Robiła to samo. Kłamała. Wszystkim. Tak było łatwiej.

– Zadzwoiłem po karetkę. Pojechałem z nią do szpitala. Od tamtej pory jesteśmy razem.

– I trafiliście do AA. Pomaga wam to? W waszych... problemach?

– Faktem jest, że tak. Plus takie rzeczy, które sami robimy. Człowiek powinien być aktywnie przewidujący. Nie można tylko siedzieć i czekać, aż coś się zdarzy. Że się zmieni. Czasem trzeba wziąć sprawy w swoje ręce.

– Rozumiem – powtórzyła, i rzeczywiście tak było. – Jesteście stąd? Ze Sztokholmu?

– I tak, i nie.

Nie dodał nic więcej. Już tego nie drążyła.

– Ile ci zostało? – zmieniła temat.

Nawet nie drgnął. Pożałowała, że spytała, ale wciąż brakowało jej tego filtra, który mają inni, filtra między mózgiem a ustami. Był to jeden z powodów, że unikała konwersowania, bo zazwyczaj kończyło się w ten sposób, że ludzie się na nią obrażali.

– Skąd wiedziałaś? – odpowiedział pytaniem, wciąż ze wzrokiem skierowanym na drogę.

– Nie wiedziałam na pewno, dopóki nie potwierdziłeś. Okazało się, że dobrze zgadłam. Masz zażółcone białka oczu i żółty odcień skóry. Jak mój dziadek, który umarł na raka wątroby. A na podłodze leży puste pudełko po nexavarze. Dziadek też to zażywał.

Palcem u nogi ostrożnie dotknęła leżącego na podłodze pustego pudełka po leku.

– Kilka miesięcy, jeśli będę miał szczęście – powiedział w końcu. – Za dużo przerzutów. Już nawet nie zażywam nexavaru.

– Przykro mi – odparła.

Milczeli przez chwilę.

– Muszę zrobić wszystko dla Jane – odezwał się w końcu. – Tylko tyle mogę jej dać. Tylko tyle mogę. Dać jej wszystko, czego potrzebuje.

– To ładnie.

Poprawiła się na siedzeniu, oparłszy się ręką. Robiło się to za prywatne, za bardzo ludzkie. Coś jej się przylepiło do dłoni. Papierek po słodyczach. Zbrzydzone, próbowała go odczepić, ale przykleił się do palców, robiło jej się niedobrze. Wreszcie się udało. Podniosła wzrok.

– Powinieneś był tu skręcić – powiedziała, wskazując na zjazd, który właśnie minęli.

Ale zamiast zwolnić, samochód przyspieszył.

– Przegapiłeś zjazd – powiedziała, odwracając się do niego i marszcząc brwi.

Kenneth nie odpowiedział. Nacisnął mocniej pedał gazu, szybkościomierz pokazywał już sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę.

– Co ty robisz? – zawołała, wpatrując się w niego.

W końcu odwrócił głowę w jej stronę i spokojnie powiedział:

– Jedziesz ze mną do domu.

I znów skierował wzrok na drogę. Mina na moment znieruchomiała, potem sięgnęła po telefon. Zanim zdążyła zareagować, Kenneth wyrwał go i wyrzucił przez szparę w okienku. W tym momencie Mina zrozumiała, że popełniła błąd.

Wielki błąd.

KVIBILLE 1982

BRACISZEK SKULIŁ SIĘ na kanapie w salonie. Objął rękami kolana i płakał. Łzy zmoczyły mu koszulkę i siedzisko kanapy. Ledwo słyszała, co mówił.

– Wsunęła się do skrzyni – powiedział, szlochając. – Zamknąłem kłódkę. Potem miałem tylko pójść po to, tę od ciebie. Pobiegłem do domu. I zgłodniałem. Zjadłem trzy kanapki z plasterkiem sera i połówką plasterka szynki na każdej. I wypilem...

– Nieważne, co jadłeś i piłeś! – Nie mogła powstrzymać się przed krzykiem.

– A właśnie że tak! – krzyknął w odpowiedzi. – Radio w kuchni było włączone. I był program o manioderpesy... depresy... no, tym, co czasem jest mamie. Więc posłuchałem. Potem przyjechały Malla, Sickan i Lotta. Miały ze sobą koszyk piknikowy. Pojechaliśmy nad jezioro i się pokąpaliśmy. Potem jedliśmy obiad w domu u Sickan.

Zebrało jej się ponownie na wymioty.

Cholerna toga. Gdyby mu jej nie dała, to zostałyby w oborze. I nic by się nie stało. To wszystko jej wina. Ale nie. Tak rozumowała dawna Jane. Ale nie tym razem. Już nie.

– Twoje koleżanki nie pytały, gdzie mama?

– Pytały, przypomniałem sobie, że jest w oborze, ale powiedziały, żebyśmy się wymknęli, żeby nie zauważyła. Taka psota.

Psota. Zamordowałyby te dziewczyniska.

– Kiedy ci się przypomniało, że zostawiłeś ją w skrzyni? – spytała, zmuszając się do spokoju.

Usiadła na kanapie obok brata, który oparł głowę na kolanach.

– Wieczorem – odparł cicho. – Kiedy miałem iść spać.

– *Wieczorem?* Jak mogłeś o tym zapomnieć? I to akurat ty?

– Ale ja nie zapomniałem! Na dworze było już ciemno. Wtedy jest strasznie. Nagle podniósł na nią wzrok, w którym był upór.

– Zresztą mogła wyjść stamtąd! Tam była... właściwie to nie mogę mówić, bo magik nie powinien zdradzać swoich tajemnic, ale...

– Zaraz ci dosunę!

– Tam były ukryte drzwiczki. Cały trik polegał na tym, że mogła się wymknąć z tyłu. Myślałem, że tak zrobiła, że się wydostała, kiedy nie wracałem, a potem może poszła do kogoś albo coś w tym rodzaju. Albo plewiła mlecze. Sam nie wiem.

Musiała to przyjąć. Przecież miał zaledwie siedem lat. I był niepodobny do większości siedmiolatków. Powinna o tym pamiętać. Jednakże. Wszystko ma swoje granice.

– Dlaczego nie poszedłeś sprawdzić? – spytała. – Kiedy wciąż nie wracała?

– Balem się. Że może będzie się gniewać. Albo będzie ją coś bolało, bo to za długo trwało. Nie chciałem, żeby mnie skrzyczała. Jane, ja nie rozumiem, dlaczego ona została w tej skrzyni?

– Bo te cholerne drzwiczki nie zadziałały!

Braciszek drgnął wyraźnie.

– Nie zadziałały? Raczej się nie pomyliłem w obliczeniach... Ale chyba powinna wtedy walić w ścianki?

Czasem zachowywał się jak głupi. Prawdziwy cud, że nie utknął w tej todze w drzwiach obory i się nie udusił.

– Skąd wiesz, że nie waliła? Przecież cię nie było. A potem tam nie chodziłeś. Przez prawie dwa tygodnie. Bo nie chciałeś, żeby na ciebie nakrzyczała? Co ty sobie wyobrażasz? Może waliła w tę skrzynię przez kilka godzin. Albo kilka dni!

Nie była przekonana do końca o swojej racji. Może to nie takie proste, jak by chciała to widzieć? Czy na pewno nie ma wątpliwości, że braciszek jest winien wszystkiemu? Wciąż stawał przed nią obraz mamy wtedy na trawniku. Słyszała jej słowa równie wyraźnie, jakby padły sekundę temu.

Jeśli odejdziesz, odbiorę sobie życie.

Przecież nikt nie odbiera sobie życia, głodząc się, żeby nie powiedzieć gotując się powoli w skrzyni nagrzananej jak sauna? Nie. Nie w świadomym zamiarze. Mama na pewno nie zignorowała drzwiczek celowo. A kiedy zdała sobie sprawę, że tkwi w zamknięciu? Czy jakaś część jej osobowości kazała się poddać? Jakiś głos powiedział jej, że... bardzo dobrze? Że lepiej im będzie bez niej i po prostu... czekała?

Jane pokręciła mocno głową, aż zabolęło. Potworna myśl. Tak nie można robić. Nie wolno. A jeśli? Spojrzała na siedzącego obok brata i zdecydowała się. To wyłącznie jego wina. Jej stukniętego braciszka, który nawet nie poszedł

sprawdzić. Gdyby nie był takim świrem, wszystko wyglądałoby inaczej. A tak to jest jak jest.

Rozległ się dzwonek do drzwi.

– Kto to może być? – załkał braciszek.

Jane spojrzała w sufit i zamrugła, żeby poradzić sobie z napływającymi łzami. Zniszczył jej życie. Nie będzie żadnego liceum w Mora. Zamiast tego, nie mając rodziców, trafi do rodziny zastępczej i już wiedziała, jak fajnie się to skończy. Lata w Kvibille nauczyły ją jednego, że nie jest taka jak inni. Nauczyciele przewracali oczami, kiedy rozwiązywała zadania za szybko i zadawała pytania, których nie rozumieli. Żaden z chłopaków w klasie jej nie zaczepiał, bo najwyraźniej nie chcieli zadawać się z kimś, kto potrafi myśleć wielotorowo. Nawet dziewczyny milkły, kiedy wchodziła, jakby nie wiedziały, w jakim języku z nią rozmawiać. Były głupie, nic nie mogła na to poradzić.

A w Mora byłoby zupełnie inaczej. Tam było więcej takich jak ona. Bystrych, jak mówiła Ylva. Tam byłaby normalna. Nie musiałyby się powstrzymywać, przeciwnie, rozkwitłaby.

Nowe życie.

Wstała z kanapy i poszła otworzyć policji. Zadzwoiła do nich godzinę temu. Nowe życie skończyło się, zanim się jeszcze zaczęło. Nienawidziła swego młodszego brata. Strasznie, strasznie go znienawidziła. I jego cholerne koleżanki.

KENNETH ZAJECHAŁ furgonetką na żwirowy dziedziniec przed dużym szarym budynkiem. Rozpoznała charakterystyczną strukturę ze zdjęć, które oglądała podczas dokumentowania miejsc, gdzie stosowano ketaminę. Mieli rację. Była to ferma nerek. Kenneth wyłączył silnik i odwrócił się do niej.

Nagle, bez ostrzeżenia, wymierzył jej mocny policzek. Taktyka zastraszania. Skuteczny sposób, by ofiara stała się uległa i tym samym łatwiejsza, bo nie potrafi przewidzieć, kiedy się to zdarzy ponownie. Wszystko to wiedziała. Co nie znaczy, że nie zadziało. Wstrząsnęło nią, że ten stary mężczyzna ma tyle siły. Kortyzol i adrenalina wręcz eksplodowały w jej organizmie, poczuła absolutne przerażenie.

– Czekał – powiedział, otworzył drzwi po swojej stronie i wysiadł.

Walczyła z adrenaliną i strachem, który przeszkadzał myśleć. Powinna zaufać instynktowi, temu, że lata szkoleń policyjnych zaprogramowały ją na odruchy zapewniające przeżycie.

Kenneth obszedł furgonetkę, żeby otworzyć jej drzwi. Kiedy był z przodu, zastanawiała się, czy nie wyskoczyć z drugiej strony, ale zanimby to zrobiła, pewnie zdążyłby wrócić. Zamiast tego szybko odpięła pasy i podciągnęła nogi. Kiedy nacisnęła klamkę po jej stronie, zrobiła mocny wykop. Drzwi otworzyły się gwałtownie, uderzając go w głowę i w tors. Krzyknął i padł ciężko do tyłu na żwir. Miała nadzieję, że go zabolalo.

Wyskoczyła z auta i minęła zamroczonego Kennetha. Uderzył ją obezwładniający smród. Spodziewała się woni zwierząt, ale to... to było coś więcej. Coś chorego. Zatkala ręką usta.

Z dziedzińca prowadziła chyba tylko jedna droga, ta, którą właśnie przyjechali. Ruszyła biegiem w tamtą stronę, ale już po kilku krokach między drzewami odbił się echem głośny huk. Odwróciła się. Przed szarym budynkiem na wózku inwalidzkim siedziała Jane. Mierzyła do Miny z pistoletu. Mina skłęła siebie za swoją tępotę. Jak mogła nie pomyśleć, że jest tu Jane.

– Nie rób nic głupiego – odezwała się Mina, podnosząc powoli rękę.

Sposób, w jaki Jane trzymała pistolet, zdradzał, że nie jest to pierwszy raz. Może i była stara i na wózku, ale cel miała.

– Mogę tylko odpowiedzieć to samo – odparła poważnie Jane. – Sama widziałaś, co potrafię zrobić czymś takim.

– Agnes?

Jane przytaknęła zadowolona z siebie.

– Słuszny wniosek, pani władzo. Prosto w usta. Szkoda, że nie widziałaś, jak się zdziwiła.

Należałoby pozbawić Jane broni, i to szybko. Najwyraźniej była dobrym strzelcem. Jednak strzelanie do nieruchomego celu to całkiem co innego niż do ruchomego, zwłaszcza jeśli ten cel porusza się w naszym kierunku. Jedyna szansa Miny była taka, by podbiec zygzakiem i liczyć na to, że Jane za nią nie nadąży. Wolałaby uniknąć postrzału w ramię, ale zniosłaby to. Byle odebrać tamtej pistolet.

Powoli opuściła ręce, utrzymując kontakt wzrokowy z Jane. Nie wolno okazać napięcia mięśni w nogach albo brzuchu, żadnego przesunięcia punktu ciężkości, nic, co by zdradzało, że zbiera się do sprintu. A kiedy pobiegnie, musi być po wszystkim, zanim jeszcze się zacznie.

Nagłe mocne uderzenie w plecy rzuciło ją w przód. Padając, pokaleczyła sobie kolana i wylądowała twarzą na kamykach. Dech jej zapało, ale kiedy próbowała wciągnąć powietrze, tylko zachrypiała. Usłyszała kroki, przed oczami zobaczyła czyjeś stopy. Nie mogła podnieść głowy, by sprawdzić czyje. Wystarczyło, że z trudem wciągała powietrze w płuca. Zresztą nie musiała widzieć. I tak widziała. Co za tępota.

– Coś bardziej podskakuje od tamtych – zarechotał Kenneth, stojąc nad nią.

ZADZWONIŁ PO RAZ piąty, ale z tym samym skutkiem co poprzednio. Uprzejmy głos poinformował go, że wybrany numer jest nieosiągalny. Telefon Myny był wyłączony.

Mina wprawdzie dbała bardzo o swoją prywatność, ale nie przypominał sobie, by wyłączała telefon poza tamtymi spotkaniami, o których według niej nikt nie wiedział. I nawet tam często zdarzało jej się o tym zapomnieć. Poza tym zawsze była osiągalna i lojalna w pracy w taki niemal staroświecki sposób. Oczywiście teraz też mogła być na takim spotkaniu i dlatego wyłączyła. Jednak nie dziś. Nie w dniu, który – jeśli nie zdążą temu zapobiec – miał się zakończyć bestialskim morderstwem.

A mimo to nie odbierała.

Vincent nie znajdował żadnego logicznego wyjaśnienia dla przecucia, które go naszło, powinien mieć je zignorować. Jednak tak mu się wgryzło w ciało migdałowe, że zupełnie zdominowało racjonalne płaty czołowe.

Chciał zadzwonić do kogoś z pozostałych kolegów w zespole. Problem polegał na tym, że znał tylko numery Rubena i Julii. Ruben wprawdzie siedzi w samochodzie kilka metrów od jego domu, ale mu nie uwierzy. Uzna, że Vincent próbuje jakiejś sztuczki, żeby móc wydostać się z domu.

Zadzwonił więc do Julii, ale odezwała się tylko jej poczta głosowa. Rozłączył się, zanim wybrzmiał cały komunikat. Spojrzał przez okno na samochód Rubena. Chodzi o Minę. Jeśli coś jej się stanie, Vincent nigdy sobie tego nie wybaczy. Gdyby mógł, nie pozwoliłby nawet, żeby ją głowa bolała. Trzeba zmusić Rubena, żeby mu uwierzył.

Już miał otworzyć drzwi wejściowe, kiedy zadzwonił smartfon w jego ręce. Nieznany numer. W dodatku domaga się rozmowy wideo. Jediną znaną mu osobą, którą bawiło coś takiego, był Aston, ale syn nie posiadał telefonu. Vincent zawałał się, a potem odebrał.

– Halo?

Widok, jaki ujrzał na wyświetlaczu, sprawił, że dech mu odebrało. Mina siedząca na wózku inwalidzkim, do którego miała przywiązane ręce. Jej zwykle

starannie uczesane włosy zwisały nieporządnie, twarz była brudna. Miała na szyi wisiorek, który kiedyś widział na jej biurku, biały golf czarny od brudu. Jeden rękaw był rozdarty. Walczyła z kimś, najwyraźniej bardzo gwałtownie. I przegrała.

Obok niej stał starszy mężczyzna. Mina, gdy zdała sobie sprawę, że kamera jest włączona, zaczęła szybko mówić.

– Vincent – odezwała się. – Nie wiem, gdzie jestem, ale śmierdzi jak...

Przerwał jej mocny policzek wymierzony przez mężczyznę. Vincent uzmysłowił sobie, że już go widział. Rozmawiał z nim w lokalu AA. Kenneth.

– Wiesz, co ci grozi za podniesienie ręki na policjanta? – krzyknęła i szarpnęła krepujący ją sznur. – Postaram się, żebyś dostał dożywocie!

Kenneth zarechotał i szarpnął sznur wokół jej ciała. Mina jęknęła, jakby ucisk był bardzo bolesny, i umilkła. Osoba trzymająca smartfon odwróciła go i teraz patrzył prosto w oczy starej kobiety. Wyglądała na chorą, jakby jej twarz się skurczyła, zrobiła się mniejsza, niż powinna. Z cerą pogrubiałą i spękaną, jakby spędziła na ulicy większą część życia. Które chyba nie było dla niej zbyt łaskawe.

Spojrzenie – znał je. Było równie intensywne jak kiedyś. Otworzył szeroko oczy, kiedy zdał sobie z tego sprawę. Jak to możliwe, że jego siostra tak się zestarzała?

– Cześć, braciszku – powiedziała. – Co u ciebie słychać?

– Coś ty zrobiła Minie? – krzyknął.

– Ćśś. Co za brak wychowania. Miło byłoby usłyszeć jakieś „cześć”. Ale nie wydajesz się zdziwiony moim widokiem, przypuszczam więc, że w końcu rozwiązałeś zagadkę w książce. Przyznaj, że akurat to sprawiło ci satysfakcję.

Zaśmiała się z zadowoleniem.

– Właśnie, w AA dowiedzieliśmy się, że dręczyłeś swoją wielbicielek Annę – powiedziała. – Nieładnie. Ciągłe opowiadała o „fantastycznym Vincencie Walderze”. Nie do wiary, że tak łatwo można się dać zmanipulować. Wystarczyło, jak Kenneth powiedział, że może ktoś powinien pomóc Minie, a odwaliała za nas całą robotę, proponując ciebie. Okazało się, że całkiem niepotrzebnie sporządziliśmy cały plan, jak mamy ciebie w to wciągnąć. Okazało się to takie łatwe, że prawie pozbawiło nas satysfakcji.

– Wypuść Minę – warknął.

Twarz siostry pokrywała cały ekran smartfona. Vincent chciał ujrzeć znów Minę, przekonać się, że jest cała i zdrowa.

– Rozumiem – powiedziała Jane. – Wolisz przejść do rzeczy. Proszę bardzo. Później będzie czas na pogawędkę. Najpierw, widzisz, ustalimy zasady.

– O czym ty mówisz? Czego chcesz...

– Nie przerywaj, kiedy mówią dorośli – warknęła. – Cały ty. Wszystko się musi kręcić wokół ciebie. Wiem, że chciałbyś zadać Minie mnóstwo pytań. Gdzie jest, jak się czuje i tak dalej. Ale zapewniam: zadaj choćby jedno pytanie, a ona natychmiast zginie. Mina, to samo dotyczy ciebie. Powiedz choć jedno słowo, a wszystko się skończy, zanim się jeszcze zaczęło.

Vincent nie odpowiedział. Najwyraźniej Jane mówiła poważnie. Co się stało z jego siostrą? Taka była bystra. Teraz zachowuje się jak osoba w stanie psychotycznym. Wariatka. Nie mieściło mu się w głowie, że kobieta w telefonie była kiedyś tamtą dziewczyną, którą siedząc na kocu, zabawiał karcianymi sztuczkami.

Jane zmieniła kierunek kamerki, zobaczył, jak Kenneth chwycił mocno Minę za twarz. Rzucała głową, chcąc się uwolnić z chwytu, ale nie pomogło. Ścisnął jej policzki.

– Zrozumiano? – spytała Jane.

Kenneth poruszył ręką w górę i w dół, wyglądało to, jakby Mina przytaknęła. Ale panika w jej oczach była nieudawana. Jednocześnie był to znak, że się nie poddała.

– Mina, jest okej – powiedział, starając się przekazać jej: *Widzę cię, wiem, że cię boli, ale oni nie wiedzą, na czym polega to, co jest między nami.* – Zrobimy wszystko, co nam każą.

Wwiercała się wzrokiem w jego oczy.

Wydostaniemy się z tego, wierzę w ciebie. W nas.

– Zapomniałam się, przepraszam za niegrzeczność – powiedziała Jane. – Chociaż dopiero co tobie to zarzucałam. Poznałeś już Kennetha. To mój mąż i partner.

Mężczyzna trzymający Minę za twarz skłonił się z uśmiechem do kamerki. Jane cofnęła się i kamera zrobiła odjazd. Zobaczył, że Mina siedzi przy warsztacie. Leżał tam miecz, Vincent natychmiast rozpoznał, jaki to rodzaj. Condor Grosse Messer. Ten sam, którym została przebita Tuva. Rękojeść z zaciskiem doczepionym do młota udarowego. To tłumaczyło ślady, które widział na rękojeści, kiedy był w zakładzie medycyny sądowej. Młot udarowy wyglądał dokładnie tak samo jak te używane do zrywania asfaltu, chociaż był trochę mniejszy. Kurwa mać. Użyli go do wbijania mieczy w Tuwę. Nawet nie potrafił sobie wyobrazić, jaki to musiał być ból.

Jednak to nie miecz ani młot udarowy zwróciły jego największą uwagę.

Było to pięć ponumerowanych i odwróconych torebek papierowych ustawionych przed Miną. Dostatecznie dużych, by pod każdą z nich zmieścił się w pozycji pionowej ośmiocalowy gwóźdź. Vincent cały zlodowaciał.

– Nie jestem bez serca – powiedziała jego siostra. – Wiem, ile znaczy dla ciebie Mina. Ojej, nie rób takiej zdziwionej miny. Anna mówiła nam, jak często was widywała na mieście. Umizgiwaliście się do siebie gdzie się tylko dało. W parku Rålambshov. Na Fjällgatan. W tej restauracji na dachu. Nawet u niej w domu. Więc nie udawaj obojętnego. Powiedziałabym nawet, że w tej chwili nikt nie znaczy dla ciebie tyle co ona. I wiesz co, będziesz miał możliwość, żeby ją uratować.

Kenneth zarechotał.

– Albo zabić – odezwał się z zimnym uśmiechem.

– Zabawna rzecz, że to zawsze asystentce musi się przydarzyć coś złego – powiedziała Jane, przechylając się tak, by znaleźć się w kadrze i spojrzeć Vincentowi w oczy. – Zadaniem uroczej asystentki jest dać się zamknąć w ciasnym pomieszczeniu i wystawić na tortury. A może słyszałeś, jak poznaliśmy Minę? Wiadomo ci o jej małym... problemie?

Jane wpatrzyła się w Minę, która nie odwzajemniła spojrzenia.

– Wiesz, że jest tchórzem? Wiesz, jaka jest bojaźliwa? – Pytanie miało charakter retoryczny, Jane wyraźnie nie oczekiwała odpowiedzi. – Siedziała na tych spotkaniach – ciągnęła. – Raz za razem, tydzień po tygodniu. Słuchała, jak inni się otwierają, dzielą swoimi doświadczeniami. Bólem, walką. A sama... sama nie powiedziałaś o sobie nic. No, to teraz masz okazję, Mina. Co masz powiedzieć? Czym masz się podzielić? Oto twoja publiczność. I może ostatnia szansa. Kto wie? Więc wykorzystaj ją.

Mina nie reagowała.

– Usunę jedną torebkę. Taką bez gwoźdźcia pod spodem. Jeśli się nie podzielisz.

Jane mówiła to spokojnie, całkowicie obojętnie. Ręka Kennetha zrobiła ruch w stronę warsztatu ze stojącymi na nim torebkami.

– Mina, zrób, co ci każą – odezwał się Vincent, zmuszając się do spokoju.

Pięć torebek to dwadzieścia procent ryzyka, że trafi w gwóźdź. Jedna torebka mniej i ryzyko wzrasta do dwudziestu pięciu procent. Musiał mieć wszystkie atuty po swojej stronie.

Mina podniosła powoli głowę. Spojrzała prosto na Vincenta i zaczerpnęła tchu. Jeśli chodziło jej o reakcję Vincenta, to niepotrzebnie się denerwowała czy obawiała. I tak wiedział, co powie.

– Mam... Mam na imię Mina. I jestem... uzależniona od leków.

– Proszę bardzo. To chyba nie było takie trudne? – powiedziała Jane z uśmiechem, zaskakująco serdecznym i otwartym. – Fajnie, prawda, Vincent? Dlaczego miało to być takie trudne? Ona nie jest aż tak wyjątkowa. Ani trochę

lepszą od nas pozostałych na tych spotkaniach. Prawda, Vincent? Zwykła narkomanka... A siedzi i zadziera nosa...

– Wiedziałem o tym – przerwał jej Vincent.

Wyraz złośliwej satysfakcji na twarzy Jane przeszedł w zgryźliwy. Mina spojrzała na niego ze zdziwieniem. Jane chciała powiedzieć coś jeszcze, ale nie słuchał. Patrzył na papierowe torebki i czuł, jak oblewa go pot. Patrzył na Minę. Na Jane. Myśli kotłowały się, obijając od wnętrza czaszki, wydostawały się z niej i uciekały z krzykiem. On, Jane i Mina stanowili trzy boki trójkąta, idealnego trójkąta, gdzie tosty nie mogą pęknąć, bo mama musi je wtedy wyrzucić, ale było jeszcze pięć torebek, trzy plus pięć równa się osiem, ale to nic nie daje.

przestań

ale osiem plus Kenneth (dlaczego mąż jej siostry ma na imię Kenneth, kto to widział tak się nazywać) to dziewięć, a dziewięć centymetrów to 3,5 cala *przestań, przestań*

a 3,5 to ustawienie tosterka, chyba że już był nagrany, żeby trójkąt wyszedł idealnie kruchy, jednak boki ciągle pękały zupełnie tak jak on iii...

PRZESTAŃ

– Jane, miałem wtedy zaledwie siedem lat – powiedział. – To był wypadek.

Siostra spojrzała twardo.

– Myślisz, że chodzi tylko o mamę? – warknęła. – Jesteś jak zwykle egoistycznym dzieciuchem. Dość tych rozmów. Już pora.

Zniknęła z obrazu, teraz widział znów Minę i papierowe torebki.

– Sami pogarszacie swoją sytuację – odezwała się Mina, szarpiąc znów sznury.

I znów została zignorowana. Kenneth zmienił chwyt, teraz złapał ją za potylicę.

– Znasz zasady, braciszku – powiedziała Jane. – To w końcu twój ulubiony numer. Wybierz jedną cyfrę.

Vincent przełknął ślinę i skoncentrował się na oddechu, aż poczuł, że już panuje nad myślami. Musiał zrobić, co mu kazała. Nie stać go było na błąd. Ani przez chwilę nie wątpił, że zabiją Minę w chwili, gdy odmówi wykonania ich instrukcji. Ale jak miałyby wybrać?

– Skąd mogę wiedzieć, czy nie umieściłaś gwoździ pod wszystkimi torebkami? – spytał.

– Wybierz jedną cyfrę – odparła złowieszczym tonem – bo inaczej ja to zrobię.

Skupił się. Pięć torebek. Pięć pozycji. Kiedy ludzie zostają poproszeni o wybranie jednego spośród pięciu przedmiotów w rzędzie, najczęściej

wybierają ten na pozycji cztery, a na dobrym drugim miejscu jest pozycja dwa. Psychologicznych wyjaśnień tego faktu istnieje wiele, w jednym są one jednomyślne, że to się zgadza. Jeśli dla Jane to fenomen nieznan i umieściła gwóźdź bez głębszego zastanowienia, jest szansa, że znajduje się on na miejscu dwa albo cztery.

Ale jeśli wie o tym fenomeń, umieściłaby go na którejś z pozostałych pozycji, zwiększając w ten sposób szansę, że Vincent wybierze torebkę, pod którą jest gwóźdź, bo wiedziała, że będzie unikał pozycji dwa i cztery, sądząc, że jest właśnie tam.

Jeśli nie zakłada, że Vincent ją przejrzy, domyślając się, że gwoźdź nie będzie na pozycji dwa albo cztery, wtedy specjalnie umieści go właśnie tam, licząc, że Vincent wybierze którąś z tych pozycji, bo będzie sądził, że gwóźdź jest na jednej z pozostałych trzech.

Oczywiście przy założeniu, że gwoździ nie jest więcej.

Cholera jasna.

Nie widział swojej siostry od czasu, jak był mały. Ale zawsze była bystra. Bardzo. Natomiast jego nie postrzegala jako bystrego. Dlatego była taka zaskoczona jego sztuczkami magicznymi. Chociaż potem zawsze twierdziła, że wie, jak to zrobił. Nie wierzyła, że mógłby ją przechytrzyć. Prawdopodobnie teraz też nie wierzy.

– Wybieram torebkę numer dwa – powiedział Vincent, wstrzymując oddech.

– To, co się teraz stanie, będzie tylko i wyłącznie twoją winą – odparła. – Chcę, żebyś o tym wiedział.

Kenneth uderzył mocno głową Myny w torebkę numer dwa. Torebka zgmiotła się, kiedy czoło uderzyło o blat.

– Aua! – krzyknęła Mina.

Kenneth podniósł jej głowę za włosy. Na czole miała czerwony ślad po uderzeniu, ale żadnego gwoźdź. Vincent odetchnął.

– Debiutancki fart – skomentowała siostra. – Wybieraj następną.

Odważył się zadać pytanie.

– Mina, okej?

Pokręciła głową. Łzy płynęły jej po policzkach. Mięśnie twarzy zwiotczały.

– Wiesz, pod którą jest gwóźdź? – spytał.

Znow pokręciła głową. Opór w jej oczach prawie zgasł.

– Vincent, ostrzegam cię – powiedziała Jane. – Nie zadawaj pytań, jeśli nie chcesz, żeby Kenneth użył miecza. Wybieraj. Już.

– Okej, okej, czekaj, wybieram... torebkę numer jeden.

Nie miał pojęcia, teraz nie było sposobu, żeby wiedzieć. Poza tym, że statystyka była wciąż po jego stronie. Przy czterech torebkach, które pozostały,

miał siedemdziesiąt pięć procent szans, że wybrał pustą torebkę. Z drugiej strony było dwadzieścia pięć procent szans, że właśnie zabił Minę.

Mina krzyknęła, kiedy jej głową znów uderzono w blat. Odgłos uderzenia w drewno wywołał trzask w słuchawce. Kenneth natychmiast podciągnął ją do pozycji siedzącej. Dygotała, wstrząsał nią nieopanowany płacz i już nie patrzyła w oczy. Ślad na czole miał ciemnoczerwony kolor, ale nadal nie było tam gwoźdźcia.

– Fajnie, co, Vincent? – zaśmiała się Jane. – Zabawa dopiero się rozkręca! Zostały jeszcze trzy. Publiczność wstrzymała oddech. Wybieraj!

– Skończ już – poprosił cicho. – Wystarczy. Dostanie wstrząśnienia mózgu. Zrobię, co zechcesz, ale skończ, proszę. Już nie mogę.

Zamrugął, poczuł łzy na policzkach.

– Wybieraj! – ryknęła jego siostra.

– Nie! – krzyknął w odpowiedzi.

Jane kiwnęła ręką Kennethowi, który bez uprzedzenia walną głową Miny w torebkę numer pięć. Zdażyła tylko jęknąć. I znów szarpnął ją, przywracając do pozycji siedzącej. Tym razem na stole została plama krwi. Mina wyglądała, jakby miała zaraz stracić przytomność. Przestała płakać, ramiona zwisły bezwładnie. Patrzyła prosto, ale nie skupiała wzroku. Nic nie wskazywało, że jest przytomna, może odpłynęła gdzieś, gdzie już nie mógł za nią podążyć. Ze śladu na czole lała się krew, spływając na jej piękne ciemne oczy. Ale wciąż był to tylko ślad. Bez gwoźdźcia.

Vincent patrzył wielkimi oczami na pozostałe dwie torebki. Numer trzy i cztery. Pięćdziesiąt procent szans. Mina była w tym momencie równie żywa, co martwa.

Asystentka Schrödingera, przemknęła mu myśl, zanim zdążył ją powstrzymać. Życie Miny znalazło się w stanie zawieszenia. Do momentu, gdy on dokona wyboru, wskazując jedno z dwóch wyjść. On, Vincent. Przecież nie może sprawować władzy nad jej życiem, nie może mieć go w swoim ręku, to za dużo.

Spojrzał na nią, tę policjantkę, którą poznał lepiej niż kogokolwiek. Lepiej niż siebie. Ciemne włosy, piękne rysy, wyraźnie zaznaczony nos. Pełne wargi i spierzchnięte, związane ręce. Patrzyła wciąż przed siebie, bez wyrazu, ale jej oczy były najinteligentniejszymi, jakie widział.

Włożyła mu słomkę do piwa.

Wzięła go za rękę.

Płakała z głową na jego ramieniu.

Zaufała mu.

A on miał ją teraz zawieść.

Potrzebował jej, żeby utrzymać się w rzeczywistości. Odkąd pojawiła się w jego życiu, wszystko się zmieniło, i to bardziej, niżby przypuszczała, bardziej, niż kiedykolwiek będzie jej w stanie powiedzieć. Mroczny cień mieszkający w jego wnętrzu, samo jądro cienia, okazywał się bezsilny, kiedy ona była przy nim. Bez niej był... Nie był w stanie dokończyć tej myśli.

Dwie torebki. Jeden wybór.

Będzie żyła.

Zginie.

Nie potrafił tak. Musiał się w jakiś sposób dowiedzieć, zrozumieć, gdzie jest gwóźdź.

– A teraz: orkiestra tusz – powiedziała Jane. – Nasz wielki mentalista dokona swego zdecydowanie ostatniego wyboru za pięć sekund.

Mina zamruwała, jakby wróciła do rzeczywistości. Spojrzała na znajdujące się przed nią torebki i pokręciła głową, kiedy zdała sobie sprawę z tego, co się dzieje. Jej wzrok spotkał się ze wzrokiem Vincenta. Był równie przerażony jak ona.

– Nie – wymamrotała. – Nie, nie, nie.

Vincent tymczasem myślał szybciej niż kiedykolwiek. Jane powiedziała „wielki mentalista”. Jednak mentalista jest również iluzjonistą, który w rękawie zawsze ma więcej sztuczek, niż myślała publiczność. Niewidzialne nitki. Dublety. Lusterka. I... Tak. TAK! Przygryzł policzek od środka, żeby nie było widać podniecenia. To by mogło zadziałać. Zresztą była to jedyna możliwość.

– Czy ona mogłaby znaleźć się trochę bliżej torebek? – spytał możliwie neutralnym tonem.

– Ojej, trochę dramatyzmu, dlaczego nie! – zaśmiała się Jane. – Obejrzymy jej mózg z bliska!

– Vincent – odezwała się zdezorientowana Mina – dlaczego miałabym chcieć...?

Urwała.

Zrobimy to razem. Musimy sobie ufać. Damy radę.

– Nachyl się nad torebką numer trzy.

Mina zrobiła, co kazał.

– Dobrze. A teraz torebka numer cztery.

Znów się nachyliła. *Jest*. Vincent zrobił wysiłek, by nie okazać emocji. Mina siedziała w taki sposób, że nie widziała, co się stało. Jane i Kenneth chyba też nie zauważyli, jednak Vincent widział wyraźnie, że magnetyczna zawieszka naszyjnika Myny poruszyła się o milimetr, gdy znalazła się bliżej torebki numer cztery.

Jakby zareagowała na metal.

Na przykład na dwudziestocentymetrowy gwóźdź.

– Trzy! – krzyknął Vincent. – Wybieram torebkę numer trzy!

– Pamiętaj, że to twój wybór, braciszku – odezwała się jego siostra. – No to pa, Mina.

Mina zaczerpnęła tchu i zacisnęła powieki. Opierała się ze wszystkich sił, jednak Kenneth był silniejszy. Naciskał jej głowę, żeby nachylić ją nad torebką numer trzy. A potem powoli, lecz zdecydowanie dociskał. Torebka zgmiotła się pod ciężarem głowy, która opadła na warsztat. Kenneth napierał obiema rękami na jej kark, jakby naciskał na gwóźdź, który musi przebić kość czaszki. Z ust Miny pociekła, bulgocząc, ślina, jej ciałem wstrząsały drgawki. Kiedy w końcu Kenneth ją puścił, pozostała w tej samej pozycji z głową na blacie. Jakby się przykleiła. Znieruchomiała. Aż za bardzo.

SARA BIEGŁA KORYTARZEM gmachu policji. Wreszcie coś zaczęło się dziać. Michael z dziećmi przyjechał z Nowego Jorku na początku sierpnia. Spędzili razem trzy tygodnie wakacji, objeżdżając Szwecję. A potem dzieci poszły do szkoły. Sara myślała, że szybko przyzwyczają się do życia w Sztokholmie. Myliła się.

Schody prowadzące w dół na wewnętrzny zadaszony dziedziniec budynku przesadzała po dwa stopnie, potem znów biegła. Nie chciała tracić czasu na telefon do Julii, sprawa była zbyt poważna, żeby nie przedstawić jej osobiście.

W porównaniu z pulsującym nieustannie Nowym Jorkiem jej Sztokholm był miastem, w którym nic się nie dzieje. Dzieci tęskniły za swoimi amerykańskimi przyjaciółmi, a Michael zaczął mówić o przeprowadzce do Kalifornii, ponieważ tam się znajdowała zatrudniająca go firma produkująca gry. Ten pomysł wydawał się coraz lepszy. Ale mogłaby przynajmniej zrobić tę jedną ostatnią rzecz, zanim zakończy swoją pracę w policji.

Sara bała się, że winda nie przyjedzie dostatecznie szybko, wolała więc wbiec na trzecie piętro, żeby dotrzeć do kondygnacji z gabinetem Julii.

Cierpliwie czekała, na czym będzie polegać jej nowe zadanie w macierzystym miejscu pracy. Tymczasem wydawało się, jakby nikt tego do końca nie wiedział. Dlatego z wdzięcznością przyjęła wiosną prośbę Julii, żeby im pomogła. Dzięki temu miała przynajmniej jakieś zajęcie. Z tego samego powodu zgodziła się na ponowioną prośbę Julii. Tym razem praca była znacznie intensywniejsza. W ostatnim tygodniu całymi dniami obserwowała ruch w sieciach komórkowych. Z początku pomagał jej Peder, którego czujne oczy niczego nie przepuściły. Pod warunkiem, że były otwarte. Kiedy dwukrotnie zdarzyło mu się zasnąć w pracy, stwierdzili oboje, że lepiej będzie, jeśli Sara weźmie to na siebie. Przepływ informacji w sieciach komórkowych był zbyt duży, żeby dało się to jakoś sensownie posortować. Sara miała jednak sprytny software, który wykonywał tę pracę za nią, bo wiedział, czego szukać. Jednak nie przypuszczała, że to coś da. Z jej doświadczenia wynikało, że w takich sytuacjach telefony były używane tylko raz, a następnie kasowane, żeby nie można było ich wyśledzić.

Sara rzadko się myliła, na to była zbyt dokładna. Ale tym razem się pomyliła i była to najlepsza rzecz, jaka się mogła zdarzyć.

Po wielu miesiącach milczenia morderca właśnie użył swego telefonu.

VINCENT WPATRYWAŁ SIĘ w obraz nieruchomej sylwetki Mina. Nie widział wyraźnie, za bardzo trzęsła mu się ręka trzymająca smartfon. Liczył, że magnetyczna zawieszka na naszyjniku Mina zareaguje na gwóźdź. I tak się stało. Chyba. Ruch był tak nieznaczny, że równie dobrze zawieszka mogła zakłuć sama Mina. Gwóźdź też nie musiał być magnetyczny. Jak większość gwoździ.

Ale co miał robić? Miał do wyboru jedną z dwóch torebek. Gdyby ryzykował, szansa, że dokonałby właściwego wyboru, byłaby taka sama. Albo złego. Jakie to potwornie niesprawiedliwe. Przecież się starał.

Głowa Mina odcinała się od jasnego drewna blatu. Od jasnego drewna blatu, bo... bo nie było krwi.

W ogóle.

Serce mu stanęło na moment.

Mina powoli uniosła głowę. Jej wzrok nie spotkał się z jego wzrokiem.

Wygrali. Ale Vincent nie miał takiego wrażenia. Ani trochę.

– A to dopiero – zaśmiała się Jane. – To do ciebie niepodobne, braciszku, żeby ratować swoją asystentkę.

– Jesteś chora na głowę – powiedział. – Wstrętne. Nie było żadnego gwoździa, co?

Kenneth w odpowiedzi podniósł do góry ostatnią torebkę. Tę numer cztery. Która statystycznie jest wybierana najczęściej. Gwóźdź umieszczony na drewnianej płytce sterczał do góry z czubkiem tak zaostrzonym, że aż lśnił. Na widok tego gwoździa Mina zwymiotowała na blat.

Jane odwróciła kamerkę smartfona, żeby Vincent mógł zobaczyć pozostałą część pomieszczenia. Na środku stało coś, co wyglądało jak olbrzymie akwarium ustawione na sztorc.

– To zostawiliśmy dla ciebie – powiedziała. – Na dziś. Szczerze mówiąc, nie myślałam, że ona wyjdzie z tego cało. W takim razie wsadzimy ją do tego.

– Czekaj, zrobiłem, jak chciałaś! – krzyknął. – Wypuść ją.

– Jasne. Jeśli przyjedziesz i zajmiesz jej miejsce. Wyślę ci adres esemesem. Dojazd zajmuje zwykle godzinę i czterdzieści minut, pod warunkiem że zdążysz

na prom. Wsadzimy teraz twoją przyjaciółkę do zbiornika. Za dziewięćdziesiąt pięć minut zaczniemy nalewać do niego wodę. Napełnienie go w całości trwa pięć minut. Radzę ci nie spóźnić się na prom.

Kenneth ruszył przed siebie, podjeżdżając wózkiem z Miną do zbiornika. Mina szarpała się, chcąc się uwolnić, ale daremnie.

– I jeszcze jedno, Vincent – powiedziała jego starsza siostra, patrząc mu prosto w oczy – jeśli nabierzemy podejrzeń, że zamiast ciebie przyjeżdża ktoś inny, albo jeśli nie przyjedziesz sam, strzelę jej w twarz.

Vincent krzyknął imię Miny jak najgłośniej, ale Jane już się rozłączyła. Vincent spojrział przez okno w kuchni. Ruben tkwił w swoim samochodzie zaparkowanym po drugiej stronie trawnika. Z kolei jego własny samochód stał na podjeździe do garażu. Vincent nie mógł się dostać tam niezauważenie. Pytanie, jak miałby w ogóle wyjść z domu, żeby Ruben nie zauważył. Jeśli policja pojedzie za nim, skończy się to katastrofą. Najlepiej byłoby rozwiązać się w kłębach dymu, ale to raczej sztuczka na miarę Toma Presto. Gdyby był zręczniejszy, zbudowałby sylwetkę siebie w kapeluszu i kurtce i posadziłby przy zasłonie okiennej. Zaśmiał się gorzko. To chyba działa tylko w telewizji.

A kopia samego siebie?

Przecież miał taką.

Pobiegł do gabinetu. Szybko znalazł tekturową figurę naturalnej wielkości, którą upchnął przy ścianie za jakimiś kartonami. Wprawdzie nieco przybrudzoną, bo po nagraniu ekipa zabrała ją na rundkę po barach, gdzie sam nie mógł wtedy dołączyć. Jednak i tak była dużo lepsza od kapelusza i kurtki. Ta figura była po prostu nim. Nic, tylko się zakochać.

W każdym razie przez jakieś pięć sekund, dopóki Ruben nie zorientuje się, że Vincent się nie porusza.

Trzeba wzmocnić tę iluzję. Szybki rzut oka na zegarek. Od rozmowy z Jane minęły dwie minuty. Za najwyżej pięć musi już siedzieć w swoim samochodzie. Potrzebował następnej pół minuty, żeby włożyć to samo ubranie co jego tekturowa wersja. Następnie pobiegł przez trawnik do Rubena, który na jego widok opuścił szybę w radiowozie.

– Cześć, Ruben – odezwał się Vincent i podniósł palec wskazujący na tyle wysoko, żeby Ruben musiał podnieść wzrok, kiedy jego oczy automatycznie skupią się na palcu.

Vincent liczył na to, że Ruben jest człowiekiem, który nieświadomie i bez wahania wykona, co mu każą, i chyba miał rację. Oczy Rubena były utkwione w jego palec.

– A teraz masz zrobić tak – powiedział Vincent, opuszczając szybko palec i jednocześnie wymawiając słowo „tak” w tonacji opadającej.

Wzrok Rubena podążył w dół za ruchem palca do momentu, gdy jego powieki automatycznie się zamknęły. Vincent szybko położył mu dłoń na karku, żeby Ruben siedział z lekko pochyloną głową. Wiedział, że Ruben nigdy mu tego nie wybaczy.

– Odpręż się i oddychaj głęboko – powiedział. – Z każdym oddechem czujesz się coraz bardziej rozluźniony. Coraz głębiej.

Odczekał kilka sekund, aż usłyszał, że Ruben oddycha ciężko, rytmicznie.

– Za chwilę zobaczysz mnie w oknie kuchennym – ciągnął. – Zagramy wtedy w siłowanie się wzrokiem. Rozumiesz?

– Tak. Siłowanie się wzrokiem – wymamrotał Ruben monotonicznie, jak osoba poddana lekkiej hipnozie.

– Będziemy siedzieli nieruchomo, wpatrując się w siebie nawzajem – mówił dalej Vincent. – Kto pierwszy mrugnie, ten przegrywa. Nie spotkałeś nigdy człowieka, który potrafiłby siedzieć równie nieruchomo jak ja. Ale im bardziej będę nieruchomy, tym bardziej będziesz chciał wygrać. Rozumiesz?

– Ty jesteś nieruchomy – wymamrotał Ruben. – Ale ja wygram.

Vincent zabrał dłoń z karku i unióśł głowę Rubena. Jego oczy były wciąż zamknięte. Mógłby strzelić palcami, żeby Ruben drgnął i się obudził, ale ten sposób nigdy mu się nie podobał. Jakiś taki... prymitywny.

– Spójrz na mnie – powiedział tonem rozkazu.

Ruben zamrugał powiekami, był zupełnie zdezorientowany.

– No dobra, czyli tak – mówił dalej Vincent. – Dziękuję ci za tę rozmowę, przemyślę to. Spędzę sobie spokojny wieczór.

Po zaszczepieniu sugestii musiał mówić dalej, żeby mózg Rubena nie starał się wyklarować sobie, co właśnie zaszło.

– Hm, tak – odparł Ruben, próbując się pozbierać. – Mam na ciebie oko, Vincent. Więc lepiej niczego nie próbuj.

Vincent potruchtał do domu, zerkając cały czas na zegarek. Zabrało mu to półtorej minuty. Jeszcze minuta. W domu schylił się i ustawił tekturową figurę w oknie, odwracając ją w stronę radiowozu. Widział, jak Ruben siada prosto.

Następnie wymknął się przez drzwi tarasowe na tyłach domu i wysłał esemesa do Benjamina, żeby po południu odebrał młodszego brata ze szkoły.

Obszedł dom dookoła i posuwając się tuż przy ścianie, dotarł do swojego samochodu przed garażem. Auto znajdowało się między nim a Rubenem. Pochylił się, żeby go nie było widać, na wypadek gdyby Ruben jednak spojrział w tę stronę. Liczył, że Ruben będzie przez dobrą chwilę całkowicie wpatrzony w jego okno kuchenne, ale wolał być ostrożny.

Otworzył auto po stronie pasażera i wczółgał się na miejsce kierowcy. Wycofał samochód na drogę zaledwie kilka metrów od radiowozu. Żwir

zachrząścił pod kołami, ale Ruben nie reagował. Vincent nie odważył się minąć go, żeby nie znaleźć się w jego polu widzenia. Trudno, pojedzie naokoło. Kiedy już skręcił i Ruben nie mógł go widzieć, dodał gazu. Będzie googlował podczas jazdy. Teraz nie wolno mu stracić kontroli. Musi się skupić. Myśleć krok po kroku. Po jednym.

Mina.

Jane.

Nie myśleć o ciasnym zbiorniku z wodą. Nie myśleć o tym, że pędzi po to tylko, żeby zamknęła go w nim jego starsza siostra. O tym, że Jane zamierza go utopić, o tym, że wciskając gaz do dechy, pędzi ku własnej śmierci. Samochody trąbiły na niego, gdy mijał je tak blisko, że mógł zarysować lakier. Jeszcze dodał gazu.

Mina.

Jane.

SARA PRZEZ KILKA SEKUND łąpała oddech przed drzwiami gabinetu Julii. Zapukała i weszła. Pusto. Nie tego się spodziewała. Myślała, że wszyscy są na miejscu, skoro jest stan pogotowia. Wiedziała, że nieco dalej w tym samym korytarzu ma pokój Christer, więc poszła tam. Drzwi były uchylone, ale ten również był pusty. O co chodzi? Może pojechali na akcję? W takim razie jej informacja będzie dla nich jeszcze przydatniejsza.

Z pokoju kilka drzwi dalej dochodziły radosne śmiechy i muzyka. Nie było wątpliwości, rytmu Boba Marleya. Co, u licha? Pospieszyła tam i stanęła jak wryta.

Peder tańczył reggae do *No Woman, No Cry*, podnosząc wysoko kolana. Na brzuchu miał nosidełko BabyBjörn, w którym gaworzył zachwycony maluch. Na podłodze na grubym kocu leżały jeszcze dwa maluchy, urzeczony i lekko przestraszony mokrymi całusami przeszczęśliwego golden retrievera. Christer trzymał smycz i starał się powstrzymać psa, żeby z rozpędu ich nie zjadł. Na widok Sary Peder zatrzymał się w pół kroku i cały się zaczerwienił.

– No więc moja żona ma dzisiaj urodziny – powiedział zawstydzony.

Sara nie odpowiedziała, za bardzo zajęta czym innym, żeby móc ogarnąć ten widok.

– To jej prezent – ciągnął Peder, odpowiadając na niezadane pytanie – a raczej odpowiedź na jej żądanie, no tak, można tak powiedzieć; otóż było ono takie, żeby mogła sobie pójść do restauracji na lunch. Sama. Potem do fryzjerki. Sama. I potem zdrzemnąć się w kąciku jakiejś kawiarni. Byliśmy w tej sprawie umówieni od dawna. Więc tak. Hm.

Skinął głową, wskazując trojaczki, jakby to wszystko tłumaczyło.

– Z tego, co mówiła Julia, dziś ważny dzień – odezwała się Sara. – Pełna mobilizacja. Na pewno nie miała na myśli urodzin twojej żony.

Peder chrząknął, jeszcze bardziej zawstydzony, i wyłączył Boba Marleya w komputerze. Christer odciągnął retrievera od zaśmiewających się dzieci na kocu. Pies zrobił nieszczęśliwą minę.

– To prawda, że jesteśmy w pogotowiu – przyznał Christer. – Według Vinc... To znaczy mamy informacje, że dziś może dojść do następnego morderstwa. Radiowozy w mieście mają alert. Ale w tym momencie akurat nic się nie dzieje, więc pilnujemy interesu tu na miejscu. W razie gdyby przyszła wiadomość, że trzeba szybko działać.

– No to mam coś, co zaraz wam się spodoba – odparła Sara. – Pamiętacie telefon, który wiosną staraliśmy się zlokalizować? Tego gościa, który dzwonił z Kungsholmen? Przypuszczaliście, że to wasz morderca. Julia prosiła, żebym w tym tygodniu wypatrywała tego numeru, na wypadek gdyby znów został aktywowany. I tak się stało. Dziesięć minut temu się włączył i zaczęła się rozmowa. Ale tym razem z archipelagu na wysokości Norrtälje.

Maluch w nosidełku zakwilił niespokojnie. Peder delikatnie zamknął małe rączki w swoich dłoniach.

– Norrtälje? Czego dotyczyła rozmowa?

– Nie wiem. Nie wolno nam podsłuchiwać, na to trzeba innej zgody. Julia nie prosiła mnie, żebym ją załatwiła.

Sara pomyślała w tym momencie, że się zblamowała. Powinna była spytać Julię, czego potrzebują. Uzyskanie zgody na podsłuch zabierało sporo czasu, trzeba było robić to z wyprzedzeniem. Jednak niełatwo orientować się w procedurach, jeśli nie ma się z nimi do czynienia na co dzień. Oczywiście mogła to sprawdzić. Trzy miesiące w nowej pracy, a zachowuje się jak nowicjuszka.

– To nie twoja wina – odezwał się Christer, jakby czytał w jej myślach. – Julia powinna była cię poprosić, ale miała na głowie inne ważne rzeczy. Wiadomo coś więcej niż to, że z telefonu dzwoniło z jakiejś wyspy?

– Znacznie więcej – odparła z ulgą Sara. – Wiemy, do kogo dzwoniło. Do jakiegoś Victora... nie, przepraszam, Vincenta Waldera.

Peder i Christer spojrzeli na siebie, byli w szoku. Sara nie rozumiała, nie sądziła, że zareagują tak mocno. Albo w ogóle. Najwyraźniej w tej historii kryje się znacznie więcej, niż mówiła jej Julia.

– O kurde – powiedział cicho Peder i zwrócił się do niej. – Znamy go.

– Już dzwonię do sił reagowania, żeby posłali tam ludzi – rzekł Christer. – Chodź, Bosse, mamy robotę.

– Ruben już jest przed domem Vincenta – przypomniał Peder. – Zadzwoń tam i spróbuję złapać Julię. Dzięki, Saro. Dobra robota.

Aż się musiała uśmiechnąć, kiedy Peder i Christer poszli do swoich zadań. W takich chwilach czuła, że żyje. Kiedy widziała, że to, co robi, ma sens. Kiedy wielogodzinna mordęga umysłowa nad statystyką nagle przynosi skutek w realu. Może powinni z mężem wstrzymać się z tą przeprowadzką do Kalifornii.

SPOJRZAŁA Z REZYGNACJĄ na walizkę leżącą na łóżku. Mówiła mu, na wszelki wypadek nawet kilka razy, że nie muszą zabierać ze sobą tyle rzeczy, jakby jechali za granicę. Uppsala leży zaledwie o godzinę drogi stąd. I nie zostaną tam dłużej niż to konieczne. Jednak Torkel lubił być dobrze przygotowany. Na tyle dobrze, że przypominał gości od „survivalu”, których widziała w dokumentach na Netfliksie. Bez otwierania walizki podejrzewała, że jej zawartość pozwoliłaby im obojgu przetrwać jakąś jedną niewielką wojenkę. A w domu przez wiele lat. Przede wszystkim mieli taki zapas papieru toaletowego, że wystarczyłoby na zaopatrzenie całej gminy. Kto magazynuje papier toaletowy? Wariat. Ale jej wariat.

Z drugiej strony. Na tym etapie nie miał już wiele innego do zrobienia. To nie jemu wsunąć do środka wąż jak od odkurzacza i nie jemu wysysać on ileś jajeczek, żeby sprawdzić, czy znajdują się dwa albo trzy nadające się do wykorzystania.

Jedyną rzeczą, jaką mógł dla niej zrobić, było spakowanie walizki. Nie mogła robić mu zarzutu, że wykonał to w sposób przesadny.

Natomiast w tym momencie irytowała ją jego postawa. Była nie tylko jego żoną i ewentualną mamą ich potencjalnych przyszłych dzieci. Oprócz tego miała jeszcze pracę, czego teraz nie chciał przyjąć do wiadomości.

– Dadzą sobie radę bez ciebie – powiedział, stojąc w przedpokoju. – No, chodź.

Słyszała, jak mąż zdejmuje kluczyki od samochodu z haczyka koło drzwi.

– Nie wiem, jak mam ci to powiedzieć wyraźniej – fuknęła. – Otóż mam dochodzenie i w dodatku je prowadzę. Kieruję grupą ludzi. Wyjątkową. Uczestniczę aktywnie w każdym etapie tego dochodzenia. A dziś jest dzień, kiedy usiłujemy przeszkodzić w popełnieniu kolejnego morderstwa. Nie rozumiesz, jak to wygląda, że mnie nie ma tam na miejscu?

Była bliska płaczu. Jak on może być tak niewyrozumiały? Z drugiej strony zrobiła sobie tyle zastrzyków w brzuch i tyle razy wdychała ten cholerny sprej, że nie byłaby w stanie zliczyć. To musi mieć jakiś finał. Torkel wszedł do

sypialni. Starał się ze wszystkich sił nie okazywać frustracji, ale i tak miał ją wypisaną na twarzy.

– Sama powiedziałaś, że w tym dochodzeniu jest was więcej. Dadzą sobie radę. Wiedzą, co mają robić. Przecież to nie ty osobiście masz zapobiec morderstwu, prawda?

– Dzięki za zaufanie – powiedziała, cofając się.

Torkel westchnął i przysiadł na łóżku. Julia zdawała sobie sprawę, że jej drażliwość jest związana z niskim poziomem estrogenów, ale mąż zachowywał się czasem jak tępak.

– Możesz zrobić, co następuje – powiedział. – Daj nam tę szansę. Poprzednim razem nie wyszło. Wiem, że moment jest fatalny, ale tę datę zaznaczyliśmy sobie w kalendarzu dawno temu. Jeśli dziś nie pojedziemy do Akademiska³⁵, będziesz musiała zacząć tę karuzelę od początku, to znaczy zastrzyki przez wiele tygodni i całą resztę. Tylko po to, żeby wrócić do punktu wyjścia. Warto?

Usiadła obok niego i wytarła oczy rękawem koszulki. Zrezygnowana, zgarbiła się.

– Nie, nie warto – odparła. – Ale ty chcesz, żebym wybrała między powołaniem nowego życia, chociaż nie wiadomo, czy ono rzeczywiście powstanie, a zapobieżeniem temu, że czyjeś życie zostanie przerwane, życie istniejące. To niesprawiedliwe.

Poczuła wibrację pod pośladkiem. Usiadła na telefonie. Wstała i wyjęła go. Esemes od Pедера. Dwa słowa. Dwa króciutkie słowa, które przesądziły o jej decyzji.

– Muszę jechać, i to już – powiedziała. – Daj mi te kluczyki.

Podał je bez sprzeciwu.

– Całuję, kochanie, potem pogadamy – odparł, gdy wkładała kurtkę.

Idąc do samochodu, jeszcze raz przeczytała wiadomość.

To Vincent.

IRYTUJĄCY GŁUCHY ODGŁOS dzwonka zakłócał mu skupienie. Jakby ktoś ustawił gdzieś dalej budzik. Tydzień temu albo coś podobnego. Ruben skrzywił się.

Nie pozwoli, żeby coś mu przeszkadzało, bo jeśli drgnie, Vincent wygra.

A Vincent stał zupełnie nieruchomo. Ruben sprężył się.

Nie pojmował, jak można stać tak nieruchomo jak ten mentalista w oknie.

Jednak nie zamierzał przegrać.

Wpatrzył się jeszcze mocniej w Vincenta.

Znów ten odgłos, tym razem jeszcze głośniejszy. Zabawne. Zwłaszcza w porównaniu z poprzednim razem, wtedy słyszał go jak przez watę. Teraz wrzynał się w uszy jak ostry nóż.

Zmrużył oczy, patrząc na Vincenta.

Coś było inaczej.

Coś mu się nie zgadzało.

Dzwonek po raz trzeci. Ruben zamrugał powiekami, jakby obudził się ze snu. Takiego naprawdę głębokiego, z którego trudno się wybudzić.

Chociaż wiedział, że nie spał. Ani trochę.

Cały czas patrzył na Vincenta i ani razu nie przysnął.

Jednak coś było nie tak z tymi cieniami na twarzy Vincenta. Coś się nie zgadzało.

Jak to możliwe?

Telefon zadzwonił po raz czwarty i Ruben musiał odwrócić wzrok, żeby spojrzeć na siedzenie obok. Odebrał, włączając tryb głośnomówiący.

– Ruben Höök, słucham, co jest? – burknął.

– Mówi Peder. Morderca zadzwonił właśnie do Vincenta. Wiem, że uważasz go za podejrzanego, i rzeczywiście wiele mogłoby na to wskazywać. Ale mógł też wpaść w tarapaty. Christer wysłał oddział antyterrorystów, siedź tam i czekaj na ich przyjazd.

Ruben rozłączył się i zamyślił. Spojrzał na dom. Wysiadł z samochodu. Zawahał się i przez chwilę stał oparty o drzwi. A potem podbiegł przez trawnik

do okna. Tekturowa figura Vincenta patrzyła na niego spokojnie. Ruben mógłby przysiąc, że się do niego uśmiechnęła.

ZAJECHAŁ NA ŻWIROWY dziedziniec przed fermą. Kenneth już czekał. Nawet mu pomachał, drań jeden. Vincent poczuł nienawiść. Zaparkował i wysiadł. Fetor zgnilizny był bardzo mocny. Wydawał się pochodzić z głównego budynku. Coś się tam stało, to jasne, ale w tym momencie zupełnie go to nie obchodziło. Najchętniej zamordowałby Kennetha, starł go z powierzchni ziemi za to, co zrobił Minie. Wiedział również, że nie ma sensu napadać na brodatego emeryta, bo wtedy nigdy nie ujrzy Miny.

– Gdzie ona jest? – spytał.

Kenneth odwrócił się i ruszył przed siebie. Vincent nie miał innego wyboru jak iść za nim. Na drugim końcu budynku znajdowały się nieduże drzwi, przez które tamten wszedł. Vincent stanął w nich, zasłaniając ręką usta. Przez to słońce na zewnątrz wewnątrz wydawało się zupełnie ciemne. Mogło się tam znajdować cokolwiek. Mogła to być pułapka. Jednak była tam Mina.

Okazało się, że to warsztat, ten sam, który widział na smartfonie. Zbiornik na wodę stał na środku. Mina siedziała na jego dnie. Vincent podbiegł i załomotał w ścianę. Przykucnął, żeby ją lepiej widzieć. Krew na jej czole zaczęła zasychać. Będzie potężny siniec. Poza tym, na ile mógł ocenić, wydawała się cała i zdrowa. Ale nie ruszała się.

– Mina! – zawołał, przyciskając usta do szkła.

– Uspiliśmy ją – wyjaśnił Kenneth, zamykając drzwi. – Za bardzo się awanturowała.

Spokojne jesienne słońce na dworze zostało zastąpione przez zimne światło świetlówek. Gdzieś warczał generator.

– Ale na pewno się obudzi, kiedy zaczniemy nalewać wodę – dodał i wyciągnął rękę w stronę Vincenta. – Telefon.

Vincent wstał. Wcześniej nie był pewien, jaki zbiornik widział na ekranie smartfona, ale teraz nie miał wątpliwości. Była to dokładna kopia *Wodnej komory chińskich tortur* Houdiniego, skonstruowana tak, by mieścić się w niej jeden człowiek. Była nie tylko ciasna, w oryginale Houdini był w niej

zawieszony do góry nogami. A wkrótce będzie jego kolej. Nie było innej możliwości.

Vincent starał się zapanować nad oddechem. Nie wolno mu okazać, jak bardzo się boi. Oddał telefon Kennethowi, który poszedł z nim do dużego kontenera w rogu pomieszczenia.

– Nie musicie nalewać wody! – zawołał za nim Vincent. – Przecież jestem. Tak jak sobie życzyliście. Wyciągnijcie ją.

Zbiornik był zbudowany znacznie lepiej niż skrzynie, w których znajdowały się poprzednie ofiary. Faktycznie wyglądał na prawdziwy.

– Tylko tego nie skonstruowaliśmy sami – odezwała się jego siostra.

Wyjechała z cienia na swoim wózku, podjechała pod zbiornik i poklepała szklaną ścianę.

– Zostawiliśmy go na sam koniec – powiedziała. – Zasługujesz na wszystko, co najlepsze.

– Ale jak...?

– Pozostałe, prawdę mówiąc, były od ciebie – ciągnęła i rzuciła mu coś pod nogi.

Cienka książeczka, której nie widział, odkąd skończył siedem lat. Zatytułowana *Hobby, seria 12: Skonstruuj własne triki*.

– Te szkice są sfelerowane. Nie działają. – Jane zaśmiała się grubiańsko. – Nie powiem, żeby nam specjalnie na tym zależało, ale zawsze. Natomiast zbiornik kupiliśmy od tego iluzjonisty, jak mu tam, Tomasa Presto? Presto?

Vincenta ścisnęło w żołądku. „Nie wiem, gdzie teraz stoi i się kurzy”, powiedział Umberto o zbiorniku Tomasa Presto. A Vincent nie poprosił go o sprawdzenie. Co za idiota. Gdyby poprosił, Mina nie tkwiłaby teraz na jego dnie.

– Ale nie martw się – mówiła dalej jego starsza siostra. – Presto nam wyjaśnił, jak działa ta iluzja. Że klapę, zamek i wszystkie bolce, które się sprawdza, czy tkwią na swoim miejscu, w rzeczywistości można zdjąć jak jedną dużą klapę i dzięki temu się wydostać. Bardzo sprytnie. Więc Kenneth to przyspawał. Gwarantuję, że nie ma stamtąd wyjścia.

Vincent przyjrzał się siostrze. Na tym wózku wyglądała na niedołążną, starą i słabą. Miała szarą cerę i przy każdym ruchu lekko się trzęsła. Aż trudno było uwierzyć, że jest od niego tylko dziewięć lat starsza.

– Ale dlaczego, Jane? – spytał.

Spojrzała na niego wzrokiem, który płonął tak samo jak w czasach ich dzieciństwa.

– Zabrałeś mi moje życie – odpowiedziała. – Tamtego lata, kiedy zabiłeś mamę. Wtedy żyłam po raz ostatni. Wiesz, w ilu rodzinach zastępczych potem

byłam? Opowiedzieć ci o facecie, który lał mnie anteną do radia, a żona na to patrzyła? O zapitym tatusiu, którego zamykaliśmy na klucz w toalecie? O moim pierwszym chłopaku, który zabrał mnie na imprezę, żeby jego kumple mogli mnie zgwałcić? O prochach? O szprycowaniu się? Od tamtego lata żyłam w piekle. A ty, chociaż to wszystko przez ciebie, bo zabiłeś naszą mamę, żyłeś sobie dalej, byłeś szczęśliwy. Zrobiłeś karierę. Gdzie tu jest sprawiedliwość?

Mózg Vincenta pracował na pełnych obrotach. Nie przyswajał tego, co mówiła Jane, zatrzymał się na jej wcześniejszych słowach: „Szkice są sfelerowane”.

Podniósł książeczkę z podłogi. Sains też coś mówił na ten temat, kiedy Vincent u niego był. Co to on... No właśnie, przypomniał sobie: „Wiele klasycznych szkiców zawiera błędy, i to z premedytacją. Jeśli chcesz zbudować tę iluzję, musisz jednocześnie rozumieć, jak zmienić projekt, żeby zafunkcjonował. W przeciwnym razie kłapa się nie otworzy. Czy co tam jeszcze”.

Czyli jednak nie popełnił błędu. Wtedy, kiedy miał siedem lat. Po prostu zrobił tak, jak było w książce. Był dzieckiem. Bał się, że mama się pogniewa. Ale to za mało. Nie wystarczy. Nienawiść Jane była podsycana przez tyle lat, że nie da się ugasić jej prawdą. W dodatku miała rację. Gdyby nie budował skrzyń, żadna z tych rzeczy by się nie zdarzyła.

– I wtedy przysięgam sobie – ciągnęła – że choćby miała to być ostatnia rzecz, jaką zrobię, odbiorę ci to, co ty odebrałeś mnie. Jednak nie miałam tyle siły, żeby zrobić to samodzielnie. I wtedy w moim życiu pojawił się Kenneth. Pierwszy człowiek, który mnie rozumiał.

Kenneth wyciągnął do niej rękę, pochwycił ją czule. Vincent zobaczył kątem oka, że Mina się poruszyła. Jeśli uda mu się zyskać na czasie, żeby zdążyła się rozbudzić, może znajdą razem wyjście z tej sytuacji.

– Ale dlaczego tamci? Dlaczego zabiłaś, to znaczy zabiliście Agnes, Tuwę i Roberta? Skoro chciałaś się zemścić na mnie?

Próbował niepostrzeżenie rozejrzeć się za jakimś orężem, żeby powstrzymać Jane i Kennetha. Przy najodleglejszej ścianie stał warsztat, przy którym dręczyli Minę. Teraz był pusty. Nie było miecza. Woleli nie ryzykować.

– Wiesz, kim były ich matki – odezwał się Kenneth. – Jane opowiadała mi o twoich koleżankach. One też były odpowiedzialne za śmierć waszej mamy. Wszyscy czworo ponosicie tę winę, chociaż twoja wina jest największa. Odebrały mamę Jane, a my odebraliśmy im ich dzieci. Karma.

– Jeszcze jedno – zarechotała Jane – nikt by się nie przejął, gdybyśmy zabili trzy panie w średnim wieku. Za to ich dzieci, ojej, ich dzieci! Dwie młode

kobiety i niepełnosprawny chłopiec? Media to kochają. Mordowanie młodych i niewinnych to najgorsza rzecz, jaką mogłeś zrobić, Vincent.

Drgnął. Chyba się przesłyszał.

– Ja?

– Przecież powiedziałam, że ci odbiorę to, co ty odebrałeś mnie. Odebrałeś mi takie życie, które mogłam mieć. Teraz ja wykreślę twoje. Kiedy znajdą cię martwego w tym zbiorniku, znajdą również list. Od ciebie. Oświadczysz w nim, że uczyniłeś świat lepszym miejscem dzięki wytępieniu robactwa.

Wciąż nie rozumiał. Jane widocznie majaczy.

– Ogarnij się, nie bądź znów taki tępy – zirytowała się. – Agnes hańbiła swoją rasę, Tuva była Żydówką, a Robert niepełnosprawny intelektualnie. Wszystko to, czego nienawidzisz. Przynajmniej według listu. To wyznanie plus fakt, że podałeś im swoje imię i nazwisko jako zaszyfrowaną datę morderstw, wystarczą, żebyś nie tylko został uznany za winnego, ale żebyś został znienawidzony przez całe pokolenia. Zostaniesz wykreślony z historii, uznany za zakałą ludzkości. Jakby cię nigdy nie było.

– Policja nie odkryła tropu z nazwiskiem – powiedział Vincent. – Sam im go podałem.

Jane wybuchnęła głośnym śmiechem.

– Braciszku, wykonałeś za mnie całą robotę! A oni ci oczywiście uwierzyli, kiedy zapewniałeś ich o swojej niewinności?

– Niezupełnie.

Oczy Jane załśniły od – szalonego – szczęścia, a Vincent spojrział w ziemię. Jak mógł być taki głupi?

– I dlatego wysłałaś Rubenowi ten wycinek artykułu – powiedział. – Żeby pomóc policji z tym kodem?

– Wycinek? – Jane spojrzała, nie rozumiejąc. – Nie wiem, o czym mówisz. Ale masz rację, że czasem trzeba lekko popchnąć do działania naszych strażników prawa i porządku. Jak choćby skłonić zwariowaną fankę, żeby zasugerowała im współpracę z tobą.

– Dziewczynę z delfinem.

Jane zarechotała z zadowoleniem.

– Czasem ma się to szczęście. Kenneth i Anna słyszeli, jak Mina rozmawiała ze swoim szefem. Wtedy uzmysłowiliśmy sobie, że dla nas może to być kapitalne wejście. W dodatku Kenneth nie musiał sam podsunąć ciebie Minie, wystarczyło, że wspomniał Annie... Boże, czasem dzieje się coś takiego, jakby po prostu tak być musiało.

Mina.

Zerknął w jej stronę. Nie poruszała się. Potrzebowała więcej czasu.

– A jak wyjaśniłabyś śmierć Miny, gdybyście zabili ją gwoździem?

– Według listu twoje „wielkie dzieło” miało się zakończyć tym, że odbierasz sobie życie – wtrącił się Kenneth. – Ale kiedy Anna powiedziała nam, ile dla ciebie znaczy Mina, nie mogliśmy się powstrzymać. Zresztą z takim nazwiskiem jak Dabiri wpisała się wprost idealnie w twój schemat. Bo nienawidzisz również muzułmanów, wiesz?

Jakaś zmiana. Nastrój jakby się zmienił. Vincent poczuł, że zbliża się koniec tej rozmowy.

– Wiem, co myślisz – powiedziała Jane. – Myślisz o tym, że telefon, z którego do ciebie zadzwoniłam, został zlokalizowany. Policja wie, gdzie jesteś, i już tu jadą. Zgadza się. Chcę, żeby wiedzieli. Nawet sama do nich zadzwonię, żeby się upewnić, że przyjadą. I żeby było jak najwięcej świadków twojego ostatniego przedstawienia i przesłania dla potomności. Będą tu chwilę po tym, jak wydasz ostatnie tchnienie.

Ostatnia szansa.

– Mina, obudź się! – zawołał, waląc z całej siły w szkło.

Zatrzepotała powiekami i chyba coś powiedziała. A potem znów znieruchomiała.

Kenneth chwycił go za ramiona i odciągnął od zbiornika.

– Weź się w garść – powiedział.

– Dosyć tych rozmów – oznajmiła Jane, podjeżdżając do drabiny, która stała oparta o jedną ze ścian zbiornika. – Już pora, braciszku.

Spojrzał na drabinę. Potem na zbiornik. Skonstruowany dla tylko jednej osoby.

– Najpierw macie wyciągnąć Minę – powiedział.

– Musisz mi w tym pomóc – odparł Kenneth. – Zejdiesz w dół i podniesiesz ją od spodu, a ja pociągnę od góry.

Nie miał wyboru. A więc teraz się to stanie. Nikt im nie pomoże i nie uratuje. Stał na drabinie. Rozdziawiony otwór szklanego zbiornika pochłonie jego błyskotliwy rozum. Za ciasno. Zdecydowanie za ciasno. I na tym nie koniec. Maria uwierzy w list. Benjamin, Rebecka i Aston znienawidzą go po wsze czasy. Będą musieli zmienić nazwisko. Media nie będą słuchać Miny, zapewniającej o jego niewinności. Nie przy takich dowodach. Rodzina może i tak. Została mu tylko ta nadzieja. Że uwierzy jej jego rodzina.

Schodząc do zbiornika, myślał intensywnie o Rebecce, Benjaminie, Astonie i Marii. Może go nie znienawidzą. Może. Znalazłszy się na dnie, pochylił się i odgarnął włosy z twarzy Miny. Przyszło mu to z trudem, bo nie miał dość miejsca, mógł tylko ugiąć kolana przy wyprostowanych plecach.

– Mina – odezwał się czule, klepiąc ją po policzku. – Musisz się obudzić i pomóc mi, żebyś mogła wyjść.

Mruknęła coś przez sen. Co oni jej podali? Miał nadzieję, że nie była to ketamina.

– Mina, obudź się.

W górze rozległ się hurgot, Vincent podniósł wzrok. Kenneth zaciągnął klapę zbiornika. Coś zachrząściło. Łańcuch. No, oczywiście. Jane zapukała w ścianę, żeby popatrzeć na nią.

– Chyba rozumiesz, braciszku, że ona nie może przeżyć? Wszystko by zepsuła.

Wyjęła pióro i złożoną kartkę.

– Będę musiała zrobić dopisek – powiedziała – z wyjaśnieniem, dlaczego chcesz zginąć razem z nią. Żeby nawet po śmierci dopilnować, by nie trafiła do muzułmańskiego nieba albo czegoś takiego. Co za ironia losu, bo Mina uratowała mi życie. Gdyby nie zadzwoniła na pogotowie, kiedy dostałam zapaści u AA, dziś nie byłoby nas tutaj. Przekaż jej moje podziękowanie.

Rozwinęła kartkę, dopisała kilka wierszy, ponownie złożyła i wsunęła do koperty.

– Jane! – krzyknął, waląc jak najmocniej w szklaną ścianę. – Jesteś moją siostrą! Mieliśmy umowę! Mina miała przeżyć!

– Twoją siostrą? – odparła, patrząc zimno. – Tamta Jane umarła przeszło trzydzieści lat temu. A jej młodszy brat umrze dzisiaj.

Vincent załomotał w klapę nad swoją głową, ale było to zupełnie bezcelowe. Kenneth zszedł z drabiny i podszedł do ściany, na której był zawór z węzłem. Wąż biegł po podłodze do zbiornika. Zaszumiało w nim, kiedy Kenneth puścił wodę. Po kilku sekundach woda pojawiła się u stóp Vincenta. Odruchowo podniósł nogę, zanim uzmysłowił sobie, że nie da się uniknąć zamoczenia. Ale ta woda musi trochę wpływać. Może udałoby się przynajmniej zatkać otwór. Szukał go gorączkowo na dnie zbiornika, ale nie znajdował. Pewnie jest ukryty za jakąś klapką. Dobry projekt.

– Vincent, wyrównaliśmy rachunki – powiedziała Jane. – A w każdym razie niedługo tak się stanie. Teraz zadzwonimy na policję. Będą potrzebowali pół godziny, żeby się tu dostać promem z Norrtälje. Znajdą wasze ciała razem z twoim sugestywnym przyznaniem się do winy i wtedy będzie wreszcie po wszystkim. Wybacz, że nie zostaniemy do końca.

Uśmiechnęła się lekko i przyczepiła list do szklanej ściany na wysokości twarzy, żeby mógł widzieć go wyraźnie. Westchnęła głęboko, jakby zrzuciła z siebie wielki ciężar, i wyjechała z warsztatu na swoim wózku pchanym przez Kennetha. Gdyby to był film, na pożegnanie wypowiedziałaby jakąś wymyślną

kwestię, a Vincent w ostatniej sekundzie znalazłby genialny sposób na wydostanie się ze zbiornika. Albo też ktoś wpadłby akurat i rozbił szkło, kiedy wydawało się, że już nie ma nadziei.

Jednak nic takiego się nie wydarzyło.

Słysząc tylko szum wody, której poziom podnosił się powoli, ktoś wypowiedział imię swojej siostry, a jakiś starzec wypchnął przez drzwi na słońce wózek z siedzącą na nim kobietą.

TEKTUROWA FIGURA Vincenta została złożona na pół, bo był to jedyny sposób, żeby się zmieściła w samochodzie. Kiedy Christer spytał, na co mu ona, mruknął coś o materiale dowodowym i upchnął ją na tylnym siedzeniu.

Prawdę mówiąc, Ruben sam nie wiedział na co. Poza tym, że przypominała mu o zarozumiałej gębie Vincenta, co przyczyniało się do podtrzymania u niego wysokiego poziomu adrenaliny, bo wściekał się, ile razy na nią spojrzął. To, co mu zrobił Vincent, było niewybaczalne. Jakby mu związał buty sznurowadłami i ściągnął spodnie.

Żaden z kolegów nie odważył się śmiać przy nim, ale widział ich spojrzenia. Wspaniały Ruben Höök wyprowadzony w pole przez narwanego mentalistę. Rozejrzał się, upewniając, że nikt nie widzi, i zanim zamknął drzwi samochodu, rąbnął figurę w twarz. Masz, cholero.

Podszedł do Christera, który stał nieco dalej, obok samochodu prewencji.

– Musiałeś ściągać tu cały oddział? – spytał kwaśno. – Jutro będzie o tym głośno w całym gmachu.

– Nie wiedzieliśmy, jaka jest sytuacja – odparł Christer. – Z naszych informacji wynikało, że równie dobrze Vincent mógł zostać następną ofiarą.

– Nie rozumiecie, że nas wykołował? Od początku mówiłem, że powinniśmy go przymknąć. Gdybyście mnie posłuchali, nie stałoby się to. Zapamiętajcie to sobie, kiedy znajdziecie kolejną ofiarę.

Peder i ta kobieta z działu analiz, Sara coś tam, wysiedli z cywilnego samochodu. Peder widocznie podrzucił trojaczki żonie. I tyle miała z tych urodzin.

Podczas ostatniego niedawnego spotkania z Sarą ta potraktowała go jak powietrze. Nie miał pojęcia dlaczego, nie przypominał sobie, żeby się kiedyś zetknęli. Pewnie lesba. Wcale by się nie dziwił.

– Mamy jakieś pojęcie, gdzie jest w tej chwili Vincent? – spytał Pedera.

– Niedokładnie – odparła Sara. – Komórka loguje się do najbliższej stacji bazowej. Vincent dostał telefon, który zalogował się do stacji na Gräddö w archipelagu Norrtälje. Więc domyślamy się, że jest gdzieś w tej okolicy.

Problem polega na tym, że w archipelagu maszty obejmują znacznie większy obszar niż tu w mieście. Gdyby to było miasto, wiedzielibyśmy nawet, na jakiej ulicy się znajduje. A tak mamy ileś wysp do wyboru. Tjockö, Edsgarn, Lidön...

– Lidön? – przerwał jej Ruben. – To nie może być przypadek. Byłem tam, tam jest ferma nerek.

Wbił w nich wzrok.

– Wiem dokładnie, gdzie to jest.

WODA SIĘGA DO węzłów na sznurowadłach, moczy skarpetki, zalewa buty. Nie myśl o tym. Nie myśl o tej wodzie, która wypełni cały zbiornik w pięć minut. Zbiornik mający cztery ściany, sześć, jeśli doliczyć podłogę i pułap, jest za ciasno, Vincent wie, że nie może tu być i nie może być z Miną.

Musi pomóc Minie.

Cztery i sześć to dziesięć, to jeden i zero, mężczyzna i kobieta, on i Mina. Stanowią matematyczną funkcję zbiornika, Vincent musi ich stąd wydostać. Pięć minut. Piąte koło. Pięć palców u każdej ręki. Między dwoma ciałami niebieskimi krążącymi wokół siebie jest pięć punktów, gdzie przedmiot jest utrzymywany w idealnej równowadze przez grawitację tych ciał, jest przyciągany z równą siłą do obu i dlatego trwa w bezruchu. Dwa ciała. On i Mina. W idealnej równowadze. Dopóki jest ich dwoje.

Mina siedzi, a więc woda moczy jej spodnie, nogi i pupę. Mina marszczy czoło, mruży coś, ale nie otwierając oczu.

– Mina, musisz się obudzić!

Vincent ugina kolana, wciąż z wyprostowanymi plecami, bo jest tak ciasno. Próbuje objąć ją za ramiona, żeby podnieść, ale nie może jej chwycić. Nie da się. Zbiornik jest tak ciasny, że nie mogą stać oboje, choćby się przycisnęli do siebie. Jedno z nich musi być niżej od drugiego.

Jedno musi znaleźć się pod wodą jako pierwsze.

Jedno musi umrzeć jako pierwsze.

Mina nagle robi głęboki wdech i otwiera oczy. W nich maluje się szok.

– Vincent! Gdzie my jesteśmy co się dzieje dłaczę...

Zadziera wzrok, żeby spojrzeć do góry, i uderza głową o szklaną ścianę zbiornika.

– Aua! – woła i odruchowo nabiera tchu.

– Cztery szklane ściany – Vincent nie może się powstrzymać. – Zamknięta przestrzeń. Litera numer cztery to D. Litera na końcu alfabetu to Ö. Dö – umrzeć.

Jego umysł znajduje się w stanie swobodnego spadania. Myśli tłuką się gorączkowo o ściany, równie zamknięte jak on sam, przecież cały czas postępował według wskazówek, zawsze bardzo dokładnie, to nie jego wina, miał tylko siedem lat...

– Vincent! – krzyczy Mina, uderzając go mocno w udo. – Przestań!

– Przepraszam – odpowiada jej. – Przepraszam cię za wszystko.

JANE PATRZY na wodę i pobliskie wyspy, podczas gdy Kenneth pcha jej wózek po ścieżce za fermą norek. Na wyspie jest niezwykle pięknie. Zwłaszcza tego dnia.

Jest mu wdzięczna. Nie może powiedzieć, że miała dobre życie. Jednak dzięki Kennethowi miało ono sens. W każdym razie pod koniec. Przecież nie musiał się o nią zatroszczyć. Jednak ją zrozumiał. Może dlatego, że kiedy się poznali, sam był bliski swego końca. Pomógł jej we wzięciu odwetu, co jest najwspanialszym wyznaniem miłości, jakie mogłaby otrzymać.

Docierają do pomostu i Kenneth zatrzymuje się. Woda chlupie pogodnie o pale, mewa krzyczy do swoich pobratymców w oddali. Kenneth kładzie dłoń na jej ramieniu, Jane, nie odwracając się, poklepuje ją czule.

– Wkrótce koniec – mówi Kenneth.

– Wiem – odpowiada ona. – Dziękuję. Bez ciebie to by nadal trwało.

Nie muszą mówić nic więcej. On nie musi jej pytać, czy naprawdę tego chce. Dawno nie stawiał tego pytania. To wszystko jest już poza nimi. Inna rzecz, że nie mają wyboru.

Kenneth wyjmuje krążek srebrnej taśmy klejącej, owija ją wokół swojej lewej dłoni i uchwytu na jej wózku inwalidzkim. Kilka razy. Ręka musi być dobrze przymocowana. Jane pomaga mu przyczepić prawą rękę. Kończy i dopiero wtedy podnosi na niego wzrok. Ich oczy się nie spotykają, jego spojrzenie jest już utkwione w dal. Może jest gdzieś daleko z tą mewą.

Kenneth zaczyna pchać wózek na pomost. Najpierw powoli, deski stukają pod kołami. Potem przyspiesza. Jane trzyma się siedzenia, żeby nie spaść. Na końcu pomostu nie zatrzymują się, Kenneth robi wielki krok i wózek leci w powietrzu.

KVIBILLE 1982

– VINCENT, TE DRZWICZKI CHYBA nie działają, jak powinny.

Mama naciska na ukryte drzwiczki, które syn jej pokazał, ale pozostają zamknięte. Nieporuszone. Może zrobiła coś źle, nacisnęła pod jakimś dziwnym kątem, niełatwo dostrzec, skoro jest w tej skrzyni prawie zgięta w pół. Najwyraźniej asystentka magika powinna być chuda jak patyk, a zginać się niczym zawias.

– Vincent, gdzie ty się podziewasz? – woła mama ponownie.

Teraz próbuje nacisnąć klapę, ale też pozostaje niewzruszona. Oczywiście, zamknął ją na kłódkę. Vincent powiedział, że idzie po coś. Na pewno to jakaś niespodzianka dla niej. No jasne, on wie, że drzwiczki nie dają się otworzyć. To taki żart z jego strony. Zaraz otworzy klapę i zaprezentuje jej ubranie asystentki, do którego przyszył cekiny we wszystkich kolorach tęczy. Albo jeszcze co innego. Musi pamiętać, żeby nie skrzyczeć go za bardzo.

Jakoś dużo czasu mu to zabrało. Aż za dużo, zwłaszcza że siedzenie w tej skrzyni w zgiętej pozycji jest bardzo niewygodne. Mama zmienia zdanie. Jednak będzie musiała na niego porządnie nakrzyczeć. To nie najlepszy z jego pomysłów.

W końcu coś słyhać. Jakieś głosy. Nie w oborze, jeszcze nie. Przed oborą. Głos Vincenta, na pewno. I nie jest sam. Głosów jest więcej. Dziewczyńskich. Śmieją się. Vincent też. Potem się uciszają, jakby psocili.

– Nie bądź takim tchórzem, Vincent! – woła ktoś. – No, chodź!

A potem głosy się znów oddalają.

– Vincent! – woła mama, waląc w ścianę skrzyni. – Tym razem mocniej niż poprzednio. – Vincent, wracaj!

MINA PATRZY na niego ostro. Vincent w odpowiedzi tylko kiwa głową, za bardzo się wstydzi. Mina próbuje wstać i żeby się zmieścić, musi się do niego przycisnąć. Wychodzi to ledwo, ledwo. Woda sięga im do ud. Mają ściśnięte klatki piersiowe, powietrze jest wyciskane z ich płuc. Vincent nie może spojrzeć na nią, bo stoją za blisko. Jednak czuje ją. Nie tylko dlatego, że są do siebie przyciśnięci, ale dlatego, że ona... jest. Cztery i sześć równa się dziesięć, to jest jeden i zero, on i Mina. Dwa ciała na orbicie. Jedna małeńka rzecz, kruche porozumienie, w idealnej równowadze między nimi. Ale nie mówi tego. Przecież nie jest idiotą.

– Stojąc w ten sposób, nie możemy się poruszyć – odzywa się z wysiłkiem. – I nie wydostaniemy się.

– Powiedz, że wiesz, jak się wydostać – mówi Mina z takim samym wysiłkiem.

– Wiem, jak się wydostać.

– Naprawdę?

– Nie, nie mam pojęcia. Wiem tylko, że nie mamy dość siły, żeby rozbić szkło od środka. To działa tylko w telewizji. Trzeba wymyślić coś innego.

– Vincent, okropnie dużo tej wody.

– Wiem, przepraszam.

– Nie przepraszaj, tylko myśl. Dobrze ci to idzie. Czasami.

Woda sięga im do brzucha. Zostały im najwyżej dwie minuty. Ona ma rację. Wraca myślenie. Vincent ignoruje wodę, ignoruje szklany zbiornik, próbuje myśleć.

Właśnie, zaraz. Wróc.

Szklany zbiornik. Inaczej niż Tuva i Robert, nie znajdują się w skrzyni domowej roboty, to jest profesjonalna sztuczka wodna. A w takiej jest zawsze kilka warstw tajemnic. Może Presto nie zdradził wszystkiego Jane. Jest jakiś sposób, żeby się wydostać, i jest sposób... żeby było powietrze.

Rurki.

W trikach z wodą zawsze są rurki prowadzące na zewnątrz, przez które magik będzie mógł oddychać. Vincent ze złości uderza głową o szkło.

– Vincent? – W głosie Miny słychać niepokój.

A on nie potrafi sobie wybaczyć. Powinien na to wpaść znacznie wcześniej. Umysł nie pracuje jak trzeba przez tę ciasnotę. Za minutę i trochę skończy się powietrze, trzeba szybko znaleźć te rurki.

Pod warunkiem, że Jane i Kenneth ich nie usunęli.

PRZEZ SEKUNDĘ jest wrażenie lotu. Jakby była pozbawiona ciężaru albo spadała do góry. W następnej chwili wózek uderza w wodę z wielkim pluskiem. Woda jest tak zimna, że zaparło jej dech. Wiedziała, że będzie zimna, ale nie aż tak. Nadal trzyma się mocno siedzenia, gdy wózek zaczyna tonąć.

Słońce znika w jednej chwili. W wodzie jest ciemno, Jane nie widzi nic przed sobą. Nie tak miało być. Jane puszcza siedzenie, odwraca się i szuka rąk Kennetha, który jest przyczepiony taśmą do tonącego wózka, więc nie może odpowiedzieć na jej dotyk. Jane wciąga się po jego ręce, w końcu może go objąć. On ściska ją przedramionami w niepełnym objęciu.

Mieli razem doczekać końca.

Objęci, utonąć w błękicie.

Godnie i spokojnie.

Ale tutaj jest ciemno, zimno i boli.

Tak bardzo boli.

Jane zaciska powieki, jakby broniła się przed zimnem, szarpie Kennetha, stara się wyciągnąć go do góry z tej ciemności. Czuje, że on desperacko stara się uwolnić dłonie przyczepione taśmą.

Kilkoma warstwami taśmy.

Wózek ciągnie ich w dół. Tak jej się wydaje. Ogarnia ją panika, gdy uzmysławia sobie, że już nie wie, w którą stronę się poruszają ani czy w ogóle się poruszają. Pochłonął ich mrok i nic nie zdradza, gdzie jest dół, a gdzie góra.

KVIBILLE 1982

– VINCENT, VINCENT, VINCENT – szepcze z ustami przy drewnianej ścianie skrzyni.

Najpierw krzyczała aż do ochrypnięcia i czekała, aż głosy wrócą. Nie wróciły. Teraz może tylko chrypieć i szeptać jego imię, a w końcu i to nie.

W skrzyni jest gorąco jak w łaźni, przepocone włosy zamieniły się w strąki, kapie jej z nosa. Czuje, że jej plecy są mokre, mimo że nie sięga tam rękami.

Gdyby skrzynia była zbudowana z cienkiej płyty pilśniowej, może udałoby się rozwalić ją, kopiąc i napierając od wewnątrz. Niestety Vincent odrobił lekcję, a Allan widocznie dał mu dobre deski. W dodatku złącza są nie tylko zbite gwoździami, ale do tego jeszcze sklejone.

Kwas mlekowy w stawach aż krzyczy. Jeśli wkrótce nie rozprostuje nóg, chyba naprawdę zwariuje. Nieludzkie jest takie siedzenie przez wiele godzin. Nie wiadomo, ile w końcu. Może dni. Lat.

– Ratunku, niech mi ktoś pomoże – szepcze mama.

Zamierza też wołać pomocy. Niedługo. Tylko niech zbierze siły.

VINCENT NABIERA GŁĘBOKO powietrza i ugina kolana na tyle, żeby dosięgnąć dna zbiornika. Przesuwa dłońmi wzdłuż listew pod wodą. Przy podłodze nic nie ma. W jednym rogu zaczepia o coś paznokciem małego palca na wysokości jednego centymetra. Jest. Jest.

Ostrożnie wyciąga rurkę. To oczywiste, że rurka znajduje się na dole, skoro iluzjonista wisiał głową w dół i najbliżej tej głowy był spód zbiornika. Vincent podnosi się, pluje, prycha. Woda sięga już Minie do ust.

– Pewien jesteś, że nie da się stłuc szkła? – pyta Mina, plując wlewającą się do ust wodą.

Słysząc, że już jest bliska desperacji. Vincent tylko przytakuje i patrzy na przymocowany od zewnątrz list Jane, jego rzekomo ostatnie przesłanie do potomności. Zrobiłby wszystko, byle mógł rozbić szkło i podrzeć list na kawałki. Nie chce, żeby rodzina go znienawidziła.

– Na dole jest rurka – powiedział. – Weź ją.

– Nie rób z siebie rycerza, to ja jestem policjantką – odpowiada, prychnąwszy wodą.

– Jesteś niższa ode mnie – mówi Vincent. – Ja mam jeszcze pół minuty na to, żeby znaleźć jakieś wyjście. Potem zejść w dół. Zobaczysz wtedy, kto z nas jest silniejszy.

– Ha, ha, ha.

Jednak Mina robi, co jej kazał, i nurkuje do rurki, na moment zanim woda sięgnie jej nosa. Ruch sprawia, że woda pryska mu na twarz. Nigdy nie myślał o tym, żeby ćwiczyć wstrzymywanie oddechu. Mogliby oczywiście dzielić się rurką, gdyby nie to, że zamienianie się miejscami w ciasnym zbiorniku zabrałoby więcej czasu, niżby im na to wystarczyło powietrza w płucach. A potem musieliby się od razu znów zamienić. Vincent stara się zapanować nad oddechem.

Woda łaskocze wargi, Vincent zaciska usta. Co pewien czas robi wdech nosem. Już ma wrażenie, że brakuje mu powietrza. Że zabrakło go w zbiorniku. Wali mocno w klapę nad głową. *Wypuście nas, proszę, wypuście. Już dość.*

Odgłos jego pięści o blachę odbija się od ścian pomieszczenia na zewnątrz, poza tym panuje cisza. Nie wytrzyma tego. Nie wytrzyma więcej. Nie może być pogrzebany żywcem. Kiedy woda podchodzi ponad usta, w panice wali o szklane ściany. Nie wolno się jej poddać, bo będzie zgubiony, ale już nie daje rady.

Panika.

Było coś o panice?

Woda dosięga nozdrzy, Vincent rzuca się w górę i wykonuje – jak rozumie – ostatni wdech. Zostało mu tyle czasu, ile wydolności płuc. Ktoś szarpie go za nogawkę. Vincent patrzy w dół. Mina pokazuje na rurkę, ale Vincent kręci głową. Nie ma czasu. Już go rozsadza od środka. Trzeba było ćwiczyć wstrzymywanie powietrza. Cały jest skupiony na tym, żeby nie otworzyć ust. Nie widzi wyraźnie, mruga, kiedy woda zalewa oczy. Jeśli spasyje, będzie po nim. Ciało płonie on płonie mózg chce kończyć już

panika

panika..... *dźwignia*.

Umberto. Co powiedział Umberto? Ma miganie przed oczami. No więc Umberto mówił coś o dźwigni. Wszystkie odgłosy znikają, kiedy woda wlewa się do uszu. Dźwignia, której nie było. Dźwignia na wypadek paniki. Woda go odizolowała. Otuliła. Po drugiej stronie szkła jest puste pomieszczenie. Powietrze. Życie. Dźwigni nie było, bo Tom Presto ryzykował. Przyciska rękę do szkła. Ratunek jest po drugiej stronie. Po jego stronie jest tylko śmierć. Ale Tom Presto, jakiego znał Vincent, nie igrałby ze śmiercią. Przeciwnie. Nigdy by nie oddał swego życia w ręce kogoś innego. Vincent nie może dłużej myśleć. Mózg się wyłącza, opada w pierwotny mrok. Bije rękami w wodzie, ale jego ruchy są stłumione, brakuje w nich siły. Rozwiera szczęki i odruchowo nabiera wody do płuc. Ten francuski kolekcjoner Umberto się mylił. Tom z całą pewnością miałby dźwignię na wypadek paniki. A nie na zewnątrz. Dźwignia byłaby... po wewnętrznej stronie zbiornika.

Idealna równowaga między dwoma ciałami zostaje rozbita na miliony części, gdy przestają krążyć po orbicie.

Nie zabiera to wiele czasu.

Jakby przez sekundę zakręciło się w głowie.

Poza tym jest tak jak przy zasypianiu.

CIAŁO, DO KTÓREGO przywiera Jane, drga, przeszywane gwałtownymi spazmami. Ona już nie chce tego. Chce żyć. Nie tak to miało wyglądać.

Puszcza Kennetha i próbuje płynąć do góry. Zostawia go, by opadł na dno, na spotkanie swego losu. Jane wie, że znajduje się za głęboko, a jej nogi są do niczego. Może tylko pływać, poruszając rękami.

Zabiera jej to zbyt dużo czasu. Może płynie w złą stronę. Może coraz głębiej. Ale nie chce.

Po trzech ruchach w jej płucach następuje eksplozja.

To nie tak było.

To było tak.

KVIBILLE 1982

SAMA JUŻ NIE WIE, kim jest. Wie tylko jedno, że tak długo i mocno ją boli. Stawy aż krzyczą. Upał. Pragnienie. Ssie zakrwawione palce, żeby mieć choć trochę płynu. Paznokcie zdrapała o drewniane ścianki, które są jej więzieniem. Wydaje się, że to było tak dawno. Przeklina świat i prosi o wybaczenie.

– Vincent, Jane. Może i dobrze się stało. Nie będę was więcej wołać. Lepiej wam będzie beze mnie. Wiem to. Zawsze wiedziałam.

Nie wie, że prawdopodobnie nie mówi tego głośno.

A potem już nic nie mówi.

KVIBILLE 1982

– To ty zbudowałeś tę skrzynię?

Stała przed nim jakaś kobieta, miała w ręce notes i długopis. Mówiła do niego głosem, w którym była energia i jakaś pazerność. Nie odpowiedział. Przecież i tak wiedziała. Poza tym jej nie znał. Znów spojrzał na jej ręce. Długopis był kreską. Jeden wymiar. Notes był czworokątem. Dwa wymiary. Skrzynia, którą zbudował, była sześcianiem. Trzy wymiary. Czwarty wymiar to czas. A on w tej chwili poruszał się poza czasem. Stał na tym podwórzu od wieków. A może sekundę. Ktoś z nim rozmawiał. A może nie.

Policjant, pewnie go już spotkał, to chyba ten sam, który pomógł mamie, kiedy jej samochód padł przed sklepem, wziął kobietę pod ramię i odprowadził na bok.

– Proszę zostawić go w spokoju – powiedział. – Powinno go już dawno nie być tutaj. Urzędniczka z opieki społecznej się spóźnia.

Wejście do obory zostało odgródzone taśmą policyjną, a ozdobiona gwiazdami skrzynia wyprowadzona na podwórze. Dobrze, że zamocował do niej kółka, bo byłaby ciężka do noszenia. Nie rozumiał tylko, jak ma się teraz dostać do swojego warsztatu, gdzie miał tyle tajemnic. Niech mu tylko nie grzebią tam, bo będzie mu strasznie przykro.

– Jestem z „Hallandsposten” – odburknęła kobieta. – Społeczeństwo ma prawo wiedzieć, co się tu wydarzyło.

Spojrzał na swój cień na żwirze. Coraz dłuższy. Był tylko swoim własnym cieniem. Samym jądrem cienia, gdzie słońce nigdy nie sięga. I był jednowymiarowy. Z boku niewidoczny. Kobieta pochyliła się nad nim.

– Co czujesz, kiedy już nie masz mamy? – spytała, trzymając długopis przy notesie.

Nie rozumiał, jak ona może go widzieć, skoro stoi bokiem. I co ona mówi – jak to nie ma mamy? Mama jest w kuchni. Mama jest w myciu zębów. Jesteśmy tym, co robimy, tak mówiła zawsze. Więc on może sobie zrobić mamę, kiedy tylko zechce.

– Cholera, wystarczy tego – odezwał się ze złością policjant. – Albo pani odejdzie z miejsca wypadku, albo panią wsadzę za przeszkadzanie policji w czynnościach.

Kobieta wyjęła szybko aparat fotograficzny i strzeliła fotę, zanim policjant zdążył zareagować. Błysnęła lampka i chłopiec zamrugał.

– Zapomniałeś się uśmiechnąć – powiedziała. – Ale to dobrze. Poważne dziecko wychodzi dobrze na zdjęciu. Była, zdaje się, jakaś siostra? Może będzie rozmowniejsza?

Poszła sobie przez podwórze. Policjant stanął przed nim, położył mu ręce na ramionach. Zasłonił słońce.

– To był wypadek – powiedział. – Wiesz o tym, prawda? Nikt cię nie będzie winił. Będzie dobrze. Traficie z siostrą do nowych domów, ale najważniejsze, żebyś zrozumiał, że nikt nie uważa, że to przez ciebie.

– Będziemy mieszkać razem? Ja z Jane?

– Nie wiem, Vincent. Zależy od tego, czy ktoś będzie gotów wziąć was oboje. Więc może nie. Ale na pewno będziecie mieszkać niedaleko siebie. Jestem pewien, że będziecie mogli się spotykać tak często, jak tylko zechcecie. To tylko na pewien czas. Pewnie wszystko wydaje ci się teraz dziwne, ale jesteście mądrymi, sprytnymi dzieciakami. Oboje wyrosiecie na silnych ludzi i zostawicie to za sobą. Przecież macie siebie nawzajem. Jesteście rodziną. Wszystko zostanie wybaczone.

SIEDZĄC NA DNIE wodnej komory tortur Houdiniego, Mina usiłowała się pozbierać. Woda chlusnęła nagle ze zbiornika i wylała się na podłogę. Jakby wypadło dno. Nadal wlewała się do środka węzłem, ale równie szybko się wylewała.

Vincent tkwił nad nią bez życia. Opadł lekko, oparty czołem i kolanami o szkło, ale ciasnota utrzymywała go w pionowym położeniu. Widziała, jak się rzucał w panice, kiedy zabrakło mu powietrza. O mało nie kopnął jej w głowę. Rzucając i tłukąc rękami, widocznie trafił na jakąś dźwignię albo guzik, dzięki czemu zbiornik się opróżnił.

Jednak wciąż musieli się wydostać z tego cholernego akwarium. Nie wiedziała, czy Vincent żyje, ale jeśli natychmiast nie zrobi mu sztucznego oddychania, na pewno umrze. Mówił, że szkła nie da się rozbić, ale najgorsze to z góry się poddać. Zdjęła jeden but i zaczęła systematycznie walić obcasem w jedno i to samo miejsce. Trzeba było piętnastu mocnych uderzeń. Miał rację, w wodzie byłoby to niemożliwe. Kiedy szkło się roztrzaskało, odruchowo zasłoniła się rękami. Vincent runął naprzód, ale ponieważ znajdowała się przed nim, nie upadł twarzą na odłamki.

Wygramoliła się z rozbitego zbiornika, pociągnęła za sobą Vincenta i ułożyła ostrożnie na miejscu wolnym od szkła. Okazał się lżejszy, niżby się wydawało. A może ona stała się silniejsza.

Spojrzała na niego. Mentalista. To ona go wciągnęła w to wszystko. Bo Kenneth skłonił Annę, żeby jej to zasugerowała. Połknęła tę przynętę. Potem niemal ją zabiła siostra Vincenta, a teraz on być może nie żyje. Nie zamierzała mu na to pozwolić. Woda na pewno zmyła z niego wszystkie bakterie. Uniosła mu kark, otwierając drogi oddechowe, odetchnęła głęboko i przytknęła usta do jego ust.

VINCENT BYŁ NADAL zbyt wyczerpany, żeby jej pomóc. Leżał na wznak i jeszcze łapał powietrze, którego mu zabrakło w zbiorniku. Mina nie miała pojęcia, gdzie są teraz Jane z Kennethem ani kiedy wrócą. Zdziwiła się, że nie poczekała, żeby patrzeć, jak umierają, ale może nie potrzebowali. Myśleli, że osiągnęli swój cel, i to im wystarczyło. Pytanie: uciekli czy też wciąż znajdują się w pobliżu?

Próbowała myśleć.

Mózg domagał się natychmiastowej ucieczki, musiała się przemóc, żeby po prostu nie wybiec. Z jednej strony nie mogła zostawić Vincenta. Dopiero co ratowała mu życie. Przypomniało jej się, że według jakiegoś chińskiego filozofa oznacza to, że teraz za niego odpowiada. Z drugiej strony, podczas bezmyślnej ucieczki, mogłaby wbiec prosto w ramiona Jane i Kennetha.

Walcząc z mdłościami od zgniłego słodkawego smrodu, rozglądała się. Trzeba wezwać pomoc. Co oznacza, że musi znaleźć jakiś telefon. Kenneth wyrzucił jej smartfona przez okno samochodu, pewnie leży w kawałkach kilkadziesiąt kilometrów stąd. Vincentowi na pewno też odebrali, ale jeśli nie wzięli go ze sobą, powinien znajdować się gdzieś w pobliżu. Przeszukała stół warsztatowy, który był właściwie jedynym meblem w całym pomieszczeniu, ale niczego nie znalazła.

– Vincent – odezwała się, odwracając się do niego.

Leżał na wznak, oczy miał wywrócone białkami do góry, oddech krótki, urywany, wydawało się, że wciąż walczy o powrót do rzeczywistości.

– Vincent! – powtórzyła jeszcze bardziej stanowczo. – Widziałeś, co zrobili z twoim telefonem? Na stole warsztatowym go nie ma, nigdzie indziej go nie widzę. Mogli go zabrać?

Poczuła, że traci nadzieję. No pewnie, że zabrali.

Vincent z trudem uniósł prawą rękę i wskazał na róg pomieszczenia. Stał tam kontener. Taki do zapełnienia śmieciami, które potem ktoś odbiera. Nawet go nie zauważyła, kontener budził w niej aż nazbyt wiele skojarzeń z niezmywalnym

brudem, by nawet odnotować jego istnienie. Ale Vincent wciąż pokazywał w tamtą stronę.

Niechętnie poszła tam. Odór zgnilizny był coraz silniejszy, im bliżej podchodziła. Zawartość żołądka podchodziła jej do gardła, paliła w ustach i wracała. Z każdym krokiem Mina czuła coraz większe przerażenie. Nie chciała widzieć zawartości kontenera. Tknąć go. Ani przebywać w tym samym pomieszczeniu.

Odwróciła się i spojrzała błagalnie na Vincenta. Chciał coś powiedzieć, ale nie miał siły, zamiast tego znów podniósł rękę i po raz trzeci wskazał na kontener. Cholera. Cholera jasna i kurwa mać.

Przez chwilę wydawało jej się, że coś usłyszała. Coś z zewnątrz. Znieruchomiła, nasłuchując, ale panowała cisza. Nikt nie przyjdzie im pomóc. Wszystko zależy od niej.

Kontener był wysoki, za wysoki, żeby mogła się sama wdrapać. Rozejrzała się. Drabina, która przedtem była oparta o zbiornik, przewróciła się, kiedy go rozbiła. Mokra i śliska, pokryta odłamkami. Nie do użytku. W głębi przy ścianie stała inna drabina. Znacznie starsza, jakby nieużywana od lat, ale przynajmniej nieudekorowana odłamkami szkła. Poszła po nią, rzuciwszy jeszcze spojrzenie na drzwi.

Drabinę oplatała pajęczyna. Mało tego, stwierdziła Mina ze wstrętem, łąziło po niej mnóstwo małych pajęczków. Znalazła kilkucentymetrowe miejsce bez białych lepkich nitek, tam chwyciła drabinę z przerażeniem równym obrzydzeniu. Wyciągnęła ją i wtedy odkryła pochodzenie pajęczego drobiazgu. Wielka włochata mama pajak, siedząca na tylnej części drabiny, przespacerowała się prosto na jej dłoń.

Mina wrzasnęła, nie mogła się powstrzymać. Jej krzyk odbił się echem między ścianami, serce tłukło się w piersi ze strachu, kiedy patrzyła na drzwi. Usłyszeli ją? Czy Jane i Kenneth wrócą, by odkryć, że ona i Vincent nie zginęli w zbiorniku?

Nic się nie działo.

Nikt nie przyszedł.

Cisza.

Z walącym wciąż sercem zaniósła drabinę do kontenera. Swędziało ją wszystko od nasady włosów aż po stopy, już widziała te pajęczki pokrywające jej ciało i składające jaja pod jej skórą albo robiące coś innego, równie obrzydliwego.

Przypomniał jej się filmik na YouTube, który pokazał jej kiedyś Ruben, na pewno po to, żeby się z nią podrażnić. Było tam coś o *botfly*, południowoamerykańskim gzie składającym jaja pod skórą zwierząt i ludzi.

Z tych jaj wylęgają się potem larwy. Na filmie widać było, jak ktoś wyciąga taką wielką wijącą się larwę ze skóry na głowie człowieka.

O mało wtedy nie zwymiotowała, ale nie chciała dać tej satysfakcji Rubenowi, więc się opanowała. Teraz, wielkim wysiłkiem woli, również.

Ostrożnie oparła drabinę o kontener, starając się, żeby zrobić to jak najciszej, kiedy drewno dotknęło blachy. W tej przeprowadzce towarzyszyło jej wiele pajęczków, biegały teraz niespokojnie, bo pajęczyna zerwała się w kilku miejscach.

Mina prawie nie zwracała na to uwagi, bo smród stał się wręcz nie do zniesienia, kiedy stanęła przy kontenerze. Gryzł w nos, oczy łzawiły. Coś – cokolwiek – co śmierdzi w ten sposób, musi wręcz wypełniać powietrze bakteriami i mikroorganizmami, krążącymi teraz wokół niej, przy niej, po niej. W środku niej.

Zmusiła się do skupienia na zadaniu, na celu. Spojrzała na Vincenta, który podniósł się do pozycji siedzącej z głową zwieszoną między kolanami. Wstrząsały nim torsje, zwymiotował resztę połkniętej wody.

Mina znów poczuła w ustach smak żółci. Przełknęła raz, drugi, nie wolno jej wymiotować, bo nie da rady przeprowadzić tego, co jest absolutnie konieczne. Wymiotowanie byłoby czymś absolutnie najgorszym, gorszym od *botfly*. Widząc całe to obrzydlistwo, które się w niej znajduje, a co przez cały czas wypierała ze swojej świadomości, wpadała w totalną panikę. Jeden raz wystarczy aż nadto. W sezonie grypowym dezynfekowała ręce trzy razy częściej niż zwykle i na wszelki wypadek codziennie łykała dziesięć ziaren białego pieprzu. Ten pieprz wprawdzie nie miał żadnego naukowego potwierdzenia, ale jej mama zawsze tak robiła, a Minie od dziesięciu lat udawało się unikać grypy żołądkowej.

Zostały trzy szczelble. Jej głowa znalazła się na wysokości krawędzi kontenera. Wciąż nie widziała, co jest w środku, ale smród, na ile to w ogóle możliwe, stał się jeszcze silniejszy i agresywniejszy. Naciągnęła sobie na nos golf koszulki, jako osłonę, choć mocno niewystarczającą. Po wierzchu jej dłoni przebiegło kilka pajęczków, ale w porównaniu z fetorem mogła to pominąć.

Jeszcze jeden szczelbel.

I następny – spojrzała ponad krawędzią.

Kontener był pełen ścierwa.

Norki.

Patrzyły na nią tysiące martwych nerek w różnym stadium rozkładu. Poruszały się. Wiedziała dlaczego. Wypełniały je gazy, larwy i lepkie muchy w takich ilościach, że ścierwo się ruszało. Już nie mogła się powstrzymać,

odchyliła się na bok i teraz już wyleciały z niej na betonową podłogę płatki śniadaniowe, których nie zwymiotowała poprzednio.

Popłynęły łzy. Serce biło jak szalone, poczuła, jak jej się poca ręce. Była bliska ataku paniki, ale wiedziała, że się rozleci, jeśli podda jej się przez choćby jedną milisekundę.

Znów spojrzała na Vincenta. Już lepiej wyglądał, jakby wracały mu kolory. Może da radę iść? Może powinni po prostu wydostać się stąd, licząc, że Kenneth i Jane uciekli i są daleko?

Wiedziała, że nic z tego. Trzeba sporo czasu, zanim Vincent będzie mógł się szybko ruszać, zresztą nie byłby w stanie stawić oporu, gdyby się okazało, że muszą się bronić.

Potrzebowali wsparcia.

Potrzebny jej był telefon.

Postawiła stopę na krawędzi kontenera. Starła się zignorować pełne gazów, rozkładające się truchła, odepchnęła od siebie myśli o milionach larw i jaj much. Zamiast tego desperacko przywoływała obrazy tęczy, jednorożców, letniej łąki czy rozkosznych kociątek.

A potem skoczyła.

PRZYBYLI NA MIEJSCE policjanci z Norrtälje zastali Minę i Vincenta siedzących na ziemi w warsztacie. Mina postarała się opłukać za pomocą węża ze zbiornika, ale krew i resztki truchel zostały jej jeszcze we włosach. Wolała o tym nie myśleć, postanowiła, że całe zetnie, jak tylko wpadnie jej w ręce coś ostrego.

Jej ciuchy, trwale zniszczone, leżały rzucone w kącie, po tym jak je z siebie zdarła z wrzaskiem. Przynajmniej znalazła telefon Vincenta. Lepił się od krwi, ale działał. Zadzwoiła, a potem rzuciła na podłogę i zalała wodą z węża.

Vincent nic nie powiedział. Zdjął z siebie ubranie i dał jej, wprawdzie za duże i w dodatku mokre, ale przynajmniej wolne od pajaków, larw i szczątków norek. Został w samych bokserkach. Takich od Björna Borga w hawajski deseń, czego nie omieszkała odnotować.

Komenda w Norrtälje przysłała dwie funkcjonariuszki. Na widok Miny i Vincenta jedna z nich odwróciła się w drzwiach.

– Potrzebne nam koce! – zawołała do kogoś na dziedzińcu. – Szybko!

– Ktoś stąd dzwonił do nas – powiedziała druga. – A chwilę potem był telefon ze Sztokholmu – dodała z zatroskanym wyrazem twarzy, kucając obok Miny.

– Stąd to ja – odparła Mina, pociągając nosem. – Szybko przyjechaliście.

– To ty? – zdziwiła się policjantka. – Wydawało mi się, że ten głos brzmiał starzej. Policja sztokholmska wydawała się zdezorientowana, ale osoba, która stąd dzwoniła, mówiła o jakichś dwóch zwłokach. O zbrodni z nienawiści i samobójstwie. I o jakimś liście. Coś wam wiadomo na ten temat?

Mina nie wiedziała, co powiedzieć. Spojrzała na Vincenta.

– Jane i Kenneth przed odejściem zadzwonili na policję – powiedział przepaszającym tonem. – Nie zdążyłem ci powiedzieć.

MINĘLI ZJAZD DO LOTNISKA ARLANDA i pojechali dalej na północ. W tym momencie byli prawie sami na autostradzie, bo za Arlandą ruch zawsze malał, ale wiedziała, że zgęstnieje, kiedy się zbliżą do Uppsali. Christer zadzwonił, kiedy Julia już siedziała w samochodzie, i powiedział, że Vincent jest poszukiwany, jednak leży to już w gestii Norrtälje, a nie ich. W związku z tym Julia już nie musi przyjeżdżać.

Christer dodał znacząco, że oczywiście nie ma pojęcia, dlaczego Julia jest w domu, ale być może ma akurat coś ważniejszego do załatwienia. Zadzwoniła od razu do Torkela i zawróciła, wdzięczna kolegom za to, że są tacy kiepscy w utrzymywaniu sekretów.

Uścisnęła jego dłoń na kierownicy. Odwzajemnił uścisk, nie odwracając oczu od drogi.

– Dzięki – powiedziała. – Za to, że znosisz mnie tak cierpliwie. Razem z tymi cholernymi hormonami.

– Hej, jesteś po prostu superglina – odparł, uśmiechając się. – Stałaś dziś przed trudnym wyborem. Przykro mi, że ci go nie ułatwiłem. Ale wiedz jedno. – Na moment oderwał wzrok od drogi, żeby spojrzeć jej w oczy. – Kocham cię i uważam, że postąpiłaś słusznie. Musielibyśmy podjąć jeszcze więcej prób, żeby mieć dziecko. Ale cóż byłby ze mnie za ojciec, gdybym nie dał ci chronić człowieka, który żyje i jest dzieckiem kogoś innego? Przepraszam cię, że zachowałem się jak tępak.

– W porządku – powiedziała, kładąc mu dłoń na udzie. – Przecież wiesz, że nie wzięłam cię ze względu na twoją mądrość.

Wybuchnął śmiechem, dołączyła do niego. Jakby pękła tama. Wreszcie puściło wielomiesięczne napięcie, odkąd wznowiła terapię hormonalną. Torkel chyba poczuł to samo. Zmierzali ku czemuś nowemu. We dwoje. Opuściła szybę, wpuszczając wrześniowy chłód. Wiatr zawirował wokół jej twarzy i włosów. Wydał się swawolny, rozbawiony. Julia uśmiechnęła się i zamknęła oczy. Wiatr był pełen życia.

PAŹDZIERNIK

VINCENT NIE POJAWIŁ SIĘ na konferencji prasowej. Mina rozumiała go. Po informacji o tym, że istniał związek między nim a morderstwami, media rzuciłyby się na niego niczym piranie w rzece na martwą krowę. Najlepiej, żeby trzymał się jak najdalej.

Julia weszła na podest. Część informacji zdążyła już wycieknąć, media pomieszały wyrwane z kontekstu fragmenty prawdy, uzupełniając je o fantazje dziennikarzy, którzy nazywali je „prawdopodobnymi scenariuszami”.

Wrzawa zaczęła cichnąć, wszystkie spojrzenia skierowały się wyczekująco na Julię. Mina stanęła z boku, ukryta za zasłoną. O niej też było sporo w prasie. Nie mogła pojąć, skąd wzięli zdjęcia, bo zawsze starannie unikała rozgłosu i nawet prywatnie nie lubiła stawać przed obiektywem. Mimo to udało im się wygrzebać stare czarnobiałe zdjęcie, na którym wyglądała okropnie. Zostało zrobione podczas jakiejś akcji, kiedy nawet nie zauważyła obecności fotografa.

– Jeszcze nie zlokalizowaliśmy sprawców, ale znamy ich tożsamość, to niejacy Jane Boman i Kenneth Bengtsson. Jak już pisaliście w gazetach, Jane jest siostrą mentalisty Vincenta Waldera.

– Od kiedy Vincent Walder wiedział, że jego siostra jest współsprawcą? – strzelił pytaniem jeden z najbardziej operatywnych reporterów z „Expressen”.

– Bardzo proszę państwa o zgłaszanie się przez podnoszenie ręki i o czekanie na swoją kolej – powiedziała surowo Julia. – W przeciwnym razie zrobi się chaos.

Mina dopiero teraz odnotowała, że szef sztokholmskiej policji, ojciec Julii, stanął z tyłu sali, skąd obserwował córkę. Wyglądał na dumnego z niej. Mina zdawała sobie sprawę, że ta sytuacja z Julią i specjalnym zespołem stanowi dla niego pewną komplikację i że Julia z powodu swego pokrewieństwa z szefem

musiała pracować dwa razy ciężiej od innych. Dlatego Minę ucieszyła ta duma na jego twarzy. Julia zasłużyła na to.

– Ale odpowiadając na pana pytanie – ciągnęła Julia – Vincent Walder zdał sobie sprawę, że to jego siostra, dopiero kiedy został schwytany przez nią wraz z naszą koleżanką Miną Dabiri.

– Dlaczego? Jaki miała motyw?

Znów ten sam reporter i również tym razem bez podniesienia ręki. Patrząc na Julię, Mina domyślała się, że jej cierpliwość się kończy.

– Proszę podnosić rękę. Zgadza się, że motyw ma związek z wydarzeniem, które od kilku dni wałkujecie w gazetach. Mam na myśli wypadek, do którego doszło w dzieciństwie Vincenta i Jane. Ich matka Gabriella Boman umarła w tragicznych okolicznościach i Jane uznała z rozmaitych powodów, że Vincent był odpowiedzialny zarówno za tę śmierć, jak i za to, jak potem potoczyło się jej życie.

Inny reporter machnął ręką w powietrzu.

– A skąd temat iluzji? Czy nie była to niepotrzebna komplikacja?

– Co mam na to powiedzieć? Moje doświadczenie jest takie, że mordercy nie zawsze są racjonalni w swoim sposobie postępowania. Z tego, co się dowiaduję, zarówno powód morderstw, jak i sposób ich popełnienia ma związek z okolicznościami śmierci Gabrielli Boman.

– Czy śmierć Daniela Bargabriela pozostaje w jakimś związku z tamtymi morderstwami?

– Jego śmierć nie ma związku z tą sprawą poza tym, że Bargabriel znał dwie spośród ofiar. Natomiast mogę państwa poinformować, że dzisiaj zatrzymaliśmy wszystkie osoby, które uznajemy za zamieszane w jego pobicie; według prokuratora mamy wystarczające dowody, aby je postawić w stan oskarżenia.

Mina poczuła ukłucie żalu, że młody człowiek zginął wskutek odwetu Jane, choć to nie ona go zabiła. Niepotrzebna strata. Oby ten skandal na tyle zaszkodził Przyszłości Szwecji, żeby w następnych wyborach poszli na dno.

Julia była nadal atakowana zaczepnymi pytaniami. Mina zaczęła się powoli wycofywać, głos Julii, jej odpowiedzi zeszły na drugi plan.

SUCHA KARMA zachręściła w blaszanej misce. Bosse przybiegł od razu i zaczął radośnie zajadać, nie dbając o maniery przy stole, z takim skutkiem, jakby nastąpiło niewielkie trzęsienie ziemi.

– Tak, mój kochany – powiedział Christer.

Podparł się o stół, żeby móc usiąść na podłodze. Nie było to łatwe, ale stało się trochę łatwiejsze niż kiedyś. Spacer z Bossem zaczęły przynosić skutek. Christer oparł się o szafkę z szufladami i pogłaskał psa. Harry Bosch nie miał pojęcia, co traci.

– Twój pan i pańcia zaginęli bez śladu – mówił dalej Christer. – Nie ma ich nigdzie na wyspie. Nikt nie widział, żeby odpływała stamtąd jakaś łódź. Na pewno nie było ich na promie. To wszystko jest jedną wielką zagadką. Policja z Norrtälje przeszukuje dno, ale pewnie nic nie znajdą, bo tam jest głęboko.

Bosse przestał jeść i spojrzał pytająco. Widocznie wychwycił w tonie Christera, że coś się zmieniło.

– Zrozumiem, jeśli jest ci przykro – ciągnął Christer, drapiąc Bossego za uchem. – Ale pomyślałem, że kiedy już zjesz, pójdziemy na długi spacer, a potem ci kupię taką piszczącą piłeczkę, którą uwielbiasz gryźć. Świecąca. Widzisz, nie przypuszczam, żeby wrócili. Myślę, że zostaniemy we dwóch.

Bosse szczechnął i polizał Christera po twarzy od podbródka aż po czoło. Jego oddech pachniał mocno karmą. Fajnie jest mieć towarzystwo.

Po raz kolejny, sam nie wiedział który, Christer wrócił myślami do młodości. Do Lassego. To właściwie skandal, że nie wie, co się od tamtej pory działo z Lassem. Kiedyś znał go tak dobrze, a teraz nie ma pojęcia, jak Lasse przeżył wielki kawał życia ani czego doświadczył. Christer poczuł niemal zazdrość, chociaż sam nie był pewien o kogo. Jednak wciąż nie jest za późno, by to zmienić. Jest przecież policjantem. I są media społecznościowe. Na pewno nie będzie mu trudno się dowiedzieć, co teraz robi Lasse.

Siedząc tak na podłodze z dłońmi zanurzonymi w sierść Bossego, Christer poczuł w środku coś jakby poruszenie. Z początku słabe i nawet nie był pewien, co to jest. Jednak w miarę jak się nasilało, narastało wrażenie czegoś zupełnie

nowego. Nigdy przedtem tego nie doświadczył. Pewności nie miał, ale pomyślał, że może to szczęście.

MILDA ZOSTAŁA przy stole. Vera i Conrad jak zwykle zjedli kolację w rekordowym tempie. Vera rozsiadła się potem przed swoim PlayStation, a Conrad poszedł po swoje książki i zeszyty. Siedział teraz naprzeciw niej, pochłonięty lekturą podręcznika do wiedzy o społeczeństwie, jednocześnie notował pilnie na laptopie.

Jej Conrad. Lato było dla niego ciężkie, ale pobyt w ośrodku rehabilitacyjnym miał na niego niemal magiczny wpływ. Od powrotu stamtąd trzymał się z dala od dawnych głupstw, zmieniło się też jego nastawienie do życia i do szkoły. Nawet Vera powiedziała, że Conrad jest dużo pogodniejszy. A teraz nawet sam z siebie odrabia lekcje.

Milda zdawała sobie sprawę, że nie powinna robić sobie zbyt wielkich nadziei. Już tak bywało, myślała, że Conrad zaprowadził porządek w swoim życiu, a potem mijał miesiąc i wracał do tego, co było przedtem. Tym razem wydawało się, że jest... inaczej. Bała się tak myśleć, nawet wiedziała, że nie powinna, ale może już tak zostanie. Wszyscy troje na to zasługują.

Zwłaszcza teraz.

Nie musiała czytać jeszcze raz listu od Adiego, żeby przypomnieć sobie, co w nim jest. Właściwie to list był nie tyle od jej brata, ile od jego adwokata. Parsknęła lekceważąco. Raczej jakiegoś kumpla poznanego w związku z jego ciemnymi interesami albo w więzieniu, dlaczego nie? Adwokata, tak, na pewno. W odróżnieniu od Conrada Adi nie zmienił się ani na jotę. Wciąż ten sam wyścig o jedyną ważną dla niego rzecz, czyli pieniądze.

I właśnie pieniądze były problemem. Odziedziczyła razem z bratem dom rodzinny. W goście niezwyklej dla niego wspaniałomyślności Adi pozwolił jej mieszkać tam z dziećmi, kiedy ich ojciec nie potrafił wesprzeć ich finansowo. Milda wiedziała jednak, że ta wspaniałomyślność jest nieprawdziwa, bo Adi chciał przejąć dom dziadka Mykoli w Enskede, który był większy i znajdował się w lepszej dzielnicy. Kiedy dziadek umrze, Adi będzie twierdził, że dom należy się jemu, bo oddał swoją połowę domu, w którym mieszka Milda.

Teraz ta udawana wspaniałomyślność się najwyraźniej skończyła. Nie mogła mu robić z tego wyrzutów, prawo było po jego stronie. Tyle że stało się to tak nagle. Myślała, że najpierw o tym porozmawiają. Jednak Adi oznajmił jej przez adwokata, że jeśli chce dalej mieszkać, powinna go spłacić. W przeciwnym razie muszą sprzedać dom. Albo potrącić jej część z przyszłego spadku po dziadku. Nie dał jej wiele czasu na spłatę.

Nie wchodziło w rachubę, żeby sprzedawać, nie wystarczyłoby jej na jakieś sensowne mieszkanie, nie mogła na to narażać dzieci. I nigdy nie dostanie dostatecznie dużego kredytu na spłacenie Adiego, nie w jej obecnej sytuacji finansowej. Ośrodek rehabilitacyjny dla Conrada był prywatny – i bardzo kosztowny.

Z drugiej strony nie miała sposobu, żeby zdobyć te pieniądze, chyba żeby napadła na bank. Patrzyła na głowę Conrada pochylonego nad książką. Potrzebują jakiegoś cudu.

RUBEN WAHAŁ SIĘ. Znalazł się tak daleko od swojej strefy komfortu, że aby tam dotrzeć, potrzebowałby zarówno paszportu, jak i zaświadczenia o szczepieniu. Już miał zrezygnować. Przecież ma dobre życie.

Na pewno?

Uważał, że tak. Praca niewymagająca od niego więcej, niż był skłonny jej poświęcić. Zwłaszcza po tym, jak nowy zespół udowodnił swoją sprawczość i będzie mógł dalej działać. Dzięki temu Ruben nie podlegał dawnym irytującym ograniczeniom. A jako singiel miał swobodę działania, jak mu się podoba. Żadnych dzieci, które już po lunchu trzeba odebrać z przedszkola albo na które przez całą zimę trzeba brać zwolnienie na opiekę. Parsknął. Zwolnienie na dziecko, też mi wymyśl. Peder będzie musiał zwolnić się z pracy, jak tylko trojaczki nauczą się chodzić.

Pomyślał, że ma wszystko. Miasto pełne chętnych i napalonych pańienek, powiedziałyby nawet, że jego członek mógł liczyć na całodobowe parkowanie z pełną obsługą. I żadnej, która zepsułaby to wszystko, zostając na dłużej.

Żadnego marudzenia, że niepozmywane, nieposprzątane albo za mało kwiatów na walentynki.

Nikogo, z kim jadłby kolację przed telewizorem, do kogo by się przytulił, żeby zasnąć, żadnej jasnowłosej pachnącej zawsze tymotką, a latem obsypanej piegami.

Żadnej jak...

Żadnej jak Ellinor.

Szybko sięgnął po karteczkę, na której zapisał numer telefonu, i wybrał go, zanim zdąży się rozmyślić. Nabrał głęboko powietrza w płuca.

– Dzień dobry, nazywam się Ruben Höök. Chciałbym umówić się na rozmowę.

ANETTE PATRZYŁA na niego i było to spojrzenie, jakiego dawno u niej nie widział. Pomyślał, że żartuje. Dopiero gdy zaczęła rozpinąć mu koszulę, zrozumiał, że to serio.

– Zauważyłeś, że trojaczki śpią? – spytała miękko. – Wszystkie trzy. Jednocześnie.

Peder sięgnął do stolika i pilotem wyłączył telewizor, potem opadł z powrotem na kanapę. Anette włożyła mu dłoń pod koszulę i zaczęła go głaskać po klatce piersiowej.

– Masz rację – powiedział, nasłuchując ciszy. – Faktycznie, śpią wszystkie trzy. Takie to niezwykle, że może powinniśmy kupić los na loterii albo coś w tym rodzaju.

– Chyba że spędzimy ten czas inaczej – szepnęła mu do ucha.

Anette wstała i wyciągnęła do niego rękę. Chwycił ją i pozwolił się zaprowadzić do sypialni.

– Pewna jesteś? – spytał, kiedy go rozbierała.

Nie odpowiedziała. Kiedy został w samych bokserkach, wsunęła się do łóżka. Pokręciła się pod kołdrą i po chwili rzuciła mu swoją koszulkę i majtki. Klepnęła ręką jego poduszkę.

– Jestem pewna – potwierdziła. – Jeśli się teraz położymy, może zdążymy pospać całe pół godziny, zanim się obudzą.

Peder spojrzał na poduszkę, potem na żonę. Nie widział jej bladości ani sińców pod oczami. Widział tylko tyle, że bardzo ją kocha. Zasnął, jeszcze zanim głową dotknął poduszki.

MALUTKIE ZDJĘCIE Nathalie przesuwano się powoli po mapie na wyświetlaczu. Mina sfotografowała oprawione zdjęcie ze swego biurka, żeby następnie użyć jako ikonki w telefonie. Nie bardzo przypominało dzisiejszą Nathalie, ale był to ostatni portret dziewczyny, jaki miała. Wiele razy kusiło ją, żeby zrobić jej zdjęcie z daleka, ale za każdym razem powstrzymywał ją instynkt samozachowawczy. Wolała nie myśleć, co by się stało, gdyby została przyłapana.

Uświadomiła sobie, że chce włożyć lokalizator GPS do plecaka Nathalie, dopiero po tym, jak już to zrobiła. Ale kiedy piły razem kawę w Kungsträdgården, znalazła się blisko dziewczyny po raz pierwszy od lat i nie wiedziała, kiedy będzie ten następny.

Najpierw myślała, że ludzie pilnujący Nathalie zobaczyli, co zrobiła. Gdy się zjawili po dziewczynę, Mina omal nie posikała się ze strachu. Naprawdę. Gdyby jednak odkryli nadajnik, groźby przez telefon byłyby dużo gorsze. Pewnie byłyby to ostatni raz, gdy widziała Nathalie.

Oznaczało to jednak, że przez pewien czas nie odważy się znaleźć w pobliżu dziewczyny. Nie mogła stać na peronie metra w Blåsut, żeby stamtąd obserwować, jak Nathalie idzie do szkoły. Nie mogła czekać przed jej bramą na Östermalmie albo obserwować, jak krąży po mieście. Dopiero za jakiś czas będzie mogła ją znów zobaczyć.

Ale nie szkodzi.

Miała ją teraz przed sobą, na dłoni.

Za pomocą tej aplikacji mogła widzieć dokładnie, gdzie jest teraz Nathalie, wyobrażać sobie, co robi i z kim. W tym momencie portrecik tkwił nieruchomo na Östermalmie, czyli pewnie jest w domu. Powiększając obraz mapy na ekranie, mogłaby sprawdzić adres, gdyby nie znała go wcześniej.

Oczywiście nie zamierzała jej szpiegować. Natti ma prawo do prywatnego życia, jednak Mina zamierzała od czasu do czasu przyjrzeć się, upewnić, że wszystko w porządku. Że faceci w ciemnych okularach opiekują się nią.

– Cześć, kochanie – powiedziała, gładząc ekran palcami. – Dopilnuję, żeby nic ci się nie stało.

VINCENT WYJĄŁ z szafki kubek, nasypał listków herbaty do zaparzaczkki i zalał wodą z czajnika. Następnie postawił parujący kubek na stole przed żoną.

– Proszę, kochanie – powiedział. – Wyglądasz, jakbyś jej potrzebowała.

– To zielona herbata? – spytała.

Zawahał się.

– Nie – przyznał. – To chai.

– No i dzięki Bogu – odparła, dmuchając na kubek. – Mam dość tych sików. Chyba od nich mnie ten brzuch boli.

Kilka chwil później na stole pojawiła się kolacja, strogonow na kielbasie chorizo z sosem z płatkami chili, brązowym ryżem, sałatą i chipsami z jarmużu. Te ostatnie właściwie nie pasowały, ale wiedział, że Benjamin je uwielbia. Stawiając na stole patelnię, Vincent udał, że chlapnął sosem na smartfon Rebecki.

– Kiepski dowcip – odezwała się, odsuwając telefon o pół centymetra.

Podniosła wzrok znad wyświetlacza i zaśmiała się.

– Szczęście, że nie mamy w pobliżu sąsiadów. Chybabym umarła, gdyby moi znajomi zobaczyli, jak cię przywieźli do domu radiowozem, w dodatku całego przemoczonego! Wiesz, tato, czasem się naprawdę nad tobą zastanawiam!

Uśmiechnął się.

– Rzeczywiście, niezdara ze mnie. Już nie będę chodził tak blisko krawędzi nabrzeża.

Maria spojrzała na niego bacznie znad kubka. Nie opowiadał w domu za wiele o dochodzeniu, ale nie mogli nie zauważyć nagłówków w prasie. Jednak nie odezwała się. Odstawiła kubek i nałożyła sobie jedzenie.

– Co powiesz, kochanie – odezwał się. – Może w przyszłym tygodniu zaprosimy twoich rodziców? Mam dla twojego taty spóźniony prezent urodzinowy.

Maria zakrztusiła się i musiała zasłonić usta serwetką.

– Upadłeś na głowę? – spytała między jednym kaszlnięciem a drugim.

Widział jednak, że uśmiecha się za serwetką.

Powiódł wzrokiem po swojej rodzinie siedzącej za stołem. Rebecka jadła jedną ręką, esemesując drugą. Jej podzielność uwagi była naprawdę imponująca, gdyby chcieć spojrzeć od tej strony. Aston jak zwykle liczył na swoim talerzu kawałki jedzenia, pokrojonego mu przez Marię wbrew zdrowemu rozsądkowi. Vincent wiedział, skąd mu się to wzięło, więc raczej nie mógł go krytykować. Benjamin jadł ze spojrzeniem utkwionym gdzieś daleko. Był w tym wieku, że powinien myśleć przede wszystkim o dziewczynach – albo chłopakach. Jednak Vincent wiedział, że Benjamin najprawdopodobniej rozmyśla o jakimś problemie matematycznym. Może znalazł go na YouTube. Oby takim, w którym będzie tym razem mniej śmierci.

– Mamo, kocham cię – powiedział nagle Aston.

– Mama też cię kocha – odparła Maria i uśmiechnęła się.

– Ale ciebie też kocham, tato – ciągnął Aston, patrząc poważnie na Vincenta.

– Więc teraz jesteś prywatnym detektywem albo kimś w tym rodzaju, tak? – odezwał się Benjamin, łądując w rzeczywistości.

– Nie wierz we wszystko, co piszą na stronach „Aftonbladet” – odpowiedział szybko Vincent.

– Dobra, ale czy ona naprawdę była twoją siostrą? – upewniła się Rebecka. – Nawet nie wiedziałam, że mam ciotkę.

Pokręcił głową i wytarł usta serwetką.

– W tych morderstwach nie chodziło o mnie, tylko o osoby, których już dawno nie ma na świecie.

– A my jak długo będziemy na świecie? – zaniepokoił się Aston.

Vincent nie mógł się powstrzymać i zmierzwił mu włosy, chociaż wiedział, że syn tego nie lubi.

– Ta rodzina będzie istniała, jak długo zechcemy – odparł. – Na dobre i na złe.

JULIA POZBIERAŁA papiery z biurka i włożyła do plastikowej teczki. Wstała, a wtedy Mina i Vincent zrobili to samo.

– Dziękuję ci, że przyszedłeś jeszcze ten jeden ostatni raz – powiedziała Julia, ściskając mu rękę. – Fajnie, że możemy dokonać zamknięcia sprawy w sposób bardziej formalny i bez obecności mediów. Ale obiecuję, że odtąd się od nas uwalniasz.

Vincent zaśmiał się. Według Miny nie był to zbyt wesoły śmiech. Julia wyciągnęła rękę w jego stronę.

– Możesz zostawić u mnie przepustkę.

– Oczywiście. No to dziękuję – odparł, podając jej plastikową kartę. – To było... oszałamiające.

– Odprowadzę go do wyjścia – powiedziała Mina. – Żeby przepuścili go przez bramki.

Wyszli z gabinetu i dalej szli obok siebie korytarzem. Milczeli. Mina nie chciała odezwać się pierwsza. Nie wiedziała, jak się robi coś takiego. W dodatku bała się, że głos jej zdrzzy.

– No i tyle – stwierdził Vincent na koniec.

– Tak. Chyba tak – odparła.

Zawahała się.

– Jane miała rację – dodała. – Kiedy mówiła, że tchórz ze mnie.

– Nie jesteś tchórzem.

– Skąd... Skąd wiedziałeś? – spytała, zerkając na niego kątem oka. – Odczytałeś to z mojej mowy ciała czy jeszcze czegoś?

Vincent potarł nos.

– Pociągasz trochę prawą stopą, kiedy chodzisz, i lekko unosisz wtedy lewe ramię. I jeszcze mrugasz dwa razy częściej, niż się to normalnie robi. To wyraźne oznaki urazów neurologicznych spowodowanych nadużywaniem leków.

Mina stanęła jak wryta.

– Co? Naprawdę tak robię?

W szoku spojrzała na swoją prawą stopę. Vincent zaśmiał się.

– Nie, żartowałem. Nic się nie bój. Po prostu zobaczyłem monety AA, kiedy byłem u ciebie w domu. Nie miałem pewności, że chodzi o leki, ale nie wydawało mi się, żebyś miała problemy z alkoholem, zważywszy na twoje zamiłowanie do coli zero. Oczywiście jeśli nie liczyć alkożelu, podobno bywa o stężeniu 85 procent. Pociągasz?

– E, spadaj!

Szturchnęła go lekko w bok. Znów umilkli. Zeszli schodami na parter, Mina użyła swojej przepustki, żeby mógł przejść do recepcji, i ruszyła razem z nim. Do wyjścia z budynku został jakiś metr. Tylko nieco ponad metr i koniec. Vincent nagle zatrzymał się i spojrzął na nią.

– Przepraszam – powiedział. – Za to, co ci zrobiła moja siostra. Od tamtej pory nie mogę spać, zamykam oczy i za każdym razem widzę ciebie w tym zbiorniku. I wszystko to moja wina. Próbowałem wymyślić jakiś sposób, żeby ci to wynagrodzić, ale wszystko wydaje mi się niewystarczające. – Uśmiechnął się lekko. – Przynajmniej ładnie ci z krótkimi włosami – dodał.

Zanim zdążyła powstrzymać odruch, przesunęła dłonią po nowej fryzurze, zaraz potarła palce o dzinsy, jakby zostały zainfekowane. Po tym kontenerze włosy wciąż stanowiły dla niej strefę zarazy, mimo wielokrotnego mycia.

– Cóż, oszczędziłbyś mi zarówno stresu, jak i obcięcia włosów, gdybyś wspomniał o maleńkim szczególe, że policja już jest w drodze...

Spojrzała gniewnie, ale w jej spojrzeniu nie dopatrywał się prawdziwej złości.

– No więc byłem ledwo przytomny – powiedział. – I nigdy bym nie przypuszczał, że wskoczysz do tego obrzydliwego kontenera. Jeszcze raz przepraszam. Ale, jak już powiedziałem, ładnie ci z tymi włosami.

Spojrzała jeszcze raz, a potem postanowiła, że da spokój. Co było, to było. Zresztą prawdę mówiąc, dobrze się czuła w tej nowej fryzurze. Pomyślała o tym, co powiedział o swojej siostrze, i pokręciła głową.

– Jesteśmy tu, przeżyliśmy. Oni prawdopodobnie nie. Już nie zamordują żadnego niewinnego człowieka.

Przytaknął w milczeniu. Potem zerknął w stronę wyjścia.

– Masz rację. I, jak powiedziała Julia, uwalniacie się ode mnie.

Wyciągnął do niej rękę na pożegnanie. Była to ostatnia rzecz, jakiej by sobie życzyła. Tego wszystkiego, co razem przeszli, nie mogli zakończyć błahym podaniem ręki. Oddała Vincentowi część siebie. Był zapewne jedynym człowiekiem, który wiedział, kim Mina jest naprawdę. Wtedy się nie podaje ręki na do widzenia, bo jest się złączonym na zawsze.

Z drugiej strony...

Nie byli uczestnikami żadnego romantycznego dramatu, a Mina nie miała piętnastu lat. Stali w recepcji gmachu policji na Kungsholmen, była zwyczajna

październikowa środa. Mina miała służbę. Po jego wyjściu pójdzie na górę i zajmie się swoją zaniedbaną pocztą mailową.

– Wzajemnie, jak powiedziała Julia – odparła i chwyciła jego rękę.

Nie potrafiłaby powiedzieć, jak długo tak stali. Dziesięć minut, rok czy pół sekundy.

Vincent uwolnił rękę z uścisku i odwrócił się do wyjścia.

Mina ruszyła z powrotem do bramki.

– Mina, czekaj – zawołał nagle i podbiegł, grzebiąc w wewnętrznej kieszeni marynarki. – Proszę!

Podał jej nieotwarte opakowanie jednorazowych słomek. Wzięła je i uśmiechnęła się, ale musiała zamrużyć, kiedy łzy napłynęły jej do oczu. Potem pogrzebała we własnej kieszeni.

– Dla ciebie. – Rzuciła mu swoją kostkę Rubika. – Tylko obchodź się z nią ostrożnie, bo kwadraty się poluzowały.

Uśmiechnął się, kiedy ich oczy się spotkały.

A potem odwrócił się i wyszedł przez drzwi z kolorową zabawką w ręku.

Już miała sięgnąć po alkożel i przetrzeć ręce, ale postanowiła dać sobie z tym spokój.

Podziękowania

Takiej książki nie napisze się w pojedynkę. Nawet dwoje autorów nie wystarczy. Na szczęście mieliśmy wokół siebie niezwykle kompetentne osoby, które zadbały, żebyśmy nie popełnili zbyt wielu błędów faktograficznych. Kilka z tych osób zasługuje na szczególnie gromkie i gorące brawa.

Kelda Stagg, M.Sc., technik kryminalistyki w komendzie policji regionu sztokholmskiego, odwiodła nas od przyjętych z góry założeń dotyczących medycyny sądowej i postępowania ze zwłokami podczas dochodzenia. Dzięki niej wiele się nauczyliśmy, począwszy od tego, kto jest obecny podczas obdukcji, skończywszy na tym, do czego może się przydać ciecz wodnista w oku.

Wielką pomoc okazała nam Teresa Maric, ekspertka w sekcji dochodzeniowej Noa (Nationella operativa avdelningen, czyli Narodowego Oddziału Operacyjnego), która wyjaśniła nam wszystko, co związane z lokalizowaniem połączeń i analizą danych, w dodatku zrobiła to z tak fascynującymi szczegółami, że można by napisać o tym osobną książkę. Poprawność w opisach tych dziedzin pracy policji jest zasługą Keldy i Teresy, ewentualne błędy są naszą winą.

Jeśli chodzi o historię sztuk magicznych i iluzji, składamy wielki ukłon przed Andreasem Sebringiem, wynalazcą i konstruktorem urządzeń iluzjonistycznych, który tak szczerze podzielił się z nami swoją wiedzą i umiejętnościami. Andreas to prawdziwy Sains Bergander, a opis pracowni Bergandera odpowiada pracowni Andreeasa.

Specjalne podziękowania należą się iluzjoniście Andersowi Sebringowi za ważną rozmowę o tym, jak się wydostać z zasobników, z których wydostać się nie można.

Choć staraliśmy się o w miarę poprawne przedstawianie rzeczywistości, dla usprawnienia narracji świadomie pozwoliliśmy sobie na pewne modyfikacje. Jak w przypadku fermy na Lidön, która została zlikwidowana dawno temu i nie znajdowała się nad wodą. Z kolei Gävle Teatern ma sześć balkonów, a nie osiem. W tej książce znajdzie się jeszcze kilka podobnych przykładów potraktowania faktów „po łebkach”. Gdybyśmy mieli opisywać rzeczywistość taką, jaka jest, nasza powieść zrobiłaby się jeszcze dłuższa – i znacznie nudniejsza.

Największy z możliwych wirtualny bukiet kwiatów składamy przed naszym wspaniałym zespołem w Bokförlaget Forum; naszą wydawczynią Ebbą Östberg, redaktorem prowadzącym Johnem Häggblomem i redaktorką Kerstin Ödeen. Zdarzało nam się razem śmiać i płakać z frustracji, ale nie spasowali nawet wtedy, kiedy my byliśmy tego bliscy. Bez ich oddania ta powieść nie stałaby się tym, czym jest.

Wdzięczne ukłony należą się również Joakimowi Hanssonowi, Annie Frankl, Signe Lundgren i całemu zespołowi Nordin Agency, jak również Lili Assefa i zespołowi z Assefa Communication za to, że wcześniej uwierzyli w tę nową serię powieściową, a do tego w magiczny sposób przekonali do tego wydawnictwa z różnych krajów. Nie wiemy, jak to zrobili, i jesteśmy oniemiałi z wrażenia. Podejrzewamy, że to sprawka mieczy ninja.

Osobiste podziękowania Camilli

Pisarz nie mógłby tworzyć bez ogromnego wsparcia swojej rodziny. Mój wspaniały Simon jest najlepszym mężem, a wręcz wymarzoną osobą dla pisarki. Mam również niezawodne wsparcie ze strony moich dzieci, przyjaciół i pozostałej rodziny. Dziękuję wam za kibicowanie, dzięki czemu udaje mi się pokonać linię mety.

Osobiste podziękowania Henrika

Mojej kochanej żonie Lindzie dziękuję za bezcenne uwagi i sugestie na etapie, gdy w książce było wiele luk, a także za to, że mnie nie zamordowałaś, kiedy przez dwa lata nieustannie zanudzałem Cię opowieściami o Vincencie i Minie, ale przede wszystkim za to, że nie straciłaś wiary we mnie i znosisz mnie nawet wtedy, gdy na to nie zasługuję. Dziękuję również moim synom: Sebastianowi, Nemo i Milo. Bez was to, co robię, nie miałoby sensu.

Na koniec chcemy podziękować wszystkim czytelnikom, którzy dali szansę naszej nowej serii. Kochamy was wszystkich. Mamy również nadzieję, że po

przeczytaniu tego pierwszego tomu, podobnie jak my, zatęsknicie za ponowym spotkaniem z Vincentem i Miną.

Przypisy końcowe

1. Beggars can't be choosers – ang. odpowiednik powiedzenia „Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma” – wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki. [\[wróć\]](#)
2. ASD – autism spectrum disorder, czyli spektrum autystyczne. [\[wróć\]](#)
3. Muławka – po szwedzku hundfisk, czyli „psia ryba”. [\[wróć\]](#)
4. Bromma – jedna z większych dzielnic Sztokholmu. [\[wróć\]](#)
5. Halland to kraina geograficzna na południowym zachodzie Szwecji. [\[wróć\]](#)
6. LARP – live action roleplaying – gra przypominająca teatr i odgrywana w czasie rzeczywistym. [\[wróć\]](#)
7. Benjamin Ingrosso – szwedzki piosenkarz i kompozytor. [\[wróć\]](#)
8. Water torture cell – tzw. wodna komora chińskich tortur. [\[wróć\]](#)
9. Chinateatern – budynek z dużą salą imprezową, gdzie wystawiano m.in. rewie. [\[wróć\]](#)
10. Living on the edge – ang. życie na krawędzi. [\[wróć\]](#)
11. Sannex – szwedzki zespół grający muzykę do tańca. [\[wróć\]](#)
12. DurTvå, czyli Datoriserad utredningsrutin tvångsmedel – skomputeryzowana praktyka śledcza związana ze stosowaniem środków przymusu. [\[wróć\]](#)
13. Kista – dzielnica przemysłowomieszkaniowa w Sztokholmie, są tam również wydziały politechniki i uniwersytetu. [\[wróć\]](#)
14. Tivoli – wesołe miasteczko. [\[wróć\]](#)
15. GDPR – General Data Protection Regulation – Ogólne rozporządzenie o ochronie danych. [\[wróć\]](#)
16. Fremskrittspartiet – norw. Partia Postępu, określana jako narodowokonserwatywna. [\[wróć\]](#)
17. Trisslotten – loteria typu zdrajka. [\[wróć\]](#)
18. Bingo Rimér – znany szwedzki fotograf celebryta. [\[wróć\]](#)
19. ASAP – skrót od ang. As Soon As Possible, czyli jak najprędzej. [\[wróć\]](#)
20. Vasastan – dzielnica w centralnym Sztokholmie. [\[wróć\]](#)
21. Södermalm – albo Söder – dzielnica na południe od ścisłego centrum Sztokholmu. [\[wróć\]](#)
22. Melodifestivalen – festiwal piosenki szwedzkiej, odpowiednik polskiego Opola. [\[wróć\]](#)
23. Żart polegający na grze słów – hrabia to po szwedzku greve, a ser w tym przypadku nosi nazwę grevé. [\[wróć\]](#)

24. A match made in heaven – ang. dosłownie: para skojarzona w niebie, idealna para. [\[wróć\]](#)
25. Oba wielkie tabloidy – w Szwecji to głównie popołudniówki: „Aftonbladet” i „Expressen”. [\[wróć\]](#)
26. SF – to również skrót od Svensk Filmindustri, czyli Szwedzkiej Wytwórni Filmowej. [\[wróć\]](#)
27. Przyszłość Szwecji – nazwa wymyślona przez autorów, ale aluzyjnie nawiązująca do innej skrajnie prawicowej partii szwedzkiej. [\[wróć\]](#)
28. Gra słów – Natti jest również dziecięcym skrótem od god natt, czyli dobranoc. [\[wróć\]](#)
29. Tak – po szwedzku: dach. [\[wróć\]](#)
30. Kaknästornet, Svampen, Humlegården – wieża telewizyjna, daszek w kształcie grzyba na placu Stureplan i park w centrum Sztokholmu. [\[wróć\]](#)
31. Plattan – „patelnia” przy centralnej stacji metra. [\[wróć\]](#)
32. Junibacken – muzeum postaci ze szwedzkiej literatury dziecięcej. [\[wróć\]](#)
33. Rimbo – dawna osada kolejowa pod Sztokholmem; Vasastan – jedna z historycznych centralnych dzielnic stolicy. [\[wróć\]](#)
34. Dramaten – charakterystyczny gmach teatru dramatycznego. [\[wróć\]](#)
35. Akademiska sjukhuset – Szpital Uniwersytetu Medycznego w Uppsali. [\[wróć\]](#)